

Polski  
*Doktor Żywago*

Stefan Türschmid

# CZWARTEY CZERWONY



Stefan Türschmid

**CZWARTEY  
CZERWONY**



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Mojej Żonie Agacie,  
z podziękowaniem za pierwsze czytanie,  
za liczne inspiracje  
oraz za konsultacje psychologiczne bohaterów tej książki  
i  
Profesorowi Januszowi Zagrodzkiemu,  
staremu Przyjacielowi, z wdzięcznością za uwagi,  
szczególnie z dziedziny historii sztuki*

**Część pierwsza**

**WOJNA**

## Nicea

Jan zjechał na parter, windziarz otworzył drzwi. W ogromnym holu światła były przygaszone. Kwiaty w wazonach i rząd palm w wielkich donicach trwały nieruchomo w półmroku. Matowo lśniły marmury podłogi, ścian, parapetów i złocenia ciągnącej się na dwadzieścia metrów lady recepcji. Pod ścianami brązowe i ciepłe zagłębienia skórzanych foteli i sof. Za weneckimi oknami w górze błękitniało przygasające niebo, a w dole odpoczywało morze z białymi grzbietami biegnących fal.

Inny świat, nie jego. Wciąż jeszcze się dziwił, że się tu znalazł. Wczoraj przy obiedzie widział, jak szef ekipy, księżę Babenberg, dał kelnerowi napiwek, za który on mógłby spokojnie żyć przez tydzień.

W głębi holu jaśniały przezroczyste drzwi z kolorowego witrażu z rysunkiem kwiatów. Szedł po tak grubym i miękkim dywanie, że nie słyszał swoich kroków. Tylko z dala, zza tych drzwi dochodził stłumiony odgłos orkiestry grającej wiedeńskiego walca. Przez chwilę wahał się, czy nie wejść. Jego koledzy z drużyny niezawodnie musieli tam być. Podeszedł kilka kroków w tamtą stronę i zatrzymał się. Widział ich, siedzieli przy jednym ze stolików obok parkietu. Hrabia Steinhoff też go spostrzegł. Podniósł kieliszek i dawał zapraszające znaki. Jan niepewnie pokręcił głową, a Steinhoff zerwał się i podbiegł do drzwi. Buchnęło przez nie oślepiające światło, gwar, zgiełk i zapach perfum zmieszany z dymem cygar.

– Panie poruczniku, prosimy do nas. Niechże pan nie będzie takim odludkiem. No, proszę! – Steinhoff, niski i drobny jak dżokej, szedł w rozpiętym mundurze i brzęczał ostrogami. Miał zaczerwienioną twarz i oczy błyszczące od alkoholu.

– Dziękuję. – Jan wciąż był niezdecydowany. Wyszedł z zamiarem przejścia się nadmorskim bulwarem. – Dobrze, na chwilę.

– Na początek koniak, prawda? – rotmistrz Wiesse, kapitan drużyny, nalał kieliszek do pełna. – Podwójnie, bo to karny.

– Barbarzyństwo tak traktować dobry koniak – oburzył się von Dohanyi.

Jan wypił łyk i odstawił kieliszek.

– Panowie, jutro nasz wielki dzień – mówił brygadier Grossman. – My albo Włosi, innych zagrożeń nie widzę. Rosjanie się nie liczą, Francuzi i Niemcy to już nie ta klasa co przed laty. Órodek w Saumur marnieje w oczach, szkoła hanowerska zeszła na psy. Anglicy słabi po kontuzjach swoich najlepszych koni. Musimy zwyciężyć.

– Czas by było jednak zainteresować się naturalną szkołą Caprillego – rzekł von Dohanyi.

Rozgorzała dyskusja nad wadami i zaletami starej i nowej szkoły

jeździeckiej w skokach przez przeszkody. Jak zwykle. Jan słuchał tego wiele razy i nie miał ochoty się odzywać. Był pół roku na praktyce we włoskich ośrodkach Pinerolo i Tor di Quinto; nie miał wątpliwości. Szkoła Caprillego to przyszłość.

Przyglądał się parom tańczącym na parkiecie. Mężczyzna we fraku i szczupła kobieta w czerwonej sukni z rozpuszczonymi włosami tańczyli tango, poruszając się jak żaglowce przechylające się na falach. Zamierali w bezruchu i ruszali ponownie, przyspieszając i obracając się jak liście wirujące na wietrze. On obejmował ją i przyciągał do siebie; zbliżał usta do jej ust. Musieli to być zawodowi tancerze, nikt z towarzystwa nie ośmieliłby się tak odważnie prezentować erotyzmu tanga.

Potem jego koledzy zamówili od razu cztery butelki szampana. Przyszedł ksiązę Babenberg, który dotychczas bawił się przy zestawionych razem stolikach Francuzów i Włochów. Też nieco już wstawiony. Po godzinie pili koniak szklankami. Zaczepiali kobiety przy sąsiednich stolikach, pojawiły się jakieś panie niepewnej kondyty. Zanosilo się na skandal. Jan wstał i opuścił towarzystwo bez pożegnania.

Ruszył w stronę recepcji. Była tam miła i ładna recepcjonistka, którą widział już kilka razy.

– Mówi pani po niemiecku?

– Naturalnie. Ale... pan porucznik Szawernowski, prawda?

– Tak! – zdziwił się.

– Więc możemy rozmawiać po polsku. Jest pan przecież Polakiem?

– Tak, a pani jest Polką?! Coś takiego.

– Mieszkam w Nicei już od kilkunastu lat, ale nie zapominam o Polsce.

Dwa dni temu Jan dostał telegram z Krakowa o nagłej śmierci matki i to przypomnienie Polski odebrał jak policzek. Siostra, z którą z biegiem lat kontaktował się coraz rzadziej, nie mogła ustalić, gdzie się znajduje, i telegram wysłała dopiero dzień po pogrzebie. Nie powiedział więc o tym nikomu, uznał, że musi dotrzeć do końca zawodów i przecierpieć po cichu.

– To miłe. Chciałem spytać, do której godziny są czynne kasyna gry. – Jan nie miał zamiaru grać w ruletkę, ale nagle zapragnął zostać sam.

– Do rana oczywiście. Co najmniej do świtu.

– Dziękuję pani.

Położył klucz do pokoju na ladzie i ruszył szybko do wyjścia, zostawiając ją zdziwioną nagłym zakończeniem rozmowy. Popatrzył przelotnie w wielkie lustro na filarze. Nacisnął czapkę na czoło i stwierdził, że wygląda nie najgorzej. Mundur wyczyszczony i wyprasowany przez Rudiego, ordynansa – choć trochę już znoszony – był bez zarzutu. Skórzane leje na bryczesach dodawały im sportowej elegancji. Błyszczały wysokie buty z czarnej skóry.

Ciepły dotyk wiatru objął go przyjaźnie, gdy tylko znalazł się za obrotowymi

drzwiami. Było parno i duszno, zbierało się na burzę. Czerwony automobil z białymi oponami, chromowanymi reflektorami i dużą liczbą lśniących listew i ozdób, zatoczył się cicho na podjazd. Służący i szofer dźwigali wielkie kufry, a wielka jak piec dama, spocona w rozpiętym futrze, kroczyła dostojnie w stronę wejścia. Obok dreptał na smyczy mały piesek ze złotą obróżką. Biżuteria damy wystarczyłaby pewnie na zakup trzech takich folwarków jak Jana rodzinne Borowice pod Krakowem.

Nad szyldem hotelu zegar wskazywał pół do dwunastej w nocy, lecz promenada nie całkiem jeszcze opustoszała. Kobiety ze swoimi towarzyszami sunęły w sukniach do ziemi i w wielkich, piętrowych kapeluszach, ciężkich od sztucznych kwiatów. Mężczyźni z laskami, w wysokich cylindrach i surdutach prowadzili je dumni, jeśli były piękne, i zmartwieni, gdy były grube, stare lub brzydkie. Spacerowali tu najbogatsi ludzie świata, międzynarodowi szulerzy, arystokracja, Amerykanie, Europejczycy, potwornie bogaci, beztroscy i znudzeni.

Na słupie ogłoszeniowym spostrzegł plakat z sylwetką konia i jeźdźca nad przeszkodą. „Comité des Fêtes et des Sports” zapraszał na Międzynarodowe Zawody Hippyckie Nicea 1913. Poniżej – ośmiodniowy program konkursów i kolorowe flagi reprezentujące narodowości zawodników. Wszędzie tych plakatów było pełno. W tej części Riwiery zawody były ważnym wydarzeniem początku sezonu. Z drugiej strony słupa rzucał się w oczy jeszcze większy plakat przedstawiający kilka butelek szampana i niezliczone rzędy kieliszków. Sieć hoteli i restauracji Perroquet ogłaszała tradycyjny coroczny wielki konkurs picia szampana o Puchar Perroquet. Konkurs pijacki, kto wypije najwięcej najdroższego szampana świata! Na koszt organizatora.

Minął klomb z tysiącami goździków i szedł powoli Promenade des Anglais, przyglądając się morzu, kwitnącym krzewom i palmom. Mijał hotele Ruhl i Negresco, luksusowe pensjonaty i kasyna. Domy wznosiły się na stromym wzgórzu, a nad nimi czerniały góry nad zatoką. Tysiące światełek unosiło się aż do linii lasu, a w dali na cyplu migąła latarnia morska w Cagnes sur Mer. Pierwszy raz był w Nicei. Tylko raz jako kilkunastolatek był z rodzicami w Sopocie nad Bałtykiem. A morze go fascynowało. Gdyby nie był kawalerzystą, na pewno zostałby marynarzem. Wielkie statki, okręty, oceany, sztormy i plaże na dalekich wyspach – jako chłopak wciąż o tym czytał i o tym marzył.

Na niebie przesuwały się ciężkie chmury, przesłaniając wielki, jasny księżyc. Fale leniwie uderzały o kamienisty brzeg, szumiały cicho i uspokajająco. Jan oddychał głęboko i czuł się tak świetnie, że aż poczuł wyrzuty sumienia. Dobrze, że uciekł z tej restauracji i prawie nic nie pił. Zobaczymy, jak oni jutro będą jeździć. Od przyjazdu do Nicei każdego wieczoru pili, a potem jakoś jednak trzymali się na koniach. Ale to już siódmy dzień tego pijaństwa!

Na ławce jakaś para tuliła się do siebie. Usłyszał zbliżający się odgłos kopyt

końskich na kostce chodnika. Nie oglądając się, wiedział, że to musi być para lekkich koni zaprzęgowych. Szły powoli, stępem. Zbliżały się rozbawione głosy. Głęboki baryton podśpiewywał jakiś tęskny romans, kobiety się śmiały. Strzelił korek szampana. Siwe konie wyprzedzały go powoli, stangret tkwił nieruchomo na koźle. W otwartym powozie mężczyzna w średnim wieku i trzy kobiety. Jedna bardzo starsza i dwie młode. Mężczyzna w mundurze rosyjskiej gwardii; dobrze znał te mundury, widział takie w Warszawie.

Jan szedł równoległe z powozem, który nie wiadomo dlaczego jechał chodnikiem. Mijał go bardzo powoli. Rozmawiali po rosyjsku.

– Spójrz, Katiu, jaki piękny oficer, to musi być Austriak, zaczepię go!

– Ani się waż, Nadieżdo! – rozległ się niski i szorstki głos starszej kobiety. Paliała papierosa w długiej lufce. – Zaczepiać nieznajomych po nocach! Za dużo wypiął!

Mężczyzna podśpiewywał jej do ucha, Nadieżda zaśmiała się.

– Poproszę jeszcze szampana!

Mężczyzna wpatrywał się w nią z podziwem i zazdrością. Napełnił kieliszek i podał jej.

– Panie oficerze, startuje pan w zawodach? – spytała po francusku i mocno wychyliła się z powozu. – My bardzo kochamy konie, a jeszcze bardziej kawalerzystów!

Jan zatrzymał się i zasalutował. Powóz stanął. Kobieta była ładna, mogła się zbliżyć do czterdziestki. Kiedy się śmiała, odsłaniała dziąsła nad białymi, równymi ząbkami. Mężczyzna usiłował ją objąć i pociągnąć w głąb powozu.

– Proszę wybaczyć, proszę wybaczyć – odezwała się charczącym głosem starsza pani. – Moja siostrzenica jest dziś... niedysponowana.

Jan spostrzegł, że do starszej pani przytula się młodzieńca z burzą jasnych, kręconych włosów i wielkimi, ciemnymi oczami. Lekko rozchylone wargi i zażenowany uśmiech. Miał odejść bez słowa, lecz ta piękna twarz sprawiła, że został.

– Jan Szawernowski, porucznik Pierwszego Pułku Ułanów Galicyjskich – powiedział i skinął głową. – Startuję w ekipie Austrii. Zapraszam państwa jutro, a właściwie już dziś, na hipodrom, na najważniejszy konkurs, Puchar Narodów.

Kiedy odezwał się po rosyjsku, na ich twarzach odmalowało się zdziwienie.

– Pan pozwoli, że przedstawię, skoro już się tak nietypowo poznajemy – powiedział dudniącym głosem mężczyzna. – Księżna Ludmiła Leontiewa i jej siostrzenica pani Nadieżda Niesłuchowa z córką Katią. Hrabia Sergiusz Karsow, podpułkownik gwardii. Na pewno przyjdziemy podziwiać pana i pańskich kolegów na zawodach. Bardzo przepraszam za tak bezceremonialne zachowanie mojej przemielej przyjaciółki.

Nadieżda jeszcze mocniej wychyliła się z powozu i przesłała Janowi



pocałunek palcami od ust.

Starsza pani szturchnęła stangreta:

– Jedź, ruszaj!

– Ależ ciociu! Chcemy porozmawiać...

Konie poszły od razu klusem, a Nadieżda Niesłuchowa machała do Jana dłonią w długiej rękawicze i posyłała pocałunek za pocałunkiem. Przez chwilę widział jeszcze wielkie, ciekawie wpatrujące się w niego oczy i burzę włosów Katii. Potem powóz przyspieszył i znikł w mroku.

Zawrócił i szedł szybko w stronę hipodromu i stajni. Niebo teraz wisiało już niskie i zachmurzone. Wiatr się wzmaczał, a rozmyte cienie palm biegały po chodniku.

Stajnie Palais de Sport pachniały sianem, końmi i koniakiem. Pięciogwiazdkowy koniak służył tu do nacierania ścięgien, końskich grzbietów, łopatek i zadów. Jego woń unosiła się nad boksami, w których drzemały sportowe wierzchowce poprzykrywane derkami. Jan wziął od wartownika przy wejściu latarkę i idąc, świecił nią wzdłuż setki boksów, poszukując swoich. Jasiek i Picador<sup>1</sup> spały na stojąco. W sąsiednim boksie zbudził się Rudi i w samych bryczesach i podkoszulce, ze źdźbłami siana we włosach, na bosaka, meldował, że wszystko w porządku. Jan dał koniom po kostce cukru, kazał Rudiemu zdjąć owijki z nadpęci, przesuwając palcami po ścięgnach. Były gładkie i chłodne jak szkło. Picador trącał go pyskiem i pocierał łbem o kieszeń kurtki, domagając się jeszcze więcej cukru. Jan pogładził go po szyi i chuchnął w nozdrza.

\* \* \*

Rano był w stajni, zanim jego koledzy zdążyli odespać kaca. Nocą nad Riwierą przetoczyła się burza, padało jeszcze rankiem i tor na hipodromie rozmiękł zupełnie. W stajni wisiały listy startowe i ogłoszenia, że konkurs o Puchar Narodów odbędzie się w krytym maneżu. Organizatorzy przepraszali, tak zły pogody o tej porze roku na Lazurowym Wybrzeżu nikt nie pamiętał.

Jan poszedł obejrzyć parcours. Rudi właśnie wyprowadził konie na spacer po mniejszej ujeżdżalni służącej za rozprężalnię. Jasiek kroczył dostojnie, a Picador pobrykiwał wesoło. Rudi szarpał za uwiąz przymocowany do kantara i ledwo sobie z nim radził.

W ogromnej krytej ujeżdżalni, najnowocześniejszej w Europie, obsługa toru w wielkim pośpiechu budowała parcours konkursu pucharowego. Zwożono przeszkody ze stadionu. Wszędzie ustawiano krzewy ozdobne i kwiaty. Tor tonął w kwiatkach. Było za wcześnie, żeby zorientować się w przebiegu trasy konkursu, więc Jan zawrócił do stajni. Byli już tam koledzy i księżę Babenberg. Studiowali listy startowe i szkic parcoursu. Von Dohanyi miał zapuchnięte oczy i poruszał się jak lunatyk, a maleńki hrabia Steinhoff siedział na snopkach słomy i pił wodę

mineralną. Tylko Wiesse wyglądał zupełnie nieźle.

– Oto prawdziwy sportowiec – rzekł. – Popatrzcie tylko. – Wskazał Jana. – Nieskacowany i trzeźwy jak dziecko. On dzisiaj wygra, zobaczycie!

\* \* \*

Jan podjechał galopem do bandy i zasalutował w stronę jury. Już poprzednio, kiedy zaczynał pierwszy nawrót, widział na trybunie dla gości honorowych księżnę Leontiewę i jej siostrzenicę z córką. Były tam wśród koronowanych głów, obok księcia Monako i dostojników Francji. Zasalutował w ich stronę, a Nadieżda Niesłuchowa w odpowiedzi pomachała mu chusteczką.

Cofnął kilka kroków Picadora, który wciąż się denerwował. Pogłaskał konia po szyi, przemawiał do niego uspokajająco, gadał byle co, byle łagodnie. Po pierwszym nawrocie prowadzili Włosi. Austriacy byli na drugim miejscu, lecz Francuzi tylko o pięć punktów za nimi. Steinhoff i Wiesse spisali się zadziwiająco dobrze, łącznie tylko cztery punkty karne. Wynik Sandora von Dohanyi, jako najgorszy w zespole w tym przebiegu nie liczył się do punktacji. Jan przejechał pierwszy nawrót bezbłędnie. To był prawie cud, bo Picador parł do przodu nieprzytomnie; pomiędzy przeszkodami brykał i ciskał się, jakby zupełnie oszalał.

Dostali sygnał do startu. Ruszyli. Teraz Picador galopował już dużo spokojniej. Jan mógł dać mu więcej swobody, Picador to lubił. Raz tylko bryknął po potrójnym szeregu. Wszystkie najazdy pasowały. Miejsca odbicia doskonale trafione, skoki pewne. Dobrze, dobrze... dobrze. Jeszcze riwiera, czyli rów z wodą. Dobrze. Szeroki okser, triplebar i ostatnia przeszkoda, paskudnie wąska angielska bramka. Czysto! Nie mógł powstrzymać gestu zwycięstwa. Uniósł zaciśniętą pięść, a Picador teraz dopiero popisał się całą serią baranich skoków i wierzganiem zadem. Cieszył się! Wśród oklasków zjeżdżali z areny, Jan klepał go po szyi, głaskał, kochał go po prostu.

Drużynowo nic jeszcze nie było pewne. Ale indywidualnie nikt już nie mógł go pokonać. Nikt oprócz niego nie miał czystego przebiegu w pierwszym nawrocie, a Jan miał za obydwa zero punktów karnych. W tym momencie nie pamiętał o śmierci mamy. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej szczęśliwy. Steinhoff przejechał bezbłędnie. Anglicy zarobili osiem punktów karnych. Włosi w drugim nawrocie tylko trzy punkty – świetnie, wygrali. Austriacy niestety, drugie – jednak w tak świetnym towarzystwie – bardzo dobre miejsce.

Potem były dekoracje, wstęgi i runda honorowa. Orkiestra grała galopadę z *Lekkiej kawalerii*, operetki Franza von Suppého, konie parślały wesoło. Puchary i splendory.

Jan siedział na kręcącym się i trochę jeszcze pobudzonym koniu, czekając na dekorację i nagrodę indywidualną. Jednak nic takiego nie nastąpiło. W ogóle nie ogłoszono klasyfikacji indywidualnej. Zjechał do stajni. Książę Babenberg

rozkladał bezradnie ręce.

– Nie ma żadnej nagrody indywidualnej – mówił. – To zdumiewające, ale Francuzi mówią, że to konkurs drużynowy i nie przewidzieli nagrody indywidualnej.

– Dziwne.

– To skandal, żabojady się kompromitują – mówił von Dohanyi.

Koledzy klepali Jana po plecach, pocieszali.

– Żadnej nagrody dla najlepszego jeźdźca najtrudniejszego konkursu! To skandal! Mówią, że to konkurs drużynowy.

– Idioci.

– Świnie!

Jan zaciskał zęby, wściekł się, lecz starał się tego nie okazywać. Wygrał najważniejszy konkurs w Nicei, jury nawet tego nie ogłosiło, nie miał żadnej nagrody, pucharu ani nawet floos, wstążek przypinanych zwycięzcom.

\* \* \*

Wieczorem w hotelu Perroquet pożegnalny bankiet i konkurs szampana. Jan widział, jak przy wejściu portierzy wyrzucili za drzwi dwóch biedaków we frakach, chętnych do napicia się za darmo najdroższego szampana świata. Tu wstęp mieli tylko wybrani. Stoły ustawione w podkowę obsiedli uczestnicy zawodów, organizatorzy i fundatorzy nagród. Księżna Leontiewa siedziała obok pary książęcej Monako i księcia Walii; jej siostrzenica i Katia tuż obok. Podawano kawior do małych kanapek, zupę żółtą, a następnie polędwiczki po parysku na słodko, w likierze. Jan siedział pomiędzy brygadierem Grossmanem a von Dohanyim, jadł z apetytem. Nie od razu zwrócił uwagę, gdy księżna Leontiewa zastukała nożem o szklanę.

– Szanowni państwo – mówiła charczącym, niskim głosem. – Jest wśród nas cichy bohater tych zawodów, porucznik Jan Szawernowski, który z niepojętych powodów nie został uhonorowany. Dwukrotnie bezbłędnie przejechał na swoim wspaniałym Picadorze najtrudniejszy parcours zawodów. Ustanawiam dla niego nagrodę specjalną. Panie poruczniku, proszę przyjechać do moich stadnin koni pełnej krwi pod Briąnskiem i wybrać sobie dwulatka, który najbardziej się panu spodoba. A tymczasem proszę wybaczyć tę improwizację i przyjąć ode mnie tę broszkę. Może służyć jako spinka do krawata. – Księżna odpinała z trudem broszkę, która jakoś nie chciała dać się odczepić. – Bardzo proszę!

Jan ruszył w stronę stołu najważniejszych gości bankietu i idąc, słyszał wystąpienie księcia Walii:

– Mnie również zdziwiło, że organizatorzy nie przewidzieli nagrody dla najlepszego wyniku indywidualnego. Oto moja nagroda. – Podniósł jakiś przedmiot i pokazywał wszystkim dookoła. Była to bardzo gruba złota papierośnica z herbem,

wysadzana brylantami. – Jutro zlecę wygrawerowanie odpowiedniego napisu. Panie poruczniku, gratulujemy. Podziwiamy pana i pańskiego Picadora!

Jan dziękował, odebrał broszę przedstawiającą szpicrutę, toczek jeździecki i ostrogi, pocałował księżną w rękę i już chciał iść podziękować za papierośnicę, kiedy wstała Nadieżda Niesłuchowa.

– A oto moja nadzwyczajna nagroda – powiedziała. – Pocałunek dla zwycięzcy. – Podeszła szybko, ujęła głowę Jana w rękę i obdarzyła długim pocałunkiem. Sala zaszumiała oklaskami, ale też pomrukiem dezaprobaty. Jan spostrzegł teraz, że Nadieżda Niesłuchowa musi mieć trochę więcej lat, niż mu się wydawało, gdy ją widział nocą na promenadzie. Popatrzył na Katię. Zaczerwieniła się, odwróciła wzrok, wstydziła się zachowania matki.

– Mama postanowiła zostać największą skandalistką Riwiery – powiedziała.

\* \* \*

Kelnerzy ubrani na biało, w białych butach i białych rękawiczkach, nalewali szampana do litrowych kryształowych pucharów. Należało wypić zawartość w ciągu minuty, żeby nie uleciały bąbelki. Jan wypił jedną butelkę i zrezygnował. Koledzy wydali jęk zawodu, ale nie miał zamiaru się upijać. Wrócił do stołu, usiadł między księciem Walii a Katią. Jej matka wdzieczyła się uwodzicielsko, lecz nie zwracał na to uwagi. Katia milczała. Jan próbował z nią rozmawiać, lecz odpowiadała zdawkowo i niechętnie. Ożywiła się dopiero, gdy spytał o angielskie stadniny księżnej. Pytała o rodowód Picadora.

– Ma tylko palenie stadniny z Lipicy i nic więcej o jego pochodzeniu nie wiemy. Wziąłem go z artylerii. Był koniem pociągowym, ciągnął armaty. Nawet nie wiem dokładnie, ile ma lat. Kiedyś zobaczyłem, jak się spłoszył, gdy w czasie burzy niedaleko uderzył piorun. Razem ze swoim jeźdźcem przeskoczył półtorametrowy żywopłot, zrzucił biedaka i uciekł do stajni. Pomyślałem, że to może być skoczek. Odkupiłem go od wojska i nie pomyliłem się.

– No rzeczywiście, nie sprawia wrażenia bardzo szlachetnego... Ten kurtyzowany ogon i koścista sylwetka... Ale jest wspaniały, wspaniały!

– Jeździ pani konno?

– O tak! Nawet w męskim siodle.

– W czerwcu tego roku w Wiedniu Maria Zandbangowa, Polka, wygrała międzynarodowy konkurs dla pań. Podobno skacze w damskim siodle przeszkody sto sześćdziesiąt centymetrów!

– Niesłychane! Sto sześćdziesiąt w damskim siodle?!

Przy stole konkursowym walczyli finaliści szampana. Von Dohanyi zrezygnował po ósmej butelce. Koledzy odprowadzili go na sofę dla pokonanych. Leżało tam, kiwając się lub drzemiąc w niedbałych pozach, dwudziestu mężczyzn. Trzymał się tylko jeszcze Francuz Demariot i hrabia Steinhoff. Hrabia miał metr

sześćdziesiąt wzrostu i ważył może pięćdziesiąt pięć kilogramów. Jak w tym małym ciele mieściło się tyle litrów trunku!? Stał na szeroko rozstawionych nogach i powoli opróżniał kolejny kryształowy puchar. Chwiał się, ale stał dzielnie. Dziennikarze błyskali fleszami. Zdjęcia do jutrzejszej prasy – wielka reklama firmy Perroquet. Potem pił Francuz. W połowie pucharu zachwiał się, nogi się pod nim ugięły, zatoczył się i oparł o kelnera. Jeszcze raz podniósł puchar, lecz wypadł mu z rąk i szampan rozlał się po stole. Kelnerzy odprowadzili go na sofę. Steinhoff triumfował. Wymamrotał coś do kelnera, który napełnił mu jeszcze jeden puchar. Steinhoff zaczął pić, ale już nie mógł. Odstawił go na stół i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Towarzyszyły mu oklaski. Rzucił się do drzwi, nie zdążył, zwmiotował. Poślizgnął się i wywrócił.

Z holu dobiegł odgłos wystrzału. To już nie był szampan. Wystrzał z pistoletu. Za drzwiami restauracji zapanowało zamieszanie. Jan i kilku gości bankietu ruszyło zobaczyć, co się stało. Minął pieniaące się jeszcze wymiociny i usiłującego podnieść się z nich hrabiego Steinhoffa. Koło recepcji leżał, krwawiąc z ucha, młody mężczyzna we fraku z rozpiętą do pasa koszulą. Miał otwarte, nieruchome oczy. Pistolet wysunął mu się z dłoni. Rosła plama krwi. Ludzie tłoczyli się nad ciałem, dziwnie skrzyżnym i opartym ramieniem o recepcję.

– Zgrał się do grosza! – stwierdził ktoś obok. – To już drugi samobójca w tym sezonie.

– To hrabia Krestiakow – rzekła recepcjonistka. – Taki młody człowiek! Taki młody!

– I w dodatku był potwornie bogaty. Kolosalnie!

Dziennikarze fotografowali, przepychali się przez gapiów, robili zdjęcia ze wszystkich stron. W zbliżeniach i z daleka, z góry, ze schodów.

<sup>1</sup> Jasiołek i Picador to imiona koni rotmistrza Królikiewicza, który zwyciężał na nich w Nicei kilka lat później w barwach wolnej już Polski po pierwszej wojnie światowej.

## Łukiszki, folwark majątku Gołubyje Prudy

Świniak miotał się nieprzytomnie i Iwan Jurko razem z ojcem nie mogli sobie z nim poradzić, załadować na wóz. Iwan zawołał swoją kobietę i najstarszą córkę, szesnastoletnią Nastię i dopiero we czwórkę jakoś wrzucili kwiczącego prosiaka na wóz i uwiązali.

- No, nie ma rady, trzeba – powiedział ojciec.
- Ano, trzeba – potwierdził Iwan. – Co będzie z ratą dla banku?
- Trzeba będzie pożyczyć od Żyda.

Świniaka mieli utuczyć i sprzedać na rynku, a pieniądze przeznaczyć na następną ratę, a tu dziewczynki zachorowały. Za trzy miesiące można by było wziąć za niego dużo więcej. Potem buraki, pszenica, ziemniaki, owoce z sadu...

- Doktor weźmie co najmniej półtora rubla, no i jeszcze lekarstwa.
- Żeby tylko przeżyły. Mój Boże, żeby przeżyły!

Przez pięć lat od reform Stołypina stary Jurko spłacał ziemię, potem Iwan przejął gospodarkę i spłacał następne pięć lat. Jedli wyłącznie ziemniaki i kaszę, ale spłacali. Jeszcze tylko dwa lata i ziemia będzie należała do nich. Na zawsze i na wieki – ich własna ziemia. Szmat tłustego czarnoziemiu pod lasem, piętnaście dziesięcin. Majątek! Jak skończą spłacać, zaczną żyć jak ludzie. Odłączyli się od *obszcziny*, wiejskiej wspólnoty, cała wieś ich znienawidziła. Ale niech tam! Muszą być na własnym. Stary, a po nim młody Jurko, od lat wojował ze wspólnotą. Nawet z popem wojował. Pop ciemniak, nie wiadomo, czy przeczytał w życiu pięć książek, a Iwan Jurko, jedyny piśmienny chłop we wsi, wciąż coś czytał. Nawet czasem we dworze mu książki pożyczali.

A teraz dziewczynki tak się pochorowały. Trzy lata temu zmarł maleńki Misza; nie mieli pieniędzy na lekarza. A co będzie teraz z Marusią i Olą? Rano Iwan aż się przestraszył, kiedy dotykał ich główek. Rozpalone. Oczy nieprzytomne, wysypka, twarze zaczerwienione i spuchnięte. Marusia coś majaczyła o tańcach w karczmie.

Wóz trząśł się na koleinach, prosiak kwiczał i kwiczał bez przerwy. Iwan przeżegnał się koło kapliczki na rozstaju, skręcił w stronę miasta. Z przeciwka, od strony majątku Gołubyje Prudy, nadjechała konno dziedziczka, Katia Niesłuchowa. Zatrzymała się.

- Pochwalony Jezus Chrystus, panienko.
- Pochwalony. A dokąd to, Iwanie?
- Muszę sprzedać świniaka, córki chorują, potrzebuję na lekarza.
- Źle z nimi?
- Bardzo.
- Przyślę wam po południu doktora Stilmanna. Będzie dziś u ciotki. Zresztą,

przyjadę z nim, bo trzeba dopilnować. Nie lubi chodzić po chałupach.

– Wielkie dzięki, panienko. Wielkie dzięki.

– Nie ma za co. Świniaka zabierajcie do domu, przyda się wam, doktora opłacę.

Odjechała galopem, zanim zdążył jeszcze raz podziękować.

\* \* \*

Przyjechali bryczką pod wieczór. Stilmann mrucał coś pod nosem, chałupa z zewnątrz wyglądała ubogo. Spodziewał się zobaczyć brud i smród w środku. Dwa białe króliczki czmychnęły spod pierzyny dziewcząt, schowały się przed obcymi za piecem. Izba była pobielona i jasna, z dużymi oknami, komodą pomalowaną w kolorowe kwiaty i szafą z książkami w kącie. Lekarz rozglądał się zdziwiony. Badał, oglądał wysypkę na brzuszkach i pod pachami, zaglądał do ust, naciskał języki łyżeczką.

Katia przywiozła słów śmietany, pół kopy jajek i zajaca.

– Brat upolował – rzekła.

– Trzeba było tydzień temu... – narzekał Stilmann. – Czemu tak późno? Jak można tak zaniedbać? Jak można? Tyfus, oczywiście. Byle się to nie rozniosło. – Lekarstwa miał ze sobą, wypisał kartkę z zaleceniami. – Widzę, że jesteście piśmienni – powiedział do Iwana.

Kobieta chciała częstować owocową herbatą, ale doktor podziękował.

– A pani? Po co tutaj? – Jurko usłyszał, jak doktor mówił do Katii, kiedy już wychodzili. – Można się zarazić. Tyfus to nie żarty.

– Dajcie znać, Iwanie, jak córki, czy zdrowieją – powiedziała Katia. – Zresztą sama przyjadę.

## Gołubyje Prudy

Do Briąńska Jan dojechał koleją. Na dworcu czekał na niego powóz z Gołubych Prudów<sup>1</sup>, posiadłości Leontiewów. W pałacu księżna witała serdecznie. Nadieżda Niesłuchowa była jak zawsze uwodzicielska, a Katii nie było.

– Włóczy się konno po okolicznych wsiach. Prowadzi szkółkę dla dzieci, uczy czytać, a ostatnio leczy chorych na tyfus – opowiadała księżna. – Opłaca im lekarza i dostarcza żywność. Nie możemy jej tego wyperswadować. Nie daj Boże, jeszcze się zarazi! Jutro pojedziemy do stadnin, wybierze pan sobie dwulatka.

– Jestem bardzo wdzięczny, księżno, bardzo dziękuję.

Pałac był wielki, piętrowy, zbudowany pod koniec XVIII wieku, z dwoma długimi skrzydłami, w których mieściły się oranżeria, pokoje gościnne, mieszkania krewnych rezydentów – kuzynek i dalekich ciotek – wozownie, stajnie wyjazdowe, kuźnia, pralnia. Mieszkali tam zarządcy gospodarstwa, gorzelnicy, młynów i stadnin, a dalej liczna służba z rodzinami. Lokaje, kucharze, ogrodnicy, masztalerze, psiarzczyki, kowale, robotnicy stolarni i warsztatów.

Jan dostał duży pokój z ogromnymi oknami i balkonem, z widokiem na park. Pościel zmieniana była codziennie, ręczniki po każdym użyciu.

Rano, po śniadaniu wpadł na Katię w jadalni. Wydawała się nieobecna, zajęta swoimi sprawami. Wydała się Janowi inna niż w Nicei. Może poważniejsza, dojrzała? Nie miała dla niego czasu. Poczuli się tym dotknięci, uważali, że nie zasłużyli na takie traktowanie. To go zabolalo i nie wiedział właściwie dlaczego.

Konie oglądał w towarzystwie jej matki i księżnej. We wsi chłopcy już z daleka kłaniali się w pas przed nadjeżdżającym powozem, a jakaś stara kobieta z mężem pokłękali na gołej ziemi w błocie i trwali tak, dopóki powóz nie przejechał.

– Dwadzieścia lat temu jeszcze mój ojciec zabronił chłopom klękania przed nami, ale niektórzy jeszcze się nie odzwyczaili – powiedziała księżna.

Na padokach setki klaczek i ogierków skubały trawę, podchodziły do ludzi, spragnione piesszczot i cukru. Starsza pani znała wszystkie, podawała ich rodowody z pamięci, czasem do piątego pokolenia. Jan nie wiedział, co wybrać, tyle było tam świetnej młodzieży. Do wieczora objechali trzy folwarki. Wybrał cztery ogierki i poprosił o pokazanie ich razem w ręce, w ruchu. Dwulatki były niezajeżdżone, na razie nie można było na nie wsiąść, wybór był trudny. Wskazał w końcu silnego kasztana z cienką strzałką na głowie, który ruszał się fenomenalnie i był zimbredowany<sup>2</sup> na słynnego Nearco. Suchy i w mięśniach, jakby już w treningu na torze. Był jak sprężyna, a przy tym spokojny i zrównoważony. Nazywał się Moro.

Gołubyje Prudy od północy otaczały lasy ciągnące się kilometrami. Przebiegała przez nie granica z jednym z wielu majątków hrabiów



Szeriemietiewów. Dwa lata wcześniej dwudziestolatek Dmitrij Szeriemietiew zakochał się w Katii. Co tydzień przyjeżdżał w odwiedziny ze swoją siostrą Iżą, a czasem sam. W salonie całował w rękę księżną i matkę Katii, a na ciemnych schodach, po kryjomu – Katię w usta. Był jasnowłosy i przystojny, Katia też się zadurzyła, a mama sprzyjała tym odwiedzinom, snując plany świetnego mariażu, bo Dmitrij był jedną z najlepszych partii w Rosji. Jednak dziewczyna szybko się przekonała, że nie ma o czym rozmawiać z młodym hrabią, który skończył naukę w wieku jedenastu lat, niczego nie czytał, muzyki nie rozumiał i zajmowało go tylko polowanie. Był niechlubnym wyjątkiem w rodzinie znanej ze sławnych uczonych i artystów. Wkrótce też rozeszła się wiadomość, że zrobił dziecko podkuchennej, która z tego powodu próbowała utopić się w stawie. Potem Katia wyjechała na pół roku na naukę śpiewu do Mediolanu i zapomniała o Dmitriju.

Teraz młody hrabia przyjechał z Iżą. Zostali zaproszeni na kolację, jak i inni sąsiedzi Gołubych Prudów. Ojciec Katii miał przyjechać z Petersburga, lecz przysłał telegram, że jednak nie będzie mógł. Interesy. Niesłuchowie od lat żyli z dala od siebie, każde swoim życiem. On miał przyjaciółki, ona kochanków, lecz pozostawali w przyjaznych stosunkach. Sąsiedzi przywieźli trzech żydowskich muzyków, skrzypce, altówka i wiolonczela. Pojawił się starszy brat Katii Igor, którego przez dwa dni nie było widać, bo polował na zające, i jej siedemnastoletnia siostra Larysa.

Do stołu zasiadło dwadzieścia kilka osób, bo i guwernantki, niegdyś uczące Katię i jej rodzeństwo, liczne rezydentki, kuzynki i dalekie ciotki, wdowy lub stare panny. Obrusy miały wyhaftowane na niebiesko inicjały z książęcymi koronami, a na srebrnych naczyniach i sztućcach wygrawerowano te same znaki. Do deseru używano złotych łyżeczek i widelczyków.

Dopiero po kolacji Jan mógł porozmawiać z Katią.

– Leczy pani wiejskie dzieci, chłopci pewnie panią uwielbiają.

– Staram się pomagać. Mój brat działa w partii socjaldemokratycznej, co mamę i ciotkę doprowadza do szału. Mnie te sprawy nie interesują, ale trudno mi patrzeć na czyjeś cierpienie i nie pomóc. Niewiele mogę zrobić, dzieci wciąż umierają.

– Zmienia pani świat...

– Ja? Zwykły człowiek nie może zmienić świata.

– Jednak trochę go pani zmienia.

– Kilka dni temu zachorowały dwie córki Iwana Jurka. To taki nasz tutejszy wiejski reformator. Szkół żadnych nie kończył, ale dużo czyta, zerwał ze wspólnotą, spłaca duży jak na chłopskie warunki kawałek ziemi. A nie miał na lekarza dla córek. Poprosiłam doktora cioci, żeby je zbadał. Starsza, siedmioletnia, przeżyła i wraca do zdrowia, a pięciolatka wczoraj rano umarła. Więc jeśli to, że jedna dziewczynka przeżyła, choć druga nie, można nazwać zmianą, to tak...

trochę zmieniałam świat.

– Cóż może być ważniejszego? Pamięta pani tego samobójcę w Nicei? Strzelił sobie w łeb, bo miał miliony i chciał mieć jeszcze więcej. A tu ludzie umierają, bo nie mają nic.

– Właśnie. Jedni wymiotują najdroższym szampanem świata, a inni umierają z głodu. Może pan nie wie, ale moja ciotka, Tatiana Leontiewa, była terrorystką i rewolucjonistką. Bardzo chciała zmienić świat. Należała do Organizacji Bojowej socjalistów-rewolucjonistów. W 1905 roku postanowiła zabić cara. Oni wszyscy wtedy wierzyli, że to natychmiast spowoduje rewolucję i przewrót demokratyczny. Bywała na dworze u Mikołaja II. Miała brać udział w jakiejś amatorskiej inscenizacji teatralnej w czasie balu. W koszyku z kwiatami miała ukryć rewolwer. Jednak bal z jakiegoś powodu się nie odbył, a o planowanym zamachu dowiedziała się Ochrana. Aresztowano ją, siedziała kilka miesięcy w Twierdzy Pietropawłowskiej. Wypuścili, bo nie było dowodów. Rok później w Szwajcarii miała zabić ministra spraw wewnętrznych Piotra Durnowo. Minister w Genewie występował zawsze pod nazwiskiem Miller. Towarzysze go jej wskazali. Strzelała z bliska w restauracji, zabiła. I wtedy się okazało, że się pomylili. Jakiś francuski rentier Miller, bardzo podobny do ministra, akurat mieszkał w Genewie, w tym samym hotelu. Ciotka po ekstradycji ze Szwajcarii trafiła do więzienia, a teraz jest w szpitalu psychiatrycznym.

– Panią interesuje polityka?

– Raczej nie.

– Mnie też. Wie pani, w Galicji działają różne organizacje niepodległościowe, polskie, Związek Strzelecki, Drużyny Strzeleckie i inne, socjaliści, rewolucjoniści... Ale mnie to nie pociąga.

– Politycy psują wszystko, nie uważa pan?

– Chyba tak.

Uśmiechnęła się i odeszła. Igor zasiadł do fortepianu, a Katia śpiewała. W salonie migotały świece, Jan pólleżał w głębokim fotelu; nieczęsto miał okazję słuchać muzyki. Igor i żydowscy muzycy akompaniowali, a Katia śpiewała arię z *Madame Butterfly* Pucciniego. Była zupełnie odmieniona. Jej głos drżał i płakał, roztapiał się w mroku, ginął gdzieś za oknami w parku, w ogniu kominka. Mocny, aksamitny sopran. Po powrocie z Nicei nieraz o niej myślał. Wydawała mu się ładna i mądra, ale teraz, gdy śpiewała – była kimś zupełnie innym, jaśniała, stawała się zjawiskowo piękna. Potem zaśpiewała habanerę z *Carmen* Bizeta, a na koniec arię z *Halki* Moniuszki. Po polsku.

– To dla pana porucznika Szawernowskiego – powiedziała.

Jan utonął w jej głosie. Unosił go jak wszystkie konie świata i wszystkie morza świata, kołysał i koił. Jan uległ tej chwili i marzył, żeby trwała wiecznie.

Kiedy następnego dnia odjeżdżał, Katia mocno uściśnęła mu dłoń.

– W październiku będę śpiewała u książąt Jusupowych w Petersburgu. To będzie mój debiut na zawodowej scenie. Bywa pan czasem w stolicy?

– Owszem, mam tam stryja, inżyniera. Budował port wojenny w Kronsztadzie i cerkiew. Studiowałem tam nawet dwa lata.

– Gdyby pan był w tym czasie w Petersburgu, to zapraszam. Postarałabym się dla pana o zaproszenie. Potem mam śpiewać w Filharmonii. Ale nie znam jeszcze dokładnych terminów.

– Napiszę do pań, jak sprawuje się Moro. Proszę mnie koniecznie powiadomić o terminach. Wezmę urlop w pułku i przyjadę.

Katia zarumieniła się uradowana.

– Napiszę.

– Przepięknie pani śpiewa. Na pewno przyjadę.

Bryczka ruszyła spod domu. Nad klombem porośniętym fioletowymi chabrami, unosiły się roje motyli. Pachniało rezedą i trawą. Na zachodzie przygasało słońce. Tak bardzo nie chciało mu się odjeżdżać. Nie salutował, tylko stał w pojeździe z czapką uniesioną wysoko nad głową. Matka i córka machały chusteczkami, a stara księżna pokiwała mu lufką z papierosem. Od tej chwili już tęsknił. Coraz bardziej, im dalej odjeżdżał aleją wiodącą do szosy na Briańsk.

<sup>1</sup> Gołubyje Prudy – ros. Błękitne Stawy.

<sup>2</sup> Inbred to w hodowli kojarzenie z jednym z przodków, już występującym w rodowodzie w celu dodania jego cech. Nearco to jeden z najbardziej sławnych reproduktorów we włoskiej hodowli folblutów.

## Peterhof

Car wyszedł na spacer wczesnym rankiem, jak zawsze, niezależnie od pogody. W sieni czekali już psiarczycy ze smyczami wyżłów, seterów i chartów. Całe to towarzystwo opadło go, podskakiwało radośnie i poszczekiwało. Car zawsze miał pełne kieszenie przysmaków, rozdawał i głaskał. Przy drzwiach już od chwili, gdy wypadły z nich psy, salutowały warty. Wąsaci weterani z wojny japońskiej, którym dziś przypadł ten zaszczyt, prezentowali broń.

Mikołaj II zszedł długimi schodami obok kaskad i skierował się w stronę alei wiodącej Dolnym Parkiem nad brzeg morza. Kiedy był chłopcem, na tych schodach ojciec urządzał jemu i jego wysoko urodzonym kolegom wyścigi. W górę, w lodowatej wodzie bijącej z setek fontann i spływającej po śliskich stopniach. Na tarasie, gdzie podziwiali ich rodzice i dwór, na zwycięzcę czekała nagroda. Tylko jedna. Wygrywał prawie zawsze. Kilka razy mu się nie udało i ojciec był wtedy bardzo niezadowolony, a Mikołaj mocno to przeżywał. Bolało bardziej niż kolana i łokcie porozbijane przy upadkach na stopniach.

Tego lata nad parkiem w Peterhofie rozpleniły się tysiące gawronów. Brudziły ławki i codziennie grabiony żwir ścieżek, więc gdy tylko była dobra pogoda, car strzelał do nich z dubeltówki. Obsiadły korony drzew tak gęsto, że od jednego strzału czasem spadały od razu dwie. Głupie ptaszyska – płoszą się tylko najbliższe, a pozostałe siedzą i dają się zabijać, zamiast uciekać. Istna plaga! Tysiące.

Te chmary czarnych ptaszysk to jakby jakaś zła wróżba.

Strzelał, nabijał dubeltówkę, strzelał raz za razem, aż lufy się rozgrzały. Psy szarpały spadające ptaki. Wszystkie chciały aportować. Charty pożarły się z seterami, a wyżyły gryzły się między sobą.

– Wasia! Połapcie psy! – powiedział do psiarczyka.

– Tak jest, Wasza Cesarska Wysokość.

Psiarczycy brali psy na smycze, a on dalej strzelał. Lubił polować i robił to często, ale codziennie mógł strzelać tylko do tych ptaków.

– Wasza Cesarska Wysokość, czy mógłbym coś zaproponować? – ośmielił się odezwać Wasia.

– No, mów, przyjacielu – rzekł car.

– Może byśmy tu przyszli wszyscy z pałacu, kto umie strzelać. Wtedy w kilka dni wytłuklibyśmy je doszczętnie. Bo tak chyba więcej nowych się lęgnie, niż ginie.

– Dobry pomysł, zastanowię się.

Wasia wiedział, że „zastanowię się” oznacza „nie”. Każdy to wiedział wśród tysięcy sług i dworzan, nawet psiarczyk. Mikołaj II wprost niczego nie odmawiał.

Nigdy! Nie lubił nikomu robić przykrości.

Kiedy zbliżyli się przy końcu alei do pałacyku Mon Plaisir, naprzeciw wybiegły dziewczynki. Najstarsza, osiemnastolatka Olga i najmłodsza – dwunastoletnia Anastazja. Car głaskał córki po głowach i całował. Popatrzył jeszcze chwilę na długi rząd zdobiących wejście złożonych posągów ustawionych w półkole. Szczególnie lubił Psyche bawiącą się kwiatem i Trytona rozdierającego paszczę potwora morskiego. Z paszczy tryskała fontanna. Każdy posąg stał na cokole, z którego spływała gruba zasłona wodna.

W jadalni czekała caryca Aleksandra Fiodorowna, Alix, jak ją nazywał, z pozostałymi córkami, Tatianą i Marią oraz dziewięcioletnim Aleksym, następcą tronu. Po każdym kolejnym nawrocie choroby chłopca, matka przez kilka tygodni nie puszczała go na krok od siebie. Najmniejsze zadrapanie lub stłuczenie groziło mu poważnym krwotokiem. Chorował na hemofilię, dziedziczną w jej rodzinie.

– Alix, kochanie moje, dobrze spałaś? – spytał. Ucałował żonę, córki i syna.  
– Nasz skarb ma się już dobrze, prawda?

Aleksy potwierdził, lecz minę miał niewesołą. Chciałby pobiegać, pojeździć welocypedem, jeździć konno, popływać łódką po zatoce. No i miałby też ochotę postrzelać, choćby nawet do gawronów. Ale nic z tego.

– Papo, mógłbym popływać łódką z Dierewienką?

Dierewienko był marynarzem; stale opiekował się chorym chłopcem i kiedy nikt nie widział, nosił go na rękach, żeby się o nic nie uderzył.

– Cóż... – Zastanawiał się car. – Skoro już wyzdrowiałeś...

– Ależ mowy nie ma – zaprotestowała Alix. – Łódka kołysze, mógłbyś się potłuc.

– No tak, masz rację, kochana. – Car nigdy nie sprzeciwiał się żonie. Była jego najlepszym i najbardziej zaufanym doradcą. Aleksandra Fiodorowna była niemiecką księżniczką Hessen-Darmstadt, wnuczką angielskiej królowej Wiktorii. Pięknie haftowała, szyła, dobrze gotowała. Mówiła świetnie po francusku, angielsku i włosku, a ostatnio nawet coraz lepiej po rosyjsku.

Zjedli śniadanie, wypili kawę. Car zapalił papierosa i przyglądał się morzu za oknem. Na horyzoncie majaczyły zabudowania Kronsztadu. Twierdza i baza marynarki wojennej na wyspie strzegły miasta od strony morza. Ostatnio tyle się mówi o nadchodzącej wojnie!

Wracając do pałacu, strzelił jeszcze parę razy, ale spieszył się, bo miał tam czekać premier z ministrem spraw zagranicznych Sazonowem, raporty, narada. Już był spóźniony. Wolałby zostać w parku. Sprawy państwowe męczyły go, nie lubił tych narad i podejmowania decyzji. Często to wszystko po prostu go nudziło.

Gdy wszedł do gabinetu, dostojnicy wstali i w milczeniu skłonili głowy. Wysłuchał ich raportów. Znow mówili, że Europie grozi powszechna wojna i to niedługo, może jeszcze w tym roku. Bałkany, kolonie, Maroko, cesarz Wilhelm,

Czarnogóra, Serbia. Sprzeczności interesów. Wojna Włoch i państw bałkańskich z Turcją. Tyle razy już to słyszał... Będzie, co Bóg da. Nie chciał wojny i udało mu się jej uniknąć, nawet gdy Austria w 1908 roku zaanektowała Bośnię i Hercegowinę. Przedtem zainicjował powołanie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. Wzywał Europę do ograniczenia zbrojeń. Cóż może zrobić jeszcze? Słuchał nieuważnie.

Myślał o podarku urodzinowym dla Alix, 25 maja. Już dawniej obdarowywał najbliższych na Wielkanoc jajkami ze słynnej pracowni złotniczej Fabergégo. Miały wielkość jajek kurzych, gęsich lub strusich i były zupełnie niezwykle. Złoto, platyna, brylanty, a w środku niespodzianka. Na przykład mała kurka, zegarek albo karetka ciągnięta przez słonia, albo miniaturowy żaglowiec z szalupami, działami, żaglami, a nawet linami z platyny cieńszymi niż nić. Zamówił dla niej kolejne jajko, tym razem bardzo nowoczesne w formie. Jajko zimowe. Projekt bardzo mu się podobał. Szlifowany kryształ górski, brylanty i platyna miały imitować lód i szron. Stanowiły podstawę. Na niej otwierające się w pionie jajko, a we wnętrzu, w wiklinowym koszyku... (Z czego zrobią tę wiklinę?) W wiklinowym koszyku gęsty bukiet żonkili. Kwiaty mniejsze od główki zapalki a widać każdy płatek! 24 600 rubli. Nawet nie spojrzął na cenę. Dla Alix! Żeby jej okazać, jak bardzo wciąż ją kocha. Ma być gotowe na dziś wieczór. Nie mógł się doczekać.

Kiedy premier i minister sobie poszli, zjadł obiad ze stryjem Nikołaszą. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, olbrzym dwumetrowy, nawet przy jedzeniu nie dawał spokoju. Wojna i wojna! A Rosja, oczywiście, nieprzygotowana. A czy Rosja kiedykolwiek była przygotowana do wojny? Przecież po przegranej pod Mukdenem i Cuszimą w wojnie japońskiej i tak wszystko jednak dobrze się skończyło. No, prawie dobrze. Rewolucja 1905 roku! Lecz Witte wynegocjował niezły pokój. Nadał mu za to tytuł hrabiego. Potem, co prawda, złośliwi nazywali go hrabią Półsachalińskim, bo oddał pół Sachalinu Japończykom. Jednak coś można było poradzić? Od tego czasu armia znacznie się zmodernizowała. Armia jest ważna, nawet najważniejsza! Ileż to odbył manewrów i przeglądów! Któż bardziej od niego kocha wojsko i bardziej dba o armię?

Po obiedzie odwiedził córki. Anastazja ma już dwanaście lat, a ciągle myli się przy wymienianiu tytułów cesarza Wszechrosji. Każde dziecko w szkole, jak imperium długie i szerokie, musi recytować te tytuły na pamięć bez zajknięcia, a ona – mała wielka księżna – wciąż się myli! Dziewczynki właśnie miały się bawić w teatr lalek. Przerwał im.

- Kochanie, nauczyłaś się wreszcie?
- Tak, papciu – powiedziała Anastazja.
- No to mów!
- Mikołaj II, z Bożej łaski cesarz i samodzielnca Wszechrosji, Moskwy, Kijowa, Włodzimierza, Nowogrodu...

– Nie! – przerwał. – Włodzimierza i Nowogrodu! I Nowogrodu.

– I Nowogrodu, król Polski, car Kazański, Astrachański, car Syberyjski, car Chersonezu Taurydzkiego, władca Pskowa, Wielki Książę Smoleński, Litewski, Wołyński, Podolski i Fiński, książę Estoński, Liwoński, Kurlandzki i Semigalski, Białostocki, Karelski...

Car kiwał głową po każdym tytule.

– Ugryjski, Permski, Wiacki, Bułgarski oraz wielu innych krajów, władca i Wielki Książę Nowogrodu Niżnego, Czernihowa, Riazania, Połocka, Rostowa, Jarosławla, Biełoozierska, Udorii, Obdorii, Kondy, Witebska, Mścislawia, pan ziem północnych, władca Iwerii, Kartalinii, Gruzji, Kabardy, Armenii, władca dziedziczny i suweren książąt czerkieskich, górskich oraz innych, dziedzic Norwegii, Wielki Książę Szlezwika-Holsztynu, Stormanii, Dittmarsenu i Oldenburga, et cetera, et cetera, et cetera.

Anastazja skończyła i odetchnęła z ulgą.

– No dobrze, tylko pamiętaj, że Włodzimierza i Nowogrodu. A teraz pokaż to wszystko na mapie.

Na mapie dziewczynka pokazała bezbłędnie.

Wieczorem, po kolacji czytał sławne *Protokoły mędrców Syjonu*. Niezwykle pouczająca lektura. Już od blisko trzech tysięcy lat Żydzi wdrażają plan przejęcia władzy nad światem. Już w starożytności opanowali Daleki Wschód i Egipt. Potem, po rewolucji francuskiej – Francję, a nawet Watykan. Następnie Amerykę. Teraz ich celem jest Rosja i prawosławie. To oni doprowadzili do wojny na Bałkanach. Na wojnach zawsze się bogacą.

Przed snem jeszcze napisał kilka zdań w swym dzienniku. Prowadził go od dwudziestu pięciu lat i nie opuścił ani jednego dnia.

*22 maja, wtorek. Dzień dość męczący. Rano spacerowałem po parku i ustrzeliłem dwadzieścia siedem gawronów. Śniadanie o 9½ w Mon Plaisir z Alix i dziećmi. Przyjąłem cztery raporty. Obiad o 2¾ z Nikołaszą, który znów nudził o wojnie. Seans spirytystyczny bardzo udany, ale dziadek Aleksander II nie przyszedł. Kolacja o 10½ z Mamą, Apapą i ciotką Alicją. Wieczorem czytałem dwie godziny.*

## Sankt Petersburg

W Krakowie Jan wsiadł do pociągu ekspresowego Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Miał zniżkę dla oficerów armii, lecz musiał oszczędzać, jechał więc drugą klasą. W c.k. armii oficerowie byli bardzo słabo wynagradzani, najgorzej ze wszystkich armii Europy. Z niewielkim żalem spieniężył papierośnicę księcia Walii, trofeum z Nicei, i dzięki temu miał pewien zapas gotówki na takie podróże teraz i w przyszłości. Pociąg nie był zatłoczony, więc najczęściej był w przedziale sam. Od powrotu z Gołubych Prudów minęły cztery miesiące. Wciąż myślał o Katii. Dwa listy do niej i dwa od niej. Tylko dwa. W bardzo miłym i przyjaznym tonie, lecz bez wyznań. Bywając w Krakowie, chodził na koncerty do filharmonii, gdy tylko nadarzała się okazja. Kiedy słuchał muzyki i zamykał oczy, pojawiał się jej obraz. Czytał, co mu tylko w ręce wpadło o kompozytorach, operze, muzyce symfonicznej i o najślawniejszych diwach operowych świata, żeby nie wstydzić się przed nią swoją ignorancją.

W lipcu cała ekipa jeździecka z Nicei została zaproszona na audiencję do cesarza Franciszka Józefa. Odznaczono ich za wyniki sportowe osiągnięte w Nicei i wcześniejszych zawodach w Paryżu i Londynie. Sędziwy cesarz akurat chorował i w jego imieniu przyjął ich arcyksiążę Franciszek Ferdynand, główny inspektor armii, wielki znawca koni, sportu jeździeckiego i kawalerii.

Podczas trzydniowego pobytu w Wiedniu Jan co wieczór bywał w operze, filharmonii lub operetce. Zrezygnował nawet z bankietu wydanego dla ekipy jeździeckiej, żeby posłuchać koncertu Mahlera. Nawet nie zdążył obejrzeć sławnej Spanische Hofreitschule, gdzie od setek lat kultywowano starą szkołę jazdy konnej z jej lewadami, kurbetami, pasażami, piafami i galopami w miejscu i do tyłu.

W Wiedniu muzykę słyszeć było wszędzie. W każdej kawiarni co najmniej pianista przy fortepianie. W restauracjach kwartety, kwintety, zespoły kameralne, a w parkach i na skwerach orkiestry dęte. Z ukwieconych altanek nieustannie dobiegały walce Straussów, polki, marsze wojskowe, arie z operetek Offenbacha i Lehara oraz modne od niedawna tanga. Wiezorami wydawało się, że całe miasto się bawi.

Tutaj też nie brakowało nędzy. W robotniczej dzielnicy ludzie nie mieli nawet mieszkań, wynajmowali łóżka na godziny. Lecz Jan tylko czytał o tym w gazetach. Tego nie było widać.

Został odkomenderowany do nowego ośrodka jeździeckiego kawalerii w czeskich Pardubicach przy torze wyścigowym, gdzie miał pracować z własnymi końmi i trenować najzdolniejszych jeźdźców tej części monarchii habsburskiej. Był to jeden z dwóch takich ośrodków, stworzonych przez armię z myślą o przygotowaniach do olimpiady w Berlinie w 1916 roku.



W Maczkach pociąg przekroczył granicę zaboru rosyjskiego. Jan był tutaj tylko dwa razy w życiu, więc ciekawie oglądał wszystko, co mógł zobaczyć za oknem. Strzemieszyce, Ząbkowice, Zawiercie, Częstochowa, Radomsko, Piotrków Trybunalski, Skierniewice, Grodzisk Mazowiecki, Pruszków. Nad nazwami polskimi na szyldach stacji kolejowych – nazwy rosyjskie. Polskie nazwy brzmiały znajomo i zarazem obco. Chętnie wysiadłby na kilka godzin przynajmniej w Częstochowie, zobaczyć Jasną Górę. Jako chłopak zaczytywał się *Trylogią* Sienkiewicza; czytał ją wielokrotnie. Raz nawet, kiedy był już w wojsku, zdarzyło mu się być przejazdem w Zbarażu. Ale Jasnej Góry nie widział nigdy.

Wieczorem dotarł do Warszawy i po dwóch godzinach jechał już Koleją Warszawsko-Petersburską na północ. Łapy, Białystok, Wilno, Dźwińsk, Psków, Ługa, Gacznina. W Wilnie też nigdy nie był. Postanowił, że w powrotnej drodze zatrzyma się na dzień w Wilnie i na dzień w Częstochowie.

W Rosji wszędzie rzucała się w oczy straszna nędza wsi. Wałące się drewniane chałupy, wozy zaprzężone w woły albo ciągnięte przez mężczyzn lub kobiety na bosaka. Na stacjach kolejowych wielu żebraków i tłumy głodujących bezdomnych. Przed trzecią po południu wysiadł na Dworcu Warszawskim w Sankt Petersburgu. Było tu już bardzo zimno, lecz śnieg dotąd nie spadł. Kiedy rozglądał się za dorożką, spostrzegł biegnącego w jego stronę Igora Niesłuchowa, brata Katii.

– Witam serdecznie, panie poruczniku, witam. – Był zdyszany i spocony. – Ledwie zdążyłem. Katia przeprasza, że nie mogła przyjść pana powitać. Mam list od niej. Hotel zarezerwowany.

\* \* \*

Igor ledwie zdążył, bo pół godziny wcześniej kierował napadem na wielki sklep jubilerski przy Litiejnym Prospekcie. Wciąż jeszcze był tym podekscytowany. To był „eks”, akcja ekspropriacyjna, na rzecz Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji – bolszewików. Wywłaszczenie burżuazji, który dorobił się kosztem ucisku i nędzy klasy robotniczej. Sprawa słuszna i piękna. Pieniądze dla Włodzimierza Iljicza Uljanowa – Lenina i jego „Prawdy”, redagowanej w Szwajcarii. Komitet Centralny bolszewików uznał „eksy” za niedopuszczalne, lecz Lenin zlecał je w tajemnicy przed partią.

Igor z towarzyszami przez kilka tygodni obserwowali otoczenie sklepu, ochronę policyjną i wewnętrzną firmy jubilerskiej. Kupili dorożkę i stawali w pobliżu sklepu. Igor w starym kożuchu i czapce z nadłamanym daszkiem tkwił na koźle z biczyskiem w ręce. Chętnym odpowiadał, że dorożka zarezerwowana. Uważali jednak, żeby nie rzucać się w oczy policjantowi, który był tu zawsze w godzinach otwarcia sklepu i wędrował w tę i z powrotem od skrzyżowania do skrzyżowania. Dwaj towarzysze Igora też często się tutaj kręcili. Jeden udając ulicznego sprzedawcę papierosów, drugi jako gazeciarz.

Wewnątrz sklepu zawsze było dwóch uzbrojonych strażników firmy.

W południe spotkali się w mieszkaniu Iwanicza, kilkaset metrów od sklepu. Bunin przyjechał dorożką. Postawił ją za rogiem, dał parę kopiejek chłopcu za przypilnowanie. Igor przywiózł towarzyszkę Darię, prządkę z Zakładów Kazimierskich. Przyjechali eleganckim powozem pożyczonym od znajomego. Tym razem Igor nie udawał dorożkarza. Był w jasnym płaszczu z futrzanym kołnierzem, a Daria – upudrowana i przebrana za damę z towarzystwa – nawet jakby trochę wyładniała. Czterej towarzysze spoza miasta przyjechali rano i już czekali. Ubrali się, w co który miał najlepszego, ale i tak nie wyglądali na zamożnych. Trudno, wpadną i od razu przystąpią do akcji. Bandyta recydywista Szatyn Kosa przyszedł ostatni. Był trzeźwy, jak obiecał. Już prawie przed półwiekiem Nieczajew nauczał, że trzeba się sprzymierzyć ze światem przestępczym, który jest naturalnym wrogiem despotyzmu. Lenin też wyznawał ten pogląd, tyle że mniej oficjalnie.

Martynowicz wyszedł z drugiego pokoju i zasalutował. Był w mundurze policjanta.

– Wszyscy ręce do góry! – wrzasnął i wyjął rewolwer. – Jesteście aresztowani.

– Dość, nie błaznuj – rzekł Igor. Nikt z nich nie brał wcześniej udziału w tak poważnym eksie. Kazał powtórzyć każdemu, co ma robić. Wszystko się zgadzało. – Żadnej strzelaniny jeśli tylko to będzie możliwe – podsumował. – Kosa! Ostrożnie z policjantem, trochę go przyciśnij, ale nie zabijaj. To prosty człowiek. Rewolucja nie walczy z ludem, tylko z burżujami. Pamiętaj!

Wychodzili kolejno, osobno i grupami od pół do pierwszej co kilkanaście minut. Kwadrans przed drugą, zgodnie z planem, wszyscy byli na swoich pozycjach. Kilka minut później towarzysz Machnicki z Gatczyny – wszystko to były pseudonimy konspiracyjne – sprzedawca papierosów, dał znak, że policjant poszedł do sąsiedniej bramy zapalić. Jak zwykle o tej porze. Był to jednocześnie znak dla Igora, który ze swoją damą podjechał powozem pod drzwi jubilera.

Bunin z umundurowanym Martynowiczem wjechał dorożką aż na chodnik i zatarasował wjazd do bramy, w której policjant popalał papierosa. Przedstawiciel władzy musiał interweniować, rzucił niedopałek i podszedł do woźnicy. Zanim zdążył się odezwać, z klatki schodowej wybiegł Szatyn Kosa z dwoma pomocnikami. Dwaj chwycili z tyłu policjanta, Szatyn Kosa przyłożył mu nóż do karku i wysyczał do ucha:

– Ani piśnij, bo osierocisz dzieci!

Wepchnęli go do dorożki i odjechali, zostawiając na miejscu Martynowicza, zupełnie podobnego do policjanta, nawet trochę ucharakteryzowanego na tego, który cicho błagając o życie, odjeżdżał dorożką. Nowy policjant stanął teraz przy drzwiach sklepu i miał nikogo nie wpuszczać.

W tym czasie wewnątrz był już Igor ze swoją damą. Wypytywał po

francusku, co chciałyby dostać. Kolię czy kolczyki, a może bransoletkę? Nic z tego nie rozumiała, ale kręciła głową i śmiała się perliście. W sklepie jeden sprzedawca zajmował się nimi, a drugi obsługiwał parę starszych burżujów. Obaj strażnicy grali w domino przy stoliku pod ścianą koło drzwi na zaplecze i nie zwracali uwagi na resztę świata. Towarzysze w wytartych płaszczach, z rewolwerami w kieszeniach weszli do sklepu energicznie i od razu do nich podeszli. Dołączył do nich Machnicki, sprzedawca papierosów. Dwaj wepchnęli strażników na zaplecze, trzeci zapędził tam dwójkę klientów. Igor i jego towarzysza sterroryzowali sprzedawców. Byli przerażeni i skłonni do współpracy. Igor pilnował, żeby nie uruchomili jakiegoś ukrytego alarmu, a towarzysza Daria ładowała garściami towar do toreb, które już leżały na ladach. Skomplikowany plan wszyscy wykonywali bezbłędnie. Moment grozy nastąpił, gdy do sklepu chciał wejść oficer kawalerii. Lecz policjant przy drzwiach grzecznie mu wytłumaczył, że przed godziną był tu napad i właśnie trwa śledztwo oraz inwentaryzacja. Nie mógł zobaczyć, co dzieje się w środku, bo wejście, do którego prowadziło kilka schodów, znajdowało się półtora metra wyżej.

Dziesięć minut później powiązani i zakneblowani sprzedawcy, klienci i strażnicy miotali się na podłodze na zapleczu sklepu, a bojowcy w świetnych nastrojach odjeżdżali powozem.

Tymczasem Szatyn Kosa z Buninem wypchnęli związanego policjanta z dorożki na stromym zboczu koło przystani jachtowej nad rzeką. Potoczył się jak kłoda na dół, ale do wody nie wpadł. Szatyn Kosa chciał mu zwyczajnie poderżnąć gardło, lecz Bunin się nie zgodził. Odjechali niespiesznie, drobnym kłusem.

W konspiracyjnym mieszkaniu na Małej Sadowej Igor i pozostali wyładowali klejnoty, ułożyli w stosy na stole i wypili za zwycięstwo rewolucji.

– To było łatwe – rzekł Martynowicz. Przeglądał się w lustrze, podziwiając swój mundur. Wcale nie miał ochoty go zdejmować. – Mogę to robić codziennie – oświadczył.

\* \* \*

W drodze do hotelu Jan przeczytał list od Katii. Pisała, że od dwóch tygodni pracuje od rana do wieczora, bo pierwotne plany zostały całkowicie zmienione. Po uwerturze do *Wilhelma Tella* Rossiniego miał być w drugiej części jej recital arii operetkowych i operowych. Jednak księżę Jusupow uznał, że to zbyt mało atrakcyjne, i teraz przygotowują fragmenty *Toski* w pełnej inscenizacji z udziałem sławnego tenora Borozowa w roli Cavaradossiego. Ona śpiewa Toscę i jest trochę przerażona, bo wszyscy pozostali to zawodowcy, i to najwyższej klasy. Nie może więc zająć się Janem, przeprasza i powierza go opiece brata, lecz zaprasza na kolację po spektaklu.

Wieczorem Igor z Larysą przyjechali po niego do hotelu. Jan przywiózł

z Krakowa frak, lecz ostatecznie włożył mundur; w nim czuł się lepiej.

Pałac Jusupowych błyszczał z daleka wszystkimi światłami w oknach i rzędem latarń na Mojką, jednym z kanałów rzeczek, dopływów Newy. Z zewnątrz nie wyróżniał się niczym poza ogromnymi rozmiarami. Ale w Petersburgu wszystko jest ogromne. Dopiero wewnątrz zadziwiało.

– Majątek Jusupowych – opowiadał Igor – szacuje się na sześćset milionów dolarów. Roczny dochód wynosi półtora miliona rubli w złocie.

Szli po galowych schodach z białego marmuru i wszystko tu było oślepiająco białe. Jan aż przystanął na chwilę, by się lepiej przyjrzeć, tak piękna była architektura tego wejścia i tak różna od wszystkiego, co charakterystyczne dla Rosji. Dopiero na drugim piętrze weszli w krainę płynącą złotem. Tu każdy posąg, sztukaterie, żyrandole, ramy kryształowych lusterek, wszelkie ozdoby ociekały złotem. Igor wciąż opowiadał, usta mu się nie zamykały ani na chwilę.

– Te schody mają bardzo ciekawą historię. Jusupow przywiózł je z Włoch. Zobaczył je w pałacu jakiegoś rzymskiego patrycjusza i od razu się w nich zakochał. A może lepiej powiedzieć, że ich zapragnął. Powiada do właściciela: „Niech pan mi je sprzeda”. „Schody?!”. „Tak, schody”. Na to tamten: „Chyba pan żartuje. Może cały pałac? Ale nie mam zamiaru go sprzedawać”. „Kupiłbym cały pałac”, powiada Jusupow. Tamten się zaśmiał i dla żartu wymienił cenę trzy razy większą, niż mógłby dostać. „Świetnie, kupuję!” I księżę kupił pałac po to tylko, żeby wyjąć z niego te schody z całym ich otoczeniem i przywieźć tutaj.

– Jakie to typowe dla nas, Rosjan! – odezwała się Larysa. – Przy okazji, rzecz można, że mimochodem, zdewastował zabytkowy pałac w Rzymie.

Jan przypuszczał, że spektakl odbędzie się w jakiejś wielkiej sali balowej, tymczasem znaleźli się w prywatnym teatrze na kilkaset miejsc z dwoma piętrami łóż i balkonów. Samo złoto i czerwień. Mieli miejsca na balkonie z boku. Widownia zapelniała się powoli arystokracją i dostojnikami stolicy. Fraki, mundury, ordery, suknie obwieszane klejnotami, biżuteria. Postaci jak z karnawału. Cygara i fajki, wachlarze i perfumy. Jan znów pomyślał, że chyba zabłądził w jakieś urojone miejsce. Jak się tu znalazł? Ubogi polski szlachcic, oficer cesarsko-królewskiej armii, wielbiciel rosyjskiej arystokratki? Cóż on może mieć z nią wspólnego? Nagle wydała mu się kimś nieosiągalnie dalekim.

– Jak się panu podoba to zgromadzenie pasożytów i nierobów? – pytał Igor.  
– Czy pan wie, ile służby zatrudnia rodzina cesarska? Niech pan zgadnie.

– Nie wiem, pewnie dużo. Kilka tysięcy?

– Trochę się pan pomylił – śmiał się Igor. – Dwieście tysięcy ludzi, panie poruczniku! Dwieście tysięcy. Rodzina Romanowych jest liczna. Arcyksiążąt i księżąt z mężami, żonami i dziećmi jest około sześćdziesiątki. Kilka tysięcy ludzi nie mogłoby ich obsłużyć. Nie daliby rady! Potrzebne jest dwieście tysięcy. A wie pan, jaki jest budżet tego cyrku? Dla ułatwienia zdradzę, że wszechrosyjski budżet

oświaty wynosi rocznie trzy miliony rubli. A Ministerstwo Dworu? Proszę zgadywać!

Jan rozłożył ręce.

– Zapewne znów jakaś kolosalna suma...

– Szesnaście milionów rubli rocznie! Jak się to panu podoba? Trzy miliony na oświatę dla całej Rosji i szesnaście na dwór! Proszę powiedzieć, jak to jest w Austrii?

– Liczb nie znam. Byłem w Schönbrunnie i tam jest też niezwykle bogato, choć nie jest to tak ostentacyjne. A reszta społeczeństwa nie jest tak rozpaczliwie nędzna jak w Rosji. Lecz przede wszystkim to jest monarchia konstytucyjna. Władza cesarza jest ograniczona prawem, a prowincje mają autonomię, własne lokalne sejmy, samorządy. Narody wchodzące w skład państwa nie są tak zniewolone jak narody imperium carów.

Światła na widowni przygasły, gwar rozmów przycichł. Lecz po chwili znów żyrandole i kinkiety rozbłysły.

– Zdaje się, że czekamy na cesarza – powiedziała Larysa. – Katieńka na pewno się denerwuje. To oczekiwanie...

– Więc jak pan myśli – kontynuował Igor. – Czy państwo Habsburgów ma szansę się utrzymać? Nie ma tam sił rewolucyjnych?

– Owszem, są bardzo silne tendencje odśrodkowe, mimo że to państwo jest raczej federacją narodów. Rzecz w tym, że narody Austro-Węgier nie połączyły się z własnej woli, lecz zostały podbite. Jednak trudno mówić o jakimś ucisku. Niektórzy Austriacy twierdzą, że są we własnym kraju obywatelami drugiej klasy. Przesadzają, oczywiście.

– W Rosji wkrótce rewolucja zmiecie wszystko. To nie może tak trwać.

– Słyszałem, że pana ciotka była terrorystką, a pan należy do partii socjaldemokratycznej i też chce pan robić rewolucję. Jednak zastanawiam się, czy losy ciotki nie pokazują panu, do czego prowadzi taka postawa?

– O, pan się myli, porównując nas, bolszewików, do eserów mojej cioci. My nie stosujemy terroru. Ciocia jest, czy może była, wspaniałym człowiekiem i rewolucjonistką, lecz jej droga była błędna. Terror indywidualny nie posuwa sprawę naprzód. My poruszamy masy, a wtedy nic nie powstrzyma rewolucji.

– Kiedy przyglądam się Rosji, trochę pana rozumiem. Lecz rewolucja to przemoc i przerażające masowe zbrodnie.

– A widzi pan lepsze wyjście?

Jan się zastanawiał.

– Coś panu powiem. Mój ojciec brał udział w powstaniu styczniowym. Był nawet jednym z dowódców. Należał do czerwonych. Wie pan, byli biali, konserwatyści, i czerwoni, najkrócej mówiąc, zwolennicy zmian, reform. Powstanie nie miało żadnych szans. Od początku. To był beznadziejny zryw

rozpaczy. Już nasze poprzednie powstanie, z tysiąc osiemset trzydziestego roku, które miało pewne szanse, poniosło klęskę. Mój ojciec uniknął szczęśliwie represji, nasz majątek też ocalał, bo leży na terenie zaboru austriackiego. Ale ojciec nie potrafił się pogodzić z niewolą. Przez całe lata po powstaniu jeszcze działał w organizacjach niepodległościowych. Zaniedbał dom i rodzinę. Skutkiem powstania była dla Polski utrata tysięcy najlepszych ludzi, a dla naszej rodziny ruina i długi. Mój brat gospodarujący w rodzinnym majątku zmaga się z nimi do dziś. Więc kiedy pan pyta, jakie jest lepsze wyjście, to myślę, że każde jest lepsze niż rewolucja.

– Lecz nie ma innego wyjścia. W kapitalizmie robotnik pracuje od świtu do nocy, czasem osiemnaście godzin, i zarabia tylko tyle, że przymiera głodem. Jeśli nie uda mu się dostać pracy, umiera z głodu na ulicy. Praca jest dla niego ratunkiem i przekleństwem zarazem, nienawidzi jej. Pan czy Katia pracujecie nie po to, żeby przeżyć. Katia w ogóle mogłaby nie pracować. Pracujecie z przyjemnością. My, komuniści, tłumaczymy robotnikom, że mogą zniszczyć ten ustrój, zabrać wszelkie bogactwa burżujom. Oni to zaczynają coraz powszechniej rozumieć. Rewolucja pańskiego ojca poniosła klęskę, więc nie mogła przynieść niczego dobrego. Nasza komunistyczna rewolucja zwycięży.

Światła na widowni ponownie przygasły. Tym razem na dłużej.

– Widocznie car nas swoją obecnością nie zaszczyca – stwierdziła Larysa.

Chwilę jeszcze słyhać było, jak orkiestra stroi instrumenty, po czym pojawił się dyrygent. Jan słuchał nieuważnie. Muzyka tym razem nie bardzo do niego docierała, czekał na występ Katii. Zaczął słuchać, dopiero gdy ze zdziwieniem rozpoznał temat – motyw, który grano zwykle zwycięzcom w czasie rundy honorowej na zawodach jeździeckich. Zdziwił się, bo słyszał, że to z *Lekkiej kawalerii* Franza von Suppého.

Po uwerturze nastąpiła przerwa, kurtyna zapadła, ustawiano dekoracje. Sala na chwilę opustoszała.

– Więc pan – kontynuował Igor – godzi się z niewolą i nie ma zamiaru w nic się mieszać.

– To trochę obraźliwe, co pan mówi, ale chyba tak. Nie mam zamiaru w nic się mieszać, dopóki nie będę widział, że moje działanie może odnieść zamierzony skutek.

– Przepraszam, nie chciałem pana obrazić.

Zamilkli obaj. Jednak Igor nie wytrzymał długo.

– Ja siedzieć cicho nie będę – powiedział. – Wobec ogromu zła i niesprawiedliwości w Rosji bezczynność jest tutaj po prostu niemoralna.

– Ale nadal żyjesz, Igorku, z pracy chłopów w naszych majątkach – odezwała się Larysa. – Więc według własnej ideologii jesteś wyzyskiwaczem.

– Na siebie wydaję niewiele, prawie nic. Wszystko idzie do kasy partii.

- No to całe szczęście, że mama i ciocia o tym nie wiedzą!
- Lara! Nie waż się im powiedzieć.
- Powinnam.

Przebrzmiał ostatni dzwonek, widownia była już w komplecie. Kurtyna poszła w górę. Drugi akt opery, rok 1800 w Rzymie. Gdzieś na polach Marengo toczy się bitwa o losy Włoch. Pałac szefa policji, duet barona Scarpia i Toski. Jej ukochany Mario Cavaradossi, malarz, został aresztowany bo pomógł uciekinierowi, więźniowi politycznemu.

– To taka ich ówczesna Ochra – szepnął Igor. Jan bardzo wyraźnie widział twarz Katii przez połowę lornetkę. Była bardzo zmieniona przez kostium i makijaż sceniczny. Miał wrażenie, że widzi jej tremę i niepewność. Jednak głos zadziwił siłą i dykcją. W wielkiej sali, siedząc na balkonie, Jan mógł rozróżnić każde słowo. A nawet trochę rozumiał po swoim półrocznym pobycie we Włoszech w ośrodkach jezdzieckich. Patrzył i słuchał zauroczony i zdziwiony tą jej odmiennością. Jaśniała! – Nie potrafił znaleźć lepszego określenia.

Igor kręcił się obok niespokojnie.

– No, pięknie, pięknie. Głos rzeczywiście cudowny i mocny – usłyszał jego szept. – Lecz technika, niestety... słabiutka. Pan tego nie słyszy?

Jan już miał mu powiedzieć coś niemiłego, żeby się uciszył, gdy w sali zapanowało zamieszanie, część orkiestry przestała grać, muzyka umilkła. Muzycy wstali, wszyscy na widowni również. Jan spojrzał w stronę środkowej łoży na drugim balkonie. Był tam już car z córkami i księżę Jusupow.

Orkiestra zagrała *Boże, Caria chrani*.

– Mikołaj Krwawy – warknął Igor. – Wszystko potrafi popsuć, niech go szlag trafi! – Też stał, lecz z wściekłości walił pięścią w balustradę.

Artyści kłaniali się w stronę cesarza. Po chwili sala ucichła i przedstawienie zaczęło się od początku.

Scarpia proponuje Tosce układ. Daruje życie Cavaradossiemu, jeśli ona mu się odda. Katia gra rozpacz, wstyd i strach o ukochanego. Świetnie gra. Piękna aria *Vissi d'arte*. Jan chłonał każdy dźwięk i nie odrywał wzroku od jej twarzy. Jej głos wibrował, wypełniał całą przestrzeń widowni. Hipnotyzował. Wydawał się Janowi czymś nie z tego świata, czymś nadprzyrodzonym. Tosca załamana zgadza się, a Scarpia wydaje rozkaz przeprowadzenia pozorowanej egzekucji ślepymi nabojami. Wypisuje jej przepustkę na odwiedzin u Maria w więzieniu. Lecz ona znajduje nóż, który od obiadu pozostał na stole. Uderza w gniewie i rozpaczy. Zabija. Wyjmuje trupowi z ręki przepustkę i biegnie do Maria do więzienia. Koniec aktu II.

Oklaski coraz mocniejsze, coraz głośniejsze. Jan spojrzał w stronę łoży cesarskiej. Wielu widzów też patrzyło w tę stronę. Mikołaj II bił brawo na stojąco. Niesłychane! Jego córki również.

– A to drań, sukinsyn – odezwał się Igor. – Jeszcze nie widziałem, żeby komuś tak bił brawo, stojąc. Ale on chyba nie rozumie treści opery. Kochankowie sympatyzują przecież z rewolucjonistą! A ona zabiła wysokiego funkcjonariusza policji.

Jan klaskał z całych sił, obok niego cieszył się Igor, a Larysa piszczała z radości. Sala szumiała coraz głośniej, widownię ogarnął entuzjazm.

Nastąpiła krótka przerwa. Kurtyna zapadła na chwilę po czym podniosła się, odsłaniając taras Zamku Świętego Anioła. Niebo się rozjaśnia, wstaje świt, trwają przygotowania do egzekucji. Cavaradossi pisze – śpiewa – list do ukochanej, cudowną arię *E lucevan le stelle*. Pojawia się Katia – Tosca. Wierzy, że egzekucja będzie tylko przedstawieniem, a jej ukochany jest ocalony. Duet *O dolci mani*. Jan, zachwycony i zatopiony w muzyce, uległ złudzeniu, że wszystko to dzieje się naprawdę. Potem pluton egzekucyjny i salwa. Tragedia: Mario nie żyje! Przerażający krzyk Katii nad ciałem ukochanego. Dreszcz przeszedł po sali. Tosca dopiero teraz rozumie, że Scarpia ją oszukał. Straż próbuje ją aresztować, a ona wrywa się i skacze z tarasu w przepaść.

Koniec przedstawienia. Car znów bił brawo na stojąco, ścisnął dłoń księciu Jusupowowi, dziękując za przedstawienie, i znów obaj klaskali z zapalem. Część publiczności była brawo zwrócona w stronę łoża cesarza. Rozległy się głosy: „Bis! Bis!”.

Katia i Borozow – Cavaradossi ponownie zaśpiewali duet *O dolci mani*. Potem Katia jeszcze raz wykonała arię *Vissi d'arte*. Znów oklaskom nie było końca. Na scenę wniesiono kosze kwiatów. Wśród nich również ten od Jana. Śpiewacy kłaniali się, kurtyna opadała i podnosiła się kilka razy. Wielki aplauz.

– Car pierwszy raz zrobił coś pożytecznego – powiedział Igor. – Pomógł karierze naszej siostrzyczki.

Uściskali się, Jan objął Igora i Larysę. Cieszyli się.

– Niech żyje car Mikołaj Drugi! – zażartował Jan.

Igor spoważniał:

– Już niedługo.

\* \* \*

Bankiet ciągnął się niemiłosiernie. Przemówienia i toasty. Jak zawsze bardzo nudne. Potem oklaski, gratulacje i znowu oklaski. Jan z Igorem i Larysą siedzieli w końcu stołu, daleko od aktorów i księżąt Jusupowych. Daleko od Katii. Czasem tylko ich spojrzenia się spotykały i wtedy się uśmiechała. Zastanawiał się, czy to jest ta kolacja po spektaklu, na którą go zaprosiła w liście. Kiedy po dwóch godzinach część gości zaczęła się wreszcie zbierać do wyjścia, wstał również, uniósł dłoń, patrząc w jej stronę, i skinął głową. Natychmiast się zorientował, że musiało to wyglądać ponuro; nie potrafił się zdobyć na uśmiech. Wtedy i ona



zerwała się i podeszła. Pogratulował jej sukcesu, a ona dziękowała za kwiaty. Pocałował ją w rękę i chciał odejść, lecz ona przez chwilę przytrzymała jego dłoń. To wystarczyło, żeby się zdecydował.

– Jest już bardzo późno, ale tak bardzo liczyłem na spotkanie z panią. Czy mógłbym zaproponować... Czy mógłbym zaprosić panią na kawę lub może...

– Tak – przerwała mu. – Przebiorę się i za dziesięć minut będę w holu przy wyjściu.

\* \* \*

W kawiarni na bulwarze nad Newą pili kawę i koniak. Za oknem błyszczała tafla rzeki, w tym miejscu, na wprost Wyspy Zajęczej i Twierdzy Pietropawłowskiej, rozlana szeroko jak jezioro. Tuż przy brzegu wycieczkowy stateczek płynął szybko z prądem rzeki. Ludzie na pokładzie poowijani w koce śmiali się i śpiewali. Przygrywało im kilku Cyganów. Po chwili przepłynął następny.

– Jestem szczęśliwa – mówiła Katia. – Ale w tym szczęściu jest łyżka dziegciu. Nawet dwie. Gdyby nie zachwył cara, nie wiem nawet: szczerzy czy wynikający z poczucia winy z powodu przerwania przedstawienia, zapewne takiego entuzjazmu bym nie wzbudziła. A poza tym zdałam sobie sprawę, jak marne są moje umiejętności. Uczyłam się śpiewu zaledwie pół roku we Włoszech. W porównaniu z profesjonalistami każdy musiał to słyszeć.

– Katiu – powiedział i położył rękę na jej dłoni.

Skinęła głową:

– Tak, mówmy sobie po imieniu.

– Katiu! Jesteś cudowna, masz głos, o którym większość zawodowców może tylko marzyć. Jesteś piękna, masz wielki talent, a twoje interpretacje są świetne muzycznie i aktorsko. W ogóle nie widać, że grasz, jesteś tak naturalna... W odróżnieniu od zawodowców. To także wszyscy musieli zauważyć. Jesteś taka młoda, że jeśli rzeczywiście brakuje ci techniki wokalne, to jest to zrozumiałe. Nauczysz się.

– Z tym jest problem. Mogłabym się kształcić dalej, nawet u najlepszych, moją rodzinę stać na to. Lecz chciałabym się uniezależnić. Chcę pracować i sama zarabiać na własne utrzymanie. Mam dość życia na cudzy rachunek i z pracy innych. Mogę zawrzeć kontrakty na występy. Już dostałam kilka. Ale pogodzić tego z nauką raczej się nie da.

– Poradzisz sobie.

– Jesteś bardzo miły, ale nie wiem... Mam już dziewiętnaście lat. Adelina Patti odniosła wielki sukces w wieku lat szesnastu. Chciałabym wreszcie sama dla siebie coś znaczyć. Być kimś więcej i kimś innym niż moje folwarki, domy i stadniny koni.

Zobaczył w jej oczach łzy. Pianista grał jakiś stary romans. Obok ich stolika przechodził kelner. Zatrzymał go.

– Dwa? Napijesz się jeszcze koniaku?

– Tak, proszę.

Pili koniak i trzymali się za ręce.

– Poszedłem do wojska, bo nasz majątek nie wystarcza na utrzymanie moje i brata. Wciąż spłacamy długi, które pozaciągał ojciec, a potem jeszcze mama. Próbowałem studiować. Po dwóch latach zabrakło pieniędzy. Poszedłem do kawalerii, bo chciałem jeździć wyczynowo i startować w zawodach, a cywilne kluby są o kilka poziomów słabsze od pułkowych. Nie chciałem być żołnierzem, nie czuję się dobrze wśród wojskowych. Nie marzę jak oni o wojnie i bohaterskich czynach. Ich etos jest mi obcy, nawet tam, gdzie jest niezaprzeczalnie rycerski. A wreszcie, to nie jest moja armia, nie jest przecież polska. Niektóre rzeczy mi się udają, a inne nie. Trzeba iść na kompromisy. Z czasem się uniezależnisz. Nie musisz od razu.

– Trzeba iść na kompromisy?

– Tak. Nie płacz już. To nerwy. Dzisiejszy dzień był pełen napięcia. Jesteś zmęczona. Tylko głupcy nie uznają żadnych kompromisów.

– Nie płaczę.

– Bardzo ciężko pracowałaś, ale byłaś dzielna i odniosłaś wielki sukces.

– Tak.

– Powiem ci coś zabawnego. Igor został monarchistą.

Zaśmiała się przez łzy.

– Niemożliwe! Igor?

– Tak. Sam słyszałem, jak wychwalał cara za to, że cię tak mocno oklaskiwał.

Odwiózł ją do domu i kiedy się żegnali, szybko pocałowała go w policzek. Prószył drobny śnieg. Chciał przytrzymać jej ręce, lecz uciekła. Uśmiechnęła się jeszcze z daleka na pożegnanie.

\* \* \*

Poniedziałkowe gazety na pierwszych stronach donosiły o napadzie na dom jubilerski na Litiejnym Prospekcie. Bandyci zrabowali klejnoty o ogromnej wartości. Spekulowano, że mogło to być nawet od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy rubli. Oberpolicmajster Petersburga obiecywał energiczne śledztwo i szybkie wykrycie sprawców. „Gdzieś te precjoza muszą wypłynąć, zwłaszcza, że jest tego tak dużo – stwierdził. – Już mamy pewne tropy. Sprawcy zostaną ujęci niezawodnie”.

Na dalszych stronach Igor znalazł relacje z koncertu w pałacu Jusupowych. Krytycy muzyczni wróżyli Jekatierinie Niesłuchowej świetną przyszłość. Ktoś

policzył, że oklaski po występie w filharmonii trwały dwadzieścia minut, a Katię wywoływano na scenę dwanaście razy.

Przebiegł wzrokiem wywody znanego krytyka Aksionowa o malarstwie awangardowej grupy malarzy Bubnowyj Walet (Walet Karo – od czarnego rombu malowanego na plecach kurtek katorżników) o „...wyraźnej ludowości dzieł poszczególnych przedstawicieli ruchu; nie owej formy ludowości, dla której przejawienia niezbędne jest zaopatrzenie się w materiał etnohistoryczny, lecz tego bezpośredniego wyczucia charakteru ludowo-narodowego, który przenika do prac budowniczych klasycystycznego okresu dziewiętnastego stulecia i przekształca palladiańskie tradycje wznoszące fasady o charakterze dogłębnie narodowym”.

Bełkot! Rzucił gazetę do śmieci. Znał Kazimierza Malewicza, Łarionowa, Gonczarową, walczące ze sobą ideologicznie grupy plastyków kubistów, futurystów, poetów akmeistów Mandelsztama, Gumilowa i Achmatową. Nie bardzo rozumiał ich szalone pomysły i spory, lecz lubił wielu z nich, czytał ich wiersze, oglądał wystawy, bawiło go ich towarzystwo, pił z nimi chętnie. Oni też na swój sposób byli rewolucjonistami.

Był umówiony z towarzyszem Pawłem Wodopjanowem w stowarzyszeniu plastyków na wystawie grupy Oslinyj chwost – Ośli ogon. Zaraz przy wejściu natknął się na poetów Gumilowa i Maksa Wołoszyna. Teraz już w zupełnej przyjaźni, choć przed czterema laty pojedynkowali się o listy miłosne jakiejś kobiety. Razem z nimi oglądał zdumiewające obrazy. Czasem przypominało to prymitywne wzornictwo ludowe, czasem ikony. Wszystko było dziecinnie jaskrawe, kolorowe i krzyczące. Postacie ludzi zbudowane były z brył geometrycznych, walców, stożków i kul. Nawet łan zboża na obrazie przedstawiającym żniwa składał się z jakichś pociętych cylindrów. Igor to bawiło i fascynowało.

Wypili z Wilemirem Chlebnikowem po lampce wina pozostałego po wczorajszym wernisażu, zjedli kilka kanapek. Przyszedł miczman<sup>1</sup> Wodopjanow, ogromny marynarz, artylerzysta z pancernika *Pietropawłowsk*. Igor odprowadził go na bok.

– Za jakieś dwa tygodnie potrzebowałbym cię na kilka dni – powiedział. – Pojechalibyśmy razem do Szwajcarii. Zwolnią cię na okręcie?

– Na razie nie wychodzimy w morze, więc nie powinno być z tym problemu. A po co miałbym tam jechać?

– Później się dowiesz. Teraz mogę tylko powiedzieć, że jedziemy do towarzysza Lenina. Chciałbyś go poznać?

– Och! Co za pytanie!

\* \* \*

Płynęli do Kronsztadu. Jan, żeby spotkać się ze stryjcem Włodzimierzem

Kajetanem Szawernowskim<sup>2</sup>, a Katia i Larysa na wycieczkę. Siostry Niesłuchowe nigdy nie były na wyspie, mimo że przez lata całymi miesiącami mieszkały w Petersburgu. Trzeba było mieć specjalną przepustkę, żeby dostać się do portu i największej bazy rosyjskiej marynarki wojennej na Bałtyku. Jan bywał u stryja, kiedy studiował w stolicy, lecz nie był pewien, czy uzyska pozwolenie. Teraz był przecież oficerem armii obcego mocarstwa. Jednak nie było żadnych trudności. Albo nikt o tym nie pomyślał albo cywilny gubernator Kronsztadu nie chciał robić kłopotu krewnemu głównego inżyniera miasta.

*Gordyj*, stateczek kursujący dwa razy na dobę z miasta na wyspę Kotlin, warczał i dymił, tnąc fale Zatoki Fińskiej. Pogoda była znakomita; ciepło i słonecznie. Tylko porywisty wiatr dmuchał od morza. Płytkie wody zatoki, zwykle o tej porze roku już zamarzające, kołysały statkiem, a rozbryzgi piany od dziobu wiatr podnosił aż na pokład. Siostry miały na sobie identyczne białe futra do kostek i wielkie futrzane czapki. Wyglądały pięknie, były rozbawione jak dziewczynki po lekcjach, a Jan trochę marzył w cywilnym płaszczu. Trzymał je obie pod rękę, a one trzymały się relingu tuż przy dziobie statku. Pył wodny uderzał im w twarz, lecz było tak pięknie i wesoło, że śmiali się z tego. Wycierali zaczerwienione policzki chusteczkami i znów nastawiali je pod bryzgi lodowatej wody. Pokrzykiwali radośnie za każdym uderzeniem fali o burtę. Dziób statku zapadał się i unosił, jechali jak na rozbrykanym wierzchołku.

Na horyzoncie zbliżały się i rosły kopuły cerkwi górującej nad miasteczkiem, dwa kominy fabryczne i dalej na lewo – smukła sylwetka latarni morskiej. Wyspa, bardzo wydłużony klin długości kilkunastu kilometrów, dokładnie na środku zatoki, skierowany był ostrzem na zachód. Forty artyleryjskie z dalekosiężnymi działami skierowanymi w stronę morza strzegły wejścia do zatoki i miasta. Coraz wyraźniej widać było port wojenny i kilkadziesiąt okrętów przycumowanych do nabrzeża. Po chwili mogli już odczytać nazwy na szarych kadłubach. Pancernik *Andriej Pierwozwannyj*, krążowniki *Oleg* i *Aurora* i całe stada mniejszych jednostek drzemały, kołysząc się sennie za falochronem. Łopotały bandery na masztach.

Nisko nad *Gordym* przeleciał z warkotem żółty trójpłatowiec. Jego cień przemknął po falach tuż obok stateczku. Kontrtorpedowiec *Griemiaszczyj* wypływał w morze. Ciągnął za sobą linę wynurzającą się stopniowo z wody, aż po kilkaset metrach na jej końcu zza falochronu wysunęła się długa barka, na której płynęła drewniana makieta okrętu wojennego, może dwukrotnie mniejsza od prawdziwego. Odezwała się syrena. Pulsowała ostrzegawczo. Wieżyczki dział obracały się powoli. Widzieli marynarzy uwijających się na pokładzie. To był alarm bojowy, ćwiczenia. *Griemiaszczyj* gwałtownie przyspieszył i ostro zawróciwszy, ruszył na zachód. Stamtąd, spod samego horyzontu, szedł na spotkanie z nim inny okręt.

– Spójrzcie, tam daleko za nim, widzicie? On także ciągnie cel – tłumaczył inżynier. – Będą teraz wzajemnie ostrzeliwać makiety przeciwnika z odległości nieco mniejszej, niż gdyby to była prawdziwa wojna, bo i cele są mniejsze.

– No to mamy widowisko – rzekł Jan. – Przedstawienie: wojna na morzu. Najnowsze metody.

Patrzyli pod słońce, osłaniali oczy dłońmi i przyglądali się jak zawodom sportowym. Kiedy oba okręty, płynąc po równoległych torach, zbliżyły się do siebie, zaczęła się kanonada. Fontanny wody od uderzeń pocisków wykwitwały wokół makiet, lecz na razie żadna z nich nie została trafiona. Nisko nad walczącymi krążył żółty trójpłatowiec.

– Zawsze nad nimi lata ten aeroplan – powiedział inżynier Szawernowski. – Nie wiem dlaczego, pewnie to obserwator, jak rozjemca na manewrach.

Makieta za *Griemiaszczym* zapłonęła nagle i w tej samej chwili cel jego przeciwnika zaczął się szybko zanurzać. Barka wioząca makietę tonęła. Odezwały się syreny obu okrętów. Porykiwały triumfalnie.

– I kto zwyciężył? – spytała Katia.

– Zdaje się, że trafienia jednoczesne – zastanawiał się Jan. – Chyba remis.

– I tak będzie na tej wojnie – rzekł pan Włodzimierz. – Pozabijamy się wzajemnie. Nikt nie odniesie zwycięstwa, a zginą miliony. Zobaczycie! To będą jatki, jakich jeszcze świat nie widział. Świat nigdy dotąd nie miał takiej ilości dział, karabinów maszynowych, gazów trujących, i aeroplanów. Ani tak licznych armii.

\* \* \*

Spacerowali ulicami Kronsztadu. Poza Michajłowskim Prospektem i placem Kotwicznym z cerkwią reszta przypominała ogromne koszary. Mieszkali tu marynarze, żołnierze garnizonu, robotnicy ze stoczni z rodzinami, oficerowie, rzemieślnicy, urzędnicy. Razem blisko czterdzieści tysięcy ludzi na małej powierzchni trzeciej części wyspy; domy wysokie, najczęściej pięciopiętrowe. Na ulicach o wiele więcej mundurów niż cywilów, mnóstwo mężczyzn i mało kobiet. Wszędzie jednak czysto i wzorowy wojskowy porządek, rzecz w małych miastach rosyjskich niespotykana.

– To najbardziej zrewoltowane miejsce w Rosji – mówił stryj Włodzimierz. – W tysiąc dziewięćset piątym roku powstanie marynarzy i wojska zostało krwawo stłumione. Wielu rozstrzelano, tysiące aresztowano. Duża część garnizonu została wymieniona, ale nic to nie pomogło. Do marynarki wojennej przyjmuje się wyłącznie rekrutów po szkole. Wszyscy umieją czytać; to nie jest ta ciemna masa co w armii lądowej. W lipcu następnego roku kolejne powstanie marynarzy Floty Bałtyckiej, jawnie antycarskie. Znowu stłumione bezwzględnie, utopione we krwi. Mnóstwo tu anarchistów, bolszewików, rewolucjonistów.

– Nic dziwnego, że się buntują – rzekł Jan. – Widzieliście ten napis przy

wejściu do parku? Nie? Psom i szeregowcom wstęp wzbroniony!

– No tak – powiedział stryj Włodzimierz. – To chyba taka tutejsza specyfika. Tu nawet na ulicach są osobne chodniki dla oficerów, po których nie wolno chodzić podoficerom i szeregowcom. W innych częściach Rosji czegoś takiego nie widziałem.

– Stryj budował tu port i cerkiew. – Jan zmienił temat. – Także domy administracji i koszary.

– Dwa lata temu skończyłem budowę suchego doku. Jest największy nie tylko w Rosji, ale i w Europie. Miały tu być budowane i remontowane największe pancerniki. Ale jak to w Rosji... W ciągu dwóch lat wykorzystany był przez niecałe dwa miesiące. Teraz zaprojektowałem nowoczesną sieć kanalizacji, ale już słysząc, że nie będzie na to pieniędzy. Zbudować największy dok, to jest coś ważnego! A kanalizacja? Któż by chciał się zajmować kanalizacją?

– Jan, ty też studiowałaś inżynierię? – spytała Katia.

– Studiował i ma w tym kierunku wielkie zdolności – odpowiedział pan Włodzimierz. – Chciałem mu pomagać finansowo, ale jest zbyt dumny, nie chciał przyjąć.

– Jestem stryjowi bardzo wdzięczny, lecz jakoś sobie radzę.

– Ale jesteś w wojsku! Wojsko to wojna i zabijanie. Czy państwo wiecie, że aż do końca drugiego wieku naszej ery żaden chrześcijanin nigdy nie służył w armii? Nasza religia na to nie pozwala. To sprzeczne z nauczaniem Chrystusa. Dziś już nikt o tym nie pamięta. Gdyby nie było armii, nie byłoby wojen, to proste. Teraz już tylko świadkowie Jehowy odmawiają służby w wojsku.

– Wiesz, stryju, że jestem w wojsku tylko z powodu sportu.

– Ale jak wybuchnie wojna, każą ci walczyć i zabijać. Nikt już nie pamięta tego najważniejszego przykazania: nie zabijaj. I zapewniam was, że wszędzie, w każdym kraju, wszyscy będą uważać, że się tylko bronią, bo zostali napadnięci. I będą w to święcie wierzyć.

– Jan, wejdźmy do cerkwi – powiedziała Katia. – Pomodlimy się, żeby wojny nie było.

\* \* \*

Kobiety uklękły przed ołtarzem, a Jan ze stryjem usiedli w tylnych ławkach. Trwało nabożeństwo, lecz w cerkwi było tylko kilkunastu wiernych. Brodaty pop w wielkiej czapce z krzyżem unosił Biblię nad głowę i obracał ją na cztery strony świata. Dwaj chłopcy w komżach włożonych na zwykłe ubrania kołysali kadzielnicami na długich łańcuszkach, klekotały przymocowane do nich dzwonki. Z góry, z balkonu nad wejściem odezwały się wysokie głosy chóru. Szybowały cichutko, unosząc się pod kopułą cerkwi. Dołączyły do nich ciche głosy męskie. Łączyły się i rozdzielały, i znów łączyły. Dwa głosy, dwie melodie splatały się jak

palce dłoni złożone do modlitwy. Trzy linie melodii, trzy głosy... może cztery? Wznosiły się i opadały jak fale na morzu. Huczały coraz głośniejsze, cichły i milkły, zamierały.

Pop śpiewnie recytował:

– *Zastupi, spasi, pomiluj i sochrani nas, Boże, twojemu blagodatiju.*

A chór odpowiadał:

– *Gospodi, pomiluj.*

– *Preswjatuju, preczistuju* – recytował pop – *preblagosłowiennuju, sławnuju władyczicu naszu Bogorodicu i prsnodiewu Mariju, so wszemi swiatymi pomianuwsze, sami siebie i drug druga i wies' żywot nasz Christu Bogu predadim.*

– *Tiebie, Gospodi.*

– *Paki i paki mirom Gospodu pomolimsia.*

– *Gospodi, pomiluj.*

Głosy chóru trwały zawieszony w ciszy. Słyszeć je było nawet wtedy, gdy umilkły zupełnie. Nabożeństwo trwało i Jan nasłuchiwał, czy chór znów się odezwie. Lecz nie, to już był koniec Liturgii. Katia i Larysa wstały i ruszyły do wyjścia. Jan wyszedł im naprzeciw i patrzył w stronę balkonu. Było tam tylko osiem osób: cztery kobiety i czterech mężczyzn. Zbierali nuty z pulpitu. Kiedy śpiewali, wydawało się, że chór musi być wielki, może z pięćdziesiąt osób.

– Wy, Rosjanie, umiecie śpiewać jak nikt na świecie – powiedział do Katii i Larysy.

– Nie tylko, nie tylko – rzekła młodsza siostra.

– Co jeszcze?

Kręciła głową i nie odpowiadała.

– Co takiego, Lara? – pytała Katia.

– Nie, nie, nic...

– Może zabijać, mordować... – zamruczał po polsku stryj Włodzimierz.

\* \* \*

– Polaków jest już w Petersburgu siedemdziesiąt tysięcy, a tutaj, na wyspie, ledwie kilku – opowiadał stryj Włodzimierz.

Jedli obiad w jego mieszkaniu. Ze względu na siostry rozmawiali po rosyjsku. Przyszli też państwo Parczewscy, nauczyciele. Tomasz Parczewski<sup>3</sup> uczył rosyjskiego w gimnazjum męskim. Tak pięknie mówił po rosyjsku, że Rosjanie nie chcieli wierzyć, że jest Polakiem. Wciąż poprawiał ich błędy językowe. Studiował filozofię i kończył habilitację w stolicy. Jego żona uczyła w gimnazjum żeńskim. Przyszedł z nimi miczman Paweł Wodopjanow, jasnowłosy olbrzym, marynarz artylerzysta. Stale bywał u Szawernowskiego i u Parczewskich jako czwarty do brydża, choć o wiele od nich młodszy. Zawsze gadatliwy i wesoły, dziś milczał i ukradkiem spoglądał na Larysę. Wpatrywał się jak w obraz. Lara była jak

powiększona kopia Katii, tylko trochę wyższa i tęższa. Nieco pulchna, tak samo jasnowłosa i uśmiechnięta, cicha i nieśmiała.

– Tak, jest nas tu niewielu – przyznał Parczewski. – Za to Polak jest nawet szefem żandarmerii i Ochrony garnizonu. Swołocz! Bardzo sprytnie inwigiluje wszystkich. No, poza naszym małym gronem, żadnego polskiego życia towarzyskiego tutaj nie ma. Zresztą rosyjskiego również. Wszystko tu pospolite i nieciekawe. Nikogo, już nie mówię wybitniejszego, ale nawet jakichś wyraźnych osobowości. Nie ma teatru ani nawet knajpy, poza kasynami oficerskimi. Dwa lata temu, kiedy tu przyjechałem, pytali mnie Rosjanie: po co? Mówię, że dla studiów filozoficznych na uniwersytecie. „O tak, ja też chciałem studiować, zwierzał się każdy. Też miałem ambicje, marzenia. Ale dzieci, praca, sami rozumiecie Tomaszu Stanisławowiczu, nic z tego nie wyszło”. Potem w klubie zaproponowałem, żeby zaprenumerować „Nowe Idee”. Miesięcznik o filozofii, odkryciach w dziedzinie fizyki, matematyki, nauk przyrodniczych i tak dalej. Rzecz bardzo ciekawa. No więc zaprenumerowali. Ja dostawałem jeden egzemplarz, drugi do klubu. Po pół roku bibliotekarz na zebraniu wnioskuje, żeby zaprzestać prenumeraty, bo jak dotąd nikt jeszcze nie czytał ani jednego numeru. Wszystkie leżą nierozcięte. I zaprzestali. No i tak to trwa w nudzie i marazmie. Kupcy we własnym gronie, tak samo urzędnicy, nauczyciele we własnym, osobno wojskowi, osobno marynarze, artylerzyści... Rozmawia się o awansach, zapomogach świątecznych, kartach, pijaństwach. Plotki, mariaże, małe skandale, zdrady małżeńskie.

– Wszystko jak u Gogola – odezwał się Wodopjanow. – Jednak wśród oficerów artylerii jest inaczej. Dużo się tam dyskutuje o ekonomii, polityce. Słychać o nowych ideach. Na przykład w zeszłym tygodniu mówiono o psychoanalizie i Freudzie, a dwa tygodnie temu o Marksie i Plechanowie. Kiedyś dyskutowano o futurystach, kubizmie, a nawet o awangardowej operze *Zwycięstwo nad słońcem* Nikołaja Matiuszyna.

– To pan może jest komunistą, Pawle Piotrowiczu? – spytał stryj Włodzimierz.

– Nie, skądże! Ale to mnie interesuje. Dobrze znam brata pań – zwrócił się do sióstr – Igora Aleksandrowicza Niesłuchowa. Nieraz spotykaliśmy się w Petersburgu. Nawet razem byliśmy na tej operze Matiuszyna.

– Ja jestem z przekonania socjalistą – oświadczył Parczewski. – Przy Zabałkańskim Prospekcie w Petersburgu jest polska stołówka studencka. Spotykają się tam nie tylko studenci. Bywa wielu działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej i Stowarzyszenia Gimnastycznego „Sokół Polski”, ale także polscy naukowcy: znany chirurg Józef Ziomecki, prawnik i deputowany do Dumy Państwowej profesor Leon Petrażycki, dziennikarz ekonomista Władysław Żukowski, prawnicy Kopański i Olszamowski, Karol Wędziagolski, ziemianin Konstanty Plater i wielu innych. Mnóstwo naszych tam bywa.



– Więc jest jednak coś, co was, Polaków, przyciąga do tej naszej strasznej Rosji – zastanawiała się Katia. – Co takiego? Przecież w Warszawie też są wyższe uczelnie.

– Wielu próbuje tu robić karierę. Już się pogodzili z tym, że Polski nigdy nie będzie. Wielu dla nauki. Tu jednak poziom jest bardzo wysoki, a z drugiej strony warszawskie uczelnie są zupełnie zrusyfikowane. Zostało tam na stanowiskach profesorskich bodajże tylko dwóch Polaków. Teodor Wierzbowski na wydziale filologiczno-historycznym i profesor Przewoski, medyk. Nasza ojczyzna jest od prawie stu dwudziestu lat rozdarta pomiędzy trzech zaborców, przecież pani to wie, Katiu.

– Bardzo chciałbym wrócić do kraju. – Stryj Włodzimierz popatrzył na Jana. – Zazdroszczę ci, Janie, że tam bywasz. Lecz tutaj buduje się bez porównania więcej. Mam zlecenia na projektowanie wielkich tam dla elektrowni wodnych na rzekach Wołchow i Swir. To moja praca, moje życie.

– Wszędzie słyhać, że będzie wojna – rzekł Parczewski. – Boję się wojny światowej, trudno się nie bać. Wydaje mi się jednak, że taka wojna może być jakąś szansą dla Polski.

<sup>1</sup> Miczman – najniższy stopień oficerski w marynarce wojennej.

<sup>2</sup> Włodzimierz Kajetan Szawernowski (1872–1944), polski inżynier. Zbudował w Kronsztadzie jeden z największych wówczas na świecie suchych doków, sobór Mikołaja Cudotwórcy i osiedle mieszkaniowe. Był naczelnym inżynierem elektrowni wodnych na rzekach Swir i Wołchow. Po rewolucji wrócił do Polski, zaprojektował port wojenny na Helu i nabrzeża Westerplatte oraz basen portu wojennego w Gdyni. Jego syn także był inżynierem i profesorem w Instytucie Morskim w Gdańsku.

<sup>3</sup> Tomasz Parczewski (1880–1932), polski filozof, po rewolucji lutowej był krótko wojskowym gubernatorem Kronsztadu. Napisał i wydał w okresie międzywojennym ciekawe *Pamiętniki gubernatora Kronsztadu*.

## Berno

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i do pokoju wśliznęła się Marfa Piotrowna.

– Czas na lekarstwa, proszę pani. Już czwarta. – Postawiła tacę na stoliku obok kanapy.

Nadieżda odłożyła książkę, popiła proszki herbatą. Wciąż była jeszcze bardzo osłabiona po pierwszej z serii operacji tarczycy. Odsunęła firankę. Za oknem apartamentu na piątym piętrze hotelu Waldhorn – w zakolu rzeki Aare leżało stare Berno. Dachy domów pokrywała cienka warstwa świeżego śniegu. Zmierzchało. Z daleka dobiegło bicie dzwonu z wieży zegarowej na rynku.

Lenin i Inessa Armand siedzieli przy stole; przeglądali gazety. Inessa podała Wołodii „Berlinerzeitung”, a sama zabrała się do czytania tygodnika „Proletarij”.

– Nadiu, czy przysły moje honoraria z „Prawdy”? – spytał Lenin. – Sprawdzałaś w banku?

– Ależ, Wołodia, zapominasz, że od dwóch tygodni nie ruszam się z łóżka.

– No tak, tak, przepraszam cię. A twoja matka? Ktoś przecież musi się tym wreszcie zająć.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Sam ją spytaj.

– Tak źle z finansami? – spytała Inessa.

– Ależ nie, skądże. Ale nie lubię, jak nie płacą w terminie. Składki partyjne przychodzą dość regularnie. Ciągnie się co prawda spór z mienszewikami o część funduszy zdeponowanych na kontach Clary Zetkin, Kautskiego i Mehringa, ale to niewielka część tego, co dostaliśmy z pieniędzy Schmidta. No i jest jeszcze trochę ze spadku po Morozowie.

– Co za pieniądze Schmidta? Nic mi nie mówiłeś.

– Nie mówiłem? No, może zapomniałem. Nikołaj Pawłowicz Schmidt był siostrzeńcem Sawielija Morozowa. Też bardzo bogaty burżuj, miał w Moskwie kilka fabryk mebli. Za życia wspierał partię znacznymi sumami. W tysiąc dziewięćset piątym był za to aresztowany, a dwa lata później popełnił w więzieniu samobójstwo. Dziwna sprawa, bo już niedługo miał wyjść na wolność. Część swoich pieniędzy zapisał partii, a reszta miała przypaść jego dwóm siostram. Więc Krasin wymyślił taką akcję, że trzeba, żeby nasi towarzysze pożenili się z nimi, żeby w ten sposób dobrać się do forsy.

– I to się udało? – Inessa była zniesmaczona. – Paskudna sprawa, muszę powiedzieć.

– Ja w takich sprawach oporów nie mam. Kochana! Musimy raz na zawsze odrzucić moralność burżuazyjną. Dobre jest to, co służy rewolucji i proletariatowi. Złe jest wszystko inne. Zresztą obie dziewczyny były zafascynowane przystojnymi

bojowcami owianymi nimbem walki o sprawiedliwość społeczną. Z jedną ożenił się towarzysz Wiktor Taratuta, a z drugą Nikołaj Andrikanis. No! Dwa śluby jednocześnie w Paryżu, pięknie i romantycznie. Taratuta posag oddał partii, a Andrikanisowi spodobało się być bogaczem i dał tylko jakieś grosze. Jednak wszystko to przelano na konta wspólne, nasze i mienszewików. I stąd spór. Ciągnie się od sześciu lat.

Weszła Jelizawieta Wasiliewna, teściowa Lenina.

– Mamo, co z pieniędzmi z „Prawdy”? Są na koncie?

– Przecież termin upływa dopiero w przyszłym tygodniu. Przyszła kwartalna wpłata za dzierżawę twojej Ałakajewki. Tu masz dokumenty bankowe, proszę.

Położyła koperty na stole.

– O! To świetnie. – Lenin oglądał papiery. – Wydawało mi się że termin honorarium już minął. A co z obiadem? Czy pamiętała mama, że będziemy dziś mieli gości z Petersburga?

– Oczywiście, że pamiętałam. O siódmej podadzą nam wszystko z restauracji tutaj, do salonu.

\* \* \*

Igor Niestuchow i Paweł Wodopjanow siedzieli przy okrągłym stole po obu stronach Lenina, a naprzeciwko teściowa, oraz – w pięknej zgodzie – Nadieżda Krupska Uljanowa, żona Lenina, i Inessa Armand, jego kochanka. Pół godziny wcześniej Igor i Pasza wręczyli Leninowi zawartość czarnej walizeczki – prawie sześćdziesiąt tysięcy rubli z napadu na jubilera i jeszcze jednego, mniejszego eksu. Tym razem Igor nie zgodził się przekazać pieniędzy przez Krasina. Pragnął osobiście poznać wodza. Siłacza Pawła Wodopjanowa zabrał jako ochronę; nie chciał samotnie wieźć tak wielkiej sumy. Lenin cieszył się jak dziecko, gratulował, dziękował i żądał ścisłej tajemnicy, nawet wobec najbardziej zaufanych towarzyszy. Oficjalnie żadnych ekspropriacji miało nie być.

– Będziemy mogli podwoić nakład naszych pism – powiedział. – Przy okazji, weźmiecie trochę w powrotnej drodze dla Petersburga.

– Oczywiście.

Wieczorem wciąż jeszcze rozmawiano o pieniądzach od jubilera.

– Czy nie grozi wam wpadka? – pytał Lenin. – Policja niczego nie wywęszyła?

– Szukają wśród kryminalistów, paserów i bandytów – opowiadał Igor. – Lecz niczego nie znajdują, bo biżuterię zwróciliśmy właścicielowi przez firmę ubezpieczeniową. Zajęli się tym towarzysze prawnicy. Gdybyśmy ją sprzedali paserom, dostalibyśmy najwyżej jedną czwartą wartości. A tak mamy czterdzieści procent i nie pozostawiliśmy niepotrzebnych śladów. I wszyscy są szczęśliwi. Jubiler odzyskał biżuterię, a towarzystwo ubezpieczeniowe zamiast całej sumy,

wypłaciło tylko część.

– A my – wtrącił Pasza Wodopjanow – możemy jubilera jeszcze raz oskubać z tego samego towaru.

– Jeszcze raz! – Lenin aż się zakrztusił. Śmiał się jak szalony. – Słyszycie, Nadiu, Inesso?! Jeszcze raz go mogą oskubać! No, zuchy chłopaki! Zuchy z was! Gdybym miał takich więcej! Moi kochani petersburscy bandyci. Miałem takich dwóch<sup>1</sup> na Kaukazie. Ale teraz jeden jest na Syberii, a drugi dopiero co się wyrwał ze szpitala psychiatrycznego, bo kiedy go złapali, udawał wariata. No, wypijmy za rewolucję!

Podnieśli kieliszki. Lenin i kobiety pili tylko lekkie wino, a Igor i Paweł nalali sobie wódki z karafki.

– Partia się wzmacnia i krzepnie. Odbudowaliśmy się już po represjach Stołypina. – Lenin otarł usta chustką i odsunął talerze. Marfa Piotrowna zebrała zastawę, podała ciasta, likiery i kawę. – W Rosji mamy już blisko jedenaście tysięcy ludzi. Mówię tylko o bolszewikach, rzecz jasna. Lecz to nadal o wiele za mało, nawet jak na partię kadrową złożoną z zawodowych rewolucjonistów. A jak robota partyjna we flocie, Igorze Maksymowiczu?

– Towarzysz Wodopjanow kieruje organizacją na *Pietropawłowsku*. Idzie to zupełnie dobrze. Silne są zwłaszcza dwie komórki partyjne. Jedna wśród marynarzy, druga wśród artylerzystów. Ochrona na wyspie węższy mocno, lecz nic nie wiedzą. Dobrze jest też na *Aurorze* i *Olegu*. Na innych okrętach słabiej, ale i tam mamy wielu swoich.

– Myślę, niestety, że nasze pokolenie nie dożyje rewolucji. – Lenin monologował, wstał od stołu i przechadzał się po pokoju z dłońmi splecionymi za plecami. – Ale wy, młodzi, wy doczekacie. W Rosji proletariat jest jeszcze zbyt słaby, jesteśmy zapóźnieni przemysłowo i nie tylko. Rewolucja wybuchnie w Niemczech albo w Anglii i ogarnie cały świat. Wtedy zwyciężymy. – Zatrzymał się, wyjął chustkę i otarł pot z łysiny.

Nadieżda wodziła za nim swymi wyłupiastymi oczyma. Piękna Inessa patrzyła z podziwem i miłością. Igor obserwował to zdumiony. Lenin, mały i łysy, z mongolską twarzą i szarymi oczkami wydawał mu się fizycznie nawet trochę odpychający. Podziwiał go jako przywódcę i ideologa, ale te kobiety? Od śmierci brata Włodzimierz Iljicz zawsze żył w otoczeniu kobiet, które go rozpieszczały i uwalniały od codziennych trosk i obowiązków. Najwyraźniej kochały go i uwielbiały bez zastrzeżeń. Nawet teściowa nie kryła podziwu.

– Jednak Włodzimierz Iljiczu – rzekła Inessa. – Czy wojna nie przyspieszy biegu wydarzeń? Wszyscy mówią, że wybuchnie już wkrótce i ogarnie co najmniej Europę.

– Wojna?! Tak! O niczym bardziej nie marzę niż o wojnie światowej. Wojna osłabiłaby carat tak samo jak wojna japońska, po której zaraz mieliśmy rewolucję

tysiąc dziewięćset piątego roku. Ale nie sądzę, że wybuchnie niedługo. Wiluś i nasz Mikołajek nie pobiją się ze sobą, nie zrobią nam takiego prezentu. Chyba nie są aż tak durni.

– Lecz gdyby jednak... – dopytywał się Igor. – Jak według was, Włodzimierzu Iljiczu, partia powinna się zachować wobec wojny?

– Powinniśmy zrobić wszystko co możliwe, żeby Rosja ją przegrała.

Zapanowało zdziwione milczenie.

– Jak to, żeby przegrała? – spytała w końcu Inessa.

– Oczywiście. Przegrana osłabi i rozbije nie tylko dynastię Romanowów, ale i państwo. Dopiero wtedy i tylko pod tym warunkiem będziemy mogli zwyciężyć. Zamęt, głód, klęska, anarchia, masowe dezercje, rozprzężenie wszystkiego: oto co jest nam potrzebne.

Wygłosił mały wykład o walce klas i konieczności dziejowej.

– Rewolucja jest jak owoc – tłumaczył. – Musi dojrzeć.

Kiedy goście zbierali się do wyjścia, Lenin wyjął z szafy dwie swoje książki. Igor dostał w podarunku *Materializm i empiriokrytycyzm*, a Wodopjanow *Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej*. Każdemu napisał: „Mojemu drogiemu towarzyszowi, zawodowemu rewolucjonście, z uściskiem dłoni. W.I. Lenin, Berno 1913”.

Kiedy wyszli, zabrał się do codziennych rachunków. Zanotował wpływy i wydatki. Za gazety, papier, lekarstwa dla Nadieždy, przejazd dorożką, obiad z hotelu.

Następnie napisał list do Szlapnikowa do Sztokholmu.

*...Co do mnie, to potrzebuję gotówki. Inaczej przyjdzie chyba umrzeć z głodu! Drożyzna piekielna, a żyć nie ma za co. Musisz wydrzeć pieniądze siłą od Gorkiego, który dostał moje dwie broszury (musi zapłacić teraz, i to trochę więcej!). Jeśli Ci się nie uda, to chyba nie przetrzymam, a mówię to zupełnie poważnie, zupełnie poważnie...*

## KALENDARIUM

### 1913

1913 – Cała Rosja uroczyście świętuje trzechsetlecie panowania dynastii Romanowów.

Sierpień – w Stróży rozpoczyna działalność szkoła oficerska Związku Strzeleckiego. Jej absolwenci mają być kadrą przyszłej armii polskiej. Józef Piłsudski wykłada historię z szczególnym uwzględnieniem działań partyzanckich.

<sup>1</sup> Pierwszy to Józef Stalin, w tym czasie na zesłaniu w Kuriejce w Kraju Turuchańskim, drugi – Ter Petrosjan pseudonim Kamo.



## Petersburg

– Jan, dziś rano miałam pierwszą lekcję u Bolskiej – Katia opowiadała podekscytowana. – To coś zupełnie niezwykłego. Każe mi śpiewać bardzo powolne tryle i kontroluje wibrację specjalnym wziernikiem krtaniowym. Nigdy nie słyszałam o czymś takim. To metoda sławnego niegdyś Manuela Garcii. Bolska mówi, że śpiew jest tylko funkcją mechaniczną. To współdziałanie warg, języka, zębów, podniebienia, strun głosowych, krtani i tchawicy. Strasznie mnie wymęczyła. Ale, wyobraź sobie, powiedziała, że nigdy w życiu nie spotkała takiej łatwości emisji głosu i takiej swobody jak u mnie. Uważa, że najdalej za rok będę gotowa do podboju wszystkich scen operowych świata. Tak powiedziała. Wszystkich scen operowych świata!

Jechali powozem matki Katii na późne śniadanie do Lourdsa. Ostatni dzień Jana w Petersburgu. Wieczorem miał pociąg do Warszawy. Cały dzień mieli spędzić razem. Występ w filharmonii, dwa dni temu, był ogromnym sukcesem. W czasie prób poznała Grzegorza Fitelberga<sup>1</sup>, Polaka, dyrygenta prowadzącego orkiestrę Filharmonii Petersburskiej i Teatru Maryjskiego, o którym słyszała jeszcze w Wiedniu. Z początku był nieufny, może spodziewał się problemów z debutantką. Jednak szybko ją polubił, dostrzegł wielki talent i bardzo jej pomagał. Był miły i ujmujący. Tym razem car nie pojawił się na koncercie, lecz publiczność zgotowała Katii wielką owację. Bisowała kilka razy i zeszła ze sceny zupełnie wyczerpana.

– To cudowne – powiedziała do Jana za kulisami – lecz ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ogromnego wysiłku wymaga bisowanie. Czy wiesz, Jan? Sławna Maria Malibran po takich wymuszonych bisach zmarła w garderobie! W tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku śpiewała w duecie z Marią Caradori na festiwalu muzycznym w Manchesterze. Partia kończyła się najtrudniejszą z możliwych figur finałowych: trylem na wysokim „c”. Zemdląła. W garderobie obłożono jej głowę kompresami z lodem. Tymczasem jej mąż, wielki skrzypek, Charles de Bleriot, grał na tej samej scenie *Cadence du diable*. Jego też publiczność zmusiła do bisów. Kiedy wreszcie zszedł ze sceny, ona już nie żyła. Miała dwadzieścia osiem lat i była w ciąży. Za przyczynę śmierci uznano przekrwienie mózgu.

Zauważyli, że kelner wciąż przypatruje się Katii. Jana to nawet trochę denerwowało. Już miał mu powiedzieć coś niemiłego, ale kelner podszedł i nieśmiało spytał:

– Pani Jekatierina Niesłuchowa, prawda? Czy mógłbym prosić o autograf?

Katia napisała mu kilka słów na serwetce. Był szczęśliwy, że może obsługiwać wielką śpiewaczkę.

– Kiedy znów będziemy mogli panią usłyszeć? – spytał.  
– Dostałam kontrakt w Teatrach Cesarskich. Będę śpiewać w Maryjskim każdego tygodnia, zapraszam.

– Na pewno przyjdę. – Kelner stawiał kawę na stoliku i był rozpromieniony.  
Teraz dopiero opowiedziała Janowi o angażu. Od razu dostała propozycje występów w kilku teatrach w Rosji i na Zachodzie. Teatr Maryjski był znany w całej Europie, paryskie pisma kulturalne relacjonowały i recenzowały każdą jego premierę. Ktoś jej powiedział, że to sam car kazał ją zatrudnić. Sama nie wiedziała, czy się z tego cieszyć. Czy to jej talent zdecydował czy zachwyty cesarza? Wielki książę Michał Aleksandrowicz, brat cara, już kilka razy przysyłał jej kwiaty. Było to miłe i trochę przerażające zarazem. O tym nic Janowi nie powiedziała. Zupełnie nie miała ochoty zostać kochanką nawet tak ważnego człowieka jak brat cesarza. Wszyscy znali historię romansu i wielkiej kariery primabaleriny Matyldy Krzezińskiej, kochanki cara Mikołaja, kiedy był jeszcze następcą tronu. Nie chciała o tym mówić, zmieniła temat:

– Wyobraź sobie, Jan, co odkryłam. Larysa spotyka się z Wodopjanowem. Pamiętasz? Ten miczman z okrętu *Pietropawłowski*, był u twojego stryja na obiedzie. Nie bardzo mi się to podoba. To przyjaciel Igora, więc pewnie też rewolucjonista. Boję się, żeby i ona się w to nie wdała.

Jan myślał już o czym innym.

– Katiu, kiedy znów się spotkamy?

– Mam śpiewać w Moskwie, a potem w Helsingforsie<sup>2</sup> w Finlandii, ale to za daleko, prawda? Gdybyś mógł przyjechać do Kijowa w grudniu... Powiedz, kiedy będziesz miał następne zawody. Przyjadę.

– W marcu przyszłego roku w Berlinie, zaraz potem w Paryżu. Później w Warszawie, ale to dopiero w maju.

– W lutym mam śpiewać w Kijowie, a w kwietniu, po Wielkanocy, być może w Wiedniu. Będę pisać, obiecuję.

– Ja także. Nie daj się zamęczyć publiczności!

– Postaram się.

– Katiu. – Ujął jej dłoń.

– Nie, Jan, nie... nic nie mów!

– Dlaczego?

– Jeszcze nie teraz, nie teraz... Rozstaniemy się na jakiś czas i ta rozłąka pokaże nam, co to jest... czym to jest... – Zarumieniła się i ścisnęła jego rękę, po czym powoli wysunęła swoją dłoń z jego dłoni.

Chciał jeszcze powiedzieć, że jemu rozłąka niepotrzebna, bo wie, czym jest to, co ich łączy. Ale nic nie powiedział.

Wyszli z kawiarni i jechali ulicą wzdłuż Kanału Jekatierinskiego, kiedy z dorożki nadjeżdżającej z naprzeciwka wyskoczył krępy mężczyzna w jasnym



płaszczu. Uderzył głową w twarz żandarma. Wypchnął na bruk drugiego i rzucił się do ucieczki. Biegł ze związanymi rękami. Jeden z żandarmów podnosił się z trudem z zaspy śniegu. Wyjmował z kabury rewolwer, drugi już strzelał. Strzelali obaj. Więzień znikł za rogiem ulicy. Postali chwilę i zrezygnowali z pościgu, dorożka z żandarmami zawróciła i odjechała.

Jan i Katia wysiedli z powozu przed hotelem. Z bramy sąsiedniego domu wyszedł człowiek, którego ścigała policja. Miał rozerwany rękaw płaszcza.

– Pomóżcie! Pomóżcie – prosił cicho.

Jan wyjął scyzoryk i przeciął mu więzy na rękach. Zobaczył, że uciekinier zamiast paznokci ma na palcach rany.

– Polityczny? – spytał.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Macie się gdzie schronić?

– Nie.

– Idźcie do Igora Niesłuchowa – powiedziała Katia. – Pomoże wam. – Napisała kilka słów na wizytówce. – Tu macie adres. – Dała mu pięć rubli.

Mężczyzna miał wyraźnie semickie rysy, palące, ciemne oczy i cienkie wąsy nad zaciśniętymi wargami.

\* \* \*

W Maneżu Michajłowskim było jasno jak w dzień. Zapalono niedawno tu założone światło elektryczne. Pachniało drewnem, świeżymi trocinami. Jan przeczytał w gazecie, że dziś właśnie odbędzie się publiczny pokaz treningu ujeżdżeniowego oficerów gwardii szkolonych na instruktorów ekwitacji pułków kawaleryjskich. Nie mógł przepuścić takiej okazji. Po obejrzeniu wystawy kubistów zaraz pojechali z Katią do Maneżu.

Na trybunie pełno już było wojskowych. Wysokie szarże, generałowie, pułkownicy, arystokracja. Cicho grała orkiestra Lejb-Gwardyjskiego Siemionowskiego Pułku, a kilkunastu jeźdźców krążyło po ogromnej ujeżdżalni, rozprężając konie. Trening prowadził książę Bagration, uczeń wielkiego angielskiego artysty ujeżdżacza Jamesa Fillisa, który przed kilkunastu laty szkolił najlepszych rosyjskich jeźdźców w Petersburgu, a przed tygodniem, w wieku siedemdziesięciu lat zmarł w Paryżu. Ten pokaz odbywał się dla upamiętnienia wielkiego jeźdźca.

Oficerowie kłusowali, galopowali, a potem pojedynczo podjeżdżali do bandy, do księcia Bagrationa, gdzie konie uczone były pasażu i piafu. Książę z długimi trzcinkami w obu rękach szedł obok i dotykał pęcín przednich i tylnych nóg koni wtedy, gdy były uniesione nad ziemią. Wymagało to wielkiej zręczności. Jeźdźcy starali się maksymalnie spowolnić wierzchowce, tak żeby w chwili, gdy cała masa zwierzęcia unosiła się – na chwilę znieruchomieć w powietrzu. Efektem

był piękny, majestatyczny i pełen energii pasaż. Konie podchodziły do bandy jeden po drugim i po wykonaniu kilku dobrych kroków dostawały cukier i przerywały pracę. Czasem zniecierpliwione zwierzę wierzgało. Księżę błyskawicznie uderzał je trzcinką po zadzie.

– Trzeba skarcić konia, w chwili gdy jego tylne nogi są nad ziemią – tłumaczył. – Wtedy odczuje to tak, jakby sam się ukarał. Powstaje skojarzenie: nogi w górze – boli. Jeżeli poczuje ból, kiedy już normalnie pracuje, może nie zrozumieć. Taka kara byłaby bezsensowna.

Potem konie podchodziły do piafu. To było jeszcze trudniejsze. Jest to pasaż w miejscu lub z minimalnym posuwaniem się konia do przodu krokami kilkucentymetrowymi. Potem konie zmieniały nogi w galopie, najpierw co trzy takty, potem co dwa, aż wreszcie w każdym takcie. Co trzy i co dwa wszystkie konie wykonywały dobrze. W każdym takcie niektóre miały trudności. Denerwowały się, uciekały do przodu. Potem ciągi w kłusie i galopie – ruch do przodu i jednocześnie w bok. Potem piruety w galopie. Konie obracały się w miejscu, bardzo powoli galopując wokół zadu. Piękny ruch, pokazujący idealne podporządkowanie jeźdźcowi i wspinałą równowagę. Wielka energia i spokój.

Kiedy trening dobiegł końca, luzak przyprowadził konia księcia Bagrationa. Księżę dosiadł go i demonstrował, co potrafi. Wszystko, co przedtem ćwiczyli oficerowie kursanci, księżę pokazywał w idealnym wykonaniu. Orkiestra grała teraz nieco głośniej i wydawało się, że koń Bagrationa tańczy. Co chwilę odzywały się brawa.

– Cudownie – powiedziała Katia. – Nie wiedziałam, że coś takiego jest możliwe.

– Rzeczywiście, to balet. Takie jeździectwo wymaga wielkiego artyzmu, jest sztuką. Dla mnie, dla skoków przez przeszkody nie ma to specjalnie zastosowania, jednak ta łatwość wykonania, ta świeżość i wyraźne zadowolenie, nawet radość tych koni, to niezwykle! Jakby wiedziały, że są podziwiane i piękne. To naprawdę imponujące. Picador też się tak cieszy, kiedy przejdzie parcours bezbłędnie.

Księżę skończył, zsiadł z konia, głaskał go po szyi i kłaniał się.

– Może ktoś z państwa chciałby spróbować? – Podniósł dłoń z wodzami w stronę trybun.

– Tak, ja! – wykrzyknął Jan i wstał.

Odezwało się jeszcze kilka głosów chętnych.

– Pan był pierwszy, proszę.

Jan zbiegł po schodach. Był w mundurze i w wysokich butach.

– Porucznik Jan Szawernowski – przedstawił się.

– Szawernowski? Chyba słyszałem... Czy to pan wygrał w Nicei?

– Tak.

– O, to bardzo się cieszę, że to właśnie pan wsiądzie na mojego konia.

Ciekawe, jak skoczek poradzi sobie w ujeżdżeniu.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Jak ma na imię koń?

– Povero II. Jest synem Povero, który kiedyś zadziwiał cały świat pod moim nauczycielem, Jamesem Fillisem.

Jan pogłaskał wierzchowca po szyi, poskubał w grzywę, chuchnął w nozdrza. Zawsze tak postępował z koniem, kiedy pierwszy raz na niego wsiadał. Tak konie zawierają ze sobą znajomość na wolności i demonstrują przyjazne zamiary. Po chwili był już w siodle, zbierał wodze. Bagration udzielił mu kilku wskazówek. Jan kłusował, galopował. Koń był niezwykle lekki w ręce.

– Więcej impulsu, ostrogi bliżej boków, lżejszy kontakt wodzami – instruował ksiązę.

Koń pod Janem stawał się coraz bardziej sprężysty. Szedł rytmicznie i równo jak maszyna. Odbijał się od ziemi i na moment zawisał w powietrzu. Ruch i praca sprawiały mu przyjemność, Jan czuł to wyraźnie.

– Więcej ciężaru w siodle, jeszcze więcej. O, tak! Bardzo dobrze.

Jan podjechał do bandy, a ksiązę pomógł mu wprowadzić konia w pasaż. Po chwili Jan odjechał i pasażował bez pomocy z ziemi. Wydawało się, że koń płynie. Reagował na tak delikatne sygnały Jana, przesunięcie ciężaru, pochylenie, mocniejszy nacisk na strzemień, dotknięcie łydki, jakby sam chciał zgadnąć, czego jeździec od niego oczekuje. Jan zapomniał o całym świecie. Wykonał jeszcze kilka zmian nogi w galopie w każdym takcie i piruety w galopie. Pierwszy raz w życiu wykonywał tak trudne ruchy.

– Bardzo dobrze, świetnie! – słyszał pochwały księcia. – Zdumiewająco dobrze.

Zsiadł z konia, pogłaskał i podziękował, oddał go luzakowi. Trybuny wrzały oklaskami. Popatrzył na Katię. Biła brawo i coś do niego wołała.

– Ma pan niezwykle wyczucie konia i równowagi, panie poruczniku. Wspólnej równowagi człowieka i konia – ocenił Bagration. – Gratuluję!

– Koń jest wspaniale ujeżdżony. To dla mnie niezwykle doświadczenie, pan jest wielkim mistrzem.

Szedł w ich stronę młody człowiek w mundurze porucznika lejbgwardii. Z daleka wyciągał dłoń do Jana. Był niewysoki, szczupły, miał smagłą twarz, ładną i delikatną jak u dziewczyny.

– Wasza Cesarska Wysokość pozwoli, że przedstawię porucznika Jana Szawernowskiego. – Bagration skłonił się nisko przed nadchodzącym. – Wielki ksiązę Dymitr Pawłowicz. – Janowi szepnął: – To bratanek cesarza.

– Słyszałem o pana zwycięstwach w Nicei, gratuluję! – Ksiązę uśmiechał się szeroko i małą dłoń mocno uściśnął dłoń Jana.

– A ja o świetnym wyniku Waszej Cesarskiej Wysokości w Sztokholmie.

– No, byłem tylko siódmy...

– Ale to olimpiada przecież!

– Może odwiedziłby pan nasze stajnie w pułku, pokażę panu moje konie.

Również książę Bagration zapraszał na kolację. Ale Jan podziękował, musiał wieczorem jechać do Warszawy, jego urlop się kończył.

– Wielka szkoda, że pan wyjeżdża – rzekł Bagration. – Mamy teraz pełnię sezonu towarzyskiego, w tym roku niezwykle udanego. Niezwykle! Takich balów Sankt Petersburg dawno nie widział.

– O tak – potwierdził wielki książę. – Jest jakaś szczególna atmosfera w stolicy. Coś wisi w powietrzu, wszyscy się bawią, jakby to miały być ostatnie chwile w ich życiu. Cóż, w takim razie do zobaczenia! Może na olimpiadzie w Berlinie?

\* \* \*

Stał w otwartym oknie wagonu, a Katia żegnała go na peronie. Ostatnie minuty do odjazdu.

– A czy wiesz, Jan, że będzie pomnik Chopina w Warszawie?

– Oczywiście, nawet dałem jakieś pieniądze, kiedy zbierano składki. Ale to już kilka lat temu.

– Były z tym różne kłopoty. Ale na pewno nie wiesz, że to moja nauczycielka maestra Adela Bolska zainicjowała całą rzecz przed laty, jeszcze w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. Jest Polką, jej panięńskie nazwisko brzmi Skąpska. Była u samego cara Mikołaja i uzyskała od niego zgodę na pomnik. Ma stanąć na placu Wareckim w Warszawie. Razem z mężem utworzyła komitet i przeznaczyła na jego rzecz dużą część dochodów ze swoich koncertów. Potem były kłopoty, jakieś zastrzeżenia wobec projektu, który wygrał konkurs. Ale teraz już to wszystko zostało przezwyciężone i w Krakowie jest prawie gotowy model do odlewu. Bolska wybiera się go obejrzeć.

– Więc przyjeźdź z nią do Krakowa.

– Może... może przyjadę. Lubisz Chopina, Jan?

– Każdy Polak go kocha.

– Zagram ci Chopina, jak się zobaczymy.

Zabręczał trzeci dzwonek przed odjazdem, stuknęły zamykane drzwi, sapnęła lokomotywa, koła zabuksowały na szynach, pociąg szarpnął i ruszył. Katia powiewała chusteczką, a Jan wychylał się z okna. Aż zniknęli sobie z oczu. Jan patrzył tak długo, aż światła stacji rozplynęły się w mroku. Katia jeszcze przez kilka chwil widziała czerwone światła ostatniego wagonu.

<sup>1</sup> Grzegorz Fitelberg (1879–1953), dyrygent i kompozytor, był Łotyszem żydowskiego pochodzenia, lecz uczył się i studiował w Warszawie, zupełnie się spolonizował i uważał za Polaka.

<sup>2</sup> Helsingfors – dzisiejsze Helsinki.

## Łukiszki, folwark majątku Gołubyje Prudy

Mróz nie żartował. Iwan Jurko nie miał termometru, ale kiedy czuł zamróz w spodniach na siedzeniu, musiało być poniżej dwudziestu stopni. Od rana przekopał ścieżkę w śniegu od chałupy do drogi i wydeptał koło stodoły. Naprawił kołowrót studni, naniósł wody do domu, porąbał drewno na opał, ułożył pod okapem dachu.

W domu było ciepło. Kobieta warzyła zupę. Kapuśniak. Raz był kapuśniak, raz krupnik, raz barszcz, raz żur. Czasem trochę skwarków do ziemniaków, raz na tydzień odrobina słoniny. Kobieta narzekała, jak zwykle. Nic baba nie rozumie. Już tylko trzynaście miesięcy i spłacą ziemię. Wtedy nastaną inne czasy. Będą jeść i żyć jak ludzie. Jeszcze tylko trzynaście miesięcy!

Otupał buty w sieni, zdjął szubę i wszedł do izby. Grzał dłonie przy kuchni. Patrzył przez okno na ciemniejącą równinę. Białe pole i szara kreska lasu. Ktoś nadjeżdżał. Kogo diabli niosą? Zbliżało się trzech jeźdźców. Po chwili zobaczył, że to żandarm z posterunku i jeszcze jakichś dwóch. Włożył szubę i wyszedł przed dom.

Podjechali. Pchnęli bramę i wjechali na podwórze. Para biła z końskich nozdrzy, na grzbietach za siodłami i na szyjach drobinki lodu uprzedły siatkę ze szronu. Patrzył na nich i starał się domyślić, co ich tutaj sprowadza. Może tak jak w zeszłym roku jacyś agitatorzy pojawili się w pobliżu. Nie widział we wsi ostatnio żadnych obcych. Chętnie by pomógł, ale nikogo tu nie było.

– Iwanie, mamy na ciebie donos – powiedział Maksym Kamotkin. – Rozpowszechniasz treści rewolucyjne. Mamy nakaz rewizji. Wejdźmy do domu.

– Co ty, Maksymie Matwiejewiczu! Znamy się od dwudziestu lat. Ja miałbym rozpowszechniać jakieś treści, jakąś rewolucję, co ty mówisz?

– Sprawdźmy!

Weszli. W sieni otrzepali buty ze śniegu, przeżegnali się przed ikoną i zaczęli sprawdzać. Od razu wyrzucili na stół książki z szafy pod oknem. Puszkina, Lermontowa, Dostojewskiego, Plechanowa.

– O! Plechanow, ptaszku czerwony! – rzekł jeden.

– O! „Iskra”! – krzyknął drugi. – Mamy tu propagandę komunistyczną.

– Mam prawo czytać, co chcę – zaprotestował Iwan.

– No masz – potwierdził Kamotkin. – Ale ty czytałeś te świństwa sąsiadom!

A to już kryminał, agitacja komunistyczna.

– To nieprawda. Kto na mnie doniósł?

– Kto doniósł, ten doniósł, a ty, Iwanie, pojedziesz z nami do Briańska, do cyrkułu. Tam się tobą zajmą.

Kiedy go wyprowadzali, wołał do żony:

– Tania, wydaj Nastię za Konopiakina, wydaj ją za niego lub za innego, byle ktoś zajął się gospodarstwem. Ojciec za stary, sam nie poradzi, musi być mężczyzna!

Szedł za koniem żandarma ze związanymi rękami. Potykał się w głębokim śniegu. Popatrzył na szmat ziemi pod lasem. Ciemno. Prawie nic już nie widział. Ale ziemia tam leżała. Czuł ją. Tyle lat, tyle pracy, tyle bólu w krzyżu, w plecach. Jego ziemia. Czy na świecie nie ma sprawiedliwości?

\* \* \*

Sędzia przewracał papiery na stole. Miał miłą, pulchną twarz i siwe bokobrody. Mucha obudzona nie w porę, bo przecież był grudzień, latała, głośno brzęcząc; oganiał się przed nią. Pac! Nie trafił tomem akt, uciekła. Protokolant umoczył pióro w kałamarzu. Leżały przed nim arkusze czystego papieru i ładne czerwone jabłko. Iwan siedział wśród kilkunastu więźniów w końcu sali. Każdy miał przy sobie jednego albo dwóch żandarmów. Pachniało mokrymi szynelami.

– Iwan Jurko – usłyszał. – Podejdźcie.

Zbliżył się do barierki dla zeznających.

– Urodzony w obłasti briańskiej dwudziestego drugiego czerwca tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku?

– Tak, wasza wielmożność.

– Wysoki Sądzie. Proszę się do mnie zwracać „Wysoki Sądzie”.

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Jesteście komunistą?

– Nie, nigdy w życiu.

– Mieliście ich pismo „Iskrę”. Od kogo ją dostaliście?

– Znalazłem w banku, kiedy płaciłem ratę za ziemię.

– Czytaliście chłopom z waszej wsi.

– Nie, Wysoki Sądzie. Sam tylko przeczytałem, z ciekawości. Nie jestem komunistą, kocham naszego cara Mikołaja Drugiego. Ciężko pracuję i spłacam od dwunastu lat raty za ziemię. Chcę tylko spokojnie żyć i pracować.

– Donieśli na was, że czytaliście innym. To przestępstwo, propaganda przeciw samodzielnemu.

– Nie, przysięgam, sam tylko przeczytałem.

– Na mocy paragrafu... – sędzia czytał szybko i monotonicznie – w związku z paragrafem... – Jurko był tak zdumiony tempem przebiegu rozprawy, że ledwie słyszał, co mówi sędzia – kodeksu karnego z dnia... marca... roku i z późniejszymi zmianami, skazuję was na pięć lat zesłania do Republiki Komi.

Miły, pulchny, siwowłosy człowiek stuknął młotkiem:

– Następna sprawa, proszę.

## Petersburg

Pięć razy w tygodniu dwugodzinne lekcje u maestry Bolskiej. Wokalizy, frazowanie, oddech, przepona, tryle, pasaże, pasaże... Dwa razy w tygodniu lekcje aktorstwa i dykcji, dwa razy lekcje ruchu scenicznego. Trzy razy lekcja języka włoskiego. Poczuć jego melodię. Cztery razy w tygodniu próby w teatrze. W soboty i niedziele występy na scenie. Przed spektaklem półtorej godziny w garderobie z charakterizatorem i krawcami. Po spektaklu godzina na zmywanie charakteryzacji i zabiegi kosmetyczne. Żadnych bankietów ani przyjęć po przedstawieniach. Nawet po premierach. Tak postanowiła, bo to strata czasu. W prasie pojawiły się tytuły *Arogancka primadonna*. Potem – *Tajemnicza Katia Niśluchowa*, wreszcie – *Asceza gwiazdy*. Bezwiednie przyczyniła się do wzrostu swojej popularności.

W domu czytanie libretta i praca z akompaniatorem nad opanowaniem kolejnej opery. Wkrótce umiała już na pamięć najczęściej grane opery Verdiego, Rossiniego i Pucciniego. Ucząc się ich, śpiewała półgłosem. Także partie tenora i barytona, żeby niczego nie uronić z tej muzyki. Potrzebny był jak najszerszy repertuar; od tego zależały kontrakty poza teatrem. Była perfekcjonistką i gotowa była się zapracować na śmierć. Aż Bolska kazała jej ograniczyć liczbę godzin śpiewu w obawie o zniszczenie głosu.

Na początku usiłowała jeszcze czasem przeczytać coś niemającego związku z operą. Potem zrezygnowała.

Wieczorami była strasznie zmęczona. Tylko kąpiel i relaks. Wtedy myślała o Janie. Mieli się spotkać w Kijowie, lecz jej występy zostały odwołane, bo w tamtejszej operze doszło do niewielkiego pożaru i zniszczeń nie udało się na czas usunąć. A więc dopiero marzec, w Berlinie, na zawodach.

Pojawili się teraz inni mężczyźni w jej otoczeniu. Borys Bielajew, bogacz i fanatyk automobilizmu, przyjeżdżał pod jej dom luksusowymi autami i błagał, żeby pozwalała wozić się do teatru lub na lekcje. Ścigał się na torach i planował budowę fabryki samochodów pod Moskwą. Pisał też futurystyczne wiersze o potędze maszyn, śrub, trybów i silników. Czasem pozwalała mu się zaprosić na obiad. Żył w tym swoim mechanicznym świecie, kupował wciąż nowe auta i bawił się nimi jak zabawkami. Marzył o rekordach szybkości. Parę razy w życiu już się rozbił, ale nic mu się nie stało. Urzekął ją swoją brawurą i wyobraźnią. Myślała o nim często i z przyjemnością. Kiedy jako kilkunastolatka wyobrażała sobie swego przyszłego idealnego ukochanego, jego obraz fizycznie bardzo przypominał Borysa Bielajewa.

Jakiś młody człowiek wciąż przysyłał kwiaty i listy. Zobaczyła go, kiedy z pierwszego rzędu na parterze rzucił jej na scenę bukiet z listem. Ten jeden raz się



pokazał. Potem tylko przychodziły kwiaty i listy z wyznaniem. Podpisywał się Karl.

Paweł Serafinow był bardzo znanym adwokatem, żonatym i dzieciatym czterdziestolatkiem. Poznała go przy okazji podpisywania kontraktów. Raz była u niego, zaproszona na świąteczną kolację. Oboje z żoną ją adorowali, lecz mecenas był tak jawnie w niej zakochany, że już nigdy więcej do nich nie poszła. Był miłośnikiem i znawcą opery od lat, znał także świat europejskiego teatru operowego. Chciał zająć się negocjowaniem wszystkich jej kontraktów, lecz odmówiła.

Sławny w świecie tenor, występujący gościnnie w Petersburgu, kiedy ją usłyszał w *Normie* Belliniego, proponował wspólne półroczne tournée po najświetniejszych scenach operowych świata. To byłaby dla niej wielka szansa, lecz propozycja miała tak wyraźny podtekst erotyczny, a tenor był tak natarczywy, że wreszcie odmówiła. Rzecz dostała się jakoś do prasy, tylko przyczyniając jej sławy. Jekatierina Niesłuchowa odmówiła partnerowania samemu Giuseppe Di Pietro! Sensacja! Nawet Jan w swoich Pardubicach dowiedział się o tym z gazety.

\* \* \*

Katia obudziła się przed dziewiątą i bardzo nie chciało jej się wstawać. Pod koniec tygodnia miała jechać do Berlina, by spotkać się z Janem na zawodach. Przerażała ją myśl o spędzeniu ponad dwudziestu godzin w pociągu. Kilka godzin na miejscu bo tylko tyle miała czasu, i powrót, znów doba w podróży. Szaleństwo. Już wczoraj postanowiła dać sobie chociaż dzień odpoczynku. Borys Bielajew znowu zapraszał do posiadłości pod Gaczną, żeby jej pokazać swoją kolekcję samochodów.

– Jedni mają kolekcję znaczków pocztowych – śmiała się – inni samochodów. Ale zawsze chodzi o to samo.

– Jak możesz, Katiu! – protestował. – Gdybyś zgodziła się wyjść za mnie, pod warunkiem że spalę wszystkie moje pięćdziesiąt osiem aut... Mógłbym do tego dorzucić jeszcze, że nawet z pałacem!

Pocałowała go za to wyznanie w policzek.

– To by mnie mogło przekonać... może? – powiedziała. – Dobrze! Więc przyjadę jutro do ciebie, zobaczyć, jak płonie twój pałac i pięćdziesiąt aut.

– Pięćdziesiąt osiem! – ucieszył się.

Wstała i zaczęła się ubierać, kiedy weszła Nastia.

– Proszę pani, był szofer pana Bielajewa. Auto już czeka na panią.

Podeszła do okna. Na dole stała wielka granatowa limuzyna ze skrzydlatym gryfem na szczycie chromowanej chłodnicy. Jaskrawożółte szprychy i obręcze kół. Na drzwiach herb Bielajewów. Szofer właśnie wyszedł na ulicę, oparł się o błotnik i zapalił papierosa.

Godzinę później mijali przedmieścia Petersburga. W aucie pachniało skórą tapicerki i odrobinę benzyną, a szofer opowiadał, jak woził kiedyś tym samochodem swego pracodawcę z wielkim księciem Sergiuszem i Matyldą Krzezińską – do jej daczy w Strielnie nad morzem. Sławna baletnica miała romans z samym carem, kiedy Mikołaj był jeszcze następcą tronu, potem z wielkimi książętami Sergiuszem, a następnie z Andrzejem Władimirowiczem Romanowem. Katia często spotykała się w teatrze z Krzezińską, sławną w całej Europie po występach z Diagilewem w Paryżu, zwaną *primabalerina assoluta*. Na Zachodzie balet uważany był w tych czasach za bardziej podrzędny rodzaj sztuki niż dramat czy opera. Wystawiany był jako dodatek, dodatkowa atrakcja do opery. Dopiero występy Krzezińskiej to zmieniły. W Rosji już od dawna balet był traktowany jako sztuka równie ważna jak inne. Katia podziwiała primabalerinę, choć jeszcze bardziej podobały jej się Anna Popowa i Tamara Karsawina. Krzezińskiej jedni nienawidzili, a inni ją uwielbiali. Jedni uważali ją za artystkę najwyższego lotu, inni za intrygantkę, która wykorzystuje swój dawny związek z Mikołajem II do załatwiania personalnych animozji. Katię trochę do niej zniechęcało, że będąc z pochodzenia Polką, jest zupełnie zrussyfikowana. Więc jakoś się nie zaprzyjaźniły.

– W urodziny Krzezińskiej przy stole w Strielnie zasiadało kilkaset osób – mówił szofer. – Dla wygody gości wynajmowano pociąg, który ich przywoził z Petersburga. W willi całe wyposażenie sprowadzono z Paryża. Nawet klamki do okien.

Katia nagle zdała sobie sprawę, że jedzie w niewłaściwym kierunku. Jeszcze przed chwilą cieszyła się na spotkanie z Borysem, a teraz... Ten jego świat... Igor ma rację, nazywając tych ludzi pasożytami i darmozjadami. Pięćdziesiąt aut... Nie, pięćdziesiąt osiem! Ilu chłopów na wsi chciałoby mieć chociaż pięć świń? Dokąd, na Boga, jedzie?! I po co? Przestała odpowiadać szoferowi i nie słyszała już, co mówi. Przez kilka minut nie odzywała się. Nie! Chce być z Janem. Z Janem, tylko z Janem!

Opuściła szybę. Śnieg leżał jeszcze na polach, ale było ciepło. Nadszedł już marzec. Nie widziała Jana od czterech miesięcy, od listopada ubiegłego roku. Jak to możliwe!? Jak mogła tak długo go nie widzieć?

– Proszę zawrócić – powiedziała. – O czymś zapomniałam. Nie mogę jechać do pana Bielajewa. Proszę go przeprosić, ale nie mogę.

## Berlin

Pociąg się spóźnił. Katia tylko na chwilę wpadła do hotelu, przebrała się i jechała do Deutsche Sportpalst. Kiedy dotarła na widownię, kończył się pierwszy konkurs tego dnia zawodów. Nie rozumiała niemieckich zapowiedzi spikera, lecz powtarzane były po francusku. Konkurs sześciu barier. Sześć pionowych przeszkód, stacjonat, jedna za drugą w odległości dwóch taktów galopu. Każda następna wyższa o dziesięć centymetrów. Jeździec i koń, który nie straci żadnej, przechodzą do następnej tury, w której wszystkie przeszkody podnosi się o kolejne dziesięć centymetrów.

– W tej fazie mamy już od stu dwudziestu centymetrów na wstępie – usłyszała – do stu siedemdziesięciu na wyjściu. Pozostało tylko trzech jeźdźców. Dwaj zawodnicy armii niemieckiej i...

Zobaczyła go, zanim wymieniono nazwisko. Jan wjechał na Jaśku. Rozglądał się po parcoursie. Zatrzymał się przed trybuną sędziowską, zasalutował. Szybko przebiegał wzrokiem trybuny. Szukał jej wśród pięciu tysięcy widzów. Wstała i machała do niego, lecz nie widział jej. A jej ścisnęło się serce. Pomyślał, że nie przyjechała, nie dotrzymała słowa!

Jasiek galopował spokojnie. Poprzednie szeregi przeszkód pokonał bez żadnych emocji. Idealnie nadawał się do takiego konkursu, w którym zupełnie nie liczył się czas, a tylko pewność i potęga skoku. Jan skoczył małą przeszkodę rozprężeniową, która nie liczyła się do wyniku. Jasiek puknął tylnym kopytem w drąg, który jednak nie spadł. Jan skarcił go głosem i klepnął palcatem po szyi. Obudź się!

Najeżdżali na długi, jakby niekończący się szereg stacjonat, jedna za drugą – biało-niebieskie drągi. Jasiek galopował flegmatycznie, nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Jan nacisnął mocniej łydkami, docisnął ciężarem; obawiał się, że Jasiek prześpi i coś zrzuci. Pierwsza – dobrze. Druga – dobrze. Trzecią musnął, ale drąg nie spadł. Jan znów krzyknął i trącił palcatem po łopatce. Czwarta, sto pięćdziesiąt centymetrów, trochę Jaśka pobudziła. Sto sześćdziesiąt i sto siedemdziesiąt – dał z siebie wszystko. Bezbłędnie!

Zjeżdżał z toru wśród oklasków i znów rozglądał się po trybunach. Nie mógł jej dostrzec wśród takiego tłumu. Zerwała się i pobiegła na rozprężalnię. Luzak Rudi przykrywał grzbiet konia derką, Jan klepał go i położywszy się na jego szyi, częstował cukrem. Biegła i wołała do niego z daleka. Zobaczył ją i rozpromienił się.

– Katiu! Katiu, przyjechałaś... tak się cieszę. – Przechylił się do niej z siodła i pocałował w usta.

Objęła go za szyję i tak trwali chwilę.

– Nie mogę teraz zsiąść z konia, wybacz – powiedział. – Za chwilę znów jadę.

– Trzymam kciuki.

Zachrypiał głośnik:

– Przygotowuje się porucznik Jan Szawernowski.

Jan ruszył, a Katia pobiegła z powrotem na trybunę. Zobaczyła, jak Niemiec Schultze zrzuca ostatnią przeszkodę – sto osiemdziesiąt centymetrów. Jęk zawodu publiczności, brawa i komunikat, że w konkursie jest już tylko drugi Niemiec Hans Joerke i reprezentant Austro-Węgier porucznik Szawernowski.

Jan wjechał energicznie. Nie skakał już nieobowiązkowej przeszkody, jechał od razu na szereg. Jasiak skakał spokojnie i teraz obudził się już przy czwartej stajonacie. Puknął piętą, lecz nie spadła. Bardzo się postarał na ostatniej i ledwo musnął nadgarstkiem. Zakołysała się w kłódkach... spadła. Jan pokręcił głową z niedowierzaniem. Takie dotknięcie! A jednak – pech. Poklepał konia; bardzo się starał.

Teraz wszystko zależało od Hansa Joerkego. Jan mógł zająć drugie miejsce, jeśli Niemiec przejedzie bezbłędnie. Jedna zrzutka Niemca dawałaby im pierwsze i drugie miejsce *ex aequo*. Więcej zrzutek Joerkego spychałoby Niemca na drugie miejsce. Jan mógł jeszcze wygrać.

Nie zjeżdżał już z parcoursu, stępował i przyglądał się Niemcowi. Koń był duży i piękny. Zwłaszcza w porównaniu z małym i niepozornym Jaśkiem. Ciemnogniady, z białymi dwoma przednimi pęciami, lśnił czerwono. Grzywę miał zaplecioną w małe koreczki podkreślające linię szyi. Był energiczny i spokojny. Wszedł w szereg dynamicznie, skakał z kocią zręcznością. Pierwsza, druga, trzecia, czwarta bezbłędnie. I nagle się przestraszył. Piętą skoczył z oporem, a w szóstą prawie wpadł, ściągając dwa górne drągi. Ile drągów zrzucił – dla wyniku nie miało znaczenia. Jan i Niemiec zajęli równorzędne pierwsze miejsca. Obaj zostali już na ujeżdżalni do dekoracji. Kiedy stali na koniach obok siebie, Niemiec powiedział:

– Gratuluję, to pan był lepszy! – Poklepał Jana po ramieniu.

– Ile lat ma pański koń?

– Siedem.

– Mój dwa razy tyle. Jest bardzo doświadczony. Pański imponuje elastycznością i siłą. Wszystko jeszcze przed nim.

Uścisnęli sobie dłonie, pogratulowali. Szefowie ekip odbierali nagrody i losowali, komu przypadnie puchar. Tym razem Jan miał więcej szczęścia. Srebrny kielich zwieńczony złotą sylwetką konia przypadł jemu.

Jechali ramię przy ramieniu rundę honorową wśród oklasków i dźwięków *Lekkiej kawalerii*, z kolorowymi wstążkami powiewającymi przy naczółkach uzd. Przed trybunami salutowali. Konie parskały i nawet flegmatyczny Jasiak się

ożywił. Strzygł uszami i rzucał głową, jakby się kłaniał. Katia zeszła na dół aż do barierki, machała chusteczką i teraz Jan ją zauważył. Cieszyli się i śmiali radośnie. Świat był taki piękny! Tak cudownie piękny.

\* \* \*

W przerwie przed następnym konkursem zdążyli zamienić tylko kilka zdań. Jan teraz jechał na Picadorze i już musiał się przygotowywać. Podstawowy przebieg wykonali bezbłędnie. Do rozgrywki na krótszym parcoursie i wyższych przeszkodach zakwalifikowało się oprócz niego pięciu innych jeźdźców. Trzej pierwsi w rozgrywce mieli zrzutki. Piąty, Włoch Mario Tesio, znajomy Jana ze szkolenia w Pinerolo, przejechał czysto. Żeby wygrać, Jan musiał pojechać bezbłędnie i szybciej od niego. Picador parł do przodu i między przeszkodami brykał jak zwykle. Skakał świetnie; galopowali dużo mocniej niż Włoch.

Jan jechał po zwycięstwo.

Do piątej przeszkody wszystko szło świetnie. W szereg Picador wszedł tak ogromnym skokiem, że znalazł się za blisko, żeby podejść do następnej przeszkody dwoma skokami galopu. Jan spostrzegł katastrofę na ułamek sekundy wcześniej. Nic już nie mógł zrobić. Po jednym tylko foulé galopu koń odbił się do drugiego skoku. Za daleko! To było szalenie ambitne i niewykonalne. Wpadł w środek oksera, zaplątał się, nie wytrzymał lądowania na nogach, którym drągi nie pozwoliły się wyprostować i zrolował przez łeb na ziemię. Jan wyleciał z siodła jak z procy i uderzył o coś głową.

\* \* \*

Kiedy ocknął się w szpitalu, zobaczył nad sobą twarz Katii. Płakała i ścisnęła jego rękę.

– Jan, Jan, odzyskujesz przytomność. Dzięki Bogu!

Od razu oprzytomniał.

– Co z Picadorem? – spytał.

– Nic mu nie jest, trochę tylko podrapany.

– Naprawdę? Nie kuleje, nogi całe? Skąd wiesz?

– Naprawdę. Był tu przed chwilą twój szef ekipy. Powiedział, że wszystko w porządku.

Jan macał się po głowie, znalazł wielkiego guza. Poruszał rękami i nogami.

– Mnie też chyba nic się nie stało. – Podniósł się i usiadł.

– Nie, nie, nie wolno! – wołała Katia. – Głowę masz całą, zrobili ci prześwietlenie, ale lekarz zabronił, miałeś wstrząs mózgu. Musisz leżeć.

– Mam leżeć? Nic mi nie jest. Gdzie moje ubranie?

Poszedł w pidżamie i na bosaka w stronę szafy. Zakręciło mu się w głowie, lecz po chwili przeszło. Ubrał się, wciągnął buty. Podeszedł do Katii, objął ją

i całował. Miłość, tęsknota i pożądanie ogarnęło ich jak ciemna fala. Pragnienie, by być ze sobą jak najbliżej. Katia tuliła się do niego z całych sił.

– Tak się o ciebie bałam, tak się bałam.

– Chodźmy stąd, chodźmy – wyszeptał.

Ale nie mogli się od siebie oderwać. Wyszli na korytarz półprzytomni, wciąż się obejmując. Jan zobaczył jakieś puste, otwarte pomieszczenie. Pociągnął ją za sobą do środka. Mały pokój ambulatorium. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Wywrócili po drodze jakiś stolik, coś się stłukło, z brzękiem spadło na posadzkę. Rozrzucali ubrania. Padli na kozetkę, kochali się zachłannie i nieprzytomnie. Oboje nie mieli wielkiego doświadczenia, lecz miłość zabarwiła wszystko na purpurowo i płonęli razem. I słyszeli wszystkie arie świata.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, a potem zaczął się dobijać, nie od razu zrozumieli, co się dzieje. Potem ubrali się i wyszli. Wciąż ją obejmował. Dwie pielęgniarki i lekarz patrzyli na nich zdumieni. Jan uśmiechnął się przeproszająco. Lekarz, wyraźnie oburzony, chciał coś powiedzieć, lecz Jan położył mu dłoń na ramieniu.

– To moja żona – powiedział. – Bardzo długo nie mogliśmy się odnaleźć.

## Moskwa

Śmierdziało stęchlizną i Iwana Jurko od razu oblaży pluskwy i wszy. Siedzieli na kanapach z podartymi obiciami, spod których wystawały sprężyny; wagon widocznie przerobiono na więzienny ze zwykłego, trzeciej klasy. Była noc, koła pociągu dudniły, parowóz gwizdał przeciągle, Iwan jechał w nieznane. Okno było zabite deskami, a od korytarza przedział oddzielała kratka. Na rękach miał kajdany połączone łańcuchem z trzema więźniami. W każdej klatce jechało po ośmiu, ale przedział Iwana był ostatni i czterech zabrakło do kompletu. Dwaj towarzysze, po obu jego stronach byli bezdomni i strasznie śmierdzieli. Trzeci wyglądał na inteligenta i trząsał się z zimna w swoim kusym płaszczku.

W klatce był półmrok. Przez szpary w deskach zamigotały światła jakiejś mijanej stacji. Iwan usiłował coś zobaczyć, ciągnął innych łańcuchami w stronę okna, lecz migały tylko jakieś zabudowania. Nazwa stacji przeleciała tak szybko i blisko, że nie zdążył przeczytać.

– Jedziemy do Moskwy – odezwał się inteligent.

– Skąd wiesz?

– Bo już tam byłem. Zawsze wiozą przez Moskwę. Tam rozdzielają transporty na wszystkie strony.

– Byłeś już na zesłaniu? Za co?

– Dwa razy. I dwa razy uciekłem. Należę do partii.

– Komunista? Bolszewik?

– Bolszewik. A ty?

– Oskarżyli mnie o szerzenie komunistycznej propagandy. Miałem „Iskrę” w domu.

– No to jesteśmy towarzyszami. Jestem Mikołaj Borzój. – Wyciągnął rękę.

Lecz Iwan swojej nie podał.

– Nie jestem twoim towarzyszem. Czytałem „Iskrę” przypadkowo i nikogo nie agitowałem.

– Nie jesteś towarzyszem?! No, jak posiedzisz trochę na zesłaniu, to wszystko zrozumiesz. W pół roku staniesz się i towarzyszem, i rewolucjonistą. To ci gwarantuję.

Iwan nie odpowiedział. Łukiszki. Wciąż jeszcze myślami był w domu, w Łukiszkach. Co teraz robią Ola i Tania, jego żona? Ojciec pewnie poszedł już spać. A one? Minał miesiąc od aresztowania. Może Nastia już zaręczona z Miszą Konopiakinem. Przychodził do dziewczyny, przesiadywał w izbie, pomagał, naprawiał płot, przynosił wodę do prania. Dobry chłopak. Młody, silny, zająłby się ziemią, gospodarstwem; jego ojciec pracowity, pije tylko w niedzielę i od święta, Misza tak samo. Pieniądze na ratę w tamtym miesiącu mieli odłożone. Na

Wielkanoc mogliby ogłosić zaręczyny albo i ślub... Stary Konopiakin niebogaty, ale jednakowi przecież coś da. Może chociaż krowę albo cielaka... A jak stary kiedyś pomrze, młody grunt odziedziczy, nawet jest niedaleko. Gdyby dało się pozamieniać, można by połączyć w jedną całość...

Który doniósł? Na myśl o tym Iwan zaciskał pięści i pot występował mu na czoło. Nie daruje! Pewnie stary Pietrow. Zawsze patrzył wilkiem. Albo Matwiej Zauchin. Nie daruje! Jak wróci, policzy się z nimi. Swołocz! Ubić to za mało. Coś wymyśli. A było tak blisko, tak blisko... Od dawna planował wielką uroczystość na ten dzień, kiedy ziemia już będzie całkiem spleciona. Pierwszy miesiąc bez spleaty dałby im dość pieniędzy, żeby zaprosić pół wsi. Niechby pili, niechby się cieszyli razem z nim! Ale nie! Nie cieszyli się widocznie. Zazdrościli, donieśli, oczernili. Podłość. Ludzka podłość nie mieści się w głowie. Ile razy wyobrażał sobie ten dzień, kiedy wyjdzie z pługiem na własne pole. Całkiem i zupełnie już własne! Koń pociągnie pług i będzie orał bruzdę za bruzdą, zagon za zagonem. Ach, Boże! Jak wróci za te pięć lat! Żeby tymczasem chociaż ten Konopiakin...

\* \* \*

W Moskwie wyładunek. Błady poranek, mglisty i przenikliwie zimny. Ustawili ich na peronie, przeliczyli i pognali ulicami, razem jakieś osiemdziesiąt osób. Szli z godzinę. Mężczyźni, kobiety, dzieci nawet. Zbieranina ze wszystkich stron Rosji. Złodzieje, bandyci, bezdomni bez dokumentów, stręczyciele, oszuści. I polityczni. Po obu stronach żołnierze z karabinami, bagnety na sztyk. Pokrzykiwali, szli tak szybko, że niektórzy musieli podbiegać truchtem.

Iwan miał na grzbiecie porządny kozuch, ciepły. Buty dobre. A tu niektórzy na bosaka i w jakichś łachmanach. Padał drobny deszcz ze śniegiem. Mrozu nie było, tylko ta przenikliwa wilgoć. Szli ulicami, mijali przechodniów i Iwan wstydził się spojrzeć im w oczy. Nie jest przecież żadnym przestępcą, a tak na niego patrzają. Wstyd! Wstyd! Szedł z Borzajem i dwoma śmierzdelami na samym końcu kolumny i cały czas patrzył tylko pod nogi. Jakiś starszy mężczyzna przed nim wciąż się potykał, wreszcie upadł. Miał czerwone oczy i ciężko dyszał. Kaszłał i charczał. Chory. Podnieśli go towarzysze, podtrzymywali pod ręce, jakoś dowlekli na miejsce.

Nad bramą napis: „Więzienie Przesyłowe w Moskwie”. Na placu przed budynkiem z czerwonej cegły czekały już na wejście cztery podobne grupy jak ich. Po kilkadziesiąt, może nawet po stu więźniów.

Teraz stali i czekali na swoją kolej. Co jakieś pół godziny kolejne grupy zniknęły w bramie. Weszli wreszcie. Ogromna, zimna hala wysoka na dwa piętra szumiała gwarem kilkuset ludzi. W trzech rzędach kilkadziesiąt klatek poprzedzielanych siatką z grubego drutu. Iwan patrzył i nie rozumiał. Co to jest?! W jednych klatkach ludzie stali nadzy, w innych rozbierali się, w jeszcze innych



ustawiali się w kolejkach do stolików, przy których siedzieli żandarmi. Niektórzy dziwnie się zachowywali. Podskakiwali, uderzali się po nogach, po rękach. Dziwny, słodkawy zapach potu i czegoś jeszcze. Po chwili zrozumiał, gdy oblaży go całe legiony wszy i pluskiew. Też zaczął się z nich otrząsać i uderzać po łydkach, po udach.

Najpierw rozkuli ich z kajdan. Każdy teraz niósł swoje łańcuchy do pierwszego rzędu klatek. Otwierały się drzwi z siatki i zamykały za nimi.

– Rozbierać się do naga!

Iwan stał i nie mógł się przemóc. Podskoczył strażnik i zdzielił go pałką po plecach. Iwan miał w rękach kajdany i już miał się nimi zamachnąć, ledwo się powstrzymał. Rozebrał się. Teraz robactwo łąziło po gołym ciele, łaskotało i gryzło. Nadzy przechodzili do następnego rzędu klatek. Iwan stał goły i bosy na betonie mokrym od błota naniesionego na butach. Dwie klatki dalej widział nagie kobiety zasłaniające się rękami. Widział, jak kilka z nich płacze. Tymczasem strażnicy rewidowali ich rzeczy. Ich mundury dziwnie pachniały. Były nasyczone jakimś środkiem przeciw robactwu; wszy i pluskwy ich nie obsiadały.

Nigdy w życiu nie czuł się tak poniżony. Te nagie ciała setek skazańców, ta mgiełka parujących ciał i ubrań... Przypomniało mu się coś podobnego. W cerkwi w Briańsku widział kiedyś obraz przedstawiający potępionych w piekle. Też byli nadzy i przerażeni. Były tam jeszcze płomienie i diabły. Tutaj straszny ziąb, robactwo i strażnicy. Ogarnęła go nienawiść. Aż zacisnął pięści i zgrzytał zębami. Nienawiść do tych, którzy go wydali, i do innych. Do wszystkich: strażników, żandarmów, urzędników, „waszych wielmożności i jaśnie oświeconych”.

Wrócili po swoje ubrania. Potem przegonili ich do następnego rzędu klatek, gdzie strażnicy spisywali personalia i wyroki. Podawali numery grup wyjazdowych. Iwan i Mikołaj Borzój trafili do tej samej partii. Do Republiki Komi.

## Fontanka

Kiedy wróciła do domu, czekało na nią wezwanie na policję. Komenda główna na Fontance. Od razu poszła, pełna złych przeczuc; sądziła, że może chodzić o jakieś rewolucyjne kontakty Igora. Nie było go w domu. Od służby dowiedziała się, że wyjechał kilka dni wcześniej, nie mówiąc dokąd ani na jak długo. Kiedy pokazała wezwanie w portierni, oficer dyżurny bardzo grzecznie poprosił, żeby usiadła. Chwilę później pojawił się mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze.

– Witam panią, witam serdecznie, przepraszam, że musiała pani czekać. Pułkownik Fiodor Miezienczew. Jestem wielbicielem pani talentu, wiele razy widziałem panią na scenie. Jestem pod ogromnym wrażeniem. Naprawdę, podziwiam, podziwiam...

Był po czterdziestce i miał nienaganne maniery. Trochę już siwiał i miał piękną, rasową twarz arystokraty. W jego gabinecie usiedli przy małym stoliku, proponował kawę, herbatę.

– O co chodzi? Dlaczego pan mnie tu wezwał?

– Ależ nie wezwałem, tylko zaprosiłem. To tylko taka biurokratyczna forma. Już wszystko wyjaśniam. Otóż, widzi pani, pani kariera, pani powodzenie i pozycja, jaką niewątpliwie wkrótce zdobędzie pani w Europie i w świecie... To wszystko sprawia, że mogłaby pani oddać wielkie usługi naszemu państwu. Obraca się pani w towarzystwie polityków, wojskowych, ludzi, którzy wiele znaczą w swoich krajach. Dla nas jest bardzo ważne, żeby wiedzieć, co ci ludzie myślą i co planują.

Przerwał i patrzył, jakie wrażenie zrobiły jego słowa.

Katia była zdumiona.

– Pan mi proponuje pracę w wywiadzie? – To było tak absurdalne, że aż się zaśmiała.

– Nie wątpię w pani patriotyzm. Mogłaby nam pani bardzo pomóc.

– Pan mnie zadziwia. Myślę, że moją sztuką jakoś przyczyniam się do dobra Rosji. To mój zawód i to umiem. Ale kwalifikacji na szpiega nie mam.

– No, to niezbyt właściwe określenie. Po prostu mogłaby pani zdawać nam relacje z tego, co się mówi w pewnych kręgach. Po powrocie z występów spotykałibyśmy się na niezobowiązującą rozmowę. Tylko tyle...

– Nie, panie pułkowniku, kategorycznie odmawiam. Myślę, że nawet nie mam obowiązku tego uzasadniać. Przykro mi, źle pan trafił.

Katia wstała i chciała wyjść.

– Proszę usiąść.

– Nie widzę powodu przedłużania tej rozmowy.

– Proszę! – teraz mówił rozkazującym tonem, twarz mu się zmieniła. – To nie wszystko. To tylko jeden z powodów zaproszenia pani tutaj. Proszę teraz posłuchać uważnie. Sądźmy... nawet wiemy, że pani przyjaciel porucznik Szawernowski jest agentem wywiadu wojskowego Austrii. Pani pokazywała mu Kronsztad, naszą bazę wojskową.

– Ależ to bzdura! – wykrzyknęła. – Nonsens. On jest sportowcem, a nie żadnym agentem. I pan się myli. To nie ja pokazywałam mu Kronsztad, lecz on pokazywał go mnie. Dostaliśmy przepustki, jak najbardziej legalnie. Ma tam stryja inżyniera, człowieka zasłużonego dla Rosji i Kronsztadu szczególnie.

– Robiliście zdjęcia w bazie.

– Nic podobnego, nie robiliśmy żadnych zdjęć. Pan próbuje mnie zaszantażować.

Natychmiast przypomniało jej się, co mówił stryj Jana o Polaku, szefie Ochrony na wyspie. Musiał się dowiedzieć i donieść. I jeszcze wymyślił, że coś fotografowali. Albo to już dodał ten pułkownik, dla większego efektu.

– Chyba zdaje pani sobie sprawę, że jest pani współodpowiedzialna – stwierdził pułkownik.

– No, to już niesłychane! Jeśli jest szpiegiem, to czemu go nie aresztowaliście? Pan dobrze wie, że to nieprawda.

– Więc nie chce pani pomóc ojczyźnie? Jest pani przeciwniczką samodzierżawia i łaskawie nam panującego monarchy? Właściwie mogliśmy się tego spodziewać.

Wstał od stolika i usiadł za biurkiem. Wyjął papierośnicę i zapalił. Był zdenerwowany, jego dobre maniery gdzieś znikły. Był wściekły, bo było właśnie tak, jak powiedziała. Ten Szawernowski zapewne nie jest żadnym agentem. W każdym razie nie ma na to żadnych dowodów. I rzeczywiście – chciał ją zastraszyć.

– Pani brat ma kontakty z komunistami. – Zaciągnął się i patrzył jej w oczy. – Pani siostra spotyka się z miczmanem Wodopjanowem, typkiem podejrzanym, który też pozostaje w kręgu naszych zainteresowań. A pani ciotka była rewolucjonistką i chciała zabić cesarza. Więc ponawiam propozycję. Współpracując z nami, mogłaby pani wykazać się lojalnością. Jest pani piękną kobietą. Łatwo byłoby pani zbliżyć się do pewnych ludzi...

Krew uderzyła Katii do głowy. To już przekraczało wszelkie wyobrażenie. Milczała. Nie wiedziała, jak się zachować.

Cisza się przeciągała.

– Dokąd i kiedy wyjeżdża pani teraz za granicę?

– Za kilka dni do Paryża.

– Kiedy pani wróci, znów poproszę panią na rozmowę – powiedział. – Proszę się zastanowić.

– Jeśli dostanę urzędowe wezwanie, to będę musiała przyjść. Ale zapewniam, nie usłyszy pan ode mnie ani słowa.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Dziękuję, jest pani wolna. Do zobaczenia.

## Paryż

W Paryżu byli razem całe trzy dni. Jan startował, wygrał konkurs otwarcia, lecz potem nie zajmował najwyższych miejsc. Przywiózł tylko jednego ze swoich mniej doświadczonych koni. Za to jego młodzi podopieczni, Austriak, Polak i Czech, dobrze się zaprezentowali, pierwszy raz występowali w zawodach tak wysokiej rangi. Zajmowali dobre miejsca, kilka razy wyjeżdżali do dekoracji.

Katia podpisała wstępny kontrakt na występy wiosną 1915 roku w paryskiej Grand Opéra – największym teatrze operowym świata. Tytułowa rola w *Salome* Ryszarda Straussa.

Noce spędzali razem w hotelu i kiedy opadło pierwsze szalone pożądanie, kochali się spokojnie, znajdując nowe rozkosze w powolnym smakowaniu miłości. Byli szczęśliwi i beztroscy. Pierwszy raz mieli dla siebie trochę więcej czasu. Rozmawiali wreszcie do woli. Katia opowiedziała o swojej wizycie na Fontance i zaczęła się zastanawiać, czy nie wyjechać z Rosji na stałe.

– Nie powinieneś przyjeżdżać do Petersburga – powiedziała.

– Nie jestem szpiegiem.

– Wiem, ale lepiej nie przyjeżdżaj.

– Mogą coś zrobić Igorowi?

– Partia bolszewicka działa legalnie, ma nawet swoich deputowanych w Dumie Państwowej, lecz podejrzewam, że Igor robi coś więcej. Nie wiem co, ale na pewno coś robi. Ale nie będę współpracować z wywiadem.

– Nie powinnaś. Jeśli Igora aresztują, to tylko za to, co sam zdołała. Jak ty postąpisz, nie będzie miało z tym nic wspólnego.

– Chyba tak, ale się boję.

Na Wielkanoc umówili się w Krakowie. Katia miała przyjechać z Adelą Borską i córką maistry, Wandą, żeby obejrzeć model pomnika Chopina w pracowni Szymanowskiego. Kilka dni później Katia miała mieć występy w Wiedniu. Jan także miał tam pojechać na dzień lub dwa.

## Kraków

Bolską na dworcu witali znajomi z Towarzystwa Muzycznego, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i krakowscy członkowie komitetu budowy pomnika Chopina. Maestra niegdyś co roku śpiewała w Warszawie lub w Krakowie i była tu bardzo popularna. Wacław Szymanowski, rzeźbiarz, twórca pomnika zapraszał do obejrzenia modelu. Jednak był już wieczór, więc pojechali do Hotelu Francuskiego przy Plantach. Następnego dnia rano Jan zawiózł wszystkich na przedmieście na ulicę Helclów.

W pracowni zbudowanej specjalnie dla pomnika zobaczyli gipsowe części modelu w skali 1:1. Miał mieć siedem metrów wysokości. Z sufitu zwisały liny i bloczki do przenoszenia części. Głowa Chopina stała na rusztowaniu, miała ponad metr wielkości. Twarz natchniona, świetnie uchwycone podobieństwo, zwłaszcza do znanych rysunków Teofila Kwiatkowskiego i portretu Delacroix. Polska wierzba płacząca w kilku częściach stała za głową. Dalej korpus postaci – także w częściach. Ręka z dłonią o cienkich palcach jakby zawieszona nad klawiaturą. Szymanowski pokazywał odpowiednie fragmenty zaznaczone na modelu w skali 1:8. Całość w ogólnym zarysie przypominała harfę. Wierzba pochylona na wietrze, linie miękkie i faliste.

Chodzili, oglądali z bliska i z odległości. Części modelu były białe, wyobrażali sobie cały pomnik w brązie. Korona wierzby miała być pozłacana. Całość powinna stanąć nad sadzawką, tak że z pewnej odległości oglądający miał widzieć odbicie pomnika w wodzie. Pomnik był romantyczny i zarazem nowatorski.

– Projekt został wybrany przez jury jednogłośnie spośród sześćdziesięciu sześciu prac – opowiadała Bolska. – A jednak zwalczany był nie tylko przez Rosjan, lecz także przez Polaków. Warszawski „Goniec” rozpętał całą kampanię oszczerstw i kłamstw. Coś obrzydliwego!

– Niewątpliwie z powodu mojego żydowskiego pochodzenia i dlatego, że jestem frankistą<sup>1</sup> – powiedział Szymanowski.

– No tak, być może, ale jakie to obrzydliwe. – Bolska kręciła głową z niedowierzaniem. – Projekt musiał uzyskać zgodę Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu i rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ale zgody nie było.

– Były takie chwile, że wszystko wydawało się stracone – mówił Szymanowski. – Pojechałem do Petersburga i udało mi się uzyskać audiencję u ciotki cara, arcyksiężnej Marii Pawłownej, która stoi na czele Akademii. Obiecała, że spowoduje pozytywną decyzję. A za chwilę przyszła z Akademii odmowa. Przypadkiem opowiadałem o tym rosyjskiemu magnatowi Orłowskiemu.

Złatwił mi kolejną audiencję u arcyksiężnej. Zdenerwowała się bardzo i poszła do cara, który sprawę od razu przesądził i dał pisemną zgodę na budowę. Ale proszę sobie wyobrazić, że jeszcze dwa dni później przyszła ostateczna odmowa z ministerstwa. Oczywiście, wobec decyzji cara była już nieważna.

– Jak to możliwe, że wszystkie te elementy dokładnie złożą się w całość? – dziwiła się córka Bolskiej. – To musi wymagać niezwykłej precyzji.

– Rzeczywiście. Ale składaliśmy już poszczególne części ze sobą, poprawiliśmy niedokładności i teraz wszystko pasuje idealnie. Niestety nie możemy państwu pokazać złożonej całości, bo zaczęliśmy już pakowanie do wysyłki do Francji do odlewu.

– Podziwiam! – Katia wpatrywała się zafascynowana. – Ten pomnik nie jest podobny do niczego mi znanego, a jednak podoba się od pierwszego spojrzenia.

– Pan Waclaw stworzył go z potrzeby serca, jeszcze na długo przed ogłoszeniem konkursu.

– O tak. – Na twarzy rzeźbiarza pojawił się uśmiech. – Jego muzyka... to było dla mnie bardzo ważne. Moja żona uczyła się gry na fortepianie u Działyńskiej, uczennicy Chopina. Mamy do dziś nuty z poprawkami samego kompozytora.

Architekt Oskar Sosnowski pokazał model nowego cokołu i całego otoczenia z sadzawką, zaprojektowane ponownie po zastrzeżeniach, jakie zgłoszono wobec pierwotnego pomysłu.

– Więc nie będzie tych wielkich żab nad wodą? – spytała Bolska.

– Komisja konkursowa od początku miała do nich zastrzeżenia.

– Trochę ich szkoda, ale może rzeczywiście odwracały uwagę od podstawowej części pomnika.

– Ja ich nie żałuję – rzekł Szymanowski. – Byle udało się resztę doprowadzić do końca.

– Przeznaczę jeszcze kilka rubli na transport – obiecała Bolska. – Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku doczekamy się odsłonięcia. Kiedy zaczęliśmy prace, miałam nadzieję, że odsłonięcie nastąpi na sześćdziesięciolecie śmierci, w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Po rozstrzygnięciu konkursu myśleliśmy o setnej rocznicy urodzin, czyli dwudziestego drugiego lutego tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Gdyby Chopin miał stanąć w Krakowie, pewnie już by tam był. W Warszawie, pod zaborem rosyjskim, to co innego. Miejmy nadzieję, że opóźnienie nie będzie jeszcze większe.

– Jan, ja też wypiszę czek – obiecała Katia.

Obejrzeli jeszcze inny model projektu Szymanowskiego: „Pochód na Wawel”. Miał to być zespół ogromnych figur umieszczonych na arkadach jako uzupełnienie brakującego skrzydła krużganków dziedzińca zamku na Wawelu. Pięćdziesiąt dwa posągi, orszak królów i wielkich postaci związanych z historią

zamku i Polski.

– Toczy się bardzo burzliwa dyskusja o tym projekcie – powiedział Szymanowski. – Niektórym się bardzo nie podoba. Boją się widocznie narazić władzom austriackim. To jakaś hiperlojalność, bo Austriacy, jak sądzę, nie mieliby nic przeciwko. Tak czy inaczej, na razie nie wiadomo, jak miałyby to zostać sfinansowane.

– Wygląda pięknie i imponująco – rzekł Jan. – I miałyby wielkie znaczenie patriotyczne i edukacyjne. Nie spróbowałby pan zbiórki społecznej?

– Musiałby powstać specjalny komitet. Ja mam co innego do roboty. Nie mam na to czasu, jestem rzeźbiarzem, a nie społecznikiem.

\* \* \*

Na rynku kwiaciarki sprzedawały kolorowe palmy, pisanki, wydmuszki i baze. Jan kupował paniom prezenty w Sukiennicach. Katia pięknie wyglądała w krakowskim serdaku. Wanda, córka Bolskiej, w tym samym wieku co Katia i też śpiewaczka, dostała bezrękawnik z białego baranka, a maestra – drewnianą rzeźbę przedstawiającą chłopskich muzykantów.

Oglądali ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim. Przeszli na Mały Rynek. Zegar na wieży wybił dwunastą, odezwał się hejnał. Zatrzymali się i słuchali powtórzeń na cztery strony świata. Jan opowiedział Katii legendę o trębaczu ugodzonym tatarską strzałą. Przeszli Kanoniczą na Wawel, obejrzeliby groby Jagiellonów w Kaplicy Zygmuntowskiej. Spacerowali po Plantach, obejrzeliby pomnik Grottgera z 1901 roku, także autorstwa Szymanowskiego. Tradycyjny i prosty.

– Jan, jak tu pięknie. – Katia tuliła się do jego ramienia. – Kraków jest taki spokojny i kameralny w porównaniu z Petersburgiem, ale wszystko jest tu tak piękne... I takie inne, zupełnie inne, a jakby znajome. Wiesz, podoba mi się tutaj, bardzo mi się podoba. Ludzie też inni, jacyś szczęśliwsi może...

Szli w stronę placu Grunwaldzkiego. Był Wielki Czwartek, ruch świąteczny, ciepło. Wielkanoc tego roku wypadła 25 kwietnia. Ludzie chodzili w porzpinanych płaszczach.

Pod pomnikiem Jagiełły położyli kwiaty. Jan przetłumaczył Katii napis na cokole: *Praojcom na chwałę – braciom na otuchę*.

– Paderewski zdążył ze swoim pomnikiem na rocznicę bitwy – powiedziała Bolska. – Mnie się z Chopinem nie udało. A na odsłonięcie Jagiełły nie mogłam przyjechać, niestety.

– O, były tu wielkie uroczystości – opowiadał Jan. – Zjechali się Polacy ze wszystkich zaborów. Całe tłumy, sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi do stutysięcznego Krakowa. Wielu przywoziło ziemię z pól bitewnych. Potem całą tę ziemię rozsypano na kopcu Kościuszki. My z bratem przywieźliśmy spod Miechowa,



gdzie walczył ojciec w powstaniu i zginęło dwóch jego przyjaciół. Moja kuzynka Apolonia Zielkowska<sup>2</sup> przyjechała aż z Pomorza. Prusacy robili wszystko, żeby powstrzymać ruch przez granicę, nie przepuszczali bez specjalnych pozwoleń. Kuzynka z córką Gertrudą, proszę sobie wyobrazić, przeszły granicę nielegalnie, lasem i w nocy, gdzieś pod Bytomiem. Przywiozły woreczek ziemi spod Grunwaldu. Jeden z ich przodków za bohaterstwo w bitwie został uszlachcony przez sejm Rzeczypospolitej według prawa *ex carta belli*. Za zasługi na wojnie. Mają do dziś dokument. Polska gazeta w Bydgoszczy opisała tę eskapadę i dzieje rodziny.

<sup>1</sup> Frankiści – żydowska sekta wyznawców Jakuba Franka.

<sup>2</sup> Apolonia Zielkowska była babką autora ze strony matki i ta opowieść jest autentyczna.

## Borowice

Władysław, brat Jana, przysłał do hotelu powóz zaprzężony w dwa wypasione siwki i wszyscy wyruszyli do Borowic. Dwie godziny później wjeżdżali w aleję lipową prowadzącą do rodzinnego majątku Szawernowskich.

– To nie jest typowy polski dwór – opowiadał Jan. – To był przed wiekami zameczek obronny. W siedemnastym wieku jeden z naszych przodków wziął go jako posag za panną Ewelina Karśnicką. Według rodzinnej tradycji Karśnickich zamek budowali jeńcy tatarscy w trzynastym wieku<sup>1</sup>.

Aleja prowadziła na podjazd z klombem obsadzonym ozdobnymi krzewami. Dookoła stare dęby, graby i kasztany. Młoda, wiosenna zieleń, wszędzie pączki kwiatów. W kilku miejscach odpadający tynk odsłaniał kamienne ściany zameczku, stojącego na niewielkim wzniesieniu otoczonym fosą. Parter miał po trzy duże okna z każdej strony, poddasze po kilka małych okienek – strzelnic. Dwupiętrowa, masywna baszta z tarasem u szczytu stała osobno, połączona z domem dobudówką, zwieńczoną jak mur obronny zębatymi blankami. Na rogu tarasu, na szczycie baszty bociany uwiły sobie gniazdo. Jeden most nad fosą, dawniej zwodzony, prowadził do szerokich schodów prowadzących na obszerny taras, drugi do stajni wyjazdowej.

– Baszta jest dużo późniejsza, dziewiętnastowieczną fantazją dziadka Stanisława, który zapragnął, żeby było romantycznie – tłumaczył Jan. – Jest tam teraz biblioteka i pokoje gościnne. A w fosie Władek hoduje karpie.

Nad wejściem zobaczyli dużą tarczę herbową, trochę już wyblakłą. Pawie pióra nad sześcioramienną gwiazdą z cienkim, poziomo leżącym półksiężcem.

– Czy to herb Leliwa? – spytała Bolska. – Widziałam taki w dobrach Tarnowskich.

– Owszem, herbem Leliwa pieczętuje się wiele rodów polskich, także Tarnowscy i Słowaccy. My, Szawernowscy, już go nie przywołujemy przy nazwisku. Nasz ojciec był nastawiony demokratycznie i nigdy się nie przedstawiał herbem, tylko samym nazwiskiem. Ale tradycja jest wciąż żywa. Czasami odnawiamy ten herb. Jest bardzo stary, sięga piętnastego wieku.

Brat Jana z żoną wyszli witać gości, a ich synek, dziesięcioletni Stefek, wybiegł w podskokach:

– Stryjek, stryjek Janek! Stryjek Janek, nareszcie przyjechałeś! – Wskoczył Janowi w objęcia, a ten podniósł go i mocno uściskał.

– Ależ urosłeś!

– Nie jeżdżę już na kucyku. Jeżdżę na dużych koniach i skaczę przez żywopłot. Poczujesz mnie, stryjku?

– Jeśli rodzice pozwolą.

Władysław, starszy od Jana o siedem lat, miał wielkie wąsy i głowę podgoloną po szlachecku, a jego żonie, Marysi, wesołej, niebieskookiej blondynce dwa grube warkocze sięgały do pasa. Nieśli wielki bochen chleba i sól na półmisku.

Bolska, która dawno nie była w Polsce, witała się z nimi wzruszona tym obrazkiem jak z przeszłości.

– Popatrz, Wandeczko – mówiła do córki – tak tu jest, tak tu jest w Polsce. Jakby się czas zatrzymał...

Jan uściskał panią Zuzannę, staruszkę, prostą kobietę ze wsi, która wychowała obu braci, a teraz opiekowała się Stefkiem. Całował jej dłonie, a niani łzy wzruszenia płynęły po policzkach.

Nad wejściem duży czarny krucyfiks. W wielkiej izbie służącej za salon wisały na bielonych ścianach portrety przodków. Chronologicznie i parami – jejmość i jegomość. Dalej rogi jelenie, wieńce czternastaków, dwunastaków i dziesiątaków. Rzędy tureckie zdobyte pod Wiedniem, pozłociste i nabijane turkusami. Nawet wypłowiały buńczuk. Skóry dzików i wilków, stara broń, szable tureckie, pistolety i samopały. Pod oknami naprzeciw siebie dwie kanapy obite jelenią skórą. Ogromny dębowy stół przykryty był białym obrusem i zastawiony do postnego obiadu. Wokół rzeźbione barokowe krzesła.

\* \* \*

Po obiedzie Marysia zabrała panie na przechadzkę do lasu, a Jan z Władysławem poszli obejrzyć stajnie, stodoły i obory. Wszystkie zabudowania gospodarcze z wyjątkiem wozowni i stajni wyjazdowej mieściły się poza fosą. Na łagodnym południowym stoku leżał sad i poletko krzewów winorośli, które Władysław próbował tam zaszczepić. W dali ciemniał las, a wśród zieleniejących pól gdzieś tam białe jurajskie skałki. Kiedy wyszli z owczarni, podbiegła do nich mlecznobiała arabska klacz. Była już bardzo stara, o dwa lata starsza od Jana, miała dwadzieścia osiem lat. Kiedy Jan był małym chłopcem, to był jego pierwszy koń, oprócz tych na biegunach. Staruszka trącała Jana mordką i cicho pochrapywała. Dał jej cukier i głaskał po nozdrzach.

– Tunia, maleńka, Tunieczka, jak się czujesz?

– Nie zamykamy jej boksu – powiedział Władek. – Chodzi sobie, gdzie chce, w lecie najczęściej do sadu na jabłka. Jest w dobrych stosunkach z psami i przyjaźni się z kozą. Myślę, że ma szczęśliwą starość.

– Wiesz, zawsze kiedy tu przyjeżdżam, boję się spytać, czy Tunia jeszcze żyje.

Wrócili do domu i w gabinecie usiedli oglądać prospekty machin i narzędzi rolniczych fabryki Hipolita Cegielskiego z Poznania. Brony, siedemnaście rodzajów pługów, śrutowniki, drapacze, siewniki, żniwiarki, młockarnie, kieraty,

młyny do czyszczenia zboża, sieczkarnie, torfiarki, pompy parowe i spalinowe, lokomobile do napędu maszyn.

– Wszystko to jest nie tylko lepsze od maszyn z Niemiec czy Anglii, ale jeszcze dużo tańsze – mówił Władek. – A poza tym Cegielski daje dobry kredyt. Doszło do tego, że nawet Niemcy kupują u Cegielskiego. Chciałbym twojej zgody na zakup żniwiarki, młockarni i lokomobili. Myślałem o bardziej nowoczesnej, spalinowej, ale parowa jest dużo tańsza. No i tu u nas łatwiej o węgiel niż o benzynę. No, trzeba by jeszcze bardziej zacisnąć pasa, ale w przyszłości się zwróci. Jak myślisz? Kredyt pięcioletni, a zakup amortyzuje się już po trzech latach. Praca najemna drożeje, bo bezrolni chłopci odchodzą do miast, do przemysłu. Na Śląsk niedaleko. W zeszłym roku zbiory były dobre, jabłka też sprzedałem korzystnie. Na mrożone karpie mam coraz więcej zamówień, nawet z Pragi. Tak że jest okazja zainwestować. Ale trzeba by zacisnąć pasa. Jak myślisz?

– Zgoda, Władku. Ja wielkich potrzeb nie mam. Żołd oficerski i pensja trenerska jakoś mi wystarczają. Jeśli tak uważasz, to kupuj. Ale popatrz na tę lokomobilę. Wyobraź sobie, przywiozłem dla Stefka bardzo podobną zabawkę z Berlina. Jutro dostanie ją od Zajączka. Wszystko tam działa jak w prawdziwej. Pod kotłem pali się spirytusem w kostkach. Maszyna parowa napędza pasem transmisyjnym miniaturę młockarni i może sama jeździć. Stefka ciągnie do gospodarstwa?

– Niespecjalnie. Raczej do kawalerii i jeździectwa. Zastanawiamy się z Marysią czy mu nie zlikwidować zabawek militarnych.

– No, nie wiem, czy to by poskutkowało. Setek lat rodzinnych tradycji nie wymażesz. Ale zobacz! Ty kupisz lokomobilę i młockarnię, a Stefek dostanie ich miniatury. Zrozumie, jak działają, i nauczy się je obsługiwać, zanim przyjadą prawdziwe. Popatrz, co za przypadek!

– To nie przypadek, Janku. Obaj mamy ziemię i rolnictwo we krwi. Jaka szkoda, że mama nie dożyła. Gdyby nie mama, wszystko to poszłoby do Żyda. A właściwie do banków. Byłeś na jej grobie?

– Oczywiście, jak tylko wróciłem z Nicei.

– To dobrze. Jak się ma nasza siostrzyczka? Ale powiedz, jak ci tam jest w tym wojsku? Będzie wojna?

\* \* \*

Przy kolacji znów rozmawiali o wojnie.

– Władku, opowiedz o tej książce, o której mi mówiłeś – podpowiadała Marysia.

– No tak. Czytałem takie dzieło Jana Blocha. Polski przemysłowiec i publicysta, Żyd z pochodzenia. Tłumaczenie z rosyjskiego: *Przyszła wojna pod względem technicznym, politycznym i ekonomicznym*. Autor twierdzi, że przy

dzisiejszym rozwoju nowoczesnych broni, wszystkich tych szybkostrzelnych i samobieżnych dział, karabinów maszynowych, automobili, wojna będzie tak mordercza, z tak ogromną liczbą ofiar, że wywoływanie jej byłoby czystym szaleństwem. I rządy na pewno zdają sobie z tego sprawę. Gdyby jednak do niej doszło, walczący wykrwawiliby się tak szybko, że najdalej po kilku miesiącach musiałoby dojść do zawarcia pokoju. Także koszty finansowe i rzeczowe byłyby przy ogromnych, wielomilionowych armiach rujnujące w bardzo krótkim czasie. Zresztą już ostatnie konflikty w Europie pokazują coś podobnego. Wojna francusko-pruska i niemiecko-austriacka trwały tylko kilka miesięcy.

– Jednak obie te wojny, Sadowa i Sedan – przerwał Jan – ogromnie wzmocniły Niemcy. Cesarstwo Niemieckie stało się najsilniejszym mocarstwem Europy, zbroi się intensywnie i jego apetyty rosną.

– Więc jeśli będzie wojna, to Niemcy będą winne? – spytała Wanda.

– Winnych byłoby wielu – odpowiedział Jan. – Wiecie, państwo, kiedy wracałem z Berlina dosiadł się do mojego przedziału baron Leopold von Andrian-Werburg, zawodowy dyplomata austriacki. Jechał do Wiednia. Przegadaliśmy kilka godzin. Zrobił mi przegląd celów politycznych wielkich mocarstw. Austria ma według niego misję dziejową polegającą na zapewnieniu małym narodom wchodzącym w skład monarchii Habsburgów możliwości rozwoju pod skrzydłami większego organizmu państwowego. Przy poszanowaniu ich odrębności, jak zapewniał. Austria ma im dawać swoją wysoką kulturę, bezpieczeństwo i tysiącletnią tradycję. Polska jest dla cesarstwa celem najważniejszym i mogłaby stać się obok Węgier trzecim członem monarchii. Niektórzy tam marzą o Austro-Węgry-Polsce. Austriacy uważają, że nam to wyszłoby na dobre. To jest, twierdził Andrian, nawet ważniejsze dla Wiednia od dominacji na Bałkanach. „Potrzebujemy Polaków zadowolonych”, mówił. Serbie chcieliby siłą lub traktatami osłabić i narzucić jej jakąś formę protektoratu. Rosję mają zamiar odepchnąć od Europy, może zagarnąć część Ukrainy. Jak państwo widzicie, tego bez wojny nie da się osiągnąć. Także pozostałe mocarstwa mają dążenia nieosiągalne bez wojny. Niemcy na Wschodzie pragną ziemi dla swoich junkrów, a na Zachodzie chcą francuskich hut i kopalń żelaza. Chcą w Afryce kolonii, co oczywiście skutkuje konfliktem z Brytyjczykami i Belgami. W Rosji kapitał niemiecki ściera się z rosyjskim. Rosja od wieków pragnie Konstantynopola i cieśnin, czyli swobodnej drogi z Morza Czarnego na Śródziemne. I też chce Bałkanów, zwłaszcza uważa się za zobowiązaną do solidarności z tamtejszymi prawosławnymi Słowianami przeciwko Turcji i islamowi. Włosi chcieliby dostać Triest i Tyrol Południowy. Francja czuje się zagrożona przez Niemcy i pokrzywdzona po Sedanie. Francuzi nienawidzą Niemców i pragną odzyskać Alzację i Lotaryngię. Chcieliby też lewobrzeżnej Nadrenii. Anglicy po latach wrogości wobec Francji teraz uważają za swój obowiązek stanąć po stronie Francji

i Belgii w wypadku ataku niemieckiego.

Rozmawiano po polsku. Katia uczyła się polskiego, ale często czegoś nie rozumiała. Siedziała koło Jana, który szybko tłumaczył ważniejsze zdania.

Zapadła cisza.

– To bardzo czarny obraz – rzekła Bolska.

– Jednak prawdziwy, jak myślę.

– Zastanawiam się – kontynuowała maestra – po co Rosji Bałkany albo wpływy w Persji. Po co jej wojna w ogóle? Od kilkunastu lat Rosja rozwija się gospodarczo jak nigdy w swojej historii. Stołypin i Witte dokonali swoimi reformami wielkich rzeczy. Czy Rosja nie jest już dość wielka? Na Kaukazie, na Syberii, w Turkiestanie wciąż jest mnóstwo terenów dotąd niezbadanych, nieopisanych. Po co szukać innych? A co Rosji do Serbów? To przecież właściwie ochrzczeni Turcy. Potrzebne Rosji Prusy Wschodnie? Czy car nie ma dość Niemców we własnym kraju? Przecież są wszędzie. Galicja? Ale tu znów tłumy Żydów, których Mikołaj Drugi tak nienawidzi. Konstantynopol? Krzyże nad Hagia Sophia? To jakiś nonsens, nie żyjemy w czasach wypraw krzyżowych. Jeśli car przystąpi do wojny, to sam się pograży. A teraz wyobraźmy sobie, że jakimś cudem Romanowowie pokonali Habsburgów i Hohenzollernów. Przecież to by oznaczało upadek w tych krajach monarchii i republikańskie ustroje w całej Europie. Czy wtedy mogłoby się ostać samodzielną w Rosji?

– Ma pani rację i podziwiam pani rozumienie polityki – powiedział Jan. – Tylko czy to coś zmienia?

– Ja nie jestem zwolenniczką caratu. O nie! Ale wierzę, że w Rosji rozsądek zwycięży i nie da się wciągnąć w wojnę.

– Mamo! – Wanda dotknęła ręki Bolskiej. – Teraz sobie przypominam, że generał Aleksiejew mówił mi o tej książce, którą nam tu relacjonował pan Władysław. Tak, to na pewno była praca Jana Blocha. Mówił, że cesarz ją czytał i bardzo wysoko ocenił.

– No, to może to by była jakaś nadzieja, córeczko.

– Proszę państwa! – Władysław podniósł rękę. – Oby tak było. Lecz chciałbym zwrócić uwagę, na coś innego. Ja znów na pewno nie jestem socjalistą, lecz popatrzcie, że te wszystkie wojenne dążenia, o których mówił Janek, są pragnieniami rządów, a nie społeczeństw. Nie są to dążenia robotników, chłopów ani warstw wykształconych, inteligencji, powiedzmy. To są dążenia i interesy wielkiego kapitału, finansistów i polityków. Jeśli dojdzie do wojny, oni zapewne wyciągną z niej jakieś korzyści. Narody tylko się wykrwawiają i nie dostaną niczego w zamian. Przeciwnie, w czasie wojny, a jeszcze bardziej po wojnach, zawsze przychodzi głód i nędza najuboższych.

– No, niezupełnie – oponował Jan. – Kiedy byłem w Wiedniu, widziałem na murach napisy: *Alle Serben müssen sterben*, wszyscy Serbowie muszą umrzeć.

Mamy teraz w Europie cały wysyp nacjonalizmów. Od Litwinów i Łotyszy, przez Ukraińców, Serbów, Słowaków, Węgrów, a nawet Czechów. To są dążenia niepodległościowe, których nie można potępiać, lecz one też przyczyniają się do zaognienia sytuacji. A poza tym są jeszcze nacjonalizmy zaborcze, jak niemiecki czy rosyjski. Tym nastrojom ulegają wszystkie warstwy społeczne. Więc nie jest tak, że masy nie chcą iść na wojnę i tylko burżuazja je tam poprowadzi.

– Tak, panie Janie. – Bolska kiwała głową. – W Rosji nie tylko nacjonalizm, ale i zwykły patriotyzm zawsze wiązał się z dążeniem do mocarstwowości i do podboju. To jednak bardziej złożone. Marksisci i socjaliści uważają, że motorem rozwoju społeczeństw jest walka klas. Burżuazja i ziemianie przeciw robotnikom i chłopom. I mają wiele racji. Mnie się jednak wydaje, że w dziejach widać dwa przeciwstawne nurty. Jeden buduje, a drugi niszczy. Wielkie wahadło przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. My tu wszyscy staramy się coś budować, coś tworzyć, a gdzieś tam... inni przygotowują się do niszczenia i zabijania.

– Tylko czy mamy na to jakiś wpływ? – spytała Katia.

\* \* \*

Kiedy wszyscy poszli spać, Jan zapukał do pokoju Katii w wieży. Otworzyła tak szybko, jakby stała za drzwiami z ręką na klamce. Przyłgnęli do siebie stęsknieni po całym dniu oczekiwania na tę chwilę.

– Pamiętasz Berlin? – spytał.

– O tak!

– A Paryż?

– Tak, tak.

– Berlin czy Paryż?

– Najpierw Berlin – wyszeptała mu do ucha. – A potem Paryż. I może jeszcze kilka jakichś nieznanymi miast...

\* \* \*

W niedzielę o świcie wszystkich obudził huk wystrzałów. Stefek strzelał pod oknami z dubeltówki ojca. Na wiwat: Chrystus zmartwychwstał!

Jeszcze przed śniadaniem dwoma odkrytymi powozami pojechali na mszę świętą do Modlnej. Władysław włożył na tę okazję kontusz i żupan, a do wspianego słuckiego pasa przypiął karabelę. Marysia była w ludowym krakowskim stroju, który uważała za ładniejszy od szlacheckiego. Wyglądali pięknie. Tłum nie mieścił się w kościele i wielu chłopów stało na zewnątrz. Jednak dwie ławki przed ołtarzem były puste. Miejsca Szawernowskich oznaczone były mosiężnymi tabliczkami.

W domu dzielili się jajkiem. Katii wszyscy życzyli wielkiej kariery na scenach operowych świata, a Janowi medalu na olimpiadzie. Na stole piętrzyły się

baby wielkanocne i mazurki – dziady. Szyunki, białe kielbasy, pasztety i bułki – wszystko własnego wyrobu. Na środku cukrowy baranek z chorągiewką. Na półmiskach i przy talerzach gałązki bukszpanu. Pachniało drożdżowym ciastem i wędzonką. Katia pomagała Marysi i Zuzannie w kuchni; Szawernowscy nie mieli żadnej służby, co w tak dużym domu było dość niezwykle.

Po śniadaniu Stefek znalazł swoją lokomobilę, którą Zajączek sprytnie ukrył za donicą z eukaliptusem. Zaraz się domyślił, kto jest tym Zajączkiem, i podziękował stryjowi. Zabawa okazała się świetna, i to dla wszystkich. Stefkowi towarzyszyli Jan i Władek. Wlali wodę do kotła, zapalili spirytus w palenisku, ustawili skręt przednich kół. Kiedy woda zaczęła wrzeć, a lokomobila gwizdać, Stefek przestawił dźwignię. Wśród radosnych okrzyków maszyna sapiąc i dmuchając kłębami pary, jeździła po dywanie dookoła stołu.

Katia patrzyła, jak Jan bawi się ze Stefką i jak chłopiec jest w niego wpatrzony. Pomyślała, że byłby dobrym ojcem.

Potem lokomobila została zatrzymana i pasem transmisyjnym podłączono do niej młockarnię. Jan tłumaczył, jak działa maszyna parowa, pokazując wszystko na schemacie. Do młockarni zgodnie z instrukcją wsypano ziarna pieprzu. Po kilku minutach pieprz był już w szufladce pod spodem zmielony, czy raczej wymłócony. Ojciec Stefka przyniósł prospekt maszyn Cegielskiego i odkryli, że zabawka w każdym szczególe jest identyczna jak jeden z jego modeli. Nawet pomalowana była tak samo. Koła czerwone, składany komin czarny, reszta niebieska. Brakowało jednego: znaku fabryki Cegielskiego. Zamiast tego widniała na niej nazwa berlińskiego wytwórcy zabawek.

\* \* \*

Po obiedzie Jan i Katia poszli na spacer do pobliskiego Imielnika, gdzie przy źródle stały od wieków dwie drewniane kapliczki pod wezwaniem Świętego Antoniego. Stroma ścieżka wiodła cały czas pod górę. Starsza kapliczka, mniejsza, była już poczerniała od starości i pachniała smołą. Pochodziła z XVII wieku. Nowsza, niewiele większa, zbudowana była z jasnych bali drewna i pokryta gontem. Obie stały naprzeciw siebie otwarte i puste. Jan przeczytał i przetłumaczył Katii opis historii źródła i kapliczek wiszący za szkłem przy wejściu. We wnętrzu starszej była studzienka z pompą. Jan kilka razy poruszył dźwignię. Najpierw tylko zabulgotało w rurze. Potem popłynęło trochę wody, a wreszcie cały strumień. Katia podłożyła złączone dłonie. Ludzie w okolicy wierzyli, że woda od Świętego Antoniego ma cudowne właściwości lecznicze. Podała Janowi. Wypił trochę. Potem ona poruszała dźwignię, a on nadstawił ręce i teraz ona piła. Woda była krystalicznie czysta i zimna, a im było lekko i przyjemnie, bo w tym picciu wody z dłoni było coś intymnego, jakby dziwna i niezwykła pieśczęta.

Usiedli na ławce na zewnątrz. Widok na okolicę był stąd szeroki. W dole



dwór z fosą dookoła i zabudowaniami, miejscami zasłonięty przez stare drzewa, aleja lipowa wiodąca do szosy. Daleko na południe, za wzniesieniem, widać było szczyt wieży kościoła w Modlnej. Wszystko to, trochę już zamglone, leżało przed nimi jak obraz odwiecznej wiejskiej niezmienności i spokoju.

Katia wiedziała, co teraz nastąpi. Wiedziała od dawna: Jan się jej oświadczy! To było oczywiste; nie przywozi się przecież do rodzinnego domu kochanki. Przywozi się narzeczoną. Wybrał takie ładne miejsce. Jakie to miłe! Wieczorem na pewno ogłoszą zaręczyny. Niczego nie pragnęła bardziej. Oparła się ramieniem o jego ramię i czekała.

– Widziałaś to? – Wskazał zabudowania Borowic. – Chciałem, żebyś to zobaczyła na własne oczy. Kiedy za kilka lat Władek wyprowadzi majątek z długów, będzie to zupełnie wystarczające dla przyzwoitego utrzymania rodziny. Ale jednej, nie dwóch. – Zamilkł na chwilę. – Chciałem, żebyś to zobaczyła – powtórzył. – Potem Władek będzie mnie spłacał, moją część. Będzie spłacał tyle, ile będzie mógł, i tak długo, jak długo będzie musiał. Tak się umówiliśmy. Więc, jak widzisz, jestem biedakiem.

– Jan, ja też nie mam prawie żadnych oszczędności. Wydaję dużo, bo gwiazda musi błyszczeć. Maestra wciąż mi o tym przypomina. Wszyscy uważają, że diwa operowa musi być strasznie bogata. Ludzie tego pragną, a ja muszę się do tego dostosować. Nie wiem czy wiesz, ale jest w Rosji taki zwyczaj, że na scenie nie występuje się w imitacjach klejnotów, lecz w prawdziwych. Zawsze jest tego mnóstwo i ja muszę je kupować za własne pieniądze. Stroje szyje teatr, ale klejnoty śpiewaczki czy baleriny muszą mieć własne. Gdyby gwiazda była biedna, znaczyłoby to, że źle zarabia, a skoro źle zarabia, to jest nic niewarta. Muszę być codziennie inaczej ubrana, muszę mieć biżuterię, powóz i automobil i muszę być rozrzutna. Muszę olśniewać. Jan, czy ty to rozumiesz?

Patrzył na nią i słuchał zdziwiony. Miał w kieszeni pierścionek, który z bratem wybrali z biżuterii po mamie, i był zdecydowany na to szaleństwo: ona wciąż w świecie, na wielkich scenach wszystkich stolic świata, a on na zawodach. A dom? Gdzie byłby ich dom? I czy w ogóle mieliby jakiś dom? Ona nie chce mieszkać w Rosji, to bardzo dobrze. Podoba jej się Kraków, świetnie! Ale Kraków nie ma opery. Opery wystawia się czasem w Miejskim Teatrze Słowackiego. Czasem i nieregularnie. A jednak bardzo pragnął, żeby została jego żoną. Bardzo ją kochał i chciał mieć właśnie taką żonę. Wielką i sławną, piękną, utalentowaną i podziwianą.

– Nie wszystko zresztą wydaję na siebie – mówiła dalej. – Od początku piętnaście procent wszystkich zarobków przeznaczam na cele charytatywne. Uważam, że tak trzeba. Jak myślisz?

Pokiwał głową.

– Więc ja też nic nie mam, chociaż przez ten czas, od kiedy pracuję, przez te

sześć miesięcy, zarobiłam ponad dwadzieścia tysięcy rubli.

Janowi zdawało się przez chwilę, że się przesłyszał. Dwadzieścia tysięcy?! Domyślał się, że Katia dobrze zarabia, ale dwadzieścia tysięcy rubli?! Te maszyny rolnicze, które postanowili kupić na kredyt... Przeliczył szybko marki na ruble. Przecież to niecały tysiąc. Był wstrząśnięty.

– Jan, czy nie uważasz, że powinnam dawać pieniądze na biednych?

Popatrzyła na niego i teraz dopiero spostrzegła, jakie wrażenie zrobiły na nim jej zarobki. Jak mogła popełnić takie głupstwo? Jak mogła to powiedzieć!? I to właśnie teraz! Boże, Boże! Co za głupstwo! Jak mogła?! Gdyby teraz się oświadczył, to tak jakby oświadczał się jej pieniądzom. Siedział obok niej znieruchomiąły, nagle obcy, nie odpowiadał. Milczeli i było im z tym coraz ciężiej.

– Chodź, Katiu! – powiedział. – Robi się już późno. Po tej ścieżce w dół lepiej iść za dnia. Po ciemku byłoby niebezpiecznie.

Całą drogę do domu przeszli, rozmawiając o jakichś błahostkach lub milcząc.

\* \* \*

Po kolacji mężczyźni wyciągnęli z lamusa stare pianino i wstawili do salonu. Katia chciała zagrać Chopina i zaśpiewać. Lecz instrument był bardzo rozstrojony. Próbowала go nastroić, umiałyby to zrobić, lecz nie miała wprawy i zanosiło się na kilka godzin pracy, więc zrezygnowała. Trochę żartowali, ale rozmowa się nie kleiła. Katię i Jana rozdzieliło coś niewidzialnego, jak gęsta zasłona.

Następnego dnia Bolska z córką miały rano pociąg do Petersburga, a Katia po południu do Wiednia, więc trzeba było wcześniej iść spać.

\* \* \*

Po odjeździe pań Bolskich mieli jeszcze dużo czasu do pociągu do Wiednia. Pochodzili trochę po Starym Mieście, pospacerowali po Plantach, zjedli obiad u Wierzyńka, wypili kawę w Jamie Michalika. Był lany poniedziałek i patrzyli, jak na ulicach chłopcy oblewają dziewczyny wodą. Było zabawnie; mnóstwo śmiechu i radości. Katia opowiadała o Teatrze Maryjskim i intrygach wśród aktorów i baletnic.

– A co z tym Mieziencewem z Ochrapy? – przypomniał sobie Jan. – Nie odezwał się więcej?

– Owszem, pojawił się w kawiarni koło teatru, gdzie czasem odpoczywam pomiędzy próbami i czytam gazety. Przysiadł się nieproszony i zapytał, co mam mu do powiedzenia. Powiedziałam, że austriacki szpieg, porucznik Szawernowski, wyrócił się z koniem i rąbnął się w głowę. Wylądował w szpitalu, a potem zachowywał się bardzo dziwnie, a nawet podejrzanie.

– Niemożliwe! – Śmiali się oboje. – Naprawdę, tak mu powiedziałaś? I co,

odczepił się?

– Na razie. Jednak kilka dni później w „Petersburskim wiestniku” pojawił się mały artykuł, właściwie notatka, że przyjaciel sławnej Jekatieriny Niesłuchowej jest podejrzany o szpiegostwo na rzecz Austro-Węgier. I że toczy się w tej sprawie dochodzenie. Było o tym trochę szumu w teatrze i w tak zwanym towarzystwie. Ale tekst był niepodpisany, nie zawierał żadnych konkretów i w ogóle sprawiał wrażenie paszkwilu.

– Chcieli cię postraszyć.

– Pewnie tak. Przypadek sprawił, że w tym samym czasie jakiś dziennikarz dowiedział się o moich dotacjach na cele charytatywne i napisał o tym w o wiele poważniejszych „Petersburskich nowinach”. To zrobiło widocznie wrażenie, bo potem już nie miałam żadnych aluzji na temat twojego rzekomego szpiegostwa.

\* \* \*

Katia jeszcze z Petersburga wysłała kostiumy, bagaże związane z występami wprost do Hofopery i do hotelu w Wiedniu, miała więc ze sobą tylko dwie walizki. Jan umieścił je w przedziale zarezerwowanym dla niej i wyszedł na peron. Stała w otwartym oknie. Kiedy podszedł, wyciągnęła do niego rękę i trzymała mocno w swojej. Zabrzęczał drugi dzwonek – odjazd za pięć minut.

– Jan, coś mi miałeś powiedzieć i nie powiedziałeś, wiem to. Powiedz.

– Przy źródelku?

– Tak.

– Chciałem cię prosić o rękę.

– A teraz już nie chcesz?

– Przestraszyłem się twoich pieniędzy.

– Co ty opowiadasz? Przestraszyłeś się, że nie bylibyśmy biedni?

– Że byłbym na twoim utrzymaniu.

– Jan! Ty nawet nie wiesz, jaka ja jestem okropnie skąpa. – Miała łyzy w oczach i z całej siły ścisnęła jego dłoń. – Nie dam ci nawet kopiejki!

– Ani kopiejki? – Zaśmiał się smutno. – Na pewno?

– Na pewno, obiecuję.

Wzdłuż wagonów szedł konduktor, wołając: „Proszę wsiadać! Proszę zamykać drzwi, za chwilę odjeżdżamy!”.

– Poczekaj chwilę, Katiu! Poczekaj.

Ruszył biegiem w stronę wyjścia do miasta, na skrót przez sąsiednie torowisko, znikł w drzwiach budynku.

Co on wyprawia? Co to za ucieczka? Katia patrzyła w te drzwi i płakała. Lecz po chwili pojawił się w nich z tak wielkim naręczem kwiatów, że część gubił po drodze. Biegł w jej stronę.

– Katiu! Katiu! Czy wyjdiesz za mnie? Proszę! Wyjdź za mnie. – Podawał

jej kwiaty przez okno, wrzucał je do wnętrza.

– Tak, Jan, tak, tak, tak!

Pociąg już jechał i przyspieszał, a on biegł obok, gubiąc kwiaty. Goździki różowe i białe, lilie, narcyzy, róże. Wykupił wszystko, co miała kwiaciarka przed dworcem. Próbowali jeszcze dotknąć swoich dłoni, ale pociąg przyspieszył i już nie zdążyli.

– Do zobaczenia w Wiedniu!

– Do zobaczenia, do zobaczenia, kochanie!

– Do zobaczenia, kochany!

Pociągu już nie było widać, lecz Jan wciąż jeszcze stał na peronie. Na tor po drugiej stronie wjechał prawie pusty pociąg z Zurychu. Wsiadł z niego niski, łysy człowiek z teczką, w popielatym angielskim płaszczu i ciemnym garniturze. Robił wokół siebie dużo zamieszania; rzucał się w oczy i przykuwał uwagę. Podążały z nim dwie kobiety. Młodsza z chorymi, wylupianymi oczami, druga starsza, w obszernej mantyli. Obie z walizkami w rękach. Za nimi kilku peronowych dźwigało resztę licznych bagaży.

– Na peron do Zakopanego – powiedział do nich mężczyzna po niemiecku. – No prędzej, moje panie – poganiał kobiety po rosyjsku.

Jan szedł przez chwilę obok nich.

– Lubię Kraków – usłyszał jeszcze. – Bardzo lubię. Będziemy tu czasem przyjeżdżać z Poronina.

<sup>1</sup> W 1280 roku Leszek Czarny rozbił koło Koprzywnicy trzysięczny czambuł Tatarów. Wtedy zapewne zostali wzięci do niewoli Tatarzy użyci do budowania zameczku w Borowicach.

## Wiedeń

Katia wędrowała uliczkami starego miasta. Pogodne popołudnie. Wiedeńczycy wracali z pracy do domów, odwiedzali kawiarnie i restauracje. Od Opery przy Elizabethstrasse przeszła wokół Hofburga obok pałacu Albertina aż do Babenbergerstrasse. Oglądała wystawy sklepów, przyglądała się ludziom. Głośno rozmawiali, śmiali się, sprawiali wrażenie odprężonych i zadowolonych. Na Mariahilfer Strasse zauważyła jakąś zmianę w nastroju ulicy. Umilkli nagle gazeciarze wykrzykujący tytuły popołudniówek. Niektóre powozy i samochody zjeżdżały na bok i zatrzymywały się. Uliczny skrzypek przerwał swój koncert w pół taktu. Tramwaj stanął pomiędzy przystankami. Fryzjer z nożyczkami w ręce stał na schodkach w wejściu do swojego zakładu. Ucichło. Wszyscy patrzyli w stronę Burgringu.

Nadjeżdżał cesarz.

W otoczeniu ośmiu gwardzistów eskorty zbliżała się biało-złota kareta ciągnięta przez szóstkę mlecznosiwych lipicanerów. Dwójka oficerów gwardii jechała kilka kroków przed kareta; po dwóch po obu stronach i dwójka z tyłu. Jechali żywym kłusem. Srebrne hełmy z białymi pióropuszcami, czerwone kurtki, białe spodnie i czarne, błyszczące buty sięgające aż za kolana. Wspaniałe wierzchowce, lśniące rzędy i kosztowne uprzęże.

Za szybami karety można było dostrzec szczupłą sylwetkę starego cesarza Franciszka Józefa. Ludzie na chodnikach zatrzymywali się, zdejmowali kapelusze. W oknach i na balkonach całe rodziny pozdrawiały monarchę wracającego z Hofburga, gdzie pracował, do Schönbrunnu. Ludzie na ulicach, którymi odbywał tę swoją codzienną drogę – tam i z powrotem już przez sześćdziesiąt sześć lat, od wstąpienia na tron w 1848 roku – widzieli to setki razy. Ale musiało im to dawać jakąś przyjemność czy satysfakcję, skoro wciąż jeszcze odbierali to jak coś ciekawego i niezwykłego.

Katia patrzyła zdumiona nieliczną ochroną monarchy i tym, że każdy przechodzień mógł go zobaczyć z tak bliska. W Petersburgu przejazd cara przez miasto powodował wstrzymanie ruchu przez policję, a na ulicach roiło się od tajniaków. Carowi też przechodnie się kłaniali i wznosili na jego cześć okrzyki. Tam jednak szacunek podszyty był lękiem. Tutaj szacunek mieszał się raczej z sympatią, nawet z miłością. Ruch uliczny ożył, dopiero gdy kareta znikła w oddali.

Katia miała za sobą dwa dni prób w Hofoperze przed występami. Zatrzymała się w hotelu Sacher przy Philharmoniker Strasse, najdroższym w Wiedniu. Wszędzie stamtąd było blisko. Do Opery, na Stare Miasto, do katedry św. Szczepana, do Burgtheater, do Secession, nowoczesnego pawilonu wystaw

artystycznych ukończonego kilkanaście lat temu. Zerknęła na zegarek i okazało się, że nie ma już zbyt wiele czasu. W restauracji hotelowej miała się spotkać z matką, która już od kilku tygodni była w Wiedniu. Nie widziała się z nią od lata zeszłego roku, kiedy były u ciotki w Gołubych Prudach.

\* \* \*

U Sachera wszystkie stoliki były zajęte i gdyby nie rezerwacja, Katia z mamą nie miałyby gdzie usiąść. Przeszły przez salę zieloną urządzoną w stylu wiktoriańskim z domieszką wszechobecnej w Wiedniu secesji, przeszły przez Bluebar w odcieniach od jasnoniebieskiego do granatu. W sali czerwonej ściany, sufit, zasłony okien i obicia mebli krzyczały różnymi odcieniami czerwieni od krwistych jedwabi na ścianach do bordowego sufitu. Tylko obrusy na stolikach kontrastowały bielą. Wszystko to oświetlał dwupiętrowy kryształowy żyrandol i kinkiety na ścianach. Dwa wielkie portrety wisiały nad ich stolikiem. Ciężkie złoczone ramy. Mężczyzna w binoklach na tle półek biblioteki oparty o stolik palił cygaro. Pulchna dama z kilkoma sznurami pereł na szyi, w sukni bogato przybranej frędzlami i koronkami, siedziała w fotelu, trzymając na kolanach dwa francuskie buldożki. Byli to Anna i Maksymilian Sacherowie, założyciele firmy. Dalej ogromny portret białego bernardyna z różową chustką przy obroży.

– Kocham Wiedeń – mówiła Nadieżda Niesłuchowa. – Objechaliśmy z Karsowem całą Europę i wiesz, w Paryżu nie było zbyt ciekawie. Inna rzecz, że akurat cały czas jak nie padało, to lodowaty wiatr, pogoda gorsza niż w Londynie. W Madrycie oglądaliśmy walki byków. Straszne! Ale Karsow był zachwycony. Potem pojechaliśmy do Neapolu, a dalej do Wenecji i na Lido. Dwa tygodnie w Atenach i na Lesbos, chwilę w Budapeszcie, a teraz tutaj.

– Hrabia Karsow, ten podpułkownik gwardii, którego poznałaś w Nicei?

– Ten sam. Wyobraź sobie, przepuścił na nasze wojaże połowę swojego majątku. Czy to nie cudowne? A jakim jest kochankiem... po prostu genialnym. Muszę ci opowiedzieć...

– Nie, nie, mamo, proszę!

– Och, Katiu, nie bądź taka prowincjonalna. Wiedeń! Wiedeń! Tu wszędzie unoszą się opary miłości. Nie czujesz tego? Te walce, a jeszcze bardziej tanga! Przecież to czysty erotyzm! Zawsze lubiłam Wiedeń, a teraz jestem nim po prostu zachwycona. Teraz tu jest artystyczna stolica świata, wcale nie w Paryżu. Żebyś wiedziała, jak miło przyjął nas mój stary przyjaciel książę Władysław Lubomirski! Jest nie tylko melomanem, ale sam komponuje i propaguje muzykę polską i polskich kompozytorów współczesnych: Noskowskiego, Szymanowskiego, Karłowicza, Różyckiego. Nazywają siebie Młodą Polską. To wielkie indywidualności i bardzo różniące się od siebie. Książę finansuje młodych, przyjaźni się z Grzegorzem Fitelbergiem kompozytorem i świetnym dyrygentem,

niektórzy mówią, że jako dyrygent lepszy od Mahlera. Porównują do Nikischa. Kiedyś grał u księcia Paweł Kochański, wielki skrzypek. Bywa tam cały świat arystokratyczny, artystyczny i naukowy. Poznałam przez niego wielu wybitnych Polaków, artystów, polityków, arystokratów. Jest ich tutaj mnóstwo. Hrabia Hans Wilczek, wyobraź sobie, z Piastów śląskich! Był pod biegunem północnym i odkryte tam wyspy nazwał Ziemią Franciszka Józefa. Potoccy! Mają skromny pałac na Franzensringu; byliśmy u nich. Badeni, Gołuchowscy, minister Biliński, Dunajewski, to wpływowi ludzie, politycy. Dzieduszyccy i całe mnóstwo innych, nie byłam w stanie zapamiętać. Uroczą pani Raczyńska... Jan Lewicki, bliski współpracownik cesarza. Latem jeździ z nim na wakacje do Bad Ischl. Karsow spotyka wielu z nich w kawiarni Puchera na Kohlmarkcie. Zbierają się tam codziennie na śniadaniach w swoim kącie sali. Poznałam Pochwałskiego, portrecistę Franciszka Józefa. Mnie też namaluje, już się z nim umówiłam. Wszyscy teraz pasjonują się Freudem i psychoanalizą. A chyba każdy gimnazjalista w Wiedniu czytał *Pleć i charakter* Weiningera. Czy wiesz? Kilka lat temu autor popełnił samobójstwo, chłopak dwadzieścia trzy lata! I to jeszcze w mieszkaniu, w którym zmarł Beethoven, więc jego książka z dnia na dzień stała się bestsellerem. Można się tam dowiedzieć, że kobieta w ogóle nie myśli i nie ma żadnego rozumu! A mimo to wszyscy uwielbiają kobiety! Właśnie zapisałam się na seanse do doktora Adlera, ucznia Freuda.

– Ależ po co, mam? To dla chorych psychicznie.

– O, nie tylko. Psychoanaliza to poznanie własnej podświadomości, instynktów, najgłębszych pokładów duszy. Każdego tygodnia oglądamy w Burgtheater sztuki Zweiga, Rittnera, Schnitzlera. Nie masz pojęcia, jak to wszystko jest pod wpływem Freuda. Musisz pójść ze mną do Lubomirskich, do Potockich, poznać ludzi, to ci pomoże w karierze. Tam kształtują się opinie o literaturze i sztuce.

– Mam! Ja chcę własną pracą budować swoją karierę. Będziecie, mam nadzieję, jutro w Operze?

– Oczywiście, że będziemy. Masz jakąś klakę zapewnioną?

– Mam, na litość boską, co ty mówisz?!

– No, Katiu, tu jest trochę inaczej niż w innych stolicach europejskich. W Operze, tak samo jak w filharmonii, mnóstwo biedoty wpuszcza się na miejsca stojące. To młodzi ludzie, studenci. Potrafią być niemiłosierni. Wygwizdali balet Diagilewa z Niżyńskim w *Pietruszce* Strawińskiego, chociaż poprzedniego dnia w klasycznym repertuarze odniósł ogromny sukces.

– Zawsze chciałam śpiewać także dla ubogich. Nawet w tym świat jest niesprawiedliwy. Biedacy w ogóle nie mają dostępu do pewnych sfer życia.

Piły kawę i koniak. Ponad gwar rozmów przebijały się dźwięki pianina. Jakiś młody człowiek grał walce, tanga i przeboje operetkowe Offenbacha i Kálmána.

Katia trzymała matkę za rękę, chciała być z nią jak najbliżej, lecz widziała, jak niemal fizycznie oddalają się od siebie, jak bardzo różnią się ich światy. Rok miniony od Nicei zmienił tak wiele. Mama była taka jak dawniej, ale ona stała się już kimś zupełnie innym.

Bała się, jak mama przyjmie wiadomość o zaręczynach z Janem. Ale przyjęła ją spokojnie.

– Po tym, co do mnie ostatnio pisałaś, spodziewałam się tego – stwierdziła. – Szkoda, że on nic nie ma. Ale skoro się kochacie... Dobrze, że ty przynajmniej zarabiasz. Powiem ci jednak, że piętnaście procent na dobroczynność to już przesada. Ja często daję coś żebrakom i na cele charytatywne. Ale piętnaście procent?! To nie nasza wina, że świat jest tak urządzony.

– Cóż, mam, jeśli to ci nie przeszkadza? Jeśli jesteś szczęśliwa... Kochasz tego Karsowa?

– Tak, oczywiście, że go kocham... trochę. – Zaśmiała się. – Może nie jestem bez przerwy szczęśliwa, ale bywam. Ten nasz świat jest jednak tak cudownie piękny. Przecież i ty musisz to widzieć.

– Jaki świat? Nasz świat? Ludzi zamożnych, bogaczy?

– O, nie tylko! Te podróże, te bale, opera, teatr, rewie kawalerii, sztuka, stroje, powozy, automobile, plaże na Lido... No i ludzie. Wciąż spotykam ludzi, dla których uczciwość i honor jeszcze coś znaczą. Ten piękny Wiedeń z jego tradycyjną monarchią... Jakie to malownicze. Czyż świat nie jest cudowny? Trzeba się nim cieszyć. Trzeba umieć się nim cieszyć!

\* \* \*

Jan prosto z dworca pojechał na koncert. Miał zarezerwowany pokój w hotelu garnizonowym na Heitzingu, ale nie było już czasu, żeby się rozpakować. Przed wejściem do opery było już tłoczno. Podjeżdżały dorożki, trąbiły automobile. Panowie we frakach, kobiety w wielkich kapeluszach, futrach i długich sukniach, obwieszane biżuterią, niektóre nawet z diademami na głowach i pachnące najlepszymi perfumami. Eleganckie ekwipaże arystokracji i członków rodziny cesarskiej. Jednak sam Franciszek Józef nie był melomanem i jego łoża najczęściej pozostawała pusta.

Jan przyjechał dzień wcześniej, niż zapowiadał, mimo to w kasie czekały na niego bilety zarezerwowane przez Katię na wszystkie dni jej występów. Zostawił walizkę w szatni, rozejrzał się. Mnóstwo ludzi posuwało się powoli w stronę kasjerek rozdających program. Ruszył też, krok po kroku w tamtą stronę. Usłyszał za plecami rozmowę prowadzoną ściszymi głosami.

– No, mam! Dostałem od Rolfa dwie stójki i jeszcze zarobimy po pięćdziesiąt halerzy.

– Od Rolfa? August! Ja tu przychodzę słuchać muzyki, a nie robić klakę.



– Tym razem akurat nie chodzi o klakę, lecz o gwizdanie. Ta Rosjanka nie raczyła dać ani grosza, więc chcą jej pokazać...

– Mam się wdawać w jakieś awantury?

– Jakie awantury? Adolf!<sup>1</sup> Trochę potupujemy i pogwiździemy. To lepsze niż te twoje pocztówki.

Jan się odwrócił. Dwaj młodzi ludzie, speszeni że ktoś słyszał ich rozmowę, odeszli na bok. Ten, który musiał być Augustem, wyglądał na ubogiego studenta. Adolf był nieogolony, miał zapadnięte oczy i włosy do ramion. Jego frak był wyraźnie zbyt obszerny. Za to nogawki spodni kończyły się tuż nad kostkami.

Zaniepokoiła go ta rozmowa, lecz nie wiedział, co mógłby zrobić. Kiedy usiadł na swoim miejscu na drugim balkonie, przyglądał się uważnie ludziom z miejsc stojących, których wpuszczono na widownię dopiero tuż przed ostatnim dzwonkiem. Tłoczyli się przy drzwiach wejściowych, stało ich wielu pod ścianami parteru i pierwszego piętra. Byli to sami mężczyźni; kobietom nie wolno było zajmować miejsc stojących. Obserwował ich przez swoją wojskową lornetkę, lecz tych, których rozmowę usłyszał, nie odnalazł.

Katia miała śpiewać najbardziej znane arie, repertuar bardzo popularny, same przeboje muzyki operowej. Zaczęła *Aidą* Verdiego *Ritorna vincitor* i już w połowie arii rozległo się buczenie i tupanie. Prawie wszyscy stojący i część tylnych rzędów wrzeszczała i gwizdała. Przez tumult z trudem przebijały się okrzyki: „Cisza!”, „Spokój! To skandal!”. Jakiś jegomość obok Jana wstał i potężnym głosem wołał: „Wyrzucić tę hołotę! Wyrzucić! Wyrzucić!”. Po chwili tumult był już taki, że Katia musiała przerwać. Jan widział przez lornetkę, że ma łzy w oczach. Wstał i ruszył do schodów na dół, gotów rzucić się z pięściami na klakierów. Jednak kiedy był już na parterze, zobaczył kilkunastu policjantów wyciągających ich z sali. Pomagało im kilku młodych oficerów armii, też widzów z miejsc stojących. Na opornych spadały razy pałek. Po chwili dwudziestu kilku wyprowadzono na ulicę, a Jan wrócił na balkon.

Sala szumiała teraz oklaskami, zapewne kierowanymi zarówno do śpiewaczki, jak i do stróżów porządku. Katia zaczęła od początku i kiedy skończyła, aplauz był ogromny. Stało się coś podobnego jak w Petersburgu, kiedy car przerwał koncert. Nieprzyjemny incydent najwyraźniej zjednał Katii sympatię publiczności. Ludzie szybko się zorientowali, co było jego przyczyną. Po *Casta diva* z *Normy* Belliniego jeszcze raz trochę odezwała się klaka, lecz spotkało się to z tak natychmiastową i wyraźną dezaprobatą widowni, że gwizdy umilkły jak ucięte nożem. Jan mógł już spokojnie pozwolić nieść się muzyce. Śpiew Katii rozczulał go i hipnotyzował. Jej głos przenikał go do głębi, tak że Jan aż drżał. Gdy śpiewała, kochał ją do bólu. Uwielbiał. *Addio del passato* z *Trawiaty*, *Vissi d'arte* z *Toski*, *Mio babbino caro*, *Suicidio* z *Giocondy* Ponchiello i na koniec *Un bel di vedremo* z *Madame Butterfly* Pucciniego.

Sala szalała i zmusiła Katię do bisów. Domagała się jeszcze, ale ona już tylko wychodziła i kłaniała się. Trwało to bardzo długo, lecz Katia miała przed sobą jeszcze cztery dni koncertów i musiała oszczędzać siły.

\* \* \*

Rano przy śniadaniu Jan i Katia przeglądali stopy gazet i czytali recenzje. Być może nie było trudno odnieść sukces wśród widowni, bo łatwy repertuar sprawiał, że koncert musiał się podobać publiczności. Ale i opinie krytyków też były świetne. „Neues Wiener Tagblatt”, „Brigittener Nachrichten”, „Wiener Morgenpost”, „Neue Freie Presse” zamieściły bardzo dobre recenzje. Niektóre opisały oburzający incydent z klaką. Dla Katii najważniejsze były recenzje krytyków muzycznych z pism artystycznych, przede wszystkim „Die Fackel” i „Der Brenner”. Stefan Grünfeld rozwodził się nad niezwykłością barwy, czystością i siłą głosu Jekatieriny Niesłuchowej. Julius Korngold podziwiał i wyrażał nadzieję, że „znakomita Niesłuchowa” wystąpi jeszcze w Wiedniu w jakimś ambitniejszym repertuarze. Reitler oznajmiał narodziny światowej gwiazdy opery: „Rok temu słuchaliśmy w Hofoperze wielkiej Ady Sari nawet w dość podobnym repertuarze. Niesłuchowa nie ustępuje jej ani wielkością, ani barwą głosu. A ma coś jeszcze: młodość, niebanalną urodę i niezrównane naturalne aktorstwo. Wkrótce podbije świat, to pewne”.

\* \* \*

Hrabia Sergiusz Karsow był człowiekiem pełnym sprzeczności. Niegdyś studiował literaturę i filozofię, lecz uważał, że najlepszym sprawdzianem wartości mężczyzny jest wojna. W sprawach społecznych i obyczajowych był konserwatystą, lecz podziwiał nowoczesne malarstwo, a nawet najbardziej awangardową muzykę atonalną. Był gorliwie wierzący, lecz przeżył wiele przygód miłosnych i nigdy się nie ożenił. Nadię Niesłuchową namawiał na rozwód z mężem i chciał się z nią żenić, dobrze wiedząc przecież, że uzyskanie prawosławnego rozwodu jest prawie niemożliwe. Podziwiał demokracje zachodnie. Szczególnie podobała mu się konstytucyjna monarchia Habsburgów, lecz był fanatycznym wielbicielem Mikołaja II i samodzierżawia.

Jan i Katia byli na wczesnym obiedzie w barokowym pałacyku przy Ringu, który Karsow i Nadię wynajęli na czas pobytu w Wiedniu, na kilka miesięcy.

– Wiedeń jest najdziwniejszym miejscem w Europie – mówił Karsow. – W każdym kiosku z gazetami możecie tu kupić dwadzieścia różnych broszur antysemitycznych, a jednak najuboższy Żyd albo Ukrainiec skrzywdzony przez urzędnika lub kogokolwiek innego, może uzyskać sprawiedliwość w sądzie. Cesarz nie znosił Luegera, wieloletniego burmistrza Wiednia, zacieklego antysemitę, lecz nie był w stanie usunąć go z urzędu. Jego urząd jest bowiem wybieralny. Czy

możecie sobie, państwo, coś takiego wyobrazić w Rosji?

– Pan, hrabio, jak rozumiem, pochwała takie poszanowanie prawa obowiązujące nawet panującego? – pytał Jan.

– Oczywiście, jak najbardziej.

– Więc dlaczego jest pan zwolennikiem samodzierżawia w Rosji?

– O, Rosja to co innego! Demokracja pasuje do Rosji jak siodło do krowy. Rosja potrzebuje silnego władcy i potężnego państwa. Rosja musi być mocarstwem i Rosjanie są szczęśliwi tylko wtedy, gdy mogą być dumni ze swojej mocarstwowości.

– Więc Rosja to Azja? Idee europejskie nigdy się tam nie przyjmą?

– Nie, nie! Azja to masa, w której jednostka jest niczym. U nas jednak zawsze wyrastały wielkie indywidualności i wpływały na resztę. Lecz mentalność inna niż na Zachodzie. Nawet w regulaminie dla kadetów można przeczytać, że Rosja nie jest krajem przemysłowym ani rolniczym, ani kupieckim. Rosja jest krajem militarnym i jej przeznaczeniem jest, żeby wszyscy się jej bali.

– Więc Rosja chętnie ruszy na wojnę, jeżeli do niej dojdzie?

– Oczywiście.

Jan nie rozumiał:

– Dziwi mnie niezmiernie, jak pan może jednocześnie zachwycać się Austrią i pochwalać samodzierżawie. Co prawda, i tutaj nie wszystko jest tak piękne, jak może się wydawać. Czytałem pracę pewnego Rumuna, Aurela Popoviciego, jeśli dobrze pamiętam, pod tytułem *Die Vereinigten Staaten von Gross-Österreich*<sup>2</sup>. Popovici projektuje stany zjednoczone Austrii z całkowitą autonomią i równouprawnieniem narodów, swobodami w dziedzinie religii, kultury i narodowości, z pełną demokracją wszędzie. Byłoby to może piękne, gdyby nie fakt, że tutejsze stany zjednoczone powstały przez podbój. Z Polski byłaby w nich tylko ta część, która w traktatach rozbiorowych przypadła Habsburgom. Więc jak Polacy mogliby się z tym pogodzić? Ale nie tylko Polska. Byłem swego czasu kilka tygodni w Bośni. Austriacy są tam bezwzględni okupantami. Parlament Bośni jest wyłącznie dekoracją bez żadnego znaczenia politycznego. Na wsi stosunki feudalne jak za czasów okupacji tureckiej. Osiemdziesiąt siedem procent to analfabeci! Na wsi nie tylko głód, ale w lata nieurodzaju także masowy pomór z głodu. A Wiedeń w żaden sposób nie próbuje tego zmienić. I gdy podnoszą się bunty, tłumi je, topiąc we krwi. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego ta część Austro-Węgier jest traktowana tak odmiennie.

– No więc sam pan widzi, demokracja niczego nie gwarantuje.

Służba podawała kawę, herbatę i desery, a Karsow ujął dłoń Nadzieży Niesłuchowej, pocałował ją czule i mówił z uśmiechem:

– W ciągu ostatniego roku roztrwoniliśmy z Nadią, bez żalu zresztą, pół mojego majątku. Wynika z tego, że pozostała połowa powinna wystarczyć jeszcze

na rok. Ale jestem pewien, że nie zdążymy, wojna wybuchnie wcześniej.

– Panie hrabio – zdziwiła się Katia – ale co zrobi pan kiedy wojna się skończy?

– O to się nie martwię. Wojna będzie, przy dzisiejszych środkach niszczenia, tak krwawa, że jest zupełnie nieprawdopodobne, żebym akurat ja ją przeżył. Wrócę do wojska i nie będę się chował za innymi. – Podniósł kieliszek i wypił. – A zresztą po wojnie nie będzie już naszego świata.

– Siergiej! – Nadieżda była poruszona. – Nie mów takich strasznych rzeczy. Skąd w ogóle pewność o nieuchronności wojny? I to wkrótce!

– Nadiu, kochanie, gdybyś trochę interesowała się polityką, wiedziałabyś. Wszystkie narody w Europie aż rwą się do wojny. Niemcy najbardziej. Pakty są już pozawierane. Austria z Niemcami i Włochami, Rosja z Francją i Anglią. Potrzeba tylko pretekstu. Coś się znajdzie! Ja czuję tę wojnę, jak zwierzęta i ptaki na Wezuwiuszu czują zbliżanie się erupcji wulkanu. Czy nie zauważyliście państwo, że czas jakby przyspieszał? Mam wrażenie, że dawni znajomi, z którymi się teraz spotykam, jakoś dziwnie szybko się starzeją. Nie widziałem się z nimi na przykład dwa lata, a oni postarzeliby się o dziesięć czy piętnaście. Zaraz odejdą do przeszłości, na zawsze. Jakby czas przyspieszył i wszystko miało zaraz zginąć.

– Ja wcale tego nie widzę – rzekła Nadieżda. – Kilka dni temu rozmawiałam z Alną Mahler. Pochowała swojego wielkiego męża trzy lata temu, a teraz ma kochankę i jest po prostu kwitnąca. A musi być z piętnaście lat starsza ode mnie.

– Kochanie, to, co powiedziałem, zupełnie nie dotyczy ciebie. – Karsow znów pocałował jej rękę. – Wracając jednak do mojej myśli... Bieżąca polityka coraz mniej mnie interesuje. Wydaje mi się coraz bardziej błaha, nasz świat, cały nasz piękny świat wkrótce odejdzie...

– Kiedy pana słucham – Katia mówiła zamyślona – przypomina mi się *VI Symfonia* Mahlera. Słyszał pan ją?

– Tak, słyszałem i dobrze ją pamiętam.

– Grano ją w zeszłym roku w Filharmonii Petersburskiej. Jest w niej coś z tego, o czym pan mówi. Na początku słychać głosy ptaków, dzwoneczki owiec w górach, szum drzew, głosy przyrody, nawet trąbkę pocztyliona... A potem szcęk i łoskot maszerującego wojska, orkiestrę wojskową. Z czterech części trzy w tempie marszowym. Wrzawa, jakby bitwa. Motyw liryczny pojawia się co jakiś czas i zawsze zostaje zagłuszony przez werble wojny. Jakby ze wszystkich stron naraz nadchodziły orkiestry wojskowe. Niepokojące! Huk blach, młoty... Pojawiają się głosy dzieci i znów zabija je marsz i zgiełk. *Scherzo* brzmi już złowieszczo. Wreszcie wszystko przechodzi w ton żałobny. Teraz, kiedy to sobie przypominam, wydaje mi się, że przypomina to jakiś narastający galop jeźdźców Apokalipsy. Śmierć, zagłada...

– No tak. – Karsow słuchając Katii, kilkakrotnie pokiwał głową. – Koń

wrony, a który na nim siedział, śmierć niósł. A czwarty koń czerwony... Tak to jakoś pamiętam... Może niezbyt dokładnie. Ta symfonia ma przydomek „Tragiczna”. A jego pierwsza symfonia? Zna pani? Jest taka beztroska i taneczna. Ale to przeszłość.

\* \* \*

Jechali powozem główną aleją Prateru. Przy dobrej pogodzie park pełen był spacerujących.

– Popatrzcie tam! – Nadia pokazywała mijające ich otwarte lando. – To Katarzyna Schratt, niegdyś aktorka, a potem wieloletnia przyjaciółka cesarza.

– Nadia zna całe wiedeńskie towarzystwo – rzekł Karsow.

– A Siergiej wszystkich malarzy i pisarzy – dodała Niesłuchowa. – W całej Europie tak jest, jeśli masz dobre nazwisko, a jak już masz koligacje z którąś z rodzin panujących, to wszędzie jesteś u siebie. Leontiewowie są skoligaceni z książętami Hessen-Darmstadt, czyli z carycą Aleksandrą. Moje panięskie nazwisko otwiera wszystkie drzwi we wszystkich stolicach. Ty, Katiu, nie powinnaś o tym zapominać, to może ci wiele ułatwić. Nawet tutaj mogłabym cię poznać z kilkoma ludźmi. Prater to najważniejszy deptak świata.

– To miłe z twojej strony, mamó, lecz wiesz, że nie przepadam za tego rodzaju znajomościami. Nie chcę żadnych protekcji.

– Gdybyście państwo mieli dość czasu – Karsow zwrócił się do Jana i Katii – zapraszałbym do Secession i koniecznie do Café Central. W tej kawiarni bywa cały artystyczny światek Wiednia. W ogóle wydaje się, że życie artystyczne Wiednia toczy się w kawiarniach przy muzyce, dobrej kawie i Apfelstrudlu. I bez tej kawy i strudla byłoby niemożliwe. Na ścianach pełno rozneglizowanych rysunków Eгона Schielego i obrazów Gustava Klimta. Jakies połączenie naturalizmu z abstrakcjonizmem plus reminiscencje bizantyjskich ikon. Ornament, symbole i bajkowe kolory. Warto zobaczyć. No i dwa tysiące czasopism do czytania. Nie ma drugiej takiej kawiarni na świecie.

Wysiedli z powozu w wesołym miasteczku przy diabelskim młynie. Wznosiło się przed nimi ogromne, obracające się Wiener Riesenrad z wagonikami na kilkanaście osób każdy.

– Chcę pojechać, Jan – zawołała Katia. – Chcę koniecznie!

– Ja nie, ja się boję – oświadczyła mama. – Zostaniesz za mną, Siergiej?

– Oczywiście, kochanie.

Koło się zatrzymało. Kolejne wagoniki ustawiały się przy podeście, ludzie wysiadali, a ich miejsce zajmowali inni. Po chwili Katia i Jan jechali w górę. Koło co chwilę zatrzymywało się, przyjmując kolejnych pasażerów, obracało się bardzo powoli, aż wyniosło ich na wysokość ponad stu metrów. Ulice, dachy domów, drzewa, ruch ludzi i pojazdów – wszystko to wyglądało stąd inaczej. Widzieli stare

miasto, katedrę, Hofburg, w dali na południu Schönbrunn, na wschodzie szeroko rozlany i kręty Dunaj z jego wszystkimi mostami. A na zachodzie – Kanał Dunajski aż za Leopoldstadt z parkiem Augarten i charakterystyczną sylwetką wiekowej fabryki porcelany.

Wśród ludzi w dole wypatrzyli Karsowa z mamą. Stali objęci, patrzyli w górę i machali do nich chusteczkami. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a wiosenne słońce mocno świeciło, lecz w górze trochę wiało i było zimno, więc tulili się do siebie. Cały świat leżał u ich stóp, było bardzo pięknie.

\* \* \*

Oboje bardzo już byli zmęczeni ciągłymi rozstaniem. Spotkania na dwa, trzy dni, czasem na kilka godzin, pokoje hotelowe. Tęsknota stawała się coraz bardziej bolesna. Nie mogli dłużej tak żyć. Pragnęli zwykłej codzienności i spokoju. Nad Europę nadciągała burza. Szukali miejsca, w którym mogliby się przed nią schronić. Dom! Potrzebny im był dom. Katia nie chciała zostać w Rosji, zresztą Janowi groziło tam aresztowanie. W Krakowie byłoby wspaniale, lecz nie było tu teatru operowego. Jakiś spokojny, neutralny kraj, najlepiej Szwajcaria. Może Berno, Zurych lub Genewa. Blisko do Wiednia, Krakowa, do Paryża i do Włoch. Jan miał się zorientować co do możliwości odejścia z wojska, a Katia zamierzała zbadać z prawnikiem, czy i jak możliwe byłoby rozwiązanie kontraktu z Teatrem Maryjskim. W sierpniu Jan miał mieć urlop, a opera sezon wakacyjny. Postanowili, że pojedą wtedy do Szwajcarii. Katia szukałaby kontraktu w operze a Jan rozjeżdżałby się za pracą trenera w którymś z klubów jeździeckich.

Ślub wzięli w Krakowie, w magistracie. Wobec różnicy wyznań możliwy był tylko cywilny. Ale i tak było pięknie. Zaprosili jedynie najbliższych oraz przyjaciół Jana, a i tak zebrało się ponad trzydzieści osób. Koledzy z wojska utworzyli przy wyjściu szpaler z szabłami skrzyżowanymi nad głowami.

Widok był niezwykły. Setki gołębi. Goście pary biorącej ślub przed nimi rozsypali na podjeździe worek pszenicy na wróżbę dobrobytu, więc zleciały się gołębie z całego miasta. Oswojone ptaki niechętnie ustępowały z drogi, odchodziły, kołyszając się na boki lub trzepocząc skrzydłami, odlatywały kilka kroków dalej. Szli wśród chmary białego ptactwa.

Potem pomodlili się w kościele Mariackim. Chcieli też pójść do cerkwi, ale w Krakowie cerkwi nie było<sup>3</sup>. Całą noc bawili się u Wierzynka. W Sali Rycerskiej, którą wynajęli, grało kilku młodych muzyków z krakowskiego konserwatorium. Przetanńczyli tę noc. Tylko tanga nie mogli zatańczyć. Franciszek Józef zezwolił obywatelom swojego państwa na nieprzyzwoite i lubieżne tango, lecz nie dotyczyło to oficerów c.k. armii. A Jan był w mundurze.

<sup>1</sup> Małe odstępstwo od chronologii. Hitler mieszkał w Wiedniu od 1907 roku i wyjechał do Monachium jedenaście miesięcy przed opisanymi tu zdarzeniami.

Lecz jest faktem, że regularnie bywał w Hofoperze ze swoim przyjacielem Augustem Kubizkiem. Stać ich było zaledwie na miejsca stojące.

<sup>2</sup> *Die Vereinigten Staaten von Gross-Österreich* – „Stany Zjednoczone Wielkiej Austrii”.

<sup>3</sup> Cerkiew na ulicy Szpitalnej w miejscu dawnej świątyni grekokatolickiej powstała dopiero w 1918 roku.

## Sarajewo

28 czerwca 1914 roku. O wpół do dziewiątej rano sześciu młodych ludzi siedzi w cukierni Vlajinicia nad dwoma filiżankami kawy i jednym ciastkiem. Czterej z nich nie mają jeszcze dwudziestu lat. Na stoliku leżą gazety. Świąteczne wydanie „Hrvatskiego dnevnika” z wielkim tytułem na czołówce: *Franciszek Ferdynand – nasza nadzieja* i „Bosanska pošta” z opisem programu wizyty arcyksięcia. Trasa przejazdu następcy tronu jest znana od dawna. Władze miasta wzywają mieszkańców, aby udekorowali domy kwiatami i flagami.

Młodzi ludzie rozmawiają przyciszonymi głosami, bo w cukierni jest pusto i cicho, a właściciel kręci się obok, przestawia krzesła, czyści popielniczki, popatruje na nich niechętnie.

– Ilić! Jeśli się boisz, to idź do diabła – denerwuje się Gavriło Princip. – Poradzimy sobie sami. – Ma dziewiętnaście lat, jest niski i drobny, wygląda jeszcze młodziej niż pozostali, lecz to on jest przywódcą.

– Nie boję się, ale to nie ma sensu. Skutkiem będą tylko represje. Ten major od Dmitrijevicia<sup>1</sup> wmówił wam, że manewry przy granicy to koncentracja wojsk do ataku na Serbię. Dlatego planowaliśmy akcję. Ale manewry się skończyły i wojny nie ma.

Danilo Ilić jeszcze niedawno był nauczycielem Principa, lecz jest tylko o pięć lat od niego starszy.

– Nie, Danilo! Powód jest taki, że Franciszek Ferdynand nie dopuści do zjednoczenia Słowian. Czy muszę ci przypominać? – Gavriło odstawia filiżankę. – Następca tronu nienawidzi Serbów, Słowian, Węgrów, Żydów, wszystkich nienawidzi! To germański szowinista. Militarysta pragnący wojny. Manewry były demonstracją siły. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy! Tymi manewrami mówią do nas, że Austria nigdy nie pozwoli, aby Bośnia była wolna.

– Ale granaty! Jest ładna pogoda, przyjdzie dużo ludzi. Ucierpi wielu niewinnych. Nie róbnmy tego, mówię wam! Nie róbnmy!

– To dobrze, że przyjdzie wielu ludzi, łatwiej będzie ukryć się w tłumie.

Čabrinović kładzie dłoń na rękę Ilicia:

– Danilo, to trudne... Ale zabicie tyrana jest czynem świętym. Dwudziesty ósmy czerwca coś nam przypomina. Sześćset dwadzieścia pięć lat temu wojewoda Obilić zabił sułtana Murata.

– Tak! Tylko, że to niczego nie zmieniło. Tego samego dnia zostaliśmy pobici na Kosowym Polu i dostaliśmy się do niewoli.

– No właśnie. Czy myślicie, że to przypadek, że następca tronu akurat ten dzień wybrał na wjazd do Sarajewa?

– Gavro, nie czas na dyskusję! – Popović gasi papierosa w popielniczce. –



Wczoraj Čabrinović o mało nie pobił się z ojcem, który uparł się wywiesić w oknie flagę austro-węgierską. Do tego doszło!

– Tak, dość tego. Idziemy na stanowiska! – Princip wstaje, bierze na bok Čabrinovicia. Rozgląda się, czy nikt nie widzi, daje mu pistolet i granat. Pozostałym spiskowcom rozdał broń dzień wcześniej. – Wszyscy mają truciznę?

Kiwają głowami.

– Więc jednak idziesz? – Princip obejmuje Ilicia.

– Oczywiście, Gavro.

Wychodzą na ulicę. Uściski dłoni.

– Byłem wczoraj na grobie Žerajicia<sup>2</sup> – mówi Gavriło do Čabrinovicia.

– Ja też! Poprowadzi nas...

– Żegnaj, Nedeljko!

– Żegnaj, Gavro!

Na nabrzeżu Appela ruch jest większy niż zwykle; ludzie już się zbierają w oczekiwaniu na przejazd orszaku arcyksięcia. Chłopcy włączają na drzewa, żeby lepiej widzieć. Dzieci bawią się chorągiewkami na patyczkach. Przymaszerowała wojskowa orkiestra dęta. Kiedy do ratusza przyjedzie arcyksiążę – ma zagrać *Hymn ludu: Gott erhalte, Gott entsütze unser Keiser, unser Land...*

Na długo przed południem robi się upał. Rzeka Miljačka, głęboka zaledwie na kilkanaście centymetrów, leniwie płynie wzdłuż ulicy. Nedeljko Čabrinović spotyka znajome dziewczyny; rozmawiają, śmieją się. Kiedy pojawia się uliczny fotograf Josip Svaraj, robią sobie zdjęcia. Nedeljko od razu płaci i podaje kilka adresów, na które mają zostać przesłane odbitki. Jeden z nich jest adresem jego matki.

Po chwili wszyscy są na wyznaczonych stanowiskach. Mehmedbašić i Vaso Čubrilović kręcą się koło letniego ogródka kawiarni Mostar. Trzysta metrów dalej, nad brzegiem rzeczki, czeka na arcyksięcia Nedeljko Čabrinović. Spaceruje pomiędzy mostem Drewnianym a mostem Čumurija. Za mostem Čumurija, dwieście metrów dalej – Cvetko Popović. Tylko Ilić jest bez broni, ma zapewnić łączność pomiędzy grupami zamachowców. Na końcu, na moście Latinskim, Gavriło Princip. Niewiele dalej – Trafiko Grabež.

Policja wstrzymała ruch kołowy na trasie przejazdu, a ludzi na ulicy przybywa z każdą chwilą. Wielu przyjechało spoza miasta na święto apostołów Piotra i Pawła. Wszędzie są już tłumy.

\* \* \*

Przez trzy dni następcą tronu sprawujący funkcję generalnego inspektora sił zbrojnych, czyli naczelnego wodza cesarsko-królewskiej armii, wizytował manewry. Nocował w tym czasie z żoną w hotelu Bośnia w pobliskiej Ilidży. 26 czerwca kilka minut po dziesiątej wysiada z pociągu z orszakiem towarzyszących

mu dostojników na dworcu kolejowym w Sarajewie. Po pierwszych powitaniach kolumna sześciu samochodów rusza w stronę magistratu. Ulicami Dworcową i Mustajbegową do nabrzeża Appela jadą bardzo powoli, bo arcyksiążę pragnie się przyjrzeć ludziom i miastu. Jedzie w trzecim aucie, otwartym kabrioletcie, z morganatyczną małżonką, księżną Zofią Hohenberg. Arcyksiążę jest w paradnym generalskim mundurze kawalerii. Biała, dwurzędowa kurtka i kapelusz z wielkim zielonym pióropuszem. Obok niego księżna w białej sukni, ogromnym kapeluszu i z czerwoną szarfą w pasie. Naprzeciw nich pułkownik hrabia Harrach i namiestnik Bośni generał Oskar Potiorek. Wśród wiwatów i okrzyków przystają na chwilę przy budynku nowo zbudowanej cesarsko-królewskiej poczty. Następca tronu, nie wysiadając z pojazdu, przyjmuje krótkie przemówienie powitalne i jadą dalej.

Na bulwarze Appela pierwsza para spiskowców nie atakuje. Na procesie powiedzą, że kiedy się zorientowali, w którym aucie jedzie ten, którego mieli zabić, było już za późno. Tłum szumi i wiwatuje, arcyksiążę jest zadowolony, a generał Potiorek przypomina, że zapewniał o miłości Bośniaków dla cesarstwa i pełnym bezpieczeństwie. Ale to złudzenie. Policji jawnej i tajnej jest o wiele za mało: co sto metrów jeden funkcjonariusz.

Čabrinović spostrzega w oddali nadjeżdżających.

– W którym samochodzie jedzie jego wysokość? – pyta mężczyznę stojącego obok. Nie wie, że to detektyw – ochroniarz.

– W trzecim – odpowiada tajniak, nie wiedząc, do kogo mówi.

Čabrinović podchodzi do słupa latarni i kiedy trzecie auto jest już kilka metrów od niego, uderza starym serbskim granatem o latarnię, żeby wbić zapalnik do środka. RzUCA bardzo celnie. Granat pada na złożony płócienny dach kabrioletu, lecz nie wybuch. Na to potrzeba trzynastu sekund od uruchomienia zapalnika. Franciszek Ferdynand natychmiast odwraca się i odrzuca granat na jezdnię. Jednocześnie jego szofer gwałtownie przyspiesza. Granat wybuch przed następnym autem. Jest dwóch rannych w samochodzie i kilkunastu na ulicy. Kilku krwawiących ludzi leży na chodniku, tłum w panice rozbiega się na wszystkie strony.

Čabrinović wyrywa się detektywowi, który usiłuje wykręcić mu rękę i rzuca się do ucieczki. Przegryza fiolkę z cyjankiem, przeskakuje barierkę, zsuwa się po pochyłym obmurowaniu do rzeki. Trucizna pali go w ustach; jest pewny, że za chwilę umrze, więc nawet nie bardzo się broni, gdy dopada go pościg. Ale trucizna go nie zabija. Dwaj oficerowie wpadają na niego z szablami, ranią go kilkakrotnie i ratują go dopiero policjanci.

AutA jadą teraz tak szybko, że ani Cvetko Popović, ani Princip – zdezorientowani odgłosem wybuchu – nie są w stanie zareagować. Także Trafiko Grabež nie rzuca granatu ani nie strzela.

Chwilę później pięć samochodów zatrzymuje się przed magistratem. Szóste auto wraca z rannymi do szpitala. Burmistrz, który nie wie jeszcze, co się zdarzyło, występuje z powitaniem.

– Herr Bürgermeister – przerywa mu gniewnie arcyksiążę – co mi po pana powitaniach?! Ładne powitanie! Przyjechałem do was w odwiedziny, a witacie mnie bombami. To niesłychane!

Księżna patrzy na męża błagalnie, więc Franciszek Ferdynand pozwala burmistrzowi przeczytać z kartki przemówienie. Chciałby teraz odczytać swoją odpowiedź, lecz tekst został w samochodzie, obok którego wybuchł granat. Dopiero po dłuższej chwili nadbiega adiutant. Przynosi kartki lepkie od krwi.

– Chcę odwiedzić rannych oficerów w szpitalu – oświadcza następca tronu po uściskach dłoni z burmistrzem i najważniejszymi urzędnikami. – Co pan myśli? – zwraca się do generała Potiorek. – Można się spodziewać jakiegoś następnego zamachu?

– Wasza Wysokość, proszę jechać spokojnie – odpowiada Potiorek. – Biorę całą odpowiedzialność na siebie.

Przed jedenastą kolumna aut rusza spod magistratu. Znow jada bulwarem Appela. Arcyksiążę, jak poprzednio, w trzecim aucie. Po jego prawej stronie na stopniu stoi pułkownik Harrach, aby w razie potrzeby zasłonić go własnym ciałem. W pewnym momencie z powodu pomyłki kierowcy auta skręcają w boczną uliczkę zamiast jechać prosto. Generał Potiorek zatrzymuje kolumnę i samochody zawracają, pomału się cofając.

W tej samej chwili z winiarni tuż obok wychodzi Gavrilo Princip. Przedtem, przekonany o niepowodzeniu zamachu, kręcił się trochę po bulwarze, a potem zrezygnowany wstąpił na szklankę wina. Usłyszał za oknami warkot silników, hałas, hamowanie kół na jezdni. Wychodzi i widzi kilka metrów przed sobą, po drugiej stronie ulicy, kabriolet z arcyksiężciem. Princip jest po jego lewej stronie, przeciwnej niż osłaniający następcę tronu pułkownik Harrach. Podchodzi jeszcze bliżej, wyjmuje pistolet i strzela. Raz za razem. W ostatniej chwili odwraca wzrok od celu; najgorszy błąd w sztuce strzelania! Mimo to trafia Franciszka Ferdynanda w gardło, a jego żonę w brzuch. Obfity krwotok z tętnicy szyjnej zabarwia cały przód białej kurtki munduru arcyksięcia.

– To nic, to nic! – arcyksiążę stara się uspokoić obejmującą go i tracącą przytomność żonę. – To nic, to nic... – powtarza jeszcze kilkakrotnie.

Kiedy po kilku minutach przyjeżdżają do kanaku, siedziby namiestnika Bośni, lekarze mogą już tylko stwierdzić zgon. Trudno od razu zrozumieć przyczynę śmierci księżnej. Jest tylko mały otwór po kuli w sukni. Przyczyną zgonu był silny krwotok wewnętrzny.

Princip od razu po oddaniu strzałów zażywa truciznę. Ale trucizna nie działa. Po chwili zostaje aresztowany.

O drugiej po południu jeden po drugim odzywają się dzwony wszystkich cerkwi i kościołów Sarajewa.

Dzwonią bez przerwy aż do zachodu słońca.

<sup>1</sup> Dragutin „Apis” Dmitrijević (1877–1917), szef wywiadu serbskiego i przywódca organizacji wojskowych Czarna Ręka. Zaopatrzył spiskowców, bośniackich Serbów, w pistolety i granaty, umożliwił im trening strzelecki pod Belgradem i nielegalne przejście przez granicę z powrotem do Bośni.

<sup>2</sup> Bogdan Žerajić 15 marca 1910 roku oddał pięć strzałów do namiestnika Marijana Varešanina i przekonany, że go zabił, natychmiast popełnił samobójstwo. Varešanin jednak ten zamach przeżył.

## Pardubice

Zbliżało się południe. Tego dnia trochę padało, więc kolejny, trzeci już trening Jan prowadził w krytej ujeżdżalni. Od rana wszystko szło znakomicie. Konie pracowały chętnie, jeźdźcy także mieli dziś swój dobry dzień. Od rana nie było ani jednej zrzutki. Konie nie dotykały przeszkód.

Kończył przedpołudniową część pracy i miał już pójść na obiad, kiedy pojawił się listonosz. Dziwne było, że przyjechał do ujeżdżalni, a nie do biura. Rzucił rower i biegł w stronę Jana.

– Zamach w Sarajewie! – wołał. – Zginął arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona!

Jan szybko czytał gazetę. Arcyksięcia Ferdynanda dobrze pamiętał. Wręczał mu w zastępstwie cesarza odznaczenie za Niceę. Przypominał sobie, co mówił hrabia Karsow: do wojny potrzebny jest tylko pretekst.

Kazał zaprzęgać konie wyjazdowe i w pierwszym odruchu chciał jechać do miasteczka, wysłać do Katii telegram żeby natychmiast przyjeżdżała, bo wojna może ich rozdzielić. Lecz potem zaczął się zastanawiać. Może to przedwczesne? Nie tak dawno były dwie wojny na Bałkanach, lecz konflikt europejski z tego nie wynikał. W mieście kupił wszystkie aktualne gazety niemieckojęzyczne i czytał komentarze. Już wcześniej pisał Katii, że zwolnienie z wojska przed upływem kontraktu jest zupełnie niemożliwe. Teraz wysłał list, w którym prosił, żeby starała się jak najszybciej uwolnić od swoich zobowiązań i przyjechać. Mogła – płacąc spore odszkodowanie – natychmiast rozwiązać kontrakt. Jakoś, jak pisała, potrafiłaby to przeboleć.

Przez następne dni czekał na odpowiedź. Gazety dostarczały wciąż nowych informacji o tym, co się stało w Sarajewie. Śledztwo postępowało bardzo szybko. Wszyscy uczestnicy zamachu mieli zażyć truciznę, więc nie zastanawiali się, jak będą zeznawać w razie aresztowania. Cała ich organizacja została w krótkim czasie zlikwidowana. Byli bośniackimi Serbami i policja z łatwością odkryła ich związki z ojczyzną. Serbski wywiad wojskowy kierowany przez Dragutina Dmitrijevicia zaopatrzył zamachowców w broń i granaty. Pod Belgradem ćwiczyli się w strzelaniu, a potem wywiad ułatwił im nielegalne przejście przez granicę do Bośni. Sam Dmitrijević, pseudonim Apis, był postacią złowrogą. Kierował nacjonalistyczną organizacją wojskowych o nazwie Czarna Ręka. Jej cele były niejasne. Jedenaście lat wcześniej brał udział w krwawym przewrocie pałacowym. Wojskowi spiskowcy zamordowali wtedy w Belgradzie króla Aleksandra Obrenovicia i jego żonę Dragę, zwolenników współpracy z Austrią, i wprowadzili na tron Piotra I Karadziordzewicia, zwolennika Rosji. Dmitrijevicia podejrzewano nie tylko o wspomaganie zabójców pary arcyksiężęcej, lecz także o inspirowanie

zamachu i kierowanie nim. Powszechnie uważano, w każdym razie w Austrii, że działo się to z inspiracji rządu serbskiego. Dowodów na to jednak nie było.

Cała Europa była wstrząśnięta i oburzona zabójstwem przyszłego monarchy. W 1914 roku w Europie były zaledwie trzy państwa republikańskie: Szwajcaria, Francja i Portugalia. Wszystkie pozostałe były monarchiami. Oczekiwano, że w Wiedniu odbędą się wielkie uroczystości pogrzebowe i wszyscy królowie Europy chcieli przyjechać. Jednak Franciszek Ferdynand miał licznych wrogów na dworze wiedeńskim, a cesarz z powodu małżeństwa, którego Habsburgowie nie mogli zaakceptować, odnosił się do niego z niechęcią. Następca tronu nie miał więc pogrzebu państwowego. Naczelnemu inspektorowi sił zbrojnych nie dano nawet asysty wojskowej, a dyplomacja wiedeńska skutecznie zniechęciła europejskich monarchów do przyjazdu.

## Petersburg

W niedzielę rano Katia obudziła się z mdłościami. Tak było już trzeci dzień z rzędu. Miesiączka spóźniała się chyba o dwa tygodnie; nigdy tego dokładnie nie kontrolowała. Już pierwszego dnia pomyślała, że to może ciąża. Każdego następnego ranka stawało się to coraz bardziej prawdopodobne. Ogarniało ją radosne podniecenie. Jan się ucieszy! Dziecko zmieni ich życie; jej życie najbardziej. Wiele skomplikuje, przez jakiś czas nie będzie mogła śpiewać, pracować... Ale to nie takie ważne. Może będzie chłopiec? Jan byłby szczęśliwy! Wiedziała, że jest młoda i zdrowa, porodu się nie bała.

Wieczorem śpiewała w teatrze *Madame Butterfly* Pucciniego. Śpiewała o synku, którego traci, i przeżywała tę rolę tak mocno jak nigdy dotąd. Na kilka chwil przed końcem arii pojawił się ból w podbrzuszu. Zupełnie inny niż ten, który zwykle czuła podczas menstruacji. Kiedy kończyła, ból był już bardzo silny. Ogarnął ją niepokój. Co to jest?!

Oklaski zerwały się ogromne, owacja jak nigdy przedtem w Teatrze Maryjskim. Ogromny teatr z pięcioma piętrami balkonów huczał brawami. Wszyscy artyści wychodzili się kłaniać, kurtyna opadała i podnosiła się, owacja nie milkła. Następnie wychodzili do ukłonów tylko soliści, a potem widownia skandowała jej nazwisko. Musiała bisować. Było to cudowne i wspaniałe, lecz coraz bardziej męczące. Ból ustąpił, lecz wracał, kiedy śpiewała. Poczuli się bardzo osłabiona. Kiedy wreszcie mogła pójść do siebie, zamknęła się w garderobie i okazało się, że krwawi. Niestety. Więc to nie ciąża, nic z tego! Co prawda krwawienie było dość skąpe, ale skoro pojawiła się miesiączka...

Jednak przez następne kilka dni nadal miewała nudności. I krwawienia także, lecz nadal niewielkie. Dni mijały i wciąż było tak samo. Kiedy przez dłuższy czas śpiewała czy to na lekcjach u Bolskiej, czy na scenie, ból znów powracał, a krwawienie stawało się obfitsze.

Po lekcji u maestry została na chwilę w salonie. Piły z Wandą kawę i rozmawiały, gdy nagle zakręciło jej się w głowie.

– Katiu, co z tobą? – zaniepokoiła się Wanda. – Jesteś strasznie blada.

Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa. Potem opowiedziała jej wszystko.

– Już miałam pisać do Jana, że będziemy mieć dziecko, tak się cieszyłam... A tu nic z tego.

– Nie byłaś u lekarza?

– Nie, to minie, nie lubię wizyt u lekarzy.

– Ale musisz, musisz! Znam świetnego specjalistę chorób kobiecych, ginekologa. Doktor Wilhelm Stütz, bardzo miły człowiek, wiele znajomych moich

i mamy leczyło się u niego, wszystkie go bardzo polecają. Podam ci adres, pójdziesz?

– Może masz rację...

– Zapewniam cię, to wspaniały człowiek. Jest Polakiem i, zdaje się, Żydem z pochodzenia, choć na pewno niepraktykującym. Ma żonę też Polkę, a ty jesteś teraz Szawernowska, na pewno chętnie cię przyjmie.

\* \* \*

Była już pod drzwiami doktora Stütza, już miała nacisnąć dzwonek, kiedy na myśl, że pewnie będzie musiała się poddać badaniu ginekologicznemu, ogarnęło ją takie przerażenie, że zawróciła i uciekła. Następnego dnia musiała wszystko opowiedzieć Wandzie i teraz poszły do lekarza razem. Już w poczekalni była przestraszona, choć Wanda cały czas trzymała ją za rękę i starała się uspokajać. Kobieta, która była przed nimi, wyszła z gabinetu.

– Pan doktor prosi – powiedziała.

Katia weszła. Doktor Stütz spojrzął znad biurka i uśmiechnął się. Coś pisał.

– Proszę, proszę, niech pani usiądzie, już kończę. – Zakręcił nasadkę wiecznego pióra, odłożył je i patrzył. Marszczył brwi i mrugał oczami, jakby usiłując coś sobie przypomnieć. Średniego wzrostu, mocno łysiejący, chociaż niewiele przekroczył trzydziestkę, miał miłą spokojną twarz i ciepły uśmiech.

– No tak, teraz wiem! Poznają. Przecież pani jest sławna Niesłuchowa. Tak, tak! Często bywamy z żoną w operze, czytałem też o pani sukcesach za granicą. Bardzo się cieszę, będę szczęśliwy, jeśli będę mógł pomóc. O, widzę, że pani jest trochę zalękniona. Proszę się nie denerwować. Proszę się nie spieszyć, proszę wziąć głęboki oddech i wszystko mi opowiedzieć.

Katia mówiła powoli i z trudem, a lekarz zapisywał, lecz co chwila na nią spoglądał. Od razu powiedziała, że kilka tygodni temu wyszła za mąż i teraz nazywa się Niesłuchowa-Szawernowska. Może wstydziłaby się przyznać do swoich dolegliwości, gdyby nie to, że była już mężatką.

– O, więc pewnie Polak? – ucieszył się doktor. – Moja żona i ja też jesteśmy Polakami.

Zdenerwowanie pomału ustępowało; kiedy kończyła, była już prawie odprężona.

– Jak obfite jest to płamienie?

– Niezbyt, najczęściej jest tak niewielkie, że w ogóle go nie czuję. Dopiero widzę... potem.

– Czy ból pojawia się przy wysiłku?

– Tak, kiedy dłużej śpiewam, kiedy jestem zmęczona.

– Pani piersi... Czy są bardziej tkliwe? Bardziej wyczulone na dotyk?

– Tak, tak, właśnie.



– No tak. – Doktor wstał, przeszedł dookoła biurka i przysiadł na blacie, bliżej Katii. – Proszę mnie posłuchać. Z tego, co mi pani dotychczas powiedziała, wnioskuję, że to jednak może być ciąża. Chciałaby pani mieć dziecko, prawda?

– O tak!

– Te niewielkie krwawienia to zapewne nie jest miesiączka. Ale to może niestety świadczyć, że ciąża jest trudna, może zagrożona poronieniem. Proszę się jednak nie przerażać, to nie jest przesądzone. Wcale nie!

Katia słuchała i znów ogarniała ją panika. Jak to? Poronienie? Dlaczego? Więc jej ciało broni się przed dzieckiem? Chce odrzucić jej dziecko, jej największe upragnione szczęście? Dziecko jej i Jana? Przecież kochają się tak bardzo. Co takiego zrobiła, czym zawiniła?

– Żeby mieć pewność, muszę panią zbadać. – Jak przez mgłę słyszała, że doktor do niej mówi, lecz niezupełnie rozumiała. Znieruchomiała i zamarła przerażona.

– Pani Katiu! – Lekarz dotknął jej ramienia. – Proszę! To konieczne, muszę panią zbadać, to nic strasznego. – Wskazał parawan w kącie gabinetu. – Proszę się tam przygotować.

Wstała i na uginających się nogach poszła za ten parawan. Tak, trzeba to zrobić. Trzeba! Musi jakoś to znieść. Przecież tyle kobiet bywa u ginekologa i jakoś to znoszą. Rozebrała się. Fotel ginekologiczny wydał jej się narzędziem tortur. Nic potem z tego badania nie pamiętała. Tylko jakiś niklowany wziernik.

Później była już z powrotem przy biurku, a doktor siedział w swoim fotelu, który teraz stał tuż obok jej krzesła. Głaskał ją po ręce i tłumaczył:

– Więc jest tak, jak przypuszczałem. Jest pani w ciąży. To siódmy albo ósmy tydzień i na razie nie stało się nic złego. Krwawienia oznaczają jednak, że może dojść do poronienia. To możliwe, ale wcale nieprzesądzone. Jest pani młoda i silna i postaramy się temu zaradzić. Przede wszystkim musi pani leżeć. Bezwzględnie leżeć i nie pracować. Żadnych wysiłków. Przepiszę pani lekarstwa i po jakimś czasie krwawienia powinny ustać. To będzie znaczyło, że niebezpieczeństwo minęło.

Katia słuchała i próbowała zrozumieć:

– Ale jak długo? Jak długo to może potrwać?

– Krwawienia mogą ustać za tydzień albo za miesiąc, tego nie sposób przewidzieć. Jeśli przez trzy kolejne dni nie będzie plamienia, będzie pani mogła wstać. Ale nie pracować! Nie od razu.

– Nie mogę pojechać do męża?

– Do Krakowa? Broń Boże! Żadnych podróży, absolutnie nie! Podróż koleją, nawet znacznie krótsza, skończyłaby się niewątpliwie najgorszym. Nawet tutaj do mnie na wizytę nie może już pani przychodzić. Jeśli zechce pani, żebym opiekował się pani ciążą, to ja będę odwiedzał panią. Przyjechała pani tutaj powozem, autem?

Nie może pani iść do domu pieszo. Nawet jechać proszę bardzo, ale to bardzo pomalutko. A pani niech leży w powozie.

W poczekalni Wanda objęła ją i poprowadziła do wyjścia. Doktor wybiegł za nią bo zapomniała wziąć recepty.

– Może wyjaśniłbym wszystko, jeśli pani pozwoli, pani przyjaciółce?

– Tak, oczywiście.

Doktor poprosił je jeszcze na chwilę do gabinetu, żeby nie rozmawiać przy pacjentkach w poczekalni. Zapisał adres Katii.

– Proszę się nie bać – mówił – i nie zamartwiać na zapas. Proszę brać lekarstwa i leżeć w łóżku. Na pewno wszystko dobrze się skończy. Odwiedzę panią za kilka dni.

\* \* \*

Brała lekarstwa i leżała. Dawniej lubiła rano i wieczorem wylegiwać się w wannie. Teraz mogła myć się tylko gąbką. Pierwszy dzień był dla niej dawno zasłużonym odpoczynkiem. Potem było coraz trudniej. Zbyt nagły i niespodziewany był przeskok od wysiłku i pośpiechu, aktywności, wyteżonej pracy, do zupełnego bezruchu. Próbowwała czytać libretta, nuty i zaległe lektury, lecz najczęściej myśli i tak wracały do dziecka i sytuacji, w której się znalazła. Co powie Janowi? Jak mu o tym napisać? Wstyd! Może nawet nie będzie mogła mu dać dziecka? Na czym polega jej wina? Zbyt dużo pracowała? Może była zbyt spragniona sukcesów i sławy? Może zbyt szybko chciała osiągnąć zbyt wiele? A może to nie z powodu przepracowania, może z jej ciałem jest coś nie w porządku? Ale co? I dlaczego?

Następnego dnia rano Nastia, jej służąca, przyniosła gazety z doniesieniami o zamachu w Sarajewie. Komentatorzy spekulowali, czy wyniknie z tego wojna, a jeżeli tak, to czy tylko na Bałkanach czy europejska. Do niepokoju o dziecko dołączył się niepokój o to, kiedy będzie mogła pojechać do Jana. Czy zdąży? Czy wcześniej nie rozdzieli ich wojna?

Tego dnia aż do wieczora nie plamiła i to ją trochę podniosło na duchu, lecz rano znów pojawiła się krew. Próbowwała pisać do niego, lecz nie potrafiła znaleźć właściwych słów i wciąż zaczynała na nowo. Zmagiała się z tym przez następne trzy dni, ciągle z nadzieją, że krwawienia ustaną i będzie mogła napisać coś pocieszającego. Ale nie ustawały.

Doktor Stütz przychodził dwa razy w tygodniu i zawsze po jego wizycie była dobrej myśli, bo potrafił zarazić ją swoim optymizmem. Żartował, śmiał się, opowiadał anegdoty z czasów swoich studiów w Wiedniu. Był Żydem, lecz należał do polskiej korporacji studenckiej. Czuł się tak samo Żydem, jak i Polakiem. Bawił się i nawet pojedynkował o swoją późniejszą żonę, którą obraził pewien niemiecki baron. I odstrzelił mu ucho! Czasem spędzał u Katii ponad godzinę, a ona polubiła

te jego odwiedziny. Zapewniał, że leczenie musi potrwać, lecz na pewno dobrze się skończy. Odwiedzały ją maestra Bolska, Wanda i koleżanki z teatru, lecz najbardziej wyczekiwała wizyt doktora.

Krwawienia jednak nie ustawały.

Wreszcie przyszedł list od Jana. Był pełen niepokoju, miłości i czułości. Nie wiedział o niczym, więc prosił, żeby jak najszybciej przyjeżdżała do Krakowa. Napisała wreszcie do niego, lecz jeszcze zwlekała z wysłaniem. Może jej się poprawi i będzie mogła dopisać coś dobrego chociaż w postscriptum?

*Jan, Kochany!*

*Nie pisałam długo, wybacz. To dlatego, że czekałam, z nadzieją, że będę mogła napisać coś optymistycznego. Kilka razy zaczynałam ten list, ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Więc same fakty: Jestem w ciąży, lecz mogę poronić. Byłam u lekarza, zalecił mi leżenie i bezwzględnie zakazał wszelkich wysiłków. Nie mogę więc teraz przyjechać. Lekarz mówi, że wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Jeśli przez trzy dni z rzędu nie będę krwawić, będę mogła wstać i przyjechać do Ciebie. Raz już dwa dni było dobrze, ale trzeciego niestety... Więc leżę, biorę lekarstwa i mam nadzieję. Jan! Tak mi przykro, że Cię zawiodłam. Może nie będę mogła dać Ci dziecka! Wybacz. Jak tylko nadejdą te trzy dobre dni, zaraz wsiądę do pociągu i przyjadę.*

*Całuję Cię, Kochany, całuję i tęsknię*

*Katia*

## Carskie Siolo

Woda była przyjemnie ciepła. Mikołaj powoli schodził po stopniach drabinki do basenu, zanurzył się z głową i popłynął. Światło słoneczne wpadało przez oszklony sufit. Na płytkach dna widział swój ruchomy i falujący cień, podążający za nim w dole i trochę z boku. Jak Wiedeń zareaguje na odpowiedź Serbii na ultimatum? Nie mógł uwolnić się od tej myśli. Ultimatum zostało tak sformułowane, że żadne niepodległe państwo nie mogłoby zgodzić się na przyjęcie zdecydowanej większości jego żądań. „Przecież to wojna!” – wykrzyknął Sazonow, minister spraw zagranicznych, kiedy je przeczytał. A jednak Serbowie większość żądań przyjęli. Dopiero co właśnie Petersburg pożegnał prezydenta Raymonda Poincarégo. Prezydent potwierdził – Francja w wypadku wojny z Austro-Węgrami i Niemcami, wystąpi po stronie Rosji. Ale Niemcy przecież nie chcą wojny, Wilhelm o tym zapewniał.

Car zawrócił, odepchnął się stopami od ściany basenu i popłynął z powrotem. Postanowił nie myśleć teraz o polityce. Lubił ruch i wysiłek, zawsze dbał o zdrowie i kondycję fizyczną. Kiedy przebywał w Carskim Siolu pływał codziennie rano, a przed obiadem chodził na spacer po parku. Przyspieszył. Oddychał głęboko i popłynął najszybciej jak mógł, bo myśl o Serbii nie chciała go opuścić. Po chwili było już tylko przyjemne zmęczenie i rozkoszował się, jak to nazywał, pieszczotą wody. Zatrzymał się na chwilę, spojrzął na wielki zegar na ścianie. Jeszcze siedem minut. Zawsze pływał dwadzieścia minut, ani mniej, ani więcej. We wszystkim, co robił, był dokładny i systematyczny, uważał to za obowiązek, a jego ściśle wypełnianie – za ważną zaletę swojego charakteru.

Kiedy skończył i wyszedł z wody, łaźiebny czekał na niego z ręcznikiem. Wszedł jeszcze na chwilę pod prysznic. Odpoczywał i wygrzewał się. Przyjemnie! A Serbia? Będzie, co los przyniesie. Teraz śniadanie i kawa z żoną, a potem rozmowy z ministrami. Trudno, nic na to nie poradzi.

\* \* \*

Aleksandra Fiodorowna bardzo źle wyglądała, miała zapuchnięte oczy; pewnie znów w nocy płakała. Zadręczała się możliwością wojny z Niemcami. Od dwudziestu lat była carycą Rosji, lecz przecież w sercu pozostała Niemką. A do tego Aleksy znów o coś się uderzył i musi leżeć w łóżku. I nawet Rasputin nie może mu pomóc, bo jest daleko na Syberii i także choruje.

Mikołaj pocałował ją na dzień dobry. Jadł z apetytem, a ona prawie niczego nie tknęła, wypła tylko kawę.

– Źle spałaś, kochana?

– Martwię się, wiesz przecież...

- Zapewniam cię, zrobimy co w naszej mocy, żeby nie dopuścić do wojny.
- Zobacz, co napisał Grigorij. – Podała mu list.

*Drogi Przyjacielu, jeszcze raz powtarzam, że nad Rosją wisi potężna chmura cierpienia i żałoby; jest ciemna i nie widać za nią żadnego światła. Poleje się niezmiernie morze łez i tyle samo krwi. Nie ma słów, które oddałyby tę nieopisaną groźbę. Wiem, że Wy chcecie tej wojny, a nie pojmujecie, że oznaczać ona będzie nieuchronne zniszczenie. Ciężka jest kara boska, gdy rozum usypia. Carowi – ojcu nie wolno dopuścić, by szaleńcy zniszczyli jego naród. A nawet jeśli się zdarzy, że zwyciężą Niemców – co z Rosją? Rosja utonie we krwi, nie było i nie będzie większego cierpienia po wsze czasy. Straszny jest upadek, a nędzy nie będzie końca.*

*Grigorij*

Odłożył list zdenerwowany. Szalony mnich wciąż miesza się do polityki. A ona ulega mu we wszystkim. Gdyby nie jego zdolności uzdrowicielskie... Nic nie powiedział. Dokończył śniadanie, pocałował Alix w policzek, uściśnął jej ramię i wyszedł. Dobrze pamiętał, jak kiedyś Grigorij potrząsając pięściami, prorokował: „Wojna przybliży kres Rosji i wasz własny. Straciecie wszystko do ostatniego człowieka!” Długo jeszcze te słowa dźwięczały mu w uszach i teraz znów wróciły:

„Straciecie wszystko, do ostatniego człowieka!”.

\* \* \*

Punktualnie o dziewiątej trzydzięci Sazonow wszedł do przedpokoju gabinetu cara. Usiadł w fotelu przy drzwiach i czekał. Na ścianie po lewej stronie wisiał sztandar Osobistego Pułku Piechoty Jego Cesarskiej Mości. Na drugiej – kilka obrazów batalistycznych, miejskie pejzaże Lewitana i dużo fotografii oficerów i żołnierzy Pułku Preobrażeńskiego.

Nie minęła minuta, kiedy przyszedł cesarz i zaprosił ministra do gabinetu. Meble mahoniowe, na biurku lampa z zielonym abażurem. Ciemne dębowe boazerie, a na ścianach pejzaże, rysunki i fotografie. Na jednej z nich zwałista, ciężka postać ojca Mikołaja, Aleksandra III przy biurku.

Fotele i kanapa wyściełane skórą, okrągły stół konferencyjny na dziesięć osób z ogromnym kryształowym świecznikiem pośrodku. Oszklone szafy z bibelotami i starannie poukładanymi stosami akt. Car pracował bez sekretarza. Uważał, że tylko tak może mieć pełne rozeznanie we wszystkim i w każdej chwili natychmiast znaleźć odpowiedni dokument. Usiłował osobiście kontrolować nawet najdrobniejsze sprawy.

Car zapalił papierosa, usiedli na kanapie. Patrzył na Sazonowa pytająco.

- Wiedeń uznał odpowiedź Serbów za odrzucenie ultimatum. Austriacy

przekroczyli granicę i w tej chwili Belgrad jest ostrzeliwany z dział dalekosiężnych.

– Jak to Belgrad? Miasto?

– Centrum i dzielnice mieszkaniowe. Nie ma tam żadnych obiektów wojskowych.

– Coś takiego! To zbrodnia. Przecież Paśić przyjął nawet część tych punktów, które wydawały się nie do przyjęcia. Rząd serbski *de facto* przyznał, że tolerował dotychczas u siebie działalność wrogą wobec Austrii. Wykazali maksimum dobrej woli, na granicy upokorzenia.

– Nawet przekroczyli tę granicę! Ultimatum było celowo tak sformułowane, żeby Serbowie nie mogli go przyjąć.

– Czy Wiedeń zdaje sobie sprawę, że my będziemy musieli zareagować? A Berlin?

– Wasza Cesarska Wysokość, źródła wywiadowcze mówią, że Sztab Generalny Wilhelma ma plany jednoczesnego ataku na Francję i Rosję...

– No tak, pamiętam, pan już mi o tym mówiłeś. Na Francję przez Luksemburg i Belgię?

– Tak.

Car z niedowierzaniem kręcił głową. Podeszedł do biurka, zdusił papierosa i zaczął się przechadzać po pokoju.

– A mój kochany kuzyn tyle razy zapewniał, że zrobi wszystko, żeby uniknąć wojny. Pokażę panu ostatnią wymianę depeesz.

Podeszedł do biurka i wyjął z szuflady telegramy.

Sazonow czytał.

Cesarz Wilhelm:

**Austro-Węgry zmobilizowały przeciwko Serbii tylko część swojej armii. Gdy zaś Rosja mobilizuje się teraz, jak się wydaje, przeciwko Austro-Węgrom, moja misja mediatora, którą w tak przyjacielski sposób mi powierzyłeś i której ja podjąłem się na Twoje wyraźne życzenie, stała się trudna, a może nawet niemożliwa.**

Odpowiedź cara:

**Przygotowania wojskowe, jakie właśnie są czynione, stanowią jedynie środek obrony przeciw przygotowaniom ze strony Austro-Węgrów. Mam nadzieję, że przedsięwzięcia te nie będą miały żadnego wpływu na Twoją funkcję mediatora, na której zależy mi w najwyższym stopniu.**

Sazonow odłożył depeesz na biurko i milczał. Był silnie wzburzony. Przemógł się, żeby odpowiedzieć, zachowując spokój:

– Wasza Cesarska Wysokość daruje, ale ja nigdy nie wierzyłem w mediatorskie intencje cesarza Wilhelma. – Ledwie się powstrzymał, żeby nie rzec, że wiara w nie była dowodem niezwykłej naiwności.

– Więc nie ma już szans, żeby sprawę postawić przed Haskim Trybunałem Sprawiedliwości?

Sazonow tylko pokręcił głową i głęboko westchnął.

– Więc od Rosji teraz zależy, czy konflikt rozprzestrzeni się na całą Europę? Jeśli my nie pójdziemy na wojnę, to awantura skończy się na Bałkanach?

– Nic podobnego. Czy wystąpimy przeciw Austrii czy nie, Niemcy i Austro-Węgry i tak nas zaatakują. Jestem o tym całkowicie przekonany. Suchomlinow<sup>1</sup> prosił mnie, żebym przekonał Waszą Cesarską Wysokość o konieczności całkowitej mobilizacji. Uważam, że to konieczne, nie można dłużej zwlekać. Wróg stoi u progu naszego kraju.

Car pobladł. Rozpiął kołnierzyk pod szyją, opadł na swój fotel za biurkiem i milczał.

– Niech pan pomyśli o odpowiedzialności, jaką doradza mi pan wziąć na barki – rzekł zmienionym głosem. – Niech pan pomyśli... To oznacza śmierć setek tysięcy Rosjan.

– Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe.

– Co według pana zrobią Austriacy z Serbią, jeśli jej nie pomożemy? Dążą do całkowitej likwidacji ich państwa?

– Zniszczą armię, a państwo okroją, jak tylko będzie możliwe, rozdając jego ziemie pomiędzy sąsiadów. Pragną uniemożliwić Serbii odegranie wobec Słowian południowych roli, jaką Piemont odegrał w zjednoczeniu Włoch. Rosja utraciłaby na Bałkanach jakiegokolwiek znaczenie...

– Tak. – Car długo patrzył w oczy swemu ministrowi. – Ma pan rację – mówił z trudem. – Więc proszę przekazać armii mój rozkaz o niezwłocznej mobilizacji. – A po chwili dodał: – Lecz wojny im nie wypowiedziemy.

– Bardzo słusznie – zgodził się minister. – Lepiej, żeby to oni pierwsi nas zaatakowali lub wypowiedzieli wojnę.

Car podeszedł do okna i zapatrzył się na drzewa w parku. Każdy z otoczenia władcy wiedział, że to oznacza koniec audiencji. Sazonow skłonił się i wyszedł.

\* \* \*

Przez ostatnie dni lipca w stolicach europejskich – w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu, Petersburgu, Belgradzie – ambasadorzy, ministrowie i premierzy rządów wymieniali oświadczenia, noty i uroczyste zapewnienia, że absolutnie nie życzą sobie wojny. Odbyto dziesiątki poważnych rozmów, z których wynikało, że wszyscy pragną pokoju. Większość mężów stanu i polityków europejskich odczuwała strach i przytłaczające brzemie odpowiedzialności.

I naprawdę nie chciała wojny! Ale po każdym z tych pism, not i rozmów ciężar wcześniejszych działań, umów i obietnic coraz bardziej przechylał szalę. Patriotyzmy i nacjonalizmy pchały do wojny. Wczorajsi pacyfiści dziś gotowi byli iść na front na ochotnika.

W rosyjskich gazetach opublikowano gwałtowny sprzeciw wobec wojny byłego premiera hrabiego Witte. Teraz jednak nikt już nie słuchał człowieka, który odmienił swoimi reformami Rosję i z najgłębszego zacofania uczynił ją na dziesięć ostatnich lat jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek świata.

Parli do wojny wojskowi. Młodzi oficerowie widzieli w niej szansę na szybkie awanse i odznaczenia. Marzyli, że wykażą się bohaterstwem. Partie socjaldemokratyczne, które niedawno ostro protestowały przeciw zbrojeniom, uważając, że klasa robotnicza wszystkich krajów powinna wspólnie walczyć z kapitalizmem, teraz popierały uchwały parlamentów przyznające rządowi kredyty wojenne. Przeszłość fatalnie ciążyła nad dniem dzisiejszym i pchała wszystkich w stronę nieszczęścia.

\* \* \*

Wieczorem car z rodziną wracał z nabożeństwa w cerkwi należącej do kompleksu pałacowego Carskiego Sioła. Kopuły świątyni górowały nad wschodnim skrzydłem Pałacu Katarzyńskiego. Można było przejść z niej, nie wychodząc na zewnątrz, do Pałacu Aleksandryjskiego, do apartamentów mieszkalnych, lecz wieczór był tak ciepły i pogodny, że poszli przez park.

Cała rodzina siedziała już przy stole zastawionym do kolacji, kiedy wszedł adiutant i szepnął coś na ucho Mikołajowi. W gabinecie czekał hrabia Frederiks z wiadomością od Sazonowa. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji! Niemcy z kochanym kuzynem cesarzem Wilhelmem!

Car z trudem się opanował i polecił natychmiast zwołać Radę Ministrów. Od razu poszedł do swego gabinetu. Czytał raporty wywiadowcze i doniesienia o produkcji zbrojeniowej w Rosji. Pół godziny później byli już ministrowie i Mikołaj słuchał ich ocen sytuacji. Do gabinetu weszła Olga, najstarsza córka Mikołaja.

– Papo – powiedziała. – Mama prosi do stołu, chcemy zacząć kolację.

– Proszę cię, kochanie, powiedz mamie, żebyście zaczynali beze mnie. Niemcy wypowiedziały nam wojnę.

<sup>1</sup> Władimir Suchomlinow (1848–1926), w latach 1909–1915 rosyjski minister wojny.



## Częstochowa

Dwudziestego dziewiątego lipca Katia poczuła się lepiej, nie krwawiła. Trzydziestego nadal było dobrze. Trzydziestego pierwszego Nastia przyniosła z miasta wiadomość, że wszędzie na murach pojawiły się obwieszczenia o mobilizacji. Wieczorem Katia nie mogła zasnąć. Minęły trzy dni, jeśli rano wszystko będzie w porządku – pojedzie!

Pierwszego sierpnia przyszedł doktor Stütz, zbadał ją i powiedział, że musi bardzo uważać, lecz może jechać. Wysłała telegram do Jana, że przyjeżdża. Od dawna wszystko miała spakowane. Express do Warszawy odchodził o jedenastej pięćdziesiąt. Tam przesiadka na pociąg Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej do Krakowa, stamtąd do Pardubic.

Drugiego sierpnia, pół godziny przed odjazdem, była na Dworcu Warszawskim. Pociąg był już podstawiony i ruszył punktualnie. Nastia jechała razem z nią. Dobiegała pięćdziesiątki i była z Katią od jej urodzenia. Chłopka z majątku księżnej Leontiewej, we dworze nauczyła się pisać i czytać, kochała Katię i była bardzo przywiązana do rodziny; własnej nie miała. Była miła, inteligentna, niezmiennie ciekawa świata i ludzi. Cieszyła się, że jedzie w nieznaną.

Kiedy pociąg ruszył, Katia odetchnęła z ulgą. Obawiała się, czy mobilizacja nie wstrzyma ruchu przez granicę. Ale pociąg jechał na południe, przyspieszał, koła stukały, stało się! Za oknami widziała znajome przedmieścia Petersburga, patrzyła na nie ze smutkiem i żegnała się z miastem. Kiedy tu wróci? Może nigdy? Rosja ruszała na wojnę, a jej ukochany był w obozie wroga, mimo to nie miała żadnych wątpliwości, gdzie powinna się znaleźć. Był przecież Polakiem, a nie Niemcem czy Austriakiem. Nie był wrogiem jej kraju. Był wrogiem państwa, które zagarnęło część jego kraju – tak. Ale nie Rosji. A już na pewno nie wrogiem ludzi, Rosjan. Na kilku mijanych stacjach widziała tłumy poborowych czekających na peronach na odjazd do wyznaczonych jednostek. Sprawiali wrażenie pełnych entuzjazmu. Grali na harmoszkach, śpiewali, wielu było podpitych. Tylko kobiety, które ich żegnały, matki, żony, siostry były smutne i zapłakane.

Sprawy majątkowe powierzyła kancelarii adwokackiej. Pałacyk, który od chwili gdy osiągnęła pełnoletniość, był jej własnością, miał być sprzedany, a uzyskane pieniądze powinny nie tylko pokryć koszty zerwania kontraktu z Teatrem Maryjskim, ale jeszcze w części zasilić jej konto w Szwajcarii. Drugi, dużo większy dom mieli w Petersburgu jej brat Igor i siostra Larysa. Od kilku miesięcy nie było żadnej wiadomości od Igora. Jedną tylko pocztówką z Zurychu.

Katia zaczynała nowe życie, które było wielką niewiadomą.

Mama pisała, że wraca do Rosji i zamieszka u księżnej Leontiewej. Bardzo przeżywała rozstanie z hrabią Karsowem. Jak wcześniej zapowiadał, postanowił

wrócić do wojska i iść na wojnę. Pisała, że oboje odkryli cudowny lek na wszystko: kokainę.

*Nawet Freud pisał o niej entuzjastycznie – zapewniała mama. – Czuję się o dwadzieścia lat młodsza. Polecam ci bardzo. Nie wiem jak w Rosji, ale tutaj można ją dostać nawet bez recepty. Ja już nie potrafię sobie wyobrazić życia bez kokainy. Mówię Ci, spróbuj!*

Przed odjazdem Katia widziała się z Larysą, bez pamięci zakochaną w miczmanie Pawle Wodopjanowie. Rozmawiała z nią kilkakrotnie i z przerażeniem przekonała się, że Lara, podobnie jak Igor i Paweł, stała się komunistką. Należała już do partii Lenina.

Następnego dnia wczesnym popołudniem Warszawa przyjęła Katię cudowną, ciepłą pogodą. Na niebie nie było ani jednej chmurki. W czasie postoju widziała kilka osób czytających obwieszczenie o mobilizacji na ścianie budynku dworca. Stali, milcząc ponuro.

Kilka godzin później, wieczorem, w Częstochowie znów zobaczyła to samo. Obwieszczenie o mobilizacji Polacy przyjmowali z niechęcią. Pociąg miał stać tutaj dziesięć minut, lecz stał o wiele dłużej. Kiedy minęło pół godziny, Katia zaczęła się niepokoić.

Wyszła na korytarz. Od przedziału do przedziału szedł konduktor z jakimś oficerem policji. Niewątpliwie coś się stało. Podeszli do niej.

– Proszę pani – powiedział konduktor. – Niestety, nie jedziemy dalej. Niemcy wypowiedziały Rosji wojnę. Granica została zamknięta, wracamy do Petersburga.

– Ale my nie jedziemy do granicy niemieckiej, tylko austriackiej!

– Granica jest zamknięta – powtórzył policjant.

Wszedł do przedziału, zażądał paszportów i spisywał dane personalne. Na pytanie po co, nie odpowiadał.

– Notujemy wszystkich, którzy jadą tym pociągiem.

Kiedy oficer wyszedł, Nastia spytała:

– Czego oni chcą od nas?

– Zaczyna się wojna, a my zamierzałyśmy opuścić Rosję, więc dla policji jesteśmy wrogami, a przynajmniej obcymi. Może już tak zostanie?

Za oknami się ściemniało, koła zadudniły na zwrotnicach. Do granicy z Austrią było zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, tak blisko, a teraz z każdą chwilą coraz dalej. Zobaczyła mijający ich pociąg wyładowany wojskiem. Żołnierze śpiewali, a na otwartych platformach jechały działa.

Przypomniała sobie, jak żartowali z Janem w Borowicach.

– Jan, co to znaczy po polsku „cija”?

– Co takiego? Gdzie to słyszałaś?

Zagrała kilka taktów na rozstrojonym pianinie i zaśpiewała:

– „Gdybym ci ja miała skrzydełka jak gąska, poleciałabym ja za Jaśkiem do Śląska...” Dziewczyny we wsi tak śpiewały. Jasiek to Jan, prawda? Do Śląska jest daleko?

– Z Krakowa blisko.

– A ja przyleciałam za tobą aż z Petersburga! Jasiek to Jan. A jak jeszcze?

– Janek, Jaś, Jasiek, Janeczek, Jasiulek... W polskim jest bardzo wiele zdrobnień.

– Janek – powtarzała – Jaś, Jasiek, Janeczek, Jasiulek...

Śmiali się oboje.

Teraz, w tym powracającym pociągu, łzy popłynęły jej z oczu. Teraz, nad frontem, już do niego nie polecą, nawet list do niego nie przeleci!

\* \* \*

Przed odjazdem z Częstochowy w pociągu pojawili się uciekinierzy z terenów przygranicznych. Na następnych stacjach wsiadali nowi i szybko zapełnili pociąg. Jechali całymi rodzinami i z wieloma bagażami. Zajęli miejsca w przedziałach, stali na korytarzach i w toaletach. Mówili, że Niemcy już przekroczyli granicę z terenu Austrii i podchodzą do Częstochowy, a Rosjanie się cofają. Niektórzy spośród wsiadających rankiem na kolejnych postojach, twierdzili, że Częstochowa, a nawet Kielce są już zdobyte.

Powrót do Petersburga był trudny. Nie miały nawet kluczy do domu. Nastia została przy bagażach, a Katia musiała iść po nie do kancelarii adwokackiej i ledwie zdążyła przed zamknięciem. Umowa sprzedaży domu nie była jeszcze podpisana i na szczęście mogła to odwołać.

Mieszkanie wyglądało nieprzytulnie, ogołocone ze wszystkich osobistych przedmiotów i z meblami przykrytymi białymi pokrowcami. Trzeba było się rozpakować, urządzić po dawnemu i wrócić do dawnego życia. Jednak podróż, zdenerwowanie i rozczarowanie nie wywołały krwawienia, więc Katia pocieszała się, że ciąży nic już nie grozi i będzie mogła pójść do pracy w teatrze. Ale tam, jak się okazało, przestała pasować do nowo powstałych układów i hierarchii, więc dopiero pomoc Bolskiej, która interweniowała u dyrektora Tielakowskiego, spowodowała, że Katia mogła wrócić na scenę.

Dwa dni później przyszli na herbatę Larysa i Wodopjanow. Flota Bałtycka była w morzu, lecz jego okręt na kilka dni wszedł do Kronsztadu na jakieś remonty. Opowiadali co się działo w mieście, gdy car ogłosił przystąpienie Rosji do wojny.

– Byliśmy zdumieni tym wybuchem powszechnego patriotyzmu – mówiła Larysa. – Ludzie przyszli pod Pałac Zimowy. Tłumy nie mieściły się na placu i stały aż w wylotach ulic. Co chwilę okrzyki „Hurra!” i wiwaty na cześć cara.

Wszędzie flagi, transparenty. „Niech żyje Rosja i Słowianie!” Kiedy Mikołaj z carycą pojawili się na balkonie, wszyscy uklękli. Może dwadzieścia tysięcy ludzi, jak jeden mąż!

– W gazetach pisali, że było pięćdziesiąt tysięcy – wtrącił Wodopjanow.

– Car coś mówił, czego oczywiście z daleka nie mogliśmy usłyszeć, ale ludzie powtarzali jeden drugiemu. Oświadczył, że nie zakończy wojny, dopóki ostatni obcy żołnierz nie opuści naszej świętej Rosji. Ludzie płakali. Widzieliśmy, że car też zakrył twarz dłońmi i chyba ocierał łzy. Potem cały ten tłum śpiewał hymn, a potem odmówił *Otcze nasz* i *Spasi, Gospodi, ljudi twoja*. Cały czas na kolanach!

– Zaraz, zaraz – przerwała Katia. – Mamy walczyć, dopóki ostatni obcy żołnierz nie opuści rosyjskiej ziemi, tak? A jest teraz jakiś obcy żołnierz na naszej ziemi?

– No... nie ma ani jednego, jednak Niemcy wypowiedzieli nam wojnę.

– Ale dlaczego? – Katia wciąż oponowała. – Bo chcemy bronić Serbów. Czy są jakieś układy, które by zobowiązywały Rosję do bronienia Serbów? Nie ma. Więc może gdybyśmy nie straszili Niemców, nie wypowiedzieliby nam wojny.

– Może to racja – zgodziła się Larysa.

– Najbardziej zdumiewa – mówił Wodopjanow – że to robotnicy entuzjasmują się wojną. Gazety podają, a zresztą wiemy to samo od towarzyszy, że odwołano wszystkie strajki, wcześniej zapowiedziane lub już trwające. Robotnicy w zakładach zbrojeniowych pracują po godzinach, żeby zaopatrzyć tych na froncie. Nasza partia od dawna tłumaczy robotnikom, że to nie ich wojna, że świat pracy ma zupełnie inne cele: obalenie władzy kapitału i uwolnienie od wyzysku. A tu w jednej chwili wszystko to poszło w zapomnienie.

– Mnie też dziwi ten wojenny entuzjazm. – Katia była poruszona relacją siostry. – Ale z innego powodu. Cieszyć się z wojny? To jakieś barbarzyństwo. Że ludzie chcą bronić ojczyzny, to rozumiame, chociaż nie jestem pewna, czy Rosja jest w tej wojnie stroną zaatakowaną. Ale cieszyć się z tego?! Nie rozumiem.

– Ludzie się cieszą, że są razem w jakiejś sprawie, którą uważają za wielką i słuszną – rzekła Larysa. – A my się dziwimy, że nagle zapomnieli o sprawie proletariatu. To samo dzieje się we Francji. Entuzjazm wojenny. A w Niemczech, jak czytałam, wszyscy powtarzają taki wierszyk: *Jeder Stoss ein Franzos, jeder schuss ein Rus, jeder tritt ein Britt, jeder Klaps ein Japs*<sup>1</sup>.

Katia kręciła głową.

– A ty, Lara, nic już teraz nie robisz poza pracą dla swojej partii, prawda?

– A to mało?

– Nie pracujesz. Nigdy w życiu nie pracowałaś. Mama ci tego nie powie, bo ona też żyje jak ptak, co nie sieje i nie orze, więc ja muszę ci to powiedzieć. Kiedyś miałaś jakieś zainteresowania, mówiłaś o studiowaniu medycyny. Tyle kobiet już

studiuje!<sup>2</sup> A teraz... tylko partia! Mogę zrozumieć wasze ideały, chociaż nie podoba mi się, że chcecie rewolucji, a nie przemian demokratycznych, pokojowych. Ale każdy człowiek powinien pracować. To jest nakaz moralny, od którego nie ma wyjątków. A co ty robisz? Czy coś tworzysz, coś budujesz? Wy oboje, Pawle Piotrowiczu i Laryso przygotowujecie zniszczenie i zagładę. Niszczyć jest łatwo, budować trudniej. I co zbudujecie na ruinach?

<sup>1</sup> Jeden cios jeden Francuz, jeden strzał jeden Rosjanin, jeden krok jeden Brytyjczyk, jeden klaps jeden Japończyk.

<sup>2</sup> W 1914 roku wśród sześćdziesięciu dziewięciu tysięcy studentów uniwersytetów w Rosji czterdzieści pięć procent stanowiły kobiety.

## Kraków

Esplanada konkurowała z Jamą Michalika. Cukiernia i kawiarnia u zbiegu Podwala i Krupniczej była miejscem spotkań krakowskich naukowców, artystów, muzyków i melomanów. Lecz o ile w Jamie siedzieli starzy i młodzi, narodowcy, konserwatyści, prawica i lewica, o tyle w Esplanadzie głównie młodzi i socjaliści. W pierwszej wielkiej sali z dwoma pięknymi, zabytkowymi piecami kaflowymi stał w kącie fortepian i zawsze ktoś z gości grał popularne melodie lub przeboje muzyki poważnej. Przez trzy wielkie okna zwieńczone wspólnym łukiem widać było po drugiej stronie ulicy drzewa i krzewy na Plantach.

Sławne były tamtejsze serniki, hiszpanki, strudle, napoleonki i makaroniki. Ściany wypełniały akwarele Juliusza Kossaka; konie, stadniny, jarmarki końskie, polowania z sokołami, polowania na wilki, portrety konne, bitwy pod Raszynem, pod Parkanami, Ignacewem oraz – na honorowym miejscu – *Wjazd cesarza Franciszka Józefa do Krakowa*.

W sobotę wieczorem 1 sierpnia 1914 roku Esplanadę okupowali oficerowie Polskich Drużyn Strzeleckich i Związku Strzeleckiego; ci którzy się nie zmieścili, obsiedli stoliki w ogródku na chodniku pod markizą. Gwaro było od powitań i wiatów. Świętowali połączenie Drużyn i Związku i szykowali się na wojnę. Czekali na wojnę w 1908 roku, kiedy Austro-Węgry zaanektowały Bośnię i Hercegowinę – i nic. Przeżyli mobilizację organizacji w 1912 roku, kiedy wybuchła wojna na Bałkanach – i znów nic.

Teraz wojna była już faktem.

Trzy dni temu, w środę, Austria wypowiedziała wojnę Serbii, a dziś w popołudniowych gazetach wielkie tytuły informowały o wypowiedzeniu wojny Rosji przez Niemcy. W mieście panowała gorączka oczekiwania na wielkie wydarzenia. Po ulicach paradowali młodzi ludzie z karabinami i biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Śpiewali, hałasowali.

Piłsudski przyjechał przed jedenastą. Był w szarym letnim mundurze bez oznak i okrągłej czapce z piastowskim orłem. Przy pasie pistolet i szabla. Czarna broda, wielkie wąsy i wielkie brwi zrosnięte nad nosem, spod których spoglądały jasne oczy. Fortepian zamilkł, oficerowie witali go, stając na baczność i salutując. Wstali też nieliczni cywile. Szedł, ściskając dłonie, wymieniając po kilka zdań ze znajomymi.

Rozejrzał się po ścianach, był tu pierwszy raz.

– No, koni mamy tu na jakieś pięć szwadronów – powiedział. – To na dobrą wróżbę. A Wojciech, syn Juliusza Kossaka, niestety... zaustriaczony.

Przed drzwiami do następnej sali, owalnej, wyprężyli się na baczność dwaj strzelcy z karabinami. Za tymi drzwiami mieścił się sztab tworzącego się Wojska

Polskiego.

W sali owalnej było dość ciemno, paliły się tylko kinkiety na ścianach. Tu był świat Grottgera i Michałowskiego. Czarno-białe rysunki Grottgera: *Pierwsza ofiara, Zamknięcie kościołów, Więzienie księdza, Sybir, Na pobojowisku*, rysunki z cyklu *Polonia i Lithuania, Kucie kos, Znak, Przysięga, Widzenie*. I naprzeciw wejścia – duże szkice Michałowskiego do *Somosierry* i *Czarneckiego na białym koniu*. Piłsudski znów zatrzymał się na chwilę, patrzył.

– Dobre miejsce – rzekł do Sosnkowskiego.

Przeszedł i przez ten pokój; czekali tu oficerowie wezwani wcześniej lub chcący zameldować się Komendantowi. Niektórzy przybyli z zagranicznych oddziałów organizacji, ze Szwajcarii, z Paryża. Był Belina-Prażmowski i Wieniawa-Długoszowski. Leon Gottlieb szkicował portret siedzącego obok Jura-Gorzechowskiego, sławnego dowódcy akcji uwolnienia w 1906 roku dziesięciu bojowców PPS z warszawskiego więzienia na Pawiaku.

Piłsudski skinął na szefa sztabu Sosnkowskiego, żeby podążył za nim. Weszli do pokoju na zapleczu, gdzie ściany były gołe i stały tylko dwa biurka i kilka krzesel. Pod dyktando Walerego Sławka stukiała na maszynie do pisania Wanda Wasilewska<sup>1</sup>.

Opadł zmęczony na fotel. Odpiął pas, położył na krześle.

– Ilu ludzi mamy w Oleandrach? – spytał.

– Około półtora tysiąca, Komendancie, wciąż przybywają. – Sławek wyciągnął papier z wałka maszyny do pisania i podał Piłsudskiemu. – Tu są dane na ósmą wieczorem.

Piłsudski przebiegł oczami kartkę.

– Ze Lwowa niewielu...

– Nie przyjdą ci, co są pod wpływem narodowców i Mazura-Biernackiego. Mówili mi o tym Ostrowski i Dąb-Biernacki. Ale u pozostałych duch dobry, chcą się bić.

– Józefie<sup>2</sup> – Piłsudski zwrócił się do Sosnkowskiego – roześlijcie jeszcze raz rozkaz mobilizacji. Może nie wszyscy dostali. Nie ma tu telefonu?

– Niestety.

– Więc poślij auto do Oleandrów, niech przywiezie Kasprzyckiego.

Od wczoraj miał do dyspozycji samochód z kierowcą ofiarowany przez doktora Zygmunta Jedlickiego<sup>3</sup>, starego socjalistę i sybiraka. Był w dowództwie austriackim u szefa c.k. wywiadu w Galicji, kapitana Józefa Rybaka, zaustriaczonego Polaka; negocjował dostawy broni, amunicji, mundurów, plecaków, pasów, manierek, telefonów polowych. Kuchni polowych brakowało nawet samemu Austriakom. Rozmawiał z politykami z Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, był w komendzie Związku Strzeleckiego przy Siemiradzkiego 27, potem w lokalu Drużyn Strzeleckich przy ulicy Dolnych

Młynów.

Przez całe popołudnie w domku pani Nestorowiczowej pracował jak w kieracie, niezmordowanie przyjmując wątpiących, zniechęconych, lęklivych, ostrożnych, wierzących w lewo, wierzących w prawo, neutralnych, oczekujących, ostrzegających, wskazujących ze strachem na Wschód lub przerażeniem na Zachód, zaklinających, hamujących, a czasem i takich, którzy zanadto palili się do czynu. Dyskutował z nimi, tłumaczył, radził, od czasu do czasu kogoś skrzyczał, dawał ostatnie wskazówki i dyspozycje kierownikom Strzelca.

Spieszył się, pilno mu było w pole.

– Wołajcie Sokolnickiego! Sławek, piszcie dla niego pełnomocnictwo w imieniu Komendy Głównej na Lwów i okręg lwowski.

Zastukała maszyna, Sławek dyktował, Wasilewska pisała.

Po chwili meldował się Sokolnicki.

– Musimy wyreklamować z c.k. armii Rydza-Śmigłego, Jędrzeja Moraczewskiego, Tadeusza Żulińskiego – tłumaczył mu. – To najważniejsi, ale też wielu innych. Szef sztabu zrobi wam listę. Trzeba się z tym spieszyć. Przy okazji spróbujcie załatwić sprawę mojego brata Bronisława. Jest poddanym rosyjskim, więc żeby go Austriacy nie aresztowali czasem. Siedzi teraz w Zakopanem, powinien dostać jakieś mocne dokumenty austriackie.

Zapalił papierosa.

Co najważniejsze, co najpierw, co później? List do Dmowskiego. Napisał już przed południem kilka zdań, lecz podarł. Dmowski go nie znosi, nigdy nie zapomni, którego z nich dwóch wybrała Maria. No i oczywiście zupełnie różne poglądy polityczne. W 1904 roku w Tokio przegadał z nim dwa dni i nic, nawet cienia porozumienia. Dmowski uważa, że najslabszym z zaborców jest Rosja, a poza tym wojnę wygra ententa, więc trzeba iść z Rosją. Tak, ententa wygra z Niemcami, lecz przedtem Niemcy pokonają Rosję. I tylko Austriacy mogli się zgodzić na jakieś w miarę niezależne oddziały polskie. Skoro ma iść z wojskiem do Warszawy, to rząd narodowy w Warszawie jest konieczny. Polska siła zbrojna nie może opierać się tylko na Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, bo to zaledwie lewa strona sceny politycznej i tylko galicyjska. Nie może się opierać tylko na nich i na Naczelnym Komitecie Narodowym, bo to lojaliści, którzy nie wyjdą poza żądanie autonomii w ramach monarchii Austro-Węgierskiej. List do Dmowskiego jutro od rana, koniecznie! Jeszcze w nocy przemyśli... Pewnie nic to nie da, ale próbować trzeba. Teraz wojsko.

Sokolnicki odebrał pełnomocnictwa i gdy Sławek wypłacił mu pieniądze na drogę, odmeldował się.

– Wszystkie sumy z banków wycofane?

– Tak jest, nie było z tym kłopotów. To raport. Dwadzieścia tysięcy koron



przełałem Komisji, jak było ustalone, resztę mamy w gotówce na wojsko.

Sławek podsunął dokumenty dłonią pozbawioną dwóch palców. W 1906 roku, jeszcze w Organizacji Bojowej PPS wybuch bomby ekrazytowej pokaleczył ówczesnemu towarzyszowi „Zbigniewowi” obie dłonie i twarz; Sławek stracił oko. Blizny przeziarały nawet spod gęstych wąsów i brody. Pełnił funkcję sekretarza Skarbu Wojskowego.

Przyjechał Kasprzycki.

– Dawaj mapy, szefie – rzekł Piłsudski do Sosnkowskiego. – Więc tak... Idziemy nie do Zagłębia Dąbrowskiego, lecz do Królestwa. To nawet lepiej. Zakładam, że Rosjanie przeprowadzą od razu główne siły na prawy brzeg Wisły i zostawią po lewej stronie tylko oddziały osłonowe. W Królestwie nasz przemarsz wywoła powstanie. Nasze szeregi będą szybko rosły. Więc przy odrobinie szczęścia możemy wygrać z Niemcami wyścig do Warszawy. Działamy tak, jakby dowództwo austriackie nie istniało, ignorujemy je. W większych miastach wprowadzamy komisarzy rządu narodowego, stawiamy Austriaków przed faktem dokonanym. Sformujecie, Kasprzycki, kompanię kadrową. Najlepsi ludzie, koniecznie po równo z Drużyn Strzeleckich i Związku Strzeleckiego, trochę z Drużyn Bartoszewych i trochę z Sokoła. Obejmiecie dowództwo tylko chwilowo, bo teraz nie mogę mianować Herwina. Przyszedł do nas, chociaż jako oficer rezerwy powinien się zgłosić do komisji poborowej austriackiej, więc nie chcę kłuć w oczy Austriaków. Potem przejmie dowództwo od was, a wam przydzielę co innego. Ja dołączę, jak tylko uporam się z najpilniejszymi sprawami tutaj.

– Obywatelu Komendancie, jak z bronią? – pytał Kasprzycki.

– Marnie. Wyklócam się o karabiny Mannlicher, chcą nam dać stare werndle, jednostrzałowe. Artyleria to tylko armatki górskie strzelające czarnym prochem, zabytki. Takie werndle na kółkach. W konie musimy zaopatrzyć się sami.

– Komendancie, przecież wiecie, że dym z czarnego prochu będzie za każdym strzałem zdradzał, gdzie stoi armata – powiedział Sosnkowski.

– Oczywiście. Co gorsza, raczej nie możemy liczyć na karabiny maszynowe. Mundury, tornistry, pasy, łopatki, namioty, manierki, nawet telefony... to wszystko mamy dostać. Zobaczymy jeszcze, w jakich ilościach. W Królestwie będziemy organizować kolejne oddziały, Austriacy też bardzo liczą na powstanie na tyłach armii rosyjskich.

Weszła pani Leokadia, właścicielka kawiarni:

– Panowie, zjedzcie coś, przecież, nie tylko te papierosy... Panie Komendancie, dla pana strudel, lubi pan?

Zdejmowała talerzyki z tacy, rozlewała kawę. Piłsudski sięgnął po portfel.

– No co też pan! Nie ma mowy, na koszt firmy.

– Dziękujemy, dziękujemy.

Meldowali się oczekujący z sali owalnej, z każdym musiał zamienić chociaż

kilka zdań. Raportowali o stanie podległych im grup ludzi. Potem znów siedzieli nad mapami, skończyli prawie o drugiej po północy.

Kawiarnia opustoszała, ruch uliczny ucichł.

Kiedy wyszli na ulicę, pachniały lipy na Plantach, a z rynku dobiegał głos trąbki, hejnał z wieży kościoła Mariackiego. Kilkanaście minut później kładł się spać w kwaterze w mieszkaniu Sławka na Dunajewskiego. W małym Krakowie wszędzie było blisko, zwłaszcza gdy się miało automobil. Na stoliku nocnym położył pistolet. Przyzwyczajenie z czasów konspiracji i Organizacji Bojowej; zawsze musiał mieć broń pod ręką. Zostało mu to do końca życia.

Nie mógł zasnąć. Ma poprowadzić ludzi na front. Był rewolucjonistą, walczył, wiele czasu spędził w więzieniach, na zesłaniu na Syberii, ale ani jednego dnia nie był w wojsku. Od lat myślał więcej o walce o niepodległość niż o rewolucji społecznej. Studiował dzieje wojen, kampanii, bitew. Clausewitza czytał wielokrotnie. Aleksander Wielki, Hannibal, Napoleon Bonaparte i tylu innych. Termopile, Kanny, Maraton, Salamina, Austerlitz, Mukden i Port Artur z wojny rosyjsko-japońskiej, Sadowa, Sedan... Intensywnie i systematycznie całymi latami uczył się taktyki i strategii. Powstania polskie... Kościuszki, listopadowe, styczniowe. Znał je na pamięć. Tylko czy to wystarczy? Mogli zginąć, mógł polec, ale nie chodzi przecież o jeszcze jedną krwawą ofiarę. Tym razem trzeba wreszcie zwyciężyć.

List do Dmowskiego! Jakie argumenty mogą go przekonać do współpracy? Zanim zasnął, jeszcze dwa razy słyszał daleki hejnał mariacki.

\* \* \*

Drugiego sierpnia znów u kapitana Rybaka, chociaż to niedziela. Rybak zgodził się wreszcie na przeprowadzenie mobilizacji strzelców, która trwała już przecież od kilku dni. Małe zwycięstwo polityki faktów dokonanych. Polacy mają przekroczyć granicę nie wcześniej niż po zaistnieniu stanu wojny między Austro-Węgrami a Rosją. Zgodził się na to niechętnie, lecz nie miał zamiaru ściśle przestrzegać ustaleń. Rozmowy z partiami toczyły się opornie i stawało się jasne, że na razie nie da się poszerzyć politycznej bazy wojska.

W sztabie w Esplanadzie po patrolu do Zagłębia Dąbrowskiego zameldował się „Piotrek” – Piotr Górecki. Kiedy wyruszał, Piłsudski jeszcze nie wiedział, że pójdą do Królestwa, a nie do Zagłębia. Szkoda, bo na Śląsku organizacja jest o wiele silniejsza. Wiadomości przywiezione przez Góreckiego chwilowo straciły na znaczeniu.

Piłsudski wezwał Belinę-Prażmowskiego.

– Dobierzcie sobie kilku ochotników, zrobicie dywersję w Królestwie. Trzeba rozpoznać, co robią Moskale, jakie siły są po lewej stronie Wisły, i rozbić ich punkt mobilizacyjny w Jędrzejowie. Weźmiecie bomby, pistolety i karabiny.

Ludność ma się dowiedzieć, że nie wolno się zgłaszać do rosyjskiego poboru. Gdzie trzeba, występować macie w mundurach, a gdzie trzeba, po cywilnemu. W Oleandrach dadzą wam konie i dwie bryczki. No, to jest bardzo niebezpieczna misja.

– Jak was złapią Rosjanie – dodał Sosnkowski – potraktują jak bandytów. Powieszają.

– E, co tam! Wezmę Antka Jabłońskiego, Grzmota-Skotnickiego, Stefana Hankę-Kuleszę, Kmicica-Skrzyńskiego i Bończę-Karwackiego.

– Belina. – Piłsudski pokręcił głową. – Mówiłem... rzecz jest tego rodzaju, że nie można rozkazać, mają iść tylko ochotnicy.

– Komendancie, zgłosi się ze trzydziestu, a ci to już na pewno.

– Choć będziecie wisieć, ale pięknie wypełnicie wasz obowiązek żołnierski – śmiał się Sosnkowski. Poklepał Belinę po ramieniu. – Ale nie martwcie się, historia o was nie zapomni.

– Świetnie! Cieszę się niezmiernie. Więc ruszamy za dwie godziny. Ale najpierw zaproszę ludzi na wiśniówkę do Hawełki, jeśli obywatel Komendant pozwoli. Skoro to ma być ostatnia w życiu...

– No, idźcie, idźcie, pozwalam. Tylko nie za dużo tej wiśniówki.

\* \* \*

List do Dmowskiego miał już gotowy. Pewnie okaże się bezskuteczny, ale próbować trzeba. Chciał, żeby zawiozła go Ola Szczerbińska z Wasilewską, ale Oli nadal nie było w Krakowie, może przyjedzie dopiero za dwa dni, a czasu nie ma. Wysłał Mianowskiego.

W poniedziałek po południu pojechał do Oleandrów. Załedwie kilkaset metrów od Starego Miasta. Dawne tereny i pawilony po wystawie architektury i wewnątrz sprzed dwóch lat, od dawna były wykorzystywane jako miejsce zakwaterowania w czasie kursów oficerskich i podoficerskich dla strzelców oraz jako miejsce ćwiczeń. W ostatniej chwili Teofil Meresch przyproceedził z Brzeżan czterdziestkę strzelców. Pierwsze zarządzenie mobilizacyjne do niego nie dotarło, dopiero drugie...

Związek Strzelecki i Polskie Drużyny Strzeleckie liczyły osiem tysięcy ludzi. Lecz do apelu w Oleandrach stanęło załedwie trzy tysiące. Na maszcie biało-czerwona flaga. Kasprzycki wyczytał tych, których powoływano do pierwszej kompanii. Występowali przed szereg i ustawiali się osobno w dwuszeregu, prostopadle do pozostałych. Stu czterdziestu czterech. Wśród pozostałych szmer niezadowolenia. Wystąpił pięćdziesięcioletni pisarz Wacław Sieroszewski.

– Panie Komendancie! – Był czerwony z oburzenia. – Jak to? Dlaczego mnie nie powołano? Ja protestuję.

Piłsudski zrobił dwa kroki w jego stronę:

– W tył zwrot! Do szeregu... marsz!

Sieroszewski powlókł się zrezygnowany na swoje miejsce.

Piłsudski przyjął raport od Kasprzyckiego i przemówił do wojska:

– Odtąd nie ma ani strzelców ani drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszystkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne odznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech strzelcy przypną do czapek blachy drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie nawet najlżejszy cień różnicy między wami. Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granice zaboru rosyjskiego jako czołowa kolumna Wojska Polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było. Patrząc na was jak na kadry, z których ma się rozwinąć przyszła armia polska i pozdrawiam was jako Pierwszą Kompanię Kadrową.

Potem sam zamienił swojego strzeleckiego orzełka na blachę drużyniaków z ich dowódcą Stanisławem Burhardtem-Bukackim.

\* \* \*

O trzeciej w nocy z czwartego na piątego sierpnia zarządził w Oleandrach alarm i Pierwsza Kompania Kadrowa w pełnym rynsztunku ruszyła w drogę. Myśleli, że już idą walczyć. Ale był to tylko próbny wymarsz. Wszystko przebiegło sprawnie i wkrótce wrócili do koszar. Wracając do domu, Piłsudski spotkał w parku Bolesława Limanowskiego, nestora polskich socjalistów. Uścisnął mu rękę serdecznie.

– To dobry omen – powiedział.

Przybyła do Esplanady Ola Szczerbińska, towarzyszka życia Komendanta po tym, jak przed kilku laty rozpadło się jego małżeństwo z Marią. Nawet nie miał czasu dłużej z nią porozmawiać. Przybyła też Zofia Zawisanka z kobiecego oddziału wywiadowczego z raportem o patrolu Beliny. Zatrzymali się na pierwszy nocleg w jej majątku w Goszycach, dała im wypoczęte konie. Jak się jednak okazało, Rosjanie wcale nie wycofali się za Wisłę. Przemykając się między ich patrolami, Belina rozpuszczał pogłoski o zbliżających się silnych oddziałach polskich. Tak skutecznie, że kiedy dotarli do Jędrzejowa, nie było potrzeby atakować posterunku werbunkowego, bo Rosjanie już stamtąd uciekli.

Na spotkanie w mieszkaniu Sławka przyszedł Ignacy Daszyński przywódca PPS-Lewicy, polityczny konkurent Piłsudskiego. Postanowił przyłączyć się do jego oddziałów. Komendant wyciskał go i ucałował.

Poinformował zebranych, że w Warszawie powstał Rząd Narodowy. W jego imieniu wydano odezwę do narodu z wezwaniem do walki. Stanisław Siedlecki (później, w wolnej Polsce, senator) za pomocą scyzoryka wydłubał w miękkim kamieniu odpowiednią pieczęć. W rzeczywistości żadnego rządu nie było. Piłsudski wołał tymczasem taką fikcją niż nic. Miał nadzieję, że kiedy wejdzie do stolicy, fikcja stanie się rzeczywistością.

Szóstego sierpnia o trzeciej nad ranem znów był w Oleandrach. Kompania kadrowa wyruszyła w stronę granicy i przeszła ją w Michałowicach, niszcząc słupy graniczne. Austriacy pogranicznicy przyglądali się temu przerażeni. Kompania poszła w stronę Miechowa.

Wkrótce miało się okazać, że Polacy w Kongresówce wcale nie palą się do walki, o powstaniu nie mogło być mowy, ochotników przybywało niewiele.

Szli samotnie.

To osamotnienie z powodu braku poparcia wśród rodaków zabrzmiało później w jednej ze zwrotek słynnej *Pierwszej brygady*:

*My Pierwsza Brygada,*

*Strzelecka gromada,*

*Na stos rzuciliśmy nasz życia los,*

*Nasz życia los na stos, na stos.*

[...]

*Nie chcemy już od was uznania,*

*Ni waszych mów, ni waszych łez!*

*Już skończył się czas kołatania*

*Do waszych serc – jebał was pies!<sup>4</sup>*

<sup>1</sup> Wanda Wasilewska (1905–1964), córka wybitnego socjalisty Leona Wasilewskiego; po latach stała się gorącą wielbicielką komunizmu i Józefa Stalina.

<sup>2</sup> Józef – konspiracyjny pseudonim Kazimierza Sosnkowskiego, twórcy

Związku Walki Czynnej.

<sup>3</sup> Doktor Zygmunt Jedlicki był członkiem PPS, ale został zesłany na Sybir tylko za to, że udzielił pomocy lekarskiej rannym w czasie manifestacji w 1905 roku w Warszawie.

<sup>4</sup> W czasie oficjalnych uroczystości śpiewano złagodzoną formę tego zakończenia. Ostatnie słowa zamieniano na: „Do waszych kies”.

## Pardubice

Katia i nienarodzone dziecko: Jan nie mógł myśleć o niczym innym. Dostał jej list, ale kiedy szedł po nią na dworzec, wiedział już o działaniach niemieckich pod Częstochową. Niemieckie dywizje w porozumieniu z Armeeoberkommando, najwyższym dowództwem c.k. armii, zaatakowały z terenu zaboru austriackiego. Z prostego wyliczenia czasu wynikało, że Katia nie mogła zdążyć przed zamknięciem granicy. Czekał na dworcu z resztkami nadziei, że może jednak... że może stanie się jakiś cud i Katia przyjedzie. Ale cud nie nastąpił. Pociąg nie przyjechał.

Wrócił do domu w ponurym nastroju, pocieszając się, że ona ma już za sobą niebezpieczeństwo poronienia. Nie zobaczy jej prędko, ale może wojna nie potrwa długo. Optymiści mówili, że zakończy się do Bożego Narodzenia, najwięksi pesymiści wróżyli, że potrwa najwyżej rok. W domu zastał wezwanie do sztabu pułku. Wcześniej dostał informację, że Jeździecki Ośrodek Przygotowań Olimpijskich został rozwiązany. Zaopatrzeniowiec i księgowy zamknęli sprawy finansowe ośrodka, stajenni dostali wymówienia. Zawodnicy odbierali rozkazy powrotu do swoich jednostek. Przez ostatni tydzień codziennie żegnał się z kolegami, których trenował. Odjeżdżali, zabierali swoje konie.

Spakował się. Nie miał jak i w co włożyć ponad setki pucharów, statuetek i nagród z konkursów. Poprosi Władysława, żeby zabrał, kiedy przyjedzie po konie. Wziął tylko kilka najważniejszych. Z zawodów międzynarodowych, medale mistrzostw armii i pierwszy swój puchar z zawodów młodzieżowych rozgrywanych na Błoniach krakowskich w 1902 roku. Poszedł do stajni. Był wieczór, zapadał zmrok. Do miasteczka dwa kilometry. Cisza. Minał ciemne o tej porze kasy i trybuny dla widzów. Nad torem rozsnuły się opary wieczornej mgły. Pachniało sianem zbieranym z trawiastej części toru. Długi rząd piętnastu małych stajen wyścigowych po dwadzieścia, trzydzieści boksów jaśniał światłem okien. Był czas wieczornego obroku. Kiedy mijał stajnie, wszędzie dało się słyszeć krzątanie. Otwierano i zamykano boksy, konie niecierpliwie tłukły kopytami o drzwi, nie mogąc się już doczekać owsa. Ósma i dziewiąta stajnia należały do Ośrodka Olimpijskiego. Ósma była już pusta i ciemna. W dziewiątej zostały tylko konie Jana. Stajenny podjechał taczka pełną paszy do boksów w końcu stajni. Sypał miarki owsa na sito i idąc, odsiewał piasek i pył. Picador jak zwykle walił kopytami o drzwi. Jasiek stał spokojnie, choć czujnie się przyglądał i ruszał uszami. Moro już dostał swoją porcję, zanurzył w niej pysk i jadł łapczywie, śliniąc się i rozsypując na boki. Trzy pozostałe konie Jana spokojnie czekały na swoją kolej.

Nie chciało mu się stąd wyjeżdżać. Te kilka miesięcy pracy, przygotowań

olimpijskich – to był najszczęśliwszy czas w jego życiu. Czy nic już z tego nie będzie? Może po wojnie? Wchodził do boksów i żegnał się z końmi. Picadora i Moro, których był właścicielem, miał odebrać Władysław, odwieźć do Borowic. Jasio i reszta miały odjechać do któregoś z wojskowych klubów sportowych w Wiedniu. Tyle nadziei, tyle marzeń! Nie tylko marzeń! Przecież tyle pracy! Wiele miesięcy, wiele lat pracy. A teraz to wszystko skończyło się w jednej chwili. Serbowie zabili arcyksięcia, Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Wojna! Co to ma wspólnego z zawodami w skokach przez przeszkody?!

Jan głaskał swoje konie po szyjach, klepał po grzbietach i zadach i nie wiedział, czy jeszcze kiedyś się spotkają. Konie były dla niego jak najlepsi przyjaciele. Żegnał się z nimi, nie wiedząc, czy na zawsze.



## Kraków

Sztab 1. Pułku Ułanów Galicyjskich i podstawowa część jednostki mieściły się we Lwowie. W Krakowie stacjonował tylko szwadron zapasowy, do którego przypisany był porucznik Jan Szawernowski. Musiał więc pojechać do Lwowa. Po drodze na pół dnia zatrzymał się w Krakowie. W mieście czuło się radosne podniecenie. W oknach mieszkań biało-czerwone chorągwie. Na ulicach chłopcy ze Strzelca z biało-czerwonymi opaskami na ramionach śpiewali pieśni bojowe i dumnie dźwigali na ramionach ciężkie karabiny. Niestety, były to, jak Jan zauważył, prawie wyłącznie przestarzałe jednostrzałowe werndle. Podobno na Błoniach ma się odbyć uroczysta przysięga legionistów. Podobno legionści samowolnie zmienili rotę przysięgi i będą ślubować wierność Franciszkowi Józefowi jako królowi polskiemu.

Jan się dowiedział, że w katedrze na Wawelu odbywa się msza za Polaków z jednostek austriackich wychodzących na front. Kiedy tam przyszedł, świątynia wawelska była pełna wojska. Przybyły poczty sztandarowe wszystkich galicyjskich pułków, w których służyli Polacy. Spóźnił się i było już po kazaniu. Nabożeństwo celebrował ksiądz biskup Sapieha. Kiedy podniósł monstrancję i wszyscy uklękli, przez witraże okna wpadły do wnętrza smugi niebieskich promieni prosto na postać biskupa i Ciało Chrystusa. Wszyscy to zauważyli i przez katedrę przebiegł radosny szmer.

Wojsko śpiewało:

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki*

*Otaczał blaskiem potęgi i chwały,*

*Coś ją osłaniał tarczą swej opieki*

*Od nieszczęść, które pognębić ją miały!*

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,*

*Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!*

Żołnierze, starzy i młodzi, mieli łzy w oczach, wielu przyszło z żonami i dziećmi. Ksiądz biskup szedł między rozstępującymi się wiernymi, błogosławił klękających. Zamigotał w słońcu las szabel uniesionych do góry. Biskup pokropił je wodą święconą. Nastrój chwili był podniosły i zrobił wielkie wrażenie na Janie, który wierzył w Boga, lecz nieczęsto chodził do kościoła. Tym razem postanowił

jednak się wypowiadać i przystąpił do Komunii Świętej.

\* \* \*

Pojechał jeszcze do Borowic pożegnać się z bratem, ale Władka nie było. Minął się z nim. Brat pojechał właśnie do Pardubic po Picadora i Moro. Zabrał też ze sobą Stefka, dla którego podróż wagonem z końmi to miała być świetna przygoda. Pożegnał się więc tylko z bratową. Marysia dała mu na drogę szkaplerzyk, Matkę Boską Ostrobramską na srebrnym łańcuszku.

– Nosił go mój pradziadek, kiedy szedł z Napoleonem na Moskwę – powiedziała. – Wrócił tylko z odmrożeniami. Dziadek miał go w powstaniu listopadowym, nic mu się nie stało. A ojciec w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku dostał się do niewoli, ale udało mu się uciec.

## Lwów

– Pan zgłosi się w sztabie Dwunastej Dywizji Piechoty, do generała Kestřanka – powiedział dowódca pułku.

– Jak to? Do piechoty? Dlaczego, panie pułkowniku?

– Został pan awansowany do stopnia rotmistrza ze starszeństwem od szóstego sierpnia. Będzie pan dowodził sztabowym plutonem kawalerii. Eskortowanie sztabu w czasie przemarszów, łączność i tak dalej. Także zwiad konny. Mamy tu jakiś powszechny szal przenosin. Wszystkich AOK przenosi, jednych tu, innych tam. Sztab główny zajmuje się kadrami aż do szczebla kompanii. To jakieś szaleństwo, jakby nie mieli nic lepszego do roboty.

Janowi kamień spadł z serca. Przeniesienie do piechoty uznałby za degradację. Cesarsko-królewska armia Franciszka Józefa walczyła już z Serbią i tego obawiał się najbardziej. Bić się z Serbami walczącymi o swoją niepodległość?! Postanowił jednak spróbować odmienić swój los. Czytał w krakowskim „Czasie” o oddziałach Piłsudskiego i wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej na teren zaboru rosyjskiego. Spotkał też na ulicy dwóch kolegów z gimnazjum, którzy działali w Strzelcu i zgłosili się do I Brygady. Wierzyli, że wojna przyniesie Polsce niepodległość. Cytowali wieszczę Adama: „O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię, Panie”. Jan niewiele wiedział o oddziałach Piłsudskiego, ale rozumiał, że to załęczek polskiej armii i po wojnie jej siła może zaważyć na traktatach pokojowych. No i przede wszystkim, jeśli ma walczyć, a może i zginąć, to w polskim wojsku, w polskim mundurze.

– Panie pułkowniku! – powiedział. – Mam prośbę. Chciałbym zostać odkomenderowany do Wojska Polskiego<sup>1</sup>.

Pułkownik spojrzał zdziwiony. Nazywał się Zima i był Polakiem, lecz bardzo już niemczonym, słabo mówił po polsku, a swoje nazwisko wymawiał z niemiecka „Cima”.

– To nie leży w moich kompetencjach. Proszę się z tym zwrócić do generała Kestřanka. Ale nie wróżę powodzenia. Takie przeniesienia zdarzają się bardzo rzadko.

Kiedy następnego dnia Jan przygotowywał się do wyjazdu, spostrzegł tytuł w gazecie leżącej na stole: *Pomnik Chopina we Francji*. Dowiedział się z niego, że tylko jeden wagon z częściami modelu do odlewu dotarł do Paryża. Drugi z całą resztą już nie zdążył i pozostał w Krakowie. Chopina też wojna rozdzieliła na pół.

<sup>1</sup> Nazwa Legiony Polskie zaczęła być używana dopiero po 21 sierpnia 1914 roku.

## Kielce

Wszedł podpułkownik Karsow z adiutantem, karczmarz zniknął w kuchni. Ciemna izba była brudna i zadymiona. Pachniało wyziewami przetrawionego alkoholu.

– Żydzie, dawaj obiad. – Kapitan Puszkin odpiął szablę i rzucił pas z pistoletem na stół.

Trzej chłopcy w kącie pospiesznie dopili siwuchę i przestraszeni wybiegli na ulicę.

– Co za smród! – powiedział Karsow. – Żeby nas tutaj czymś nie otruli.

Dywizja kawalerii, w której służył hrabia Sergiusz Karsow, wycofała się z Kielc, a jego pułk szedł jako straż tylna. Zatrzymał się na popas w wiosce kilkanaście kilometrów od miasta. Kawalerzyści kwaterowali po chałupach, a hrabia postanowił przenocować w karczmie na rozstaju dróg. Żyd postawił na stole parującą miskę ziemniaków ze skwarkami i drewnianą łyżką nakładał na talerze.

– To ma być obiad? – oburzył się Karsow.

– Wasza wielmożność wybaczy, ale nic więcej nie mamy. Przeszły już tędy wojska Jego Cesarskiej Wysokości. Czego nie zjedli, to zarekwirowali. Nic nie zostało. Podać wódkę?

– Dawaj – powiedział Puszkin.

– Nie, panowie. – Karsow skrzywił się z niesmakiem. – Ja tej karmy dla świń nie ruszę. Weźmiemy samochód sztabowy i wrócimy do Kielc. Pamiętajcie ten hotel, Bristol? Robią tam świetne steki.

– Ależ panie pułkowniku, tam mogą już być wojska nieprzyjaciela!

– No to przy okazji zrobimy rozpoznanie. Może jeszcze nie przyszli.

– Więc weźmy do ochrony pluton zwiadu – rzekł Puszkin.

– Nie, po co? Są zmęczeni, nich odpoczywają. Konie też muszą odpocząć.

– Panie pułkowniku – powiedział adiutant – ale tak jednym autem, w tamtą stronę, to szaleństwo.

– A czy wojna nie jest szaleństwem, poruczniku? – Karsow się zaśmiał. Był bardzo odważnym człowiekiem, a po kokainie wydawało mu się, że jest niezwyciężony.

\* \* \*

W restauracji hotelu Bristol w Kielcach zapanowało poruszenie. Goście ze zdumieniem patrzyli na ułanów w niekompletnych mundurach bez dystynkcji, przypominających austriackie. Był to już drugi, po pierwszym, dywersyjnym, wypad Beliny do Królestwa. Weszli, dzwoniąc ostrogami, i zajęli trzy stoliki koło

baru. Rozmawiali po polsku i mieli piastowskie orzełki na czapkach. Polskie wojsko?! Zdejmowali pasy, ciężkie długolufowe karabiny Mannlicera, zupełnie nieodpowiednie dla kawalerii, stawiali pod ścianą. Goście hotelu i restauracji przyglądali im się wystraszeni. Jeden tylko wąsaty jegomość, starszy pan o wyglądzie polskiego szlachciury, podszedł do stolika, który zajęli Belina-Prażmowski, Kmicic-Skrzyński i Wieniawa-Długoszowski.

– Panowie, na Boga! – Był wzruszony i miał łzy w oczach. – Czy to już Polska wraca? W imię Ojca i Syna... – Przeżegnał się. – Co to za formacja wojskowa?

– Wojsko Polskie, patrol – powiedział Belina-Prażmowski. – Za nami idą od Krakowa oddziały piechoty.

– Panowie! Pozwólcie, proszę, że zafunduję wam obiad. Pozwolicie się przysiąść? Jestem Anzelm Paprocki, obywatel ziemski. Mój ojciec... w sześćdziesiątym trzecim... poległ.

– Miło nam, panie Paprocki – rzekł Wieniawa. – Siadaj pan. Dotychczas kielczanie nie witali nas przyjaźnie. Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, zewsząd słyszeliśmy trzaskanie zamykanych okiennic.

Kilka dni wcześniej patrol konny Beliny-Prażmowskiego wyruszył z Krakowa i szedł przed Pierwszą Kompanią Kadrową na linii Michałowice, Słomniki, Miechów. Oprócz rozpoznania mieli przygotowywać dla piechoty zaopatrzenie i kwatery. W Słomnikach zaczekali na prowadzoną przez Kasprzyckiego kadrówkę, po czym ruszyli na Jędrzejów i Chęciny. Z Krakowa wyszli w siedmiu i mieli tylko pięć koni, więc dwaj ułani maszerowali z kulbakami na plecach. Kiedy wkroczyli do Kielc, było ich dwunastu i już wszyscy konno. W ratuszu oświadczyli burmistrzowi, że na rozkaz Komendanta Piłsudskiego zajmują miasto w imieniu polskiego rządu, Naczelnego Komitetu Narodowego, po czym pojechali do Bristolu. Konie wstawili do hotelowej stajni.

Zamówili obiad, wypili po kieliszku wódki. Szlachcic wypytywał o Legiony i Naczelny Komitet Narodowy, o którym w Kielcach nikt nie słyszał.

– Tutaj już wielu Polaków jest, niestety, lojalnych wobec caratu – mówił. – Czytałem w gazecie, że kiedy pułki kozackie szły przez Warszawę na front, mieszkańcy zegnali je okrzykami: „Nasi obrońcy! Niech żyją!”. Panie rozdawały kwiaty, a mężczyźni opróżniali papierosnice. Francuskie gazety chwalały Polaków, że wszyscy zgodnie popierają Rosję. Narodowi Demokraci uważają, że to dobrze! A ten Piłsudski? Tutejsze dewotki nazywają go bezbożnikiem, socjalistą, który otumaniał patriotyczną młodzież i prowadzi ją na niepotrzebną śmierć. On jest naprawdę szczerym zwolennikiem Austrii?

– Uważamy Rosję za naszego największego wroga.

– Słusznie, słusznie...

– Nasz związek z Austrią – tłumaczył Belina-Prażmowski – jest tylko

sojuszem taktycznym, tymczasowym. Podlegamy austriackiemu dowództwu, ale do czasu. Kiedy wojna się skończy i wytyczane będą granice, musimy mieć polskie wojsko jako argument w rokowaniach międzynarodowych.

– Słusznie, słusznie. Jak kiedyś Legiony Dąbrowskiego! Na kongresie wiedeńskim nie powstałoby Królestwo Polskie, gdyby nie było Legionów, chociaż były już wtedy pokonane i rozproszone. Bardzo słusznie!

Przy wejściu do restauracji powstał jakiś hałas. Wbiegło dwóch mężczyzn. Jeden z nich podszedł do Beliny-Prażmowskiego i mówił szybko:

– Panowie! W mieście pełno Moskali, uciekajcie!

– Głuchowski i Jabłoński, do koni! – zakomenderował Prażmowski.

Chwyтали karabiny i szable. Wybiegli na ulicę. Podjeżdżał otwarty samochód z Rosjanami i umocowanym na bagażniku karabinem maszynowym. Skrzyński i Wieniawa strzelali z karabinów. Z bardzo bliska. Belina ukląkł za latarnią i strzelał z pistoletu. Jeden z Moskali szarpał się z karabinem maszynowym, który widocznie się zaciął, a dwaj pozostali ostrzeliwali się z pistoletów.

Głuchowski i Jabłoński wyprowadzali konie z bramy. Każdy prowadził po cztery, nieosiadłane i wystraszone.

– Do bramy z nimi, kryj się! – krzyknął Belina.

Puszkin trafiony w pierś osunął się na siedzenia, Karsow dostał postrzał w prawe ramię i strzelał lewą ręką. Kierowca z piskiem opon zawracał auto – Moskale uciekali. Ułani rozglądali się dookoła. Żadnych innych Rosjan nie było widać. Nikt z Polaków nie ucierpiał. Belina kazał osiodłać trzy konie i pojechać za samochodem, zorientować się, czy jest ich więcej.

Pozostali wrócili do restauracji i kończyli obiad.

– Panowie, może jednak należałoby się stąd wynosić. Musi przecież być ich więcej! – rzekł kelner.

– O nie! – powiedział Belina. – Naszych steków im nie oddamy.

Śmiali się beztrosko. Wypili za pierwsze zwycięstwo w tej wojnie.

Wieniawa podśpiewywał, improwizując na poczekaniu:

– *Myśmy w Kielcach na rynku*

*Wyszedłszy prosto z szynku,*

*Rozbili Moskwę w puch,*

*Rozbili Moskwę w puch<sup>1</sup>.*

<sup>1</sup> Historycy podają różne relacje na temat tego incydentu. Według jednej z nich na rynek weszły dwa szwadrony spieszonych kawalerzystów rosyjskich. Według innej samochód pancerny dowodzony przez porucznika Puszkina strzelał

na oślep na ulicach Kielc po czym został powstrzymany ogniem Polaków na stacji kolejowej, skąd ratował się ucieczką, uwożąc zabitych i rannych. Prawdopodobnie historia ta powtarzana z ust do ust, urosła do wielkich rozmiarów.

## Annopol

Dwudziestego sierpnia 1914 roku 12. Krakowska Dywizja Piechoty szła w składzie 1. Armii z Tarnowa w kierunku Lublina. Zatrzymała się nad Sanem, tuż przy jego ujściu do Wisły. Zwiad donosił, że na drugim brzegu rzeki Rosjan nie ma, więc saperzy od rana budowali most pontonowy do przeprawy.

Jan kwaterował wraz ze sztabem we dworze Tarnowskich w Dzikowie. Na srebrnej rodowej zastawie lokaje we frakach podali kaszę, bo nic innego do jedzenia nie było. Przyszła wiadomość, że Rosjanie w pośpiechu opuścili Sandomierz. Cofając się, palili i grabili. Sołtys we wsi pokazał Janowi ciekawy dokument, który mu zostawił dowódca kozacki. Było tam napisane, że okaziciela niniejszego pisma nie wolno napaść i ograbić, ponieważ już opłacił się władzy.

W gazetach Jan znalazł wiadomość o śmierci papieża Piusa X. Dopiero teraz dowiedział się o powołaniu Naczelnego Komitetu Narodowego jako tymczasowego rządu polskiego i politycznej władzy zwierzchniej wojska. Na froncie zachodnim Niemcy zajęli Brukselę i zaskoczeni silnym oporem Belgów bezlitośnie tłumią wszelki opór, rozstrzeliwując i wieszając. W Alzacji 14 sierpnia ofensywa francuska odepchnęła Niemców, a zaraz potem ruszyła kontrofensywa niemiecka.

Kilka dni temu Jan zameldował się u generała Kestřanka w Tarnowie. Dowódca 12. Dywizji był Czechem zupełnie już zniemczonym i kiedy usłyszał prośbę o odkomenderowanie do Legionów, skrzywił się, jakby połknął coś gorzkiego.

– A co to za wojsko! – powiedział. – Jakaś zbierania, cywilbanda. Po co to panu? Dla Austrii to tylko *Kanonenfutter*<sup>1</sup>, zapewniam pana.

– Sądzę, że pan się myli, panie generale. Jestem Polakiem i wystąpię z taką prośbą oficjalnie i na piśmie.

– A proszę bardzo! Jeśli panu na tym zależy, proszę bardzo. Jednak o takich sprawach teraz decyduje Armeeoberkommando i ja tam przekażę pańskie podanie. Nie mogę zaopiniować go pozytywnie, ale obiecuję, że nie będę się też sprzeciwiał.

Jan kilka godzin spędził na pisaniu obszernego uzasadnienia do podania. Pisał, że jest lojalnym poddanym cesarza, że reprezentował Austro-Węgry na zawodach międzynarodowych i został nawet za to odznaczony przez świętej pamięci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Wojsko polskie działa przecież pod dowództwem austriackim i składa przysięgę cesarzowi. Jako Polak chce służyć wśród swoich. Generał podanie przyjął i, jak obiecał, opatrzył adnotacją, że nie zgłasza zastrzeżeń. Dodał jednak, że i tak nic z tego nie będzie. Wielu Polaków starało się o odkomenderowanie do Legionów, lecz nie słyszał, żeby któremuś się powiodło.

Jan objął dowództwo plutonu sztabowego. Wszyscy jego ludzie byli



Polakami, kilku z Krakowa. Zresztą, z wyjątkiem dowództwa, niemal cała, prawie dwudziestotysięczna dywizja składała się z Polaków. 20. Nowosądecki Pułk Piechoty – sami górale. 57. Pułk Tarnowski – Polacy. 100. Cieszyński pod dowództwem Polaka, generała Latinika, tak samo. Tylko w 3., Brneńskim, Czesi i Morawianie. Artyleria generała Tadeusza Jordana Rozwadowskiego, saperzy i kawaleria – wszystko Polacy.

Rankiem następnego dnia dywizja ruszyła na drugi brzeg Sanu. Było mgliście i pochmurno, a w samo południe zaczęło się gwałtownie ściemniać. Żołnierze byli uprzedzeni o mającym nastąpić całkowitym zaćmieniu słońca, jednak kompletny mrok w środku dnia sprawił przygnębiające wrażenie, a przeprawę trzeba było na pół godziny wstrzymać. Potem, niecałą godzinę później, roz pogodziło się, mgła opadła, słońce wyszło zza chmur i wszystkim humory się poprawiły.

\* \* \*

O świcie 23 sierpnia oddziały zbliżały się do linii gęsto ustawionych na pustkowiu słupów granicznych rozdzielających polską ziemię między zabory austriacki i rosyjski. Rozległo się gromkie „Hurra!” i jedna po drugiej powtarzały je kolejne kolumny. Nie było czasu niszczyć słupów, lecz wielu strzelało z pistoletów lub karabinów do czarnych dwugłowych orłów carskich i wkrótce wszystkie były w strzępach.

Godzinę później dywizja rozpoczęła formowanie się do szyku bojowego w rozległej dolinie Tanwi. Ciężkie piaszczyste bezdroża i rzadkie sosnowe laski utrudniały poruszanie się sztabowym samochodom i postanowiono je odesłać, z wyjątkiem jednego lekkiego forda, do Krakowa.

Była niedziela i w batalionach tam, gdzie to było możliwe, odprawiano mszę świętą. Dzień zapowiadał się skwarny. Sztab dywizji porozsyłał kawalerzystów plutonu Jana z rozkazami do pododdziałów. Jana szef sztabu wysłał do dowództwa dywizjonu artylerii Rozwadowskiego, by zdobył informacje o rozmieszczeniu artylerii wroga.

Generała Rozwadowskiego z jego sztabem Jan odnalazł na znacznym wzniesieniu na południe od wioski Wymysłów, z którego roztaczał się widok na całą dolinę. Zameldował się regulaminowo, po niemiecku. Generał skinął głową.

– Ale pan jest przecież Polakiem, prawda? – powiedział. – Więc rozmawiajmy po polsku. – Uścisnął mu dłoń. – O stanowiskach artylerii rosyjskiej jeszcze nie mam pełnych danych. Za to mam inną niemiłą wiadomość. Naprzeciw nas stoją pułki kielecki i radomski, a więc niewątpliwie Polacy. – Generał westchnął. – Myślę, że lepiej, żeby żołnierz o tym nie wiedział.

– Panie generale. – Jan pokręcił głową. – Dowiedzą się w boju i to może być dla nich... trudne.

– Tylko że trzeba by to ludziom obszerniej wytłumaczyć, a teraz już nie ma

na to czasu ani możliwości.

– Bałem się – rzekł Jan – że mnie wojna rzuci do walki przeciw Serbom walczącym o swoją niepodległość, a teraz... Mój Boże!

– Panie rotmistrzu, a Rosjanie? Czy pomyślał pan kiedyś, że Rosjanie, których przyjdzie nam zabijać, to także zwyczajni ludzie, w ogromnej większości niemający nic wspólnego z polityką, carem i państwem rosyjskim? Kazano im wziąć broń i ruszyć przeciwko nam. Więc poszli. Tylko wykonują rozkazy.

– No tak. Ma pan rację. Moja żona jest Rosjanką, lubię Rosjan. Ale to słaba pociecha. I czy wobec tego ta wojna ma jakiś sens dla nas, Polaków?

– Sens? Pyta pan o sens wojny? A pociecha, owszem, słaba...

\* \* \*

Przez silną lornetkę polową Jan widział na zachód zabudowania miasteczka Annopol z dużym drewnianym kościołem z przysadzistą, czworokątną wieżą. Na wschód, w takiej samej mniej więcej odległości, ledwie czerniały w oddali domy jeszcze mniejszej miejsciny Gościeradów. Po północnej stronie traktu z Annopola do Gościeradowa okopali się Rosjanie, po południowej stanowiska wyjściowe do ataku zajmowała piechota 12. Dywizji. Jednych od drugich dzieliło sześćset do tysiąca metrów.

Jan nanosił na mapę stanowiska artylerii rosyjskiej według informacji generała. Żadnego z nich przez lornetkę nie można było dostrzec; były dobrze zamaskowane. Miał już wracać do sztabu, kiedy na wschodzie pojawił się tuman kurzu i zaczęła się z niego wyłaniać kolumna kawalerii. Piękny, kolorowy widok, jak na manewrach. W szyku marszowym, czwórkami, żywym kłusem trzy pułki zmierzały w kierunku drogi wiodącej pomiędzy stanowiska rosyjskie i austriackie.

– To Trzecia Dywizja Brudermanna – wykrzyknął generał. – Co on robi?! Za chwilę znajdzie się pod ostrzałem z kilkuset kroków. Boże, czemu nie pojechali lasem?!

– Nie zdążymy ich ostrzec – powiedział adiutant. – To niemożliwe.

– Ja zdążę! – krzyknął Jan.

– Niech pan jedzie! – Generał skinął głową. Pokazał drogę. – Niech jada lasem, tędy, tym traktem, widzi pan?

Jan wskoczył na konia i ruszył galopem. Bruder, folblut, którego Jan nazywał po polsku Bratek, ruszył cwałem, jak na wyścigach, przez pofałdowany teren, gdzieniegdzie porośnięty rzadką trawą, miejscami z tak głębokim i obsuwającym się po zboczu piachem, że koń zakopywał się, zwalniał i przechodził do kłusa. Jan widział, jak kolumna wychodzi na trakt i skręca w lewo w stronę Annopola. Kiedy dopadł straż przednią kolumny, zaczął się ostrzał artyleryjski i z karabinów maszynowych. Ogień szedł na szczęście za wysoko; tuż przed Janem na drogę zwała się połowa słupa telegraficznego z zerwanymi

przewodami. Przeskoczył słup, lecz koń zaplątał się w druty. Miotał się, wspinał i omal się nie wywrócił. Dwaj ułani zeskoczyli z koni i pomogli mu się uwolnić.

– Panie generale! – wołał Jan. – Przysyła mnie generał Rozwadowski. Cała droga do Annopola jest po stronie północnej obsadzona przez Rosjan. Nie przejedzie pan tamtędy. Jest zupełnie bezpieczny trakt wiodący przez las. Mam pana poprowadzić.

– Dziękuję panu. Ale nie zawrócę.

– Jak to, dlaczego?

– Mój żołnierz jest pierwszy raz pod ostrzałem. – Brudermann uśmiechnął się. – Nie każę im uciekać z powodu kilku dział i karabinów maszynowych. Mogłoby im to wejść w przyzwyczajenie.

Jan zaniemówił ze zdumienia. Kawalerii Brudermanna groziła masakra.

– No to powodzenia! – powiedział.

Wsiadł na konia, który miał poobcierane nadpęcia, ale nie kulał i niewiele krwawił. Nad głowami gęsto i ze świstem szły kule, a szrapnele rozrywały się dwieście metrów dalej w kierunku wzgórz, którymi musiał powracać.

Pułki Brudermanna szybkim kłusem rozwijały się na trakcie, nie zważając na ostrzał. Jan miał za chwilę przegalopować przez linię gęsto wybuchających granatów, ale nie miał innego wyjścia. Jeden po drugim mijał leje po wybuchach i po chwili znalazł się poza ostrzałem. Przeszedł, nic mu się nie stało. Udało się! Koń też był cały, choć mokry od potu. Mocno zmęczony i wystraszony gwałtownie oddychał po kilku kilometrach szybkiego galopu. Jan ucałował go w szyję i zwolnił.

Podjechał do stanowiska dowodzenia artylerii.

– Czemu nie zawrócili? – pytał generał. – Widzieliśmy, że pan rozmawiał. Czemu?

– Bo nie chcieli uciekać! Generał Brudermann nie chce zaczynać udziału swoich ludzi w wojnie od ucieczki.

– Coś takiego!

Wszyscy patrzyli w stronę drogi. Dywizja zbliżała się do Annopola. Trzy pułki, tysiąc dwieście koni, teraz już szły mocnym galopem. Czoło kolumny ginęło w zabudowaniach miasteczka.

– Zdziwiałe – zauważył któryś ze sztabowców. – Ale wydaje się, że przeszli bez strat!

– No tak, nie widać poległych na drodze ani koni bez jeźdźców.

– Szczęściarze! Ach, szczęściarze... Kawaleria!

– Cały ogień Rosjan szedł górą. Jak mogli tak źle strzelać!?

– Może to zaskoczenie – rzekł generał. – Ktoś zakomenderował za daleki celownik i wszyscy tak strzelali. No, ale ta defilada jazdy w zwartym szyku, pod ogniem... piękny widok! Doprawdy, przepiękny!

\* \* \*

Jan dopiero teraz mógł dokładniej obejrzeć nogi swojego konia. Oba przednie nadpęcia miały pozdzieraną skórę, ale ścięgna wyglądały na nienaruszone. Nie były to bardzo poważne kontuzje, jednak wymagały kilkutygodniowego leczenia. U koni wszelkie skaleczenia nóg trudno się goją, im niżej, tym gorzej. Generał pożyczył mu swojego zapasowego wierzchowca. Jan pojechał na nim, Bratka prowadził obok w ręce. Na stanowisku sztabu dywizji był akurat weterynarz pułku, doktor Morawiecki. Jan oddał mu Bratka i zameldował się w sztabie. Generała Kestřanka nie było, jak zwykle trzymał się daleko od ewentualnego ostrzału. Dowodził szef sztabu major Gerbert.

– Niech pan patrzy, rotmistrzu – powiedział. – Tam na skraju tego małego lasku na północ od Annapola, widzi pan? Rozwijają się baterie artylerii konnej Rosjan. Niech pan wraca do Rozwadowskiego. Na co czeka? Ma ich natychmiast ostrzelać.

– Panie pułkowniku, mamy już połączenie z artylerią – zameldował telefonista.

Jan słyszał rozmowę szefa sztabu z generałem Rozwadowskim.

– Nie rozumiem, na co pan chce czekać?

– Już nam nie uciekną, a ja nie jestem pewien, czy to nie nasi.

– Jak to, dlaczego? Są za liniami Rosjan i właśnie widzę, że ustawiają się lufami na nas.

– Niech pan ich policzy. Widzę dwanaście zaprzęgów w dwóch grupach bateryjnych. Rosjanie powinni by mieć szesnaście zaprzęgów, bo ich baterie liczą po osiem dział. Po sześć mają nasze. To może być dywizjon majora Hofmana.

– Niemożliwe. Jak by się tam dostał?

– To wielki ryzykant, nie zdziwiłbym się. Wjechał na tyły Rosjan. Przygotujemy się do ognia na nich, ale jeszcze poczekajmy.

Jan patrzył jak wszyscy przez lornetkę. Zupełnie wyraźnie zobaczyli błysk wystrzałów i prawie w tej samej chwili czerwono zabarwione obłoczki szrapneli wybuchających w samym środku rosyjskich pozycji.

– Widział pan? – spytał generał.

– Rzeczywiście, miał pan rację. Więc zaczynamy. Niech pan ostrzela okopy.

Jan patrzył jak na widowisko. Okopy rosyjskie pokrył morderczy ogień. Artyleria austriacka ostrzelała je z obu stron. Rosjanie odpowiadali niezbyt dokładnie. Niektóre baterie strzelały celnie, inne nie bardzo. Po chwili ogień rosyjski dosięgnął wzgórz, na których stały oba sztaby, dywizji i artylerii, jednak tu strat nie było.

Kilka minut później ruszyła do szturmów piechota. Na całym kilkunastokilometrowym odcinku pułki piechoty przekroczyły drogę z Annapola

do Gościeradowa i zbliżały się do okopów rosyjskich. Kilkanaście tysięcy ludzi. Biegli, wielu na chwilę padało, wstawali, ogień karabinowy ich nie zatrzymywał. Chwilę później rozgorzała walka na bagnety. Rosjanie cofali się w popłochu, zostawiając za sobą zabitych i rannych. Artyleria generała Rozwadowskiego przenosiła ogień stopniowo za nimi. Takie przenoszenie ognia za cofającym się nieprzyjacielem nazywano walcem ogniowym. Był rzeczywiście miażdżący. Bitwa była wygrana, a w decydującym stopniu była to zasługa artylerii.

\* \* \*

Na dziedzińcu dworu w Rachowie zgromadzono jeńców. Za linią okopów, tuż koło Annopola, działał szpital polowy. Leżało tam pod gołym niebem kilkunastu oficerów rosyjskich i kilkuset żołnierzy i podoficerów Polaków z armii austro-węgierskiej i rosyjskiej. Straty Austriaków były stosunkowo niewielkie jak na działania zaczepne dywizji, jednak zginęło ponad stu ludzi.

Dwa kilometry dalej na północny wschód przygotowywano pochówek poległych – swoich i wroga. Wozami przywożono zwłoki. Żołnierze wyznaczeni do tej ciężkiej służby zdejmowali zmarłym blaszki nieśmiertelników. Sierżant z kancelarii dywizji notował nazwiska, stopnie, numery oddziałów.

Zginał jeden z ułanów plutonu Jana. W chwili rozpoczęcia ataku był z rozkazem w jednym z batalionów 100. Pułku Piechoty generała Latinika. Więc Jan z trzema najbliższymi kolegami zabitego pojechał go pożegnać. W niewielkiej kotlinie pod lasem żołnierze kopali wspólny grób. Niektóre ciała były straszliwie okaleczone wybuchami pocisków artyleryjskich. Z bliska wojna wyglądała koszmarnie. Jan był wstrząśnięty tym obrazem, zupełnie odmiennym od tego, który widział z daleka, z punktu obserwacyjnego artylerii.

Kapelan dywizji ksiądz Bożyk i kapelani pułkowi modlili się nad zwłokami. Ściemniało się już, lecz trzysta metrów dalej na wschód płonęły zabudowania i blask rozprzestrzeniającego się pożaru coraz mocniej oświetlał ciała zabitych i wielki dół, w którym mieli spocząć. Ogień potężniał i ogarniał stodoły, obory, stajnie. Dobiegał stamtąd straszny ryk, kwik i przerażające rzenie palących się żywcem zwierząt. Huk pożaru narastał, aż w końcu zagłuszył wszystko.

Zabici leżeli już równo ułożeni w dole, kiedy nadjechał wóz ze szpitala z jeszcze jednym zmarłym. Miał głowę tak obandażowaną, że twarzy prawie nie było widać. Był w rosyjskim mundurze kaprała. Kiedy go zdejmowano z wozu, z kieszeni płaszcza wypadła książka. Jan ją podniósł. Był to niewielki tomik wierszy Juliusza Słowackiego. Kartki poematu *Ojciec zadżumionych* były zbroczone krwią.

<sup>1</sup> *Kanonenfutter* – dosłownie „pasza dla armat”, „mięso armatnie”.

## Piotrogród<sup>1</sup>

Katia nie mogła sobie darować, że nie pojechała dzień wcześniej. Przecież nic by się nie stało. Tak bardzo się starała przestrzegać zaleceń doktora Stütza! Tak bardzo nie chciała narażać tego maleńkiego życia, które w niej rosło, że przegapiła ostatni dzień, kiedy mogła jeszcze dostać się do Krakowa.

Kiedy w dziesiątym tygodniu ciąży spytała doktora, jakiej wielkości jest jej maleństwo, powiedział, że jak główka zapałki. Teraz musiało być wielkości wisienki, miało już główkę i zawiązki kończyn. Gdyby pojechała dzień wcześniej... Dziś może byłaby już z Janem!

Wszyscy mówili, że wojna nie potrwa długo, najwyżej rok. Więc skoro olimpiada ma być dopiero w 1916 roku, to może Jan nadal pracuje w Pardubicach, trenuje skoczków, może wcale go na front nie wysłano. A nawet gdyby go wysłali, czekałaby na niego, wiedziałaby, gdzie jest, pisałby do niej, na pewno by wrócił.

Miała zmienne nastroje. Raz czuła, że na pewno wszystko dobrze się skończy, urodzi Janowi dużego chłopca albo śliczną dziewczynkę. A chwilę później – że on zginie na wojnie, a ona umrze przy porodzie. Raz się śmiała, raz płakała.

Czytała po polsku *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza. Miała też rosyjskie tłumaczenie i słownik. Jan mówi dobrze po rosyjsku, zna całkiem niezłe literaturę rosyjską, więc i ona musi się nauczyć polskiego.

Znalazła w bibliotece Bolskiej *Ogniem i mieczem* wycinane z warszawskiego „Słowa”, gdzie powieść była trzydzieści lat temu drukowana w odcinkach. Bolska prenumerowała „Słowo”, a całą powieść potem opравиła i trzymała w domu jak relikwię. Katia pożyczyła ją od niej. Maestra miała też następne części trylogii. Zaglądając często do słownika, zmagając się z niezrozumiałymi zdaniami i porównując z rosyjskim przekładem, kończyła czytać pierwszy tom. Zaczytała się tak, że nie mogła się oderwać i z każdym następnym odcinkiem coraz bardziej utożsamiała się z Polakami. Skrzetuski też miał na imię Jan. I jego też wojna oddzieliła od ukochanej Heleny. Pierwszy tom kończył się strasznie:

„Bar wzięty”. Bar, twierdza, w której schroniła się Helena, został zdobyty przez hordy Chmielnickiego.

Katia, tak jak dawniej strasznie się przepracowywała, wszystko poświęcając doskonaleniu głosu i karierze, tak teraz wszystko podporządkowała mającemu się narodzić dziecku. Pracowała jak najmniej, odpoczywała jak najwięcej. Z powodu wojny teatr mniej teraz wystawiał premier i nawet ograniczono do jednego liczbę przedstawień w tygodniu. Zamiast czterech lekcji w tygodniu u Bolskiej miała teraz tylko jedną.

Zapisała się na kurs pielęgniarek. Dwa tygodnie później go ukończyła i raz

w tygodniu pracowała w szpitalu, pielęgnując rannych. Myślała, że może jakimś szczęśliwym trafem dowie się czegoś o Janie od wziętych do niewoli Austriaków lub Polaków. Caryca i jej najstarsze córki też pracowały w jednym z piotrogrodzkich szpitali. Prasa pokazywała ich zdjęcia w białych fartuchach przy łóżkach rannych. Katia natknęła się na nie już trzeciego dnia w szpitalu i widziała, że rzeczywiście pracują bardzo ofiarnie. Rannych napływały tysiące do samych tylko szpitali w Piotrogradzie. Patrzyła na nich i była przerażona. Co z Janem? Czy żyje? Czy przeżyje wojnę?

Doktor Stütz przychodził często i dużo z nim rozmawiała.

– A cóż pan tutaj robi jako ginekolog? – spytała, gdy spotkała go w szpitalu.

– Jestem też trochę chirurgiem – powiedział. – Ale tu wystarczyłby dobry rzeźnik. Obcinam ręce i nogi, nic trudnego. Połowa urazów to nogi i ręce, a z tego co najmniej jedna trzecia nadaje się tylko do amputacji, bo brud i gangrena. Więc ucinam!

Spotkała wreszcie kogoś, kto znał Szawernowskich. Krakowianin kapitan Koziarowski chodził do szkoły z Władysławem.

– O, znam ich nawet bardzo dobrze – opowiadał. – Mają taki pałacyk–zameczek w Borowicach, byłem tam kilka razy u nich. Ale Janek wciąż na koniu. Słyszałem o jego sportowych zwycięstwach za granicą.

– Gdzie jest teraz? – spytała, a serce biło jej jak szalone.

– Nie wiem. Ostatni raz widziałem Janka chyba w sierpniu. Spotkałem go na Plantach. Mówił, że zazdrości legionistom orzełka na czapkach i że stara się o przeniesienie do Legionów Polskich, lecz to jest bardzo trudne.

– Do Legionów? Co to takiego?

Koziarowski wytłumaczył jej, że Legiony na razie pod dowództwem austriackim walczą o wolną Polskę w przyszłości. Jeszcze wiele razy w szpitalu odwiedzała Koziarowskiego i wypytywała o Szawernowskich. To było trochę tak jak spotkania z Janem. Jakaś namiastka czasu spędzonego z ukochanym.

Kilka razy wydawało jej się, że czuje ruchy dzieciątka. Lecz było to bardzo niewyraźne i nie była pewna, czy jej się nie zdaje. Przecież jest jeszcze takie maleńkie! Doktor Stütz mówił, że w dwudziestym tygodniu może poczuć kopanie dziecka.

Sięgnęła po drugi tom *Ogniem i mieczem*, zaczęła czytać pierwszy rozdział. Rzędzian przyniósł wiadomość, że Helena jest ukryta w jarze pod opieką Horpyny. Nowa nadzieja! Przyjaciele Jana jadą ją uwolnić.

Wtedy nagle poczuła ruch dziecka. To nie mogło być nic innego. Jak takie maleństwo mogło tak mocno kopnąć?! Katia rozplakała się ze szczęścia.

<sup>1</sup> Zaraz na początku wojny niemiecko brzmiącą nazwę miasta zmieniono na rosyjski Piotrogród.





## Iżma

Ryb w rzece Iżmie nie brakowało. Koło mostu za osadą zawsze łowiło kilkunastu wędkarzy, więc Iwan Jurko i Mikołaj Borzój pożyczali łódkę od chłopca mieszkającego nad wodą i wypływali do zakola pod lasem. Tam ryby brały jak nigdzie. Za wypożyczenie łódki odpłacali się piątą częścią tego, co złowili. Dziś popłynęli przed południem, łódkę uwiązali u brzegu, rozłożyli stołki, przynęty, podbieraki, wiaderka; wędki umocowali na widełkach. Rzeka rozlała tutaj szeroko, woda marszczyła się lekko i lśniła w słońcu. Już po chwili pierwsza duża płoć zatrzepotała na haczyku.

– Tak myślę – odezwał się Iwan – że lepiej by nam było pójść do Uchty nie drogami, ale brzegiem rzeki. Niewiele dalej, lecz nie zabłądzimy i tam nas nie będą gonić.

– No, nie wiem – zastanawiał się Misza. – Ba! Gdyby tak rzeka chciała popłynąć w drugą stronę. Pojechalibyśmy sobie komfortowo! Ale czasu mamy dość. Może to racja, żeby iść brzegiem. Zaczną nas szukać w poniedziałek, a może dopiero we wtorek, a wtedy już będziemy w pociągu. „Buty” mamy dobre, a zresztą nie wpadną na to, że zmierzamy do Jekaterynburga.

Butami nazywano fałszywe dokumenty niezbędne w czasie ucieczki.

Po kilku miesiącach na zesłaniu Iwan Jurko był już komunistą i członkiem partii. Zawsze lubił czytać, a tutaj zresztą nie miał nic innego do roboty. Carat wypłacał każdemu zesłańcowi taką zapomogę, że w zupełności wystarczało na mieszkanie i życie, a nawet można było coś odłożyć. Niektórzy biedacy lepiej żyli na zesłaniu niż na wolności.

Jurko przeczytał *Manifest komunistyczny*, *Kapitał* Marksa, kilka prac Lenina, nawet tak trudne, jak *Materializm i empiriokrytycyzm*, *Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej* oraz *Podstawowe zagadnienia marksizmu* Plechanowa. Poza tym całe mnóstwo broszur propagandowych. Z początku czytał to, bo nie było nic innego. Wiele z tego nie rozumiał, ale szybko pojął, że komuniści mają rację i po trochu cały świat stał się dla niego zupełnie zrozumiały, a nawet dość prosty. Zrozumiał historię świata, jej prawa i jej dziejowe konieczności. Literatury komunistycznej w Iżmie nie brakowało. Odbywało tam zesłanie kilkunastu bolszewików, mienszewików i eserów. Wciąż dyskutowali i sprzeczali się o jakieś szczegóły ideologiczne, które wydawały im się bardzo doniosłe. Iwan szybko zyskał w tym gronie szacunek, bo mimo że nie miał formalnego wykształcenia, był całkiem dobrze odczytany, zanim jeszcze trafił na zsyłkę. Poza tym był jedynym chłopem, prawdziwym przedstawicielem ludu wśród inteligentów.

Spór toczył się o to, jak należy się ustosunkować do wojny. Wybuchął

zawsze, kiedy przychodziły spóźnione o kilka dni gazety z wiadomościami z frontów. Na razie Rosjanie byli w natarciu i zwyciężali. Mienszewicy i eserzy uważali, że trzeba stanąć po stronie ojczyzny, *matuszki Rosiji*. Jaka jest, taka jest, ale zawsze to ojczyzna. Rewolucja później. Ten sposób myślenia nazywano *oborończestwem*. Bolszewicy twierdzili, że trzeba zrobić wszystko co możliwe, żeby Rosja przegrała wojnę, bo to wywoła rewolucję, jak w 1905 roku po przegranej z Japonią. Taką postawę nazywano *porażęczestwem*.

Z zesłania uciekali prawie wszyscy.

Tylko starzy i niedołęzni, niezdolni dostać się na piechotę do najbliższej stacji kolejowej zostawali, czekając na zakończenie kary. Ci, którym się udało uciec – to znaczy większość – zasilali szeregi zawodowych rewolucjonistów. Żyjąc na nielegalnej stopie, z fałszywymi dokumentami, oderwani od swoich rodzin i miejsc dotychczasowego zamieszkania – najczęściej nawet nie myśleli o tym, żeby zajmować się czymś innym.

Iwan znienawidził cara, despotyzm i ustrój kapitalistyczny. Znenawidził panów i burżujów. Nawet o dziedzicze, Jekatierinie Niesłuchowej, od której zaznał wiele pomocy, teraz myślał już nie tak dobrze jak dawniej. Całe życie ciężko pracował i oto oderwali go od ziemi, bo jakiś łajdak fałszywie go oskarżył. Sąd nie wierzył, że może być niewinny, nawet nie chciał go wysłuchać. Miał teraz tylko dwa pragnienia. Wrócić do swojej wsi, zatłuc siekierą tego, który na niego doniósł, spalić jego chałupę, może nawet z babą i dziećmi, a potem oddać się robocie rewolucyjnej.

Zmierzchało.

Iwan Jurko i Misza Borzój zaczęli się zbierać, wsiedli do łódki, ryb mieli więcej, niż potrzebowali. Pływały w dwóch wiaderkach. Będą mogli dać kilka towarzyszom. Rzeka niosła ich z prądem, cicha i rozlana szeroko. Byli zadowoleni i radośnie pobudzeni myślą o jutrze.

– Jak myślisz, uda nam się? – spytał Jurko.

– No pewnie! – odpowiedział Misza. – Słyszałem o takim jednym, który uciekał z zesłania siedem razy. Jak on się nazywał? Zaraz sobie przypomnę... Jakoś tak z gruzińska... kończy się na „idze” czy „szwili”. Pseudonim Koba. Tak, Koba Dżugaszwili<sup>1</sup>, Gruzin.

Podpłynęli do pomostu, oddali łódź chłopu, który czekał na brzegu, i poszli do miasteczka. Jutro w drogę. Na wolność, do towarzyszy, do roboty!

Kiedy skręcili za róg swojej ulicy, zbyt późno spostrzegli wóz i obok policjanta na koniu. Na wozie siedzieli z tobołkami trzej towarzysze.

– No, nareszcie – rzekł policjant. – Gdzieście się włóczyli? Pakować się szybko i jedziemy.

– Co? Dokąd?

– Idziecie w kamasze, darmozjady – zaśmiał się policjant. – Pójdziecie

walczyć, na front. Może nawet dostąpicie tego zaszczytu, że umrzecie za cara, naszego ukochanego ojca i dobroczyńcę.

<sup>1</sup> Koba Dżugaszwili – późniejszy Józef Stalin. Z zesłania w Kuriejce w Kraju Turuchańskim już mu się nie udało uciec, bo do najbliższej kolei było 800 kilometrów, a poza tym towarzysze nie przysłali „butów”. Pod koniec 1916 roku wywieziono go z Kuriejki w celu poboru do wojska, nie kwalifikował się jednak z powodu kalectwa. Uwolniła go rewolucja lutowa 1917 roku.

## Ratoszyn

Lato miało się już ku końcowi, a skwar palił na popiół dolinę Chodelki. Jan czuł piasek na wargach i ocierał pot z czoła brudnego od kurzu. Rzeczka prawie wyschła. Brodził w najgłębszym miejscu, żeby dać trochę ulgi zmęczonym końskim ścięgom i kopytom, lecz woda sięgała zaledwie nadgarstków. Pod wieczór całkiem ustał wiatr ze wschodu, dający odrobinę ochłody. Jan wyjechał na brzeg i ruszył w stronę lasu. Gdyby go objechał dookoła, trafiłby dokładnie do sztabu dywizji. Ale przez las musiało być dużo bliżej. Jednak na mapie nie zaznaczono żadnych leśnych duktów ani przecinek.

Był w siodle od siódmej rano, z krótką tylko przerwą w południe. Posłano go do sztabu armii, bo zerwane zostało połączenie telefoniczne. Tak teraz bywało prawie codziennie. Tylko kiedy sztab dywizji zmieniał miejsce postoju, Jan prowadził swój pluton jako osłonę. W pozostałe dni pełnił taką samą służbę jak jego ułani. Przewoził meldunki, z tą tylko różnicą, że jego major Gerbert wysyłał z najważniejszymi albo najpilniejszymi sprawami lub tam, gdzie było najbardziej niebezpiecznie. Dwa razy pociski wybuchły tak blisko, że piach zasypał konia i jego całego. Cudem nie zginął. Austriackie połówki niosły na osiem kilometrów, a haubice nawet na mniej niż siedem. I pociski trzeba było oszczędzać.

Las był rzadki, sosnowy, postanowił pojechać według kompasu na przełaj. Szczęście najwyraźniej mu sprzyjało. Trafił na polną drogę, która wchodziła w las mniej więcej zgodnie z kierunkiem, który wskazywał kompas. Jeszcze obejrzał się za siebie. Widział w oddali zapalające się światełka we wsi a inne, rozrzucone nieregularnie, błyszczące najdalej, musiały być ogniskami palonymi przez Rosjan.

Strzelanina na froncie umilkła.

Las stał cicho i nieruchomo, pachniał rozgrzaną ściółką i żywicą. Droga szła nieco pod górę, koń ledwie już powłóczył nogami. Nie spłoszył się, nawet gdy kilkanaście metrów przed nimi przez drogę przebiegło stadko dzików. Jan zsiadł i szedł obok niego. Zaczął już myśleć o przenocowaniu w lesie, kiedy spostrzegł światełko migające między drzewami. Po kilku minutach widział już wyraźnie trzy oświetlone okna. Po lewej stronie miał przecinkę po wyrębie, a po prawej młodniak, najwyżej półtorametrowe choinki. Tam, na skraju młodniaka, musiał być dom. Leśniczówka? Kiedy podszedł bliżej, zobaczył kilka drewnianych zabudowań z dachami krytymi gontem. Podmurowany dom z ganeczkiem. Dookoła porządną płot i dwa trawiaste wybiegi. Tabliczka na słupku: „Leśniczówka Hyżne”. Kilkanaście metrów dalej na skrzyżowaniu dróg – kapliczka pod drewnianym krzyżem. Pies u bramy rozszczękał się nagle, a po chwili w drzwiach ukazał się człowiek z lampą naftową.

Leśniczy nazywał się z niemiecka Wilhelm Kronberg, ale kiedy Jan

powiedział, że nazywa się Szawernowski od razu przeszedł na polski. Ucieszył się.

– Ja też jestem Polakiem. Panie rotmistrzu, zapraszam serdecznie!

Koń dostał w stajni owies, a potem leśniczy wypuścił go na trawę, co prawda marną, bo wyschniętą.

– Jestem sam – opowiadał. – Pięć lat temu owdowiałem, dzieci Pan Bóg nie dał. Sam tu siedzę, cieszę się z każdych odwiedzin.

Miał pociągłą twarz, okulary i wciąż się uśmiechał. Kręcił się wokół jego nóg tłusty szczeniaczek, może trzymiesięczny. Kiedy leśniczy siadał na krześle, natychmiast wskakiwał mu na kolana.

Jan umył się w misce i usiadł do stołu rozebrany do połowy, w samej podkoszulce; wciąż było gorąco. Izba była czysta, świeżo bielona, porządek wzorowy. Na ścianach poroża i Matka Boska Ostrobramska ozdobiona suszonymi kwiatami. Kilka zdjęć leśniczego z żoną. W kuchni gotowała się kasza i gulasz z dzika. Leśniczy nakrył stół białym obrusem. Jan chciał się przede wszystkim zorientować, jak daleko ma do sztabu. Rozłożył mapę i rysował na niej dukty leśne według wskazówek leśniczego. Siedzieli nad mapą, kiedy rozszczękał się pies na podwórku. Leśniczy wstał zobaczyć, co się dzieje, kiedy drzwi z trzaskiem się otworzyły i do izby wpadł człowiek z pistoletem w ręce.

– Ręce do góry!

Jan spojrzał, twarz wydała mu się znajoma, mundur austriacki, wielkie wąsy, człowiek już po czterdziestce, lecz w stopniu ledwie podporucznika.

– Panie poruczniku – powiedział spokojnie. – Niech nas pan nie straszy.

Człowiek z pistoletem zmieszał się:

– Ach, mój Boże, nie poznałem! Panie rotmistrzu, przepraszam, przepraszam bardzo, ale pan bez munduru, więc nie pomyślałem... – Schował pistolet do kabury i podszedł z wyciągniętą ręką. – Podporucznik Stanisław Żeleński, widziałem pana przy sztabie generała Rozwadowskiego. Jestem jego oficerem ordynansowym.

– Ale dlaczego pan na nas tak napadł?

– Widzi pan, podjechałem, patrzę, koń na padoku. Nawet po ciemku widać, że to nie wiejska szkapa, kawaleryjski. Podszedłem do okna, patrzę, siedzi dwóch cywili nad mapą sztabową. Pana widziałem tylko plecy. Coś kreślą. Szpiedzy! Spotkanie dwóch agentów rosyjskich, nic innego. Więc postanowiłem... ująć drani na gorącym uczynku. Proszę wybaczyć! Tak to wyglądało.

– A pan dokąd?

– Odprowadzałem kawalerię Brudermanna na pozycje wyjściowe i teraz wracam do generała Rozwadowskiego.

– Chce pan zaraz jechać dalej?

– Niekoniecznie, nie muszę, a i koń zmęczony. A pan tu nocuje? Tak? To może i ja zostanę do rana, jeśli gospodarz pozwoli.

Jedli gulasz, gospodarz podał nalewkę. Żeleński pochodził z Krakowa. Przed

wojną działał w Sokole, gdzie był instruktorem oddziałów konnych. Gdy wybuchła wojna, natychmiast zgłosił się na ochotnika do służby w sztabie generała Rozwadowskiego, bo znał go od dawna. Potem żałował, że się tak pospieszył. Gdyby nie to, byłby dziś w Legionach u Beliny-Prażmowskiego.

– Staram się o przeniesienie do Legionów – mówił Jan. – Złożyłem podanie, dotychczas nie mam odpowiedzi. Wie pan, pomijając to, że chciałbym walczyć z orzełkiem na czapce, to austriackie wojsko... – Jan kręcił głową. – Nie bardzo mi się podoba. Prawdę mówiąc, mnie też szkolono bardziej w jeździe konnej i musztrze niż w taktyce i strategii. A nasz dowódca... Nieciekawe indywiduum. Generał Kestřanek okazał się zwykłym tchórzem. Opowiem panom. Któregoś dnia przyjechałem do szkoły w Ratoszynie, gdzie kwaterował z częścią zaopatrzeniową sztabu. Zameldowałem się i chociaż było dopiero wczesne popołudnie, poszedłem odespać zarwane noce. Zasnąłem natychmiast. Po jakimś czasie budzą mnie wybuchy pocisków artyleryjskich, wychodzę przed szkołę i co widzę? Kilkunastu oficerów z otoczenia dowódcy wskakuje w pośpiechu na konie i rzuca się do ucieczki. Ekscelencja Kestřanek na czele, i to na moim koniu! Ostrzał jest bliski, ale raczej nieszkodliwy. Większość pocisków wpada do stawu. Piękne fontanny! Jeden tylko trafił w komin na dachu szkoły i może to wywołało taką panikę. Zmykali jak zające, a ja potem musiałem swojego dowódcę i swojego konia ścigać kilka kilometrów na piechotę.

– No, to ja opowiem panu dalszy ciąg tej historii – rzekł Żeleński. – Może dwadzieścia minut później nadjechaliśmy do Ratoszyna z generałem Rozwadowskim. Na moście koło kościoła panika w taborach. Pchają się na most wozy sanitarne, szczepiają się z taborowymi, most wąski, kompletnie zablokowany. Generał zeskoczył z konia, usiłuje zaprowadzić porządek, nikt nie reaguje. Grozi pistoletem woźnicom i podoficerom, strzela w powietrze kilka razy i dopiero wtedy zaczynają go słuchać. Jedną kolumnę zatrzymał, inną zawrócił. Jedni w lewo, drudzy w prawo, po półgodzinie sytuacja opanowana, most przejezdny. Wszystkich zatrzymał w Ratoszynie. Tymczasem nadchodzą wiadomości, że generał Kestřanek wysłał gońców do sztabu armii z informacją, że nacierają na niego przeważające siły wroga i pilnie prosi o posiłki. Dywizji wydał rozkaz natychmiastowego wycofania się. Nawet w sztabie armii wywołało to przerażenie, bo linia frontu przerwana, sąsiednie dywizje zagrożone atakiem z flanki lub nawet okrążeniem. Więc Rozwadowski telefonuje do nich i mówi, jak wygląda sytuacja. Nie ma żadnego ataku Rosjan. Tylko ostrzał artyleryjski. Przejmuje dowodzenie. Zatrzymuje dywizję, zawraca, sytuacja opanowana, bataliony wracają na swoje stanowiska. Strat żadnych nie ma.

– O, tu się pan myli, poruczniku! W tym zamieszaniu generał zgubił swój ulubiony parasol.

– No tak, to musiało być straszne – śmiał się Żeleński. – Wie pan przecież,

co się wydarzyło następnej nocy i za dnia pod Grądami i Borowem?

– Oczywiście. Nocny atak Dwunastej Dywizji, zupełne zaskoczenie, wielkie nasze zwycięstwo.

– Pod dowództwem generała Rozwadowskiego.

– Tego nie wiedziałem.

– Został za to przedstawiony do Orderu Marii Teresy<sup>1</sup>. Zobaczymy, czy dostanie.

– Ale Kestřankowi włos nie spadł z głowy – dziwił się Jan. – Może się okaże, że to on zwyciężył pod Grądami i Borowem.

– Nasz Kestřanek – ciągnął opowieść Żeleński – miał w czasie pokoju opinię wybitnego stratega, wygrywał wszystkie gry wojenne na mapach i manewry na poligonach. Szybko awansował. Teraz, na wojnie, zajmuje się głównie artylerią. Lecz tylko nieprzyjacielską. Żąda wciąż aktualizowanych danych o rozmieszczeniu wrogich baterii i rodzajach dział. Wie pan dlaczego? Nanosi je na mapy, cyrklem kreśli najdalszy możliwy zasięg ostrzału i dzięki temu może zawsze stawać na postój w bezpiecznych miejscach. Tym razem ktoś się pomylił i pan generał dostał się pod ogień. Sztab oczywiście nie mógłby stacjonować tak daleko od frontu, więc dowodzenie dywizją generał całkowicie zdał na swojego szefa sztabu majora Geberta. Rozkazy zostawia mu podpisane *in blanco*. Major dotychczas radził sobie nieźle. Ale sława zwycięstwa pod Annopolem spłynęła na Kestřanka.

– Tym razem stchórzył także major?

– Tego nie wiem. Raczej nie. Sądzę, że miał błędne dane, zresztą postępował zgodnie z rozkazem dowódcy dywizji.

Zegar na kominku wydzwonił jedenastą. Kiedy już wybierali się spać, Jan coś sobie przypomniał.

– Ale, ale... Czy pan jest może krewnym tego satyryka Żeleńskiego? – spytał. – Przed wojną bywałem na jego przedstawieniach kabaretowych w Jamie Michalika. Zielony Balonik, szopki noworoczne?

– To mój brat, Tadeusz. Jest z zawodu lekarzem, ale z zamiłowania pisarzem i tłumaczem literatury francuskiej.

Zaczęli znajdować kolejnych wspólnych znajomych z Krakowa. Żeleński chodził do tego samego gimnazjum co Władek, brat Jana, i znał starszego brata jego żony Marysi. Dobrze im się rozmawiało, poszli spać dopiero około pierwszej w nocy.

\* \* \*

Dwa dni później Jan się dowiedział, że podporucznik Żeleński zaginął. Przy pierwszej okazji zapytał o to generała Rozwadowskiego.

– Staliśmy na punkcie obserwacyjnym, kiedy przyjechał dowódca dywizji – opowiadał generał. – Widzieliśmy, że na prawym skrzydle brygada generała

Zalewskiego dostała się pod silny ogień nieprzyjaciela. Jego pozycje ginęły w kurzu i dymie, fontanny wybuchów. Wyglądało to groźnie, słychać było stamtąd nieustanny ogień karabinów maszynowych. Generał Kestřanek zaczął się denerwować, czy wytrzymają. Zażądał ode mnie, żebym wysłał tam i do sąsiedniej brygady rozkazy bezwzględnego utrzymania się, a nawet solidniejszego okopania. Linie telefoniczne zerwane. Miałem przy sobie tylko dwóch ludzi, porucznika Źeleńskiego i ochotnika Skrzyńskiego. Droga do Zalewskiego była bardzo niebezpieczna, a do sztabu tej drugiej brygady szła za wzgórzami i drogą we wsi, dalsza, lecz bez żadnych zagrożeń. Nie chciałem decydować, którego z nich narażać na śmierć. Ciągnęli losy. Skrzyński wyciągnął węzełek, więc przyszło mu jechać do Zalewskiego. Ruszył od razu galopem i kiedy zobaczyliśmy, jak wjeżdża w dym i ogień, wszystkim nam się zdawało, że już nie wróci. Po chwili patrzemy, a on dojechał. Widać przez lornetki, że zsiadł z konia i u szczytu pagórka, lekko pochylony, melduje generałowi rozkaz. Zawrócił, zginął nam z oczu... znów wszedł w strefę ognia. Patrzemy, czy przejedzie... Drugi raz w tak gęsty ogień, małe szanse. Przejechał! Cały i zdrowy melduje wykonanie zadania. Okazuje się, że brygada Zalewskiego nie poniosła dotąd dużych strat, utrzyma się na pewno. Odetchnęliśmy. Źeleński nie wracał, lecz z początku nikt się tym nie przejmował, bo miał do przebycia drogę dużo dłuższą. Dopiero pod wieczór, kiedy już były naprawione łącza telefoniczne, dowiedzieliśmy się, że był na miejscu i wyruszył z powrotem. To już było niepokojące. Następnego dnia, kiedy nadal go nie było, wysłałem ludzi na drogę, którą przebył. Dowiedzieli się we wsi od chłopów... Wpadł na patrol kozaków. Chłopi to widzieli. Strzelał, walczył, kilku zranił czy zabił, lecz w końcu posiekali go szablami, skłuli pikami i strasznie krwawiącego zabrali ze sobą.

– Skąd kozacki patrol na naszych tyłach? – zdziwił się Jan.

– Nie wiem. Mogli zablądzić, mogli iść na tak niebezpieczne rozpoznanie. Złapali jeńca oficera i widocznie nie chcieli go zabić, w nadziei, że dowiedzą się czegoś ważnego. Jednak z tego, co mówili ci, co widzieli... Obawiam się, że małe miał szanse na przeżycie. Wielka strata. – Generał mówił wyraźnie poruszony, ze ściśniętym gardłem. – Znaliśmy się od lat... Odważny żołnierz, dobry przyjaciel. I wie pan? On coś przeczuwał. Ze starym ordynansem, który mu podawał konia, pożegnał się tak, jakby wiedział... Na zawsze.

– Wielka strata, wielka. – Jan z trudem ukrywał wzruszenie. – Dopiero go poznałem, ale są tacy ludzie, z którymi chce się rozmawiać, chce się z nimi być. Może byśmy się zaprzyjaźnili, chociaż był dużo starszy ode mnie. Dlaczego akurat on?

– Wojna. Może Pan Bóg już się za nim stęsknił i wziął do siebie?

Dopiero prawie rok później, kiedy Austriacy zdobyli Lublin, mieli się dowiedzieć, że Źeleńskiego wieziono dalej przez Lublin koleją i zmarł na stacji



w Łukowie<sup>2</sup>. Podobno na chwilę przed śmiercią prosił kogoś, żeby zawiadomił jego rodzinę, znajomych.

<sup>1</sup> Generał Rozwadowski dostał ten bardzo prestiżowy order z dużym opóźnieniem, lecz kapituła przyznała mu go jednogłośnie.

<sup>2</sup> Podporucznik Stanisław Żeleński zmarł z ran 28 sierpnia 1914 roku w takich okolicznościach, jak opisano, jednak w rzeczywistości stało się to kilka dni przed bitwą pod Borowem i Grądami.

## Rozwadów

Drewniana wieżyczka dworca kolejowego w Rozwadowie płonęła jak pochodnia. Od kilkunastu godzin pod silnym ostrzałem haubic i armat rosyjskich dowódca artylerii 12. Dywizji opróżniał wielkie magazyny po drugiej stronie torów, dwieście metrów od budynku stacji. Amunicji artyleryjskiej zawsze dotąd miał za mało, a tam było kilka tysięcy ton pocisków artyleryjskich i karabinowych. Rosjanie dobrze znali położenie i zawartość magazynów. Dworzec ostrzeliwało kilka ich baterii. Jeden pocisk – gdyby trafił w magazyny – mógł w każdej chwili spowodować gigantyczną eksplozję, zniszczyć stację, sąsiednie ulice, zabić wszystkich kolejarzy i żołnierzy pracujących przy załadunku. Kilkudziesięciu rannych od wybuchających w górze szrapneli już zabrano do miasta, zabitymi nie było czasu się zająć. Granaty artyleryjskie rozbiły w drzazgi kilka wagonów, na szczęście pustych. Żaden z załadowanych skrzynkami z amunicją jak dotąd nie został trafiony. Płonęły topole na podjeździe od strony miasta.

Na początku września cofał się cały front austro-węgierski w Galicji, a z nim 1. Armia i w jej składzie 12. Dywizja. Zwycięstwa pod Annapolem, Grądami i Borowem miały znaczenie tylko lokalne. Żołnierze 12. Dywizji nie rozumieli: walczyli, przelewali krew, zwyciężali – a teraz każą im się cofać i to w pośpiechu, właściwie uciekać.

Jan dostał rozkaz przywiezienia z magazynów rozwadowskich tyle amunicji karabinowej, ile się zmieści na trzech wozach taborowych. Kiedy przyjechał ze swoimi ułanami na stację, płonął już cały budynek dworca, a koło magazynów ludzie uwijali się jak w ukropie. Cały kilkudziesięciowagonowy skład już odjeżdżał. Trwał załadunek następnego. W górze wybuchały szrapnele, a na gruntowej drodze dojazdowej wzdłuż torów co chwila wykwiwały fontanny eksplozji.

Jan zameldował się generałowi Rozwadowskiemu. Dowódca był nieogolony i miał przekrwione oczy. Wyglądał tak źle, że Jan pomyślał, że musi być ranny. Ale generał prawie nic nie jadł i nie spał od dwóch dni i nocy. Był śmiertelnie zmęczony. Jan podał mu manierkę z kawą. Pijąc chciwie, oparł się o słup telegraficzny.

– Dziękuję panu – powiedział. – Bardzo panu... – I pomału osunął się na ziemię. Spał. Zasnął w samym środku piekła wybuchów.

Jan kazał artylerzystom zanieść go jak najdalej w głąb parku przy stacji, ułożyć na wozie taborowym i nakryć kocami. Ułani Jana w ciągu pół godziny załadowali wozy skrzynkami z amunicją. Jeden z koni został trafiony szrapnelem w szyję, przez chwilę chwiał się na nogach, upadł i wykrwawiał się szybko; trzeba było go wyprząc i dobić.

– Panie rotmistrzu, gotowe – meldował plutonowy, jeden z woźniców. –  
Wiejmy stąd! Cud, że jeszcze żyjemy.

– Jedźcie – powiedział Jan. – Zameldujcie, że musiałem tu jeszcze chwilę  
zostać.

– Co pan?! Tu śmierć!

Jan objął komendę. Był po generale Rozwadowskim najwyższy stopniem,  
a trzech pomocnicy generała, młodszy oficerowie sztabu, potracili głowy i za chwilę  
mogli rzucić wszystko, żeby ratować życie. Przez te pół godziny, kiedy ładowano  
jego wozy, zorientował się w organizacji załadunku.

Zapał już zmierzch, lecz było wciąż jasno od palącego się drewnianego  
budynku stacji. Jeden z pocisków armatnich zniszczył tory na dojeździe przed  
magazynem. Kolejarze musieli przetaczać wagony z toru odległego o kilkadziesiąt  
metrów na ten idący obok magazynów i cofać je do bramy, skąd wynoszono  
skrzynie. Żaden z nich nie porzucił pracy, a zawiadowca stacji przyprowadził  
jeszcze kilkunastu, których ściągnął na służbę z domów. Ostrzał się wzmacniał.  
Rosjanie musieli ściągnąć więcej dział. Mimo to, kiedy po kilku godzinach pojawił  
się generał Rozwadowski, magazyn był już prawie pusty. Generał zajrzał do środka  
i stwierdził, że można resztę zostawić, bo są to naboje do wielkich armat  
fortecznych, jakich Rosjanie nie mają, więc nie będą mieli z nich żadnego pożytku.

Ostatni pociąg odjeżdżał.

– Bardzo panu dziękuję. – Generał mocno ścisnął dłoń Jana. – Udało się,  
udało się nam, choć sam w to nie wierzyłem.

Jan spojrział na niego pytająco.

– Musiałem spróbować. Odpowiadam za ewakuację, więc to mój obowiązek.  
Ale pan nie musiał. Przedstawię pana do odznaczenia.

\* \* \*

W listopadzie Władek pisał z Borowic, że w Krakowie zapanowało ogólne  
przygnębienie. Niemal cała Galicja zajęta przez Rosjan. Nie pozostało ani śladu  
tego ożywienia politycznego, jakie znamionowało początek wojny. Wszędzie  
strach i zwątpienie. Wielu sądziło, że idee legionowe są już raz na zawsze  
pogrzebane.

*Jeszcze bardziej te nastroje się nasiliły – pisał brat Jana – kiedy w mieście  
pojawiły się oddziały I Brygady. Ich wygląd zewnętrzny, wyekwipowanie  
żołnierskie przedstawia się rozpaczliwie. Wymizerowani, wygłodniali, brudni,  
zawszeni, ubrania w strzępach, rozlatujące się buty, wyposażeni w przestarzałe  
armatki na czarny proch, bez karabinów maszynowych, bez kuchni polowych.*

*Germanofilsko nastawiona komenda twierdzy krakowskiej przyjęła ich  
niechętnie, rzekomo z braku aprowizacji. Zgodziła się na trzydniowy pobyt, tak by*

*mogli się wyspać, najeść do syta (o co zadbała ludność cywilna miasta), doprowadzić do porządku, wymyć i wydezynfekować ubrania. Wbrew minorowym nastrojom ogólnym ludność Krakowa przyjęła ich spontanicznie – bardzo serdecznie i opiekuńczo. Wszyscy mówią, że dowództwo austriackie nie dostarcza dostatecznego zaopatrzenia ani w żywność, ani w broń i amunicję. Nie mogą się doprosić nowych butów ani mundurów. AOK zachowuje się tak, jakby chciało, żeby Legiony zostały wybite na froncie i przestały istnieć. A przecież wiemy o ich bohaterskich walkach i zwycięstwach mimo wszystko.*

## Lublin

Odpowiednio szyte kostiumy maskowały ciążę i aż do końca grudnia Katia występowała na scenie. Wojna i związane z nią nastroje patriotyczne sprawiły, że teatr wystawiał prawie wyłącznie opery rosyjskie. Śpiewała Tatianę w *Eugeniuszu Onieginie* Czajkowskiego. *Oniegin* z librettem według Puszkina był niezwykłą operą, ponieważ tekst był świetny, a dialogi ciekawe. O wielu innych operach nie dało się tego powiedzieć. Libretta baśniowe lub legendarne albo z zamierzchłych epok historycznych często raziły banałami lub nieprawdopodobieństwem psychologicznym. Unosiła je cudowna muzyka i dzięki niej zwykle można było nie zauważać intelektualnej mizერიi tekstu. Katii nieraz to przeszkadzało. Poza tym najczęściej śpiewała po włosku, a bardzo rzadko po rosyjsku. Oper o tak świetnym librecie nie było wiele. W *Onieginie* poczuła się jak aktorka teatralna; budowała postać, żyła nią, stawała się Tatianą. Historia dwóch miłości, które tak przedziwnie się rozminęły, tragedia Oniegina, który zabił w pojedynku przyjaciela – wszystko to mocno działało na jej wyobraźnię. Świat tworzony na scenie był prawdziwy i fascynujący; to było nowe doświadczenie.

14 stycznia 1915 roku urodziła zdrowego i pięknego synka. Rodziła w domu, a poród odbierał doktor Stütz i uważał te narodziny za własny sukces zawodowy. Odwiedzał ją co kilka dni i cieszył się, że chłopczyk rośnie i rozwija się prawidłowo. Katia karmiła piersią i przeżywała coś, czego przedtem nawet sobie nie wyobrażała.

Tak bardzo pragnęła, żeby Jan się dowiedział!

Miała kilka jego zdjęć ze ślubu i z zawodów. Oprawione w ramki stały w salonie, sypialni i w garderobie w teatrze. Czasem patrzyła na te zdjęcia, dotykała ich i rozmawiała z mężem. Synowi dała na imię Janek, wydawało jej się oczywiste, że tak musi się nazywać. Duży Jan i mały Janek. Był podobny do ojca, te same oczy i czoło. Był częścią jego, Jan był teraz z nią w małym Janku.

Na początku lutego przyszedł do jej garderoby po przedstawieniu pan Włodzimierz Kajetan Szawernowski, stryj Jana. Oglądał Katię w *Onieginie* i był zachwycony, gratulował. Pytał o bratanka, sam nie miał o nim żadnych wiadomości.

– Coś ci przyniosłem, moja droga – powiedział. Podał jej miękkie zawiniątko.

Rozpakowała. To był szalik Jana. Wojskowy, ciemnozielony i szorstki. Dobrze pamiętała jego wilgotną szorstkość, kiedy tuliła się do niego na stateczku płynącym do Kronsztadu.

– Janek zostawił go przez zapomnienie, kiedy byliście u mnie – dodał pan Włodzimierz. – Pomyślałem, że teraz może być dla ciebie cenny.

Katii wzruszenie odebrało mowę. Ucałowała pana Włodzimierza w oba policzki, przytuliła szorstki szalik do twarzy.

W domu owinęła nim małego Janka.

– To tatuś cię obejmuje i otula – powiedziała. – Tatuś jest daleko, ale bardzo cię kocha.

Nie rozstawała się z tym szalikiem, nosiła go, chociaż zupełnie nie pasował do jej płaszczy i futer.

Mama przyjechała ze wsi i niańczyła wnuka, choć narzekała, że ją postarza. Regularnie brała kokainę i była wciąż optymistyczna i radosna. Wyjeżdżała z Jankiem wózkiem na spacer na ulicę lub do parku i opowiadała nieznajomym, że to jej synek. Przyjechała ciocia, już teraz cioteczna prababcia, księżna Leontiewa. Była schorowana i słaba, chrypiała strasznie, lecz kiedy paliła papierosy, wychodziła zawsze na zewnątrz, żeby nie szkodzić dziecku.

Maestra Bolska i jej córka przynosiły zabawki i trudne do zdobycia z powodu wojny artykuły do pielęgnacji niemowląt. Wszyscy zachwycali się chłopcem. Częściej teraz odwiedzali Katię Larysa z Wodopjanowem. Z rozmów z nimi dowiedziała się, że ze Szwecji do Niemiec i Danii pływają statki handlowe i przyszło jej do głowy, że może tą drogą udałoby się, przez Finlandię i Szwecję do Niemiec, a stamtąd zwykłą pocztą, przesłać list do Jana na adres w Borowicach. Flota Bałtycka polowała na statki cywilne, lecz większości rudowęglowców i frachtowców udawało się dotrzeć cało do Hamburga lub Bremy. Poprosiła Pawła o pomoc w znalezieniu kogoś, kto mógłby zawieźć list do Niemiec i stamtąd wysłać do Władysława. Mocno wierzyła, że Jan żyje, jest cały i zdrowy. Nie mogło być inaczej, czuła to. Gdzie jest? Władek będzie wiedział...

Paweł umówił ją z jakimś nieznajomym, czekała na niego w restauracji Matrosskaja w pobliżu portu. Człowiek, który się pojawił, był wielkim zaskoczeniem. Dziwny człowiek mówił dziwne rzeczy. Miał około czterdziestki, szczupły i świetnie ubrany wyglądał jak arystokrata i dżentelmen. Musiał być kupcem albo przemysłowcem na znaczną skalę, właścicielem większego przedsiębiorstwa.

– Niczego nie mogę zagwarantować poza tym, że zrobię, co będzie możliwe – powiedział.

– Zapłacę panu, ile będzie trzeba.

– Nie, proszę pani. Nie wezmę żadnych pieniędzy. Po pierwsze dlatego, że mam zwyczaj pomagać ludziom, kiedy mogę, a po drugie dlatego, że wiem, kim pani jest. Bywam w teatrze i pani śpiew daje mi dużo więcej, niż mogłaby mi pani zapłacić.

– Bardzo panu dziękuję. – Katia była poruszona tym wyznaniem.

– Ja na wojnie zarabiam jak nigdy przedtem – dodał. – A pani i inni na niej cierpią. Mam dług wobec cierpiących, więc chcę pomóc.

List miała przygotowany.

– Proszę dać mi jakiś kontakt do siebie – rzekł. – Za trzy tygodnie będę wiedział, czy list dotarł do Niemiec i czy został wysłany.

Dokładnie trzy tygodnie później przemytnik zadzwonił do Katii.

– Przykro mi bardzo. Statek wszedł na zaporę minową i poszedł na dno. Moi ludzie się uratowali, ale list niestety nie. Proszę napisać następny, spróbujemy jeszcze raz.

W lutym Teatr Maryjski włączył się w wielką akcję organizowania pomocy i rozrywki dla żołnierzy na froncie. Prowadzono zbiórkę pieniędzy, ciepłej odzieży i żywności, a kilku muzyków i śpiewaków ruszyło w objazd do miejscowości przyfrontowych z popularnymi koncertami dla wojska. W marcu Katia z Nastią i Jankiem ruszyła z nimi. Postanowiła, że wszędzie będą też odwiedzać szpitale z rannymi. A tam byli jeńcy: Niemcy, Austriacy i Polacy. Może spotka kogoś, kto zna Jana lub wie coś o nim.

\* \* \*

Kiedy kurtyna poszła w górę, z widowni buchnął na scenę zaduch mokrych mundurów i spoconych ciał. Teatr Miejski w Lublinie nie był duży, zaledwie nieco ponad czterysta miejsc. Całą widownię zapełnili żołnierze, aż brakowało miejsc i wielu musiało stać. Byli to ci, których zluźowano po dłuższej służbie na froncie. Oficerowie przyprowadzili jeden batalion, czy raczej to co pozostało przy życiu z batalionu. Żołnierze byli ponurzy i zmęczeni. Przyszło też wielu lżej rannych z pobliskiego szpitala. Katia śpiewała przy akompaniamencie fortepianu i skrzypiec najbardziej znane arie operowe i operetkowe. Odzew widowni był słaby. Szybko zrozumiała, że nawet tak popularny repertuar jest dla prostego żołnierza zbyt trudny. Nie było tego w programie, ale poprosiła muzyków, żeby zagrali *Oczy czarne*. Widownia od razu się ożywiła. Katia i muzycy improwizowali. Grali, a ona śpiewała bez żadnego przygotowania kolejne cygańskie romanse, które wszyscy znali. *Dwie gitary, Mileńki ty mój, Pomóż mi, kochany*. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy, więc kiedy skończyła i sala domagała się bisów, powtarzała wszystko jeszcze raz. Występ zakończył się wielką owacją.

Następnego dnia od rana wspólnie z muzykami poszukiwała nut innych cygańskich przebojów. Nie znaleźli ich wiele, więc następne bataliony słuchały na przemian najłatwiejszych przebojów operetkowych, pieśni cygańskich i rosyjskich romansów.

Potem odwiedzała szpitale. Kiedy na kartach chorobowych przy łózkach znajdowała polskie nazwiska, pytała o porucznika Szawernowskiego. Ale wiedziała już, że najpierw musi zapytać, czy ranny Polak służył w armii rosyjskiej, niemieckiej czy austriackiej.

Jednak nikt nie znał Jana ani nic o nim nie słyszał.

Kiedy w ostatnim, trzecim już szpitalu weszła do ostatniej z sal, poczuła dziwny niepokój. Jakby coś miało się wydarzyć. Pierwsi przy drzwiach Polacy służyli u Rosjan. Lecz...

– Tam, w kącie leżą dwaj z armii austriackiej – powiedział młody chłopak z kikutem amputowanej ręki. – Może będą coś wiedzieć, zdaje się, że są z Krakowa.

Katia podeszła. Jeden ze wskazanych Polaków spał. Drugiego nie było i jak się dowiedziała, zabrano go na zmianę opatrunku. Czekwała pół godziny, lecz nie wracał. Nie chciała budzić śpiącego i w końcu postanowiła przyjść później. Nie wiedziała o tym, lecz obaj byli ułanami z plutonu sztabowego 12. Dywizji Piechoty, podkomendnymi Jana. Znali go dobrze.

\* \* \*

Koncertowała w Lublinie jeszcze cztery dni, coraz lepiej rozumiejąc, czego pragnie widowia. Po występach rozmawiała z oficerami i żołnierzami. Byli bardzo serdeczni i już jej nie raził ich zapach. Byli wymęczeni, przygnębieni, wymizerowani i nie chcieli wracać, ginąć na froncie. Żegnali ją i dziękowali „za tę odrobinę światła, jaką im dała”, jak powiedział jeden z tych prostych ludzi. Uświadomiła sobie, że gdyby nie wojna, zapewne teraz śpiewałaby w Paryżu, w największym teatrze operowym świata. Miała tam być wystawiona *Salome*, awangardowa opera Ryszarda Straussa z librettem według sztuki Oskara Wilde’a. W 1904 roku w Wiedniu wystawił ją Mahler, lecz zaraz została zdjęta z afisza z powodu skandalicznej na tamte czasy treści. Katia znała sztukę i była pod jej wielkim wrażeniem. Przeczytała libretto i *Herodiadę* Flauberta, opowiadanie, którym inspirował się Wilde. Śpiewać *Salome* w Paryżu! Musiałaby także tańczyć. To było marzenie!

Pomyślała o Janie. Właśnie przeczytała w gazecie, że ostatecznie odwołano berlińską olimpiadę, zaplanowaną przed wojną na luty 1916 roku.

Przed wyjazdem jeszcze raz poszła do szpitala, spotkać się z rannymi Polakami, z tym śpiącym i z tym poprzednio nieobecnym. Dowiedziała się, że już ich jako rekonwalescentów odesłano do obozu jenieckiego.

Po powrocie do Piotrogradu czekała na nią wiadomość, że kolejny list do Jana szczęśliwie dopłynął do Niemiec i został wysłany pocztą z Hamburga do Borowic.

\* \* \*

Maestra Bolska bardzo się zdziwiła, kiedy Katia opowiedziała jej o swoich poszukiwaniach w szpitalach na zapleczu frontu.

– A to nie wiesz, że istnieje polskie Towarzystwo Opieki nad Jeńcami



Wojennymi i Rannymi Polakami? Przecież obozów i szpitali są w całej Rosji setki. To szukanie igły w stogu siana, do tego igły, której może wcale tam nie ma. A oni na pewno mają spisy Polaków wziętych do niewoli i rannych. Jeśli Jan gdzieś tam jest, to ci go znajdą.

– Gdzie powinnam się zgłosić?

– Dam ci list do Aleksandra Lednickiego. To mój dobry znajomy, mieszka na stałe w Moskwie, ale często bywa w Piotrogradzie. To bardzo znany adwokat, kieruje tą organizacją i jeszcze innymi. Stworzył też działające na pół legalnie Koło Przyjaciół Niepodległości Polski<sup>1</sup>, w którego władzach zasiadają Rosjanie, ludzie o znaczących nazwiskach, jak Nikołaj Sokołow czy poseł do Dumy Aleksandr Kierenski. Lednicki jest człowiekiem bardzo wpływowym i ustosunkowanym. To patriota. Patronuje polskiemu „Dziennikowi Petersburskiemu”. Podobno nawet w pojedynczych przypadkach udaje mu się uzyskać zwolnienia jeńców. Uwolnił z obozu jakiegoś wybitnego polskiego uczonego, nie pamiętam nazwiska...

Kilka dni później Katia spotkała się z Lednickim. Umówił się z nią w restauracji świeżo otwartego, bardzo nowoczesnego i luksusowego hotelu Astoria, naprzeciwko opuszczonej od wybuchu wojny byłej ambasady niemieckiej, niedaleko Jeźdźca Miedzianego, konnego pomnika Piotra Wielkiego. Lednicki był ubrany jak angielski dżentelmen, był około pięćdziesiątki, i tylko sumiaste wąsy przywodziły na myśl typowego polskiego szlachcica.

– To pani wyszła za mąż za Polaka? Nic o tym nie wiedziałem. Czyżby gazety nie wiedziały o polskim mężu wielkiej rosyjskiej śpiewaczki?

Katia odebrała to jako przytyk pod swoim adresem, że nie przyznaje się do swojego polskiego nazwiska.

– Nazywam się Niesłuchowa-Szawernowska, proszę pana, i tak jest zawsze na afiszach, a że dziennikarze najczęściej pomijają drugi człon mojego nazwiska, to nie moja wina.

– Ach tak... Chciałaby pani, jak rozumiem, dowiedzieć się, czy pani męża nie ma wśród jeńców lub rannych?

– Właśnie.

– A dowiadywała się pani u Rosjan?

– Tak, lecz powiedziano mi, że nie prowadzą takiej ewidencji.

– Dobrze. Mógłbym nawet jutro dostarczyć pani spisy, ale byłyby niezupełnie aktualne, sprzed ponad miesiąca. W przyszłym tygodniu będę miał najświeższe dane. Skontaktuję się z panią.

Kilka dni później zadzwonił do Katii sekretarz Towarzystwa Opieki nad Jeńcami i Rannymi Polakami. Powiedział, że Jana Szawernowskiego nie ma wśród jeńców ani wśród rannych.

Niewiele wynikało z tej wiadomości. Katia nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić. Gdyby był w Rosji, mogłaby go zobaczyć. To, że go nie ma, może

również oznaczać, że żyje i walczy, albo że poległ lub jest ranny i leży w szpitalu po drugiej stronie frontu. Nadal ta męcząca niepewność!

Od tego czasu zaczęła czytywać „Dziennik Petersburski”. Nie wiedziała, jak wielu Polaków jest teraz w Rosji. Może nawet ponad dwa miliony. Wielu z nich ewakuowano, kiedy Rosjanie wycofywali się przed Niemcami z Królestwa.

## KALENDARIUM

### 1914

Styczeń 1914 roku – w rocznicę powstania styczniowego Józef Piłsudski prowadzi we Lwowie i w Krakowie nocne ćwiczenia – próbę mobilizacji paramilitarnych organizacji strzelców.

28 lipca – Austro-Węgry wypowiedają wojnę Serbii, Rosja zarządza mobilizację.

1 sierpnia – Niemcy wypowiedają wojnę Rosji, wojska rosyjskie wkraczają do Galicji i Prus Wschodnich.

2 sierpnia – wojska niemieckie wkraczają do Luksemburga, a 3 – gwałcą neutralność Belgii – do Francji.

3 sierpnia – Piłsudski wydaje rozkaz utworzenia wspólnej kompanii kadrowej z członków Związku Strzeleckiego i Polskich Drużyn Strzeleckich, 4–5 sierpnia mobilizacja Pierwszej Kompanii Kadrowej w krakowskich Oleandrach.

4 sierpnia – Wielka Brytania wypowiada wojnę Niemcom i rozpoczyna ich blokadę morską.

6 sierpnia – Pierwsza Kompania Kadrowa wkracza do Królestwa.

8 sierpnia – W.I. Lenin podejrzewany przez władze austro-węgierskie o szpiegostwo, zostaje aresztowany i uwięziony w Nowym Targu. Zwolniony po interwencjach znanych działaczy socjalistycznych jako przeciwnik caratu.

16 sierpnia – w Krakowie powstaje Naczelny Komitet Narodowy na czele z prezydentem miasta Juliuszem Leo. Komitet współpracował z Austriakami i miał być politycznym wsparciem Wojska Polskiego. Równolegle z Legionami Polskimi Piłsudski zaczyna tworzyć tajną Polską Organizację Wojskową.

23 sierpnia – Japonia wypowiada wojnę Niemcom.

23–26 sierpnia – w bitwie pod Tannenbergiem Niemcy zwyciężają Rosjan. Według ich historyków pierwszą bitwą pod Tannenbergiem była bitwa w Polsce nazywana pod Grunwaldem; ta jest drugą.

4 września – w Kielcach legioniści składają przysięgę wierności cesarzowi Franciszkowi Józefowi, dodając od siebie, że jako przysięmu królowi Polski.

5 września – pierwsza w historii bitwa powietrzna, której skutkiem jest zestrzelenie samolotu.

6–9 września – wielka bitwa nad Marną. Francuzi zatrzymują Niemców, niwecząc ich plan szybkiego zwycięstwa na Zachodzie.

26 października – w bitwie pod Laskami Piłsudski zostaje lekko ranny. Nie wykonując rozkazu dowództwa austriackiego, zmienia kierunek odwrotu do Krakowa. Ryzykownie manewruje pomiędzy Rosjanami a Austriakami. Bój pod Uliną Małą. 6 grudnia zmienia swój wizerunek bojowca PPS na żołnierski; goli brodę, zostawia wąsy. 13 grudnia na czele legionistów wyzwala Nowy Sącz.

29 października – po zamknięciu drogi wodnej przez Bosfor i Dardanele Turcja atakuje rosyjskie wybrzeża.

3 listopada – Niemcy zwyciężają wojska brytyjskie w Niemieckiej Afryce Wschodniej.

8 grudnia – brytyjsko-niemiecka bitwa morska koło Falklandów.

31 grudnia – Piłsudski zostaje przyjęty na audiencji u cesarza Franciszka Józefa, który z uznaniem wyraża się o postawie legionistów ochotniczo walczących na froncie.

<sup>1</sup> Krużok Druziej Niezwisimosti Polszy w rzeczywistości powstał w roku 1916. Należał do niego Aleksandr Kierenski, po rewolucji lutowej premier Rządu Tymczasowego, często publicznie opowiadający się za wolną i niepodległą Polską.

## Baranowicze

Białoruskie Baranowicze liczyły cztery tysiące mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi. Rosjanie umieścili tam Stawkę, sztab generalny armii, ponieważ miasteczko było w odpowiedniej odległości od frontu i miało dobre połączenia komunikacyjne z resztą kraju, leżąc na skrzyżowaniu linii kolejowych Brześć nad Bugiem–Moskwa i Równe–Wilno.

Car przyjechał do Baranowicz z jedenastoletnim następcą tronu Aleksym. Chłopca fascynowała wojna, codziennie czytał doniesienia prasowe o rozwoju sytuacji i znakomite reportaże z frontu poety Gumilowa<sup>1</sup>. Mikołaj uznał, że syn powinien zobaczyć pracę sztabu. To miał być ważny składnik jego przygotowania do przyszłej funkcji cara Wszechrosji. Wciąż wierzył, że mimo choroby Aleksy kiedyś obejmie po nim dziedzictwo. Jednak carewicz na krok nie opuszczał Dieriewienko, młody marynarz, oficjalnie jego adiutant, a naprawdę opiekun, mający za zadanie chronić pełnego temperamentu chłopca przed wszelkimi możliwymi urazami i nosić go na rękach, kiedy był zmęczony, a więc bardziej na nie narażony. Nigdy jednak Aleksy nie był noszony na rękach publicznie. W takich sytuacjach Dieriewienko prowadził następcę tronu, trzymając go za rękę. Chorobę carewicza trzymano w tajemnicy. Najmniejsze stłuczenie, siniak lub – jeszcze gorzej – wewnętrzny wylew krwi były dla niego śmiertelnie niebezpieczne. Zawsze jeździł też z nimi doktor Botkin i pielęgniarka.

Na stacji kolejowej witali cesarza generałowie, władze miasteczka i delegacja kahału żydowskiego. Car objął i uściskał głównodowodzącego, podał dłoń dowódcom; salutowali jemu i Aleksemu. Wysłuchał przemówienia burmistrza, a kiedy zaczął przemawiać brodaty Żyd w błyszczącym chałacie i wielkim czarnym kapeluszu, pokiwał tylko głową.

– Dobrze, dobrze – powiedział. – Wystarczy. – Odwrócił się na pięcie, wszedł do auta i odjechał.

W Piotrogradzie sztab generalny imperium mieścił się w ogromnym budynku, łukowato zamykającym wielki plac naprzeciw Pałacu Zimowego. Ciągnął się na ponad osiemset metrów i pracowało tam kilkanaście tysięcy ludzi. W Stawce w Baranowiczach, w warunkach wojny, w miejscowym gimnazjum pracowało zaledwie kilkudziesięciu wojskowych. W auli zamienionej na serce sztabu wszystkie ściany obwieszane były mapami. Na środku sali osiem połączonych stołów bilardowych również pokrywały mapy. Dookoła stały fotele i sofy. Car usiadł na sofie i objął syna ramieniem. Wokół nich miejsca zajęło kilkunastu generałów.

– Proszę cię, kuzynie – rzekł do głównodowodzącego arcyksięcia Mikołaja Mikołajewicza. – Proszę cię, ze względu na Aleksego zreferuj najpierw działania

ubiegłoroczne, także we Francji i na Bałkanach.

Mikołaj Mikołajewicz, olbrzym dwumetrowy, chodził wzdłuż ścian i pokazywał kijem bilardowym sytuację na mapach. Mówiono o nim, że leje po pyskach generałów i pułkowników, którzy czymkolwiek mu się narażą. Mimo to i w wojsku, i w społeczeństwie był bardzo popularny.

– Żadna ze stron wojny – mówił – ani koalicja, ani państwa centralne, nie mają obecnie wyraźnej przewagi. Austro-Węgry nie były w stanie pokonać małej Serbii. Wciąż toczą się tam walki i nie widać, żeby Franz Joseph miał zwyciężyć. Austriacy przegrywają na froncie, więc mszczą się na ludności cywilnej. Masowe egzekucje. To jest Serbia. – Pokazał Aleksemu małe państewko. – Cztery i pół miliona ludzi. A to monarchia Habsburgów, pięćdziesiąt dwa miliony osiemset tysięcy. – Głównodowodzący długo przesuwiał wskaźnik wokół granic cesarstwa austro-węgierskiego. – Dawid i Goliat! – podsumował. – We Francji Niemcy przegrali nad Marną, przegrali też wyścig ku morzu. Francuzi razem z Anglikami zwyciężyli we Flandrii, lecz nie zdołali wyrzucić Niemców ze swojej ziemi. Wciąż wojska cesarza Wilhelma stoją na terytorium nieprzyjaciela. W pierwszych tygodniach wojny nasi sprzymierzeńcy wdarli się do Alzacji, a my do Prus Wschodnich. Odbiliśmy Kraj Przywiślański. Lecz Niemcom udało się odzyskać Alzację i Prusy, a my przegraliśmy bitwę pod Tannenbergiem, jak ją nazywają Niemcy, i nad jeziorami mazurskimi. Ponieśliśmy tam znaczne straty, zwłaszcza wśród oficerów i podoficerów zawodowych, także w pułkach gwardyjskich. Front na Zachodzie ciągnie się przez całą Europę od morza do Szwajcarii. Osiemset kilometrów okopów po stronie koalicji i osiemset kilometrów okopów po stronie Niemiec. Te okopy, zasieki z drutu kolczastego, tysiące dział, bunkry i umocnienia utworzyły jakby dwie gigantyczne twierdze. Francusko-angielsko-belgijską i niemiecką. Obie są nie do zdobycia. Niemcy liczyli na błyskawiczne zwycięstwo. To im się nie udało.

– Mamy nieoficjalne sygnały – odezwał się car – że Niemcy już zrozumieli, że nie są w stanie wygrać, walcząc na dwóch frontach. Chcieliby zawrzeć separatystyczny pokój z nami lub z Francją. To oczywiście nie wchodzi w grę.

– Ubiegły rok wykazał – kontynuował Mikołaj Mikołajewicz – że jesteśmy silniejsi od Austriaków, lecz nie radzimy sobie z Niemcami. Zajęliśmy Galicję Wschodnią ze Lwowem, mamy Przemyśl i Lublin. Nasze armie zagrażają Węgrom, jak tylko sforsujemy Karpaty. Lecz walki tam są niezwykle trudne z powodu warunków górskich i mrozu. Dotarliśmy do przełęczy karpackich i nie możemy się posunąć dalej.

– Wynik miałby wpływ na postawę Rumunii i Turcji, które są niepewne – wtrącił car.

– Turcy w październiku zamknęli cieśniny prowadzące z Morza Czarnego na Śródziemne i zaatakowali nasze wybrzeże. Kilka dni później Anglicy zajęli Cypr.

Wojna rozlewa się na cały świat, dociera nawet do Togo w Afryce. Japonia jest w stanie wojny z Niemcami, choć na razie niewiele z tego wynika.

– Dostaniemy od nich broń – powiedział generał Daniłow.

– Wracając do frontu rosyjsko-niemieckiego i austriackiego – kontynuował Mikołaj Mikołajewicz. – Nasz front jest jeszcze dłuższy niż we Francji, ciągnie się na prawie dwa tysiące kilometrów i nie stabilizuje się. Trzeba przyznać, że Niemcy mają tu inicjatywę strategiczną i mamy informacje, że ściągają wiele dywizji z Francji. Na wiosnę i my, i nieprzyjaciel planujemy wielkie ofensywy. Chcemy odbić Prusy Wschodnie i otworzyć sobie drogę na Berlin. Uderzenie na południu powinno nam dać Budapeszt i Wiedeń.

Mikołaj Mikołajewicz pokazywał kierunki na mapach, wymieniał armie i dywizje mające wejść w ich skład. Kiedy podszedł do stołu, by pokazać szczegóły, zasłuchany carewicz Aleksy podszedł szybko i uderzył się kolaniem o fotel. Dieriewienko był tuż za nim, żeby go zatrzymać, lecz nie zdążył.

Car pobałdł.

– Natychmiast wracajcie do domu. Dam znać telefonicznie, żeby ściągnęli Rasputina.

Marynarz wyniósł chłopca z sali. Car został jeszcze godzinę, słuchając informacji o ofensywie i przewidywanych ruchach nieprzyjaciela. Na koniec kazał sobie zrobić kopię planów natarcia i następnego dnia wysłał je przez kuriera do carycy. Po co? Zawsze tak robił, tak się przyzwyczaił. Zawsze wszystkim, co ważne, dzielił się z żoną i pytał ją o zdanie.

Następnego dnia w Pałacu Zimowym Rasputin czekał na carewicza. Po południu go obejrzał i zapewnił, że chłopcu nic nie będzie. Rzeczywiście, z godziny na godzinę wielki siniak nikał w oczach.

Jeszcze tego samego dnia caryca pokazała plany ofensywy rosyjskiej Rasputinowi. Prorokował, że te plany się nie powiodą, i Alix zaraz napisała o tym do cara. Kiedy Mikołaj II odjeżdżał z Baranowicz, poprosił go o pilną audiencję generał Daniłow. Domagał się rozmowy w cztery oczy.

– Wasza Cesarska Mość – mówił generał. – Od początku wojny widzę, że Niemcy zawsze mają we właściwym czasie informacje o ruchach naszych wojsk. Nigdy jeszcze nie udało nam się niczym ich zaskoczyć. To nie przypadek. Wiedzą o rzeczach, które znane są tylko w Stawce. Muszą mieć kogoś tutaj. Już nie wiem, komu można zaufać, więc zwracam się z tym bezpośrednio do Waszej Wysokości.

Car zamyślił się na chwilę. Wiedział, że żona pokazuje tajne dokumenty Rasputinowi, a w jego otoczeniu jest zawsze wielu cudzoziemców. Podziękował generałowi i obiecał zająć się sprawą, lecz szybko zapomniał o tej rozmowie i nie wyciągnął z niej żadnych wniosków.

<sup>1</sup> Nikołaj Gumilow (1886–1921), poeta, współzałożyciel grupy akmeistów, mąż Anny Achmatowej. zgłosił się do wojska ochotniczo, jednak z powodów

zdrowotnych został odrzucony. Mimo to jakoś dostał się do kawalerii, a nawet został dwukrotnie odznaczony Krzyżem św. Jerzego. Zamordowany w 1921 roku przez bolszewików na rozkaz Lenina po sfingowanym procesie kilkudziesięciu intelektualistów.

## Karpaty

W marcu poczta polowa przyniosła dwa pisma z Armeeoberkommando. Jedno było odmowną odpowiedzią na prośbę o przeniesienie do Legionów, a drugie rozkazem przeniesienia do II Brygady Legionów z poleceniem zgłoszenia się do jej dowódcy pułkownika Ferdynanda Küttnera! To drugie miało datę o kilka dni późniejszą, więc było obowiązujące. Gdzie w tej chwili dokładnie znajduje się dowództwo II Brygady – Jan musiał ustalić sam. Kilka dni później, gdy już miał wyjeżdżać, przyszedł list z Borowic, który wszystko wyjaśniał.

Władysław spotkał na ulicy w Krakowie swojego dowódcę z czasów, kiedy odbywał obowiązkową służbę wojskową, pułkownika Küttnera. Byli wtedy w przyjacielskich stosunkach, chociaż Władek był rekrutem, a obecny pułkownik majorem, ponieważ dowódca był zapalonym brydżystą, a Władek też kochał brydża i grał bardzo dobrze. Więc większość służby obaj spędzali przy kartach, często grając nawet sportowo w czteroosobowych drużynach.

Z okazji tego spotkania poszli na wódkę do kasyna oficerskiego. Pułkownik opowiadał, że przenoszą go do Legionów, gdzie odbywa się reorganizacja, powstaną trzy brygady, a on ma zostać dowódcą drugiej. Kiedy Władek powiedział mu, że jego brat marzy o służbie w Legionach, pułkownik spytał tylko, czy gra w brydża.

*Sklamalem – pisał Władek – że grasz nawet lepiej ode mnie. Na to on, że załatwione, wyreklamuje cię z c.k. armii i weźmie do siebie do sztabu. Więc tylko postaraj się przy kartach! Nie zrób mi wstydu.*

Komenda Legionów stacjonowała w Piotrkowie Trybunalskim. Stamtąd pokierowano Jana do Kołomyi na Ukrainie u podnóża Karpat Wschodnich. Kiedy tam przybył, okazało się, że pułkownika Küttnera jeszcze nie ma i na razie nie wiadomo, co zrobić z rotmistrzem Szawernowskim. Tymczasem przydzielono go do sztabu jako oficera ordynansowego.

Przez ostatnie pół roku, całą zimę, legioniści II Brygady walczyli w Karpatach, w bardzo trudnym terenie, przy ciężkich mrozach i nieustannych brakach w zaopatrzeniu. Był już marzec, lecz na polach wciąż leżało śniegu na pół metra. Zaraz pierwszego dnia oficer dyżurny, porucznik August Krasicki, pokazał Janowi dane o stanie wojska. Był to raport poranny z 19 marca 1915 roku:

**Pułk 2. piechoty, ogółem żołnierzy 1948, w tym chorych 1248. Pułk 3. piechoty, ogółem żołnierzy 1778, w tym chorych 845. Ułani 2 szwadrony, ogółem żołnierzy bez oficerów 306, chorych 201.**



– Dlaczego tylu chorych? – zdziwił się Jan. – Nie rannych?

– Rannych jest niewielu. Są za to odmrożenia, zapalenia płuc i wszelkie po nich powikłania. Opowiem panu, co sam przeżyłem. Na przełęczu Przysłópu noc pod gołym niebem... tysiąc czterysta metrów nad poziomem morza, śniegu dwa metry, mróz tęgi i ostry wiatr. Wozy taborowe grzęzną co chwila, konie muszą odpoczywać co kilometr. Ogniska gasną od zawiei. A jak nie gasną, to ściągają ostrzał artylerii. Ale to dopiero początek. Piechota i artyleria szły na Kirlibabę, silnie bronioną, a kawaleria jak zwykle w odwodzie. Granaty biją dookoła, a ty, bracie, stój przy osiodłanym koniu, bo w każdej chwili może trzeba będzie ruszać. Chodziło o utrzymanie przejścia. Moskale nie ustępują, my także, kto wytrzyma, ten wygra. Tak staliśmy pięć dni i pięć nocy. Z początku było nas trzystu, dwa szwadrony. Przetrwało trochę ponad stu. Ludzie dostają wypieków, oczy błyszczą gorączką. Jeden z drugim udaje, że nic mu nie jest, ale lekarz go bada, a tu oba płuca zajęte. Na sanie i jazda siedemdziesiąt kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. Jak po drodze nie zamrznie, to dalej, do szpitala w Munkaczu. Konie nawet się pochorowały! Na trzecią noc poszliśmy do okopów złuzować piechotę. Szablami narąbaliśmy chojaków, zbudowaliśmy szałasy. Tej samej nocy pod Pappfalwą zamarzło na śmierć siedemnastu ludzi, cała placówka, co do jednego... No, piątego dnia, nareszcie! Ruszamy, Kirlibaba już zdobyta. Oglądaliśmy pobojowisko. Kilkuset naszych i Rosjan leżało, wielu Węgrów. Pobieleni cienką warstwą świeżo spadłego śniegu, wyglądali jak duchy. Jeszcze trzymają karabiny z bagnetami, jakby zastygli w walce... Nie zapomnę tego pobojowiska, nie zapomnę...

– Kto dowodził?

– Rotmistrz Dunin-Wąsowicz kawalerią, nazywają go Wołodyjowski, a całą brygadą pułkownik Zieliński. Sześćdziesiąt lat, leżał trzy dni w szałasie ciężko chory i jeszcze dowodził. Wreszcie go podwładni gwałtem wywieźli do szpitala, objął dowództwo Januszajtis. Jest nas teraz razem cztery tysiące trzydziestu dwóch ludzi. A do października zeszłego roku wyszło z Krakowa siedem tysięcy. Jesteśmy tu niby na odpoczynku i nie pełnimy służby frontowej. Ale sytuacja niepewna. Wokół miasta budujemy rowy strzeleckie i umocnienia. Komenda Legionów ma nas podobno przenieść w jakieś spokojniejsze miejsce. A czy w Galicji jest jeszcze takie miejsce?

\* \* \*

Następnego dnia Jan zgłosił się do lekarza weterynarii Mendlewskiego, który kierował szpitalem dla koni w koszarach kawaleryjskich. Miał tam dostać służbowego wierzchowca spośród już wyleczonych. W stajniach szpitalnych stało siedemset koni armii niemieckiej i legionowych. Zakwaterowano tam także obok siebie szwadron ułanów pruskich i jeden legionowych. Legioniści byli w dobrej

komitowie z Niemcami. Z Austriakami stosunki napięte. Obejrzał kilka koni, które doktor Mendlewski dał mu do wyboru. Wiele miało blizny po postrzałach. Wybrał złotokasztanową klacz, angloarabkę z wielkimi, ciemnymi oczami, łabędzią szyją i głęboką szramą po kuli karabinowej na boku.

– Ta rana bardzo ropiała i długo nie mogliśmy sobie z nią poradzić – opowiadał lekarz. – Ale jest już lepiej, od dwóch tygodni chodzi na spacerach z kłusem, będzie dobrze.

– Jak się nazywa?

– Tosca. Ma sześć lat.

Jana uderzyło wspomnienie Katii śpiewającej *Toszę* w pałacu Jusupowa w Petersburgu.

– Co się stało z jej jeźdźcem? – spytał.

– Zginął oczywiście, jak większość tych, których konie tutaj leczymy. Nie wiem, jak się nazywał, to był bardzo młody chłopiec, siedemnastoletni. Przyszedł do Legionów z własną klaczą, sam ją wyhodował.

Następnego dnia, w niedzielę, 21 marca był ostatni dzień astronomicznej zimy. Wiosna. Przed szóstą rano Jan osiodłał Toszę i pojechał na spacer. Słońce dopiero się pokazało, dzień zapowiadał się piękny, słoneczny i bezwietrzny. Klacz szła wesoło, energia ją rozpierała, rzucała głową, chciało jej się brykać. Niewątpliwie była już zdrowa. Jan dołączył do ułanów, którzy także ruszali konie, żeby się nie zastały. Jechali łagodnym stokiem w stronę lasu. Dwa szwadrony, ponad setka koni, dwójkami. Kolumna rozciągnęła się na kilkaset metrów. Konie brnęły w zaspach miejscami sięgających im do brzuchów. Słońce wychodziło zza wierzchołków gór. Obok nich, na śniegu różowo i niebiesko zabarwionym od słońca i nieba, przesuwały się wydłużone cienie, sylwetki koni i jeźdźców.

Jan myślał o Katii. Tęsknił. Dopóki był na froncie, na służbie, często w niebezpieczeństwie – zapominał o wszystkim. Dopiero kiedy kładł się spać... Ale najczęściej był tak zmęczony, że natychmiast zasypiał. Od kiedy odkomenderowano go do Legionów, kiedy jechał do Piotrkowa i potem do Kołomyi, wciąż myślał o żonie. Teraz było wokół tak pięknie i cicho, jakby nie było wojny. Jak cudownie by było, gdyby mógł jej pokazać ośnieżone góry o świcie. A ich dziecko? Całymi tygodniami liczył przebieg ciąży. Potem przez kilka dni nie wiedział, czy to już, czy Katia już urodziła. Teraz maleństwo musi już mieć ponad dwa miesiące. Jak Katia zniosła poród? Chłopiec czy dziewczynka? Kiedy ich zobaczy?

Wyjechali na połąć pola z wywianym śniegiem, płytszym. Konie szły już po zamrożonej grudzie bez wysiłku, wesoło parszcząc. Ułani mieli dwurzędowe kurtki z futrzanymi kołnierzami, podszyte futrem i czarna z dużymi białymi orłami, trochę tylko niższe niż te z okresu Księstwa Warszawskiego. Powietrze było mroźnie i rześkie. Jan oddychał pełną piersią i czuł się jak po wygranej na

konkursach. Prowadził któryś z wachmistrzów; rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz jechał na końcu kolumny. Jan nie dostał jeszcze munduru legionowego, Wąsowicz popatrzył na niego niechętnie, sądził, że ma do czynienia z Austriakiem.

– *Guten Tag, Herr Rittmeister* – powiedział.

Jan się przedstawił.

– Jak pan się do nas dostał?

– Dzięki protekcji pułkownika Küttnera.

Wąsowicz znowu spochmurniał.

– Ciągłe przysyłają nam tutaj Austriaków na stanowiska dowódcze. Ten Küttner jest podobno w Galicji od trzydziestu lat i ani słowa po polsku. Austriacy chcą zniszczyć Legiony. Jeśli nie uda się Rosjanom, to im może się udać. Rozdzielają nas, część w Królestwie, część tutaj. Rozdrabniają na jeszcze mniejsze części, jeden batalion tu, jeden gdzie indziej, w składzie różnych dywizji. Wiadomo, o co chodzi! Małe oddziały, małe zwycięstwa, mniej ważne, mniej głośnie.

Przez chwilę jechali obok siebie w milczeniu. Konie znów szły głębokim śniegiem, ciężko pracowały. Pociły się, oddychały szybko, niemal jak w galopie. Od czoła kolumny odezwało się kilka głosów. Śpiewali: „Nasz Wąsowicz chłop morowy”. Dołączyły się kolejne. „Nasz Wąsowicz chłop morowy”. Ułani śpiewali, aż odezwało się echo. „Nasz Wąsowicz chłop morowy, zbił Moskali w Cucyłowej, Wyróżnił się szwadron drugi, wrażej krwi on przelał strugi...”

Wąsowicz się uśmiechnął i powiedział:

– W Cucyłowej było nas czterdziestu, a kozaków sotnia. No i pogoniliśmy ich... Musimy przetrwać. Musimy ich bić, a nie ginąć za ojczyznę. Za wszelką cenę.

Na niebie pojawiły się bociany, kilka ptaków nadciągało z południa. Wiosna. Kiedy podnieśli głowy, zobaczyli coś jeszcze. Wysoko, tak że nie było słychać silnika, krążył aeroplan. Wąsowicz patrzył długo.

– Rosyjski – powiedział. – Zwiadowczy. Latają tu od kilku dni, nie wróżą niczego dobrego.

Po powrocie z przejażdżki Jan poszedł na mszę do kościoła Ojców Jezuitów. Wojsko nie mieściło się w środku, wielu stało na zewnątrz. Ukląkł na śniegu i modlił się. Błagał Boga, żeby wojna skończyła się jak najszybciej, żeby nic złego nie stało się Katii i dziecku, żeby spotkali się wkrótce i już nigdy więcej nie musieli się rozstać.

\* \* \*

Na początku kwietnia w Talaborfalva polscy ułani minęli się ze szwadronem węgierskich huzarów, których wycofano, ponieważ według dowództwa armii

„teren nie nadawał się do jakiegokolwiek działalności kawalerii”.

– Dla polskiej jazdy przeszkody nie istnieją – skwitował tę informację rotmistrz Dunin-Wąsowicz.

Jan często bywał wśród ułanów. Było to wesołe towarzystwo. Młodzi ludzie, ogromna większość po studiach. Malarze, pisarze, artyści, inteligencja, urzędnicy, rzemieślnicy, niewielu potomków chłopów i robotników. Zresztą tak było nie tylko w kawalerii, lecz w całych Legionach. Towarzystwo było mało zdyscyplinowane, niezbyt dobrze wyszkolone, lecz patriotyczne i bojowe. Mieli się o co bić i chcieli się bić. To im dawało przewagę nad regularnym wojskiem. Wieczorami Jan zachodził do ich kwater na herbatę. Przyjmowali go chętnie. Prosili, żeby opowiadał im o swoich zwycięstwach sportowych. Cieszyli się i byli dumni z jego osiągnięć.

Jan słuchał opowieści o ich bojach w Karpatach. II Brygadę nazywano Karpacką albo Żelazną. Sławna była droga przez przełęcz Pantyr, którą budowali legionieści. Sześć kilometrów drogi z okrągłaków, żeby mogły przejść tabory i artyleria, położyli w ciągu pięciu dni pionierzy<sup>1</sup> z pomocą tysiąca żołnierzy i robotników leśnych. Postawili też kilka mostów nad przepaściami. Drogę pomiędzy Königsfeldem a Rafajłową nazwano później Droga Legionów. Otwierała przejście z Węgier do Galicji Wschodniej.

Na koniec postawili siedmiometrowy krzyż na przełęczy, na pamiątkę tego wyczynu inżynierii wojskowej i niezłomnej woli Polaków.

<sup>1</sup> Pionierami nazywano wtedy oddziały saperów.

## Rozdorożnyj

W połowie kwietnia front w Karpatach Wschodnich zastygł na linii Osmołoda, Sołotwino, Śniatyń, Sadogóra, Rarańcza, Bojany, aż do granicy z Rumunią. II Brygada w składzie XI Korpusu generała Ignaza von Kordy stała na odcinku Rozdorożnyj–Rżawinskij.

Żołnierz okopał się solidnie. Widać już było doświadczenie kilku miesięcy na froncie. Okopy zadaszzone, częściami zamienione w ziemianki, z pryzami drewnianymi nad ziemią wymoszczonymi mchem, stoły i zydle, tu i ówdzie piecyki, gdzieniegdzie nawet okienka oszklone. Nareszcie odpoczynek. Do końca kwietnia dni mijały spokojnie. Tylko kawaleria wciąż na patrolach. Teren pełen lasków, chaszczy, krzewów, wąwozów, jarów i rzeczek ułatwiał niepostrzeżenie podejście pod same pozycje wroga. Ułani czasem przywozili „języka”. Polskie wedety gęsto rozmieszczone na przedpolu dzień i noc pilnowały, żeby nie dać się zaskoczyć.

15 kwietnia dowództwo II Brygady objął wreszcie pułkownik Ferdynand Küttner. Szczupły, zupełnie siwy, po pięćdziesiątce, z suchą, ogorzałą twarzą, pięknie siedział na koniu i był w każdym calu dżentelmenem. Nawet na froncie zawsze opanowany, nigdy nie podnosił głosu i nawet wobec prostego szeregowca nigdy nie użył dosadniejszego słowa. Różnie o nim mówiono. Jedni, że potrafi przyjąć rzeczowe argumenty i nie upiera się, gdy nie ma racji; inni, że jest chwiejny i niezdecydowany, co na wojnie jest ogromną wadą. Niektórzy twierdzili nawet, że to sklerotyk. Był życzliwie nastawiony do Polaków, co nieczęsto się zdarzało wśród dowódców c.k. armii. Większość traktowała legionistów z pogardliwą wrogością lub lekceważąco protekcyjnie.

W brydża grał namiętnie i świetnie. Już drugiego dnia po jego przybyciu Jan siedział wieczorem przy kartach. Ziemianka pułkownika mieściła się dwieście metrów od linii okopów. Dobiegały stamtąd wesołe głosy i śpiew żołnierzy. W piecyku napalone, ciepło, na stole chleb, butelka tokaju i pieczony kurczak na zimno. Stół zrobiony z przeciętych na pół drzwi, umocowanych na solidnym pieńku, nakryty kocem. Jan grał z pułkownikiem przeciw księdzu kapelanowi Panasiowi i porucznikowi Romanowi Prawdzicowi-Włodkowi, kawalerzyście z dywizjonu Dunina-Wąsowicza. Porucznik pochodził ze starego szlacheckiego rodu i był w brygadzie uważany za wyrocznie elegancji. Jego ordynans musiał się napracować, żeby porucznik zawsze miał świeżą koszulę, wyprasowane bryczesy i dokładnie wypucowane buty. Koń musiał lśnić, mieć zaczesaną grzywę, wypielęgowany ogon, a kopyta umyte i natłuszczone niezależnie od tego, co się działo dookoła. Kulbaka i ogłowie w idealnym stanie, także wyczyszczone i błyszczące. Zawsze skórkowe rękawiczki i kwiat albo biała chusteczka

w kieszonce kurtki.

– Jeśli dziś zginę, chcę wyglądać jak człowiek – mawiał.

Rozmawiali po niemiecku, bo Küttner znał tylko kilkanaście polskich słów. Jan i pułkownik wylicytowali szlemika w piki. Jan rozgrywał i miał dużo szczęścia. Dowódca stał za jego plecami i patrzył, nie komentując. Szlemik był nie do zrobienia i tylko błąd księdza kapelana spowodował, że się udało.

– Ma pan szczęście, rotmistrzu – powiedział pułkownik. – To na wojnie najważniejsze. Jednak trzeba było nie szarżować, tylko spokojnie grać pięć pików.

Prawdzie-Włodek tasował karty.

– Panie pułkowniku – spytał – słyszałem, że teraz pójdziemy na Chocim, to prawda?

– Owszem, to ogólny kierunek natarcia grupy generała Pflanzera-Baltina.

– Pan być może nie wie, co dla nas, Polaków, znaczy słowo Chocim – mówił ksiądz kapelan. – Zwycięstwo Chodkiewicza nad Turkami, pół wieku później wiktoria Sobieskiego. To tylko trochę ponad sto kilometrów stąd. Husaria! Tuż obok Kamieniec Podolski. Obrona twierdzy, Wołodyjowski. My to mamy we krwi, każdy, kto wychował się na *Trylogii* Sienkiewicza. Tutaj były Kresy Rzeczypospolitej. Pan, panie pułkowniku, zna coś Sienkiewicza?

– Owszem, *Quo vadis*, kiedy Sienkiewicz dostał Nagrodę Nobla, było o nim głośno. No, to jakieś dziesięć lat temu. Służyłem już wtedy w Galicji. Nieraz słyszałem o *Trylogii* od Polaków, lecz jakoś się nie złożyło, jest tłumaczenie niemieckie, ale nie przeczytałem dotąd.

– Opowiadał mi Kmicic-Skrzyński – ciągnął ksiądz Panaś – jak niedługo po wyjściu Pierwszej Kadrowej z Krakowa odwiedzili Sienkiewicza w Oblęgorku. Rozczaruję was. Przyjął ich niechętnie. Kiedy go wprost spytali o powód, powiedział tylko: „Bo idziecie z Niemcami”. Na to Wieniawa, jak to on, wypalił natychmiast: „Nawet z samym diabłem, byle do wolnej Polski!”<sup>1</sup>.

– To tylko dowodzi, że nawet największy pisarz niekoniecznie musi być wielkim politykiem – rzekł Jan.

– Nie inaczej, niestety, odnosi się do Legionów hierarchia kościelna – ciągnął kapelan. – W Kielcach Piłsudski postanowił złożyć wizytę księdzu biskupowi Augustynowi Łosińskiemu. Biskup tytułuje go generałem, lecz rozmowa się nie klei. Pokazuje Piłsudskiemu kwiaty. „Niech pan popatrzy, jakie piękne mam róże”, mówi. „No tak, rzeczywiście piękne”. „A i pogoda dzisiaj bardzo ładna...” Na tym rozmowa się skończyła. Piłsudski pożegnał się i wyszedł. Tyle mieli sobie do powiedzenia.

– Ale mnie się zdaje, że powodem nie musiała być nasza orientacja na państwa centralne – rzekł porucznik Włodek – lecz socjalistyczne przekonania Komendanta.

– Możliwe. Potem był jeszcze problem z uzgodnieniem miejsca na mszę.

Przyszedł do biskupa Łosińskiego kapelan, ojciec Kosma. Proponuje plac przed wieżą katedralną. „Nie, niemożliwe, nie mogę pozwolić”. Zdenerwował się ksiądz Kosma i powiada: „Księżę biskupie, my tu jesteśmy władzą w imieniu rządu polskiego i miasta. Ta władza nie prosi, lecz jako gospodarz wyznacza czas i miejsce. Ja tylko z czystej kurtuazji przyszedłem prosić o zgodę. Nawet sam jako kapelan jestem pod tym względem niezależny zupełnie i odprawiać mogę mszę, gdzie zechcę”. Biskup poczerwieniał jak burak i nic nie powiedział.

<sup>1</sup> Istnieje opis tej wizyty u Henryka Sienkiewicza, który przedstawia ją zupełnie inaczej. Wieniawa pisze, że zostali przyjęci ciepło, a córka pisarza nawet chciała im podarować swoją klacz. Jest faktem, że pod koniec życia pisarz przyjął od Sikorskiego i Morstina w Wevey odznakę honorową Legionów Polskich. Natomiast odmówił podpisania podsuwanego mu przez narodowców memoriału potępiającego Akt 5 listopada.

## Rokitna

3 czerwca Austriacy odbili twierdzę Przemysł, która wcześniej poddała się Rosjanom wzięta głodem po długim oblężeniu. Rosjanie cofali się wszędzie. 11 czerwca II Brygada zaatakowała Zadorówkę koło Czerniowiec, przez którą Rosjanie cofali się do Besarabii, na własne terytorium. Pułkownik Zieliński otoczył ich, uniemożliwiając odwrót. Wziął ponad pięciuset jeńców, w tym czterech oficerów, czterysta karabinów, karabin maszynowy i milion naboji.

Ten dzień Austriacy ogłosili „Dniem Polskim”.

Zdarzały się wtedy rzeczy niezwykle. Po zaciętej bitwie koło Zadorówki na okolicznych wzgórzach były jeszcze duże grupy Rosjan z rozbitych oddziałów. Byli przerażeni i zdemoralizowani klęską. Ułan Garbaczewski z 2. szwadronu ukrył w lesie kilkunastu chłopów i sam jeden poszedł do Moskali. Zażądał, żeby się poddali. Chłopi tymczasem robili zgiełk w zaroślach. Wrzeszczeli i wiwatowali. Rosjanie rzucali broń, więc chłopci wyszli, żeby ją zabrać. Wtedy oficer Rosjanin zreflektował się i wyciągnął rewolwer. Garbaczewski ciał go przez łeb szablą, a żołnierze skapitulowali. Poprowadził do niewoli stu trzydziestu jeden Rosjan.

Piętnastoletni sanitariusz Tadeusz Kurpiel opatrzył rannego w pobliżu okopu rosyjskiego, a potem wrócił do oddziału, prowadząc stu dwudziestu dwóch jeńców! Może były to tylko legendy?

Chorąży Bronisław Romaniszyn, mimo że ranny, zrobił spustoszenie w okopie rosyjskim i zaprowadził do niewoli sześćdziesięciu pięciu Moskali. Jan się dowiedział, że Romaniszyn jest śpiewakiem operowym i zaraz odwiedził go w punkcie opatrunkowym. Przedstawił się i gratulował pięknego zwycięstwa.

– Szawernowski? Szawernowski? – Romaniszyn szukał w pamięci. – Słyszałem, że pewna śpiewaczka rosyjska wyszła za Polaka, Szawernowskiego. Jekatierina Niesłuchowa. Może pan krewny?

– To właśnie ja, Katia jest moją żoną! Pan coś może wie o niej, została w Piotrogradzie. Wojna nas rozdzieliła.

– No, słyszałem ją raz tylko w Wiedniu, w zeszłym roku. Cudowny głos, przepiękny. Ale nic więcej nie wiem. Ja jeszcze w marcu śpiewałem w Warszawie w *Lohengrinie*, w kwietniu Zygmunta w *Walkirii*, a teraz, skoro mnie odsyłają do szpitala, może zdążę jeszcze coś zaśpiewać, zanim wrócę do brygady. Jesienią Teatr Wielki ma wystawiać *Lohengrina*<sup>1</sup>.

Romaniszyna wyniesiono na noszach do sanitarki, więc musieli kończyć.

– Powodzenia, panie rotmistrzu!

– Powodzenia i szybkiego powrotu do zdrowia.

Uścisnęli sobie dłonie. Dla Jana było to jak nieuchwytny dotyk Katii, jak jej cień.



\* \* \*

Następnego dnia poczta polowa przyniosła list od Władka z Borowic, a w środku list od niej! Jan ma syna, Janka! Oboje żyją, są zdrowi i cali. Czytał kilka razy, śmiał się, płakał i oczom nie wierzył. Niesłychane, jaką drogą Katii udało się go przysłać. Dzielna dziewczyna! Czy możliwe byłoby tą samą drogą wysłać list do niej? Musiałby pojechać do Hamburga, lecz jak to zrobić? Na urlop się nie zanosilo, obarczać takim zadaniem brata nie mógł i nie chciał. Urlop! Tylko urlop mógłby dać jakąś szansę. Lecz przecież dopiero co zaczął służbę w Legionach. A może popłynąć do Szwecji, stamtąd do Finlandii i Rosji, przywieźć ich oboje?! Ale, jak pisała Katia, pierwszy list poszedł na dno w zatopionym rudowęgłowcu. Mogliby wszyscy zginąć.

Nie spał pół nocy, wciąż o nich myślał.

Rano napisał długi list do Katii. Potem pisał do niej co kilka dni, opowiadając wszystko, czego doświadczał na froncie. Kiedyś je wyśle, nie wiedział jeszcze jak i kiedy. Z upływem czasu listów było coraz więcej i stały się kroniką, bieżącymi zapiskami, wspomnieniami Jana z wojny.

\* \* \*

O świcie 13 czerwca przyjechał do sztabu brygady na wzgórzu niedaleko folwarku Bucz. Kilka stołów z nogami wkopanymi w ziemię, żeby na stoku tuż pod szczytem wzniesienia stały prosto, i jakieś stare krzesła. Nad stołami żołnierze mocowali do rosnących obok drzew zielony daszek z płacht namiotowych. Był już na miejscu szef sztabu kapitan Vagas, Węgier, którego Küttner sprowadził z 42. Dywizji austriackiej. Niedaleko, o czterysta metrów na lewo, w zaroślach, stały baterie artylerii legionowej.

Jan oglądał mapy przypięte do stołów i porównywał z tym, co było widać w terenie. Mapy austriackie w skali 1:200 000 były niezbyt dokładne i pokazywały stan sprzed dwudziestu albo trzydziestu lat. Poprzedniego dnia ręcznie naniesiono na nie zmiany widoczne w okolicy i to, czego dowiedziały się patrole.

Stali naprzeciw wsi Rokitna, cztery kilometry na wschód od sztabu. Zabudowania rozciągały się na dwa kilometry ukosem z północnego zachodu na południowy wschód i półtora kilometra w głąb. Przed wsią wzdłuż jej zabudowań płynęła płytka rzeka Rokitnianka ze stromymi, błotnistymi brzegami. Za nią było już terytorium państwa rosyjskiego. Wczorajszego dnia brygada wymęczona kilkoma dniami bojów nie zdołała już jej sforsować i przedostać się na drugi brzeg do wsi. 3. Pułk dowodzony przez pułkownika Zielińskiego i oddział Norwida-Neugebauera musiały się cofnąć i nocowały o dwa kilometry od rzeki.

Za Rokitną teren się wznosił. Rozległe błonie ciągnęło się kilometrami na wschód, północ i południe. Trzy wiatraki stały na horyzoncie w prawie równych

odległościach. Przy bezwietrznej pogodzie trwały nieruchomo. Niżej widać było cztery linie rosyjskich okopów częściowo zasłonięte przez zabudowania, prostopadłe do drogi idącej przez wieś. Ostatnia, na wyższym nieco wzgórzu 255, wypadła naprzeciw południowego końca zabudowań.

Na północnej flance II Brygady, na wprost Sankowców, niewidocznych już, bo odległych o osiem kilometrów, stała austro-węgierska 42. Dywizja Piechoty. Na południowym skrzydle legioniści mieli grupę operacyjną podpułkownika Pappa, przeciwko okopom rosyjskim w Mohile, ciągnącym się z przerwami aż do wzgórza 255 i Rokitny. Oddziałów Pappa także nie było ze sztabu widać, nawet przez lornetki.

Po chwili pojawił się pułkownik Küttner. Przywitał się ze wszystkimi i oświadczył, że dziś nie będzie dowodził, bo nie lubi trzynastego. Dowództwo przejął szef sztabu. Przychodziły meldunki. Adiutanci notowali, najważniejsze informacje zapisywali w dzienniku bojowym brygady. Oficerowie sztabowi popijali herbatę, kawę, rozmawiali; na razie nie działo się nic ważnego.

Okolo dziesiątej odezwały się z północy artyleria i karabiny maszynowe. 42. Dywizja została zaatakowana z Sankowców, cofała się. Konny goniec z dowództwa korpusu przywiózł rozkaz uderzenia na wieś w celu odciążenia 42. Dywizji. Vagas wysłał patrole na północ i nie czekając na wyniki rozpoznania, nakazał atak. Bez przygotowania artyleryjskiego.

Czyżby aż tak brakowało amunicji? Jan tego nie wiedział, lecz amunicji było dosyć.

– Są przemęczeni – wtrącił Küttner. – Nic z tego nie będzie.

– Nie szkodzi – odpowiedział Vagas. – Odwróć uwagę i postraszą Rosjan.

Pułkownik milczał. Palił małą fajkę na cienkim cybuchu i obserwował przedpole.

Po chwili piechota ruszyła. Widzieli, jak przeszła Rokitniankę i utknęła, przygnieciona do ziemi ogniem karabinów maszynowych. Wielu padło i już nie wstało. Z południa słychać było także intensywną strzelaninę. Musiał to być atak Moskali na grupę Pappa. Nie przychodził stamtąd żaden meldunek i Jan się dziwił, że kapitan Vagas nie wysłał patrolu i nie próbuje się dowiedzieć, jak tam przedstawia się sytuacja. Za to wezwał rotmistrza Dunina-Wąsowicza, który jeszcze poprzedniego dnia mocno chorował, dowódcę dywizjonu złożonego z dwóch szwadronów kawalerii.

Rozkazał mu obejść wieś od północy i zaatakować z flanki okopy na błoniu za Rokitną:

– Wąwozem dojdzie pan niepostrzeżenie prawie aż na wprost pierwszej linii Rosjan. Ta linia jest przez wroga nieobsadzona, dopiero następne...

Wąsowicz pobladł. Atak jazdy na cztery linie okopów do tego umocnionych i odrutowanych był akcją straceńczą.

– Wyślę patrol rozpoznania w stronę Sankowców – powiedział. – I zaatakuję, lecz ten wąwóz jest zbyt płytki, żeby podejść niepostrzeżenie, a droga tamtędy dłuższa, więc uderzę od czoła.

Vagas nic na to nie odrzekł.

– Piechota jest gotowa, ruszy przez wieś zaraz za panem – powiedział po chwili. – Dam znać, kiedy ma pan zacząć.

Wąsowicz zasalutował, wsiadł na konia i bez słowa odjechał do swoich.

\* \* \*

Było chwilę po południu, kiedy kapitan Vagas wezwał Jana, drzemiącego w cieniu pod drzewem:

– Pojedzie pan do Wąsowicza. Ma atakować natychmiast.

– Bez przygotowania artyleryjskiego? – zdziwił się Jan.

– Natychmiast – powtórzył szef sztabu.

– Więc proszę o rozkaz na piśmie.

Vagas zachnął się zdenerwowany, jednak nakreślił kilka słów na kartce, Jan wsiadł na konia i pojechał od razu galopem. Kawaleria Wąsowicza stała półtora kilometra na zachód w folwarku Bucz. W trzy minuty był na miejscu.

Wąsowicz przeczytał rozkaz i aż poczerwieniał.

– Co? Co?! – wykrztusił. – Bez przygotowania artyleryjskiego, na druty?! Co za sztabowe... gównu pan mi tu przywiózł! Mój patrol od strony Sankowców jeszcze nie wrócił. Nie wiem nawet, co mogę spotkać z tamtej strony!

Jan milczał. Dlatego właśnie zażądał rozkazu na piśmie.

– Kto to wymyślił? – Wąsowicz był wściekły. – Przyjemnie jest przywozić taki rozkaz, rotmistrzu? I potem wrócić w bezpieczne miejsce? Gryzipiórek sztabowy! – dodał jeszcze, nie wiadomo czy o Vagasie, czy do Jana.

Janowi krew uderzyła do głowy.

– Pan mnie obraża – wycedził przez zęby.

– Na koń – zakomenderował Wąsowicz i zaśmiał się.

– Gdyby nie okoliczności, zażądałbym satysfakcji... – ciągnął Jan.

– A w tych okolicznościach? – Wąsowicz trzęsąc się z wściekłości, podciągnął popręg i wsiadł na konia.

– A w tych okolicznościach, pozwoli pan, że na tę przejażdżkę pojedę z panem!

– O! To miło. Mamy ładną pogodę!

Rzeczywiście, słońce właśnie wyszło zza chmur. Ciepły wiatr owiewał twarze, kiedy ruszyli. Przez kilkanaście minut byli jeszcze niewidoczni z okopów rosyjskich. Dwa szwadrony szły kłusem za osłoną wzgórz przez pola, przez zboże sięgające koniom do boków. Najpierw na północny wschód, potem na wschód i znów nieco w prawo, w stronę północnego krańca wsi. Janowi serce zabiło

mocniej, wciąż miał nadzieję, że za chwilę odezwie się artyleria. Co ja wyrabiam? Przecież to samobójstwo! Boże ocal mnie, niech Katia nie zostanie wdową, a Janek sierotą!

Dotarli do brzegu Rokitnianki. Przed stromym trzymetrowym uskokiem konie Wąsowicza i pierwszych ułanów zawahały się na moment. Jan podjechał Toscą, zsunęła się po zboczu na zadzie, przejechał wąską rzeczka i wspiał się na przeciwny brzeg. Reszta koni poszła za nim.

Dotarli do skraju Rokitny, Wąsowicz rozkazał 3. szwadronowi wjechać między zabudowania. Rozmawiał chwilę z jego dowódcą, podporucznikiem Stanisławem Rabińskim. Jan nie słyszał, co mówili, sądził, że 3. szwadron został w odwodzie, żeby po chwili ruszyć za nimi.

– Drugi szwadron za mną!

Przejechali pomiędzy domami a okopem 3. Pułku Legionów. Piechurzy patrzyli na nich zdumieni i żegnali się:

– W imię Ojca i Syna... Z Bogiem! Z Bogiem! – Zdejmowali czapki.

– Pluton drugi kierunkowy! – komenderował Wąsowicz. – Linia okopów Moskali, do ataku broń! Galop! Galop!

Błysnęły szable, cztery plutony 2. szwadronu, sześćdziesięciu dwóch jeźdźców, galopując w stronę Rosjan jednocześnie błyskawicznie rozwijało się w linię, po kilka metrów jeden koń od drugiego. Szli ławą szerokości czterystu metrów. Natychmiast odezwały się karabiny maszynowe i gęsty ogień karabinowy. Z tego okopu, który miał być nieobsadzony!<sup>2</sup>

– Marsz, marsz! – usłyszał Jan komendę do szarży.

W tumanie kurzu unoszącym się z ziemi wysuszonej po kilku dniach upałów konie szły cwałem. Pierwszy okop coraz bliżej.

– O, pan rotmistrz z nami! – wołał z prawej porucznik Fąfara, oficer prowiantowy dywizjonu. On też nie musiał brać udziału w szarży, pojechał na ochotnika.

Ktoś obok zsunął się z siodła, koń pędził bez jeźdźca. Tosca galopowała, strzygąc uszami, a Jan wpadł w trans, w którym wszystko widział niezwykle dokładnie i na sekundę wcześniej wiedział, co się stanie. Cwał i tętent sześćdziesięciu koni porywał, ogarniał ich szal i amok. Przerażone twarze Moskali w okopie. Ten celuje do niego! Wiedział, że chybi. A ten drugi trafi ułana galopującego obok. Tak! Wyprzedził go jego koń, uwolniony od jeźdźca. Okop rósł w oczach, a linia szwadronu łamała się, szybsze konie wychodziły do przodu, słabsze zostawały w tyle. Wąsowicz jadący przed Janem obejrzał się i zawołał:

– Panie rotmistrzu! Przepraszam!

Jan skinął mu głową. Pierwsze konie skakały przez zasieki z drutu kolczastego, Ponad metr wysokości i szerokie na dwa, trzy metry. Skoczyli, Jan za nimi. Kątem oka widział, jak dwa konie zaplątawszy się w druty, zwały się na

ziemię. Już skakał z Toscą przez okop. Znow kilka koni runęło na ziemię po drugiej stronie. Kilkudziesięciu Moskali wyskoczyło z okopu i uciekało w popłochu. Jeden obejrzał się, stanął, strzelił w jego stronę, chybił. Nastawił bagnet i usiłował pchnąć, kiedy Jan go mijał. W ostatnim ułamku sekundy odchylił się w siodle trochę w lewo i ciął przez łeb. Poczuł, jak szabla szarpnęła mu się w dłoni. Obejrzał się. Piechur leżał z rozłupaną czaszką.

Drugi okop strzelał z przodu, a pierwszy z tyłu. Jan rozejrzał się dookoła. Co najmniej połowy szwadronu już nie było. 3. szwadronu nadal nie było widać. Czemu nie ruszają za nimi? Przed drugim okopem karabin maszynowy skosił od razu kilku. Reszta przeskoczyła druty, przesadziła okop i tnąc szablami uciekających, gnała na trzeci. Konie koziółkowały, waliły się przez łeb, a jeźdźcy zostawali na polu. Jeden podniósł się i szedł, chwiejąc się, z szablą w ręce. Dostał kulkę w głowę i padł na wznak. Janowi czako przechyliło się na bok od wiatru. Do trzeciego okopu dojechało ich kilkunastu. Zwolnili.

– Poddajcie się! Poddajcie! – wołał Wąsowicz.

I oto Moskale zaczęli wychodzić z rowu z podniesionymi rękami. Jednak po chwili spostrzegli, jak niewielu jest kawalerzystów, i znow zaczęli strzelać. Wpadli między nich, roztrącali, cięli szablami. Znow galopem. Dalej! Naprzód, dalej!

Wąsowicza już nie widział. Nie zauważył, kiedy został. Zginął, ranny? Za trzecim okopem czwarty był na wzniesieniu i ogień poszedł stamtąd tak gęsty i celny, że już nie mieli szans. Odezwała się artyleria i Jan się zorientował, że to strzelają baterie austriackie. Chcieli ostrzelać Rosjan, lecz pociski szły na nich. Odezwały się karabiny z okopu oddziału Norwida-Neugebauera. Kula trafiła ułana jadącego kilka metrów obok Jana. Koń włókł go po ziemi za nogę, która uwięzła w strzemieniu. Wreszcie koń także został trafiony i zwałił się na ziemię.

Czwartego okopu już nie próbowali zdobywać.

Skręcili w prawo za budynki, do wsi. Tam byli już w miarę bezpieczni. Jechali kłusem. Jan zdjął czako i przetarł czoło. To nie wiatr je przechylił, było przestrzelone. Nie zsiadając, oglądał kobyłkę. Nie była ranna, lecz przerażona szybko oddychała, trzęsła się cała i dyszała. Wszyscy ocaleni przeszli do stępa. Zatrzymali się między budynkami, patrzyli po sobie zmęczeni, szarzy od pyłu i potu.

Zostało ich sześciu. I jeszcze kilka koni bez jeźdźców.

\* \* \*

Spośród czterech oficerów szwadronu poległo trzech. Ciężko ranny został podporucznik Fąfara, ten, który tak jak Jan, przyłączył się do szarzy na ochotnika. Padło szesnastu podoficerów i ułanów. Z pobojuwiska zniesiono dwudziestu sześciu rannych. Rosjanie do sanitariuszy nie strzelali. Szesnastu dostało się do niewoli. Większość z nich była ranna; jednemu później udało się uciec do swoich.

Pułkownik Küttner rwał włosy z głowy, a kapitan Vagas chodził półprzytomny i wychwalał waleczność Polaków:

– Cesarsko-królewska armia nie znała podobnej szarży! – powtarzał.

W chwili, kiedy ruszył atak, w sztabie brygady nie znano sytuacji grupy Pappa na południu. Vagas nie zadbał o uzyskanie informacji z tamtego kierunku. Papp, atakowany przez Rosjan, wycofał się w kierunku zachodnim, przez co odsłonił południową flankę brygady legionowej. Ponieważ wcześniej na północy cofała się również 42. Dywizja, legionistom groziło okrążenie. W tej sytuacji atak kawalerii niezależnie od wyniku mógł tylko pogorszyć sytuację.

Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego szarży nie poprzedzono przygotowaniem artyleryjskim. Piechota nie ruszyła za jazdą, bo rozkaz do niej nie dotarł. Żołnierz, który miał go dostarczyć, nie zdając sobie sprawy z pilności, poszedł pieszo, zamiast jechać konno. Po drodze usłyszał od kogoś błędną informację, że piechota już atakuje, więc uznał, że nie ma już po co iść, nie warto pchać się w miejsce, gdzie jest niebezpiecznie, i zawrócił.

Ktoś, nie było wiadomo, pułkownik Küttner czy szef sztabu kapitan Vagas, chwilę po odjeździe Jana posłał do Wąsowicza rozkaz odwołujący szarżę. Jednak kiedy goniec dotarł na miejsce, 2. szwadron już pojechał. Zatrzymał więc 3. szwadron, naprawiając jeden błąd drugim – jeszcze większym.

Wieść o tragicznej szarży Polaków rozeszła się szybko nie tylko w armiach austriackiej i niemieckiej, lecz obiegła całą Europę i stała się legendą. Jednak jej znaczenie militarne wobec milionów ginących na frontach na Wschodzie i Zachodzie było minimalne. Porównywano ją do słynnej Somosierry. Ale tam na stu dwudziestu pięciu szarżujących zginęło trzech oficerów i piętnastu szwoleżerów, więc, jak obliczano, czternaście procent. Pod Rokitną – procentowo kilkakrotnie więcej. Ponadto Bonaparte natychmiast posłał za Kozietulskim piechotę. Ofiara krwi Polaków została wykorzystana, wąż zdobyto i droga na Madryt została otwarta.

Wąsowicz wykonał rozkaz wzorowo. Ci, co widzieli szarżę, podziwiali niebywałą sprawność i szybkość rozwinięcia się szwadronu w linię. Mówiono, że inna kawaleria pewnie zostałaby wystrzelana, zanimby dojechała do pierwszych okopów. Żaden z ułanów Wąsowicza nie zawahał się, nie zawrócił. Bezprzykładne bohaterstwo ułanów i ich ofiara zostały zmarnowane.

Niemniej następnego dnia okazało się, że okopy za Rokitną są puste.

Ranny Rosjanin, którego koledzy zostawili, uznając za nieżywego, mówił, że pod koniec szarży brakowało im naboju do japońskich karabinów. Ale opowiadał też o powszechnym zdumieniu i przerażeniu w okopach.

Dwa dni później poległych pochowano na wiejskim cmentarzu w sąsiedniej Rarańczy. Pułkownik Zieliński, twardy żołnierz, surowy dla wojska i dla siebie, nigdy niepoddający się emocjom, nie był w stanie przemówić nad grobem. Płakał.

Obszedł pokryte kwiatami trumny, nad każdą zatrzymując się chwilę. Uścisnął bez słowa dłoń porucznika Łuszczewskiego, który stracił jednego z dwóch synów, z którymi zaciągnął się do Legionów. Przemawiali ksiądz Józef Panaś i wachmistrz Sokołowski, prawnuk szwoleżera poległego pod Somosierrą.

Jan żegnał kilku kolegów, z którymi zaprzyjaźnił się podczas wieczorów spędzonych w 2. szwadronie. Poległ Roman Prawdzic-Włodek, partner do brydża, zawsze wesoły kompan i elegant, przed wojną wielki wielbiciel kobiet. Opowiadano, jak niegdyś pod Nadworną zabito pod nim konia. Wydostał się spod niego, złapał innego, biegnącego bez jeźdźca, i walczył dalej. Zginął przed trzecim okopem trafiony kulą karabinową w usta. Miał wielką ranę wylotową z tyłu głowy. Jednak kiedy go położono w trumnie, nie było tego widać, więc – tak jak tego pragnął – w chwili śmierci wyglądał „jak człowiek”.

Jak to się stało, że Jan ocalał? Dlaczego właśnie on? Na pewno przyczyniły się do tego refleks i wykształcony przez lata treningu nawyk podejmowania decyzji w ułamku sekundy. Niezwykłe umiejętności jeździeckie. Skoki przez druty i rowy. Jan potrafił, jak nie umieli tego inni, naprowadzić konia na właściwe miejsce odbicia. Chociaż... gdyby kula, która przebiła czapkę, poszła pięć centymetrów niżej...

Zabił Moskala. Uświadomił sobie, że choć jest już na wojnie od dziesięciu miesięcy, dotychczas nigdy nawet nie strzelił w stronę nieprzyjaciela. Mógł i tego nie zabijać, bo uchylił się od bagnetu i nic by mu się nie stało. Zdziałał pewnie odruch wyuczony na ćwiczeniach, kiedy w pełnym galopie cięli łozy.

A może to źle, że zabił tylko jednego? W tak niewielkim stopniu przyczynił się do zwycięstwa! Inni nacięli wielu, a on tylko jednego. Gdyby przez te dziesięć miesięcy zabił więcej Rosjan, może mniej zginęłoby jego kolegów?

Wciąż pytano go, dlaczego przyłączył się do atakujących. Nie chciał mówić o starciu z Wąsowiczem, więc odpowiadał, że miał przyjaciół w 2. szwadronie i nie chciał ich zostawić w potrzebie. To także była prawda.

<sup>1</sup> Bronisław Romaniszyn, sławny baryton, w listopadzie i grudniu śpiewał w *Lohengrinie* w Teatrze Wielkim w Warszawie. Wiosną 1916 roku wrócił do Legionów.

<sup>2</sup> Według niektórych historyków pierwszy okop był nieobsadzony. Inni sądzą, że to przekonanie – po południu już nieaktualne – oparte jest na meldunku sprzed godziny dziesiątej rano, przed atakiem Rosjan na 42. Dywizję austriacką, kiedy to posunęli się mocno do przodu, po czym wzmocnili obronę na błoniach za Rokitną.

## Berno

Poranek był mokry i mglisty, lecz około dziewiątej słońce wyszło zza chmur i Lenin postanowił pójść na przechadzkę. Szybkim krokiem pokonał jak co dzień osiem kilometrów. Spacerował nad rzeką Aare. Jednym mostem przeszedł na stronę wschodnią, drugim wrócił; podziwiał widoki gór i cieszył oczy urokami brukowanych uliczek i wąskich kamienic Starego Miasta. Nawdychał się alpejskiego powietrza i o wpół do jedenastej, przyjemnie zmęczony, zasiadł do lektury gazet, które kupił po drodze.

Mieszkanie przy ulicy Distelweg było małe i ciasne: tylko sypialnia i salon służący jednocześnie za gabinet. Dawno minęły czasy, kiedy Lenin korzystając z funduszy partyjnych, mógł sobie pozwolić na odrobinę luksusu. Wojna utrudniła zbieranie składek partyjnych, które docierały nieregularnie i nie ze wszystkich organizacji. Wielu towarzyszy było na froncie. Bojówka Igora Niesłuchowa dostarczająca pieniędzy z ekspropriacji od roku już nie istniała. Kilku towarzyszy wyłapała Ochra, a resztę zgarnęła armia i posłała na wojnę. Sam Igor ocalał i w Bernie został jednym z najbliższych współpracowników wodza. Był kimś w rodzaju szefa wywiadu i kontrwywiadu partii bolszewickiej.

Lenin żył teraz za własne pieniądze i nie było tego mało, bo matka przysyłała mu całą rentę po mężu wypłacaną jej przez cara; dochód dawał też wydzierżawiony majątek ziemski Ałapajewka i artykuły prasowe. Był ponadto spadkiem po niedawno zmarłej teściowej. Lecz Lenin własne pieniądze oszczędzał. A przy okazji kreował swój wizerunek ascetycznego bojownika i wodza rewolucji.

Na małym stoliku pod oknem stały szachy z pionkami ustawionymi do rozpoczęcia partii. Włodzimierz Iljicz kochał szachy i grał świetnie. Jeszcze jako chłopiec grywał codziennie ze starszym bratem Saszą, który zginął na szubienicy po nieudanym zamachu na cara Aleksandra III. Sasza był dla niego wzorem i do pewnego czasu Wołodia we wszystkim starał się go naśladować. Potem, gdy zmarł ojciec, Ilja Uljanow, Włodzimierz dorósł, spoważniał, miał własne poglądy i zaczął z bratem rywalizować o pozycję głowy rodziny. Kiedy przyszły Lenin nie chciał robić czegoś, czego od niego żądał Sasza, ten groził, że nie zagra z nim w szachy. I to zwykle skutkowało.

Wśród rosyjskich emigrantów w Bernie jedynym przeciwnikiem godnym Włodzimierza Iljicza był Igor Niesłuchow. Miał przyjść koło południa, szachy były przygotowane.

Tymczasem Lenin czytał gazety.

Od kiedy na początku maja 1915 roku niemiecki okręt podwodny zatopił amerykański statek pasażerski *Lusitania*, każdego dnia z niepokojem oczekiwał informacji o przystąpieniu USA do wojny. To byłaby bardzo zła wiadomość, bo



Amerykanie na pewno przechyliliby szalę zwycięstwa na stronę ententy, a więc pomogliby Rosji. Lecz jak dotąd tylko Włochy, przedtem związane z państwami centralnymi, wystąpiły po stronie sprzymierzonych, atakując wojska austriackie w Dalmacji i Tyrolu. To też była zła wiadomość.

Na Zachodzie bez zmian. We Francji dziesiątkami tysięcy ludzie ginęli w okopach lub podczas prób ataku, a mimo to front od dawna trwał w bezruchu. Dziś gazety doniosły o wyparciu Niemców z Kamerunu. Niedobrze! A poza tym w Rosji, jak słyhać, car zamierza osobiście objąć dowództwo armii. To go zainteresowało...

Wszedł Igor Niesłuchow, a za nim Nadieżda Krupska z drugim śniadaniem na tacy.

– Popatrz, Nadiu, popatrzcie... Igorze Aleksandrowiczu! – Lenin uderzył wierzchem dłoni w gazetę. – To jest dobra wiadomość! Mikołajek przejmie dowodzenie. Skompromituje nie tylko siebie, lecz także rząd i ideę samodzierżawia. To pewne!

– Zjesz coś, Igorku? – spytała Krupska.

– Poproszę tylko o kawę.

Niesłuchow usiadł, Lenin zabrał się do rogalików, smarował masłem i dżemem, popijał kawą i spoglądał niecierpliwie na Igora:

– No, co tam? Co tam nasi estońscy przyjaciele? Widziałeś się z nimi? Czego się dowiedziałeś?

– Kesküla twierdzi, że Niemcy dostają plany każdej rosyjskiej ofensywy. A to są najtajniejsze dokumenty, do których dostęp ma tylko Stawka. A Siefeldt przyniósł wieści z Piotrogradu. Płacę im obu, lecz mam wrażenie, że gotowi by byli pracować dla nas nawet za darmo. Nie ma wątpliwości, że obaj są agentami wywiadu niemieckiego. Próbowałem ich wybadać, dlaczego działają na obie strony. Kesküla jest nacjonalistą, lecz wierzy, że zwycięstwo rewolucji w Rosji dałoby Estonii niepodległość. Siefeldta nie rozumiem. Ani to socjaldemokrata, ani zwolennik Rosji.

– Nie działają na obie strony, Igorze Aleksandrowiczu, tylko uważają nas za wrogów caratu, a więc za sprzymierzeńców Niemiec.

– Włodzimierzu Iljiczu, jesteście wrogami caratu, ale przecież nie Rosji.

– Jesteśmy internacjonalistami. I myślę się, sądząc, że jesteście sprzymierzeńcami Niemiec. Proletariat nie ma ojczyzny. A jego wrogiem są kapitaliści, nie żadne narody. No a co w Piotrogradzie?

– Car coraz więcej bywa w Stawce, nie kontroluje spraw w stolicy, zaniedbuje, a tam rządzi Rasputin do spółki z carycą. Griszka-koniokrad decyduje o mianowaniu ministrów.

– To wiadomo nawet z gazet – przerwał Lenin.

– Też mu to powiedziałem. Caryca podobno przysłała mężowi do dowództwa

armii liściki, w których błaga, żeby armia uderzyła tu albo tam, bo Grigorij miał objawienie, że to się powiedzie i będzie wielkie zwycięstwo! O! – Igor położył na stole plik druków. – A to są ulotki krążące w stolicy.

Lenin oglądał i śmiał się cicho. Były to zdjęcia – fotomontaże niewątpliwie – przedstawiające roznegliżowaną carycę i jej córki w miłosnych uściskach z Rasputinem i kilka karykatur rodziny cesarskiej. „My, car, rządymy Rosją”, mówił na jednej z nich Rasputin, obejmując tulące się do niego małe figurki Mikołaja i jego małżonki.

– Rząd i Mikołaj Drugi są tak skompromitowani jak nigdy żaden car rosyjski w historii – mówił dalej Igor. – Na froncie coraz większe trudności z zaopatrzeniem, zaczyna brakować broni i amunicji. Przemysł nie nadąża. Trudno powiedzieć, jakie są całkowite nasze straty od czasu rozpoczęcia wojny. Ale nie to jest najważniejsze. *Liudiej u nas mnogo*, jak mówią generałowie. Lecz brakuje oficerów i podoficerów. Poborowi, słabo wyszkoleni, wiezieni na front masowo uciekają z transportów, tak że na miejsce przybywają czasem puste wagony. Zbliżają się żniwa, chłopci uciekają do domów.

– Ja od początku codziennie notuję straty rosyjskie. – Lenin podszedł do biurka i wyciągnął plik kartek z szuflady; daty i liczby zabitych, rannych, wziętych do niewoli. – Podał je Igorowi, a sam zaczął wędrować po pokoju. – Widzisz, Igorze Aleksandrowiczu? W sumie wychodzi mi około pięciuset tysięcy zabitych i półtora miliona jeńców. Ale okazuje się, że to wciąż za mało! Jakże zdumiewająco cierpliwy jest naród rosyjski! Kiedy wreszcie ta jego cierpliwość się wyczerpie? Kiedy wystąpi przeciwko wojnie?!

– Jest wiele strajków w wielu miejscach.

– To jest nic. Rosyjski lew leży chory od dawna i ledwie dyszy. Ale kilka strajków to jak ukąszenia pcheł. To go nie dobieje. Potrzebny jest masowy zryw jak w tysiąc dziewięćset piątym roku, właściwie nawet większy.

– Liberałowie w Dumie spiskują i przygotowują się do przejęcia władzy. Zdaje się, że będą chcieli wymusić na carze abdykację.

– Kto?

– Książę Lwow, Guczkow, Kierenski.

– Słabi ludzie, niezdecydowani, wątpię, żeby im się udało. Lwow to bardziej działacz społeczny i filantrop niż polityk. Burżuazyjny postępowiec, rzecznik zgniłych kompromisów. Tacy są najgorsi. W czasie wojny z Japonią zorganizował korpus medyczny, trzystu sześćdziesięciu lekarzy i pielęgniarek, wysłał ich na front do Mandżurii. Kierenskiego znam z Symbirska, chodziłem do gimnazjum, którego dyrektorem był jego ojciec. To pozer i kabotyn. Chciał zostać aktorem, ale studiował prawo. Oni nawet gdyby zdobyli władzę, będą ciągnąć wojnę z Niemcami aż do końca. Z drugiej strony to nie byłoby najgorsze, bo już tylko my, komuniści, możemy dawać ludziom nadzieję na zakończenie wojny.

Lenin przestał wędrować po pokoju. Zapraszającym gestem pokazał Igorowi szachownicę. Usiedli, Niesłuchow wylosował białe. Grali w milczeniu, Lenin intensywnie myślał o czymś, grał nieuważnie, o mało nie przegrał. Pół godziny później zaproponował remis. Igor mógł jeszcze wygrać, lecz się zgodził, nie chciał drażnić wodza. Igor ustawiał pionki do następnej partii, a Lenin znów chodził po pokoju.

– Igorze Aleksandrowiczu, słyszałeś o niejakim Aleksandrze Parvusie? – spytał.

– Nie, kto to taki?

– Ciekawa postać. Marksista, doktor filozofii, publicysta, rewolucjonista. Poznałem go piętnaście lat temu. Lawirował, jak i Trocki, pomiędzy nami a mienszewikami. Nawoływał do pojednania. Przedwczoraj właśnie Rakowski przyniósł mi wiadomość od niego, że chce się ze mną spotkać, bo ma jakąś ważną propozycję. Postaraj się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Podobno przez te lata dorobił się wielkiego majątku, z rewolucjonisty stał się kapitalistą. Musisz mnie z nim umówić, lecz nie w jakimś publicznym miejscu. Tu u mnie i bardzo dyskretnie.

– Czemu nie jawnie?

– Bo to agent niemiecki. A poza tym oszust. Żyd z Białorusi. Prawdziwe nazwisko Aleksander Izrael Łazariwicz Helphand. Zarobił duże pieniądze do spółki z polskim komunistą Julianem Marchlewskim, wydając na Zachodzie powieści Gorkiego. Kiedy interes przestał się kręcić, oszukał ich obu i znikł z forszą. Niemieccy socjaldemokraci, żeby uniknąć skandalu, spłacili wierzycieli. I wyrzucili go ze swojej partii. Co robił później, nie mam pojęcia.

– Jak mogę go znaleźć, kto może o nim coś wiedzieć?

– To bogacz. Jest teraz w Zurychu, na pewno zatrzymał się w którymś z największych hoteli. Twój estoński szpieg też mogą o nim coś wiedzieć. No i dowiedz się jak najwięcej o jego interesach.

\* \* \*

Kilka dni później Włodzimierz Iljicz, Krupska i Inessa Armand pilnie słuchali, a Igor referował:

– Nadal jest w Zurychu i mieliście rację Włodzimierzu Iljiczu, zatrzymał się w hotelu Baur au Lac, najdroższym w mieście. Na śniadanie wypija butelkę szampana w otoczeniu całego haremu pulchnych blondynek. Przed aferą z wydawnictwem publikował dużo w prasie socjaldemokratycznej w Niemczech. Przyjaźnił się z Kautskim, Clarą Zetkin, Różą Luksemburg, a w Wiedniu z Adlerem<sup>1</sup>. Lecz kiedy zwiął z pieniędzmi, już nikt z nim nie chciał rozmawiać. Próbował jeszcze działać na rzecz rewolucji, lecz został wydany z Prus, potem z Saksonii i zdaje się z innych jeszcze landów niemieckich. Po rewolucji

młodotureckiej pojawił się w Konstantynopolu, gdzie publikował w tamtejszej prasie jako wybitny ekonomista. Podobno przyjaźni się z Enwerem Paszą. Został agentem wielkiego handlarza bronią Sacharowa i z nim zarobił pierwsze duże pieniądze. Potem handlował na wielką skalę zbożem, węglem, drewnem i na własną już rękę bronią. Dorobił się ogromnego majątku, zbudował sobie luksusową rezydencję na Wyspach Książęcych na Morzu Czarnym.

– Czego może od nas chcieć taki bogacz? – Lenin zatarł ręce. – Miejmy nadzieję, że chce dać pieniądze na rewolucję.

– Swoją drogą – powiedziała Inessa Armand – nie rozumiem, dlaczego ci kapitaliści tak często i chętnie dają pieniądze na walkę z kapitalizmem w Rosji? Czyli przeciw samym sobie...

– Bo myślą – odpowiedział Lenin – że skończy się na obaleniu caratu, więc na zaprowadzeniu demokracji i przemianach jak w Europie po tysiąc osiemset czterdziestym ósmym. A takie przemiany w Rosji nie mogą dokonać się na drodze pokojowych reform. Uniemożliwia je samodzierżawie. Konstytucja i Duma w tysiąc dziewięćset szóstym roku wcale tego nie zmieniły. Tylko rewolucja może je wprowadzić. Żydzi dają na rewolucję, bo nienawidzą cara za to, że w Rosji są dyskryminowani jak nigdzie indziej na świecie. Będziemy zdobywać pieniądze, gdzie się da. Jak nasz nieoceniony Igor Aleksandrowicz, rabując jubilerów, jak Dżugaszwili, rabując banki i wymuszając okupy za porwane dzieci, lub od kapitalistów, którzy dają dobrowolnie. Jeśli chodzi o dobro sprawy, nie mamy skrupułów. Takie myślenie to jest właśnie świadomość rewolucyjna!

Kobiety patrzyły na Lenina z podziwem, a Igor opowiadał dalej:

– W Turcji Parvus stał się postacią wpływową i szanowaną w kręgach rządowych. Jest nieformalnym doradcą Ministerstwa Finansów, projektuje reformy ekonomiczne i wdraża je z sukcesami. W Zurychu, jak tylko tam przyjechał, od razu zaczął rozdawać pieniądze rosyjskim emigrantom, rewolucjonistom zbiegłym z Rosji. Trochę to dziwne, jakby prowadził jakąś kampanię wyborczą. Niedawno był w Berlinie, więc już widocznie nie obowiązują zakazy sprzed lat. Za parę dni ma przyjechać do Berna.

– Świetnie! Igorku, świetnie, skąd masz tak dokładne wiadomości? – pytał Lenin.

– Od Estończyków i innych, ale najczęściej od towarzyszy z Bundu<sup>2</sup>. Oni utrzymują kontakty między swoimi organizacjami w całej Europie. Wszystko wiedzą. A ten Parvus to przecież też Żyd. Przy okazji nawiązałem dobre znajomości. Przydadzą się w przyszłości.

\* \* \*

W wielkiej jadłodajni dla ubogich i bezdomnych w północnej dzielnicy Berna było jasno, biało i bardzo czysto. Z kuchni tuż za ścianą dobiegał brzęk

talerzy. Pachniało pastą do podłóg i kapustą. Na każdym stoliku stał gliniany wazonik ze sztucznymi kwiatami. Popielniczek nie było, nie wolno tu było palić. O trzeciej po południu, kiedy przyszedł Lenin ze swoimi paniami, wszystkie stoliki były już zajęte. Wszędzie słychać było rozmowy po rosyjsku. W kilku miejscach ludzie unosili się z krzesel, kłaniali się wodzowi i jego rodzinie. Rosjan było tu zdecydowanie więcej niż berneńskich biedaków. Jednak Włodzimierz Iljicz miał „własny” stolik sześciuosobowy na środku sali i nikt nie śmiał go zająć.

Inessa i Nadieżda poszły do kolejki po żetony, a Lenin usiadł i rozglądał się po sali. W głębi pod oknem spostrzegł Igora Niesłuchowa i Siefeldta, pokiwał na nich, żeby się przysiedli. Podeszli ze swoimi obiadami na tacach.

– Wiecie coś nowego o sytuacji na froncie? – spytał.

– Austriacy weszli do Lwowa – rzekł Siefeldt. Rozmawiali po niemiecku bo Łotysz nie znał rosyjskiego. – I szykuje się nowa ofensywa niemiecka, Ludendorff przerzuca kolejne dywizje z Francji.

– Tak, to wiem – mruknął Lenin.

Nadieżda i Inessa stawiały na stole zupę jarzynową i drugie danie – kiełbasę z kapustą i grochem. Lenin umocował sobie chustkę pod szyją i bez apetytu, krzywiąc się, jadł zupę. Inessa rozłożyła przed talerzem paryski żurnal, i zagłębiwszy się w lekturze, wyłączyła się z rozmowy.

– Może ci przynieść przyprawy, Wołodia? – dopytywała się Nadieżda.

– Mhm, przynieś, soli i pieprzu przede wszystkim.

Krupska wstała i ruszyła w stronę kuchni, kiedy spostrzegli jakieś poruszenie przy wejściu. Pomału, rozglądając się, szedł wielki i gruby mężczyzna w jasnym garniturze i panamskim kapeluszu na głowie, z cygarem w ręce. Miał tłusty podbródek i byczy kark, kroczył, kiwając się jak kaczka i wiosłując krótkimi rękami. Zauważył Lenina i natychmiast się rozpromienił:

– Witajcie, Włodzimierzu Iljiczu! Jakże się cieszę, mogę się przysiąść? – I nie czekając na pozwolenie, opadł na wolne krzesło.

– Co?! Czego pan chce? Nie mam przyjemności znać pana! – Lenin poczerwieniał na twarzy i oburzony uniósł się ze swojego miejsca. – Co to ma znaczyć? – zwrócił się do Igora.

– O, nie poznajecie mnie, towarzyszu? Jestem Alexander Parvus, kopę lat! Rzeczywiście nie pamiętacie? Tak się zmieniłem?

– Idź do diabła – wysyczał Lenin po rosyjsku.

– Nieładnie, no, nieładnie...

Grubas wstał, popatrzył chwilę na Lenina, pokręcił głową, zaciągnął się cygarem, wydmuchał wielki kłęb dobrze pachnącego dymu, znów pokręcił wielką głową i skierował się do wyjścia.

– Co, do licha?! – Lenin szeptał do ucha Igorowi. – Czemu tutaj? Przecież mówiłem...

– Włodzimierzu Iljiczu, nie zdążyłem, sam tu przylazł, miał przyjechać dopiero jutro – tłumaczył się Igor.

– Leć za nim zaraz, przeproś i zaproś go do domu, do mnie.

Igor wstał, a za nim natychmiast ruszył także Siefeldt. Nawet się nie pożegnał.

\* \* \*

Parvus wkroczył do pokoju zadyszany po dwóch piętrach schodów, rozsiewając woń dobrych perfum i dymiąc cygarem.

– Co to za podchody, towarzyszu Lenin? – zaczął zdenerwowany od progu. – Co miało znaczyć to miłe powitanie?

– Nie rozumiecie, Izraelu Łazariewiczu? – Lenin szedł z uśmiechem naprzeciw gościa z wyciągniętą dłonią. – Przecież nie mogę się jawnie spotykać z agentem niemieckim.

– Nie jestem agentem Niemiec tylko partnerem Niemiec. I cóż to za brak pryncypialnego podejścia u wodza proletariatu! Czyż proletariat ma narodowość?

– Z was, jak widzę, tęgi proletariusz – zakpił wódz. – Spinki u koszuli macie, jak mi się zdaje, brylantowe? Ile karatów?

Parvus uśmiechnął się wyraźnie zadowolony.

– Nie jesteście już internacjonalistą, Włodzimierzu Iljiczu?

– No, ja jestem, jestem, oczywiście. – Lenin usiadł, wskazując gościowi fotel. – Igorze – zwrócił się do Niesłuchowa – niech kobiety dadzą nam coś do picia. – Ja jestem, ale wielu Rosjan tego zupełnie nie rozumie. Więc wybaczenie i przejdźmy do rzeczy. Co was sprowadza?

– Pieniądze, rzecz jasna.

– Tak myślałem.

– Nie! O takich pieniądzach nie mogliście myśleć, towarzyszu Lenin. Nawet nie mogliście marzyć! Dzięki moim staraniom pieniądze chce wam dać rząd cesarza Wilhelma. Na rewolucję w Rosji. Rewolucje, pamiętam jak mi to przed laty tłumaczyliście, są lokomotywami dziejów. A te lokomotywy potrzebują paliwa, strasznie dużo paliwa, bez pieniędzy nie pojadą.

Lenin się zainteresował:

– Pieniądze państwowe?

Wszedł Igor z kawą, herbatą i ciastem na tacy. Lenin teraz pożałował, że pozwolił mu uczestniczyć w tej rozmowie.

– Rozmawiałem najpierw z niemieckim ambasadorem w Konstantynopolu, a potem w Berlinie, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, z von Jagowem. Był też Kurt Riezler, łącznik MSZ w sztabie generalnym. Przekonałem ich, że nic tak nie może osłabić Rosji jak kłopoty wewnętrzne. A co może być największym kłopotem? Rewolucja! Przedstawiłem im memorandum na piśmie, jak żądali.

Wszystko tam jest zaplanowane. – Wyciągnął z kieszeni plik kartek. – Przeczytajcie w wolnej chwili, to kopia.

Lenin rzucił okiem na pierwszą stronę. Tytuł brzmiał: „Przygotowanie masowego strajku politycznego w Rosji”.

– Sam cesarz zdecydował, że pieniądze się znajdują – ciągnął Parvus. – Ministerstwo Skarbu Rzeszy już się tym zajmuje.

– Jakie sumy wchodzi w grę?

– Pierwsze przelewy już dostałem. Dla was, bolszewików, mała zaliczka, na początek milion marek. Potem wielokrotnie więcej<sup>3</sup>.

Lenin z wrażenia zamarł na chwilę z otwartymi ustami. Potem poczerwieniał. Odstawił szklankę. Parvus uśmiechał się triumfująco.

– Ale Niemcy chyba zechcą jeszcze czegoś w zamian, nie tylko osłabienia Rosji – rzekł Igor.

Lenin położył Igorowi dłoń na ramieniu i ścisnął znacząco. Nie chciał jego udziału w rozmowie.

– Właśnie – powiedział. – Czego chcą Niemcy? – Za takie pieniądze gotów był im przyrzec, czego tylko zapragną, i niczego nie dotrzymać, jednak spytać wypadało.

– Chcą pokoju z Rosją, żeby móc wszystkie siły skierować na Zachód. Jeśli przejmiecie władzę, musicie od razu zawrzeć pokój, i to dla nich korzystny.

Lenin skinął głową.

– Możemy im to zapewnić. A w procencie jeszcze im zaniemiemy rewolucję do Berlina. – Zaśmiał się nerwowo.

– Chcieliby także zwolnienia niemieckich jeńców wojennych, żeby ich ponownie ubrać w mundury, dać karabiny i wysłać do Francji.

– Dzielenie skóry na niedźwiedziu – włączył się znów Igor.

– Ale ten niedźwiedź już zdycha, towarzyszu – odparł Parvus. – Plan jest taki: Trzeba połączyć wszystkie siły rewolucyjne w Rosji. Wy, bolszewicy, ale także mienszewicy, socjaliści-rewolucjoniści, polscy komuniści, fińscy, łotewscy, estońscy. Trzeba pobudzić dążenia niepodległościowe ich wszystkich, Ukraińców, Polaków, Bałtów, narodów Kaukazu. Zorganizujemy w Szwajcarii lub w Niemczech wielką wspólną konferencję.

Lenin skrzywił się, jakby połknął coś wstrętnego, lecz Parvus mówił dalej:

– Oni także dostaną pieniądze. Prasa, na Zachodzie i w Rosji, i na Kaukazie. Wielkie nakłady, jakich dotąd nie było. Broń, materiały wybuchowe. Trzeba wysadzać mosty, węzły kolejowe, magazyny, rafinerie ropy. Dać pieniądze na ucieczki tysięcy rewolucjonistów, zesłańców z Syberii. Paraliż transportu, agitacja pacyfistyczna w armii i tak dalej. Wszystko powinno ruszyć na jedenastą rocznicę „krwawej niedzieli” w przyszłym roku. W styczniu tysiąc dziewięćset szesnastego. Mamy więc kilka miesięcy.

Parvus rozparł się w fotelu, dmuchał dymem z cygara, czego niepalący Lenin po prostu nie cierpiał, i obserwował, jakie wrażenie wywarły jego słowa.

– Interesujące – wycedził Lenin po dłuższej chwili. – A wy, Izraelu Łazariewiczu, czego chcecie w zamian?

– Ja? Ależ niczego! Chcę zwycięstwa rewolucji w Rosji i na świecie.

– I co się wtedy z wami stanie? Nie będzie już przecież bogaczy takich jak wy?

– O mnie się nie martwcie, jakoś sobie poradzę. Ale prawdę mówiąc, chciałbym czegoś w zamian...

– Tak?

– Chcę wejść w skład pierwszego w dziejach robotniczego rządu rewolucyjnego.

– To mogę wam przyrzec – rzekł Lenin. Wstał i uściśnął dłoń Parvusa.

– Czy panowie jednak nie zapominacie o jednej możliwej przeszkodzie? – odezwał się Igor. – Wiem z pewnych źródeł, że cesarz Wilhelm liczy na zawarcie separatystycznego pokoju z Mikołajem Drugim. Wtedy wszystko diabli wezmą. Niemcy nie będą mieli żadnego powodu dawać nam pieniędzy.

– O! To macie, towarzyszu, informacje już nieaktualne. – Parvus poklepał Igora po ramieniu. – Rzeczywiście, kanclerz Bethmann-Hollweg łudził się, że cara uda się skłonić do zawarcia odrębnego pokoju. Niemcy liczyli na pomoc w tym względzie Wittego, byłego premiera rosyjskiego. Wiecie... on zawsze był przeciwny wojnie. Wysłali na rozmowy do Piotrogradu duńskiego armatora, Andersena, który dzięki wstawiennictwu króla duńskiego uzyskał audiencję u Mikołaja. Pamiętacie? Matka cara jest duńską księżniczką... Lecz nic z tego nie wyszło. Okazało się, że Witte nie ma już żadnych wpływów w stolicy, a car jest jak najdalszy od rozmów pokojowych. Nie ma się czym martwić.

– Nasz Mikołajek jest niezawodny – podsumował Lenin. – Zawsze można na niego liczyć. Nie ma takiego głupstwa, którego by nie popełnił.

Kiedy Parvus się pożegnał, Lenin zatrzymał na chwilę Igora.

– O tym układzie nikomu ani słowa – powiedział. – Nigdy! Pamiętaj, Igorze Aleksandrowiczu!

Igor następnego dnia spotkał na ulicy Siefeldta.

– No, jak tam rozmowa Lenina z Parvusem? Czego chciał? – dopytywał się Estończyk.

– Włodzimierz Iljicz wyrzucił go na zbity pysk – oświadczył Igor. – I zwymyślał od najgorszych. To zdrajca i oszust.

Igor natknął się na Siefeldta przypadkiem, ale kiedy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że stało się to w miejscu, gdzie często bywał. Wyglądało na to, że Estończyk mógł się tam znaleźć nieprzypadkowo.

<sup>1</sup> Chodzi oczywiście nie o Alfreda Adlera, ucznia Freuda, lecz o Victora



Adlera socjalistę.

<sup>2</sup> Bund – Allgemeiner Jüdischer Arbeiterbund, w skrócie Bund. Powszechny Żydowski Związek Robotniczy o orientacji socjalistycznej.

<sup>3</sup> W ciągu kilku lat Lenin dostał od Niemców miliard marek.

## Jamno

Kapitan Szyriajew, oficer zaopatrzeniowy 28. Pułku 11. Dywizji od piątej rano był na nogach. Obudziło go pilne wezwanie do dowódcy. Car wizytuje 20. Armię, jutro zapewne będzie w dywizji, braki w uzbrojeniu i umundurowaniu mają być natychmiast uzupełnione. Jak Szyriajew tego dokona, to jego sprawa. Jeśli cesarz zobaczy, że co piąty żołnierz nie ma butów, a co czwarty karabinu, to z Szyriajewem koniec, grób, mogiła!

Natychmiast połączył się telefonicznie z kolegami z sąsiednich pułków. Nie tylko żaden nie miał nadwyżek, ale im też brakowało butów, mundurów, menażek, opatrunków osobistych i – oczywiście – karabinów. Też szukali po sąsiednich dywizjach. Szyriajew wysłał gońców do batalionów swojego pułku, żeby pospisywali braki. Cholera, powinien to znać na pamięć! Dobrze, że pułkownik nie spytał.

Tymczasem próbował łączyć się z oficerami gospodarczymi w pułkach na froncie od Jamna aż po Grodno. Nie liczył już na to, że cokolwiek dostanie, ale może chociaż pożyczą. Na jeden dzień! Tam, gdzie nie mógł się dodzwonić, powysyłał co bystrzejszych podoficerów. O siódmej znał już braki. 1. batalion potrzebował osiemdziesięciu karabinów i czterdziestu pięciu par butów, 2. – siedemdziesięciu trzech karabinów i piętnastu par butów, 3. – dwudziestu pięciu karabinów i piętnastu par butów, 4. – stu dwudziestu karabinów i stu trzynastu par butów.

Zsumował. Boże! Skąd to wziąć?

W kompaniach oficerowie mówili żołnierzom: bierz karabin kolegi, który poległ lub zostanie ranny. Buty tak samo. Dotychczas, póki trwało lato, specjalnie się butami nie martwiono. Chłop na razie może chodzić bosy, to dla niego nie nowina. Ale lato już się kończy.

Około dziewiątej dodzwonił się do Marczenki z 15. Dywizji. Znali się od lat, razem jako chłopcy uczyli się w Czwartym Moskiewskim Korpusie Kadetów, a potem w Aleksandryjskiej Szkole Wojskowej.

– Przyjacielu kochany, pożycz! – błagał. – Oddam następnego dnia, oficerskie słowo honoru!

– A jak nas tu zaatakują? Co wtedy?

– Nie zaatakują. Dam ci kuchnię polową. Dam, nie pożyczę, dam ci, rozumiesz? I dorzucę jeszcze pięćdziesiąt rubli za fatygę! No jak?

– Kuchnię, mówisz? – Marczenko zawahał się. – Będę musiał przekonać dowódców batalionów.

– Dziesięć kartonów papierosów i trzy skrzynki wódki.

– Dobrze, ale brak mi dwóch kuchni. Dawaj dwie i robimy interes.

Szyriajew miał jedną kuchnię w zapasie, a drugą musiałby zabrać którejś kompanii. Nie dadzą, za nic! Trudno, cholera jasna! Muszą dać.

– Zgoda! – powiedział. – Dostaniesz dwie kuchnie. Zaraz przysyłam ludzi. Będzie tam koperta, niby ze spisem, ale w środku, rozumiesz...

\* \* \*

Iwan Jurko jechał pierwszym wozem z Jakowem Jurowskim, też komunistą i bolszewikiem, swoim nowym przyjacielem. Hałasowały na wybojach dwie kuchnie. Za nimi jeszcze dwa wozy taborowe, w drugim Borzój, kolega z zesłania, i kilku innych. Wzięli sobie ze skrzynek dwie butelki wódki i karton papierosów. Popili, zrobiło się przyjemnie. Dowodził sierżant, szef kompanii. Koni nie oszczędzali, dwadzieścia pięć kilometrów po bocznych drogach przejechali w dwie godziny. Sierżant dobrze czytał mapę, trafili bez błędzenia. Załadowali karabiny i buty, wracali. Na polu przed starymi okopami na skraju lasu Iwan zauważył jakieś wielkie żółte plamy wypalanej trawy.

– Panie sierżancie, co to jest? – spytał.

– Chlor, żołnierzu. Nie słyszałeś? Wiosną Niemcy próbowali tu wytruć naszych chlorem. Lecz kiedy zaczęli, akurat zmienił się wiatr i sami musieli uciekać. Tak ich Pan Bóg pokarał.

– A nasi? Nic im się nie stało?

– Tylko kilku. Płuca im wypaliło, ciężka śmierć... No, ale pod Sochaczewem pod koniec maja nie było już tak dobrze. Tam było gorzej nawet niż we Francji pod Ypres. Wypuścili trzysta ton ciekłego chloru z butli. Wielu zmarło na miejscu, wielu w szpitalach. Podobno razem jedenaście tysięcy ludzi.

– A maski przeciwgazowe?

– Co ty? Jakie maski?!

Do końca jechali już w milczeniu. Kapitan Szyriajew przyjął ich z otwartymi ramionami. Był uratowany.

W okopach wielkie porządki. Oficerowie biegali po stanowiskach kompanii, sprawdzali, poganiali. Wielkie sprzątanie, czyszczenie broni, pranie. Nawet pojawiła się ciepła kolacja. Czegoś takiego wojsko nie widziało od urodzin cara w zeszłym roku. Jedna z kompanii nie miała kuchni polowej, lecz zaraz dowiedziono jej co trzeba z sąsiedniej. Niemiecka artyleria tego dnia prawie nie strzelała. Czasem odzywały się karabiny maszynowe, nie robiąc nikomu krzywdy. Na tym odcinku od dwóch tygodni nic się nie działo.

\* \* \*

Car szedł okopem w otoczeniu generałów. Biegało wokół nich kilku dziennikarzy z aparatami fotograficznymi i wielką kamerą filmową. Przeciskali się z trudem, było ciasno, mimo że na tę okazję okop został poszerzony i pogłębiony.

Czasem musieli się schylać, pułkownik przypominał:

– Wasza Cesarska Wysokość, proszę uważać, snajperzy...

Iwan Jurko na widok cara poczuł coś dziwnego. W jednej chwili opadła z niego propaganda komunistyczna, cały marksizm i klasowa nienawiść. Car! Władca, ojciec ojczyzny! Szedł oto w zwykłym żołnierskim szynelu. Średniego wzrostu, wyprostowany, miła twarz okolona niewielką brodą. Palił papierosa, rozmawiał łaskawie z generałami. Iwanowi zdawało się, że i na niego spływa ta niezwykła łaskawość cesarska. Zatrzymał się o kilkanaście metrów od Iwana, rozmawiał z kapralem Miszą Koszkowem, kolegą Iwana z trzeciego plutonu. Ruszył znów wzdłuż szeregu ludzi wyprężonych na baczność, był już trzy metry od niego.

– Wasza Cesarska Wysokość! Może jeszcze jedno ujęcie? – Dziennikarz dawał znaki kamerzyście, żeby się zbliżył. Wbili nogi statywu w miękką ziemię. – Może w rozmowie z prostym szeregowcem?

Car uśmiechał się, skinął głową. Uśmiechał się, a Iwanowi się zdawało, że ma smutek w oczach. Dziennikarz popatrzył po twarzach żołnierzy.

– O, ten tutaj – wskazał na Iwana. – Szczera rosyjska twarz. Tak!

Car zatrzymał się naprzeciw Jurki, a on nie wiedział, czy salutować, czy rzucić się na kolana i całować po rękach. Zapaliło się jakieś duże światło, aż poczuł jego ciepło na twarzy, zaszumił silnik kamery.

– No! Mów coś! – Dziennikarz szturchnął Iwana w łokieć. – Mów cokolwiek, głosu nie nagrywamy.

– Wasza Cesarska Wysokość. – Iwanowi zaschło w gardle, mówił z trudem. – Ojcie ojczyzny!

Car położył mu dłoń na ramieniu i patrzył dobrotliwie. Wyjął papierośnicę, otworzył i wyciągnął do Iwana:

– Zapalisz, bracie?

– Okłamują cię tutaj, Najjaśniejszy Panie, nie wierz im. Dopiero wczoraj pożyczyciśmy karabiny i buty z sąsiedniego pułku. Jutro będziemy musieli je oddać. Co czwarty nie ma broni, jak tu walczyć? Mówią, żeby brać od poległych...

Car spochmurniał i odwrócił się w stronę pułkownika i generałów.

– Co to ma znaczyć?

– To kłamstwo! Wasza Wysokość! – Pułkownik pobladł. – To perfidne kłamstwo! – zaperzył się i krzyczał. – Ten żołnierz to komunista, swołocz! Przysłano go z zesłania. Był na zsyłce w Republice Komi. To bolszewicki agitator, kłamie bezczelnie. Kłamie!

Car popatrzył na Iwana, spojrzął na pułkownika.

– Panie pułkowniku, daje pan słowo honoru, że ten żołnierz kłamie?

– Oczywiście, Wasza Cesarska Wysokość, oficierskie słowo honoru!

Car pokiwał głową.

– Nieładnie – zwrócił się do Iwana. – Nieładnie. Byłeś zesłany, jesteś bolszewikiem?

Iwan nie mógł zaprzeczyć. Nic nie odrzekł tylko skinął głową, a car uśmiechnął się z politowaniem i poszedł dalej.

\* \* \*

W nocy narzucili na niego koc, związali i pobili. Biło kilku, słyszał ich głosy. Wymyślali od najgorszych. Nie, że jest komunistą, bolszewikiem, to wszyscy wiedzieli od dawna. Bili dlatego, że doniósł na dowództwo pułku. Kar cielesnych w Rosji od dawna już nie stosowano; na pewno nie robili tego z własnej inicjatywy, było jasne, kto im zlecił to zadanie.

Iwan stracił dwa zęby, miał podbite oko i połamane żebra. Ale jeszcze bardziej bolało to, jak potraktował go jego cesarz. Uwierzył oficerowi, bo dał oficerskie słowo honoru. A jaki honor miał ten oficer?! Przecież to on kłamał! Słowo Iwana Jurki było bez znaczenia. Znów takie poniżenie! Jak wtedy, gdy sędzia uznał go za komunistę i nie chciał nawet wysłuchać, a potem, w Moskwie, w więzieniu przesyłowym, kiedy publicznie obnażony opędział się przed stadami pluskiew i pcheł. Piekące wspomnienie, a teraz... nowe upokorzenie. Zaciskał zęby i wstydział się, że dał się tak ponieść sentymentom. Car, ojciec ojczyzny! Ładny ojciec...

Kilka dni później wojsko świętowało ważną zmianę. Car osobiście objął dowództwo armii i floty.

## Piotrogród

Katia wróciła z teatru wcześniej niż zwykle. Spieszyła się do domu, bo rano mały Janek był markotny i trochę popłakiwał. Miał już prawie osiem miesięcy. Może go boli brzuszek, a może to dlatego, że mama wychodzi? Na wszelki wypadek zadzwoniła do doktora Stütza i prosiła o odwiedziny. Kiedy weszła do pokoju dziecięcego, Janek spał. Nastia uspokoiła ją: wszystko w porządku, była z nim na spacerze w parku, malec jadł z apetytem i całe przedpołudnie raczkował, a nawet próbował wstawać, trzymając się krzesła.

– Podnosi grzechotkę i rzuca nią – opowiadała. – Patrzy pilnie, gdzie upadnie, maszeruje do niej na czworakach, podnosi i znów rzuca. I śmieje się zadowolony. Katiu, jak on się ślicznie śmieje! A jak gaworzy ładnie. „Mamamamama, bababababa, chacha!” Przyjdzie doktor Stütz?

– Tak, obiecał przyjść i zostać na kolacji.

Poszły razem do kuchni. Od kilku dni gospodarował tam kucharz księżnej i jej pokojówka. Księżna Leontiewa od dawna narzekała, że Nastia marnie gotuje i wreszcie sprowadziła ze wsi swojego starego francuskiego kucharza Ludwika. Przygotowywał kolację.

– Wie pani już? – siekał cebulę i co chwilę ocierał łzy z oczu. – Czytała pani gazety? Niemieckie sterowce, zeppelin, zbombardowały Londyn. Mój Boże, jeśli latają nad Anglię, to mogą też zbombardować Paryż! Jak pani myśli?

– A do nas, do Piotrogradu, mogą dolecieć? – dopytywała się pokojówka.

– Do Paryża pewnie tak, ale do nas chyba mają za daleko. – Katia starała się ją uspokoić. – Trzeba spytać wojskowych.

Na kolację mieli przyjść Larysa z Pawłem Wodopjanowem, mimo protestów matki i księżnej od kilku dni oficjalnie zaręczeni, pułkownik Sergiusz Karsow, świeżo awansowany, drugi raz już ranny i na rekonwalescencji, oraz dawno niewidziany ojciec Katii, Aleksander Niesłuchow.

Dwaj panowie, mąż i kochanek Nadieжды, poznali się kilka dni wcześniej i nawet zaczęli zaprzyjaźniać. O Niesłuchowie głośno było w stolicy, zanim jeszcze pokazał się w domu. Przeznaczał wielkie sumy na cele dobroczynne i na pomoc żołnierzom walczącym na froncie. W gazetach pisano, że dorobił się ogromnego majątku na dostawach dla wojska. Kupił kilka garbarni, produkował surowe skóry, potem uruchomił produkcję wszelkiego rodzaju pasów, uprzęży końskich, szorów do zaprzęgów artyleryjskich i taborowych, kulbak, ogłowi i kantarów. Sprowadzał też futra z Syberii. W czasie pierwszego spotkania z żoną oświadczył, że chętnie zgodzi się na rozwód. Przedtem nie chciał o nim słyszeć, obawiając się, że straci finansowo, bo to do niej należały domy i folwarki, a on nie miał prawie nic. Teraz był tak bogaty, że to nie miało już znaczenia. Miał, oczywiście, młodą kochankę

i chciał się żenić.

Nadzieję bardzo to ucieszyło. Karsow zaraz przyniósł jej wielki bukiet kwiatów i pierścionek zaręczynowy.

– Lecz czy zdążymy z rozwodem? – zastanawiał się. – Wątpię, bo nawet gdy obie strony się zgadzają, zawsze to trwa dość długo. Ale to miłe z twojej strony, kochana, że chcesz być wdową po żołnierzu.

– Nie mów takich rzeczy, proszę. – Nadieżda nie mogła się przyzwyczaić do tej jego obsesji śmierci.

– Ale wiesz, że nie zamierzam żyć wiecznie? – dodał jeszcze.

Jasne postawienie sprawy przez Niesłuchowa stało się dobrą podstawą do przyjaznych stosunków między obydwoma panami. Przy okazji odkryli, że obaj są znawcami win francuskich, o które w czasie wojny było coraz trudniej. Prohibicja wprowadzona na początku wojny nie obejmowała luksusowych trunków. Jedli i popijali w dobrych petersburskich restauracjach, Sasza Niesłuchow płacił rachunki i świetnie im się razem gawędziło. Niesłuchow usiłował namówić pułkownika, żeby zaprotegował go gdzie trzeba w sprawie sprzedaży większej ilości koni dla kawalerii.

– Mógłbyś na tym nieźle zarobić, Sierioża.

Bez skutku.

– Sasza, ja się takimi sprawami nie zajmuję. – Słowa „takimi sprawami” wyrzekł z nieukrywaną pogardą. – Zresztą, kawaleria kupuje konie bezpośrednio od hodowców.

Wieczorem wszyscy goście byli już w salonie. Doktor zbadał Janka i powiedział, że chłopiec jest zupełnie zdrowy i oby dalej rozwijał się tak wspaniale. Podawano kolację. W jednym końcu wielkiego stołu na dwadzieścia cztery osoby siedzieli Nadieżda z Karsowem, w drugim – księżna i doktor Stütz. Z boku Larysa z miczmanem Wodopjanowem. Byli niedbale, a nawet niechlujnie ubrani. Taka panowała teraz moda wśród rewolucjonistów. Pogarda dla burżujów i zbytku nakazywała nie dbać o własny wygląd. Ta abnegacja bardzo się Katii nie podobała. Postanowiła, że powie o tym siostrze. Nieporządny wygląd jest wyrazem lekceważenia dla tego, do kogo się przychodzi w gości. Siedziała naprzeciw nich obok ojca, patrzyła z odrazą i wstydziała się za nich.

Stara księżna chrypiącym głosem dyrygowała pokojówką i Nastią, które podawały do stołu. Lara i Paweł rozmawiali o czymś cicho i wyraźnie się o coś sprzeczali. Ojciec, nim zasiadł do kolacji, wypalił cygareto i posapując, zdumiony jakimiś wiadomościami gwałtownie odłożył gazetę. Kiedy przyjechał do Piotrogradu odwiedził Katię po przedstawieniu w garderobie i przyniósł kwiaty. Zachwycił się jej występem i opowiadał, jak chwali się przed znajomymi jej sukcesami na europejskich scenach. Katia słuchała miło zaskoczona, lecz jakoś nie potrafiła się cieszyć uznaniem ojca. Miała kilka ładnych wspomnień o nim

z czasów, kiedy była dzieckiem. Jak śmiali się na huśtawce w ogrodzie, jak kupił jej pierwszego kucyka, a potem dużego konia i jak uczył ją jeździć konno, sam siadając bokiem w damskim siodle. Jednak przez te kilkanaście lat, kiedy widywała go tak rzadko, nawet nie w każde święta, te wspomnienia zbladły i zdawały się dotyczyć kogoś innego. Ojciec był jej prawie zupełnie obcy. Do mamy zwracał się „Nadiu, kochanie”, księżnę całował po rękach i starał się być bardzo miły. Katii wydawało się, że chce się im obu tylko przypodobać. Było w tym coś nieszczerzego i sprawiało jej przykrość.

Patrzyła na matkę i myślała, że ostatnio dziwnie szybko się postarzała. Teraz, radosna i ożywiona bliskością Karsowa, kiedy śmiała się, odsłaniając olśniewająco białe zęby, była wciąż bardzo ładna, lecz jej twarz mimo makijażu sprawiała wrażenie lekko obrzmiałej, a kiedy weszła do salonu, Katii wydawało się przez chwilę, że matka lekko pociąga nogami. A przecież nie miała jeszcze nawet pięćdziesiątki.

Karsow na wojnie schudł i szerniał. Twarz miał pomarszczoną i opaloną. Mundur z trzema rzędami odznaczeń na piersi stał się zbyt obszerny. Oczy miał wpadnięte i błyszczące jak w gorączce. Wciąż dużo mówił i był nienaturalnie pobudzony.

– Wypijmy za wojnę! – wstał i uniósł kieliszek. – Wojna jest piękna i wspinała, kocham ją.

– Cóż ty wygadujesz, Siergiej Mikołajewiczu – wychrypiała oburzona księżna Leontiewa. – Ginie tylu ludzi, a ty mówisz, że jest piękna? Jest koszmarna!

– Tak, oczywiście, jest koszmarna. Ale wypala w ludziach wszystko co nieważne, błahe. Hartuje ludzi, pokazuje, ile kto jest wart. Bywa też piękna. Gdybyście widzieli... Atak kawalerii. Tysiąc koni w rozwiniętym szyku w szarży na okopy, czyste szaleństwo! Ta siła! Nie tylko siła konia pod tobą, siła tysiąca koni i ludzi... Tysiąca! Tak, prowadziłem taki atak. Wszystko staje się tak cudownie jasne i proste. Obok przyjaciel, brat, a tam... wróg. Dla takich chwil warto żyć i warto umrzeć...

– I jakiż był skutek tego pięknego ataku? – spytał kpiąco Wodopjanow. – Bo nie słyszałem o żadnym wielkim zwycięstwie naszej kawalerii.

– Cóż? Nie atakuje się kawalerią okopanego nieprzyjaciela, który ma karabiny maszynowe i artylerię<sup>1</sup>. Musiało się skończyć jatką. Dowództwo korpusu było przekonane, że po natarciach naszej piechoty z poprzedniego dnia wróg jest w odwrocie, wycofują się i niewielu ich zostało w okopach, że Polacy już tylko pozorują obronę, osłaniają odwrót.

– To byli Polacy? – spytała Katia.

– Owszem, Legiony Polskie. Dobrzy żołnierze, znam Polaków sprzed wojny, kiedy stacjonowaliśmy w Warszawie. Nawet przyjaźniłem się z jednym z nich.

– A teraz w Warszawie siedzą Niemcy – rzekł Wodopjanow.



– A wy, marynarze na Bałtyku? – Karsow celował w mierzana palcem. – Co wy tam w ogóle robicie?! *Prinza Adalberta* storpedowali Anglicy, to ich okręty podwodne zatapiają Niemców. A wy?

– Walczymy, panie hrabio, walczymy. Niemcy nie śmia pokazać się w Zatoce Fińskiej. Niedawno próbowali wdrzeć się do Zatoki Ryskiej, lecz ich przegoniliśmy.

– No proszę! Ale ja również nie słyszałem o naszych wielkich zwycięstwach na Bałtyku.

– Stawiamy miny. Wszystkie załogi tym się głównie zajmują. Stawiamy miny, a Niemcy je trałują. Oni stawiają miny i my je trałujemy. Ale wciąż dochodzi do większych i mniejszych bitew, zdarzają się tragedie. Miałem kilku przyjaciół na kanonierce *Siwucz*. W zeszłym miesiącu zatopili ją Niemcy na południe od Moonsundu. Z dwustu ludzi ocalało pięćdziesięciu.

– Siergieju Mikołajewiczu, przegrywamy tę wojnę, prawda? – spytała księżna.

– Tak, przegrywamy i zapewne przegramy, to tylko kwestia czasu.

– Ale ja jednego nie mogę zrozumieć – odezwała się Nadieżda. – Przecież wszyscy monarchowie w Europie są ze sobą spokrewnieni. Wilhelm Drugi jest kuzynem naszego cara. Król angielski Jerzy Piąty też jest kuzynem cara, a caryca pół Niemką, pół Angielką. Przecież to wnuczka królowej Wiktorii. Spokrewniona z królem Norwegii Haakonem Siódmym, a jej kuzynka Wiktorja Eugenia wyszła za Alfonsa Trzynastego Burbona, króla Hiszpanii. Siostrzenica jej matki, Maria, zamężna z królem Rumunii Ferdynandem Pierwszym Hohenzollernem. A Franciszek Józef... Jego ukochana żona, Sisi, zamordowana przez tego włoskiego anarchistrę, pochodziła z Bawarii, więc też Niemka. Dynastia habsbursko-lotaryńska to dzisiejsi Windsorowie, sami się nazwali Windsorami. Jak mogło wobec tego dojść do wojny? Nie mogli się dogadać w rodzinie?

– A my się dogadujemy w rodzinie? – rzekła ponuro księżna.

Katia patrzyła na matkę. Wciąż tylko te rody, koligacje, pokrewieństwa, jakby to były najważniejsze sprawy na świecie. Robi się z tym już trochę śmieszna.

– Może państwa rządzone przez jedynowładców są bardziej skłonne do wojen niż demokracje – powiedziała.

– Toteż my po zwycięstwie rewolucji wprowadzimy demokrację – oświadczyła Larysa.

Karsow patrzył na nią i jej narzeczonego z irytacją i tylko ze względu na gospodarzy powstrzymywał się, żeby nie powiedzieć, co myśli o bolszewikach. Rewolucjoniści, komunistyczni zdrajcy!

– Monarchie już się przeżyły – ciągnęła Larysa. – Rody, o których mówisz, mam, są zdegenerowane. Franciszek Józef jest stetryczalym sklerotycznym starcem, który przez całe życie wikłał się w niepotrzebne wojny, nie do wygrania.

Cesarz Wilhelm to kaleka od urodzenia niezrównoważony psychicznie i furia. Car Mikołaj Drugi, jak wszyscy wiemy, nie jest, delikatnie mówiąc, geniuszem, a następca tronu, Aleksy, dziedzicznie obciążony hemofilią.

– No tak – nie wytrzymał już Karsow. – Tylko Marks i Lenin są geniuszami! Księżno, pyta pani, czy przegramy wojnę i dlaczego ją przegramy? Wiele jest przyczyn, ale jedna jest decydująca. To komuniści! Ich propaganda antywojenna i nawoływanie do zawarcia pokoju bez aneksji i odszkodowań. To zaraza, która szerzy się w armii jak pożar. Nawet u nas, proszę sobie wyobrazić! W pułku gwardyjskim! Nawet u mnie zdarzył się taki wypadek. Pewien porucznik... nie wymienię jego nazwiska, bo to wstyd dla porządnej i zasłużonej rodziny, został przyłapany na gorącym uczynku. Rozprowadzał gazetki bolszewickie, głoszące, że niemieccy robotnicy to nasi bracia, bracia rosyjskich robotników. Że trzeba rzucać broń i bratać się... Prawdziwy wróg jest nie w okopach niemieckich, lecz na ministerialnych stołkach w Pałacu Zimowym i tak dalej... Kazałem go natychmiast powiesić. Tak, miczkanie Wodopjanow! Powiesić! – Karsow wstał czerwony na twarzy i mówił coraz głośniej, tracąc panowanie nad sobą. – Kazałem powiesić bez sądu! Ścierwo płakał i błagał o litość, nie potrafił nawet umrzeć jak mężczyzna. Powiesiliśmy go. Nie ma gorszego łajdactwa jak zdrada ojczyzny. A ty, Laryso, i pan, miczkanie Wodopjanow, nie wstydzicie się przyznawać, że jesteście komunistami?! Gdyby nie to, Laryso, że jesteś córką Nadii... – Karsow nagle wyszarpnął z kabury rewolwer i wymachiwał nim w stronę miczmana i Larysy. – Gdyby nie to, ja bym wam... ja bym was...!

– Boże, Siergiej, opanuj się. – Nadieżda uczepiła się jego ramienia i zmusiła, żeby usiadł. – Na Boga, przestań, jak możesz...

– Panie pułkowniku! – Katia też wstała oburzona. – Pan obraża gości mojego domu.

– No, tego się nie spodziewałam po panu, hrabio – chrypiała księżna Leontiewa. – Ja też nie cierpię komunistów, ale Lara i Paweł? Widocznie nie każdy komunist musi być zdrajcą...

– Tak, przesadziłeś, Siergieju Mikołajewiczu – przerwał Niesłuchow. – Chociaż co do bolszewików...

Karsow chował rewolwer do kabury. Zapinał ją z trudem, trzęsącymi się rękami. Wstał znowu, spuścił głowę i powiedział cicho:

– Przepraszam. Bardzo państwa wszystkim przepraszam.

Usiadł, nalał sobie koniaku i szybko wypił. Siedział pochylony, zgarbiony z dłońmi na kolanach i zmalął, jakby zapadł się w siebie.

– To wojna tak zszarpała mu nerwy. Wybaczcie, to wojna – usprawiedliwiała go Nadieżda.

Siedzieli w milczeniu. Ktoś dłubał widelcem w talerzu, aż było słychać.

– Może już chodźmy stąd – wyszeptał Wodopjanow do Lary, lecz w ciszy

wszyscy to usłyszeli.

– Nie, nie. – Pokręciła głową.

– Ja nie chcę nikogo obrażać – kontynuował Niesłuchow – ale opowiem państwu, jak mnie się przytrafiło mieć do czynienia z bolszewikami. Otóż kilka tygodni temu mój transport futer, cały pociąg, przejechał most na Włodze Transsyberyjską... Dzień później ten most wyleciał w powietrze. Gdyby mój pociąg jechał trochę później, gdyby nie zdążył, poniósłbym ogromne straty. No i oczywiście front by stracił. Co się okazało? Złapano sprawców. Kto taki? Bolszewicy. Dostali za tę robotę dziesięć tysięcy rubli. Więc pytam państwa, skąd komuniści mają takie pieniądze na tego rodzaju akcje?

– Zapewne od Niemców – odpowiedziała księżna. – Cała nasza nieszczęsna Rosja jest przeżarta zdradą. Gazety codziennie ujawniają nowe fakty. Okazuje się, że w niemieckich fabrykach, w administracji, dosłownie wszędzie od lat pracują niemieccy szpiedzy na stanowiskach inżynierów, urzędników i tak dalej.

– Ależ ciociu! – protestowała Katia. – Nie można zrzucać odpowiedzialności na Niemców. Te rozruchy antyniemieckie w Moskwie... To wstyd i okropność. Nawet fabryki i ziemię państwo ma im odbierać. To jakaś psychoza. Przecież mnóstwo Niemców mieszka w Rosji od pokoleń i stali się rosyjskimi patriotami nie gorszymi niż my. Mój znajomy, świetny tenor Alosza Dalgiejm zaśpiewał podczas recitalu dwie arie z oper niemieckich. Następnego dnia został przesłuchany przez policję<sup>2</sup>. Wszczęto śledztwo w sprawie agitacji antypatriotycznej. Oto do czego dochodzimy!

– No tak – Niesłuchow mówił, spoglądając w stronę doktora Stütza. – Dotychczas za wszystko najgorsze obwiniano Żydów. Pan doktor na pewno mógłby coś o tym powiedzieć. Wszyscy Żydzi to bolszewicy i szpiedzy. A teraz wszyscy Niemcy to szpiedzy. Wprawdzie rzeczywiście jest mnóstwo Żydów wśród bolszewików, ale to nie dowodzi jeszcze, że każdy Żyd jest bolszewikiem, prawda?

– Żydów jest wśród bolszewików wielu. Niestety. – Lekarz popatrzył po twarzach zebranych i mówił z namysłem. – Tak. Jest ich wielu w sferach finansowych, wśród pisarzy, artystów, naukowców, wśród prawników, w wolnych zawodach, w przemyśle, na wyższych uczelniach. Aż w końcu rząd wprowadził ograniczenia w przyjęciach Żydów na studia! Ja jestem bardziej Polakiem niż Żydem, bardziej Rosjaninem niż Żydem i bardziej Austriakiem niż Żydem. Ale kiedy Żydów się prześladowuje, nie będę się wypierał swoich korzeni. Żydów prześladowuje się od ponad dwóch tysięcy lat wszędzie, w Europie, w Azji, w Afryce. Zawsze musieli się opłacać, żeby ich zostawiono w spokoju. Zawsze komuś zawadzają, bo w każdej niemal dziedzinie zdobywają mocne pozycje, często dominujące. Dlaczego? Dlaczego tak się dzieje? Może państwo tego nie wiecie, ale od ponad dwóch tysięcy lat wśród Żydów nie ma właściwie zjawiska analfabetyzmu. A w średniowiecznej Europie szlachta, nawet królowie i księżęta,

najczęściej nie umieli czytać. Najbiedniejszy Żyd będzie nie dojadł, a odda ostatnie grosze na naukę swojego syna. Przez tyle wieków to się sumowało i procentowało. Tak to wygląda... My z żoną mamy obywatelstwo rosyjskie. Ale dla policji jestem podejrzany. Miałem taki incydent, nie będę się rozwodził, dość rzec, że siedziałbym teraz w więzieniu lub na Syberii, gdyby nie to, że miałem szczęście z dobrym skutkiem leczyć pewną damę należącą do rodziny cesarskiej. Dla policji jestem podwójnie podejrzany, jako Żyd i jako Austriak. A może nawet potrójnie, bo przyznaję się też do polskości.

Nikt nie podjął tematu. Księżna wśród dywersantów szkodzących krajowi tylko dlatego nie wymieniła Żydów, że siedziała obok znanego i szanowanego w stolicy Żyda, doktora Stütza. Tymczasem podawano desery, likiery i kawę. Karsow wyszedł na kilka minut, a po powrocie wyglądał już lepiej, znów włączył się do rozmowy. Kolejna dawka kokainy wzięta w łazience przywróciła mu dobre samopoczucie.

Katia też wyszła na chwilę, bo Nastia szepnęła jej, że Janek się obudził. Ukołysała i uspiła chłopca, przytuliła, wyciąłowała. Incydent z Karsowem zostawił okropne wrażenie. To jednak nie był dobry pomysł, sadzać tych ludzi przy jednym stole. Najlepiej byłoby może jakoś zakończyć to nieudane przyjęcie. Ta piękna szarża Karsowa! Cóż za szalone brednie. Po drugiej stronie mógł spotkać się z Janem. Jej mąż chciał przecież iść do Legionów, mówił o tym jego znajomy z Krakowa, Koziarowski, jeniec w szpitalu. Jan, Jan, gdzie jesteś? Posiedziała jeszcze chwilę przy dziecku, żeby się upewnić, że mocno zasnęło, otarła łzy i wróciła do salonu.

Księżna paliła papierosa w bardzo długiej lufce.

– Ja jednak twierdzę – mówiła – że największym złem jest wróg wewnętrzny. Przecież i my mieliśmy wysoko postawionego szpiega w wywiadzie austro-węgierskim. Pamiętacie państwo, rok przed wybuchem wojny? Pułkownik Redl. Zdemaskowany popełnił samobójstwo. Ale u nas zdrada i szpiegostwo osiągają straszne rozmiary. Jak to możliwe, że wybucha tylko co trzeci granat wyprodukowany w Rosji? Pozostałe są wadliwe. To musi być sabotaż w fabrykach. A ten pułkownik Miasojedow i jego szajka... A teraz car zdymisjonował ministra wojny, dotychczas swego ulubieńca, Suchomlinowa, i wszędzie słychać, że on sabotował produkcję i dostawy dla wojska, nawet że też zdradził. Posądza się carycę o działania na rzecz Niemców. Pewnie słusznie. Ten jej Rasputin przecież od początku był przeciwny wojnie, a ona we wszystkim go słucha i wywiera ogromny wpływ na cesarza. Mikołaj Drugi jest tak chwiejny, ulega najgorszym wpływom. Ty, Siergieju Mikołajewiczu, jesteś monarchistą – patrzyła na Karsowa – lecz musisz przyznać, że to, co się dzieje u nas na szczytach władzy, to skandal po prostu niesłychany i kompromitacja. Państwo jest skompromitowane. Cóż z tego, że żołnierz będzie walczył i oddawał życie, skoro zdradza go własny rząd?

Dziś popierać Mikołaja Drugiego znaczy być przeciwko własnej ojczyźnie.

– Ja jestem monarchistą – Karsow znów ożywiony mówił szybko i pewnie. – Nie wierzę w zdradę carycy, a tym bardziej cesarza. I będę im wierny do końca. Być może, że samodzierżawie ma swoje wady i nie pasuje do tych czasów, do świata, który nadchodzi, ale przecież czemuś trzeba być wiernym. Jako żołnierz przysięgałem. Trzeba być wiernym! Czy wierność nie jest już wartością? W młodości marzyłem, że dokonam czegoś ważnego. Próbowałem malować, rzeźbić, chyba nawet nieźle, ale przekonałem się, że wielkiego talentu nie mam. Próbowałem pisać... To samo. Przez całe życie tylko jako żołnierz i kawalerzysta mogłem się czymś pochwalić. Nie dokonałem niczego wielkiego, więc teraz mogę zrobić tylko jedno. Umrzeć pięknie. No, śmierć, umieranie... To dopiero musi być przygoda!

– Sierioża! – jęknęła Nadieżda. – Błagam cię!

– Ale wracając do szpiegostwa... Sprawa Miasojedowa wcale nie jest tak jasna, jak się wydaje. Swego czasu proponowano mi, żebym został adiutantem ministra Suchomlinowa. Odmówiłem. Całą wojnę z Japonią przesiedziałem w różnych sztabach i miałem tego dość. Ale przy okazji spotkałem się przelotnie z Miasojedowem, który tam wówczas pracował, a co ważniejsze, zawarłem bliższą znajomość z jednym z adiutantów ministra. Miasojedow wywarł na mnie całkiem dobre wrażenie, a adiutanta spotkałem niedawno w mieście i opowiedział mi bardzo wiele o tej sprawie. Więc przede wszystkim proces odbył się przed sądem polowym, a następnego dnia Miasojedow już wisiał. Nie dano mu prawa do obrony. Kilka godzin przesłuchań podejrzanego, świadków i natychmiast wyrok. Skąd ten niezwykły pośpiech? Sądy polowe powołane są do rozpatrywania spraw zupełnie jednoznacznych, powiedzmy coś w rodzaju ujęcia na gorącym uczynku. Tak jak u mnie w pułku z tym porucznikiem. A tutaj w ogóle nie było wyraźnych dowodów winy. Za to silne naciski w kierunku szybkiego i surowego wyroku. Zwłaszcza ze strony sztabu generalnego i wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Oskarżyciel przypomniał pomówienia pułkownika o szpiegostwo z tysiąc dziewięćset dwunastego roku, wtedy całkowicie obalone. Teraz zarzucano mu, że zajmował się jakimiś podejrzanymi interesami z Żydami. Spółka okrętowa, której był prezesem, mimo że będąc w wojsku, nie miał prawa prowadzić prywatnego przedsiębiorstwa. No, oczywiście, że to nieładnie, nie w porządku, ale to przecież nie szpiegostwo. Tamci Żydzi byli podejrzeni, zresztą, jak państwo pewnie wiecie, kilku Żydów spośród tamtych zaraz po Miasojedowie też osądzono i powieszono. W ogóle, każdy, kto się z nim zetknął, znalazł się w kręgu podejrzeń i mnóstwo ludzi aresztowano, zupełnie przypadkowych. Rodzianko<sup>3</sup> powiedział w Dumie, że każdy, nawet ten, co tylko czyścił Miasojedowowi buty, powinien być powieszony. Prasa to podchwyciła, rozpętała się szpiegowska psychoza. Drugi zarzut wobec Miasojedowa to fakt, że znaleziono przy nim spis miejsc

stacjonowania wszystkich sztabów wojennych 10. Armii. Miał je przekazać Niemcom, na co zresztą nie przedstawiono żadnych dowodów. A wskutek przekazania tych informacji nastąpiła straszna klęska w zimowej bitwie nad jeziorami mazurskimi i całkowite zniszczenie XX Korpusu, w którym Miasojedow pełnił funkcję szefa kontrwywiadu. Tylko że Miasojedow dostał ten spis jak najbardziej legalnie, po prostu musiał go mieć z racji funkcji, a co najważniejsze, dostał go dziewiętnastego stycznia. A więc po klęsce! Trzy dni później! Więc co te dwa fakty mogą mieć ze sobą wspólnego?

– Więc pan twierdzi, że Miasojedow był niewinny? – dziwiła się księżna.

– Ciociu – rzekła Nadieżda – znam dobrze hrabinę Solską. Też uparcie twierdzi, że on padł ofiarą nagłej potrzeby ukrycia prawdziwych przyczyn naszych klęsk na wojnie. To jego ciotka, więc słuchałam tego sceptycznie, ale po tym, co mówi Sierioża...

– To jest bardzo prawdopodobne – wtrącił się Niesłuchow. – Mam znajomego dziennikarza, który badał rzecz bardzo dokładnie i mówi to samo. Co znamienne, zaraz po procesie próbował opublikować wyniki swoich dochodzeń, lecz żadna gazeta nie przyjęła artykułu. Mówił też, że Miasojedow konał, dusząc się na szubienicy przez ponad kwadrans, tak go wieszano nieudolnie, a może celowo. Ta afera przypomina sprawę Dreyfusa we Francji. Tylko że tam opinia publiczna była podzielona, jedni byli przekonani o winie, inni bronili. I w końcu go zrehabilitowano. A u nas od razu wszystkie gazety i cała opinia publiczna zgodnie domaga się krwi. Potrzeba kozłów ofiarnych, proszę państwa! Generalicja musi odwrócić uwagę od własnych błędów i nieudolności. Na to wygląda. Być może także, że chodziło o uderzenie w ministra Suchomlinowa, który przyjaźnił się z Miasojedowem i na początku wojny pomógł mu powrócić do szeregów armii.

– W sprawie tamtych oskarżeń... – Doktor Stütz podniósł dłoń, dając znak, że chce coś powiedzieć. – Tak się składa, że znam ich tło. Sprawa była grubymi nićmi szyta przez Ochronę, której Miasojedow bardzo się naraził w czasie procesu w tysiąc dziewięćset siódmym roku w Wilnie. Kilku ludzi oskarżono wówczas o przemykanie rewolucyjnej bibuły. Był w tym czasie szefem żandarmerii w przygranicznym Wierzbołowie i z tego powodu znał sprawę. Przesłuchiwany jako świadek odmówił składania zeznań, zasłaniając się tajemnicą państwową. Kiedy jednak sędzia zwolnił go z tajemnicy, opowiedział, co wie. Otóż cała rzecz była mistyfikacją Ochrony, która potrzebując sukcesów, wrobiła w przestępstwo zupełnie niewinnych ludzi. Późniejsze oskarżenia Miasojedowa o szpiegostwo, te z dwunastego roku, były zemstą Ochrony za te zeznania. No i zostały obalone, ale odium pozostało i pułkownik musiał odejść z żandarmerii.

– Ale on narobił sobie wrogów nie tylko w Ochronie – mówił Niesłuchow. – Wiadomo, że wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, do niedawna nasz wódz naczelny, nienawidzi Suchomlinowa, bo wyśmiał przed carem jego plany reform

w wojsku. W ogóle wokół rządu ścierają się wpływy kilku kamaryli dworskich. Władza i wpływy dają możliwości brania łapówek, tym większych, im wyżej. Mam do czynienia z dostawami dla wojska, więc coś niecoś o tym wiem. Nie twierdę, broń Boże, że Suchomlinow jest szpiegiem lub że celowo szkodził armii, lecz wiem, dlaczego na przykład to angielski Vickers dostarcza nam armaty, a nie rosyjskie fabryki z Tuły, chociaż nasze są o siedemdziesiąt procent tańsze.

– Łapówka za coś takiego? Przecież od tego zależy życie żołnierzy na froncie! To straszne. – Katia kręciła głową z niedowierzaniem. Aż zamilkła na chwilę. Więc oczywiście ojciec także załatwia swoje kontrakty za pomocą łapówek. To by jej nie przyszło do głowy. Boże, jaka jest naiwna! Co się dzieje z rodziną Niesłuchowych? Ciotka Tatiana, księżna-rewolucjonistka w szpitalu psychiatrycznym, matka i jej Karsow się narkotyzują. On wygłasza jakieś szalone brednie o pięknie wojny, a ona zakochana w nim na zabój, niczego już nie rozumie. Ojciec robi ciemne interesy, Igor, Lara i jej narzeczoney to komuniści. A ona sama zamężna z Polakiem, który jest teraz wrogiem Rosji. Czy jest jedyną normalną osobą w tej rodzinie? A może to nienormalne wyjść za mąż za Polaka? Przecież stała się obca we własnej rodzinie. Nie pasuje do nich. Stała się obca w swojej ojczyźnie! Gdyby nie wojna, już by jej tu nie było. Szczęście, że jest mały Janek... – Do dziś byłam przekonana – ciągnęła po chwili – jak wszyscy zresztą, że to Miasojedow<sup>4</sup> i mnóstwo innych szpiegów winni są naszych klęsk na froncie. Teraz wątpię...

– Spraw, o których błędnie sądzimy, jest na pewno więcej – wtrąciła księżna.

– No właśnie. Zdaje się, że my, zwykli Rosjanie, mamy obraz tego, co się dzieje niezupełnie przystający do rzeczywistości. Nieraz się z tym spotykałam, widać to zwłaszcza, kiedy się jest za granicą. Mamy jako tako wolną prasę i gazety zwalczających się partii podają różne oceny, a jednak widzimy zaledwie teatr marionetek poruszanych przez niewidoczne siły. Cały nasz świat, a w każdym razie wiele spraw z wielu dziedzin, to być może taki teatr marionetek, w którym nie spostrzegamy prawdziwych przyczyn ani sprawców. Jesteśmy jak ci Platonscy więźniowie w jaskini, sądzący o świecie jedynie na podstawie cieni na ścianie. To taka nasza fałszywa świadomość.

– No tak, proszę państwa, więc nie Miasojedow spowodował nasze klęski na wojnie. W takim razie co? Pułkownik Karsow, dlaczego nas biją? – spytał doktor Stütz.

Hrabia westchnął głęboko:

– Oprócz bolszewików... artyleria, panie doktorze. Niestety, w tej wojnie o zwycięstwie decyduje artyleria. Muszę to przyznać, mimo, że jestem sercem z kawalerią. Ostrzał artyleryjski powoduje ogromną większość strat w ludziach. Na początku wojny, kiedy byłem ranny, jechałem wagonem szpitalnym. Teraz mamy już kilkadziesiąt nie wagonów, lecz pociągów szpitalnych. Mamy co najmniej

dziesięć razy mniej dział niż Niemcy. Straszny brak karabinów. Straszny brak amunicji. Przypuszczano, że wystarczą zapasy nagromadzone w czasie pokoju; nikt nie myślał, że wojna potrwa tak długo. A po kilku miesiącach rezerwy się wyczerpały. Pod koniec ubiegłego roku policzono, że potrzebujemy stu tysięcy karabinów miesięcznie. A produkuje się czterdzieści tysięcy.

– Z braku pieniędzy czy możliwości produkcyjnych? – spytał doktor.

– Raczej z braku możliwości. No i jeszcze jedno. Nasi dowódcy! Młodzi oficerowie mówią, że nie obawiają się tak Niemców jak własnych generałów. Muszę się z tym zgodzić.

## KALENDARIUM

### 1915

14 lutego – w Kętach 140 legionistów zostaje odznaczonych orderami austriackimi, których jednak nie przyjmują.

Kwiecień – w Turcji zaczyna się rzeź Ormian. Podejrzewa się ich o sympatyzowanie z Rosją. Jest to pierwsze ludobójstwo XX wieku. Dokonuje się na polecenie władz państwa. Ludzie są topieni, spychani w przepaści górskie, paleni żywcem, zakopywani w ziemi, przybija się im podkowy końskie. Do 1917 roku Turcy – muzułmanie wymordowali około 1,5 miliona prawosławnych Ormian.

2–5 maja – bitwa pod Gorlicami; państwa centralne przełamują front rosyjski.

7 maja – niemiecki okręt podwodny zatapia *Lusitanię*, statek pasażerski należący do neutralnych Stanów Zjednoczonych.

22 maja – Austriacy odzyskują Lwów. Niemcy zaczynają ofensywę na Litwę, Kurlandię i Królestwo Polskie.

Od wiosny 1915 roku narasta konflikt Piłsudskiego z Komendą Legionów i Naczelnym Komitetem Narodowym lojalnym wobec Austro-Węgier i szefem jego departamentu wojskowego Władysławem Sikorskim. „Rosja będzie pobita – mówi Piłsudski do Ignacego Boenera – ale państwa centralne też będą pobite. Magazynować siły do rozprawy z Austrią i Niemcami!” 23 sierpnia wstrzymuje werbunek do Legionów, a stara się zwiększać nabór do Polskiej Organizacji Wojskowej.

5 sierpnia – Niemcy wkraczają do Warszawy.

18 września – Niemcy wkraczają do Wilna.

22 września – Francuzi rozpoczynają ofensywę w Szampanii.

Wrzesień – w Zimmerwaldzie pod Bernem odbywa się konferencja europejskich partii marksistowskich. Lenin żąda przekształcenia wojny światowej w domową, czyli wykorzystania jej do wywołania rewolucji socjalistycznych



w całej Europie. Powoduje to powiększenie rozłamu w ruchu – na nurt rewolucyjny i socjaldemokratyczny.

6 października – Austriacy rozpoczynają ofensywę w Serbii i do grudnia zajmują ją całkowicie.

12 grudnia – w Niemczech powstaje pierwszy w całości metalowy samolot.

<sup>1</sup> Do podobnego zdarzenia na większą skalę – ataku jedenastu szwadronów rosyjskiej kawalerii na okopy bronione przez Legiony Polskie – doszło pod Wołczeckiem w czasie bitwy pod Kostiuchnowką w lipcu 1916 roku.

<sup>2</sup> Autentyczne.

<sup>3</sup> Michaił Wasilewicz Rodzianko (1859–1924), lider prorządowego Związku 17 Października (oktiabrystów), przewodniczący Dumy Państwowej.

<sup>4</sup> Sergiusz Mikołajewicz Miasojedow niewątpliwie był niewinny, a nawet miał zasługi dla wywiadu 10. Armii.

## Kostiuchnówka

5 listopada 1915 roku noc była pochmurna i o szóstej rano wciąż jeszcze było ciemno. Gęsta mgła zasłaniała wszystko, nie widać było nawet kępy drzew na przedpolu odległej o pięćdziesiąt metrów. Wilgoć wisiała w powietrzu i ludzie marzli w okopach, czekając na rozkaz do ataku. Mgła dawała szansę zaskoczenia Rosjan. Ruszyć mieli o świcie.

Sztab II Brygady pracował w ziemiance kilkadziesiąt metrów za linią okopów. Była zamaskowana wśród nierówności terenu i pokryta obrzuconym darnią daszkiem przeciwszrapnelowym. Dym papierosowy wisiał w powietrzu równie gęsty jak mgła za oknem. Jan prawie nie spał tej nocy. Pułkownik Küttner i podpułkownik Minkiewicz<sup>1</sup>, komendant 3. Pułku Piechoty stali przy mapie wiszącej na ścianie. Podpułkownik miał poprowadzić atak.

– Mgła zaraz opadnie i ludzie zostaną zauważeni po przejściu kilkadziesiąt metrów. Nie zaskoczmy ich! – Minkiewicz zdenerwowany ledwie się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć. – Nie ma gdzie się kryć, teren jest otwarty i bagnisty. Proszę pana, aby zmienił pan rozkaz. Uderzmy po przygotowaniu artyleryjskim. Wykrwawiamy się już od kilkunastu dni. Nie wolno tak szafować ludzkim życiem. Dość, wystarczy!

Küttner poczerwieniał i nie odpowiadał. Wpatrywał się w mapę, wyglądał przez okno na przedpole, gdzie i tak niczego nie było widać.

– Panie pułkowniku! – Minkiewicz zrobił krok w stronę Küttnera, natarł na niego, jakby chciał go odepchnąć od okna. Bardzo wysoki i ciężki, patrzył na Austriaka z góry.

W ziemiance wszyscy zamilkli. Kapitan Vagas, szef sztabu, odłożył ołówek na stół, wstał z krzesła i znieruchomiał. Zachowanie podpułkownika Minkiewicza graniczyło z niesubordynacją. Sytuacja stała się napięta. Jan przypomniał sobie rozmowę z generałem Kestřankiem, kiedy usłyszał, że Legiony będą dla Austriaków tylko mięsem armatnim.

– Wczoraj dzięki mgle udało się to Rosjanom – powiedział Küttner. – Dziś uda się nam.

– Właśnie dlatego się nie uda, będą czujni...

– Mam rozkaz Komendy Legionów, uderzymy, jak zaplanowano, o świcie.

Minkiewicz podejrzewał, że Küttner kłamie, rozkaz Komendy Legionów mógł dotyczyć natarcia, lecz z pewnością nie sposobu jego wykonania. Zacisnął zęby, stanął na baczność, skinął głową i wyszedł.

Na Wołyniu od dwóch tygodni – po raz pierwszy od początku wojny – trzy brygady Legionów walczyły jako jedna formacja. Siedem tysięcy żołnierzy i czterysta koni II Brygady – zwanej teraz Żelazną albo Karpacką – zostało

przewiezionych transportem kolejowym przez Lwów, Lublin i Kowel do stacji Maniewiczze i prosto z wagonów weszło do walki w rejonie Kostiuchnówki. Toczyły się tu zacięte boje, w których obie strony to posuwały się naprzód, to cofały. Dzień wcześniej, 4 listopada o świcie i we mgle XXI Brygada austro-węgierska została przez Rosjan zaskoczona i pobita wycofała się, pozostawiając niebezpieczną lukę w linii frontu. Teraz zamknęli ją legionieści.

Jan szedł okopem i widział ludzi siedzących z karabinami w rękach – jedni palili papierosy, inni modlili się, bezgłośnie poruszając ustami. Jego ordynans, Bartek Kowal, osiemnastoletni chłopak, rolnik spod Wieliczki, klęczał obok księdza Panasia, szeptał mu na ucho, kończył spowiedź. Ksiądz podał mu stułę do pocałowania, uczynił nad jego głową znak krzyża i podał hostię. Bartek przymknął oczy, potem włożył hełm, zapiął pasek pod brodą i umocował bagnet na karabinie. Splunął w dłonie, zatarł; oczy mu błyszczały.

– A ty dokąd? – zdziwił się Jan.

– Na Mochów<sup>2</sup>, panie rotmistrzu, pozwoli pan? Wojuję już tyle czasu i jeszcze nie byłem w boju.

– Mowy nie ma! Natychmiast do koni. Zgłosisz się do wachmistrza koniuszego, ma ci dać zajęcie.

– Tak jest. – Chłopak zmarkotniał, ale posłusznie zdjął hełm i ruszył okopem w stronę rowu łącznikowego na tyły.

Słońce pojawiło się nagle w jakimś prześwicie między chmurami i mgłą zaczęła się osuwać na ziemię jak kurtyna w teatrze.

– Naprzód, naprzód! – usłyszał Jan głosy biegnące wzdłuż okopu.

Wychodzili i szli bezgłośnie po mokrej trawie. Biegli jeszcze przez chwilę, ginęli we mgle, lecz im byli dalej, tym więcej pojawiało się pochyłonych, szarych sylwetek, biegnących w ciszy jak duchy.

Padł daleki pojedynczy strzał od strony Rosjan. A po sekundzie odezwały się karabiny maszynowe i rozpętało piekło artylerii. Ziemia przed atakującymi zawrzała od wybuchów; tony ziemi i błota wznosiły się w powietrze długą ścianą ognia i przykryły biegnących ludzi. Padali, by się ukryć, padali zabici, padali ranni. W górze rozrywały się różowe obłoczki szrapneli. W dali widać teraz było zabudowania Kostiuchnówki, mostek na Garbachu, wzgórze koło cegielni i błyskające ogniem baterie dział, poukrywane wśród zabudowań. Wschodzące słońce oświetliło ciągnącą się przed nimi aż pod horyzont równinę, szmat mokradła, nieużytków, kępy trzcin i krzewów, a przed wioską, kilkaset metrów za zaporą ognia dział – okopy rosyjskie. Nieosiągalne! Ściana ognia artylerii była nie do przejścia.

Kiedy po godzinie wszystko ucichło, ksiądz Panaś wędrował po polu i udzielał ostatniego namaszczenia umierającym.

Kiedy wrócił do sztabu, miał łzy w oczach. Powtarzał:

– Cała tyraliera zabitych, tylu ludzi, tylu ludzi, leży cała tyraliera zabitych...  
Straty poniesione przez pododdziały 2. i 3. Pułków Piechoty były tak wielkie, że niektóre plutony przestały istnieć.

\* \* \*

Cztery dni później, 9 listopada, dowództwu udało się ściągnąć z sąsiedztwa ponad sto dział różnego kalibru i moździerzy. Razem z własną artylerią trzech brygad stanowiło to już bardzo poważną siłę. Natarcie ruszyło po półtoragodzinnej nawale ogniowej na rosyjskie stanowiska w Kostiuchnówce. Ogień był bardzo celny, miał złamać morale obrońców. Mimo to Rosjanie bronili się zaciekle. Pod koniec walczone już na bagnety w okopach. Po południu miasteczko zostało zdobyte.

Tego dnia zaraz po śniadaniu Bartek Kowal gdzieś się zawieruszył. Pojawił się dopiero wśród wracających po bitwie. Niósł garść rosyjskich orderów, zerwanych z piersi jakiegoś majorowi, którego zakłuł bagnetem. Miał też płytką, lecz długą ranę na policzku.

– Będzie piękna blizna, panie rotmistrzu, prawda? – Był z siebie bardzo dumny.

– Bartek! Powinienem cię ukarać – powiedział Jan. – Daruję ci, bo dobrze się spisałeś. Ale teraz będę cię lepiej pilnował.

– Ku chwale ojczyzny, panie rotmistrzu! – Chłopak uśmiechał się szeroko, był szczęśliwy.

Jan pogroził mu palcem:

– Ku chwale ojczyzny przyjmuje się pochwały, a nie nagany.

Przez następne dni Bartek z kolegami penetrował okopy i ziemianki po Rosjanach i znosił łupy wojenne. Były tam oficerskie koniaki, herbata i ser wielkości koła młyńskiego. Przyniósł też Janowi kilka rosyjskich gazet. Jan je przeglądał, ciekaw co piszą o sytuacji na froncie. Przerzucał strony kadeckiej „Rieczii”, kiedy z fotografii na trzeciej stronie spojrzała na niego Katia. Niesamowite! To było zdjęcie z prób *Gracza* w Teatrze Maryjskim. Obok pisano o jej występach dla żołnierzy na froncie. Tę gazetę nosił teraz pod mundurem na piersi. Wydawało mu się, że Katia patrzy na niego z wyrzutem: „Dlaczego nie piszesz, Jan?”.

Musi jakoś wysłać list do niej.

\* \* \*

Atak legionistów wzbudził podziw Niemców z sąsiednich oddziałów. Nazwali bezimienny las pod Kostiuchnówką Polenwald – Polskim Laskiem, wzgórze z cegielnią Polenberg – Polską Górą, a mostek na Garbachu Polenbrücke – Polskim Mostem. Stosunki z Niemcami układały się coraz lepiej. Już miesiąc

wcześniej dowódca grupy armii niemieckich generał Gerocke składał gratulacje Piłsudskiemu za zdobycie Kukli i Jabłonki, a w swoich oddziałach zarządził, aby przez trzy dni na apelach wojsko wznosiło okrzyki „Hura!” na cześć Polaków. Teraz nawet Austriacy zaczęli z większym szacunkiem odnosić się do Legionów. W rozkazach Armeeoberkommando pojawiło się niespotykane przedtem określenie „Wojsko Polskie”.

Jesienią 1915 roku na całym froncie wschodnim ciągnącym się od Tarnopola do Dyneburga ustały działania ofensywne. Szła zima i było prawdopodobne, że do wiosny żadna ze stron nie podejmie nowej ofensywy. Polacy obsadzili odcinek chroniący łukiem od wschodu Kowel. „Polski front” liczył około 60 kilometrów. Były tam niewielkie odcinki bronione przez Austriaków i Czechów, którzy często i gromadnie przechodzili na stronę Rosjan. II Brygada miała wkrótce odejść na wypoczynek do Wołczecka. Jan uznał, że wobec tego może starać się o urlop, żeby spróbować dostać się do Hamburga, skąd miał nadzieję wysłać przez Szwecję i Finlandię list do Katii.

\* \* \*

W dziale personalnym Komendy Legionów przyjął go korpulentny major pochłaniający właśnie śniadanie w otoczeniu dwóch referentów w mundurach.

– Urlop? Proszę bardzo. Ile? Cztery tygodnie, pięć? A marszruta?  
– Chcę pojechać do Krakowa, do rodziny, ale też do Hamburga.  
– O, do Hamburga? Po co?  
– W sprawach rodzinnych.  
– Ale na teren Niemiec my zezwolenia nie możemy wydać. Z tym trzeba by się zwrócić do Niemców. Małe szanse... właściwie żadne. Ale wie pan... Pan zna może osobiście brygadiera Piłsudskiego? Nie? To szkoda. On jest w dobrych stosunkach z dowódcą grupy armii generałem Gerockem. Pewnie mógłby pomóc. Wie pan co, chodźmy! – Wziął Jana za ramię. – Brygadier jest właśnie obok, w dowództwie. Jak wyjdzie, porozmawiamy z nim.

Wyprowadził zdziwionego i trochę opierającego się Jana na korytarz, kiedy właśnie otworzyły się drzwi do gabinetu generała Trzaski-Durskiego. Piłsudski jeszcze stojąc w drzwiach, mówił podniesionym głosem:

– Jak ludzie nie dostaną mundurów i butów, to wyślę ich wszystkich do szpitala, ostrzegam! W gaciach i na bosaka walczyć nie będziemy...

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Krok za nim Wieniawa-Długoszowski. Major zastąpił im drogę.

– Panie brygadierze – powiedział – bardzo proszę o chwilę, rotmistrz Szawernowski z Drugiej Brygady miałby do pana prośbę.

Jan był zażenowany:

– Nie, nie, to prywatna sprawa, nie chciałbym nią zaprzętać...

– O! Szawernowski, słyszałem – odezwał się Wieniawa. – Komendancie, to musi być ten człowiek, który przyłączył się na ochotnika do szarży pod Rokitną. Prawda? – Spojrzał pytająco na Jana, który skinął głową.

Piłsudski stanął o krok od niego z wyciągniętą ręką. Bardzo mocno uściśnął mu dłoń i przytrzymał przez chwilę, uważnie patrząc Janowi w oczy.

– Mówcie. O co chodzi?

– Bardzo przepraszam, to pomyśl pana majora, ja nie chciałem...

– No, mówcie, mówcie...

– Jadę na urlop i muszę się dostać do Hamburga. Podobno tylko Niemcy mogą dać pozwolenie. Pan major uważa, że pan Komendant mógłby przez swoje dobre stosunki z generałem Gerockem...

– Przyjdźcie do mnie wieczorem na kwaterę. Porozmawiamy – rzucił Piłsudski z uśmiechem.

Jan zasalutował. Szli do wyjścia. Jan widział jeszcze, jak Wieniawa z ożywieniem coś tłumaczy Komendantowi.

\* \* \*

Ziemianka Komendanta niczym nie różniła się od żołnierskich. Wejście z okopu, wewnątrz wyłożone brzoźowymi okrągłakami, małe i ciasne. Niewielkie okienko zasłonięte brezentem, tuż nad ziemią. Tylko prycza, stół, dwa krzesła i trzy stołki. Na ścianach półki, blaszane talerze i kubki, kilka książek. Jedna lampa naftowa pod sufitem, druga na stole. Na kołkach na ścianie płaszcz i szabla.

Piłsudski dwoma palcami, mozolnie, wystukiwał coś na maszynie do pisania. Pochylony, z wielkimi brwiami i wąsami wydawał się Janowi podobny do drapieżnego ptaka. Było zimno i wilgotno. Na ramiona miał narzuconą kurtkę podbitą futrem, jasny szalik owinięty wokół szyi.

– Tylko chwila, siadajcie, rotmistrzu – powiedział. – Dopiero się uczę. Jak mnie narodek po wojnie nie będzie chciał w wojsku, będę miał fach w ręku. – Skończył, wyciągnął papier z wałka, przebiegł wzrokiem po tekście i podpisał. – No, opowiedzcie, jak to się stało, że przyłączyliście się do tej samobójczej szarży.

– Panie Komendancie, tak się złożyło, przywiozłem Wąsowiczowi ten straszny rozkaz i poczułem, że po prostu nie wypada czegoś takiego dostarczyć, a potem wrócić do okopów i patrzeć, jak oni giną. To był impuls, wydało mi się, że byłoby hańbą w tej sytuacji nie pojechać z nimi... Miałem w tym szwadronie przyjaciół.

– No, tak... – Piłsudski bardzo uważnie patrzył Janowi w oczy. – Rozkaz wykonany został wzorowo, wspaniale, to godne podziwu, najwyższego podziwu... Ale rozkaz zbrodniczy. Nie należy krytykować dowódcy wobec podwładnego, jednak dla pułkownika Küttnera muszę zrobić wyjątek. Od dawna już domagamy się usunięcia z Legionów oficerów niebędących Polakami. Armeoberkommando

nie chce o tym słyszeć.

– Rzeczywiście, Austriacy szafują naszą krwią bez skrępowań. Ale ten rozkaz wydał Vagas, szef sztabu. Küttner tego dnia nie dowodził, tylko się przyglądał.

– Naprawdę?! Mówiono mi o tym, lecz nie wierzyłem.

– Rano przyszedł do sztabu i oświadczył, że jest trzynasty dzień miesiąca, więc zdaje dowództwo Vagasowi.

– No niesłychane, umył ręce! – Piłsudski kręcił głową z niedowierzaniem. – A wy? Nic wam się nie stało? Żadnych ran? Gratuluję odwagi. Podziwiam, podziwiam.

– Panie Komendancie, niczego wielkiego nie dokonałem. W czasie całej szarży... tylko jednego Moskala, szabłą... Zresztą to także jedyny od początku wojny.

– Tylko jednego! – Piłsudski śmiał się głośno. – I uważacie, że to niewielka zasługa? Gdyby tylko co czwarty Polak zabił jednego Moskala, byłibyśmy wolni. Panie rotmistrzu! Na wojnie nie zawsze chodzi o to, żeby jak najwięcej zabijać. Wy tak nastraszyliście Moskali, że następnego dnia już ich nie było pod Rokitną, prawda? Na wojnie czasem dobre skutki daje brawura, nawet bezczelność. Gdyby pan wiedział, ile razy doprowadzaliśmy Rosjan do ucieczki, atakując niewielkimi siłami. Pod Limanową, pod Uliną... Po prostu do głów im nie przychodziło, że jest nas tak niewielu, skoro tak zdecydowanie atakujemy. Czasem to daje korzyści taktyczne. Czy wiecie, rotmistrzu, że kiedy walczą ze sobą zwierzęta tego samego gatunku, o terytorium na przykład, o pożywienie lub o samicę, to prawie nigdy się nie zabijają? W którymś momencie słabszy się poddaje. A czasem tylko się wzajemnie straszą. No, niestety, my wojny nie wygramy, strasząc Rosjan. Szkoda! Ale... przejdźmy do rzeczy. Jeśli mam pomóc, muszę jednak spytać, o co chodzi z tym Hamburgiem.

Jan opowiedział o Katii. Jak ich rozdzieliła wojna i jaką drogą przyszedł od niej list.

– A więc to historia miłosna.

– Nie tylko miłosna, teraz także rodzinna. Katia jest moją żoną i mam w Petersburgu synka, którego dotychczas nie widziałem.

– Rozumiem. – Piłsudski spochmurniał, zamyślił się. Tego dnia rano dostał wiadomość o aresztowaniu Aleksandry. Zaraz do niej napisał i nie miał żadnej pewności, czy ona ten list dostanie. Nie miał zwyczaju się zwierzać z takich rzeczy, opowiadać, i sam się zdziwił, słysząc, jak mówi: – Rozumiem to dobrze, bo właśnie moja pani znalazła się w niemieckim więzieniu w Szczypiornie. Za pracę przy werbunku do POW. Też się zastanawiam, jak dostarczyć list.

Zakaszłał gwałtownie, szybko oddychał. Oczy mu błyszczały, Jan dopiero teraz spostrzegł, że Komendant chyba jest chory.

– Panie Komendancie, pan źle się czuje, nie chciałbym przedłużać...

– Nie szkodzi, nie szkodzi. – Wstał, wziął z półki butelkę wina i kubki. Ten młody człowiek... Musi mieć coś w sobie, że tak się przed nim otworzył. – To dobry węgierski tokaj, napijmy się – mówił. – Zaraz napiszę do generała Gerockiego. Mam nadzieję, że nie odmówi. Będziecie musieli sami ten list zawieźć. Wiecie? Jak byłem bardzo młody, to tak nienawidziłem Rosjan, że gotów byłem ich wszystkich pozabijać. To się zmieniło, kiedy ich lepiej poznałem. Pięć lat byłem na Syberii. Oni są nie tylko rabami o zniewolonych duszach. Jest w nich także ogromne pragnienie wolności. Zawsze się buntowali. Te ogromne chłopskie powstania topione we krwi! A mimo to wciąż od nowa i od nowa. Tyle razy! Rosyjska inteligencja ma silne poczucie odpowiedzialności za całe zło caratu. Trochę nawet irracjonalne. Poznałem wielu Rosjan, którzy gotowi byli na śmierć i umierali za swoje ideały. Podziwiałem ich. A wy, rotmistrzu? Co zrobicie po wojnie?

– Sprowadzę żonę i synka do Polski, oczywiście. Będzie wolna Polska, panie Komendancie?

– Jakaś będzie na pewno. Może mała i słaba, zależna od zaborców, okrojona... A może wielka i silna, to zależy od wielu rzeczy, ale głównie od nas samych. Niestety, jest zbyt wielu tych, którzy myślą, że to się samo zrobi. „Ni z tego, ni z owego będzie Polska na pierwszego!” Siedzieć tylko cicho na dupie, nie robić niczego nierozsądnego, żadnych romantycznych zrywów, bo to tylko krew... Nawet może w to wierzą, bo tak jest wygodnie i bezpiecznie.

– Panie Komendancie, chciałbym spytać... Słyszy się, że pan wstrzymuje rekrutację do Legionów, a przecież powinniśmy być jak najsilniejsi. Mówią też, że pan sam chce się podać do dymisji, odejść...

– No tak. Zastanawiam się jeszcze nad tą dymisją. Widzi pan, politycy galicyjscy zbyt tanio sprzedają naszą krew. Naczelny Komitet Narodowy, także Komenda Legionów i Sikorski; oni wszyscy nie odważają się liczyć na więcej niż na jakieś państewko polskie sfederowane z Austrią. Krwi dla ojczyzny nie wolno żałować, ale też krwią nie wolno szafować. Przecież już całe Królestwo Polskie jest wolne od Rosjan, a Franz Joseph ani Wilhelm nadal niczego nie robią w celu stworzenia państwa polskiego. Nawet niczego nie obiecują! Trzeba teraz sprawę polskiej siły zbrojnej licytować wyżej. Wojna na Zachodzie i na Wschodzie pochłania tak kolosalną liczbę ludzi, że już Niemcom i Austriakom brakuje rekruta. A będzie jeszcze gorzej. W Królestwie państwa centralne mogłyby liczyć na półtora miliona ludzi. Lecz co innego żołnierz z przymusowego poboru do obcej armii, a co innego walczący w polskim wojsku, mający za sobą polski rząd. Oni to rozumieją. Ja im mówię: „Odtąd już ani jednego rekruta za darmo!”. Jednocześnie tworzymy inną siłę, Polską Organizację Wojskową. POW nie wejdzie do walki, dopóki nie będzie to politycznie uzasadnione. Nie wykrwawi się na darmo. A po



zakończeniu wojny będzie ważną siłą. Trzeba grać na kilku szachownicach jednocześnie. Moja dymisja ma być demonstracją. Muszą się na coś zdecydować.

– A może Niemcy nie chcą niczego zadeklarować, żeby sobie nie wiązać rąk, bo liczą na separatystyczny pokój z Rosją?

– O tak! Trafne spostrzeżenie.

Piłsudski zabrał się do pisania listu do generała Gerockiego. Tak, trzeba pomóc temu dzielnemu kawalerzyscie. Ciekawy człowiek. Wieniawa opowiedział mu też o sportowych sukcesach Jana. Rotmistrz Szawernowski jest nie tylko odważny!

Jan czuł w Komendancie nadzwyczajną wewnętrzną siłę, pewność własnej drogi i prawość. Chciało się być z nim i iść z nim.

\* \* \*

W połowie grudnia 1915 roku dotarł do Hamburga. W podróży legitymował się delegacją do dowództwa portu, którego komendantem był stary przyjaciel generała Gerockiego. Miał też dziwnie wyglądającą kartę urlopową wystawioną przez Komendę Legionów. Połowa po polsku i pieczęcie z orłem piastowskim, a dalej tekst niemiecki z godłem austro-węgierskiej monarchii Habsburgów. Wszędzie, gdzie na obszarze Królestwa zatrzymywał się po drodze, musiał się meldować w niemieckiej komendzie placu, a potem jeszcze w komendzie austro-węgierskiej.

Jechał w wagonach *nur für Militär*, dla wojskowych. Cywile mogli korzystać tylko z przedziałów trzeciej i czwartej klasy. Dla Niemców wojsko było dumą, chlubą i wzorem, a oficerowie klasą uprzywilejowaną.

Wiele godzin w drodze, miarowy stukot kół, półsen. Przychodziły wspomnienia. Borowice, zabawa lokomobilą Stefka... Kwiaty rzucane Katii na dworcu do odjeżdżającego pociągu... Dotyk jej dłoni, szpital w Berlinie. Wiedeń, klaka zagłuszająca występ. Wielkanocny dyngus na krakowskim rynku... Katia w krakowskim serdaku, jaka piękna! Teraz dopiero doceniał, jak było cudownie. Jak to wszystko strasznie różni się od tego, co przyniosła wojna! Pogrzeb poległych po bitwie pod Annopolem. Ten Moskał, którego ciął szablą przez łeb w szarzy pod Rokitną. Śnił mu się już kilka razy. Głowa i twarz rozplątane na dwoje, leży na wznak z rękami rozrzuconymi, jak na krzyżu.

Wyobrażenia mieszały się z rzeczywistością, sen z jawą. Drzemał, zasypiał, śnił, marzył. Jaki jest jego synek, Janek? Może zaczyna już chodzić? Niedługo zacznie mówić. Pierwsze słowa na pewno po rosyjsku. Czy Katia pomyśli o tym, żeby uczyć go też polskiego? Czy potrafi? Jak będzie po wojnie, czy tak pięknie jak dawniej? Czy Katia znów będzie śpiewać i czy będzie jeszcze tak zachwycająco piękna jak wtedy? Czy to wszystko rzeczywiście się zdarzyło? Jak to możliwe? On i ta niezwykła kobieta, która wydawała się tak daleka, nieosiągalna.

Zaczął liczyć, od jak dawna już jej nie widział. Ile miesięcy minęło, ile dni? Nie mógł obliczyć, wciąż się mylił, trzeba by zapisywać. A ile jeszcze miesięcy, dni, godzin minie do czasu, kiedy znów będą razem?

Patrzył przez okno.

Na terenach polskich wszędzie mnóstwo zniszczeń. Całe wsie i miasteczka spalone, zrujnowane, wymarłe. Ludzie, z którymi rozmawiał, opowiadali, że Niemcy rekwirują w fabrykach maszyny, a na wsi zboże i bydło. Austriacy także zachowują się jak w kraju podbitym. Chleb, mięso, a nawet ziemniaki można kupić tylko na kartki. Jeden z podróżnych, kupiec z Ożarowa, jak wynikało z rozmowy, z przekonań endek, nie chciał wierzyć, że Legiony biją się teraz aż pod Kowlem. Podejrzewał, że Jan tak mówi, bo mu kazano. Rosjanie – uważał – nie mogli się cofnąć aż tak daleko. Na pewno wrócą, czekał ich z utęsknieniem. A przecież Rosjanie wycofując się, doszczętnie spalili Ożarów. Potem się przyznał, że armia rosyjska płaciła mu za zboże nawet trzynastacie procent powyżej ceny giełdowej, a z Niemcami jakoś nie może się dogadać.

W Niemczech także już widać było braki w zaopatrzeniu. Jakieś namiastki herbaty, kawy, masła. Na ulicach kobiety i emeryci, młodych mężczyzn prawie nie było. Piłsudski miał rację, Niemcom już brakowało rekruta.

W dowództwie portu przyjaciel generała przyjął go jak swego. Umówił Jana na następny dzień z dwoma kapitanami statków spółki Parvus & Hanecki, eksportującej do Rosji przez Szwecję towary wszelkiego rodzaju – od lekarstw po ołówki. W Rosji brakowało teraz wszystkiego. Jan dał im dwie przesyłki. Jednemu małą paczkę listów pisanych co kilka dni przez wiele miesięcy, a drugiemu tylko jeden list, w którym krótko opisał, gdzie był i co robił, oraz wiadomość o tym drugim, zawierającym kilkadziesiąt dokładnych relacji datowanych i ponumerowanych. Na wszelki wypadek, gdyby paczka nie doszła.

<sup>1</sup> Henryk Minkiewicz (1880–1940), przed wojną bojowiec PPS. Razem z Kazimierzem Pużakiem wykonał wyrok na prowokatorze Ochrony Edmundzie Taranowiczu. Zginął zamordowany przez bolszewików w Katyniu.

<sup>2</sup> Mochami nazywano Rosjan, Moskali.

## Piotrogród

Od początku roku Teatr Maryjski zmagał się z operą *Gracz*<sup>1</sup> Prokofiewa według Dostojewskiego. Libretto nie było na czas gotowe, muzyka dwudziestopięcioletniego kompozytora, który sam pisał libretto – nowoczesna, atonalna i trudna.

Katia dobrze znała krótką powieść Dostojewskiego. Zupełnie inaczej ją rozumiała teraz, kiedy miała w niej grać jedną z ról. Ruletka jako alegoria niezależnej od nas zmienności losu? Gdyby dzień wcześniej wyjechała do Krakowa, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Przypadek! Mały błąd może zniweczyć wszystko. Postawienie na jedną liczbę odrobinę większą lub mniejszą – daje powodzenie i fortunę lub klęskę i bankructwo. Przypomniała sobie samobójcę w nicejskim hotelu, leżącego pod ścianą recepcji z krwią sączącą się z ucha. Ile zależy od nas samych, a ile od losu? Życie jest grą? W ruletkę można nie grać, ale życie... żyć trzeba.

Od kilku dni jakiś człowiek wciąż zostawiał w portierni teatru listy z prośbą o rozmowę. Nie miała czasu, myślała, że to któryś z adoratorów, może jakiś zakochany szaleniec. Podeszedł do niej, kiedy jak co dzień w przerwie między próbami piła kawę i przeglądała gazety w kawiarni obok teatru.

– Bardzo panią proszę! Tylko chwila, dziesięć minut rozmowy. Tyle razy do pani pisałem.

Był między trzydziestką a czterdziestką. Dobrze ubrany, lecz garnitur z materiału w bardzo dobrym gatunku był już trochę podniszczony. Miał dużą bliznę na lewym policzku. Wysoki, barczysty, twarz może nie piękna, lecz na pewno niezwykła.

Już miała powiedzieć, żeby dał jej spokój, ale coś sprawiło, że tego nie powiedziała.

– Proszę. – Westchnęła i odłożyła gazetę. – Niech pan usiądzie.

– Może źle zacząłem – powiedział. – Może powinienem zacząć od tego, że byłem impresariem Wialcewej... Nazywam się Sawwa Riezin. Niech mnie pani zatrudni, zrobię z pani najbogatszą kobietę w Rosji.

Zaśmiała się:

– Wialcewa... podziwiałam ją. Ale jakoś sobie radzę, chociaż nigdy nie miałam impresaria.

– Jekatierino Aleksandrowna, pani Katiu! Czy pani zdaje sobie sprawę, o jakie pieniądze chodzi? Ja panią obserwuję od pierwszego występu u Jusupowych. Opera jest dla mnie wszystkim, a pani jest zupełnie niezwykła. Nadzwyczajna! Nie znam nikogo lepszego. Gdyby nie wojna, mogłaby pani zawojować Europę i świat. No, o tym pomyślimy po wojnie. A tymczasem proszę

mnie zatrudnić jako swego impresaria. Czy pani ma pojęcie, jakie pieniądze zarabiała Wialcewa? Dzięki mnie! W pewnym okresie ponad sto tysięcy rubli rocznie. I to po odjęciu mojej prowizji! Pani może zarobić jeszcze więcej. Wiem, jak panią przyjmowano na koncertach na froncie. Pani rozumie, pani czuje, czego chcą zwykli, prości ludzie. Zorganizuję pani takie koncerty w całej Rosji. W kilkuset większych i mniejszych miastach w Rosji. A po wojnie w Europie i na całym świecie. W teatrze potrafię uzyskać zmiany w kontrakcie, porozumienie.

Katia przyglądała się Riezinowi i nie wiedziała, co o tym myśleć. Od wybuchu wojny, od kiedy nie występowała poza Piotrogradem jej zarobki bardzo zmalały. Teatr Maryjski dawał przedstawienia tylko raz w tygodniu. Oprócz oper wystawiano także balety, więc czasem śpiewała zaledwie raz lub dwa razy w miesiącu. A przecież trzeba myśleć o przyszłości, o Janku. Po wojnie, kiedy przeniesie się do Polski albo do Szwajcarii czy gdzie indziej... Nie wiadomo, jak tam będzie. Na pewno będą musieli kupić dom, Jan zarabia niewiele. Wialcewa z pewnością zarabiała miliony, lecz nie była już śpiewaczką, stała się popularną piosenkarką. Czy potem powrót do kariery na scenach operowych będzie jeszcze możliwy? Czy koncerty dla mas nie zatrzymają, nie zniweczą jej rozwoju artystycznego?

– Muszę to przemyśleć – powiedziała. – Proszę mi dać wizytówkę. Odpowiem w ciągu kilku dni. Z góry jeden warunek. Nie przestanę występować w operze.

\* \* \*

Riezin zażądał trzydziestu procent jej honorariów. Z początku wydawało jej się to po prostu zdzierstwem. Ale kiedy porównała swoje obecne zarobki z tymi, które jej obiecywał... Ale co z małym Jankiem?

– Kupimy wagon kolejowy, salonkę – powiedział Riezin. – Urządzimy ją tak, że będą osobne przedziały dla chłopca i jego niani. Dla służącej, dla chóru, instrumentalistów. Będzie jadalnia, salon, sypialnie, kuchnia i łazienka, no i przedział dla mnie.

– Mój Boże! Skąd mam wziąć pieniądze na taki wagon?

– Po kilku koncertach pieniędzy będzie dość.

– Chcę występować także bezpłatnie dla ubogich i dla żołnierzy na froncie.

– Dobrze, może jeden taki koncert na dziesięć.

– Jeden na pięć.

– Zgoda, mniej więcej; z tego może być dobry slogan reklamowy. Lecz armia musi zapłacić za bilety. No, jak najtańsze, oczywiście... A dochód przeznaczymy na pomoc dla ubogich albo dla inwalidów. To musi być wymierne finansowo. Konkretnie sumy zrobią dobre wrażenie.

\* \* \*

Tamara Karsawina<sup>2</sup>, primabalerina Teatru Maryjskiego, z którą Katia przyjaźniła się od kilku miesięcy, bardzo źle mówiła o Riezinie. Także Bolska była zdecydowanie przeciwna wiązaniu się z nim. Obydwie dobrze znały Anastazję Wialcewą i jej wieloletniego kochanka i impresaria.

– To był chory związek – mówiła Bolska. – Rzeczywiście, on dał jej miliony, ale potem już nigdy nie udało jej się wrócić do prawdziwej wielkiej sztuki, do opery. Pierwsze nagrania gramofonowe w Rosji to były jej romanse. On to zorganizował. Dużo młodszy od niej, był zakochany, a ona zdradzała go na prawo i lewo. To szalony człowiek, chociaż bardzo rzutki i zdolny. W Odessie w hotelu strzelił sobie w usta, ale tylko się zranił. Kula wyszła przez policzek. Potem, gdy chciał od niej odejść, ona się truła, też nieskutecznie. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku, kiedy zmarła na białaczkę, miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat. Wtedy gdzieś zniknął. Mówiono, że podróżuje po świecie i przepuszcza jakieś wielkie pieniądze. No i że strasznie pije. Katiu, to niebezpieczny człowiek, ostrzegam cię. Może on zobaczył w tobie jej nowe wcielenie.

Tamara Karsawina – sławna już w całej Europie po występach w Paryżu w Baletach Rosyjskich Diagilewa, starsza o dziewięć lat od Katii, była akurat w trakcie rozwodu ze swoim mężem, Wasilijem Muchinem i z tego powodu wszystkich mężczyzn uważała za łajdaków – powiedziała, że nawet góry złota nie skłoniłyby jej do współpracy z Riezinem.

Lecz Katia była już prawie zdecydowana.

– Nie chodzi tylko o pieniądze – powiedziała. – Nigdy tak świetnie się nie czułam jak na koncertach dla żołnierzy. Zawsze chciałam śpiewać dla biedoty, dać coś ubogim, tym, którzy niczego nie mają! Nigdy nie zapomnę oczu tych prostych ludzi promieniujących wdzięcznością po moim występie w Lublinie. Ich wdzięczność nie ma żadnego porównania z aplauzem widowni w pałacu Jusupowych, tych sytych bogaczy, w Operze Wiedeńskiej czy w Berlinie albo w Moskwie ani tym bardziej z oklaskami samego cara.

Mama Katii Sawwę Riezina polubiła i zaakceptowała od razu. Wypytała go o koneksje rodzinne, ile włók miał jego ojciec i kim był dziadek. Czy pochodzi z rodowej szlachty czy nobilitowanej<sup>3</sup>. W jakim towarzystwie bywał w Petersburgu i w Moskwie. Te badania wypadły pomyślnie i Sawwa zaczął bywać u Nadieżdy Niesłuchowej na herbatkach „jak najczęściej”.

Kilka dni później, po rozmowach z prawnikami, Katia podpisała kontrakt. W Teatrze Maryjskim miała śpiewać dwadzieścia dni w roku, wyłącznie pierwszoplanowe role. Cieszyła się z tej zmiany, ale i trochę się bała. Uczyła się nowego repertuaru. Sawwa zatrudnił kilku cygańskich muzyków, tancerzy, zespół na bardzo dobrym poziomie. Znów pracowała od rana do wieczora. Późnym latem mieli ruszyć w trasę koncertową. Wtedy właśnie przyszły listy od Jana. Cała

paczka i ten dodatkowy, rezerwowo, na wszelki wypadek.

Katia biegała po domu i śpiewała ze szczęścia. Nic lepszego nie mogło jej teraz spotkać. Czytała dziesiątki listów Jana wielokrotnie, czytała je małemu Jankowi, który oczywiście był jeszcze za mały, żeby rozumieć. Ale jej się wydawało, że uważnie słucha i rozumie.

– To tatuś do ciebie pisze – mówiła. I czytała mu wieczorami, dopóki nie zasnął.

Od razu zaczęła pisać do Jana. To dobry pomysł, pisać co kilka dni o wszystkim, co się zdarzyło, o wszystkim, co myśli, czuje... Nie mogła tak często wysłać listów, ale mogła je pisać, a potem wysłać kilkanaście naraz!

Riezin wyjechał na kilka tygodni w objazd po kraju zawierać kontrakty, a ona przygotowywała repertuar, śpiewała z Cyganami, chórem i cygańskimi tancerzami.

<sup>1</sup> Wielka Kronika Petersburga informuje, że premiera *Gracza* Prokofiewa według Dostojewskiego odbyła się w 1916 roku. Gdzie indziej można przeczytać, że wobec trudności z librettem i wskutek rewolucji lutowej 1917 roku, do premiery wtedy w ogóle nie doszło.

<sup>2</sup> Tamara Płatonowna Karsawina – primabalerina Teatru Maryjskiego w Petersburgu i zespołu Les Ballets Russes Siergieja Diagilewa. Odniosła razem z nim ogromny sukces w Paryżu.

<sup>3</sup> Szlachta rodowa dziedziczyła tytuł i szlachectwo w odróżnieniu od nobilitowanej, która nie miała tego przywileju.

## Wołyń

Lato 1916 roku na Wołyniu przyszło wcześniej, od razu bardzo ciepłe. Duszny wieczór pachnący żywicą i ściółką leśną przypominał Janowi dzieciństwo i podkrakowskie wycieczki. Jechał stępem na Tosce, teraz już po wojennych przygodach odkarmionej i spokojnej, ulicą Legionowa. Nazwano tak osiedle wybudowane przez żołnierzy za linią okopów, od czasu gdy jesienią poprzedniego roku front się zatrzymał i czasem tylko strzelano z karabinów z obu stron; trochę leniwie, „prawie pieśczośliwie” – jak to określił Piłsudski – i nigdy, broń Boże, nocą ani w czasie posiłków.

Komenda Legionów dostarczyła piły, siekiery, młotki, gwoździe, taczki, poziomice i inne potrzebne narzędzia. Żołnierze architekci i malarze projektowali coraz to nowe budynki, a szeregowcy pod kierunkiem górali z pierwszej brygady, świetnych cieśli, postawili stołówkę, wieczorami pełniącą rolę kasyna oficerskiego, wielką kaplicę, łaźnię, pralnię, „gmach” poczty, kilka domków dla dowództwa, a nawet kino. Wszystko to w stylu zakopiańskim, ze stromymi dachami, zbudowane z kunsztownie łączonych różnych gatunków drewna, dekorowane białą brzozą, z ukwieconymi klombami na podjazdach, otoczone ozdobnymi płotami i połączone żwirowanymi ścieżkami. Nawet w linii okopów przed ziemiankami żołnierze stawiali płotki i sadzili kwiaty. Każdy batalion, każda kompania chciała mieć najładniejsze otoczenie. Wszędzie na fasadach domów lub na klombach – znaki narodowe, orły i godła pułków; drewniane lub z kolorowych kamyków.

Jan przyglądał się temu niezwykłemu osiedlu. Jak cudownie byłoby móc już zacząć żyć zwyczajnie, coś budować, tworzyć – zamiast walczyć i zabijać. Niebawem, wszystko to miało być doszczętnie zniszczone ogniem artylerii, kiedy w czerwcu ruszyła ofensywa Brusilowa.

Był zaproszony do kasyna na urodziny przyjaciela Stanisława Lanceta-Kożuchowskiego. Lancet to był pseudonim z konspiracji przedwojennej, niewątpliwie w związku z tym, że Staś pragnął zostać chirurgiem, przed wojną studiował, lecz po trzecim roku zgłosił się do I Brygady i poszedł na wojnę.

Staś przyjmował życzenia i podarunki, lecz upijał się na smutno. Kasyno dziś było prawie puste, tylko dwa zestawione stoliki kolegów Lanceta.

– Gdyby nie wojna, pewnie bym już kończył medycynę – mówił. – Po jaką cholerę poszedłem do tych Legionów, sam nie wiem. Coś mi się wydawało, coś mi się marzyło... Mija prawie dwa lata, a Polski jak nie było, tak nadal nie widać. Ilu nas jest? Gdyby był nas milion... Chociaż pięćset tysięcy! Ale jest trochę ponad dwadzieścia tysięcy. Co to znaczy wobec wielomilionowych armii walczących w tej wojnie? Nic! Zero! To jest nic!

– No, jest nas trochę więcej – rzekł Jan. – A poza tym wielu zginęło lub liże

rany w szpitalach.

– Janku! Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć tysięcy, co za różnica? Jest nas Polaków trzydzieści milionów. Znalazło się... niech będzie, że trzydzieści tysięcy gotowych walczyć o Polskę. Jaki to odsetek? Nawet nie jeden procent! Jeden na tysiąc. To jeden promil.

Zapadła cisza.

– Uważa się powszechnie – mówił dalej Kozuchowski – że my Polacy jesteśmy wszyscy patriotami zawsze gotowymi do walki o wolność. Ale to mit! W powstaniu styczniowym walczyło ogółem około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Na cztery miliony Polaków! W wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych wzięło udział od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy osadników. A wszystkich ich było tam też około czterech milionów. Na Litwie zebrano sto pięćdziesiąt tysięcy rubli na rzecz powstania. A wiecie, ile później wydusił tam Murawjow? Trzy miliony rubli kontrybucji.

– No ale ci austriaccy dowódcy! – rzekł Zalewski. – Zupełnie nie liczą się ze stratami. Szafują naszą krew jak rosyjscy generałowie krew swoich. Küttner jest już po prostu zniechęcony. Mówi się, że to sklerotyk.

– Sklerotykiem na pewno nie jest – powiedział Jan. – Sklerotyk nie mógłby tak dobrze grać w brydża.

– No, ale krążą już o nim legendy. Kilka miesięcy temu dwaj podporucznicy, nie wymienię ich nazwisk, wymyślili sobie taką zabawę – opowiadał Zalewski. – Zaczajali się na niego w lesie obok ścieżki, którą codziennie chodził z kwatery do sztabu, i kiedy słyszeli, że już idzie, wyskakiwali na dróżkę, ściągali spodnie i robili... Potem zza krzaków przyglądali się, jak pułkownik ślizga się, klnie i obciera buty o trawę. Mieli mnóstwo uciechy! I wyobraźcie sobie, że za którymś razem nie zdążyli, Küttner ich przyłapał na podciąganiu spodni. Zapisał nazwiska w notesie. Czekali, co będzie. I wiecie, co się stało? Przy najbliższej okazji obaj zostali awansowani! Chyba coś mu się pomyliło. Skleroza, nic innego!

Wszyscy się śmiali, Jan także, jednak kręcił głową.

– Dobrze, że pan nie zdradził ich nazwisk, poruczniku – powiedział – bo to jednak gówniarze, gówniarze w przenośni, a nawet dosłownie.

– A może mają rację ci, co zostali w domach – zamyślił się porucznik Musiał. – My tu przelewamy krew, ale nic z tego nie wynika. Może to oni mają rację?

– Więc my jesteśmy straceńcami, jedynymi w Polsce patriotami czy może głupcami? – pytał wachmistrz Jałowiecki. – Nie gadajcie takich rzeczy!

– Ja jestem żołnierzem Komendanta Piłsudskiego – odezwał się z kąta wachmistrz Malik. – I jego osoba mi gwarantuje, że zostanę użyty w walce o wolną Polskę i demokrację<sup>1</sup>.

– Mnie to nie wystarczy. Nie chciałbym ginąć na próżno.



– Wiecie... Byliśmy z Komendantem na kwaterze u pewnej arystokratycznej rodziny – opowiadał podporucznik Zalewski. – Przyjmowano nas serdecznie. Wystawna kolacja, bardzo miło, sympatycznie, atmosfera patriotyczna. Nagle pani domu pyta: „I co będzie z tą naszą kochaną Polską, panie Komendancie?”. Piłsudski spochmurniał. „A co ma być, droga pani?”, mówi. „Co ma być z tym narodem, którego nigdy nie stać na zdecydowany czyn? Zginie. Trzydziestomilionowa plama na ludzkości”.

– No nie! – Jan musiał zaprotestować. – To gorycz mówiła przez niego. Przecież wszystko, całe życie, położył na tej szali. Rzucił na stos, jak w piosence. To bardzo gorzkie, to prawda, ale te wasze wyliczenia promilowe nie są prawdziwe. Trzydzieści milionów Polaków to także kobiety, starcy i dzieci. Więc nie trzydzieści milionów, lecz może dziesięć zdolnych do walki. A ilu z tych dziesięciu milionów zostało wcielonych do armii rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej? Nie wiem, ale na pewno setki tysięcy, jeśli nie miliony. Więc nie jest aż tak źle. A przecież jest także POW, Polska Organizacja Wojskowa. Ilu ludzi liczy? Nie wiemy.

– Przecież mogli dezertować z tych armii zaborczych – powiedział wachmistrz Rozbicki. – A ilu to zrobiło? Może kilkudziesięciu. Na pewno powinno nas być więcej. Ale naród jakoś się nie kwapi. Narodek, jak mawia Komendant.

– Ja w każdym razie powiedziałem sobie, że jeśli do końca tego roku nie zacznie się wyłaniać jakiś realny kształt niepodległej Polski, to złożę podanie o dymisję – rzekł Staś. – I wracam na studia. Jako lekarz może bardziej przydam się ludziom. Polska czy nie Polska, są jeszcze ludzie, zwykli ludzie, można coś dla nich zrobić.

– Polska będzie – rzekł starszy ułan Kajetan Zybortowicz dotychczas tylko przysłuchujący się rozmowie. Mówił głośno i pewnie. – Ja wierzę Piłsudskiemu bez zastrzeżeń. Wszyscy wiemy, że w Drugiej Brygadzie nie jest tak popularny jak w Pierwszej, ale to człowiek, który widzi przyszłość.

Kasyno oficerskie było oficerskim tylko z nazwy. W Legionach służyło bez stopni wojskowych tak wielu artystów i ludzi z wyższym wykształceniem, że przychodzili tam licznie także szeregowcy.

– Polska będzie – mówił Zybortowicz – a my po wojnie będziemy elitą państwa. I słusznie. Ci, którzy najmocniej przyczynili się do powstania wolnej Polski, powinni nią rządzić po wojnie, bo to są jej najlepsze dzieci. Ja nie po to wstąpiłem do Legionów, żeby po wojnie zrobić karierę, ale tak powinno być. Po wojnie będę starostą albo wojewodą, a może nawet ministrem.

Ktoś zakpił:

– Zdrowie pana ministra Zybortowicza! Jaki resort byłby pan łaskaw objąć?

– Może tak powinno być – Jan myślał na głos. – Spójrzcie, kto jest w Legionach. Trochę robotników, rzemieślników, niewielu chłopów, a głównie

profesorowie, nauczyciele, lekarze, prawnicy, urzędnicy, artyści, intelektualiści, a prawie cała młodzież to studenci i akademicy<sup>2</sup>. Któż powinien być po wojnie elitą, jeśli nie legioniści?

– No tak, jesteśmy najinteligentniejszą armią świata wszystkich czasów – rzekł Kożuchowski. – Tylu inteligentów nigdy nie zgromadzono pod jednym sztandarem. Musimy zwyciężyć!

– Jeśli mądrość wygrywa z siłą. Ale to wcale nie takie pewne.

– Najinteligentniejsza armia świata miałaby nie osiągnąć tego, o co walczy?

<sup>1</sup> Podobną deklarację złożył Władysław Broniewski od siedemnastego roku życia walczący w II Brygadzie, później z bolszewikami w 1920 roku. Świetny poeta, wielokrotnie odznaczany. Potem został komunistą, a jeszcze później bardzo się zraził do komunizmu.

<sup>2</sup> Studentami nazywano wówczas uczniów szkół średnich, a akademikami studentów szkół wyższych. Profesorowie to zarówno nauczyciele szkół średnich, jak i wyższych.

## Ługa–Piotrogród

Mały Janek klęczał na kanapie pod oknem z noskiem przy szybie i patrzył na mijane pola, lasy i wioski. Niczego bardziej nie lubił niż słuchania bajek i oglądania świata za oknem pociągu.

– Co to, to? – pytał co chwilę.

– To rzeka, a to most – odpowiadały Katia lub Nastia.

– A to, to, to, co?

– To chłopskie sanki i koniki, jadą do miasta na targ. Będą tam sprzedawać ziemniaki, jajka, mięsko.

– A to, to, co to?

– Domek dróżnika, Jasiu. Pan dróżnik zamknął przejazd, żeby nikt nie przechodził, kiedy zbliża się pociąg, żeby nie było wypadku.

– Domek, domek, domek – powtarzał chłopczyk. Mówił niewiele, ale rozumiał coraz więcej słów. Już od dawna głośno i wyraźnie mówił „mama”, „baba”, a o Nastii – „Nana”. Tylko kiedy Katia pokazywała mu zdjęcia Jana, mówił „tata”, zawsze bardzo cicho i z przejęciem, jakby zawstydzony.

Pytać mógł godzinami. Za oknami było białe jak okiem sięgnąć. Wszystko pokryte grubą warstwą śniegu; w 1916 roku już w październiku było bardzo mroźno, temperatura spadała poniżej 30 stopni, szyba była zaparowana, Janek chuchał na nią i wyglądał przez niewielkie okienko wolne od mrozu.

Wracali do Piotrogradu po półrocznym tournée po całej Rosji. Właśnie minęli Ługę. Turkot kół usypiał, pociąg kołysał, chłopiec ziewał, aż zsunął się powoli na kanapę, położył się skulony i zasnął. W saloniku urządzonego w wagonie stało pianino, niewielki stół, kilka krzeseł i sof, szafy z nutami i książkami. Osobną półkę zajmowały gazety z recenzjami i artykułami prasowymi, a na ścianach brakowało już miejsca na zdjęcia z występów. Na dywanie leżały porozrzucone zabawki chłopca, mechaniczna kolejka i klocki. Kiwał się koń na biegunach. Nastia przeglądała żurnal i piła kawę, Katia grała na pianinie jakiś nieznany dotąd romans, uczyła się nowego tekstu i muzyki, śpiewała cicho.

Mieszkali w wagonie nie tylko w drodze, ale i na postojach w kolejnych miastach, w których koncertowali. Riezin wyliczył, że to wypada taniej, niż gdyby opłacali przejazdy, restauracje i hotele. Kiedy przed sześcioma miesiącami wyruszyli z Piotrogradu do Moskwy na pierwsze występy, wagon urządzone według jego projektu był dla Katii niespodzianką. Riezin kupił go za własne pieniądze. Katia myślała o salonce, jednak dopiero gdy się przekona, że dochody z koncertów są wystarczająco duże. Sawwa nie chciał czekać, nie miał wątpliwości.

– Jeśli za dwa miesiące uznasz, że cię na to nie stać – powiedział – to dam ci

go w prezencie. A jak zobaczysz, że mam rację, to mnie spłacisz.

Wagon pomalowany na błękitno miał na zewnątrz ogromny czerwony napis: „Jekatierina Niesłuchowa-Szawernowska – Zespół Pieśni i Tańca Rosjan i Romów”. Wewnątrz ściany niebieskie i tapicerki z błękitnego jedwabiu. Miał trzy sypialnie. Jedną zajmowała Katia z Nastią i Jankiem, drugą kobiety z zespołu, a trzecią mężczyźni. Poza tym pokój Sawwy, kuchnia ze spiżarnią, salonik, dwie łazienki i jadalnia na piętnaście osób. Posiłki jadali wszyscy razem, tak chciała Katia; stosunki w zespole były koleżeńskie. W mniejszych miastach już sam przyjazd takiego wagonu wywoływał sensację.

Występy w Moskwie były bardzo udane, rozpisywały się o nich gazety. Zaczęli od Moskwy, bo tam było wielu artystów cygańskich, cygański teatr i sławny cygański chór Lebediewów. Sukces w Moskwie musiał zapewnić potrzebny rozgłos. I udało się. Moskiewscy Cyganie świetnie przyjęli Katię i jej zespół. Sawwa wszędzie miał znajomych w prasie, recenzje były doskonałe. Katia podejrzewała, że niektóre z artykułów opłacał, lecz on zdecydowanie zaprzeczał. Na wywiady z Katią zapraszali dziennikarzy do saloniku, tam też robiono zdjęcia. Zarówno występy, jak i salonka Niesłuchowej stały się sławne, Sawwa okazał się mistrzem reklamy. W Kijowie wywołał skandal, pojedynkując się z jakimś oficerem gwardii, który rzekomo źle się o niej wyraził. Skończyło się bezkrwawo, za to gazety miały o czym pisać. Przyznał, że wywołał ten incydent celowo.

– A gdybyś zginął, Sawwa?

– Ech, no to bym zginął! Ale nie bardzo się bałem. Te pistolety pojedynkowe, niegwintowane lufy... Z takiej odległości? Trafienie mało prawdopodobne.

Jeszcze gorzej było w Carycynie. Największa tamtejsza gazeta poinformowała o przyjeździe do miasta „sławnej Jekatieriny Niesłuchowej i jej kochanka Sawwy Riezina”. Katia zapowiedziała, że wytoczy gazecie proces i zaraz ukazało się sprostowanie z przeprosinami. Jednak redaktor naczelny wyjaśnił jej, że wiadomość nie wzięła się z niczego. Ktoś z zespołu miał twierdzić, że romans śpiewaczki i jej impresaria jest rzeczą powszechnie znaną. Redaktor nie chciał jednak ujawnić tożsamości oszczercy. Katia potem rozmawiała z członkami zespołu i zaczęła podejrzewać, że to mógł być sam Riezin. Sawwa na takie podejrzenia natychmiast się obraził, więc Katia nie miała pewności.

Na każdym występie był za kulisami lub w którymś z pierwszych rzędów. I zawsze przynosił jej potem wielkie bukiety kwiatów. Wszyscy widzieli, że Sawwa jest zakochany. Było to krępujące i Katia starała się zwiększyć dystans między nimi. Częściej w jego obecności mówiła o Janie, o tym, że tęskni za mężem i martwi się o niego.

Nastia zaniósła śpiącego Janka do sypialni. Katia przyglądała się leżącej na stole wielkiej mapie z wyrysowaną trasą tournée. Tak wiele miast, tyle zobaczyła,

tylu ludzi poznała. Warto by policzyć, ile tysięcy kilometrów przejechali i jak liczna publiczność ich słuchała. Kiedy ta wojna wreszcie się skończy? Kiedy ludzie wrócą do swych domów, kiedy zaczną normalnie funkcjonować teatry? Riezin mógłby zorganizować podobny objazd z repertuarem operowym po Europie. Może i Jan by z nimi pojechał? Marzenia! Zamknęła oczy i zobaczyła sale teatrów w Paryżu, Londynie, Wiedniu. Jan był tuż obok, bił brawo i przytulał ją.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z tego szczęśliwego świata. Wszedł Sawwa. Miał jakiś papier w dłoni i dziwny wyraz twarzy; krople potu na czole.

– Jekatierino Aleksandrowna, mam niedobłą wiadomość – powiedział. Od dawna mówili sobie po imieniu, skąd taka oficjalna forma? – To list od mojego przyjaciela ze szpitala wojskowego w Briańsku. Bardzo mi przykro. Sama przeczytaj... Konduktor przyniósł na stacji w Łudze.

Czytała z trudem, bo pismo było bardzo niewyraźne. Litery wielkie, lecz niekształtne.

*Drogi Sawwa, dowiedziałem się z gazet, że jeździsz po Rosji z Jekatieriną Niesłuchową-Szawernowską. Właśnie wczoraj zmarł tutaj na sali, na której i ja leżę, kapitan Jan Szawernowski, ranny kawalerzysta. Nie rozmawiałem z nim, bo przywieziono go przed kilkoma dniami nieprzytomnego, w ciężkim stanie. Podobno zabrano go z poboju gdzieś na Wołyniu. Więc piszę do Ciebie, bo może to jakiś krewny lub nawet jej mąż? Co u Ciebie?...*

Katii zakręciło się w głowie, opadła na krzesło. To niemożliwe! Niemożliwe! Umarł przed kilkoma dniami, a ona w żaden sposób tego nie poczuła? Tak po prostu odszedł, nie wysyłając do niej żadnego znaku, żadnego sygnału? Musiałaby wiedzieć! Był jej częścią, nie mogłaby nie wiedzieć, że jej część odchodzi, umiera... Nie wierzyła!

Riezin podszedł i próbował ją objąć. Odepchnęła go.

– Nie wierzę – powiedziała. Przyglądała mu się uważnie, miał coś niedobrego w oczach. – Jutro jadę do tego szpitala. Nie uwierzę, dopóki tam tego nie sprawdzę.

– Katiu! Po co? Chowają zmarłych w zbiorowych mogiłach. To będzie dla ciebie straszne przeżycie, bardzo ci współczuję, naprawdę. Lepiej tam nie jeźdź, niczego już nie zmienisz, stało się. To jest wojna, wojna nie wybiera.

Jeszcze raz wzięła list do ręki i czytała. Rzeczywiście, w Łudze konduktor był w ich wagonie, miał jakieś listy w ręce, pytał o Riezina i jednego z muzyków zespołu. Ale coś było nie w porządku.

Dopiero następnego dnia, w pociągu do Briańska, uświadomiła sobie, co wzbudziło jej podejrzenia. To pismo! Te wielkie, niekształtne litery. To chyba było pismo Riezina! Tak, tak! To musiało być jego pismo. A może jej się tylko zdawało?

W drodze do szpitala drżała cała, trzęsły jej się ręce i w gabinecie dyrektora z trudem mówiła, o co jej chodzi. Odesłał ją do kancelarii, gdzie niczego nie znaleziono. Stamtąd jeszcze skierowano ją do archiwum. Boże, Boże, niech to będzie nieprawda! Błagam, niech to będzie intryga tego podłego człowieka!

W archiwum również nie znaleziono Jana Szawernowskiego. Nie znaleziono także rzekomego znajomego Riezina, który miał napisać ten straszny list.

– Nie, z całą pewnością, nie mieliśmy tutaj pacjentów o takich nazwiskach – stwierdziła miła pielęgniarka. – Żaden Szawernowski tutaj nie zmarł, a nie ma w mieście innego szpitala. – Uśmiechnęła się do Katii, podała jej wodę. – Niech pani chwilę posiedzi i dojdzie do siebie. Jest pani blada jak papier, jeszcze pani zemdleje gdzieś po drodze.

Po powrocie do Piotrogradu nosiła Janka na rękach, śmiała się i płakała.

– Tatuś żyje, tatuś żyje, syneczku – powtarzała. Potem zadzwoniła do Riezina. – Sawwa, jesteś łajdakiem, zrywam kontrakt i nie chcę cię więcej widzieć.

– Nie, Katiu, błagam, nie! Nie rób tego.

Następnego dnia dowiedziała się, że Riezin jest w szpitalu. Próbował się zastrzelić. Znów afera, będą o tym pisać gazety. Jak mogła wdać się w taką awanturę, jak z powieści dla kucharek? Czemu nie posłuchała Bolskiej i Wiery Karsawiny? Nigdy więcej! Nigdy więcej takich znajomości.

## Kraków

Jan budził się z trudem, powoli i boleśnie. Białe, wszędzie dookoła białe. Szpital? Tuż nad nim niewyraźna twarz, delikatna i piękna. Katia! Ach tak, to Berlin, wyrzucił się z koniem na przeszkodzie, ale nic mu się nie stało. Spróbował się poruszyć, wstać... Nie mógł; poruszył tylko palcami, dłonią, potem całą ręką, jedną i drugą. Katia coś mówiła, uśmiechała się, ale nie rozumiał, prawie nie słyszał. Dlaczego Katia ma na głowie ten wielki biały czepiec siostry zakonnej? Ach, nie! To nie Katia! Gdzie ja jestem? Szpital, ale gdzie, dlaczego?

– No, nareszcie się pan budzi – usłyszał. – Nareszcie...

– Co się stało?

– Został pan ranny, bardzo ciężko.

– Nie pamiętam – mówił z trudem, cicho.

– Jest pan w Szpitalu Zakonu Bonifratrów Świętego Jana Grandego w Krakowie, już prawie dwa miesiące. Był pan w śpiączce, na szczęście wybudził się pan wreszcie.

Spróbował poruszać nogami. Z wielkim wysiłkiem zgiął lekko jedno kolano, potem drugie. Lewe mocno zabolowało.

– Proszę leżeć spokojnie – zawołała siostra. – Jest pan jeszcze bardzo słaby. Zaraz przyjdzie lekarz, zbada pana.

– Co mi jest?

– Został pan ranny w głowę, przeszedł pan trepanację czaszki. Poza tym lewe kolano i kilka jeszcze mniejszych odłamków w różnych miejscach. Jakiś granat czy szrapnel, nie znam się na tym. Niech się pan napije wody. – Podała mu kubek, wypił trochę i od razu poczuł się przytomniej.

– Pójdę po lekarza, proszę leżeć spokojnie – powiedziała. – Bardzo źle było z panem, bardzo. To cud, że pan przeżył, niech pan podziękuje Bogu!

Próbował sobie przypomnieć, co się stało. W czerwcu, tak, to było w czerwcu, ruszyła wielka ofensywa Rosjan. Ofensywa Brusilowa na całym rosyjskim froncie południowo-zachodnim. Legionowo... drewniana kaplica rozrywa się w drzazgi od uderzenia pocisku artyleryjskiego, potem kasyno i pralnia. Kiedy to było dokładnie? Nie pamiętał. Druga bitwa pod Kostiuchnówką, początek lipca. To Polacy zapobiegli przerwaniu frontu przez Rosjan, skutki byłyby oczywiście bardzo poważne. Wielkie straty szczególnie w pułku Januszajtisa. Pułkownik sam poprowadził atak pierwszej kompanii, został ranny, dowodził w jego zastępstwie kapitan Orlik-Łukoski. Walki pod Hruziatynem... Dowódca II Brygady pułkownik Küttner wysłał kolejne kompanie do ataku w otwartym i bagnistym terenie. Ludzie giną w krzyżowym ogniu karabinów maszynowych, nie mają żadnych szans dotrzeć do okopów Rosjan. Jan

przypomniawszy sobie: do ziemianki sztabu wpada pułkownik Januszajtis z zabandażowaną głową i ręką na temblaku. „Panie pułkowniku, proszę wstrzymać atak, to jest wysyłanie ludzi na pewną śmierć!” „Co?! Co to ma znaczyć?!” – Küttner zaciska pięści, a Januszajtis wyciąga pistolet z kabury. Popycha Küttnera, nie panuje nad sobą. „Zastrzelę, jeśli pan tego nie przerwie! Zastrzelę!” „Postawię pana przed sądem wojennym!” „Nie postawi pan, bo pana zabiję i sobie też palnę w łeb!” „Proszę się uspokoić. Nie miałem zamiaru już nikogo więcej wysłać do ataku”.

Jan był świadkiem tego incydentu, oprócz niego tylko dwóch oficerów sztabu, ale wkrótce wszyscy w brygadzie jakoś się o tym dowiedzieli. Jednak Küttner nie wyciągnął żadnych konsekwencji wobec Januszajtisa.

W bitwie pod Łuckiem Rosjanie odnieśli największe zwycięstwo w tej kampanii. Ale pod Kostiuchnowką legioniści cofnęli się dopiero po kilku dniach i tylko na trzecią linię obrony. Tak, pamięta. Był na stanowiskach 5. Pułku Piechoty. Takiej nawały ogniowej jeszcze nie widział. Ziemia drży, unosi się i jęczy jak żywa. Dymy kładą się nisko i gęstnieją, pobliskiej Polskiej Górki nie widać, w kurzawie błyskają języki ognia, drażniący dym wdiera się w płuca, nie ma czym oddychać, oczy przestają widzieć, uszy słyszeć, nie widać okopów, ludzi, niczego nie widać. A potem, wieczorem, kiedy to wszystko milknie – dziesiątki trupów, strasznie okaleczonych ciał, bez rąk, nóg, głów... Swojego ordynansa, Bartka Kowala, znalazł tylko trochę przysypanego ziemią. Leżał z rozrzuconymi rękami i Jan nie widział żadnej rany. Miał taką dziecinną twarz, otwarte oczy i uśmiechał się. Poprzedniego dnia powiedział Janowi, że właśnie skończył dziewiętnaście lat. W I Brygadzie były tak koleżeńskie stosunki, że oficerowie nie mieli ordynansów i Jan też gotów był pójść za ich przykładem, lecz chciał chronić Bartka przed służbą w okopach. Nie dało się, nie mógł go upilnować.

Co było dalej? Czy to wtedy został ranny? Nie, chyba nie. Miał zawieźć raport do Komendy Legionów na tyły. Jeszcze kilkaset metrów za linią nawały ogniowej Tosca jest tak wystraszona, że nie może jej dotrzeć. Tak się kręci i wspina, że dwóch ludzi musi ją przytrzymać, a i tak ledwie udaje mu się dotrzeć do kulbaki. Teraz szybko! Im bliżej do Komendy Legionów, tym bezpieczniej. Czy tam dotarł? Tego już nie wie, nie pamięta. Więc pewnie wtedy... A co się stało z klaczą?

\* \* \*

W małej salce na trzecim piętrze, która przed wojną przeznaczona była dla dwóch chorych, upchano pięć łóżek. Wszyscy ciężko poranieni. Jeden po amputacji nogi, stracił mnóstwo krwi, dwaj oprócz Jana po trepanacjach czaszki i jeden z ogromną raną na piersi. Wszyscy służyli w armii austro-węgierskiej i byli ofiarami ostrzału artyleryjskiego.



Siostra Klara mimo swoich czterdziestu ośmiu lat miała dziewczęcą buzię i zawsze była uśmiechnięta. Mówiła bardzo cicho; w białym habicie i białym czepcu poruszała się bezszelestnie jak duch. Jednak to okazało się złudzeniem. Jan odkrył, że na lewe ucho prawie nic nie słyszy.

Co dwa dni siostra Klara zmieniała mu opatrunki. Miał ogoloną głowę i wielką ranę kilka centymetrów od lewego ucha. Siostra nie pozwoliła jej jednak dotykać.

– Goi się dobrze – powiedziała. – Będzie tam zniekształcenie, ale pod włosami może nie będzie widać.

Przez całą noc chory przy drzwiach nieustannie boleśnie jęczał i charczał. Siostra Klara co godzinę przynosiła mu lekarstwa, zapewne przeciwbólowe, siedziała przy nim, ocierała pot z twarzy, zwilżała usta i trzymała za rękę. Potem przyszedł ksiądz z ostatnim namaszczeniem. Jan długo nie mógł zasnąć, a kiedy nad ranem obudził się z krótkiego snu, łóżko przy drzwiach było już puste i świeżo zasłane. Tyle widział śmierci na froncie, a to ciężkie konanie nieznanego tak bardzo go poruszyło.

Po rannym obchodzie położono tam pacjenta, który dotychczas z braku miejsca leżał na korytarzu.

– Witam wszystkich – oznajmił. Miał obandażowaną głowę i część twarzy. – Jestem major Jerzy Okupnicki z Pierwszej Brygady. Oberwałem pod Kostiuchnowką. Chciałbym powiedzieć, że się cieszę, że znalazłem się w tak miłym towarzystwie, ale byłbym nieszczery. Ta sala ma fatalną sławę. Prawie codziennie kogoś stąd przenoszą do kostnicy.

Po dwóch dniach Jan mógł już sam jeść, trochę podnosił się na łóżku i mógł wyglądać przez okno. Szpital mieścił się na krakowskim Kazimierzu i za oknem widać było Wisłę. Lubił patrzeć na przepływające barki i flisaków spławiających w dół rzeki wielkie tratwy z pni drzew. Poprosił siostrę Klarę o coś do czytania. Przyniosła mu gazetę i obiecała przynieść katalog szpitalnej biblioteki. Jan z przerażeniem stwierdził, że zapomniał liter i nie umie czytać. Nie pamiętał też nazwisk niektórych znajomych. Nie mógł sobie przypomnieć, jak ma na imię bratowa i jak się nazywa dowódca Legionów. Gdy mówił, czasami brakowało mu potrzebnych słów. Lekarz powiedział, że to minie, lecz dobrze by było ten proces przyspieszyć, ucząc się od nowa alfabetu. Siostra Klara obiecała, że w wolnych chwilach będzie przychodzić i pokazywać Janowi litery.

Lekarze twierdzili, że Jan bardzo szybko zdrowieje, a jemu się wydawało, że to trwa wieki. Nie licząc kilku godzin po wywrotce z koniem w Berlinie, nigdy w życiu nie był w szpitalu. Dziwiła go ta bolesna cisza, ta wszechobecna biel, przygaszone światła w nocy i czas sączący się tak powoli.

Chirurg opiekujący się Janem spytany o trepanację powiedział:

– Zrobiliśmy kraniotomię. Miał pan wbity do mózgu fragment czaszki

wielkości pudełka zapalek. Usunęliśmy krwiał i ustawiliśmy kość na swoim miejscu. Trzymaliśmy pana kilka dni w śpiączce, podając odpowiednie leki, ale kiedy chcieliśmy obudzić, panu nadal chciało się spać. No, wyspał się pan za wszystkie czasy. Teraz niebezpieczeństwo minęło, ale powrót do zdrowia potrwa kilka miesięcy, może nawet kilkanaście.

– A kolano, panie doktorze?

– Będzie pan chodził, ale kozaka pan już nie zatańczy.

– Byłem zawodnikiem, jeźdźcem...

Doktor pokręcił głową:

– No, wątpię, wątpię. To kolano nigdy już nie będzie w pełni sprawne.

\* \* \*

Szpital zawiadomił Władysława, który pewnego dnia odwiedził Jana wraz z Marysią i Stefką.

– Dziś rano dostaliśmy jednocześnie dwa pisma – opowiadał Władek. – Najpierw otworzyliśmy to z Komendy Legionów i przeczytaliśmy, że nie żyjesz, zostałeś odznaczony orderem za waleczność i pośmiertnie awansowany do stopnia majora. – Podał bratu małe pudełko. Wewnątrz był austriacki Krzyż Żelazny Zasługi z Koroną. Jan miał już dwa podobne, za Rokitnę i za Rozwadów. – Potem otworzyliśmy list ze szpitala i dowiedzieliśmy się, że jesteś tutaj, żywy, chwała Bogu! Na wszelki wypadek sprawdziliśmy daty. Ten o twojej śmierci był datowany wcześniej. Mogliśmy odetchnąć. Janku, gratulujemy awansu i odznaczenia.

– Ale skoro awansowano i odznaczono mnie pośmiertnie, a ja przeżyłem, to może awans i odznaczenie są nieważne? – zażartował Jan.

– Noś mój szkaplerzyk z Matką Boską, Janku? – spytała Marysia.

Jan rozchylił piżamę na piersi.

– Widzisz, Matka Boska cię ocaliła, tak samo jak moich bliskich.

Od tego dnia codziennie odwiedzał go Stefek. Przyniósł swój stary elementarz i uczył Jana czytać. Okazało się przy tym coś dziwnego. Jan z trudem czytał, lecz prawie bez problemów pisał, jakby pamięć liter zachowała się w jego ręce.

Stefek domagał się za to opowieści z wojny. Słuchał zafascynowany. O szarży pod Rokitną Jan musiał mu opowiadać kilka razy.

\* \* \*

W połowie listopada zaczął wstawać z łóżka. Był bardzo słaby i miał zaniki mięśni. Dojść z dwoma laskami do końca korytarza i wrócić – to była wyczerpująca wyprawa. Kulał. Lewej nogi nadal nie mógł ani całkowicie wyprostować w kolanie, ani do końca zgiąć. Czekala go długa rehabilitacja. Ale czytał już całkiem dobrze. Gazety przyniosły wiadomość o Akcie 5 listopada,

w którym Niemcy i Austria obiecywały utworzenie Królestwa Polskiego, mającego pozostać w jakiejś nieokreślonej „łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami”. Powszechnie uważano, że jest to wynik czynu zbrojnego Legionów i Piłsudskiego.

15 listopada zmarł Henryk Sienkiewicz. Jan odczuł to tak, jakby umarł ktoś z jego najbliższych. Miliony Polaków podobnie to przeżywały. Dla wszystkich był to wielki cios, żałoba narodowa. Pisarza pochowano w Vevey w Szwajcarii, gdzie od dwóch lat mieszkał.

Tydzień później zmarł cesarz Franciszek Józef I. To z kolei spowodowało żałobę w cesarstwie austro-węgierskim. Miał osiemdziesiąt sześć lat, panował przez sześćdziesiąt osiem. Najstarsi ludzie nie pamiętali czasów sprzed jego panowania. Odejście cesarza to był koniec epoki, przez wielu uważanej za piękną epokę.

Tuż po Nowym Roku przyszła wiadomość o zamordowaniu w Rosji Rasputina, świętego uzdrowiciela lub łotra, jak twierdzili inni; niepiśmiennego chłopca, który wywierał ogromny wpływ na cara i jego żonę, a przez to na politykę. Pisano, że zabili go książę Jusupow i wielki książę Dymitr Pawłowicz. Jan pamiętał delikatną, kobiecą twarz Dymitra; poznał go przed wojną w czasie pokazu ujeżdżeniowego w petersburskim maneżu. Kiedy się żegnali, książę powiedział, że pewnie się spotkają na olimpiadzie w Berlinie. Zabójstwa dokonano w pałacu Jusupowych, gdzie Jan był na pierwszym koncercie Katii na zawodowej scenie.

Wszyscy spodziewali się jakichś wielkich i ważnych zmian. Tam, w Rosji, z powodu różnicy trzynastu dni pomiędzy kalendarzem juliańskim a gregoriańskim, Katia pewnie dopiero przygotowuje się do Świąt Bożego Narodzenia. Jan postanowił, że kiedy tylko wyjdzie ze szpitala, spróbuje znów wysłać listy do Piotrogradu.

Kilka dni po Nowym Roku odwiedził go w szpitalu Staś Lancet-Kożuchowski. Jan ledwie go poznał, bo przedtem nigdy nie widział przyjaciela w cywilnym ubraniu. Uściskali się.

– Janku, my cię już w brygadzie oplakaliśmy! Rozmawiałem nawet o tobie z Komendantem. Mówił, że widział na stacji kolejowej jak wynoszono cię na noszach z sanitarki, nieprzytomnego. „Położyli go na peronie – opowiadał. – Lekarz pochylił się nad nim i mówi, że wkrótce zacznie się agonია”. Wszyscy myślą, że nie żyjesz. Dopiero w Krakowie dowiedziałem się, że jesteś tu, w szpitalu. Chwała Bogu!

– A co w Legionach?

– Piłsudski razem z Radą Pułkowników żądał uznania nas za Wojsko Polskie. Nie odpowiadali, więc kilka razy składał dymisję, aż mu ją dali, pod koniec września. Wezwał wtedy wszystkich oficerów legionowych, żeby też składali dymisje. Oczywiście chodziło o demonstrację, o wywarcie nacisku na

Niemców i Austriaków. Teraz, po Akcie 5 listopada polecił oficerom, którzy poszli w jego ślady, żeby wracali do szeregów.

– A ty?

– Wracam na studia.

– Więc uważasz, że deklaracja dwóch cesarzy o Królestwie Polskim niczego nie zmienia?

– Ja byłem w cywilu już pod koniec października. Nie wiem. Na pewno potrzebują rekruta, więc obiecują utworzenie armii polskiej. Ale obietnice co do naszej państwowości są niejasne. To państwo polskie... Nawet nie określono jego granic. Jest bezgraniczne! Największe państwo świata. Widocznie Niemcy i Austriacy już ostatecznie przestali liczyć na odrębny pokój z Rosją. To oczywiście zmniejsza ich szanse na wygranie wojny z ententą. Mogą przegrać, a my razem z nimi.

– Tak, to prawda, lecz zobacz, jak reagują Rosja i Zachód. Protestują i obiecują więcej. Nasza sprawa stała się kwestią międzynarodową. Rząd rosyjski uroczyście obiecuje utworzenie Polski ze wszystkich naszych ziem. Car ogłosił, że wolna Polska jest jednym z wojennych celów Rosji.

– Tak, lecz pod berłem Romanowych.

– A jednak dzieje się to, do czego dążył Piłsudski i co przepowiadał. Licytacja sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. A my możemy teraz wybierać między jednymi i drugimi. Uważam, że nasze szanse rosną, Komendant jeszcze raz pokazał, że trafnie przewiduje przyszłość. Jest skutecznym politykiem. Tu, w Krakowie, został teraz entuzjastycznie przyjęty; w gazetach pisali, że był w Warszawie 12 grudnia i tam też ludzie zgotowali mu wspaniałe przyjęcie. W gazetach porównują go do Kościuszki i Traugutta. Wyprzęgli konie z jego powozu i pociągnęli do hotelu. Mnie też ten człowiek coraz bardziej się podoba.

## Narwa

Dywizjon kawalerii, którym dowodził pułkownik hrabia Siergiej Karsow od dwóch tygodni stacjonował w estońskiej Narwie. Żołnierze mieli odpoczywać po walkach, w których pułkownik odznaczył się nie tylko stracenczą brawurą, lecz i znacznymi zwycięstwami, za co miał zostać awansowany do stopnia generała. Kiedy się o tym dowiedział, pojechał do dowództwa korpusu z prośbą, żeby mógł pozostać nadal pułkownikiem i dowódcą dywizjonu. Nie chciał się rozstawać ze swoimi ludźmi. Chciał być na froncie, nie w jakimś sztabie. Chciał być w polu i na koniu. Dzięki znajomościom wśród arystokratycznej generacji udało się. Miał otrzymać tylko kolejne odznaczenie.

Z Piotrogradu przybył wielki książę Dymitr<sup>1</sup>. Miał dwadzieścia jeden lat i stopień porucznika gwardii. Był kuzynem cara, przywiózł od niego order dla Karsowa, lecz miał także pójść z jego kawalerią na front, poznać wojnę i nabyć praktyki w wojennym rzemiośle.

W południe Karsow witał wielkiego księcia na dworcu kolejowym. Czekwały tam na dostojnego gościa delegacja władz miasta i dwaj generałowie ze sztabu korpusu. Specjalny pociąg przybył punktualnie. Zagrała orkiestra, a kiedy książę pojawił się w drzwiach wagonu, rozległy się powitalne oklaski. Dymitr, wysoki i przystojny, łaskawie pomachał ręką, lecz przemówienie powitalne zignorował. Idąc po czerwonym dywanie, obojętnie minął burmistrza miasta z kartką w ręce, szykującego się do ogłoszenia powitania i podszedł do wojskowych. Ścisnął im dłonie i miło się uśmiechając, wysłuchiwał wiernopoddańczych deklaracji.

Tymczasem z wagonów towarowych wyjeżdżały po pochylniach cztery osobowe auta świty wielkiego księcia. W ogromnych skrzyniach wynoszono bagaże, wyprowadzano konie wierzchowe i psy do polowań.

Od pierwszej rozmowy Dymitr zaprzyjaźnił się z Karsowem.

– Zapraszam wieczorem na kolację – powiedział. – Wtedy pana odznaczę i zabawimy się.

Generałowie ze sztabu nie doznali tego zaszczytu, wielki książę ich nie zaprosił. Około dziewiątej pojechali dwoma samochodami. Książę z hrabią sportowym kabrioletem marki Pierce-Arrow, dopiero co sprowadzonym z Ameryki, a adiutanci wielkim granatowym mercedesem. Mimo zimy dach książęcego auta był otwarty.

– Lubię zimno i wiatr – wyjaśnił Dymitr. – Zmarzył pan, hrabio? Zaraz się rozgrzejemy.

Prowadził sam, z wielką wprawą i nonszalancją, pałac papierosa, trąbiąc co chwilę i gawędząc ze swoim pasażerem. Jechali szybko i ostro, z piskiem opon na zakrętach, wywołując popłoch na ulicach.

W restauracji niedaleko portu jedna z sal była zarezerwowana, wielkie okna wychodzące na rzekę były odsłonięte. Światła domów i latarni z drugiego brzegu odbijały się w wodzie, przepływał właśnie dwumasztowy żaglowiec, widok był piękny i imponujący. Stół przygotowany, zastawiony mimo wojennych niedostatków najwykwintniejszymi alkoholami i przystawkami. Karsow zdziwił się, że nakryć i krzesel jest trzy razy tyle co gości.

Od razu wypili za cara i zwycięstwo. Książę opowiadał o zwyczajach panujących na dworze angielskim, gdzie był przyjmowany przed wojną. Co kilka zdań wypijał kolejny koniak z dużego kieliszka. Reszta towarzystwa, adiutanci i przyjaciele, jedli, pili, śmiali się, atmosfera była swobodna. Też za kołnierz nie wylewali. Mniej więcej po godzinie z hukiem otworzyły się drzwi i pojawiło się całe stadko pięknych dziewcząt, które przywitano wielkimi brawami. Prezentowały się, parując przed Dymitrem, kręcąc się i krygując. Strzelały korki szampana.

– Wasza Książęca Wysokość, najpiękniejsze córki Piotrogradu – oznajmił młody człowiek, który je przywiózł do Narwy. – A oto orkiestra, Cyganie, rzecz jasna. Grać, panowie! Grać!

Odezwały się skrzypce, gitary i akordeony. Kolorowa tancerka pobrzękiwała tamburynem. Wszyscy tańczyli, a wielki książę z dwoma dziewczynami naraz. Kiedy skończyli, panie usiadły pośród gości, a jedna wdzięczyła się i przytuliła do Karsowa.

– No to teraz część oficjalna! – Książę wstał i wyjął z kieszeni pudełko z orderem. – Pan hrabia pułkownik Sergiusz Mikołajewicz Karsow za wielkie zwycięstwa na wojnie został odznaczony przez cesarza Mikołaja Drugiego. Pozwoli pan, przyjacielu, w imieniu mojego wielkiego kuzyna...

Karsow wstał, był zażenowany i zniesmaczony okolicznościami tej dekoracji. Wypito kolejne toasty za bohatera i za zwycięstwo.

– Przejdźmy na ty, hrabio – rzekł książę. – Mów mi Dima albo lepiej Mitia. Wiesz, rozmawiałem z Mikołajem, dobrze cię pamięta, byłeś mu przedstawiony w którąś rocznicę koronacji, prawda? Polecił mi, żeby cię spytać, czy nie chciałbyś zostać jego adiutantem. Co ty na to?

– To wielki zaszczyt. Książę zechce łaskawie podziękować, ale wolę pozostać na froncie.

– O! To mnie trochę dziwi, przyznam. Nie nawojowałeś się jeszcze? Chce ci się walczyć za Rosję, nie widzisz, że to przegrana sprawa?

– Może przegrana – odpowiedział Karsow i zamilkł. Książę coś mówił, a on uparcie i ponuro milczał.

Po północy wszyscy byli już pijani, a najbardziej wielki książę. Klepał Karsowa po plecach i ze szczegółami omawiał zalety budowy niewiast kręcących się wokół nich. Proponował Karsowowi wybór dowolnej, z wyjątkiem tych dwóch, które rezerwował dla siebie. Pozrywał odznaczenia z własnego munduru

i udekorował nimi swoje dwie towarzyszki.

– Wolisz Świętego Andrzeja, Natałko? Czy Leopolda? A ty, kochanie, który ci się podoba? Ten taki ładny, nieprawdaż? Może Świętego Jerzego?

Karsow miał już dość tej zabawy i wymknął się po cichu. Kilkaset metrów dalej na ulicy minęła go rozbawiona drużyna zmierzająca autami do hotelu.

– Moje panie, nie chowajcie swoich wdzięków dla uprzywilejowanych! – wykrzykiwał Dymitr. – Nie bądźcie takie skąpe dla naszych biednych poddanych. Niech zwyczajni obywatele pięknego grodu Narwa także ucieszą oczy widokiem waszych prze-ślicz-nych ciał. Rozbierać się! No już!

Na skrzyżowaniach ulic policjanci widząc zbliżający się orszak arcyksięcia, stawali na baczność. Z aut wylatywały części damskiej garderoby, sukienki, biustonosze, pończoszki, halki i majtki. Jeszcze z daleka Karsow słyszał śmiechy i skrzypce zawodzące jakiś cygański romans, grany przez orkiestrę jadącą w ostatnim samochodzie.

<sup>1</sup> „Wojenne” przygody wielkiego księcia, kuzyna cara, w Narwie opisał Karol Wędziagolski w swoich pamiętnikach, dyskretnie nie ujawniając jego pełnej tożsamości. Tu został umownie nazwany Dymitrem, ale nie chodzi o Dymitra Pawłowicza, jednego z zabójców Rasputina.

## Piotrogród

Przez pół roku, kiedy Katia była w trasie koncertowej, miasto bardzo się zmieniło. Już kiedy wyjeżdżała, zaczynały się kłopoty z zaopatrzeniem w żywność. Teraz pojawił się głód, brakowało nawet chleba. Ubiegłego lata był dobry urodzaj; Katia wracając z Briańska, odwiedziła w Gołubych Prudach ciotkę, księżnę Leontiewę, i na własne oczy widziała stogi niewymłóconego zboża poprzykrywane, czym się dało, przysypane śniegiem, niemieszczące się w stodołach. Jednak państwo kupując ogromne ilości żywności dla frontu, sztucznie utrzymywało niskie ceny. Chłopom nie opłacało się niczego sprzedawać na rynku, bo przemysł przestawiony na zbrojenia przestał produkować artykuły codziennego użytku. Produkty przemysłowe stały się tak drogie, że dla chłopów zupełnie niedostępne. Więc karmili zbożem bydło, pędzili bimber, odżywiali się lepiej niż kiedykolwiek przedtem i sami wytwarzali, co im było potrzebne z narzędzi. Wieś stawała się samowystarczalna, a miastom brakowało żywności.

Kolej także pracowała głównie dla frontu i niekiedy całe transporty żywności tygodniami stały na bocznicach, bo albo brakowało lokomotyw, albo nie mogły ruszyć z powodu mrozu. Nieraz też okoliczna ludność je rozkradała. Władze zupełnie nie panowały nad chaosem w zaopatrzeniu.

Kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia Katia wybrała się z Nastią na zakupy. Najpierw na bazar choinkowy, a potem do niedawno otwartego wielkiego i nowoczesnego domu towarowego zwanego od nazwiska właściciela Pasażem Szeriemietiewa. Kupiły prezenty i ozdoby choinkowe.

Na rynku można było dostać wszystko, tyle, że po astronomicznych cenach. Wracając powozem, mijały sklepy z napisami na witrynach „Dziś chleba nie będzie” lub z ogromnymi kolejkami kobiet oczekujących na dostawę. Przemysł zbrojeniowy Piotrogradu wchłonał wielkie ilości ludzi ze wsi. Miasto stało się ludniejsze, na ulicach było tłumnio, także z powodu napływu uchodźców z terenów zajętych przez Niemców, w tym wielu tysięcy Polaków. Katia i Nastia widziały bójkę pod piekarnią o miejsce w kolejce, bo nie dla wszystkich miało wystarczyć chleba.

W poniedziałek mróz zelżał, wyszło słońce, tylko kilka stopni poniżej zera, pogoda bezwietrzna. Katia zapragnęła spaceru i przestrzeni. Pojechały za miasto, żałując, że nie zabrały na tę wycieczkę małego Janka. Ulicą Wielką Zielenina minęły Dzielnicę Piotrogradzką, kierując się w stronę zatoki i morza. Kiedy zbliżały się do mostu Piotrowskiego na Małej Mojce, zobaczyły z daleka dwa auta policyjne i jakieś zbiegowisko. Od kilkumetrowej przerębli po lodzie zamrożonej rzeki policjanci ciągnęli jakiś ciemny, wielki pakunek ułożony na deskach. Kiedy podnosili go na obmurowany brzeg, płachta przykrywająca pakunek zsunęła się.



Katia zobaczyła zwłoki mężczyzny. To był Rasputin! Nie mogło być żadnych wątpliwości. Od kilku lat na skutek carskiego zakazu nie publikowano jego zdjęć, a w gazetach pisano o nim „osobistość” lub „mroczne siły”. Ale wszędzie pełno było ulotek z karykaturami lub fotografiami mnicha wśród jego arystokratycznych wielbicielek. Na jednym z takich zdjęć Rasputin ucztował z dwoma biskupami i kilkoma siostrami miłosierdzia. Ktoś grał na bałajce, stół uginał się od wykwintnych dań i alkoholu, Rasputin tańczył, wszyscy byli pijani. Tymczasem wokół był głód, obowiązywała prohibicja, a ludzie codziennie tysiącami ginęli na froncie. Od soboty pierwsze strony gazet pełne były doniesień o jego zniknięciu, uprowadzeniu lub zamordowaniu. Trwało śledztwo i poszukiwania ciała.

Topielec miał ręce wyciągnięte nad głową, ciemne, długie włosy i zmierzwioną brodę pokrytą szronem. Zwłoki owinięte były w grubą tkaninę i związane w nogach nad kostkami. Z górnej części ciała materiał się zsunął, pewnie już w wodzie. Jedna stopa była bez buta, naga i sina. Rasputin miał na sobie białą jedwabną koszulę, wyszywaną w chabry, w pasie niebieski sznur. Mówiono, że wszystkie jego jedwabne koszule osobiście szyje i haftuje sama caryca.

Policyjny fotograf rozstawił trójnóg aparatu, prznosił go z miejsca na miejsce. Podjechała dorożka, wysypali się z niej dziennikarze. Błyskała płonąca magnezja. Katia patrzyła na twarz z rozbitym, spuchniętym nosem i zakrzepłą krwią na policzkach. Prawe oko było zamknięte, lewe na pół otwarte, przez chwilę odbiło błysk ostrego światła i jakby ożyło, spojrzało Katii prosto w oczy. Wstrząsnął nią dreszcz przerażenia, krzyknęła do stangreta, żeby natychmiast odjeżdżał. Podjechał akurat ambulans z czerwonym krzyżem i trupa ładowano do wnętrza, lecz Katia i Nastia już nie oglądały się za siebie i uciekały jak najszybciej od tego straszego widoku.

\* \* \*

Kilkanaście pań zgromadzonych w salonie maestry Adelajdy Bolskiej słuchało relacji generałowej Ludmiły Popowej. Generałowa była pulchną kobietą o ładnej, choć pospolitej twarzy. Pochodziła z rodziny urzędnika niskiej rangi, rzadko bywała na petersburskich salonach, a zaproszenie na ekskluzywne zebranie artystek i intelektualistek było dla niej wielkim przeżyciem i wyróżnieniem.

– Sekcję zwłok prowadzono w ciemnościach przy słabych lampkach, bo w Przytułku Czesmińskim akurat zepsuło się światło i nikt nie umiał naprawić. Profesor Kossorotow oświadczył, że w tych warunkach nic nie robi, ale Protopowow<sup>1</sup> nalegał. Twierdził, że nie ma czasu, bo następnego dnia rano zwłoki muszą być wydane rodzinie. Był przy tym mój mąż, który, jak panie wiecie, prowadzi śledztwo. Wrażenie upiorne. Tego dnia, kiedy wrócił do domu, miał *crise de nerfs* – generałowa popisała się francuszczyzną. – Długo nie mógł się uspokoić.

Twarz Rasputina była zmasakrowana jakimś tępym przedmiotem, genitalia zmiżdżone...

– To prawda, że miał ogromny członek? – wyrwała się jedna ze starszych dam.

– Moja droga! – Wiera Warwarowa, śpiewaczka występująca przed rodziną cesarską w Carskim Siole, popatrzyła na pytającą z wyższością. – Ten jego narząd miał zupełnie przeciętne rozmiary, mówiła mi o tym jedna z pań, która baraszkowała na jego sławnej kanapie w sypialni.

Kilka przyjaciółek mastry uśmiechnęło się na to wyjaśnienie i popatrywało po sobie znacząco, bo powszechnie wiadano, że Warwarowa sama bywała na tej kanapie, więc nie musiała się od nikogo dowiadywać.

Popowa nie skomentowała informacji o genitaliach i ciągnęła swoją opowieść:

– Żadnej trucizny nie wykryto, więc jest legendą, że mnicha zabił cyjanek podany w ciastkach, a potem w maladze. Natomiast możliwe, że żył jeszcze pod lodem. W płucach było trochę wody, tyle że nie jest pewne, czy oddychał, lecz ręce miał nad głową, uwolnione z więzów, więc może usiłował wypłynąć...

– Ile razy do niego strzelano? – spytała Wanda, córka Bolskiej. – I przede wszystkim, kto?

– No, nie powinnam tego zdradzać... Śledztwo było tajne, zresztą właśnie zostało przerwane na rozkaz cara, więc niewiele ustalono.

Generałowa Popowa miała swój wielki dzień. U Bolskiej w każdy ostatni wtorek miesiąca zbierały się najbliższe przyjaciółki, a poza tym tylko starannie wybrane osoby, zawsze kobiety, w jakiś sposób wybitne. Tylko kobiety, lecz feminizm tych spotkań nie był agresywny ani nawet szczególnie zaznaczony.

– Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy powinnam to mówić – generałowa ociągała się, żeby jeszcze bardziej podsyć zainteresowanie swoją osobą. – Rany były trzy. Jedna kula w bok, przeszła przez wątrobę i po tym postrzale, jak ustalono w śledztwie, mógł upaść i stracić przytomność, a potem ocknąć się, wstać i uciekać. Druga kula trafiła go w plecy, trzecia w czoło. Wszystkie z bliskiej odległości, oddane z broni dwóch różnych kalibrów.

Katia słuchając tego, uświadomiła sobie, że widziała ranę po kuli na czole trupa, lecz wtedy wydawało jej się, że to tylko plamka krwi. Zaraz na początku przyjęcia była zmuszona opowiedzieć paniom, jak Rasputina wydobywano z rzeki. Przyszła do Bolskiej z Larysą, która jak wszyscy interesowała się sprawą morderstwa, a nigdy jeszcze nie była na żadnym z tak sławnych w stolicy podwieczorków. Tym razem, po zabójstwie mnicha, atmosfera była szczególna, a poza tym wtorek wypadał 27 grudnia, pomiędzy Bożym Narodzeniem a Sylwestrem, więc Piotrogród cieszył się nie tylko świętami lecz także z powodu śmierci znenawidzonego muzyka, który przynosił hańbę caratowi i Rosji.

U Bolskiej zawsze były jakieś niezwykle niespodzianki, często potem opisywane w gazetach. Kiedyś główną postacią wieczoru była piękna księżna Szachowska, świeżo po uzyskaniu licencji pilota, jedna z pierwszych Rosjanek latających samolotem, a na pewno pierwsza wśród arystokratycznego towarzystwa. Kiedy indziej bajecznie bogata hrabina Sofia Panina, zwana czerwoną hrabiną z racji swojej działalności charytatywnej, w przyszłości pierwsza kobieta wiceminister oświaty w rządzie Kierenskiego, a po dojściu do władzy bolszewików – premier rządu konspiracyjnego.

Panie mogły nie tylko obejrzeć, ale i wziąć do ręki przybysza z kosmosu, odłamek meteorytu tunguskiego, przywieziony przez ekspedycję geologiczną z Syberii; a to czytano oryginalny dziennik okrętowy z pierwszej rosyjskiej wyprawy dookoła świata admirała Kruzenszterna, zakupiony przez Bolską na aukcji w Londynie.

Tym razem oprócz generałowej atrakcją wieczoru był nowy, modernistyczny wystrój salonu na drugim piętrze pałacyku Bolskiej. Pod skośnym dachem ze stali i szkła wszystko było zupełnie inne niż modne dotychczas wnętrza secesyjne. Nikt jeszcze w stolicy, a może i w Rosji, nie widział czegoś takiego. Zaprojektował wszystko od witraży w oknach przez podłogę, meble i sprzęty po wazony na kwiaty i zastawę stołową – architekt Mark Sołozarow, który tuż przed wybuchem wojny wrócił z Berlina, wielbiciel słynnego Waltera Gropiusa. Wszystko tu było funkcjonalne i pozbawione jakichkolwiek ozdób czy ornamentów. Dominowały naturalne kolory materiałów, szkła, stali, drewna, cegły, betonu. Wszystko kwadratowe lub prostokątne. Krzesła miały proste oparcia wysokości prawie dwóch metrów, wygodne kanapy pod ścianami i na środku salonu obito grubym surowym płótnem. Obok nich niskie prostokątne ławy z drewna pokrytego lakierem bezbarwnym, z nogami wystającymi kilkanaście centymetrów ponad blaty. Oświetlenie silne, lecz nie rażące, wbudowane w ściany, sufit, a nawet regały. Na ławach piętrzyły się kwadratowe talerze i prostokątne półmiski z ciastami, oraz karafki z likierami i winami (mimo prohibicji) i kieliszki z zielonego szkła, oczywiście także o przekroju kwadratowym. Nawet wielki gramofon stojący na stoliku pod ścianą miał tubę o wylocie prostokątnym. Mocnym akcentem kolorystycznym były witraże w oknach i ogromny stojący na podłodze wazon ze sztucznymi krwawoczerwonymi makami.

Katia była zdumiona nowym wystrojem, tym bardziej że choć bywała u maestry bardzo często, wiedziała tylko, że na poddaszu trwa jakaś przebudowa. Ale ta prostota bardzo jej się podobała. Larysa jako komunistka chwaliła wszystko, co rewolucyjne i kojarzące się z przemysłem, a więc też z proletariatem jako przyszłością świata. Lecz panie wchodzące do nowego salonu przeżywały wstrząs. W ich świecie wnętrza były przeładowane ozdobami i ociekały złotem.

– Tu jest jak w hali produkcyjnej albo w magazynie – mówiły. Ich podziw

wzbudzała natomiast suma, którą gospodyni zapłaciła za przebudowę i za projekt.

Panie popijały likiery i wina, a Popowa opowiadała rozwlekłe, krygując się i wzbraniając przed zdradzeniem istotnych faktów i szczegółów, aż musiała interweniować Bolska:

– Ludmiło Aleksandrowna! Niechże pani nie będzie taka tajemnicza, bo pomyślimy, że my tutaj wiemy więcej niż piotrogrodzka policja. Przecież to młody książę Jusupow i wielki książę Dymitr Pawłowicz dokonali morderstwa, nieprawdaż?

– No tak. Jusupow wcześniej umówił się z Rasputinem, że przyjedzie po niego w nocy i zabierze do siebie, do pałacu nad Mojką, gdzie Grigorij będzie mógł poznać jego piękną i młodą żonę Irinę. To była dla tego rozpustnika<sup>2</sup> pokusa nie do odparcia. Chociaż podobno spodziewał się zamachu na siebie, a nawet prorokował, że jeśli to nastąpi, to w ciągu roku po nim będzie musiała zginąć cała cesarska rodzina. W piwnicy pałacu, dopiero co przebudowanej na salon i jadalnię, czekali wielki książę Dymitr, deputowany Puryszkiewicz i przyjaciel Dymitra porucznik Suchotin. Doktor Łazowiert, który wcześniej zatrzał cyjankiem potasu ciastka i wino, stosownie przebrany grał rolę szofera. Z góry dobiegały odgłosy zabawy, tam żona Jusupowa miała przyjmować gości, którzy, jak powiedziano Rasputinowi, zaraz wyjdą i wtedy Irina Jusupowa zejdzie go powitać. Podobno gramofon na górze grał w kółko *Yankee Doodle*, znacie panie? Taki amerykański skoczny marsz z okresu wojny o niepodległość. Więc strzelać miał Jusupow, a potem, kiedy mnich oprzytomniał i zaczął uciekać, strzelał już na podwórzu Puryszkiewicz. Podobno najpierw dwa razy spudłował, a potem dwa razy trafił. Mąż sądzi jednak, że ostatecznie dobił leżącego strzałem w głowę wielki książę Dymitr. Puryszkiewicz nie miał przedtem w ogóle do czynienia z bronią, a Dymitr jest oficerem, poza tym sportowcem. Był przecież reprezentantem Rosji na olimpiadzie w Sztokholmie<sup>3</sup>. Dymitra pewnie postanowili ochraniać, bo w przyszłości może stać się pretendentem do tronu.

– No to zabili go dwaj homoseksualiści – skonstatowała Karsawina. – Zresztą sam Rasputin też nie stronił od mężczyzn. Słyszałam, że miał leczyć Jusupowa z homoseksualizmu, a zamiast tego go uwiódł. I morderstwo miało być zemstą księcia. Cóż... wyższe sfery! Zapewne nikt nie zostanie skazany ani ukarany.

– No właśnie – powiedziała Larysa. – Są w areszcie domowym, lecz Dymitra jako Romanowa ukarać może tylko sam car, a Jusupow jest mężem bratanicy cesarza, więc pewnie też włos mu z głowy nie spadnie. W takim państwie żyjemy, taka jest burżuazyjna sprawiedliwość.

– Mnie bardziej porusza – przerwała Katia – że brudny syberyjski chłop, półanalfabeta, mógł do tego stopnia omamić carycę i cara, że faktycznie w ciągu ostatnich lat to on rządził Rosją.

– Brudny nie był na pewno – wtrąciła się Warwarowa. – Zawsze był czysty i pachnący. Codziennie chodził do łaźni.

– A co też pani opowiada! – oponowała Ola Belling. – Cuchnęło mu z ust obrzydliwie, a do łaźni publicznych chodził, żeby oglądać swoje wielbicielki nago. A że mu ich było mało, jeszcze brał do hotelu prostytutki z ulicy. Prawda, Ludmiła Aleksandrowna?

– No tak, o tym wciąż raportowali agenci jego ochrony, którzy nie opuszczali go ani na chwilę – potwierdziła generałowa.

– Więc jak to się stało, że policja nie wiedziała, gdzie się podział w tę noc, kiedy go zabito? – spytała przytomnie Larysa.

– No... – Popowa była wyraźnie zakłopotana tym pytaniem. – Jak by to powiedzieć? Cóż? Właściwie... Prawdę mówiąc, około północy ochronę zwalniano, żeby w raportach nie było, kto tam wtedy przychodził na tajne narady.

– Kto taki? Kto? – dopytywały się panie.

– Szef mojego męża, minister Protopopow.

– Uzgadniać z nim, co ma robić? – drążyła sprawę Larysa. – Protopopow Rasputinowi zawdzięcza swoje stanowisko.

Generałowa tylko kręciła głową, już i tak powiedziała za dużo.

– Moja siostra pozbierała przykłady decyzji na najwyższym szczeblu podejmowanych na skutek interwencji tego chłopskiego świętego – rzekła Katia. – Lara, może powiedz...

– O, proszę bardzo: W czternastym roku Rasputin spowodował mianowanie ministrem finansów Piotra Barka. Bark działał później na korzyść prywatnych banków kosztem państwa. Na nalegania Rasputina zastępcą oberprokuratora Świętego Synodu Cerkwi prawosławnej został Nikołaj Żewachow. Egzarchą na Kaukazie został mianowany biskup Pitirim. Homoseksualista! A żeby zwolnić to miejsce, wcześniej odwołano Mołczanowa. We wrześniu tysiąc dziewięćset piętnastego roku ze stanowiska oberprokuratora Świętego Synodu odwołany został Samarin, a powołany przyjaciel muzyka, Wołżyn. Syberyjski chłop odwołał i mianował kilku ministrów spraw wewnętrznych. Usunął księcia Szczerbatowa, mianował Chwostowa. Bieleckiego zrobił zastępcą szefa Departamentu Policji. Stracił urząd wróg Rasputina, gubernator Tobolska, Stankiewicz, a na jego miejsce przyszedł protegowany Ordowski-Taniejewski. A kto dwudziestego stycznia tego roku wyniósł Stürmera do godności premiera? Oczywiście też Rasputin. Chwilę później stracił MSW Chwostow, wcześniej wyniesiony przez niego, bo jak uważał jego protektor, zdradził i próbował zorganizować zamach na swego dobroczyńcę. Teraz mamy właśnie nowego protegowanego Rasputina na tym stanowisku, Protopopowa, syfilityka z wyraźnymi już początkami choroby umysłowej. To tylko niektóre przykłady. Wiadomo, że masowo załatwiał swoim klientom wysokie stanowiska, orderzy, zamówienia rządowe, a Żydom pozwolenia na zamieszkanie

w stolicy; wszystko oczywiście za ciężkie pieniądze, które potem rozdawał i przepijał. Za kilka tysięcy rubli dawał liścik do odpowiedniego ministra, na którym jego sekretarze pisali: *Miły, kochany, wysłuchaj, pomóż. Grigorij*. Tylko podpis był jego, bo sam ledwie pisał. Jego ludzie nawet handlowali takimi liścikami uniwersalnymi, bez adresu.

– Ale, moje panie, z drugiej strony – oponowała Wanda – przecież wiemy, jak to wszystko się zaczęło. Rasputin w zdumiewający sposób leczył następcę tronu, ich ukochanego synka, Aleksieja. Nietrudno w tej sytuacji zrozumieć rodziców.

– Ja też wiem o jego niezwykłych wyleczeniach wielu ludzi – odezwała się Wanda Stützowa żona znanego lekarza. – I to od kolegów mojego męża, którzy badali pacjentów przed leczeniem u Rasputina i później. Jednak co innego leczenie, nawet tak niezwykle, a co innego kult, jakim oni go otaczali. To niepojęte! Ciemny chłop wierzy, że on jest prorokiem, to rozumiałe, wierzy, że przez grzech staje się coraz bardziej święty, bo za każdym razem doznaje skruchy i odkupienia, to można zrozumieć. W Rosji żywa jest ludowa wiara w świętych starców i *jurodiwych*. Nadal w dwudziestym wieku popularna jest sekta chłystów, którzy wierzą, że każdy mężczyzna może stać się wcieleniem Chrystusa, a każda kobieta Matki Boskiej. Tak samo skopcy, u których mężczyźni obcinają sobie narządy płciowe, a kobiety piersi, żeby nie grzeszyć. Ale że te wszystkie wysoko urodzone wyznawczynie mnicha, który zresztą nawet nie był mnichem, tylko się za niego podawał, że te panie z arystokracji i wreszcie sama rodzina cesarska w to uwierzyła! Uwierzyli w tak niewyobrażalne bzdury. To już chyba jest możliwe tylko w Rosji!

– Rzeczywiście, to aż śmieszne – powiedziała Ola Belling, śpiewaczka, która także nieraz występowała w carskim pałacu w Peterhofie. – Przyznam się, że i ja kilka razy byłam na Gorochowej u Rasputina i nawet z początku fascynował mnie swoją niezwykłością. Lecz Lili Dehn, ta aktorka, wiecie, która jest po Ani Wyrubowej najbliższą przyjaciółką cesarzowej, opowiadała, że caryca wysłała mężowi do kwatery głównej grzebyk Grigorija z instrukcją, żeby go używał zawsze, zanim podejmie jakąś ważną decyzję, bo wtedy spłynie na niego objawienie proroka, „Naszego Przyjaciela”, jak tam mówią, i dzięki temu podejmie właściwą decyzję.

– A jego arystokratyczne kochanki, idiotki – dodała Karsawina – zbierały ścinki jego paznokci i wszywały sobie w bieliznę. Obrzydliwe.

– Boże, do czegośmy doszli! – jęknęła któraś z pań.

Bolska zaklaskała w dłonie.

– Moje panie! – zawołała. – To wszystko jest tak przygnębiające, że proponuję, abyśmy zrobiły sobie przerwę. Odpocznijmy, mam jeszcze jedną niespodziankę. – Podeszła do stolika z gramofonem, wyjęła z okładki i podniosła

do góry czarny krążek winylowej płyty. Najnowszy produkt firmy Neva–Vox Abram Mamonow i Izrael Krebs. Posłuchajmy!

Założyła płytę, nakręciła mechanizm korbką. Gramofon zaszumiał cicho, potem zabrzmiały pierwsze dźwięki orkiestry i zabrzmiał głos Katii śpiewającej arię *Vissi d'arte* z *Toski*. Dla niej to też było zupełne zaskoczenie; nie wiedziała, jak Bolska zdobyła tę płytę. Sama jej jeszcze nie miała, słyszała tylko próbne fragmenty nagrania.

– Moja sławna uczennica, Katia Niesłuchowa-Szawernowska!

Rozległy się brawa.

– Pierwsza płyta z serii pięciu – wyjaśniała Bolska. – Na każdej z jednej strony popularne romanse, a z drugiej arie operowe.

Katia słuchała własnego głosu, było to dziwne i przyjemne. Przypomniała sobie, jak trzy lata wcześniej śpiewała *Toscę* w tym samym pałacu Jusupowa, gdzie teraz, kilka dni temu, zamordowano Rasputina. Tyle czasu minęło, tyle się wydarzyło! Wtedy Jan był na widowni, a teraz... gdzie jest? Kiedy go zobaczy? Uściskała i wyczuła maistrę.

\* \* \*

Katia pomagała pani domu roznosić deser i rozlewać trunki; na wieczorkach Bolskiej nigdy nie było służby. Rozmowy toczyły się przez chwilę w mniejszych grupach. Usłyszała, jak Wiera Warwarowa pyta Larysę, czy na płytach gramofonowych można teraz zarobić. Katia już wcześniej zauważyła, że Wiera popatruje na nią niechętnie. To Warwarowa była dotychczas w Rosji najslawniejszą wykonawczynią cygańskich pieśni i romansów, a teraz, po wielkim tournée Katii, to się zmieniło. Lara odpowiedziała, że skoro płyty produkuje i rozpowszechnia firma żydowska, to interes musi być dobry.

Po chwili Bolska zaklaskała w ręce i powrócono do dyskusji ogólnej. Katia przyprowadziła siostrę do Bolskiej, żeby ją choć trochę wyrwać z otoczenia bolszewików, pokazać inny świat, żeby posłuchała, co myślą intelektualistki, kobiety mądre i wybitne, a tu akurat dziś rozmowa była płytka i szła w stronę plotek.

– Jakie konsekwencje wynikną z tego, co się stało? Czy to coś zmieni w Rosji i w jakim kierunku? Carat, a zwłaszcza rządy Mikołaja Drugiego, są już skompromitowane nieodwracalnie. – Bolska mówiła powoli, patrząc po zebranych. Znane było jej zainteresowanie historią i polityką. – Nie można pochylać zabicia człowieka, ale jeżeli już się stało, to o wiele za późno. Mówiło się od dawna, że car może zostać przez swoją żonę namówiony do abdykacji, a władzę obejmie ona jako regentka w imieniu Aleksieja. Wtedy razem z Rasputinem doprowadziliby do zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami. Już w lipcu tego roku w Szwecji Protopopow, wówczas jako zastępca przewodniczącego Dumy, prowadził wstępne

rozmowy pokojowe z wysłannikiem Wilhelma, Fritzem Warburgiem. Potajemnie. W tym kierunku działała caryca, Niemka, i Rasputin, zdaje się pod wpływem różnych podejrzanych Niemców, może agentów kajzera. Niemcy mogliby wtedy przerzucić wielkie ilości swoich wojsk na front zachodni, to mogłoby zmienić losy wojny. Car dał aliantom słowo, że ich nie opuści, ale caryca żadnego słowa nie dawała, mogłaby to zrobić. Nasi patrioci, dla których miliony umierające na wojnie nic nie znaczą, nie mogli do tego dopuścić. Niewykluczone, że coś jest na rzeczy w plotkach, że za zabójstwem stoją Anglicy i że następna może być caryca. Może pani Ludmiła powie nam, czy takie wątki pojawiły się w śledztwie?

– Nic podobnego! Niczego takiego nie słyszałam.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć od mojego narzeczonego – powiedziała Tamara Karsawina, niedawno zaręczona z ambasadorem Wielkiej Brytanii.

– A czy to prawda, że premier<sup>4</sup> dawał Rasputinowi dwieście tysięcy rubli, żeby przestał się mieszać do polityki i raz na zawsze wyjechał do swojej rodzinnej wsi Pokrowskoje?

– Dwieście tysięcy dla Rasputina, to nie było aż tak dużo. Tego chyba w śledztwie nie badano, ale mój mąż też o tym słyszał.

– Więc mniejsza o to, słyszy się różne rzeczy. Teraz cała stolica się cieszy. Niektórzy mówią, że śmierć Rasputina to więcej niż wygrana bitwa na froncie. W niedzielę w teatrze, dwa dni po zabójstwie, kiedy pojawili się książę Dymitr i Jusupow, widownia zgotowała im owację. Wszyscy już wiedzieli, że to oni zabili. Bohaterowie mordercy! Rozmawiają o tym dorożkarze i baby na targu. Ja od pewnego poważnego człowieka usłyszałam, że istnieje spis, że teraz doprowadzą do tego, że car wyśle żonę do klasztoru, a Rosja uwolniona od podstępnej i zdradliwej dywersji na dworze pójdzie już bez przeszkód do zwycięstwa. Niech nas Bóg broni od takiego rozwoju wydarzeń.

Ola Belling pomachała wachlarzem, chciała mówić, maestra przerwała i skinęła jej głową.

– Muszę jednak trochę bronić zamordowanego – powiedziała. – Parę razy byłam w otoczeniu carskiej rodziny i trochę się nasłuchałam, co tam się dzieje. Może nie wiecie, że Rasputin o mało nie namówił cara do cofnięcia mobilizacji w czternastym roku, na przełomie lipca i sierpnia. Domagali się tego Niemcy i gdyby car ustąpił, wojna w ogóle by nie wybuchła, a w każdym razie Niemcy nie uderzyliby na Rosję, pewnie na Francję tylko. Rasputin w tym czasie leżał w szpitalu na Syberii po pierwszym zamachu na niego, kiedy Chionia Gusiewa zraniła go nożem. Wysłał stamtąd kilkadziesiąt depech do cara i carycy z prośbami, groźbami i prorocत्वami, żeby nie wdawać się w wojnę. Caryca błagała o to samo. Po jednej z takich depech car się zdecydował i wydał rozkaz odwołania mobilizacji. Wtedy wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, głównodowodzący, przyszedł do niego i wymusił zmianę decyzji. Car zawsze był chwiejny, nigdy nie potrafił sobie



wyrobić własnego zdania.

– To jednak żenujące, że car nie miał lepszych doradców niż ten chłop – powiedziała Katia. – Albo miał... na przykład Wittego, tylko wołał słuchać analfabety.

– No, rzeczywiście. – Bolska kiwała głową. – Pamiętam, że kiedy w tysiąc dziewięćset dwunastym roku wybuchła wojna na Bałkanach i cała Rosja marzyła, żeby się w to wmieszać, to mówiono, że car wycofał się w porę na skutek nalegań Rasputina. Wtedy się udało, ale carska Rosja zmierza ku upadkowi od dawna. W tysiąc dziewięćset piątym roku, kiedy car proklamował konstytucję i zwołał pierwszą Dumę Państwową, był taki moment, że bieg wydarzeń mógł się odwrócić. Był to czas wielkich nadziei. Ale kiedy inaugurowano Dumę, Mikołaj wezwał do sali tronowej w Pałacu Zimowym wybranych deputatów i swoich urzędników, dwór, arystokrację... Byłam tam wtedy. Przedstawiciele narodu wysłuchali przemówienia władcy, że Duma i konstytucja w niczym nie zmieniają zasad samodzielnostwa. Stali naprzeciw siebie... Po jednej stronie sali wyperfumowany tłumek książąt i dam dworu, bogaczy ubranych w złoto i order, a po drugiej uczeni, lokalni przywódcy, inteligencja, a nawet biedacy w wytartych garniturach i zniszczonych butach. Przemówienie cara nie tylko nie przyczyniło się do zmniejszenia przepaści między tymi dwoma światami. Jeszcze zwiększyło podział. A jeszcze wcześniej... Już w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku cała Rosja zobaczyła, jak ten system jest niewydolny. Wy tego nie pamiętacie. Po niezwykle suchej i mroźnej zimie na wielkich obszarach kraju plony były dziesięciokrotnie mniejsze niż normalnie. Zapanował głód, ludzie umierali masowo. Tymczasem na innych obszarach Rosji plony były dobre i wszyscy mogliby się wyżywić. Państwo nie było jednak w stanie dostarczyć zboża na tereny, gdzie panował głód. Nie mogło temu podołać organizacyjnie! Część zboża została rozkradzona, było drogie, więc stało się przedmiotem spekulacji. Mało tego! Przez kilka miesięcy zboże było eksportowane za granicę<sup>5</sup>, w czasie kiedy w kraju setki tysięcy ludzi umierało z głodu. Już wtedy widać było, że państwo nie działa, wszystko się wali i gnije. Pięć lat później dopełniła obrazu tragedia na Chodynce<sup>6</sup>. Nawet za Aleksandra Trzeciego, który był tępym zamordystą, jednak miał szeroki krąg ludzi, najbliższych współpracowników i przyjaciół, którzy go popierali, z którymi on był zżyty i w których miał oparcie. Nawet cesarz, proszę pań, potrzebuje przyjaciół! A Mikołaja Drugiego otacza pustka. Oczywiście, kręcą się wokół niego tłumy: dworacy, generałowie, pochlebcy... Ale to tylko statysci. Nie ma nikogo bliskiego. Nie mają do niego dostępu nawet najwierniejsi monarchiści, ci, którzy chcieliby go popierać. Tylko żona, cztery córki i śmiertelnie chory syn. I Anna Wyrubowa. Teraz ubył im Rasputin. Rodzina ciężko chora, jak cała Rosja. Co będzie?

– Rewolucja – wyszeptała Larysa, lecz w ciszy, jaka zapadła, wszyscy ją

usłyszeli.

## KALENDARIUM

### 1916

21 lutego – rozpoczyna się niemiecko-francuska bitwa pod Verdun.

16 marca – rozpoczyna się ofensywa rosyjska koło Dyneburga.

31 maja – odbywa się największa bitwa morska pierwszej wojny światowej, zwana bitwą jutlandzką, między flotami brytyjską i niemiecką.

Czerwiec – wielka ofensywa Brusilowa na froncie wschodnim oraz ofensywa wojsk ententy nad Sommą.

6 grudnia – Niemcy i Austriacy zajmują Bukareszt.

12 grudnia – Niemcy proponują rozpoczęcie rozmów pokojowych.

<sup>1</sup> Aleksandr Protopopow (1866–1918) – od września 1916 roku do upadku caratu był ministrem spraw wewnętrznych.

<sup>2</sup> Słowo *rasputin* znaczy po rosyjsku „rozpustnik”. Car z tego powodu zmienił mu nazwisko na Nowych – mnich miał się nazywać Grigorij Rasputin-Nowych. Lecz drugi człon nazwiska się nie przyjął.

<sup>3</sup> Księżę Dymitr Pawłowicz zajął na olimpiadzie w 1912 roku siódme miejsce indywidualnie w skokach przez przeszkody. Prawdopodobnie (według Edwarda Radzińskiego) to on dobił ranionego przez Jusupowa Rasputina.

<sup>4</sup> Aleksander Trepow (1862–1889), przedostatni premier mianowany przez Mikołaja II. Ostatnim był sprawujący swój urząd zaledwie przez kilkanaście dni przed rewolucją lutową Nikołaj Dmitrijewicz Golicyn.

<sup>5</sup> Później również Lenin i Stalin eksportowali wielkie ilości zboża w czasie Wielkiego Głodu, kiedy ludzie umierali milionami. Potrzebne były dewizy na budowę przemysłu ciężkiego i na zbrojenia.

<sup>6</sup> W czasie uroczystości koronacyjnych Mikołaja II w 1896 roku na skutek zaniedbań organizacyjnych tysiące biedaków oczekujących na poczęstunek stratowało się na śmierć na Polu Chodyńskim pod Moskwą. Nie przeszkodziło to carowi w kontynuowaniu uroczystości, zabawie i tańcach.

Część druga

## **REWOLUCJA**

Jesteśmy bezwzględni. Nie żądamy żadnych względów od was. Gdy na nas przyjdzie kolej, terroru nie będziemy upiększać.

Karol Marks

Żelazną pięścią zapędzimy ludzkość ku szczęściu!

Hasło z łagru na Wyspach Sołowieckich

## Piotrogród

17 stycznia Teatr Maryjski wystawił na benefis chóru pięcioaktową wielką operę *La muette de Portici – Niema z Portici* Daniela Aubera z librettem Eugène'a Scribe'a i Germaina Delavigne'a. Dochód był przeznaczony na zapomogi dla kalekich żołnierzy, ofiar wojny. Bilety były cztery razy droższe niż zwykle, a jednak wszystkie sprzedano, a wielu mieszkańców Piotrogradu ofiarowało ponadto pieniądze na fundusz inwalidów. W tytułowej roli Fenelli, niemej siostry rybaka Mesaniella, tańczonej i mimicznej, wystąpiła młodzięcza miłość Mikołaja II Matylda Krzesińska, sławna już nie tylko w Rosji, ale w Europie *primaballerina assoluta*. Katia śpiewała główną kobiecą rolę Elwiry, narzeczonej księcia Neapolu. Często spotykała na próbach Krzesińską, przyglądała się jej pracy z wielkim choreografem Michaiłem Fokinem i trochę się zaprzyjaźniły. Podglądała jej niezwykle wyrazistą mimikę i grę aktorską, uczyła się od niej. Przed premierą tancerka zaprosiła Katię na swoje słynne imieniny do daczki nad morzem w Strielnej. Miały się odbyć w marcu.

Z *Niemą z Portici* wiązała się zła legenda. Mówiono, że jej wystawienie zawsze pociągało za sobą nieszczęścia. Szybko umierali nawet młodzi aktorzy w niej występujący, a jeden z teatrów spłonął w noc po premierze. Katia się tym nie przejmowała, lecz jej koledzy wierzyli, że *Niema z Portici* przynosi nieszczęście i wróżyli przedstawieniu co najmniej klapę.

Jednak odniosło wielki sukces; Katia kłaniała się trzymana za rękę przez Krzesińską. Wśród niemilkających oklasków osiemnaście razy wychodziły przed kurtynę. Wszyscy byli pod wrażeniem nie tylko wykonawców, lecz także wydarzeń pokazanych na scenie. Neapol ogarnięty był rewolucją, trwały walki, na scenie całe miasto płonęło, łuna pożaru wyglądała realistycznie, groźnie i złowroźnie. Mieszkańcy stolicy oczekiwali rewolucji, więc widownia była ogromnie przejęta i wielu czuło strach.

\* \* \*

Luty był mroźny i miasto opustoszało. Przez wiele dni nie ustawał porywisty wiatr niosący od morza drobny, kłujący śnieg; zasypywał ulice i dachy. Z powodu mrozu i braku opału zamknięto większość fabryk. Ludzie zostali w domach, a w dzielnicach robotniczych głodowali i marzli. Mniej było całonocnych kolejek kobiet pod piekarniami, bo w wielu miejscach chleba już się nie spodziewano. Albo brakowało mąki, albo węgla.

Mówiono, że to masoni sabotują dostawy do miast, żeby doprowadzić do wybuchu niezadowolenia. Plotka głosiła, że stoi za tym deputowany do Dumy Państwowej, znany adwokat Aleksandr Kierenski. Też mason.

Dwudziestego trzeciego, w Dzień Kobiet<sup>1</sup>, przyszło gwałtowne ocieplenie, od minus 35 stopni do około zera. Niezwykłe zjawisko meteorologiczne; bardzo rzadko zdarza się z dnia na dzień tak ogromny skok temperatury. Wyszło słońce, pogoda zrobiła się prawie wiosenna. Odezwały się syreny fabryk, wznowiono pracę, lecz nim minęła dziesiąta, kobiety z zakładów tekstylnych w dzielnicy Wyborskiej wyszły na ulicę. Niosły transparenty z napisami: „Chleba!” i „Precz z wojną!”. Skandowały „Precz z Niemką”. To ostatnie dotyczyło carycy Aleksandry Fiodorownej. Zanim doszły do mostu Litiejnego, łączącego dzielnicę przemysłową z centrum miasta, dołączyli do nich robotnicy z fabryk metalurgicznych i zbrojeniowych. Szło dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, nieśli czerwone sztandary. Wojsku nie udało się ich zatrzymać, jakiegoś wykrzykującego komendy oficera ludzie rzucili przez barierę mostu na lód zamrożonej rzeki. Tłum pokonał kordon, część przeszła po lodzie. Wciąż dołączały pochody z kolejnych fabryk i w śródmieściu, na placu przed Pałacem Taurydzkim, siedzibą Dumy Państwowej, zebrało się już ponad sto tysięcy ludzi.

Nastia wróciła z miasta i opowiadała:

– Na placu tłum ludzi, ruszyli kozacy, ale coś dziwnego. Zatrzymywali konie na kilka metrów przed czołem pochodu. Nie atakowali. Zawsze przecież szły w ruch nahajki, ale nie mieli nahajek! Dlaczego? Nie wiadomo. Ktoś zawołał: „Niech żyją towarzysze kozacy!”. Wszyscy to powtarzali.

– Towarzysze kozacy? – zdziwiła się Katia. – Słyszał kto coś takiego?!

– Na Newskim rozbijali witryny, rabowali co się dało, ale żywności niewiele, tyle co w luksusowych sklepach.

Następnego dnia na ulicach było już sto pięćdziesiąt tysięcy strajkujących. Lecz nawet wtedy generał Chabałow, dowódca Garnizonu Piotrogradzkiego, nie uważał sytuacji za poważną i nie zawiadomił o rozruchach cara, przebywającego w kwaterze głównej w Mohylewie. W ciągu ostatnich miesięcy przez miasta Rosji przetoczyła się fala strajków i manifestacji robotniczych. Policja jakoś sobie z nimi radziła, jak zwykle, więc mimo że już powszechnie spodziewano się rewolucji, nikt nie pomyślał, że właśnie teraz dojdzie do przełomu.

W Piotrogradzie, kiedy zawiedli kozacy, przeciw demonstrantom wysłano policję i wojsko. Kiedy Katia w czasie południowej przerwy w teatrze szła, jak co dzień, do kawiarni, usłyszała dalekie strzały. Chciała przejrzeć gazety, ale tego dnia nie dostarczono ich, podobno wcale nie zostały wydrukowane. Nie dostała też lukrowanych bułeczek do kawy, bo nawet tutaj brakowało cukru. Pani Roma, powszechnie lubiana kelnerka, opowiadała, że w centrum miasta widziała, jak wojsko odmówiło strzelania do ludzi.

– Podobno zbuntowało się wiele pułków – mówiła. – Ludzie gadają, że żołnierze z Lejb-Gwardyjskiego Pawłowskiego Pułku zamiast do tłumy strzelali do policji.

Obok żądań chleba pojawiły się transparenty z napisem: „Precz z carem!“. Do robotników dołączali ludzie różnych zawodów, drukarze, inteligenci, rzemieślnicy, urzędnicy niższych szczebli, sklepikarze. Wszyscy zrywali godła carskie i sztandary, tablice instytucji państwowych.

W Moskwie nie było pomnika Mikołaja II, więc zburzono pomnik jego ojca, Aleksandra III. W Piotrogradzie płonął Pałac Sprawiedliwości, ludzie atakowali posterunki policji, palili archiwa Ochrony na Fontance. Atakowali cyrkuły dzielnicowe. W Gostynym Dworze pluton dragonów strzelał do tłumu, padło trzech zabitych i wielu rannych. Jednak zdarzało się, że żołnierze nie wykonywali rozkazu strzelania do tłumu lub celowali ponad głowami ludzi. Na placu Znamieńskim kozacy przeszli na stronę tłumu, zaatakowali konną policję, która próbowała odebrać demonstrantom transparenty, i zabili ich dowódcę.

Następne dni przyniosły kolejne starcia z policją i wojskiem. Masakra nastąpiła w niedzielę 26 lutego, znów na placu Znamieńskim. Oddział ćwiczebny Pułku Wołyńskiego najpierw strzelał ślepych nabojami, a kiedy to nie skutkowało, otrzymał rozkaz użycia ostrej amunicji. Dowódca zabił żołnierza, który rzucił mu karabin pod nogi. Wtedy padło kilka salw. Zginęło co najmniej pięćdziesiąt osób. Jednak było to tylko dolewanie oliwy do ognia.

W koszarach wrzało. Żołnierze z oddziałów, które się zbuntowały, oskarżali o zbrodnię tych, co strzelali. Dwadzieścia pułków – ponad połowa garnizonu stolicy – przyłączyło się do buntu. Car, powiadomiony wreszcie przez generała Chabałowa o sytuacji, rozkazał mu zebrać wierne władzy oddziały i do wieczora następnego dnia stłumić powstanie. Była to najlepsza recepta na ostateczną klęskę samodzierżawia, car zupełnie nie rozumiał sytuacji. Chabałow nawet nie próbował wykonać rozkazu.

Nikt nie organizował rewolucji, bunt rozwijał się spontanicznie, bez planu, zawodowi rewolucjoniści byli zaskoczeni wydarzeniami. Tłumem kierowali samorzutnie wyłonieni przywódcy, jak sierżant Fiodor Linde, który wyprowadził na ulicę pięć tysięcy żołnierzy Pułku Preobrażeńskiego, a potem Pułk Fiński, lub młody wieśniak, również sierżant, Siergiej Kirpicznikow, który zrewoltował Pułk Wołyński. Szlapnikow, najważniejszy z bolszewików obecnych w stolicy, śmiał się z tych, którzy mówili, że zaczęła się rewolucja: „Dadzą robotnikom po funcie chleba – mówił – i będzie po wszystkim”. Siergiej Mstisławski, jeden z przywódców eserów wspominał kilka lat później: „Byliśmy jak te panny głupie z opowieści biblijnej nierozumiejące, co się dzieje”.

Tymczasem na ulicach grupy robotników i żołnierzy polowały na żandarmów, szpicli i policjantów. Wyciągano ich z domów, znęcano się nad nimi i bito na śmierć. W wielu miejscach trupy leżały we krwi na chodnikach, po nocnym śniegu przykryte białym całunem. Rodziny zabitych w obawie o własne bezpieczeństwo bały się zabierać zamordowanych.

Rozbite zostały więzienia w Twierdzy Piotropawłowskiej i na Kriestach. W twierdzy, jak się okazało, nie było w ogóle politycznych oprócz kilkunastu zbuntowanych żołnierzy. Ale na Kriestach razem z więźniami politycznymi wyzwolono osiem tysięcy kryminalistów. Grupy pijanych robotników, żołnierzy i marynarzy przemieszanych z przestępcami włamywały się do domów, rabowały, gwałciły i mordowały. Mnożyły się napady na burżujów, a za burżuja mógł być uznany każdy, kto był dobrze ubrany.

Żołnierze i robotnicy przypuścili szturm na Arsenał, gdzie zdobyli 40 tysięcy karabinów i 30 tysięcy rewolwerów. Potem ruszyli do fabryk zbrojeniowych, skąd wynieśli 100 tysięcy sztuk broni.

W poniedziałek 27 lutego Katia zobaczyła powywracane tramwaje i powozy na Newskim Prospekcie, a na dachu Pałacu Zimowego czerwoną flagę. Musiała zawrócić, bo jej wóz nie mógł się przebić przez tłum ciągnący całą szerokością ulicy. W pochodzie pod czerwonymi sztandarami rozpoznała dwie panie z towarzystwa i księżnę Golicynę. Szły obok robotników ubrane po męsku, z czerwonymi kokardami, w spodniach i długich butach i wraz ze wszystkimi śpiewały *Marsylianke*. Koło hotelu Astoria stangret skręcił w boczną ulicę, bo karabiny maszynowe rewolucjonistów były po górnych piętrach hotelu, aż szkło i tynk spadały na jezdnię i chodniki. Ludzie mówili, że z dachu hotelu strzelają policyjni snajperzy.

W prawym skrzydle Pałacu Taurydzkiego obradowała Duma i powołano Komitet Tymczasowy, a potem Rząd Tymczasowy pod przewodnictwem księcia Lwowa. W lewym zebrała się właśnie wyłoniona na wiecach Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, nowa władza konkurująca z rządem.

Wieczorem Katia siedziała z mamą i ciotką przy kolacji, kiedy wpadła Larysa, przerażona i zapłakana, bez płaszcza, owinięta tylko kocem. Tak jak stała uciekła z bazy w Kronsztadzie, gdzie od kilku miesięcy mieszkała z mężem, miczmanem Wodopjanowem. Była roztrzęsiona i nie mogła się uspokoić.

– Mordują oficerów – powtarzała nieprzytomnie – mordują oficerów. – Ręce jej się trzęsły, Katia naląła jej kieliszek koniaku i dopiero po chwili Lara zaczęła opowiadać: – Zamordowali admirała Wirena. Widziałam... Tłum podszedł pod jego dom, marynarze, artylerzyści... Bez czapek, porozpinani, z karabinami. Strzelali do okien. Admirał wyszedł na taras. Krzyknął: „Baczność! To bunt! Baczność!”. Nikt tego nie słuchał, wdarli się do domu, wyciągnęli go na ulicę, bili, opluwali, zaciągnęli do doków i zastrzelili. Zdarli z trupa mundur, kłuli bagnietami, bezczęścili, wrzucili do jakiegoś dołu, wykopu pod fundamenty. Potem polowali po całym mieście na oficerów, wszystkich zabijali i ciągnęli do tego dołu. Podobno kilkuset oficerów zamordowali. Boże! Kilkuset ludzi! Uciekłam do koszar i do wieczora czekałam na Paszę. Wrócił po północy cały zakrwawiony, twarz, mundur, ręce. Nie chciał nic mówić, z początku myślałam, że to jego krew, ale nie, to nie

jego... Przecież on też jest oficerem! Napił się wódki i poszedł. Całą noc nie mogłam zasnąć, boję się go. Boże mój! Boję się własnego męża, to morderca! – Larysa dygotała, wypła jeszcze kieliszek koniaku. – Słysząc było strzelaninę – opowiadała dalej. – Także artylerii. Rano dowiedziałam się, że grupa oficerów broniła się w dowództwie portu, a marynarze strzelali do nich z dział okrętów stojących w bazie. Kiedy rano Pawła nie było, pobiegłam do portu, ale mnóstwo ludzi chciało stamtąd uciekać i dopiero wieczorem udało mi się dostać na statek płynący do miasta. Katiu, nie chcę tam wracać! Nie chcę! Zostanę u ciebie, dobrze? Proszę cię. Nie chcę na to patrzeć.

Larysa szlochała i nie mogła się opanować.

\* \* \*

Rankiem gdzieś bardzo blisko słysząc było strzały. Pałacyk Katii na Kronwierskim Prospekcie był oddalony o kilka domów od dzielnicowego cyrkułu policji, więc pomyślała, że jest atakowany przez rewolucjonistów.

Zadzwonił telefon.

– Witam panią, pułkownik Galle. Dzwonię, żeby panią ostrzec. – Pułkownik, komendant policji w dzielnicy Piotrogradzkiej, był wielbicielem Katii, przychodził na wszystkie jej występy i przysyłał kwiaty. – Mamy informacje, że w pani dzielnicy grasują bandy napadające na ludzi, wdzierają się nawet do domów. Proszę nikomu nie otwierać drzwi i nie wychodzić z domu. Wysłałem oddział policji, powinni być za kilkanaście minut.

– Panie pułkowniku, dziękuję za ostrzeżenie. Już od pół godziny słyszymy tu strzały. Miałam właśnie wychodzić do pracy, ale w takim razie zaczekam jeszcze chwilę.

– Proszę do mnie dzwonić, gdyby potrzebowała pani pomocy. Mogę pani dać eskortę także na powrót wieczorem do domu.

– Dziękuję, mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Chwilę później Katia usłyszała tumult na dole. Trzasnęły drzwi wejściowe, słysząc było podniesione głosy. Wyszła na schody. Na półpiętrze – przed ogromnym portretem dziadka Leontiewa w mundurze wicegubernatora z rzędami orderów na piersi – stała księżna w szlafroku z papierosem w długiej lufce.

– Jakim prawem się tutaj wdzieracie?! – chrypiała.

Na parterze Nastia z szeroko rozłożonymi ramionami zagradzała drogę kilkunastu ludziom z karabinami.

– Ktoś stąd strzelał! – wołał starszy robotnik z karabinem i taśmą nabojołą przewieszoną przez ramię. – Burzuje! Zrobimy z wami porządek!

Dwaj podeszli do komody, na której w wielkim kryształowym wazonie stały zasuszone kwiaty, a obok masywne srebrne świeczniki; przyglądali im się pożądliwie. Marynarz z fajką w zębach rozsiadł się na fotelu i wycelował



z karabinu w kryształowy żyrandol. Huknął strzał, deszcz odłamków szkła i tynku posypał się na podłogę.

– Precz stąd, wandale! – krzyknęła księżna.

Marynarz śmiał się zadowolony.

– Wynoście się! – Nastia z całej siły odepchnęła mężczyznę. – Tu są same kobiety, nikt stąd nie strzelał.

– Możecie wejść i sprawdzić – powiedziała Katia, schodząc po schodach. – Nikogo tu nie ma.

– Proszę pani, to bandyci! – wołała Nastia. – Przyszli rabować!

– Strzelali z dachu, strzelali – gorączkował się żołnierz w rozpiętym płaszczu i czapce odwróconej daszkiem do tyłu.

Jacyś dwaj młodzi ludzie w studenckich mundurach przyglądali się Katii i coś mówili do siebie.

– Proszę bardzo, sprawdzajcie – powtórzyła Katia. – Ale może nie wszyscy. Niech wejdzie dwóch czy trzech.

Jeden ze studentów podszedł do robotnika z taśmą naboju i coś mu tłumaczył. Patrzyli na Katie.

– Pani jest Jekatierina Niesłuchowa? – spytał robotnik.

– Tak.

– O, to przepraszamy panią bardzo, przepraszamy, ale może to ktoś z sąsiedniego domu dostał się na dach. Ja panią znam, pani śpiewała dla żołnierzy na froncie. Że też od razu nie poznałem! Przepraszamy. Ale jednak chodźmy sprawdzić... A wy, wynoście się! – krzyknął do swoich towarzyszy. – Sprawdzimy i powiemy wam.

Wychodzili, ociągając się i rozglądając ciekawie.

Studenci dołączyli do starszego robotnika. Sąsiednie budynki w ogóle nie przylegały do domu Katii, który stał osobno i był otoczony ogrodem, lecz mimo to uparli się, że sprawdzą.

Nastia zaprowadziła ich na górę, weszli na strych, a stamtąd na dach. Nikogo nie znaleźli. Kiedy wracali, jeden ze studentów powiedział:

– Ja mam pani płytę, może bym kiedyś przyszedł, może by mi pani podpisała?

– Oczywiście, proszę przyjść tutaj albo do teatru.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia matka Katii i księżna Leontiewa postanowiły wyjechać do Gołubych Prudów. Uznały, że w mieście jest zbyt niebezpiecznie, namawiały Katie i Larysę, żeby jechały z nimi. Larysa zdecydowała się do nich dołączyć, Katia postanowiła zostać. Kiedy spytała Larę, kto opiekuje się domem jej i Igora, okazało się – co siostra dotychczas trzymała w tajemnicy – że został już rok

temu sprzedany, a pieniądze zasilły kasę bolszewików.

Następnego ranka były spakowane i Katia żegnała je na Dworcu Moskiewskim. Wyjeżdżało mnóstwo ludzi z wyższych sfer, wielu znajomych Niesłuchowów lub znanych tylko z gazet czy ze słyszenia. Wyjeżdżali Szeriemietiewowie, były premier Kokowcew z żoną, hrabina Karłowa, przyjaciółka księżny Leontiewej, z liczną rodziną i wielu innych. Uciekali na Kaukaz, do Wód Mineralnych, Piatigorska, Jessentuki i Kisłowodzka lub do Odessy z zamiarem emigrowania do Francji. Podobno wielu wyjeżdżało też z Dworca Fińskiego do Finlandii albo Szwecji. Najbardziej przezorni zdążyli się już zaopatrzyć w specjalne pozwolenia na wyjazd, będące jednocześnie zaświadczeniami, że nie są ścigani z powodu działalności w czasach dawnego reżimu.

<sup>1</sup> W Rosji w 1917 roku obowiązywał jeszcze kalendarz juliański, spóźniony wobec stosowanego w Europie gregoriańskiego o trzynaście dni.

## **Psków, 2 marca 1917 roku**

Cesarski pociąg stał od poprzedniego wieczoru na boczniczy kolejowej w Pskowie. Mikołaj jechał do Carskiego Sioła. Zdecydował się wrócić do stolicy mimo sprzeciwu szefa sztabu, generała Aleksiejewa, który ostrzegał, że to może tylko zaognić sytuację, a nawet stworzyć zagrożenie dla osobistego bezpieczeństwa władcy. Car wyjechał ze Stawki z opóźnieniem z powodu kłopotów technicznych z podwoziem głównego wagonu. Potem postanowił przepuścić transport oddziałów pod dowództwem generała Iwanowa, którego wysłał do Piotrogradu, kiedy zawiódł Chabałow. A potem z kolei się okazało, że most na drodze do stolicy jest zniszczony i trzeba jechać okrężną drogą.

Rano, jeszcze przed śniadaniem, był na mszy w kaplicy urządzonej w jednym z wagonów, a później na spacerze. Odebrał list od żony. Martwił się, bo dwie dziewczynki zachorowały na odrę, mają brzydką wysypkę i wysoką gorączkę. Oby nie było powikłań! No i żeby nie zaraziły się pozostałe dzieci, zwłaszcza delikatny Aleksy. Alix na pewno je odizolowała, ale czy zdążyła przed przeniesieniem choroby?

Na stole leżały ostatnie depesze z raportami z frontu i bardzo długa od Rodzianki, przewodniczącego Dumy – sprzed trzech dni. Jeszcze raz przebiegł ją wzrokiem. Zawsze te same brednie! „Nie ma ani chwili czasu!”, „Sytuacja grozi katastrofą... trzeba natychmiast podjąć niezbędne kroki...” i tak dalej. Przesadza, jak zwykle, panikuje. Nie miał nawet zamiaru odpisywać. Kilka dni wcześniej, był już prawie gotów zgodzić się na rząd zależny od Dumy, lecz znów się rozmyślił. Alix pisała, że zamieszki w stolicy wywołują wicherzyciele, wcale nie ma głodu, a braki w zaopatrzeniu powstają dlatego, że ludzie gromadzą nadmierne zapasy żywności.

– Ten grubas, Rodzianko, znów usiłuje mnie namówić do zgody na rząd wyłoniony przez Dumę i tylko przed nią odpowiedzialny – rzekł do hrabiego Frederiksa, drzemającego z przymkniętymi oczami nad kawą. – Od dwudziestu lat mi to mówią. Czy nie mogą zrozumieć, że to wykluczone?

Od kiedy objął naczelne dowództwo armii i większość czasu spędzał w Mohylewie, hrabia Frederiks, siedemdziesięciodziewięcioletni generał major gwardii i minister dworu, stał się jego powiernikiem. Miał szczupłą arystokratyczną twarz, śnieżnobiałą czuprynę trochę tylko przeredzoną nad czołem i ogromne siwe wąsy sterczące po bokach twarzy. Ujmował miłym sposobem bycia, dobrocią i prostodusznością i carowi nie przeszkadzały wyraźne już objawy jego postępującej sklerozy.

– Kiedy przyjąłem koronę po ojcu – ciągnął – przysięgałem przekazać swojemu następcy samodzielną władzę w nienaruszonym stanie. Tak jak mnie

przekazał je mój świętej pamięci ukochany ojciec. Wolałbym nie być cesarzem, niż złamać słowo.

Oficer dyżurny zameldował generała Ruzskiego, dowódcę frontu północnego z kwaterą w Pskowie. Generał wszedł do pociągowego salonu z plikiem depesz. Zameldował się i powitał cara w imieniu miasta i frontu.

– W nocy rozmawiałem aparatem Hughesa z Rodzianką – powiedział. – Generał Aleksiejew polecił mi przekazać zapis tej rozmowy Waszej Cesarskiej Wysokości.

Car czytał w ciszy, rozwijając wąski pasek papieru. Poblądł, przerwał na chwilę, zapalił papierosa. Hrabia Frederiks nadal spał na siedząco, a generał Ruzski patrzył z napięciem na cara, usiłując odgadnąć, co władca postanowi. Mikołaj skończył, wstał i wpatrywał się w coś w oddali za oknem. Na chwilę w gabinecie pociemniało; po sąsiednim torze przetaczała się bardzo powoli czarna lokomotywa z węglarką. Maszynista i palacz wychylali się z okna ciekawie zaglądając do cesarskiego gabinetu. Któryś z nich pociągnął za sznur, rozległ się przeraźliwy gwizd, dostrzegli cara, uśmiechali się. Mikołaj pomachał im dłonią.

– W Piotrogradzie jest dużo gorzej, niż się wydawało – powiedział. – Nie byłem informowany o wielu faktach, o powadze sytuacji. Rząd podał się do dymisji, wszyscy ministrowie aresztowani. Nawet moja gwardia w Carskim Siole, nawet oni zdradzili... Wszędzie nic, tylko podłość, tchórzostwo i zdrada. Powinienem abdykować?

Nikt nie śmiał odpowiedzieć.

– Wiesz, Frederiks, pod jakim znakiem ja się urodziłem?

Hrabia ocknął się.

– Tak, Wasza Wysokość?

– W dzień Świętego Hioba. To widać moje przeznaczenie.

Hrabia pokiwał głową, a car zwrócił się do Ruzskiego:

– Proszę o resztę depesz. – Wskazał na plik papierów, który generał trzymał w dłoni.

Czytał i odkładał na bok jedną po drugiej, wygładzał dłonią, równo układał, wydawał się zupełnie spokojny, tylko palił jednego papierosa za drugim. Ledwie zauważalnie z niedowierzaniem kręcił głową. Rosła sterta niedopałków w popielniczce i stos depesz obok niej. Wszystkie przyszły od generałów z frontu. Były wynikiem biuletynu wysłanego w nocy przez Aleksiejewa do dowódców armii i korpusów z poleceniem wyrażenia przez nich opinii, czy wobec zaistniałej sytuacji Mikołaj II powinien abdykować. Szef sztabu przedstawił im w skrócie wydarzenia w Piotrogradzie i sugerował, że aby ocalić armię, sytuację na froncie i dynastię, car powinien ustąpić na rzecz syna. Generałowie byli tego samego zdania. Jedyne dowódca kawalerii gwardii deklarował wierność cesarzowi. Generał Brusilow, który od dawna nie ukrywał poglądu, że dowództwo cara tylko

szkodzi armii, napisał wprost, że to jedyny sposób, żeby przywrócić porządek na zapleczu i kontynuować wojnę. „Nie możemy walczyć, kiedy na tyłach trwa rewolucja”. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz „błagał swego cesarskiego bratanka na kolanach”, by zrezygnował z korony. Dla Mikołaja było jasne, że to Aleksiejew, szef sztabu, wpłynął na pozostałych dowódców. Gdyby on był wierny, inni też by nie zdradzili, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Wielomilionowa armia mogłaby bez trudu rozprawić się ze zbuntowaną stolicą.

Przez chwilę siedział nieruchomo, potem popatrzył po twarzach zebranych.

– Przez dwadzieścia trzy lata starałem się czynić tylko to, co dobre dla Rosji. Czyżbym przez tyle lat się mylił? Podjąłem decyzję. – Położył trzy palce na czole.  
– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. – Przeżegnał się, a oni w milczeniu powtórzyli ten gest. – Postanowiłem abdykować na rzecz mojego syna Aleksego.

Stało się. Poczł ogromną ulgę.

Już dawno zrezygnował wewnętrznie, słabo reagował na wydarzenia i nie próbował na nic wpływać. Teraz nie będzie musiał dłużej dźwigać tej strasznej odpowiedzialności za wszystko. Bogu dzięki, nareszcie!

Poszedł do swoich prywatnych pomieszczeń i zasiadł do pisania listu do żony. Jednak ani słowa o abdykacji. Ona oczywiście byłaby temu przeciwna, zawsze uważała, że powinien rządzić jak Iwan Groźny i nie ustępować przed żadnymi przeciwnościami losu. Pisał, czego dowiedział się o leczeniu odry od profesora Fiodorowa, nadwornego lekarza. Sam jednak najchętniej słuchał Badmajewa, który dbał o zdrowie jeszcze świętej pamięci ojca, Aleksandra III. Badmajew był Azjata, ni to szamanem, ni lekarzem z Syberii i stosował tybetańskie metody leczenia. Ostatnio dawał mu wzmacniającą miksturę, po której stawał się bardziej odprężony i beztroski. I wszystko przyjmował z niewzruszonym spokojem.

Wysłał telegram do Rodzianki, informując, że jest zdecydowany abdykować.

\* \* \*

Po południu zameldowano mu, że przybyli z Piotrogradu wysłannicy Dumy, Aleksander Guczkow, przywódca oktiabrystów<sup>1</sup> i czołowy nacjonalista Wasilij Szulgin. Akt abdykacji miał przygotowany, lecz nie był pewny, czy syn będzie mógł z czasem objąć władzę. Zanim ich przyjął, poprosił, żeby wezwano profesora Fiodorowa.

– Siergieju Piotrowiczu – powiedział – powiedz mi, mój drogi, ale zupełnie szczerze, bo to niezwykle ważne, jakie Aleksiej ma szanse na wyzdrowienie?

– Najjaśniejszy panie, niezmiernie przykro mi to mówić, ale wyleczenie... to raczej niemożliwe.

– Lecz Rasputin twierdził, że kiedy dojdzie do wieku trzynastu lat, wszystko się odmieni i będzie zdrowy. W tym roku skończy trzynaście lat.

– Bardzo bym tego pragnął, Wasza Cesarska Wysokość, ale to musiałby być cud. Nie ma lekarstwa na hemofilię. Choroba z upływem lat postępuje...

– Jak długo może żyć?

Profesor przez chwilę się zastanawiał.

– Z pewnością można tylko powiedzieć, że dużo krócej, niż zwykle żyją ludzie.

Car westchnął, łzy napłynęły mu do oczu.

– Byłbym przy nim i pomagał mu, jak długo by to było możliwe.

– Najjaśniejszy Panie, ale czy sądzisz, że po abdykacji pozwołam ci pozostać w Rosji? Myślę, że raczej zmuszą Waszą Cesarską Wysokość do wyjazdu gdzieś za granicę.

– Też się na tym zastanawiałem, może masz rację, przyjacielu. Wszędzie dokoła zdrada. Podłość, tchórzostwo i zdrada!

\* \* \*

Guczkowa i Szulgina przyjął z nieruchomą twarzą, zimno i oficjalnie.

– Jeśli tak będzie lepiej dla Rosji, to abdykuję. Wątpię tylko, czy naród to zrozumie. Abdykuję w imieniu swoim i syna na rzecz mojego brata, wielkiego księcia Michała Aleksandrowicza.

– Sądziliśmy... wszyscy myśleli, że następcą tronu pozostanie wielki książę Aleksiej, a do czasu jego pełnoletności regentem będzie wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Czy Wasza Cesarska Wysokość ma prawo wyznaczać następcę z pominięciem syna?

– Tak postanowiłem – uciał. Podpisał akt abdykacji, dopisał datę i położył przed nimi na stole.

– Chcę teraz wyjechać z rodziną do Liwadii.

Popatrzyli po sobie znacząco.

– Obawiamy się, Najjaśniejszy Panie, że to nie będzie możliwe. Duma Państwowa zdecydowała, że Wasza Wysokość pozostanie z rodziną w Carskim Siole.

– W areście domowym – dodał Szulgin.

\* \* \*

Wiść o ustąpieniu cara rozchodziła się po wielkim kraju przez kilkanaście dni. W miastach i miasteczkach w cerkwiach odezwały się dzwony; w ogromnej większości ludzie się cieszyli, przypinali do ubrań i mundurów czerwone wstążki. Wielu jednak przyjęło wieść z przerażeniem. „Jak może nie być cara?” – mówili chłopci. „Pozbawić cara tronu, to najstraszniejszy grzech, jego władza pochodzi przecież od Boga! Czeka nas za to kara, nas wszystkich...”

<sup>1</sup> Oktyabryści (właściwie Związek 17 Października), stronnictwo polityczne

z założenia lojalne wobec każdego rządu powołanego przez cara. Nazwa od *oktiabr*, „październik” – miesiąca w 1905 roku, kiedy car nadał Rosji konstytucję.

## Teatr Maryjski

Od kilku dni nie ukazywały się gazety, bo strajkowali drukarze, ale 3 marca wszyscy już wiedzieli o abdykacji cara. W teatrze ludzie codziennie od rana wymieniali się wiadomościami i plotkami z miasta. Zespół był liczny, ponad czterysta osób, i tego dnia wszyscy zgromadzili się na scenie i widowni. Cieszyli się i świętowali. Mimo okropności na ulicach, mimo walk, w których zginęło kilka tysięcy ludzi, mimo morderstw i rabunków wszyscy cieszyli się ożywczym powiewem wolności.

Na scenie stał Alosza Strielow, kierownik maszynowni i oświetleniowców, i przemawiał jak na wiecu:

– Towarzysze, musimy wybrać naszych przedstawicieli do Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

– Kolego, kolego! – przerwał mu dyrektor. – Pomału, wszyscy jesteśmy tu za rewolucją, ale nie jesteśmy żadnymi towarzyszami.

– Dyrektorze, albo jesteście z nami, albo przeciwko nam. Przegłosujemy... Kto jest za wybraniem delegatów teatru do Piotrogradzkiej Rady?

– Balet jest przeciw! – Na scenę wybiegł koryfej Wasilij Staszew. – My nie jesteśmy robotnikami ani żołnierzami. Kto tu w ogóle jest robotnikiem?

– A może najpierw byśmy to przedyskutowali? – odezwał się stentorowym głosem jeden z basów.

– Panie dyrektorze! – wołała z ostatnich rzędów któraś ze sprzątaczek. – My jesteśmy robotnikami, to my powinniśmy wybierać.

– Jeśli chcecie, to dyskutujcie – powiedział dyrektor.

Pierwszy skrzypek przemawiał długo i zawile i trudno było zrozumieć, o co mu chodzi. – My, artyści – zakończył – nie powinniśmy zajmować się polityką, to do nas nie należy.

Wszedł do sali dyrektor Teatrów Cesarskich Tielakowski:

– Co się tutaj dzieje?

– Wybieramy delegatów do Piotrogradzkiej Rady – odpowiedział Staszew.

– Chwilę, chwileczkę! – Tielakowski podniósł obie ręce. – Proszę się zastanowić. Państwo chyba zapomnieliście, że wasz teatr, jak i inne, jest, a raczej był na utrzymaniu Jego Cesarskiej Wysokości Mikołaja Drugiego. Co teraz będzie z nami wszystkimi? Nie zapominajcie, że istnieliśmy tylko dzięki dotacjom cara.

– Nikt się za nami nie ujmie. Sami weźmy sprawy w swoje ręce – wołała sprzątaczką z tylnych rzędów. – My głodujemy! Sprzątamy teatr dla tłustych bogaczy. Oni mają wszystko, a my przymieramy głodem! Dość tego! Wybierzmy swoich przedstawicieli do Rady. Koleżanki, koledzy, zgłaszajcie kandydatów.

Katia podniosła rękę i wyszła na środek sceny.



– Moi drodzy. Car abdykował, a jego brat zrzekł się tronu do czasu zwołania Zgromadzenia Narodowego. To ono ma zdecydować, co dalej z Rosją. Duma powołała Rząd Tymczasowy. To jest obecnie jedyna legalna władza. Zapewne teraz rząd będzie finansował teatry. Robotnicy i żołnierze powołali Piotrogradzką Radę, obawiając się, że ich nikt nie reprezentuje. Ale tak nie jest, a już z pewnością tak nie będzie. Za kilka miesięcy będą wybory, a potem zbierze się Zgromadzenie, uchwali konstytucję. Przedstawiciele narodu ustanowią nowy ład w państwie. Nie wolno tworzyć drugiej władzy. To by był chaos i anarchia. Rosja po raz pierwszy od bardzo dawna ma szansę iść we właściwym kierunku. Nie tworzymy drugiej władzy obok legalnej, nie wywołujemy wojny domowej. Przecież nadal toczymy wojnę z Niemcami. Walki na ulicy, śmierć niewinnych ludzi, to tragedia. To zebranie w ogóle nie powinno się odbywać. Dwuwładza doprowadzi do wojny domowej, do kolejnych walk i morderstw. Już dość krwi wylano, zbyt wiele, już dość!

– Car abdykował – wołał młody człowiek z administracji – ale rządzi nadal arystokracja i burżuazja. Na czele rządu postawiono księcia Lwowa. Odszedł car, a rządzi książę! Tylko tyle się zmieniło, książę zamiast cara. – Wybiegł na scenę z kartką i ołówkiem. – Tylko Piotrogradzka Rada jest prawdziwym przedstawicielstwem narodu. To jej Komitet Wykonawczy powinien objąć władzę. Zgłaszajcie kandydatów, będę zapisywał.

– Kolego – oponował dyrektor – nawet nie wiemy, ilu możemy mieć delegatów i czy Rada w ogóle zechce ich uznać.

– Ja w tym zebraniu udziału nie wezmę – powiedziała Tamara Karsawina – i proponuję, żebyśmy się rozeszli.

– Słusznie – rzekła Katia. – Ja też wychodzę.

Ruszyły w stronę wyjścia, kilkadziesiąt osób poszło za nimi, obaj dyrektorzy także, a reszta żegnała ich gwizdami i gniewnymi okrzykami.

## Czerniowce

Dywizjon Karsowa stacjonował w okolicy Czerniowiec. Na początku marca przyszły wieści o rewolucji w stolicy i powstaniu Rządu Tymczasowego mianowanego przez Dumę i odpowiedzialnego nie przed carem, lecz przed Dumą, a kilka dni później – o abdykacji Mikołaja II. Karsow z początku nie bardzo się tym przejął. Demokracja w Rosji to utopia, ale monarchia konstytucyjna nie byłaby niczym złym, a tron miał przecież objąć brat cara, na rzecz którego Mikołaj abdykował. Co prawda arcyksiążę Michał Aleksandrowicz nie przyjął korony, lecz zastrzegł, że do czasu zwołania Zgromadzenia Konstytucyjnego. Jeśli ono tak postanowi, to koronę przyjmie. Jednak Karsow rozumiał, że jego świat odchodzi w przeszłość. Od dawna wiedział, że tak będzie, przewidywał to, nawet nieraz o tym mówił. Jednak zabołało.

To, co działo się teraz w wojsku, ledwie mógł zrozumieć. Masowe dezercje i zupełny zanik dyscypliny, nieustające wiece i dyskusje. Nie tylko na zapleczu frontu, nawet na samym froncie. Żołnierze spierali się z dowódcami, czy i jak wykonywać rozkazy! Zdarzały się pobicia oficerów przez żołnierzy. Najczęściej bezkarne. Wielu dowódców bało się własnych podwładnych. Wszędzie powstawały Rady Delegatów Żołnierskich i to one nieraz decydowały o działaniach pułków i batalionów.

Karsow czytał opublikowany w „Wiadomościach” sławny *Prikaz nr 1* Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Przecierał oczy w zdumieniu, nie mógł uwierzyć! *Prikaz* żądał „niezwłocznego wybrania komitetów rewolucyjnych”. „Wszelkiego rodzaju broń powinna się znajdować w dyspozycji komitetów i w żadnym przypadku nie może być wydawana oficerom! Żołnierze absolutnie nie mogą mieć mniejszych praw niż przysługujące wszystkim obywatelom... Wolność żołnierza nie może być niczym ograniczona...” *Prikaz* znosił karę śmierci za dezercję z frontu! Przekreślał wszelką zależność żołnierzy od oficerów. Do sztabów armii, frontów i do naczelnego dowództwa wprowadzał komisarzy wojennych o szerokich pełnomocnictwach. Komisarze musieli mieć aprobatę piotrogrodzkiego sowdepu<sup>1</sup>, gdzie bolszewicy byli w mniejszości, lecz Trocki i Zinowjew i tak decydowali o wszystkim. Trudno byłoby o coś bardziej niszczącego dla armii. Komunistyczna swołocz! Aż do tego się posunęli!

Karsow w swoich szwadronach nadal dobrze radził sobie z porządkiem i dyscypliną. Ludzie go szanowali, bo nigdy ich nie poniżał, dzielił ich trudy, nie oszczędzał się i wielokrotnie dawał przykłady odwagi i poświęcenia. Nie spoufalał się z podwładnymi, był surowy i wymagający, lecz sprawiedliwy. Jeszcze bardziej go pokochali, kiedy się dowiedzieli, że odmówił awansu, żeby zostać z nimi na froncie. Lecz dywizjon kawalerii Karsowa był wyjątkowy. To, co działo się

w piechocie, to była katastrofa. Rozkład, zbiorowe szaleństwo i obłęd. Armia przestała być narzędziem obrony kraju. To były już tylko zanarchizowane gromady czerni. Karsow zrozumiał, że teraz klęska jest już pewna; musiała nadejść, i to wkrótce.

W rejonie Czerniowiec, gdzie przebiegał front obsadzony przez 18. Korpus, w którego składzie był dywizjon kawalerii Karsowa, wiosną 1917 roku było jeszcze dość spokojnie. Toczyły się walki pozycyjne, a za drugą linią okopów rozkwitło życie polityczne.

Karsow wiedział o mających się tego dnia odbyć wyborach delegatów do rady żołnierskiej na szczeblu korpusu. Czuł wstręt do takich zebrań, lecz przemógł się i poszedł. W ogromnym baraku tłoczyło się ponad tysiąc ludzi. Pośrodku i w kątach słabo świeciły karbidowe samochodowe latarnie. Oświetlały morze głów i twarzy, złych i pełnych napięcia. Wszyscy stali, tylko za stołem na podwyższeniu siedzieli pułkownik sztabu generalnego von Lampe, jak zwykle spokojny i opanowany, jeszcze jacyś dwaj starsi oficerowie, których Karsow nie znał, a obok nich prości żołnierze: szofer, radiotechnik i kucharz. Było to prezydium zebrania.

Karsow przeciskał się przez tłum w stronę stołu, żeby lepiej słyszeć, co mówią. Rotmistrz, który akurat przemawiał, był dowódcą jednego z jego szwadronów. Nawoływał, aby wybierano osobno delegatów oficerskich i żołnierskich. Nie wróżyło to niczego dobrego, bo musiałyby od razu powstać dwa stronnictwa, oficerskie i żołnierskie, oczywiście wrogie i z oczywistą przewagą żołnierskiego. Rotmistrz nie ukrywał nienawiści i pogardy dla rewolucji; właściwie wzywał do walki z nią z bronią w ręku. Tłum odpowiadał gniewnymi pomrukami.

– Wszystko teraz wali się w czorty – mówił. – Wszyscy łączą się w obronie własnych interesów klasowych i grupowych. Oficerowie są zepchnięci przez żołdaczynę do roli ostatnich pariasów. Nie możemy się temu poddać, musimy domagać się równouprawnienia. – Zakończenie jego przemówienia zabrzmiało historycznie i żałośnie: – Dowódcy to przecież też ludzie!

Oficerowie stojący w grupach i pojedynczo wśród tłumu dali mu brawa, a żołnierze śmiali się i buczeli.

Po nim wszedł na trybunę gruby podpułkownik, komendant polowej piekarni. Miał czerwoną, okrągłą twarz.

– Nie pozwolimy obrażać naszego oficerskiego munduru! – wykrzyknął głosem zdradzającym upojenie alkoholowe i to było wszystko, co miał do powiedzenia.

Pułkownik von Lampe zapowiedział, że głos ma szeregowiec Iwan Jurko.

Na trybunie pojawił się krępy mężczyzna około pięćdziesiątki o szerokiej, plebejskiej twarzy. Mówił głośno i gwałtownie gestykułował. Potrząsał pięścią.

– Towarzysze! Wielu z was dobrze mnie zna, jestem prostym człowiekiem, marksistą i bolszewikiem. – Sepleniał lekko, brakowało mu kilku zębów z przodu. –

Kończy się panowanie panów oficerów, burżujów, hrabiów i całej szlacheckiej swołoczy. Dość! Teraz my przejmujemy władzę i ustanowimy sprawiedliwy porządek. Przede wszystkim pokój! Dość przelewania krwi w interesie kapitału. Niemcy po drugiej stronie frontu to nasi bracia, tak samo jak my uciskani przez swoich własnych, niemieckich krwiopijców. Następną rzeczą to ziemia dla chłopów i praca dla robotników. Za uczciwą zapłatą. Bracia! Wybierzcie mnie na delegata, a będę bronił waszych interesów. Jestem prostym chłopem, nazywam się Iwan Jurko. Głosując na mnie, zagłosujecie na partię bolszewików, jedyną partię, która da wam pracę, chleb, ziemię i pokój.

Barak zaszumiał oklaskami.

Na trybunę wdarł się niezapowiedziany przez nikogo mały, chudy człowieczek z odstającymi uszami w mundurze artylerii.

– Panowie oficerowie! – krzyczał. – Jak panowie chcecie wojować, to wojujcie sobie sami. Nam trzeba wracać do domów, pańską ziemię dzielić i po ludzku z babami spać!

Odpowiedziało mu radosne wycie tłumu i oklaski. Kiedy ucichło, na trybunę wszedł Polak Karol Wędziagolski<sup>2</sup>, oficer z intendencji, którego Karsow znał z widzenia.

Mówił pogodnie i ze swadą. Nawoływał do rozwagi i do zgody. Uśmiechał się i był przyjazny zarówno wobec oficerów, jak i żołnierzy:

– Koledzy! Jeśli będziemy się nawzajem zwalczać, to czeka nas klęska. To prawda, że robotnicy niemieccy są braćmi robotników i chłopów rosyjskich. To prawda, że ta wojna została wywołana w interesie bogatych, a nie biednych. Że to biedni na niej umierają. To wszystko prawda! Ale niemieccy robotnicy i chłopci jak dostaną rozkaz, to będą do nas strzelać. Są zdyscyplinowani i silni, więc nasza ojczyzna może zginąć. Jeśli będziemy dyskutować i zwalczać się, zamiast bronić kraju, to nasza święta Rosja upadnie. Zginie nieuchronnie! Panowie oficerowie! Rewolucja jest faktem, z którym trzeba się pogodzić. Samodzierżawia nie ma i już nie będzie, caratu nie będzie. Nie będzie przywilejów stanowych. Rewolucja daje szansę na sprawiedliwy świat, gdzie każdy, kto pracuje, będzie mógł żyć jak człowiek. Lecz musimy wyjść z tego chaosu. Trzeba zaprowadzić jakiś porządek. Niech panowie oficerowie wybierają na delegatów najroztropniejszych i najdzielniejszych żołnierzy. A żołnierze niech wybierają najlepszych i najsprawiedliwszych oficerów. I powiem wam jeszcze jedno. – Zaśmiał się cicho. – Wybierzcie także pana pułkownika z piekarni, żeby naszym delegatom w Czerniowcach nie zabrakło chleba.

Tłum wybuchnął śmiechem i oklaskami.

Karsow nie mógł dłużej na to patrzeć. Wyszedł. Po zaduchu w baraku z przyjemnością oddychał zimnym, rześkim powietrzem. Opanowało go przygnębienie. Kilka tygodni temu uciekł z kolacji wydanej przez księcia Dymitra,

a teraz z tego zebrania. Świat wielkich książąt nie był już jego światem i odchodził w przeszłość. A ten nowy świat bolszewików i delegatów robotniczych i żołnierskich? Brzydził się nim. Wrócił do swojej kwatery w mieszkaniu aptekarza przy głównej ulicy Czerniowiec. Wypił kieliszek koniaku, wstrzyknął sobie kokainę, wziął książkę *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego, znalazioną w niemieckim okopie, położył na stoliku nocnym; poczyta jeszcze przed snem. Nastawił zdobyczy gramofon. To był wspaniały wynalazek i jego nowa wielka przyjemność. Razem z gramofonem zdobył całą kolekcję płyt muzyki poważnej.

Ordynans przygotował mu kąpiel. Wyciągnął się w wannie, drzwi do pokoju pozostawił otwarte. Jak przyjemnie! Rozkosznie. Zatęsknił do Nadzieży. Nie jest nadzwyczaj mądra, to prawda, ale kocha go, to pewne. I potrafi się kochać! Te piękne dziwki Dymitra, seks bez miłości, wcale go nie interesowały. Wspominał Niceę, podróże z Nadią po Europie. Minęły zaledwie trzy lata, a jak ona się zmieniła! W Piotrogradzie ostatnio kochali się już zawsze przy zgaszonym świetle. Być może oboje woleli nie patrzeć na swoje starzejące się ciała. Jednak bardzo ją kochał. Nie miał nikogo, tylko ją. No, może jeszcze wierność carowi, którego nie szanował, lecz któremu przysięgał. Honor? Ale car abdykował, więc wierność przegranej sprawie? Idei? Dynastii? Można w to jeszcze wierzyć? Ale jeśli nie, to w co innego? Nie, nie należy w ogóle o tym myśleć. Albo jest się wiernym, albo zdrajcą. Kto zaczyna się zastanawiać nad wiernością i honorem, ten już zdradził, już stracił honor...

Słuchał *Nabucco* Verdiego; chór pielgrzymów. Kokaina, koniak, ciepła kąpiel i ten przepiękny chór – cudownie. Czytał Nietzschego od kilku dni, rozumiał każde słowo i każde zdanie, lecz nie rozumiał myśli. Jednak, co dziwne, nie rozumiejąc, czytał z przyjemnością te niezwykle przypowieści, ni to poezję, ni filozofię. Wydawało mu się, że chociaż nie byłby w stanie sformułować, co mówi autor, to i tak w jakiś pozarozumowy sposób przyswajał sobie jego świat. Nietzsche pisał o nadczłowieku. To było Karsowowi bliskie.

„Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią było pisane”.

Tak, wojna pisze krwią i Karsow niejedno już krwią napisał.

„Wy patrzycie w górę, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę na dół, bom jest wyniesiony”.

Tak, czuł się wyniesiony, wojna i kokaina niosły go na wyżyny.

„Mężnymi, nie dbającymi o nic, drwiącymi i gwałtownymi – takimi chce nas mieć mądrość: ona jest kobietą i pokochać zdoła tylko wojownika”.

O tak, jest wojownikiem!

„Teraz lekki jestem, teraz bujam, teraz widzę siebie przed sobą, teraz tańczy Bóg jakiś przeze mnie”<sup>3</sup>.

Karsow unosił się, płynął, całą noc czytał, a rano wcale nie czuł się zmęczony.

Następnego dnia dowiedział się, że Polak Wędziagolski, oficer z intendentury, dostał najwięcej głosów ze wszystkich kandydatów. Wybrano na delegatów jeszcze kilku prostych żołnierzy i jednego podoficera. A bolszewik Iwan Jurko w głosowaniu przepadł, choć zabrakło mu tylko kilku głosów.

<sup>1</sup> Sowdep – *Sowiet deputatów*, rada delegatów.

<sup>2</sup> Opis tego zebrania znajduje się w świetnych pamiętnikach *Wspomnienia. Wojna i rewolucja* Karola Wędziagolskiego (1886–1974). W czasie pierwszej wojny światowej służył w armii rosyjskiej. Po rewolucji lutowej współpracował z antybolszewicką Partią Socjalistów-Rewolucjonistów i Borysem Sawinkowem. Po wojnie był bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego.

<sup>3</sup> Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przekład Wacława Berenta.

## Zurych

Wieczorem 9 kwietnia niemiecka eskorta zamknęła od wewnątrz wagon Lenina odjeżdżający do Rosji i pociąg ruszył na północ. Nareszcie! Lenin miał już dość Szwajcarii. Ci tutejsi socjaliści! Konferował z nimi w Kientahlu i w Zimmerwaldzie, wygłaszał prelekcje w Domu Ludowym, przemawiał, nauczał. Całe dni w bibliotekach czytał i pisał. Pisał im teksty ideowe, tłumaczył, że Szwajcaria jest krajem, w którym powinna się zacząć rewolucja europejska i światowa. Nie rozumieli. A przecież to proste – wyjaśniał. Przecież to jedyny kraj na świecie, gdzie każdy mężczyzna przeszkolony w wojsku dostaje do domu karabin i amunicję. A czego więcej potrzeba do rewolucji?!

Doprowadził do rozłamu w ich partii. Lecz i tak ci najbardziej radykalni byli okropnie niezdecydowani. Rewolucjoniści?! Stare baby! Mieszczuchy, wredni burżuazyjni zdrajcy! Podłe sługusy kapitału! Tępi szwajcarscy lokaje!

Potem nie mógł uwierzyć, kiedy przyszły pierwsze doniesienia o rewolucji w Piotrogradzie. Car abdykował? Niemożliwe! Bolszewicy nie mają prawie żadnych swoich ludzi w stolicy, więc jak mogła się tam zacząć rewolucja? To tylko jakieś strajki, wojsko szybko je stłumi. Ale dzień po dniu napływały potwierdzenia. Car naprawdę abdykował i jego brat także. Więc to Rosja jest zarzewiem rewolucji światowej?! Oczywiście. Rano była nią Szwajcaria, a wieczorem Rosja. Towarzysze dziwili się, że tak zmienia zdanie. Ale to jest właśnie myślenie dialektyczne. Tylko idioci tego nie rozumieją. Więc zaczął wysyłać do kraju wytyczne. Rewolucja burżuazyjna to tylko pierwszy etap. Trzeba teraz przejść do rewolucji proletariackiej. Żadnego porozumienia z Rządem Tymczasowym! Żadnych układów z mienszewikami. Codziennie wysyłał do Piotrogradu do Aleksandry Kołontaj wytyczne i rady. Przecież tam nikt niczego nie rozumie! Z początku jeszcze nie wiedział, czy należy jechać do Rosji. Wahał się przez kilka dni. Potem już nie miał wątpliwości i nie mógł usiedzieć na miejscu. Ale jak? Którędy? Może przez Anglię? Potem Martow, jeden z przywódców mienszewików, wystąpił z projektem przejazdu przez Niemcy. Świetnie, że ten projekt nie wyszedł od niego, wiedział, że oskarżą go o zdradę. A potem nagle się okazało, że Parvus już wszystko załatwił, zorganizował i uzgodnił z Niemcami. Doskonale!

Zebrani na peronie rodacy żegnali odjeżdżających wyzwiskami: „Zdrajcy! Wilhelm opłacił waszą podróż! Sprzedawczycy! Szpiedzy niemieccy!“. Kiedy Włodzimierz Iljicz przeciskał się przez tłum do pociągu, wybuchła bijatyka i wódz musiał się bronić parasolem. Potem o szyby rozbijały się jajka; okna, zgodnie z poleceniem Niemców, szczelnie zasłonięto i tak miało już pozostać do końca podróży. Lenin się tym nie przejmował, lecz Igorowi Niesłuchowowi zrobiło się nieprzyjemnie.

Wódz zabrał ze sobą żonę, Nadieżdę Krupską, kochankę Inesę Armand i kilku najbliższych mu bolszewików spośród szwajcarskich emigrantów. Inesę Igor znał od dawna. W czasie kilkudniowej podróży poznał Karola Radka<sup>1</sup>, polskiego Żyda, bandytę i kryminalistę, a potem socjaldemokratę niemieckiego i rosyjskiego, zesłańca na Sybir. Był to mały i chudy człowieczek w bardzo grubych okularach, z bokobrodami zbiegającymi się pod brodą. Zawsze z fajką w zębach. Inteligentny rozmówca, wesoły i skory do żartów, ale też fanatyk zaperzający się o byle wątpliwość ze strony rozmówcy.

Poznał Grigorija Sokolnikowa<sup>2</sup>, ponurego intelektualistę, władającego biele sześcioma językami, także Żyda, który kiedyś nazywał się Hirsz Jankielewicz Brilliant; Grigorija Zinowjewa<sup>3</sup>, właściwie Owsieja-Gerszen Aronowicza Radomyslskiego, syna żydowskiego rolnika (co nietypowe) właściciela wielkiej farmy mlecznej. Świetnie rozmawiało mu się z jego żoną, miłą i uwodzicielską Zinaidą Liliną. Poznał bolszewików z Uralu, Gołoszczokina i Safarowa.

Z Leninem jechało także kilkunastu mienszewików, których skład narzucił Leninowi organizator wyprawy do Rosji, Aleksander Parvus. Obaj nie chcieli, aby desant rewolucjonistów kojarzony był z jednym tylko odłamek partii. Razem – trzydzieści trzy osoby<sup>4</sup>.

Niemców reprezentował i dowodził eskortą socjalista Fritz Platten wyznaczony przez ambasadę w Bernie. Tylko on miał prawo wysiadać z wagonu. Na stacjach kupował gazety i piwo dla Lenina i Zinowjewa. Połowa przedziałów w wagonie typu miks była pierwszej klasy, połowa drugiej. Lenin ze swoimi od razu zajęł te lepsze. Rządził w tym wagonie niepodzielnie. Z mienszewikami był tak skłócony, że robił, co mógł, żeby w ogóle się z nimi nie widywać. Ustalił pory wydawania przez kuchnię posiłków i kolejność ich odbierania przez obie części wagonu, wyznaczył przedział na palarnię (nie tolerował dymu tytoniowego) a w ubikacjach wywiesił wezwania do zachowania czystości.

Jechać mieli przez Stuttgart, Frankfurt nad Menem, Berlin do portu Sassnitz, dalej przez morze statkiem do szwedzkiego Trelleborga. Dopiero w ostatniej chwili przyszła wiadomość, że Szwedzi zgodzili się na przejazd przez swoje terytorium do Finlandii. Gdyby zgody nie było, Niemcy planowali przewieźć ich przez front. Nie wiadomo było, jak mieliby tego dokonać.

W Berlinie wagon godzinami stał od rana na boczniczy i nikt nie rozumiał dlaczego. Wieczorem, po zmroku, na peronie za oknem pojawił się elegancki samochód, wysiedli z niego dwaj panowie w ciemnych garniturach, eskorta już na nich czekała, otworzyła im drzwi. Weszli do saloniku Lenina, skąd po chwili wyszły Krupska i Armand.

Konferowali półtorej godziny, po czym przybysze zrobili sobie przerwę na papierosa. W korytarzu starszy z nich pytał o palarnię, Igor odpowiedział po francusku, udawał, że niemieckiego nie rozumie. Było to zawczasu ustalone



z Włodzimierzem Iljiczem, który chciał się dowiedzieć, co Niemcy będą mówić między sobą. Usiedli, Igor zapalił, udawał, że czyta gazetę.

– Myśli pan, generale, że to się uda, że te straszne sumy, które na nich wydajemy, nie pójdą na marne?

– Marszałek Ludendorff nie ma co do tego wątpliwości. Sądzę, że nawet jeśli nie uda im się przejąć władzy, to wywołają wystarczająco wielki zamęt w Rosji, żeby nam się opłaciło. Dwa, trzy miesiące strajków, rewolucji, anarchii, dezercji z frontu, to ich musi osłabić, to wystarczy... To będzie jak przygotowanie artyleryjskie przed naszą ofensywą. Lepiej dać pieniądze, niż przelewać niemiecką krew. Ten wagon jest puszką Pandory, rewolucją w konserwie.

– Może raczej puszką z zarazkami dżumy?

– Też dobre porównanie, panie hrabio.

– A jeśli ta zaraza przeniknie przez front i rozprzestrzeni się w Niemczech i w Europie?

– No cóż? Gra jest trochę niebezpieczna. – Generał dmuchnął dymem z cygara i zastanawiał się chwilę. – Ale myślę, że do tego nie dojdzie.

– A w sprawie pośrednictwa Parvusa? Co pan sądzi? Lenin chce wszystkich pieniędzy dla siebie, niczego dla mienszewików.

– Parvusa zupełnie wyeliminować nie możemy. To przez jego firmy trzeba będzie przekazywać większość pieniędzy. Żeby nie stawiać tylko na jednego konia, spróbujmy dać Leninowi własny kanał przepływu środków, nie zamykając tego przez Parvusa. Tak żebyśmy mieli kontrolę nad obydwojoma strumieniami.

– Więc otwieramy drogę przepływu pieniędzy bezpośrednio do Lenina, a nie zamykamy kanału przez Parvusa?

– Właśnie, tak to widzę.

Niemcy poszli do przedziału Lenina, a Igor czekał, aż wyjdą. Trwało to bardzo długo. Skończyli dopiero po dwóch godzinach. Kiedy wychodzili, słyszał jeszcze Lenina:

– Koniecznie wyjaśnijcie to w prasie. To ma być wymiana nas za niemieckich jeńców wojennych. Rząd zgadza się na przejazd przez Niemcy Rosjan, których wzywa do ojczyzny pragnienie wolności.

Idąc do wyjścia, Niemcy rozmawiali już półgłosem i Igor, dyskretnie posuwając się za nimi, musiał mocno nasłuchiwać. I tylko przez chwilę słyszał, co mówią.

– No dobrze, dobrze, tylko czy on tego dotrzyma? Zrezygnują z Ukrainy, Zachodniej Białorusi? To by było znakomicie!

– Jak będzie musiał, to dotrzyma. To już my musimy się postarać, żeby musiał.

Chwilę później Igor siedział naprzeciw Lenia i relacjonował, czego się dowiedział. Włodzimierz Iljicz uśmiechał się i był zadowolony.

– Taki prosty trick! I dali się tak podejść – cieszył się. – Prawdę mówiąc, sam nie wierzyłem, że to się uda. Rozmawiali przy was i wierzyli, że nic nie rozumiecie?! Chociaż właściwie... nie powiedzieli niczego, czego nie mógłbym się domyślić. – Chodził z rękami splecionymi za plecami po saloniku, przebudowanym z dwóch przedziałów, mimo to dość ciasnym. Cztery kroki w tę i cztery z powrotem. Kiwał głową: – Tak, tak, dobrze, niech tak myślą, bardzo dobrze!

– Włodzimierzu Iljiczu, mają tak myśleć... to znaczy, że nie oddamy im Ukrainy, prawda? – spytał Igor.

– Oddamy czy nie oddamy? Co to ma za znaczenie? Kiedy rewolucja ogarnie Europę, granice nie będą miały żadnego znaczenia. Ukraina nie będzie rosyjska ani niemiecka, tylko komunistyczna, proletariacka i robotnicza. Czerwona! Nie rozumiecie tego, Igorze Aleksandrowiczu?

Igor był poruszony tą odpowiedzią wodza, naszyły go wątpliwości. Przed chwilą był prawie pewien, że Lenin nie ma zamiaru dotrzymać obietnic dotyczących granic. Przyzwyczał się już do jego cynizmu i sam przyjął ten sposób myślenia. Polityka! W polityce tak już jest. Lecz jeśli rewolucja nie zwycięży albo ogarnie tylko Rosję? Oddać Ukrainę?! Także Polskę i pewnie kraje bałtyckie? Na dworcu w Zurychu inni Rosjanie nazywali odjeżdżających zdrajcami. Może mieli trochę racji? Trochę? Można być trochę zdrajcą?

\* \* \*

W Niemczech pociąg miał specjalny status i pierwszeństwo, jechali bez żadnych postojów, nawet pruski następca tronu musiał godzinę czekać, żeby ich przepuścić. W małym porcie Sassnitz przesiedli się na szwedzki parowiec i nocą popłynęli do Trelleborga. Mieli do pokonania około osiemdziesięciu kilometrów. Statek miał niemieckie gwarancje bezpieczeństwa, lecz nie rosyjskie ani angielskie, więc istniało spore niebezpieczeństwo. Włodzimierz Iljicz spacerował po pokładzie, morze było niespokojne, statkiem trochę kiwało, wódz starał się sprawiać wrażenie odprężonego, ale Igor, który już znał go dobrze, widział, że Lenin się niepokoi. Owinięty szalikiem, z postawionym kołnierzem płaszcz stał przy relingu i patrzył na morze, jakby usiłował dojrzeć peryskop okrętu podwodnego lub pływającą minę morską. Chodził po pokładzie, znów stawał przy burcie i wypatrywał. Zszedł do swojej kajuty, dopiero gdy na horyzoncie pojawiły się światła portu.

W Trelleborgu zaraz po zakwaterowaniu w hotelu wybrał się z żoną i Inesą na zakupy. Wrócili w świetnych humorach. Włodzimierz Iljicz kupił sobie buty i dwie pary spodni. Po południu wezwał Igora i przedstawił mu Jakuba Haneckiego. Młody człowiek, przed trzydziestką jeszcze, przyjechał na ich spotkanie do Trelleborga, był synem polskiego producenta piwa.

– To mój minister skarbu – żartował Lenin, kładąc mu dłoń na ramieniu. –

Kiedy mnie Austriacy aresztowali w Krakowie w sierpniu czternastego roku, bardzo pomógł mnie uwolnić, zorganizował protest intelektualistów. Mam wobec towarzysza Jakuba dług wdzięczności. Ale i towarzysz Niesłuchow – spojrzął na Igora – oddał partii znaczne usługi w zdobywaniu finansów. A jeszcze dał nawet własne pieniądze, i to niemałe.

Hanecki przywiózł wiadomość, że Parvus chce się widzieć z Leninem, kiedy dotrą do Sztokholmu.

– O nie! – powiedział Włodzimierz Iljicz. – Mowy nie ma! Nie chcę żadnych osobistych kontaktów z tym ciemnym tytkiem. Rewolucji nie można robić brudnymi rękami.

– Mam mu to powtórzyć? – zdziwił się Hanecki.

– Dajcie jakąś wymijającą odpowiedź. Na miejscu coś jeszcze wymyślimy. Ale do rzeczy! Igorze Aleksandrowiczu! Zajmiecie się w Rosji wszystkimi technicznymi i organizacyjnymi sprawami związanymi z propagandą. Więc czasopisma, broszury, ulotki, drukarnie, zakup papieru, dystrybucja. Musimy to nie podwoić ani potroić. To trzeba rozwinąć dziesięciokrotnie, dwudziestokrotnie! Pieniądzy jest dość. Wszystkie sprawy finansowe, przepływy w gotówce i przelewach będziecie załatwiać z towarzyszem Haneckim. Trzeba kupować drukarnie, rozwijać stare pisma, zwiększyć ich nakłady, rozszerzyć dystrybucję i tworzyć nowe, może kupić papiernię, żeby obniżyć koszty.

– Najlepiej byłoby kupować te drukarnie, w których powstają pisma naszych przeciwników politycznych – zauważył Hanecki.

– Słusznie, tak trzeba zrobić – rzekł Lenin. – Porozmawiajcie sobie teraz o kontaktach i współpracy. A! Jeszcze jedno. Depeszujcie, Igorze Aleksandrowiczu, do redakcji „Prawdy”. Mają zapowiedzieć mój przyjazd jako przywódcy partii, niech robią wokół tego jak najwięcej szumu, muszę być w Piotrogradzie witany entuzjastycznie jako przybywający z wygnania wódz światowej rewolucji.

– A w Sztokholmie? – zapytał Igor.

– Tam, niestety, wśród socjaldemokratów najlepsze kontakty ma Parvus – powiedział Hanecki.

– Ja też znam wielu, sam to załatwię – rzekł Lenin.

\* \* \*

W Sztokholmie Parvus jeszcze raz próbował dostać się przed oblicze wodza, lecz Lenin wysłał do niego w zastępstwie Haneckiego i Radka. Przyjęcie w Szwecji było imponujące, Igor był pod wrażeniem. Dzień wcześniej gazety zapowiadały przyjazd wodza rosyjskich socjalistów. Lenin, człowiek dotąd przecież szerzej nieznanym nawet w samej Rosji, wystąpił w kronice filmowej, udzielał wywiadów dziennikarzom miejscowym i zagranicznym. Socjaldemokraci urządzili na jego

część przyjęcie w luksusowym hotelu Regina. Powitał go burmistrz stolicy, Karl Lindhagen, członek lewego skrzydła szwedzkich socjaldemokratów. Następnego dnia pojechali dalej. Od Malmö podróżowali już zwyczajnie pociągiem, podróż opłacili w całości z funduszy dostarczonych przez Haneckiego.

Radka Lenin zostawił w Szwecji. Miał tam zorganizować zagraniczne biuro Komitetu Centralnego partii bolszewickiej, w rzeczywistości placówkę do przekazywania pieniędzy i towarów na działalność partii, płynących z Niemiec przez Danię. Po kilku rozmowach z Haneckim, Sokolnikowem i Radkiem Igor orientował się już w mechanizmach i skali przedsięwzięcia. W Danii powstało kilkanaście firm handlowych, część na nazwisko Parvusa, część na Haneckiego, część na polskiego prawnika, mecenasa Mieczysława Kozłowskiego i Jewgienię Sumenson. Na ich konta wpływały pieniądze z niemieckiego sztabu generalnego. Jeszcze większe sumy pochodziły z kredytów udzielanych im przez banki niemieckie. Kredyty te gwarantował rząd niemiecki i z góry zakładano, że mogą nie zostać spłacone. Główną rolę odgrywał berliński Disconto-Gesellschaft Bank i szwedzki AB Nya, którego dyrektor dobrze znał Parvusa i Lenina. Firmy w Danii kupowały towary dobrze sprzedające się w Rosji, od ołówków, przez farmaceutyki i żywność, po rudę miedzi. Przewożono je na statkach należących do Parvusa i Haneckiego do Rosji, gdzie brakowało wszystkiego, więc były sprzedawane z wielkim zyskiem. Tam przez liczne konta w wielu rosyjskich bankach trafiały do kasy bolszewików.

Ze Sztokholmu jechali przez mroźne jeszcze o tej porze roku nadmorskie tereny Szwecji do Gävle, Härnösand i Vännäs do Haparandy przy granicą z Finlandią<sup>5</sup>. Tam przyszła depesza od towarzyszy z Piotrogradu, że Rząd Tymczasowy wie już o ich przyjeździe i wyda zakaz wpuszczenia ich do Rosji. Jednak przejechali granicę bez przeszkód. Pociąg wiózł ich teraz na południe, do fińskiego Tornio, Oulu i Tampere. 14 kwietnia po południu wysiedli na Dworcu Fińskim w Piotrogradzie. Kilkuset towarzyszy witało Lenina na placu przed dworcem. Byli też marynarze z okrętów wojennych. Grała orkiestra, były kwiaty i przemówienie, które wódz wygłosił, wspiąwszy się na samochód pancerny. W ostatniej chwili spostrzegł, że jego melonik nie bardzo pasuje do robotniczego zgromadzenia.

– Pożyczcie mi czapkę, pożyczcie – wołał. Wziął od Igora skórzaną czapkę z daszkiem, a jemu wcisnął na głowę swój kapelusz.

Obiecował pokój, chleb i ziemię dla chłopów. Zebrani śpiewali *Marsylianke* i *Międzynarodówkę*.

\* \* \*

Już kilka dni później Igor kupił pierwszą drukarnię. Zmienił jej nazwę na Raboczij Trud. Dwieście sześćdziesiąt tysięcy rubli. Po kilku zmianach

technicznych zaczęto tam drukować w zwiększonym nakładzie bolszewicką „Prawdę”. Igor kupował następne.

21 kwietnia kwatera główna wojsk niemieckich depešowała do Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

**Powrót Lenina do Rosji udany. Działa ściśle według naszych życzeń.**

Trzy miesiące później koncern prasowy bolszewików wydawał 41 gazet o łącznym dziennym nakładzie 320 tysięcy egzemplarzy, z czego 27 tytułów po rosyjsku. Pozostałe po gruzińsku, ormiańsku, łotewsku, tatarsku, polsku. Odpowiednio rosła liczba członków partii. 23 tysiące w lutym 1917, 100 tysięcy w kwietniu, 240 tysięcy w sierpniu, 350 tysięcy na początku października.

\* \* \*

Igor z towarzyszem Moisiejem Urickim oglądał pałacyk Krześnińskiej. Pałacyk został splądrowany jeszcze w połowie marca, a właścicielka uciekła, zabierając w dwóch walizkach tylko najcenniejszą część biżuterii z tego, co było w domu, bo resztę miała zdeponowaną u Fabergého i w banku. Zabrała też ukochanego pieska, foksika Dżybiego. Ukrywała się u znajomych.

Lenin wysłał Urickiego, żeby obejrzał, czy dom nadawałby się na siedzibę Komitetu Centralnego partii, a Igor przyłączył się z ciekawości. Pałac zbudowany był na planie litery „U” zaledwie kilka lat wcześniej. Stary pałacyk, podarunek od cara, Krześnińska sprzedała, a nowy, u zbiegu Wielkiej Dworiańskiej i Kamiennoostrzowskiego Prospektu, kazała zbudować w stylu modernistycznym. Miał bardzo duże, prostokątne okna i kilka okrągłych lunet. Obszerne tarasy i kilka balkonów, dwa piętra i około setki pomieszczeń. Dwa narożniki zwieńczały sześcioboczne niewysokie wieżyczki z płaskimi, kanciastymi kopułami.

Szli szerokimi schodami głównego wejścia. Setki książek i nut leżały porzucane dookoła.

– Część wyposażenia ocalała – mówił Uricki – ponieważ na jej prośbę interweniował Kierenski<sup>6</sup> i policja powstrzymała rabunek. Wywieziono i zdeponowano w urzędzie miejskim jedenaście skrzyń ze srebrną i złotą zastawą stołową. Część mebli ocalała, części już nie było. Kolejne skrzynie, nie wiem już ile, zostały załadowane obrazami i najcenniejszymi meblami. Tak żyła sobie kochanka cara!

– No, nie tylko kochanka. To także wielka artystka. I co się z nią teraz dzieje? – spytał Igor.

– Poszukujemy jej. Choć może jest już za granicą. Ma podobno dom w Paryżu i drugi na Riwierze.

Weszli na piętro. Po wielkich lustrach zostały tylko ślady, jedno było

potrzaskane. Wędrowali po pustych pokojach, gdzie w kilku miejscach ze ścian zwisały resztki jedwabnych obić i kawałki gobelinów. Z którychś drzwi wyłonił się starzec z siwą brodą i szedł im naprzeciw, podpierając się laską w trzęsącej się dłoni.

– Co wy za jedni? – spytał.

– Nowa władza, dziadku – skłamał Uricki.

– Już wszystko zagrabione, nie ma już co brać.

– A ty? Co tu robisz?

– Jestem lokajem madame Krześcińskiej, od dwunastu lat na emeryturze.

– Mieszkasz tutaj?

– A mieszkam, pilnuję. Została też krowiarka, Emilka.

– Krowiarka w pałacu? – zdziwił się Igor.

– W parku jest stajnia i obórka, stała tam krowa, żeby panicz Wowa miał zawsze świeże mleko. Była mała świnka angielska z prosiątkami do zabawy dla panicza i tresowana kózka Mimi. Pani występowała z nią na scenie w balecie *Esmeralda*. A w stajni dwa kucyki. No, wszystkie połapali porznęli, upiekli i zjedli... Rewolucjoniści!

Wędrowali po pokojach, a stary lokaj objaśniał, gdzie był salon w stylu Ludwika XVI, gdzie sypialnie, gdzie salon, oranżeria, a gdzie pokoje służby, kucharek, pokojówek, garderobianych. Nawet te pomieszczenia były obszerne i widne.

W suterrenach, równie ładnych i czystych jak pokoje, zobaczyli rząd kilkunastu wielkich szaf. Większość z nich miała wyłamane zamki.

– To garderoba strojów teatralnych pani – objaśnił lokaj. Wszystkie drzwi miały przymocowane oszklone metryczki ze spisem, a stroje na wieszakach kartoniki z numerami. – Jak pani potrzebowała czegoś – tłumaczył – podawała tylko numer szafy i wieszaka. Kiedy wyjeżdżała, miała zawsze ze sobą swój spis. Garderobiana znajdowała numer i wysyłano stroje do teatrów, gdzie było trzeba. Nawet do Monte Carlo czy do Londynu.

Obok jednej z szaf napotkali wysoką i masywną kobietę po czterdziestce z daleka niewidoczną za wielkimi otwartymi drzwiami. Wyciągała właśnie futro z szynszyli; futro z norek już miała na sobie, wyraźnie dla niej za małe.

– O! Ta codziennie coś wynosi – denerwował się lokaj. – Znowu weszła, nie wiadomo jak i kiedy.

Kobieta trochę się speszyła.

– Witamy, towarzyszeko – powiedział Uricki. – Znasz towarzyszkę Kołontaj<sup>7</sup>, Igorze?

Igor się uklonił.

– Wiele o was słyszałem.

Był zdumiony. Oburzony i zaszokowany. Gdyby kradła jakaś biedaczka,

robotnica... ale Aleksandra Kołłontaj? Znana działaczka należąca do Komitetu Centralnego partii i sławna propagatorka wolnej miłości?! Sam organizował napady na jubilera i inne, ale to przecież na potrzeby partii. Dla siebie nie wzięłyby ani kopiejki. A ta? Kradnie futra! Może należałoby powiedzieć o tym Leninowi?

\* \* \*

Igor witał się z siostrą i swoją ukochaną ciocią, Tatianą Leontiewą. Znalazł czas na odwiedzinę w domu dopiero po kilku tygodniach od przyjazdu do Piotrogradu. Tatianę Leontiewą właśnie tego dnia przed południem Katia przywiozła ze szpitala psychiatrycznego, gdzie ciotka spędziła dziewięć lat. Po zastrzeleniu w Genewie francuskiego emeryta Millera, którego towarzysze eserzy zidentyfikowali jako carskiego ministra spraw wewnętrznych Durnowa, i po ekstradycji do Rosji, gdzie dwa lata siedziała w więzieniu, ciotka terrorystka została zamknięta w zakładzie psychiatrycznym. Kiedy Rząd Tymczasowy ogłosił amnestię, Leontiewa nagle przestała być groźną dla otoczenia wariatką i Katię powiadomiono, że może ją zabrać ze szpitala, kiedy tylko zechce.

Niesłuchowe odwiedzały ciotkę bardzo rzadko. Dawały tylko pieniądze, żeby niczego jej nie brakowało. Dla swojej kuzynki Nadieźdy, matki Katii, była kimś zupełnie szalonym, nieodpowiedzialnym i niepojętym, dla starej księżnej – okropną kompromitacją rodziny, dla Katii postacią tragiczną, dotkniętą nieszczęściem fanatyzmu. Tylko dla Igora była kimś najważniejszym. Szanował ją i podziwiał, odwiedzał, kiedy tylko mógł, chociaż uważał, że metody walki eserów z caratem, terror indywidualny, są błędne i przestarzałe.

Ciocia Tatiana studiowała medycynę, lecz jej nie skończyła, bo pochłonęła ją działalność rewolucyjna. Planowała zamach na cara, miała być na balu w Pałacu Zimowym, lecz bal z jakichś powodów się nie odbył. Kiedy to jej marzenie się nie spełniło, postanowiła zabić ministra Durnowa. Był rok 1906, Tatiana miała wówczas dwadzieścia dwa lata.

Igor poszedł w jej ślady i też studiował medycynę. Ciocia trafiła do zakładu psychiatrycznego, więc Igor interesował się psychiatrią. I także nie skończył studiów, bo zajął się robieniem rewolucji. Teraz ciocia Tatiana miała zaledwie trzydzieści trzy lata, lecz dwa zupełnie białe pasma w kruczoczarnych włosach. Wciąż byłaby piękna, gdyby nie bardzo silne przygarbienie pleców i nieustanny wyraz smutku i zatroskania na twarzy. Wydawała się zupełnie normalna, dopóki nie mówiono o Mikołaju II. Wierzyła, że zabiła nie francuskiego emeryta, tylko cara Mikołaja. Zapewne wmówiła to sobie, aby się uwolnić od trudnej do zniesienia świadomości, że zamordowała niewinnego człowieka.

– Ciociu kochana, doczekaliśmy się rewolucji. – Igor całował ją w policzki i po rękach. – Cieszysz się?

– O tak! Rewolucja mnie uwolniła po tylu latach. A ty co robisz? Wciąż

jesteś bolszewikiem?

– Jestem, ciociu, chociaż ostatnio trochę mniej mi się podoba Lenin i nasza partia.

– No, opowiadajcie, moi drodzy, opowiadajcie! Ja trochę wiem z gazet, ale dawali nam tylko rządowe, „Riecz” i tym podobne, więc nie jestem pewna, czy mam prawdziwy obraz sytuacji. To pasjonujące, co się dzieje.

– Rząd Tymczasowy wprowadza reformy z wielkim rozmachem – powiedziała Katia – i w szybkim tempie. Wybory do Dumy mają się odbyć we wrześniu, nowa ordynacja wyborcza, powszechne głosowanie dla wszystkich pełnoletnich, także dla kobiet!

Siedzieli w saloniku przy herbacie. Nastia przyprowadziła małego Janka, który Igora i ciocię widział pierwszy raz w życiu i był trochę speszony. Wszyscy się nim zachwycali, Janek coś po swojemu gaworzył. Podreptał do patefonu i pokazywał tubę.

– Mama tu, mama aaaa!

– Mówi, że mama śpiewa z tej tuby.

Wszyscy się śmiali.

– Będzie z niego meloman, lubi, jak mama mu śpiewa – tłumaczyła Nastia. – A jak jej nie ma, prosi, żeby nastawiać płyty.

Ciocia Tatiana była teraz rozpromieniona i nawet trochę się wyprostowała, chciała wziąć Janka na ręce, ale chłopiec był nieufny, chował się za mamą.

– Rząd wprowadził wolność słowa, prasy, zgromadzeń – kontynuowała Katia. – Rosja z dnia na dzień stała się krajem największej chyba wolności na świecie. Są wolne samorządy lokalne, nie ma żadnych ograniczeń klasowych, społecznych, rasowych. Żydzi wreszcie mogą mieszkać, gdzie zechcą, zreformowano sądownictwo, zniesiono karę śmierci. Rząd zadeklarował, że Polska może sama stanowić o swoim losie...

– Polska tak! – wpadł jej w słowo Igor. – Bo Niemcy wyrzucili nas z Królestwa, więc można odżalować. No i to daje nam poparcie Polaków przeciwko Niemcom i Austriakom. Ale sytuacja innych narodowości się nie zmieniła.

– Nieprawda! Wszystkie narody wchodzące w skład imperium, jeśli tylko zechcą, będą teraz sfederowane z Rosją, jak niezależne kantony w Szwajcarii.

– Teoretycznie. Finowie żądają niepodległości, Ukraińcy tak samo, a rząd się nie zgadza. No i Rząd Tymczasowy nie zrobił tego, co najważniejsze. Nie ma zamiaru ani zakończyć wojny, ani przeprowadzić reformy rolnej.

– Ale ja czytałam, Igorku – powiedziała ciotka Tatiana – że tym zajmie się Zgromadzenie Narodowe, Konstytuanta. I to chyba jest słuszne.

– Więc do tego czasu mają trwać jatki na froncie? Po co ludzie tam giną? Wojna i tak jest przegrana, nie ma już o co walczyć.



– Jak to nie ma o co walczyć? Mamy oddać Niemcom Ukrainę, Białoruś i kraje nadbałtyckie?! – protestowała Katia.

– Kiedy rewolucja ogarnie całą Europę, granice nie będą miały znaczenia – Igor bez przekonania powtórzył to, co słyszał od Lenina.

– I ty w to wierzysz, Igorze? – ciocia Tatiana była oburzona. – Granice zawsze będą miały znaczenie. To wasze „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” to jest utopia. Zaraz to się pokazało, kiedy wybuchła wojna. Robotnicy we Francji strasznie chcieli się bić z robotnikami niemieckimi i niemieccy z francuskimi. A u nas też wszyscy nagle zapragnęli przyjść z pomocą Serbom, braciom słowiańskim.

– No właśnie. – Igor kręcił głową. – Te nacjonalizmy, te patriotyzmy i resentymenty, to właśnie zawsze prowadziło do wojen. Rewolucja komunistyczna odmieni to ostatecznie.

– Wiem, wiem, czytałam *Manifest komunistyczny* Marksa i Engelsa. A ty ciociu – Katia zwróciła się do Tatiany. – Ty czytałaś?

– Chciałam przeczytać, ale nie mogłam dostać... Jeśli masz, to mi pożycz.

– Oczywiście.

– No, siostrzyczko, gratuluję! Nareszcie czytasz to, co trzeba. *Kapitał* też czytałaś?

– *Kapitał* tylko przeglądałam. *Manifest komunistyczny* przeczytałam, żeby móc sobie wyrobić pogląd. Ale czytałam ze zgrozą. To jest nawoływanie do zbrodni. I bardzo mnie martwi, że ty wyznajesz marksizm. – Katia pobiegła do biblioteki w sąsiednim pokoju i wróciła z małą książeczką w czerwonej oprawie. Otworzyła na zakładce.

– Proszę, oto co proponujecie. Zniesienie rodziny! Czytam: „W pełni rozwinięta rodzina istnieje tylko dla burżuazji; ale jej uzupełnieniem jest przymusowy brak rodziny u proletariuszy i publiczna prostytutka”. To jakiś nonsens! „Burżuazyjna rodzina zniknie naturalnie ze zniknięciem kapitału. Zniesienie prawa dziedziczenia. Konfiskata własności wszystkich emigrantów i buntowników. Scentralizowanie kredytu w rękach państwa przez bank narodowy o kapitale państwowym i wyłącznym monopolu”. I tak dalej... „Scentralizowanie środków transportu w rękach państwa. Jednakże przymus pracy dla wszystkich...” – Katia na chwilę przestała czytać. – Ciekawe, przy czym musiałyby na przykład pracować nasza mama? Może przy maszynie w fabryce! Przymus pracy! Praca przymusowa to praca niewolnicza, nie rozumiecie tego? – Katia przerzucała strony. – O, a tutaj: „Utworzenie armii przemysłowych, zwłaszcza dla rolnictwa. Zespolenie rolnictwa i przemysłu... Publiczne i bezpłatne wychowanie wszystkich dzieci”. Państwo zabrałyby mi Janka i wychowywało według własnych potrzeb i norm moralnych! Dalej... Marks twierdzi, że handel to kradzież. Ma zamiar w ogóle zlikwidować handel. Bo kupiec niczego nie wytwarza, a bierze pieniądze.

Cóż za fantastyczna bzdura! Popracowałby trochę w sklepie, to może by zrozumiał. Handel według komunistów to kradzież, a zabieranie ludziom wszystkiego, co mają, to nie jest kradzież, tylko piękny i sprawiedliwy uczynek! A przecież to grabież, zwykły rabunek. Tutaj pisze tak: „Proletariat użyje swego panowania politycznego na to, by krok za krokiem wyrwać z rąk burżuazji cały kapitał, scentralizować wszystkie narzędzia produkcji w rękę państwa, to znaczy w rękę zorganizowanego jako klasa panująca proletariatu”. Państwo to proletariat!? Bardzo ciekawe! Klasa panująca... A inni? Inteligencja na przykład? Nie liczą się? Robotnicy mają rządzić?! A mają do tego jakieś kwalifikacje? Większość z nich to analfabeci. Mam nadzieję, że twoja partia, Igorze, nigdy nie zdobędzie władzy. Tymczasem jednak ci kochani proletariusze już obrabowali kilkadziesiąt domów w mieście. Wiesz, Igorze, jak ogołocili pałacyk Krzesińskiej?

Igor przemilczał, wolał nie opowiadać, co tam widział.

– U nas też byli, ledwie udało się tego uniknąć, bo ktoś mnie rozpoznał. Pamiętali, jak śpiewałam dla żołnierzy na froncie. Ale wracając do komunizmu. To nie wszystko. Tamara Karsawina pokazała mi pismo szwajcarskie z 1859 roku, chyba „Neue Zürcher Zeitung”, i tłumaczyła z niemieckiego artykuł Marksa. Pisał, że warstwy społeczne, które nie mogą lub nie zechcą osiągnąć dostatecznie wysokiego poziomu ideowego, czyli, mówiąc po prostu, popierać rewolucji, muszą zginąć. Muszą zostać fizycznie zniszczone w rewolucyjnym holokaucie. Tak to mniej więcej brzmiało... Jednak dokładnie pamiętam to określenie: muszą zostać fizycznie zniszczone w rewolucyjnym holokaucie! Na Boga! – Katia mówiła, patrząc na brata. – Przecież to nawoływanie do masowej zbrodni! I to ma być piękna idea przynosząca szczęście ludzkości?! To zbrodnicza ideologia!

Igor milczał.

\* \* \*

Nie miał czasu, ale zasiedział się u siostry do późnego wieczoru. Katia opowiadała o Janie, jego zwyczajach na zawodach, swoich koncertach i sukcesach. Igor – o Szwajcarii i drodze do Rosji. Tatiana o więzieniu i szpitalu opowiadać nie chciała.

– Jak wy przejechaliście przez Niemcy i dotarliście do Rosji? – pytała Katia.

– Nasz pociąg, właściwie tylko jeden wagon, miał status specjalny – Igor wstydził się przyznać, że Niemcy popierają i opłacają misję Lenina w Rosji.

– Pytam, bo sama chciałabym pojechać w przeciwną stronę, do Polski.

– Nie, nie, to niemożliwe. Pomijając niebezpieczeństwa przeprawy przez morze, gdzie statek mógłby zostać storpedowany lub wpłynąć na minę, gdybyś dotarła do Niemiec, natychmiast na mocy prawa wojennego zostałabyś aresztowana jako obywatelka państwa, z którym Niemcy są w stanie wojny.

<sup>1</sup> Karol Radek (własc. Karol Sobelsohn, 1885–1939); w czasie wielkiej

czystki w latach trzydziestych Karol Radek został zamordowany w łagrze na rozkaz Stalina.

<sup>2</sup> Grigorij Sokolnikow (własc. Hirsz Jankielewicz Brilliant, 1888–1939); w 1937 roku razem z Radkiem i innymi został oskarżony, skazany na dziesięć lat łagru i tam zamordowany na rozkaz Stalina.

<sup>3</sup> Grigorij Zinowjew (1883–1936); skazany na dziesięć lat więzienia po zabójstwie Kirowa (z czym nie miał nic wspólnego, zlecił je Stalin), a następnie w drugim procesie skazany na śmierć i zabity mimo obietnicy Stalina, że w zamian za przyznanie się do winy wyrok nie zostanie wykonany.

<sup>4</sup> Elizabeth Heresch, biografka Parvusa i autorka książki *Sprzedana rewolucja. Jak Niemcy finansowały Lenina*, pisze, że istnieje pełna lista pasażerów, lecz jej nie przytacza. Spośród mienszewików prawdopodobnie jechał z Leninem Julij Martow. Podaje się różną liczbę pasażerów tego pociągu: od 32 do 34.

<sup>5</sup> Finlandia była wówczas częścią imperium rosyjskiego, lecz miała pewną autonomię.

<sup>6</sup> Aleksandr Kierenski (1881–1970) był w tym czasie ministrem sprawiedliwości w Rządzie Tymczasowym. Później został ministrem wojny, a po upadku rządu Lwowa w lipcu został premierem.

<sup>7</sup> Aleksandra Michajłowna Kołłontaj (1872–1952). Członek partii mienszewików, a potem bolszewickiej, urodzona w szlacheckiej rodzinie, córka carskiego generała. W 1919 roku utworzyła Żenotdieł, zwany Ministerstwem Kobiet. Pierwsza na świecie kobieta minister. (Przed nią wiceministrem oświaty była w rządzie Kierenskiego hrabina Sofia Panina, kadetka, późniejsza premier antybolszewickiego rządu w konspiracji). Następnie pełniła funkcję ambasadora ZSRR w Norwegii, Meksyku i Szwecji. Jako jedna z nielicznych starych bolszewików uniknęła śmierci w czasie wielkiej stalinowskiej czystki w latach trzydziestych. Matylda Krzesińska w swoich wspomnieniach pisze, że widziała Aleksandrę Kołłontaj przechadzającą się po parku swego pałacu w skradzionej jej sukni.

## Kraków

*Katieńko, Kochanie moje!*

*Jest 16 maja, trzecia rocznica naszego ślubu i prawie już trzy lata naszej rozłąki, a ja piszę do Ciebie kolejny list, którego nie mam jak wysłać. Poprzednio, żeby przejechać przez Niemcy do Hamburga, dostałem dzięki protekcji Piłsudskiego delegację wojskową. Teraz już mnie wypuścili ze szpitala i pojechałbym natychmiast, ale jak? Póki trwa wojna, bez specjalnych papierów Niemcy nie przepuszczą.*

*Kupiłem Ci na trzecią rocznicę trzy róże i je zasuszę. W poprzednie rocznice to było niemożliwe, bo byłem na froncie. Jak się spotkamy, to Ci je dam i obsypię świeżymi. Jak długo to jeszcze potrwa?*

*Wydawało się, że straty wojenne są tak straszne po obu stronach, że rządy powinny zakończyć z tą rzezią ludzi. A jednak końca wojny nie widać. W Rosji rewolucja, dowiaduję się o tym z gazet i drzę o Ciebie i Janka. Modlę się teraz za Was codziennie, choć dawniej nie byłem specjalnie religijny.*

*Tęsknię, tęsknię, tęsknię!*

*Jak tylko wyszedłem ze szpitala, zacząłem się dowiadywać, czy gdzieś w Krakowie nie wystawia się opery, bo miałem nadzieję, że gdybym posłuchał czegoś, co śpiewałaś w Petersburgu albo w Wiedniu, to trochę bym poczuł Twoją obecność przy sobie. Ale niczego takiego nie znalazłem. Pisali, że na rocznicę 3 Maja Teatr Słowackiego może wystawi Halkę Moniuszki, ale nic z tego nie wyszło. Czy pamiętasz? W Gołubych Prudach zaśpiewałaś mi arię z Halki po polsku. Pierwszy raz wtedy słyszałem, jak śpiewasz. To było cudowne, magiczne, jesteś czarodziejką; wtedy się zakochałem...*

*Jednak udało mi się kupić kilka płyt z ariami operowymi z Toski, Madame Butterfly, Normy i z Carmen. Władek ma gramofon, wszyscy słuchaliśmy cały wieczór, a ja potem jeszcze cały dzień. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to Ty śpiewasz, ale przecież nikt nie śpiewa tak jak Ty! Więc to tylko złudzenie. Ale i to przenosi mnie we wspomnieniach do Wiednia i do Petersburga sprzed wojny.*

*Chodzę o lasce – kolano boli. Kuleję, ale coraz mniej. Dziura w głowie na szczęście wcale mi nie przeszkadza. Dobrze się zrosło i nie odczuwam żadnych*

*związanych z tym dolegliwości. Dostałem skierowanie do sanatorium w Zakopanem na trzy miesiące, do zakładu Kazimierza Dłuskiego. Podobno bardzo nowoczesny zakład i renomowany. Wyjeżdżam za kilka dni. Jak wrócę do Borowic, spróbuję wsiąść na konia, zobaczę, czy będę mógł jeździć jak dawniej. Podobno właściciel sanatorium jest starym przyjacielem Piłsudskiego z PPS i Komendant często tam bywa. Chętnie bym go zobaczył. Trochę udało mi się dowiedzieć z różnych publikacji o Piłsudskim, o jego dawniejszych czasach w Organizacji Bojowej PPS, i jestem coraz bardziej zafascynowany tym człowiekiem. Zresztą obecnie bez mała (z wyjątkiem endeków, to jest narodowców) cała Polska go uwielbia.*

*Trochę teraz opadł entuzjazm wywołany Aktem 5 listopada, cesarzy Niemiec i Austrii, zapowiadający niepodległość Polski. Czas mija, a nie widać ani regenta, ani rządu polskiego. Teraz się mówi, że Austriakom i Niemcom chodziło tylko o polskiego rekruta, bo własnego mięsa armatniego już im brakuje. Więc nastroje są gorsze.*

*Boże! Jak bardzo chciałbym dostać jakieś listy od Ciebie! Może Tobie będzie łatwiej wysłać. Codziennie o dziewiątej listonosz przejeżdża obok naszego domu w Borowicach i zawsze wtedy stoję przy bramie i czekam. On wie, że czekam, i już z daleka, żeby mnie nie męczyć, kręci głową i woła: „Nic nie ma na razie, panie majorze!”. Przychodzi prawie zawsze jakaś korespondencja do Władysławów, ale do mnie jak na razie nic. Lecz wierzę, wiem nawet z całą pewnością, że któregoś dnia listonosz z daleka będzie wołał: „Jest, panie Janie! Jest cała paczka listów z Piotrogradu!”.*

*Tak będzie.*

*Całuję Cię, Katiu. Mocno przytul i ucałuj Janka. Całuj Go ode mnie codziennie. Próbuj Mu jakoś wytłumaczyć, czemu ojca przy nim nie ma. Może jeszcze jest zbyt malutki, żeby zrozumieć, ale przyjdzie przecież czas, że zrozumie.*

*Jan*

## Piotrogród

*Jan, Kochany mój!*

*W Rosji jest 3 maja, ale przecież to na Zachodzie 16 maja, nasza trzecia rocznica. Jak długo jeszcze to potrwa? Ja nie mam już siły, nie mam siły, wybacz, ale pisząc to, płaczę. Jesteśmy małżeństwem, mamy synka i nie widzieliśmy się prawie od trzech lat. Ty nie widziałeś Janka ani Janek ciebie! Świat jest taki okrutny! Czy nic go nie obchodzą ludzie tacy jak my, zwykli ludzie? Więc dla kogo jest ten świat? Dla tych nielicznych, którzy nami rządzą i mają nas za nic? To podli ludzie! Jak długo jeszcze będą wysyłać setki tysięcy ludzi na śmierć na frontach? Przecież to zbiorowe szaleństwo, ja tego zupełnie nie rozumiem. Czy Ty to rozumiesz?*

*Moja garderobiana straciła dwóch synów. Jednego dnia dostała zawiadomienie o śmierci starszego, a następnego dnia pismo o śmierci młodszego. Dwa dni płakałam razem z nią. Znałam ich, przychodzili na przedstawienia, mili chłopcy, lubili muzykę. Ona już przegrała tę wojnę! A kto jej nie przegrał? Wszyscy przegraliśmy, każdy kogoś utracił, jak nie syna, to brata, męża, ojca, przyjaciela, znajomego. Kto wygra tę wojnę? Może tylko ci,co się bogacą na produkowaniu broni.*

*Straciłam kontakt z człowiekiem, który wysyłał moje listy do Ciebie morzem do Hamburga. To był znajomy męża Larysy, a ona teraz uciekła do Gołubych Prudów, po tym jak widziała masakrę oficerów w Kronsztadzie, w której brał udział jej mąż Paweł Wodopjanow. Z czasem jakoś odnowię ten kontakt, mam nadzieję, i wtedy wyślę to wszystko, co przez tyle czasu do Ciebie pisałam, te kilkadziesiąt listów. Ale na razie mogę tylko czekać i pisać.*

*3 maja w Piotrogradzie to wielkie święto tutejszej Polonii. Już przed wojną było tu kilka tysięcy Polaków, a teraz jest kilkadziesiąt. Pojawili się, kiedy uciekali przed Niemcami zajmującymi Warszawę i ziemie byłego zaboru rosyjskiego. Bardzo się też zmienił stosunek do Polaków od czasu powołania Rządu Tymczasowego. Rząd uznał prawo Polski do samostanowienia. Kierenski, jego minister, jeszcze przed rewoltą lutową działał w Towarzystwie na Rzecz Niepodległości Polski. Śledzę te sprawy w tutejszej polskiej prasie. Tworzony jest Korpus Polski na Białorusi. Generał Dowbor-Muśnicki. Punkty werbunkowe działają w wielu miejscach w całej Rosji, nawet na Syberii, w Irkucku. Na 3 maja Rosyjskie Towarzystwo Muzyczne i kilka polskich stowarzyszeń zorganizowało*

w Konserwatorium specjalny koncert. To ogromna sala, dawniej był tam Teatr Wielki. Ponad tysiąc miejsc. Grano koncert skrzypcowy d-moll Wieniawskiego. Przepiękny! Nie znałam go wcześniej. Wieniawski w Rosji jest uważany za swojego, bo był nadwornym muzykiem cara. A Bolska nawet w młodości słyszała jego grę. Opowiada, że pod koniec życia strasznie się roztył i grał w związku z tym, siedząc na scenie w wielkim fotelu.

Grano też bardzo nowoczesne kompozycje Szymanowskiego i Fitelberga. Na skrzypcach – fenomenalny Paweł Kochański, kapelmistrz Filharmonii Petersburskiej. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś takiego. Może nie ma tak silnego głosu jak najlepsi skrzypkowie naszej epoki, ale ta paleta barw! Te niuanse, których nie słyszałam u nikogo innego nigdy! To niesamowite.

Zabrałam na ten koncert Janka. Bałam się trochę, czy to nie za wcześnie, czy nie jest za mały. Więc dostał na tę okazję lornetkę teatralną. Patrzył przez nią przez całe przedstawienie i był bardzo grzeczny. Ale, wyobraź sobie, kiedy wyszliśmy, nucił temat z koncertu Fitelberga i machał rączkami, jakby dyrygował. A to bardzo skomplikowany, trudny temat!

Wyszłam zupełnie zasłuchana. Byłam z Bolską, był też Twój stryj Klemens Szawernowski. Nic nie wie o Tobie i bardzo się martwi. Opowiadał, co się działo w Kronsztadzie w czasie dni lutowych. Koszmar! Marynarze powołali tam Socjalistyczną Republikę Kronsztadzka i uważają się za niepodległych wobec Rosji.

Kilkoro innych Polaków opowiadało, jak ich napadły bandy rewolucyjne. Jak widać, ja miałam mnóstwo szczęścia. Nikt teraz nie pamięta, jakie sumy przeznaczałam zawsze na biednych. Wszyscy pamiętają, jak dużo zarabiałam, a nikt nie pamięta, ile z tego oddawałam na ubogich. No trudno. Może jeszcze za mało oddawałam.

Jan, Jan, czasem myślę, że my tak krótko byliśmy razem, że tak mało się znamy. Tak mało! Policzyłam, ile to dni. Nicea, Gołubyje Prudy, Petersburg, Berlin, Kraków, Wiedeń, znów Kraków. Razem dwadzieścia kilka dni! Tylko tyle! Ale ja jestem Twoja i musisz to wiedzieć. Tylko Twoja! Próbuję sobie wyobrazić nasze życie po wojnie. Jesteś trenerem, a ja śpiewam, ale gdzie, w jakich teatrach? Nie mam pojęcia. Może w tym świecie po wojnie nie uda mi się przebić do najlepszych? Ale może to wcale nie jest ważne, żeby być najlepszym? Może należy tylko uczciwie pracować?

Jan, kiedy wreszcie się spotkamy?

*Całuję, całuję.*

*Katia*

\* \* \*

Igor Niesłuchow biegał w swoim pokoju od ściany do ściany, miotał się skrajnie zdenerwowany. Decyzję trzeba było podjąć natychmiast. Ile dokładnie ma czasu – nie miał pojęcia. Dni, może godziny. Trzeba zerwać z bolszewikami i z Leninem! Trzeba, tak, trzeba. Ale zdradzić? To, czego dowiedział się przed godziną od Moisiejego Urickiego, było porażające. Przyjaźnił się z Urickim od czasu, kiedy jeszcze przed wojną Moisiejowi udało się uciec carskiej Ochranie, a Katia na ulicy dała mu adres do Igora. Pomógł, znalazł bezpieczne mieszkanie, ułatwił nawiązanie zerwanych kontaktów z towarzyszami. Wkrótce stali się przyjaciółmi i bliskimi współpracownikami Włodzimierza Iljicza, nie mieli przed sobą tajemnic.

Jak bardzo wódz się zmienił przez te kilka lat!

Dawniej potrafił być miły i przyjacielski, miał poczucie humoru i bywał życzliwy wobec bliskich znajomych. Od jakiegoś czasu nie ufa nikomu, wszystkich o coś podejrzewa. Wpada we wściekłość przy najmniejszym sprzeciwie, nawet nie sposób wyrazić wątpliwości. Przeciwników obrzuca najgorszymi wyzwiskami. Furiat! Wścieka się, tupie nogami. Gnidy burżuazyjne! Pacholki burżuazji! Zdrajcy rewolucji! Głupie stare baby! Mendy i kanalie! Pieni się tak godzinami, a potem wyczerpany pada na łóżko i śpi. Do swojej żony zwraca się „towarzyszko Krupska”. Coraz gorzej wygląda.

Zawsze wszystko wiedział najlepiej, ale teraz to już jest jakaś obsesja.

Igor przyzwyczał się do jego cynizmu. Polityka! Widocznie tak musi być w polityce. Był w stanie przyjąć, że dla dobra rewolucji Rosja może oddać Niemcom znaczną część swojego terytorium. Konfiskata przez państwo majątków burżuazji i ziemiaństwa? Tak, to słuszne. Ziemię trzeba oddać chłopom, bo przez wieki pracy na ziemi nabrali do niej prawa. Fabryki oddać robotnikom. Nabijają kieszenie kapitalistów, pracując za wynagrodzenie, które wystarcza na głodową egzystencję w skrajnej nędzy, urągającej człowieczeństwu. Ale grabież na własną rękę, do własnej kieszeni, jak to widział w pałacyku Krzezińskiej, to przecież zupełnie co innego. Kiedy opowiedział Leninowi, jak towarzysza Kołontaj kradła futra, wódz tylko się skrzywił. Niespecjalnie go to zainteresowało. No tak! Kołontaj była jednym z dwóch zaledwie członków Komitetu Centralnego, którzy poparli Lenina *Tezy kwietniowe* o potrzebie natychmiastowego przekształcenia rewolucji burżuazyjnej w proletariacką. „Grabić zagrabione, to słuszne. To jest



prawidłowe proletariackie podejście do kwestii własności”, powiedział Lenin.

Niemieckie pieniądze za osłabienie caratu? Skoro to służy rewolucji, a Niemcy potem też ogarnie rewolucja? To do przyjęcia. Skoro są tak głupi, czemu z tego nie skorzystać? Lenin od powrotu do Rosji z niezłomnym uporem zmierza do wywołania powstania. Towarzysze uważają, że to mrzonki, że to bardzo przedwcześnie; może za kilka miesięcy albo i za kilka lat. Na Zjeździe Rad powiedział, że bolszewicy są gotowi wziąć władzę. Setka towarzyszy przyjęła to brawami, a dziewięciuset mienszewików, eserów, anarchistów i trudowików – gromkim śmiechem. Uważa ich wszystkich za idiotów.

Dawniej mówiło się w partii o demokracji, konstytucji, rządach partii socjalistycznych. A teraz Lenin nawołuje do oddania całej władzy Radom Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, jednak wśród swoich nie ukrywa, że to tylko hasło; w rzeczywistości chodzi o całą władzę dla bolszewików. Kiedy przemawiał na Wszechrosyjskim Zjeździe Delegatów Chłopskich, obiecywał wsi wolną pracę na własnej ziemi. Piękna sielanka. Przed towarzyszami nie ukrywał, że to tymczasowe. Potem ziemię się upaństwowi, inaczej cóżby to był za socjalizm? Kiedy obiecywał pokój, nie ukrywał, że wojnę zewnętrzną zamieni w wojnę domową. Co może być straszniejszego niż wojna domowa? Igor tracił wiarę w Lenina.

Ale to, czego dziś dowiedział się od Urickiego, po prostu go poraziło.

\* \* \*

Szedł kilometrowymi korytarzami gmachu Sztabu Generalnego naprzeciw placu Pałacowego, prowadził go strażnik. Rozglądał się ciekawie, był w samym sercu systemu, z którym walczył przez ostatnie kilka lat. Carat upadł, lecz na pewno niewiele się tutaj zmieniło. Uderzająca była sterylna czystość i porządek. Na każdym piętrze zrywali się z krzesel oficerowie dyżurni siedzący przy małych biurkach. Salutowali. Czerwone dywany, całkiem niewojskowy zapach luksusu, na parapetach okien oplecione wikliną doniczki kwiatów, w wielkich donicach fikusy i rododendrony.

Kiedy powiedział w wartowni, że jest bliskim współpracownikiem Lenina, od razu został poproszony do zastępcy szefa kontrwywiadu wojskowego, pułkownika Waruszyńskiego. W jego sekretariacie nie czekał ani chwili.

– Cóż takiego nadzwyczajnego ma nam pan do przekazania? – pułkownik ścisnął mu dłoń i zapraszał do stołu przy oknie.

Sekretarka przyniosła kawę i herbatę.

– Może najpierw powiedziałbym kilka zdań o sobie?

– Bardzo proszę, lecz mam tu pana teczkę. Zanim pan dotarł z parteru do mnie, zdążyłem przejrzeć. – Śmiał się zadowolony z siebie. – Igor Niesłuchow, napady na jubilerów, teraz kupuje pan drukarnie dla Lenina i zajmuje się

rozpowszechnianiem bolszewickiej prasy, czy nie tak?

– Napady?! Co też pan opowiada! Drukarnie, rzeczywiście kupuję.

– Panie Niesłuchow! My wiemy. Gdybyśmy mieli dowody, już by pan siedział, ale proszę nie zaprzeczać, obaj wiemy...

– Zapalimy? – Igor wyjął papierośnicę, poczęstował.

Przyglądał się swojemu rozmówcy. Pułkownik Waruszyński był po czterdziestce, ogolony na łyso, na nosie okrągłe okulary; wyglądał na niskiej rangi urzędnika lub księgowego. Tylko w jego uśmiechu było coś zagadkowego.

– Przyszedłem was ostrzec. Wiem, że Lenin przekazał Niemcom plany ofensywy Brusilowa w Galicji. Miejsca, kierunki natarcia, terminy, wszystkie szczegóły. Kiedy ofensywa się załame, co oczywiście skompromituje rząd, i Niemcy przejdą do kontrnatarcia, bolszewicy w Piotrogradzie rozpoczną powstanie i spróbują przejąć władzę. Pierwszy pułk karabinów maszynowych popiera ich w całości. Pan wie, jaka to siła. Dziesięć tysięcy ludzi i tysiąc sztuk broni maszynowej. Także inne jednostki. Nie tylko Piotrogród, ale Moskwa i inne miasta. Ja jestem bolszewikiem, właściwie byłem bolszewikiem. Nie mogę na to patrzeć... Nie mogę patrzeć bezczynnie, jak zdrada prowadzi do śmierci tysięcy rosyjskich żołnierzy. Na to nie mogę pozwolić!

– To bardzo zła wiadomość. Skąd Lenin miał plany ofensywy Brusilowa?

– Nie wiem. Musi mieć kogoś w Stawce, naczelnym dowództwie.

– To oczywiste. Ale kogo? Za późno pan przyszedł. Ofensywa zacznie się za trzy dni. Nie da się jej już powstrzymać ani zmienić planów. To ogromna machina wojenna rządząca się swoimi prawami. Teraz już nie do zatrzymania.

– Dowiedziałem się trzy godziny temu.

– Od kogo?

Igor pokręcił głową. Coś go powstrzymywało przed zeznaniem, że od Urickiego.

– Nie mogę... To nieistotne.

– Niedobrze, powinniśmy to wiedzieć. Cóż? Przekażę dowództwu, że Niemcy znają plan Brusilowa. Tyle mogę zrobić. A jaką drogą plany poszły do Niemców?

– Przypuszczam, że przez Kozłowskiego i Haneckiego do Parvusa i ambasady niemieckiej w Kopenhadze.

– Ach tak. Znamy te nazwiska. Ale proszę mi powiedzieć, co pan wie o finansowaniu bolszewików przez Niemców i podróży ze Szwajcarii.

Igor mówił długo i szczegółowo, opowiedział wszystko.

– Lenin, Trocki i pozostali zdrajcy zostaną aresztowani i postawieni przed sądem. Mamy już trochę dowodów. Pana zeznania przeważą szalę. Będzie pan zeznawał, mam nadzieję?

Igor właśnie tego najbardziej się obawiał. Lecz wziął głęboki oddech

i powiedział:

- Tak, będę zeznawał.
  - Niech pan spróbuje się dowiedzieć, kogo Lenin ma w Stawce.
  - Mam szpiegować dla was? Nie.
  - Ale to może pomóc w przyszłości uratować życie wielu Rosjanom. Niech pan o tym pomyśli.
- \* \* \*

Wielka ofensywa w Galicji rozpoczęła się 19 czerwca od dwudniowego przygotowania artyleryjskiego. Setki tysięcy pocisków rozwalaly okopy i umocnienia, które Niemcy opuścili dzień wcześniej, zajmując inne, zawczasu przygotowane pozycje. Potem Rosjanie atakowali i posunęli się od kilku do kilkudziesięciu kilometrów naprzód. Mieli jednak wielką liczbę zabitych i rannych, zwłaszcza na północnych odcinkach frontu. Ofensywa po dwóch dniach straciła impet i front stanął. Brusilow planując atak, liczył się ze stratami w wysokości około 60 tysięcy żołnierzy. Wyniosły 400 tysięcy, a blisko drugie tyle zdezerterowało. Ale kontrofensywa niemiecka spóźniła się. Ulewne deszcze całkiem rozmyły drogi, zamieniając je w grząskie błota.

20 czerwca minister wojny, Kierenski, rozkazał 1. pułkowi karabinów maszynowych, aby wysłał na front połowę składu z zadaniem wsparcia ofensywy. Pułk odmówił wykonania rozkazu. Od lutego żadna z jednostek piotrogrodzkiego garnizonu – ćwierć miliona żołnierzy – nie wyszła na front. Było to wynikiem porozumienia Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z rządem. Rada wymusiła obietnicę, że cały garnizon zostanie na miejscu, gdyż jego zadaniem jest bronić stolicy przed kontrrewolucją. W pułku wrzało. Żołnierze uznali, że rząd chce wykorzystać ofensywę do rozbicia proletariackiej jedności wojska, więc jest to działanie kontrrewolucyjne. Szerzyły się pogłoski, że stolica ma zostać bez walki oddana wrogowi. Zbuntowani żołnierze postanowili obalić rząd. Dwa dni później wojsko wyszło na ulicę.

Lenin nie kontrolował sytuacji nawet we własnej partii. Część bolszewików parła do powstania i przejęcia władzy, część uważała, że czas jeszcze nie nadszedł. Wielu słuchało anarchistów, również skłonnych do natychmiastowego i bezplanowego działania. Lenin, który w kwietniu wzywał do rewolucji, teraz nie mógł się zdecydować. Tłumy zrewoltowanych żołnierzy i tysiące uzbrojonych robotników z Putiłowa, z Wyborga<sup>1</sup> przewalały się ulicami, a członkowie Komitetu Centralnego skakali sobie do oczu, dyskutując, co robić. Trocki i Łunaczarski parli do konfrontacji z rządem. Stalin na łamach „Prawdy” wzywał do spokoju i zachowania rozsądku.

W pułku karabinów maszynowych wybrano Tymczasowy Komitet Rewolucyjny z bolszewikiem Siemaszką na czele. Ale Siemaszko nie potrafił

niczego zorganizować ani nawet wyznaczyć obiektów ataku. Tłumowi brakowało przywództwa. Anarchista Blajchman głosił, że ulica zorganizuje się sama. Oddziały lojalne wobec rządu starły się z rewoltą koło Rady Miejskiej, a potem na placu przed Pałacem Taurydzkim, gdzie obradował zarówno rząd, jak i Rada Delegatów. Były setki zabitych i rannych. „Cała władza w ręce rad!” – wołały tłumy. Lecz Rada władzy brać nie chciała.

4 lipca do miasta przyłynęła z bazy marynarki wojennej w Kronsztadzie wielka flota kutrów, szalup i różnych małych stateczków. Kilka tysięcy uzbrojonych po zęby marynarzy wyszło na ląd z dwoma orkiestrami dętymi. Miczman Paweł Wodopjanow z taśmami nabojuymi skrzyżowanymi na piersi, z karabinem i rewolwerem. Obok jego przyjaciel, Raskolnikow, przywódca samowwającej Kronsztadzkiej Republiki Socjalistycznej. Przyłynęli holownikami z najbardziej bojową grupą marynarzy. Szli wesoło, jak na zabawę. Orkiestra grała marsza, Wodopjanow popijał wódkę z butelki. Wciąż obowiązywała prohibicja wprowadzona na początku wojny, więc picie z butelki na ulicy było aktem rewolucyjnego protestu i lekceważenia carskiego ukazu. U boku Wodopjanowa wisiała Masza Naumowa, szwaczka z zakładów szyjących mundury.

Jej koleżanki z pracy przed kilkoma tygodniami zastrajkowały i wywalczyły dwunastogodzinny dzień pracy. Dawniej musiały szyć osiemnaście godzin, więc teraz Masza czuła się jak na wakacjach. Przychodziła do pracy o szóstej rano i już o szóstej wieczorem była wolna jak ptak. Więc od razu pokochała rewolucję. Miczman Wodopjanow spotykał się z nią, od kiedy porzuciła go żona, wystraszona lutową masakrą dokonaną na oficerach bazy w Kronsztadzie. Masza nie bała się takich rzeczy, nawet chwaliła się przed koleżankami, że jej mężczyzna własnymi rękami zabił co najmniej ośmiu burżujskich oficerów. Wodopjanow uważał teraz, że małżeństwo z arystokratką było błędem. Z Maszą było mu o wiele lepiej, nie miał wobec niej kompleksów i nie przeszkadzało mu, że dziewczyna ledwie umie czytać. Wielu marynarzom towarzyszyły dziewczyny, robotnice. Niosły transparenty z napisami: „Precz z burżuazyjną wojną. Żądamy pokoju!”.

Szli opustoszałymi ulicami śródmieścia, strzelali na wiwat w powietrze. Mieszkańcy, którzy nie zdążyli uciec do domów, chowali się po bramach. W czasie rewolucji lutowej tłumy mieszkańców wylegały na ulice. Teraz było pusto. Na Litiejnym Prospekcie stanął marynarski posterunek, który zabawiał się strzelaniem do okien domów.

Maszerowali pod pałacyk Krzesińskiej, gdzie miał siedzibę Komitet Centralny bolszewików; tłum oczekiwał na wystąpienie Lenina. Igor Niesłuchow, który jeszcze nie do końca zerwał z bolszewikami, przybył do KC z informacją, że pod Pałacem Taurydzkim od godziny trwa strzelanina z obu stron.

Wszedł do gabinetu Lenina. Wódz siedział przy wielkim stole i nerwowo bębnił palcami po blacie. Naprzeciw niego Lew Trocki i smukła kobieta

w zniszczonej czarnej sukni. Paliła papierosa; to było coś niebywałego! Lenin nie znosił dymu tytoniowego i nikt przy nim nie śmiał palić. Kobieta miała wielkie, ciemne, bardzo smutne oczy, była po trzydziestce. Wokół kącików ust kilka drobnych zmarszczek. Igor natychmiast ją poznał, widywał jej zdjęcia w gazetach. Maria Spiridonowa po zastrzeleniu w 1906 roku gubernatora Łużenowskiego, skazana na śmierć, a potem ułaskawiona na dożywotnią katorgę w okręgu nerczyńskim nad Bajkałem, uwolniona w wyniku amnestii ogłoszonej przez Rząd Tymczasowy. Przed kilkoma tygodniami wróciła do stolicy i od razu stała się najbardziej znaną i wpływową kobietą w Rosji. Ogólnokrajowy Zjazd Delegatów Chłopskich wybrał ją swoją przewodniczącą. Była też główną postacią kierownictwa w lewicowym odłamie eserów, socjalistów-rewolucjonistów. Lenin zabiegał o jej przychyłność, bo eserzy mieli poparcie wsi, gdzie bolszewicy w ogóle się nie liczyli. I zachowywał się wobec niej z niezwykłym u niego respektem. Zabiła Łużenowskiego, wsławionego niebywałymi okrucieństwami w trakcie tłumienia buntu chłopów w guberni tambowskiej, więc dla wsi jest święta. Chłopi jej zdjęcia oprawione jak ikony od lat stawiają obok Matki Boskiej i Chrystusa na krzyżu.

Spiridonowa dmuchała Leninowi dymem w twarz i przekonywała:

– Towarzyszu Lenin, Piotrogradzka Rada musi brać władzę.

Stalin, szczupły przystojny Gruzin, siedział w kącie z fajką w zębach, coś rysował na kartce i nie odzywał się. Przez uchylone drzwi balkonu dobiegał gwar tłumu. Wzmagął się i przycichał.

– Jest za wcześnie – mówił Lenin. – Nie możemy jeszcze stawiać wszystkiego na jedną kartę.

Wcześniej planował sięgnięcie po władzę w pierwszych dniach lipca, ale teraz zmienił zdanie. Za wcześnie. Jednak pojawił się nowy element sytuacji. Towarzysze z wywiadu od Igora Niesłuchowa donieśli, że szykuje się oskarżenie Lenina i całego kierownictwa bolszewików, że są agentami Niemiec. Meldowali, pomijając swego szefa, Niesłuchowa, to ciekawe! Czy tak bardzo chcieli się osobiście zasłużyć, czy może jest w tym coś innego? Czemu Niesłuchow sam o tym nie melduje? Mają się pojawić artykuły prasowe, że Lenin i bolszewicy biorą pieniądze od Niemców za wywołanie rozruchów i osłabienie Rosji. Cóż za podłe oszczerstwo! Zawsze łatwiej opluć, niż potem się oczyścić! Sam nieraz stosował tę metodę. Więc może należy uprzedzić wydarzenia, wziąć władzę i zdusić pomówienia?

– Przegapimy najlepszy moment. – Trocki wstał z krzesła i potrzęsając czupryną, uderzał pięścią w stół. Binokle chwiały mu się na nosie. – To już idzie jak lawina, nie da się zatrzymać. Trzeba opanować mosty, dworce, koszary, poczty i rozbić cyrkuły. A przede wszystkim aresztować rząd, wszystkich ministrów.

Lenin także wstał, podszedł do drzwi balkonu i patrzył przez firankę na

ulicę.

– Komuna Pahyska upadła dlatego, że nie miała poparcia poza Pahyżem, w tehenie – mówił. W zdenerwowaniu już zupełnie nie wymawiał „r”. – My też nie mamy tehenu. Nawet w Moskwie jesteście słabi, a co dopieho na wsi. Za wcześnie! Za wcześnie! Jeszcze nie tehas. No i Niemcy dotąd nie huszyli, mieliście zaczynać hazem z konthofensywą niemiecką, a tu nic... nic... Tehaz byśmy przeghali, wystrzelaliby nas.

– Włodzimierzu Iljiczu! – błagał Trocki. – Jednak trzeba wyjść do ludzi, coś im powiedzieć.

– I co im powiem? – Lenin doskonale przemawiający w gronach partyjnych, na zjazdach i konferencjach, nie czuł się pewnie, gdy miał mówić do tłumu.

Trocki szeroko otworzył drzwi na balkon i razem ze Spiridonową prawie go wypchnęli na zewnątrz.

Wygłosił najkrótsze przemówienie w swoim życiu. Oparty o balustradę kiwał się, unosząc to na palcach, to na piętach.

– Po coście tu przyszli?! – zawołał. – Pewnie nie macie co jeść? A nie widzicie, ile jest jedzenia w sklepach? W magazynach? Bierzcie i jedzcie! Nie macie butów?

– Nie mamy! – odkrzyknął ktoś z tłumu.

– A myślicie, że burżujskie buty nie będą pasować na wasze proletariackie nogi? Bierzcie burżujskie buty! W każdym burżujskim mieszkaniu jest po kilkanaście par. A ile nóg ma burżuj? Dziesięć? Dwadzieścia? Nie! Ma tylko dwie nogi, tak samo jak wy. Będą pasować na pewno. Może nie macie pieniędzy? A nie wiecie, gdzie są pieniądze? Mało jest banków? Idźcie do banków i bierzcie pieniądze. Są ich tam całe tony, wystarczy dla wszystkich. To wszystko burżuje zagrabili dla siebie. Wiecie dlaczego przegraliśmy w tysiąc dziewięćset piątym roku? Chłopi spalili wtedy tylko dwadzieścia tysięcy majątków, podzielili inwentarz między siebie. Zaledwie dwadzieścia tysięcy. A szlacheckich majątków było trzysta tysięcy! Zniszczyli piętnastą część tego, co powinni zniszczyć. Grabcie zgrabione! Grabcie zgrabione! To jest właśnie rewolucja. My nie popełnimy błędów z tysiąc dziewięćset piątego roku. Zwycięzimy!

Skończył i uciekł do wnętrza. Igor cicho wyszedł z gabinetu, zdecydowany nigdy więcej tu nie wracać. Zdezorientowany tłum falował. „Grabić zgrabione, grabić zgrabione!” – skandował. Niewielu zauważyło, że przecież przyszli, żeby się dowiedzieć, czy aresztować rząd, czy opanować dworce kolejowe, a może poczty i posterunki policji.

Więc może banki?

Wodopjanow na ulicy pod balkonem kręcił głową z niedowierzaniem, pociągnął łyk wódki. Objął Maszę ramieniem i pocałował w policzek.

– Chodź, Maszeńko, rozwalimy jakiś sklep i weźmiemy sobie, co trzeba.

Musisz zacząć lepiej się ubierać.

Uśmiechnęła się niepewnie. Nie wiedziała, czy Paweł nie żartuje.

\* \* \*

Katia przez kilka dni w ogóle nie wychodziła z domu. Na szczęście czwartego lipca było już po powstaniu. Najpierw ulewny deszcz padający przez dwie godziny ostudził najbardziej zapalonych, a potem oddziałom lojalnym wobec rządu udało się rozpedzić słabo zorganizowane tłumy żołnierzy, marynarzy i robotników.

W czasie starć tłum śpiewał *Międzynarodówkę*. A wojska rządowe – *Marsyliankę*.

Piątego lipca Katia przeczytała w prawicowej „Rieczy”, że Lenin i bolszewicy są agentami Niemiec i biorą od nich pieniądze. Prokuratura ma na to niezbite dowody. Nastia przyniosła jeszcze plik innych gazet. Informację o zdradzie Lenina podawały wszystkie nielewicowe pisma. Aresztowano kilkuset bolszewików, Lwa Trockiego, Kamieniewa, Zinowjewa i Lenina, siedzą w Twierdzy Pietropawłowskiej. Od razu się przestraszyła, czy nie ma wśród nich Igora. Lecz Igor jeszcze przed południem pojawił się w domu.

– Wszystko to prawda, Katiu – powiedział. – Właśnie dlatego z nimi zerwałem. Jednak o Leninie to bujda, Leninowi się udało. Uciekł razem z Zinowjewem i gdzieś się ukrywają.

Następnego dnia Igor wyjechał do Gołubych Prudów.

<sup>1</sup> Putiłowem nazywano Zakłady Putiłowskie, a Wyborgiem, w skrócie, dzielnicę Wyborską, część Petersburga od strony fińskiego miasta Wyborg.

## Warszawa, pensjonat pani Kwiatkowskiej przy ulicy Polnej 46

Skończyli partię wista, dochodziła druga po północy. Sokolnicki<sup>1</sup> poszedł do kuchni zaparzyć herbatę, Sosnkowski improwizował coś na fortepianie, grał cicho, nie chciał budzić sąsiadów za ścianą. Wysoki i barczysty, przystojny, krótko ostrzyżony nie wyglądał na pianistę, lecz był melomanem, grał świetnie; może by występował na scenie, gdyby przed laty nie związał się z pepeesowską konspiracją, a potem z Legionami. Piłsudski zwracał się do niego „szefie”, bo był szefem sztabu w I Brygadzie. Kładł pasjansa na stoliku pod oknem a Śliwiński<sup>2</sup> przeglądał książki gospodarza na półkach.

– Konfitury do herbaty, malinowe – powiedział Sokolnicki, wchodząc z tacą do salonu. – Specjalność naszej gospodyni dla Komendanta.

– Świetnie! Herbata i konfitury, to lubię. – Piłsudski, któremu pasjans się nie udał, zgarnął karty i usiadł przy stole. Nakładał maliny na mały talerzyk. Próbował. – Rzeczywiście, pyszne! – Popijał herbatą. – Szefie, zastanawiam się, jak ludzie odnoszą się do naszej odmowy złożenia przysięgi Niemcom? – spytał.

– Wydaje mi się, że cywile uważają to za demonstrację naszej dumy, gest słabych – odpowiedział Sosnkowski. – A żołnierz? Może lepiej rozumie, że trzeba zerwać z Niemcami, skoro nie pozwolili dotąd utworzyć polskiego rządu.

– Ludzie nie pojmują, że świadomie i celowo zrywamy z państwami centralnymi?

– Chyba nie.

– Zrozumieją, jak nas Niemcy zamkną.

– Komendancie! – Śliwiński jeszcze raz próbował przekonać Piłsudskiego. – Przecież możecie się ukryć, to łatwe. Ktoś przecież musi pokierować pracą POW. Po co ta demonstracja? Mogą tu przyjść w każdej chwili, aresztować. W czasie wojny odmowa przysięgi to sąd wojskowy i kara śmierci.

– Do tego się nie posuną. Wszyscy, którzy odmówili złożenia przysięgi, zostali internowani. Gdyby Niemcy chcieli ich rozstrzelać, zamknęliby do więzienia. Czekaliby teraz na proces, a o tym nie słyhać. Nie! Na pewno nie mogą sobie pozwolić na wypowiedzenie wojny wszystkim Polakom. Potrzebują nas. Nie rozstrzelają tylu ludzi. Nie odważą się.

– Wszystkich nie, ale może was, Komendancie? Jako inicjatora akcji. Ryzykowna gra.

– Nie bardzo, nie sędzę. Ja dawniej mógłbym od biedy zgodzić się na taką rotę przysięgi. Ale nie teraz. Sami dostarczyli nam dobrego pretekstu, żeby z nimi zerwać. Rosja jest zrewolucjonizowana i słaba, już się nie liczy. Jeszcze długo nie będzie stanowić dla nas zagrożenia. A na Zachodzie sprzymierzeni zwyciężą prędzej czy później, z pomocą Amerykanów czy bez niej. Zwycięstwo idzie ze



wschodu na zachód. A przysięga, popatrzcie! Piłsudski wziął ze stołu egzemplarz pisma „Rząd i Wojsko”.

– Punkt pierwszy to ślubowanie ojczyźnie. Pięknie! Punkt drugi o ślubowaniu królowi Polski. No dobrze, chociaż nie wiadomo na pewno, kto nim będzie i czy w ogóle będzie. To przysięga na symbol, niech by było... Jestem socjalistą, lecz mogę się zgodzić. Ale już punkt trzeci jest przysięgą braterstwa z armiami niemiecką i austriacką. Nie do przyjęcia! Wojsko miałyby zawierać sojusze z państwami obcymi?! To należy do rządu, nie do wojska. Wojsko ma słuchać rozkazów rządu, władzy reprezentującej państwo. Ja byłbym gotów podporządkować się nawet Tymczasowej Radzie Stanu, chociaż to zaledwie namiastka rządu, nie ma żadnego autorytetu, żadnej władzy ani poparcia w narodzie. Ale Rada nie zdobyła się na odrzucenie tej rotty przysięgi. Prosiłem o to... Nie! Nie odważyli się nawet podać do dymisji. Mali ludzie. No i punkt kolejny, o ślubowaniu posłuszeństwa dowódcom i przełożonym, którzy przecież są Niemcami! Tu piszą: „Jedyną prawną władzą rozkazodawczą jest generał von Beseler, jako dowódca naczelny...”

– Komendancie! Ja to wszystko rozumiem i myślę tak samo. – Śliwiński kręcił głową, był nieprzekonany. – Jednak czy nie lepiej byłoby przebić się do Rosji, objąć dowództwo nad Drugim Korpusem Polskim w Rosji, może i nad Pierwszym, i wrócić tutaj z nowymi siłami?

– Myślałem o tym, wicie przecież... Przebić się z ułanami Beliny przez linię frontu albo aeroplanem, piękna sprawa. Ale nie, nie! Odrzuciłem tę możliwość, bo muszę być z moimi ludźmi, których Niemcy trzymają w obozach. Nie zostawię ich. Rozkazałem odmówić złożenia przysięgi, więc nie mogę ich zostawić, kiedy są więzieni. Wykonali moje polecenie, narażając się na to, co dla żołnierza najgorsze: na niewolę. Zrozumcie. Ludzie nie są dla mnie papierowymi kartami w grze, które rzucam, gdy każę im ginąć albo iść na udrękę. Sam miałbym pozostać na wolności?! Opuścić ich? A wy, Śliwiński, dotychczas nie podaliście się do dymisji z sekretarzowania Radzie Stanu?

– Owszem, wczoraj złożyłem dymisję. Ale co dalej?

– Przesiadamy się na lepszego konia. – Piłsudski przechadzał się po pokoju i monologował. – W tym wyścigu jesteśmy jak mucha na wierzchołku, który tuż przed metą słabnie. To Niemcy i Austriacy. Więc mucha w ostatniej chwili przesiada się na konia zwyciężającego i pierwsza przychodzi do mety. Z Francją i Anglią. Już w czternastym roku wysyłałem na Zachód sygnały, że walczyliśmy tylko z Rosją, lecz nie mamy żadnych wrogich zamiarów wobec państw zachodnich. Jak nas teraz Niemcy zamkną, będzie oczywiste, że jesteśmy po stronie sprzymierzonych. Wszyscy to zobaczą. To będzie potrzebne, kiedy ustalać się będzie porządek świata po wojnie.

Usłyszeli jakieś hałasy z klatki schodowej, z dołu. Potem łomot do drzwi

mieszkania.

– Przyszli – powiedział Sokolnicki i poszedł do przedpokoju.

Po chwili gwałtownie otworzyły się drzwi do salonu. Weszli czterej żandarmi i oficer.

– Pułkownik doktor Erich Schultze<sup>3</sup> – przedstawił się. – Pan brygadier Piłsudski, jak sądzę?

– To ja.

– Pułkownik Kazimierz Sosnkowski?

Piłsudski wstał, był w mundurze. Sosnkowski po cywilnemu, jak wszyscy pozostali. Schultze nie był pewny.

Sosnkowski zagrał na fortepianie pierwsze takty pieśni legionów *My, Pierwsza Brygada* i wstał.

– Do usług szanownego pana pułkownika doktora.

– Panowie, jesteście aresztowani.

– Pod jakim zarzutem?

– Brygadier Piłsudski przeszedł granicę Królestwa z fałszywym paszportem.

– O! To coś nowego. Spodziewaliśmy się aresztowania, lecz nie pod tak absurdalnym zarzutem<sup>4</sup>. Policja polityczna zajmuje się takimi sprawami? – Piłsudski wziął ze stołu plik kartek. – To jest mój list do jego ekscelencji gubernatora von Beselera. Miałem zamiar dać mu osobiście. Zechce pan mu dostarczyć?

<sup>1</sup> Michał Sokolnicki (1880–1967), członek PPS, od 1903 roku sekretarz i bliski współpracownik Piłsudskiego, doktor filozofii, historyk, po 1918 roku dyplomata i ambasador II RP.

<sup>2</sup> Artur Śliwiński (1877–1953), członek PPS, historyk, publicysta, w 1922 roku premier, senator.

<sup>3</sup> Doktor Erich Schultze został zastrzelony przez bojowca PPS Adama Purtala 1 października 1918 roku na ulicy Smolnej. Wyrok na niego wydała Komenda Naczelna POW.

<sup>4</sup> Po kilku dniach Niemcy wycofali się z tego oczywiście bezpodstawnego zarzutu.

## Zakopane

Jeszcze przed wyjazdem do sanatorium Jan spróbował w Borowicach wsiąść na konia. Trzy lata nie widział Picadora, lecz koń poznał go już z daleka. Zarżał cicho, kiedy zbliżał się do stajni. Obok stał Moro, teraz już pięcioletni. Zmężniał, rozrósł się, był pięknie umięśniony. Jan pogłaskał go i wszedł do boksu Picadora. Jego ukochany koń się postarzał, łeb mu posiwiał, grzbiet zrobił się wklęsły. Pogłaskał po szyi, przytulił się, wyczyścił. Osiodłał, wszedł z pewnym trudem, bo zabolalo, kiedy wkładał w strzemień nogę mocno zgiętą w kolanie. Pojechał dróżką w stronę skałek, dziadek parskął, szedł raźnie i wesoło. Ale z Janem nie było dobrze. Póki jechał kłusem i galopem, nic złego się nie działo. Na łączce pod lasem skierował konia na niewysoki drewniany płotek, skoczył. Ból był przeszywający. Każdy szybki ruch w lewym stawie kolanowym powodował ostry ból. Mógł jeździć, ale nie skakać przez przeszkody.

Trzy tygodnie siedział u Władka w Borowicach, podziwiał jego maszyny rolnicze, lokomobilę i młockarnię, przyglądał się pracom w polu. Dobrze mu tu było, lecz jeszcze raz się przekonał, że on w majątku nie ma co robić. Wszystko toczyło się utartym trybem, jak w dobrze naoliwionej maszynie. Władek zatrudniał już tylko kilkunastu ludzi i to dorywczo, każdy czas miał swoje prace i zadania. Jan czuł się w Borowicach zbędny.

Pojechał do Zakopanego.

Najpierw skierowano go do doktor Reny Brzezińskiej. Długo i dokładnie badała jego kolano, naciskała, prostowała nogę, zginała, oglądała klisze rentgenowskie, znów naciskała, znów oglądała. Zleciła ponowne prześwietlenie, a kiedy je zrobiono, wezwała Jana i wypisała całą litanie zabiegów. Była młoda i ładna, ledwie dobiegała trzydziestki, wciąż uśmiechnięta i życzliwa, choć czasami nagle jakby chmura przesłaniała jej twarz. Na moment stawała się zamyślona i smutna. Koledzy w sanatorium mówili, że straciła męża zaraz na początku wojny. Nie powiedziano jej, w jakim stanie są zwłoki. Chciała się pożegnać, popatrzeć ostatni raz, otwarto trumnę. Pocisk artyleryjski zmasakrował go, zobaczyła ciało w kilku częściach. Była w czwartym czy piątym miesiącu ciąży i kilka dni później poroniła.

Jakiś tydzień po przyjeździe spotkał ją w bibliotece. Ukłonił się i zmierzał do wyjścia, kiedy go zawołała.

– Panie majorze...

Zatrzymał się i odwrócił.

– Dobrze, że pana spotkałam. W sobotę będzie u nas na konsultacjach profesor Zawirski ze Lwowa. To wybitny specjalista, chirurg ortopeda. Proszę rano nigdzie nie wychodzić, chcę, żeby obejrzał pana kolano.

– Dziękuję. Myśli pani, że może mi pomóc?  
– Trzeba spróbować. – Patrzyła na niego z uśmiechem, jakby chciała jeszcze coś dodać. – Co pan czyta?  
– Prusa. Tak się jakoś złożyło, że dotąd nie czytałem *Faraona*. I Orzeszkową, *Nad Niemnem*. Też nie znam... A pani?  
Pokazała mu dwa zeszyty „Chimery” Przesmyckiego i jakiś tomik wierszy.  
– Lubi pani poezję?  
– Bardzo. To jest mało znany jeszcze poeta, Bolesław Lesman<sup>1</sup>. Tomik pod tytułem *Sad rozstajny*. Czytałam kilka jego wierszy drukowanych w „Chimerze” i w innych pismach literackich. Uważam, że jest niezwykły.

\* \* \*

W sobotę rano przyszła po niego pielęgniarka i zaprowadziła go do doktor Brzezińskiej. Wziął książkę, spodziewając się, że będzie musiał czekać w kolejce do profesora, lecz pod gabinetem nikogo nie było. Wszedł od razu. Profesor pojawił się prawie natychmiast, Brzezińska podała mu zdjęcia. Popatrzył na nie i tylko przez chwilę oglądał kolano Jana. Wydawał się zdenerwowany.

– Dziękuję – powiedział. – To wszystko. – I rzucił kopertę ze zdjęciami na biurko. – Pani doktor panu wyjaśni...

Jan ubrał się i wyszedł. Po chwili spostrzegł, że zostawił *Faraona* na krześle obok kozetki. Wrócił do gabinetu i usłyszał podniesione głosy dobiegające zza uchylonych drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

– Co mi tu pani głowę zawraca?! Rzecz jest oczywista, nic się nie da zrobić. Czy pani sama tego nie widzi? Doprawdy, pani Reno, gdybym pani nie znał, pomyślałbym, że brak pani podstawowej wiedzy. Szkoda mojego czasu i pieniędzy sanatorium.

– Myślałam... Przecież pan profesor w wielu wypadkach, nawet tak trudnych, był w stanie...

– Nie jestem cudotwórcą.

Jan szybko wyszedł, bardzo cicho zamykając drzwi. Usiadł w poczekalni. Po chwili wybiegł profesor, a kilka minut później w drzwiach stanęła lekarka i poprosiła do siebie.

– Profesor nie znalazł niczego nowego – powiedziała. – Trzeba kontynuować rehabilitację. Wyleczymy pana.

– Dostało się pani z mojego powodu! – Janowi już minęło przygnębienie, był rozbawiony. – Przypadkiem słyszałem, co powiedział profesor, proszę mnie nie pocieszać. Jakoś się z tym uporam. Wzywała pani profesora tylko dla mnie? Dlaczego?

Zarumieniła się i spuściła oczy.

– Wiem przecież, jakie to dla pana ważne.

Patrzył na nią pytająco.

– No przecież wszyscy tutaj opowiadają o pana międzynarodowych sukcesach. Pełno tu kawalerzystów, jest pan ich idolem. No i ta szarża pod Rokitną, też powszechnie wiadomo, że pan przecież nie musiał, pojechał pan na pewną śmierć, żeby nie opuścić przyjaciół...

Oczy jej błyszczały i jeszcze bardziej się zarumieniała.

– To miłe z pani strony, bardzo dziękuję. Jest pani świetnym lekarzem.

Rozpromieniała się. Miała niezwykle wyrazistą twarz, wszystkie emocje natychmiast się na niej pojawiały. Uśmiechnął się jak umiał najserdeczniej, lecz spostrzegł, że kiedy wychodził, ona znów się zachmurzyła. Kiedy żegnała go wzrokiem, w wielkich jasnych oczach pojawił się smutek.

\* \* \*

Jan sumiennie poddawał się zabiegom, naświetlaniom, hydroterapiom, okładom parafinowym, masażom. Czasami zdawało mu się, że to trochę pomaga, miał nadzieję, że jednak się wyleczy albo przynajmniej że stan nogi się poprawi, a czasem wpadał w przygnębienie. Nie jest lepiej, ani trochę! Co będzie robił po wojnie, jeśli nie będzie mógł startować w zawodach? Chodził na spacer, coraz dłuższe, próbował nawet bez laski. Na dłuższy dystans okazało się to niemożliwe. Siły wracały mu szybko, ale wciąż nie mógł całkiem wyprostować nogi w kolanie. W pewnym momencie ból był nie do zniesienia.

W zakładzie Kazimierza Dłuskiego leczyło się kilkudziesięciu mężczyzn, prawie wszyscy po ranach na froncie, kilkunastu legionistów. Parę miesięcy wcześniej był tu Komendant. Miał odpoczywać dwa miesiące, lecz wyjechał po dwóch tygodniach, wzywały go jakieś pilne sprawy.

Aresztowanie Piłsudskiego odbiło się szerokim echem i wywołało protesty zarówno w Galicji, jak i Królestwie. Teraz Niemcy uzasadniali je przywództwem Komendanta w Polskiej Organizacji Wojskowej, którą uważali za załączek nielegalnego podziemnego państwa polskiego. Według ich prawa wojennego Piłsudski nie był uwięziony, lecz internowany. Więc nie musieli mu przedstawiać zarzutów ani stawiać przed sądem. Mogli go tak trzymać w nieskończoność, dopóki trwała wojna. Wszyscy legioniści, którzy odmówili złożenia przysięgi, nadal siedzieli internowani w obozie w Szczypiornie. Była tam prawie cała I Brygada, trochę ludzi z II i III. Co się dzieje z jego macierzystą II Brygadą, trudno było się dowiedzieć, Jan szukał w gazetach i nie znajdował prawie żadnych informacji.

\* \* \*

Szli do Morskiego Oka z majorem Jerzym Mazurem. Rano była piękna słoneczna pogoda, niebo bez jednej chmurki, powietrze nieruchome. Szli wolno,

major był po dwukrotnym postrzale płuc, szybko się męczył, oddychał z trudem, musiał często stawać, żeby odpocząć. Miał czterdzieści osiem lat, a wyglądał na sześćdziesiąt. Kiedy od schroniska dzieliło ich już tylko kilkaset metrów, zaczęło nagle silnie wiać, niebo w ciągu kilku chwil zasnuło się chmurami i z daleka rozległy się grzmoty. Lunęło. Kiedy dobiegli pod dach schroniska byli już przemoczeni do nitki. Wokół kominka grzało się i suszyło kilku turystów. Jan i Mazur byli w mundurach, ludzie się rozstąpili, przynieśli krzesła; górnica, żona gospodarza schroniska, przyniosła grzane wino.

Odpoczywali. Za oknem wiatr wył wściekle, deszcz i grad waliły o szyby, a oni odpoczywali. Ciepło i przyjemnie.

– Odpoczywamy po wojnie? – spytał Jan.

– Dla nas się skończyła, chwala Bogu. Ale kiedy się skończy dla wszystkich?

– Jaki będzie świat po wojnie? Będzie lepszy? Ludzie coś zrozumieją, nie będą już chcieli się zabijać nie wiadomo o co?

– Wątpię. – Mazur się zastanawiał. Chciał zapalić papierosa, lecz paczka, którą wyjął z kieszeni, była mokra, do wyrzucenia. – Historia świata jest historią wojen. Zawsze były i zawsze będą. Może przez pięćdziesiąt lat ludzie będą pamiętać te masakry na frontach. Ale ich dzieci i wnuki zapomną. I znowu...

– Więc historia niczego nie uczy? Nie ma innej historii niż historia wojen? Przecież ludzie też coś budują.

– Jest takie powiedzenie, że historia nie uczy niczego... głupców. Zwłaszcza nie uczy panujących. O budowaniu jakoś się zapomina. Wszyscy wiedzą, kim był Aleksander Wielki, Napoleon, Cezar, Hannibal... a ilu wie, kim jest Maria Curie-Skłodowska?

– Ja wiem. Co pan będzie robił po wojnie? – pytał Jan.

– Byłem w Pierwszej Brygadzie szefem wywiadu. Jeśli będzie wolna Polska, to moje doświadczenie się przyda. Jeśli nie będzie Polski, to nie wiem. Do obcych nie pójdę. A pan?

– Cały czas o tym myślę. Zdaje się, że zawodnikiem już nie będę. Może mógłbym być trenerem, mam doświadczenie, lecz ile wart jest trener, który nie może wsiąść na konia i pokazać, jak to się robi? Przekonać, że to się da zrobić. Więc wątpię. W wojsku nie mam czego szukać, bo sztabowego wykształcenia nie mam. Studiowałem inżynierię prawie trzy lata w Petersburgu, nie skończyłem, bo brakło pieniędzy. Naprawdę nie wiem...

– A ta inżynieria to co konkretnie?

– Radiotechnika. Jeszcze przed maturą zbudowałem swoje pierwsze radio. Miałem takiego kolegę z Bronowic pod Krakowem, Stasia Panko. Sprowadzaliśmy zachodnie pisma techniczne, wszystko było tam dokładnie opisane. No, proszę pana! Podążaliśmy prawie o krok za Marconim. No, może o dwa kroki. Mieliśmy

dwa aparaty nadawczo-odbiorcze. Ja siedziałem w Borowicach, on w Bronowicach i rozmawialiśmy sobie.

– Studiował pan w Petersburgu, więc zna pan rosyjski. I zna pan Rosję. Jakie jeszcze języki?

– Niemiecki, oczywiście, i francuski w zakresie szkolnym, no też trochę włoski, bo byłem przez kilka miesięcy na praktyce w szkołach kawaleryjskich w Pinerolo i Tor di Quinto.

– To świetnie! Może pan pracować w wywiadzie. Radio w wywiadzie to przyszłość. Nasłuchy, szyfry, zagłuszania... I pan się zastanawia, co z panem będzie po wojnie? Wywiad, mówię panu. Wywiad! To ciekawa robota i ważna. Jak będzie Polska, niech pan się do mnie zgłosi. Ma pan u mnie pracę, gwarantuję.

<sup>1</sup> Dopiero jakiś czas później poeta zaczął używać nazwiska Leśmian.

## Carskie Siolo

Car szedł aleją prowadzącą nad staw. Prowadził za rękę Aleksego i najmłodszą z córek, Anastazję. Kilka kroków za nimi opiekun carewicza, marynarz Dierewienko, i żołnierz z karabinem. W czasie przechadzek po parku zawsze pilnował go któryś z żołnierzy warty pałacowej. Ten dzisiejszy był szczególnie nieżyczliwy. Któregoś dnia Mikołaj spytał go, jak się nazywa.

– Iwan Jurko – usłyszał niechętną odpowiedź.

– Byłeś na froncie, bracie, walczyłeś?

– Obywatelu Romanow, byłem, ale zakazano nam z wami rozmawiać.

A nawet gdyby nie zakazano i tak bym z wami nie rozmawiał.

Car się zdziwił:

– A to dlaczego?

Żołnierz milczał. Był nieogolony, czapkę miał włożoną daszkiem do tyłu i rozpięty płaszcz. Styl i elegancja rewolucyjna. Mikołaj wyjął paczkę papierosów i wyciągnął w stronę Iwana. Tamten pokręcił głową. Car zapalił i przyglądał się żołnierzowi. Chłopska szeroka twarz, jasne włosy i brak zębów z przodu. Miał wrażenie, że już kiedyś widział tego człowieka, lecz nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

– No to chociaż mów do mnie „pułkowniku Romanow”. Abdykowałem, ale stopnia wojskowego mi nie odebrano.

Znosił takie nieprzyjemności ze stoickim spokojem. Jednak bardzo schudł i posiwiiał. Postarzał się. Dni w Carskim Siolo płynęły powoli, mało kto odwiedzał byłego władcę. Każdego ranka dla ruchu i zdrowia jeździł rowerem po parku lub rąbał drewno; pływać łódką po stawie mu nie pozwalano. Kiedyś jeden z żołnierzy podbiegł do roweru i wetknął bagnet karabinu w szprychy, car się wywrócił i potłukł. Żołdacy śmiali się do rozpuku, a on wstał, otrzepał się i chwilę na nich patrzył bez słowa, aż zamilkli.

Część służby została, większość jednak odeszła. Caryca czuła się poniżona i nieszczęśliwa, bardzo źle znosiła tę sytuację. Zostały jej zaledwie dwie pokojówki, lokaj, garderobiana i kucharka z podkuchenną. Uczyła córki niemieckiego i religii, a Mikołaj historii, literatury i geografii. Wieczorami wszyscy słuchali, jak car czyta Tołstoja albo Puszkina, albo Lermontowa. Potem rozmawiali o tym, co usłyszeli. Czasem grali w karty lub w domino.

Car z synem i córką szli żwirowaną ścieżką, upał był jak na koniec lipca przystało, pachniało żywicą i kwiatami z klombów. Usiedli na ławce. Południe. Za plecami mieli Pałacyk nad Wodą. Car kochał chóry cerkiewne, a tutaj zawsze była zdumiewająca akustyka. Kiedy otwierano wielkie jak wrota drzwi niedużego pomieszczenia, głos rozchodził się jak z muszli koncertowej. Dawniej w Pałacyku



nad Wodą zawsze czekało w gotowości kilkunastu chórzystów. Kiedy tylko zbliżał się car lub ktokolwiek z rodziny cesarskiej, chór zaczynał śpiewać. Można było chodzić dookoła stawu i wszędzie jednakowo słyhać było jego cudowne głosy.

Dziś oczywiście chóru nie było.

Dzikie kaczkę zerwały się i z ostrym trzepotem skrzydeł odleciały gdzieś na południe.

– Aleksander Drugi. – Car wrócił do lekcji historii. – Aleksy, wczoraj już zaczęliśmy, powiedz, kim jest dla ciebie i kiedy się urodził.

– Był moim pradziadkiem, jego ojcem był Mikołaj Pierwszy.

– Tak, ale kiedy się urodził?

Aleksy nie pamiętał.

– W tysiąc osiemset osiemnastym roku – powiedziała Anastazja.

– Kiedy zginął i dlaczego?

– Zginął w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku z ręki terrorysty. – Aleksy się ożywił, to akurat dobrze zapamiętał. – Było siedem zamachów. Narodowolcy uczynili swoim głównym celem zabicie cara. Uważali, że potem wybuchnie rewolucja. Karakozow w Parku Letnim, później w Paryżu Berezowski, Sołowiow tuż przed pałacem, potem zamachy kolejowe pod Aleksandrowskiem i pod Moskwą. Potem wysadzenie w powietrze części Pałacu Zimowego, wreszcie nad Kanałem Jekatierińskim. Rzucili bomby. Pierwsza, bandyty Rysakowa, zabiła tylko konia kozaka z ochrony, druga, Hryniewieckiego, tak ciężko poraniła pradziadka, że zmarł z upływu krwi. Zamachowiec też zginął.

– Dobrze. Musicie zapamiętać, że Aleksander mógł odjechać i uniknąć śmierci, lecz zatroszczył się o kozaka z ochrony, chciał się dowiedzieć, co mu się stało. Więc kazał zatrzymać powóz, wysiadł i poszedł zobaczyć, choć policmajster Dworżycki błagał, żeby natychmiast odjeżdżać, bo jest niebezpiecznie. I to go kosztowało życie. Pamiętam, jak dziadek konał. Był owinięty kocami, bo z upływu krwi było mu coraz bardziej zimno. Byłem wtedy chłopcem, miałem trzynaście lat, ale pamiętam doskonale. Całą twarz miał poranioną drobnymi odłamkami szkła z szyby powozu, jedno oko opuchnięte i niewidzące. Bardzo płakałem, wszyscy płakali, dziadek coś poszeptał na ucho spowiednikowi i przyjął komunię świętą. Koce na jego nogach barwiły się na czerwono, nie dało się zatrzymać upływu krwi. Zgasł, właściwie nie wiedzieliśmy dokładnie kiedy... Teraz zastanówmy się – car otrząsnął się ze wspomnień – dlaczego narodowolcy tak bardzo chcieli zabić waszego pradziadka. Aleksander Drugi był wielkim reformatorem. Zniósł poddaństwo chłopów, wprowadził sądy przysięgłych, zreformował armię, wprowadził samorządy terytorialne, zreformował oświatę. Żydom dał prawo obejmowania urzędów państwowych. Tuż przed śmiercią przygotował wprowadzenie konstytucji, zabrakło ledwie kilku dni. Więc czego chcieli? Otóż to wszystko było dla nich za mało. Oni chcieli rewolucji, chcieli zniszczyć cały

dotychczasowy świat. Nie wierzyli w Boga, nie wierzyli w Rosję, rodzinę, nie wierzyli w nic. Dlatego nazywano ich nihilistami. Chcieli mordować bogatych, zemścić się na nich za cały wielowiekowy ucisk chłopów przez szlachtę i robotników przez burżuazję, chcieli zniszczyć całą dotychczasową kulturę, wszystko! Nasz dziadek też chciał znieść niesprawiedliwość, ale nie chciał nikogo mordować. A oni chcieli tylko zniszczenia i zemsty.

– Papo, a ty? – spytała Anastazja. – Chciałeś zmienić Rosję?

– Nadałem Rosji konstytucję i powołałem Dumę Państwową. Ale nie jestem z tego dumny. Czasem nawet myślę, że to był grzech. Wszystkie reformy prowadzą tylko do rozruchów, jak te za Aleksandra Drugiego. Po zniesieniu poddaństwa chłopów było tysiąc trzysta buntów i powstań, prawie osiemset tak poważnych, że nie radziła sobie policja i trzeba było użyć do ich tłumienia wojska. To, co jest, co było dotychczas, jest dobrze sprawdzone. Tak było przez wieki i lepiej niczego nie zmieniać. Każda zmiana to niewiadoma. Trzeba trzymać się tego, co znane i pewne.

– A teraz co się dzieje?

– Właśnie...

Z bocznej alejki biegł żołnierz bez czapki i karabinu:

– Wasza Cesarska Wysokość! – wołał zdyszany. – Przyjechał pan premier, chce rozmawiać z Waszą Cesarską Wysokością.

– No, to zostańcie tutaj – powiedział Mikołaj do dzieci.

Wstał i ruszył w stronę pałacu. Kierenski był ministrem sprawiedliwości, kiedy odwiedził go w Carskim Siole po raz pierwszy. Starał się być bardzo uprzejmy i zwracał się do niego „Wasza Cesarska Wysokość”. Mimo to kazał zrobić rewizję w papierach Mikołaja i jego małżonki, szukał dowodów, że caryca zdradziła, że kontaktowała się z Niemcami. Niczego nie znalazł. Drugi raz odwiedził go jako minister wojny. Wtedy już mówił tylko „Wasza Wysokość”. Rósł we własnych oczach i rzeczywiście stawał się coraz bardziej popularny. Teraz przychodził jako premier.

Miał trzydzieści sześć lat i był u szczytu kariery.

Czy teraz będzie mówił „pułkowniku Romanow” albo „obywatelu Romanow”?

Klęska ofensywy Brusilowa doprowadziła do upadku rządu. Lwow podał się do dymisji, Kierenski został premierem kolejnego koalicyjnego Rządu Tymczasowego. Jednocześnie był członkiem Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, usiłował godzić prawicę z lewicą i nade wszystko unikać posądzenia, że jest przeciwnikiem rewolucji. Przed wojną znany adwokat, dobrze broniący w sprawach politycznych, wybrany do Dumy z ramienia eserów trudowików, ich najbardziej umiarkowanego odłamu, był błyskotliwym mówcą i w Dumie stał się znaną postacią. Po rewolucji lutowej zrobił olśniewającą

karierę.

Szedł aleją naprzeciw carowi. Był w mundurze i długich butach, chociaż nigdy nie służył w wojsku. Przed nim, wokół niego i za nim kroczyła wojskowa asysta, ochrona i adiutanci, czternastu ludzi.

– Witam pana, pułkowniku Romanow – powiedział. Lewą rękę trzymał za plecami, a prawą dłoń założył jak Napoleon za trzeci guzik kurtki na piersi.

Car tylko skinął głową i milczał.

– Przyszedłem porozmawiać o waszej przyszłości. Rząd widzi potrzebę wywiezienia was poza stolicę.

Szli w stronę pałacu, a Kierenski monologował:

– Wiem, że dostajecie gazety krajowe i zagraniczne, więc musieliście zauważyć, jak bardzo spada wasza popularność, mówiąc delikatnie. Słychać nawet posądzenia o zdradę. Boimy się o wasze bezpieczeństwo.

Car milczał.

– Musimy was razem z rodziną gdzieś wywieźć.

Car milczał, a po chwili powiedział:

– Chcemy jechać do Liwadii.

– Pojedziecie do Tobolska, jest tam dla was dobre miejsce, pałac gubernatora, teraz pusty. Trzeba tylko przeprowadzić remont, może to potrwać kilka tygodni.

Car milczał.

– Wyjazd do Anglii jest nieaktualny, Jerzy Piąty wycofał gotowość przyjęcia was.

– Nie chcę wyjeżdżać z Rosji.

– No dobrze, więc zostanieie.

– Co na froncie? Mam nadzieję, że nie zawrzecie separatystycznego pokoju z Niemcami?

– W żadnym wypadku. Będziemy walczyć aż do zwycięstwa.

– Dobrze, to jedyne, co nas łączy.

– Tylko bolszewicy chcą pokoju od zaraz. Lecz to margines, nieważne.

– Czyżby? Na pana miejscu nie lekceważyłbym ich.

\* \* \*

W Pałacu Zimowym czekał już na premiera Sawinkow. Najsławniejszy terrorysta w Europie, szef Organizacji Bojowej eserów teraz był wiceministrem wojny, faktycznie ministrem. Kilka dni wcześniej skłonił Kierenskiego do mianowania naczelnym wodzem generała Ławra Korniłowa. Korniłow był gotów rozprawić się z anarchistami, a przede wszystkim z bolszewikami.

– Proszę was, Aleksandrze Fiodorowiczu! Panie premierze! Generał chce z wami rozmawiać, przyjmijcie go i wyrażcie zgodę na jego reformy w armii. –

Sawinkow przysunął fotel do biurka premiera i mówił najbardziej sugestywnie, jak potrafił. – Dezercje z frontu osiągają takie rozmiary, że jesteśmy na skraju katastrofy. Musi być kara śmierci za dezercję, inaczej tego nie powstrzymamy. Koniecznie trzeba ograniczyć władzę Rad Żołnierskich w jednostkach. Jeżeli ich kosztem damy władzę komisarzom, nie zostanie to uznane za zdradę rewolucji. Kornilow jest idealnym człowiekiem do przeprowadzenia takich zmian. Jest synem chłopca, więc nikt nie oskarży go, że sprzyja białym. Jest bohaterem wojennym, uciekł z niewoli, jest coraz bardziej popularny, także na prawicy, która widzi w nim szansę zaprowadzenia porządku. A dla lewicy jest bohaterem rewolucji.

Kierenski pomyślał, że może generał Kornilow jest aż za bardzo popularny. Oby nie bardziej niż on sam!

– Kadeci by się ucieszyli – powiedział – ale Rada mi tego nie wybaczy. Bolszewicy oskarżą rząd o zdradę rewolucji. Oni opowiadają się za pokojem natychmiast i to hasło przysparza im coraz większej popularności.

– Więc trzeba się z nimi rozprawić, zniszczyć raz na zawsze. Kornilow może to zrobić.

– Jak? Właśnie się okazało, że nie ma wystarczających dowodów zdrady Trockiego, Kamieniewa i innych i trzeba było ich wypuścić. Są dowody zdrady Lenina, ale jego akurat nie udało się schwytać.

– Aleksandrze Fiodorowiczu, na Boga! Mamy rewolucję! Nie przejmujemy się dowodami, ci ludzie są niebezpieczni. Należy ich postawić pod ścianę i zlikwidować, nie martwiąc się sądem i dowodami.

– Nie! Nigdy czegoś takiego nie zrobię! Borysie Aleksandrowiczu, dziwię się, że możecie w ogóle coś takiego proponować. Przewodniczę demokratycznemu rządowi i mamy wreszcie w Rosji praworządność. Nigdy nie zrobię czegoś takiego, nigdy.

– Na ulicach mamy nie praworządność, lecz prawo linczu, a jeszcze gorzej na wsi...

Do gabinetu wszedł sekretarz Kierenskiego David Soskice.

– Panie premierze, przepraszam, ale Breszkowska... Czeka od godziny, prosi o rozmowę, natychmiast.

– Niech wejdzie.

Jekatierina Breszko-Breszkowska, eserka, Polka z pochodzenia, była jedną z najbardziej znanych rewolucjonistek z czasów przed lutym. Nazywano ją babuszką rewolucji, bo trzydzieści osiem lat przesiedziała za caratu w więzieniach, na katordze i na zesłaniu. Teraz była siedemdziesięcioletnią staruszką, intelektualistką, osobą wysokiej kultury i cieszyła się ogromnym szacunkiem wśród całej lewicy niezależnie od jej odcienia. Kiedy Kierenski przeniósł siedzibę rządu z Pałacu Taurydzkiego do Zimowego, też się tam wprowadziła i, jak mówiono, opiekowała się jak matka nieżonatym premierem. Usiłowała

powstrzymać jego narkomanię i pijaństwo. Z bardzo nikłym skutkiem.

Weszła, popatrzyła dookoła.

– O, Sawinkow! Dobrze, że i pan tu jest. Aleksandrze Fiodorowiczu! W Piotrogradzie właśnie odbywa się zjazd bolszewików z całego kraju. Aleksandrze Fiodorowiczu, błagam was, aresztujcie ich wszystkich. Taka okazja już się nie powtórzy. Błagam was, kłaniam się przed wami po rosyjsku. – Breszkowska kłaniała się w pas do ziemi. – Jeśli tego nie zrobicie, oni pogrążą Rosję, zrujną nasz kraj i rewolucję. – Siwa, szczupła i krucha obesła biurko, padła na kolana przed Kierenskim, chwyciła jego dłonie i chciała całować. – To zaraza, to bandyci – mówiła – marzący tylko o władzy. Będą mordować tysiącami. Zapowiedzieli to w swoich manifestach, musicie ich powstrzymać, błagam was, proszę na kolanach!

W niebieskich oczach staruszki błyszczały łzy.

– Ależ Jekatierino, ja nawet nie wiem, gdzie ten zjazd się odbywa. – Kierenski wyraźnie wzruszony podniósł ją z klęczek. Ale jego odpowiedź zabrzmiała tak nieporadnie, że aż śmiesznie.

– Dowiemy się bez trudu – rzekł Sawinkow.

– No tak, zadzwonię do ministra spraw wewnętrznych. Davidzie, proszę, połącz mnie z Awksentiewem. – Przekładał papiery na biurku, był zakłopotany i nie wiedział, jak to ukryć.

– Ministra nie ma w biurze – zameldował po chwili Soskice, wchodząc do gabinetu.

Kierenski odetchnął z ulgą.

– Zajmę się tym jutro – obiecał.

Jednak nigdy się tym nie zajął.

\* \* \*

Kiedy Sawinkow i Breszkowska wyszli, zajął się czytaniem raportów policyjnych z poszczególnych guberni. Wszędzie powtarzało się to samo. Chłopi napadali na dwory, łupili, palili i dzielili ziemię. Gubernia Smoleńska, Tulska, Tambowska, Orłowska i inne. Dwory palili, maszyny i inwentarz zabierali lub niszczyli. Mordowali panów, a policja przyglądała się temu beczynnienie. Rady Delegatów gminne i powiatowe, a nawet wiejskie prowadziły ludzi pod czerwonymi sztandarami na dwory. Często łączyli się z uzbrojonymi bandami dezertów.

Kierenski nie wiedział, co z tym robić. Żądać ukrócenia tych praktyk oznaczało sprzeciwić się rewolucji. Najlepiej przerzucić odpowiedzialność na ministra spraw wewnętrznych. Kadetom i oktiabrystom zawsze można wytłumaczyć, że robi, co może. Napił się koniaku i wstrzyknął sobie kokainę. To pomagało nie myśleć.

\* \* \*

Od kilku dni wszyscy w Piotrogradzie spodziewali się powstania bolszewików. Ogólnokrajowy Zjazd Rad miał się zacząć 20 października, lecz przeniesiono termin na 25. Zinowjew i Kamieniew, członkowie bolszewickiego KC, ogłosili w „Prawdzie”, że atak na rząd bez akceptacji Zjazdu będzie nieuprawnionym zamachem stanu w interesie jednej tylko partii zamiast wszystkich partii socjalistycznych. Lenin, kiedy to przeczytał, wpadł we wściekłość. Rzeczywiście, ogłoszenie w prasie zamiaru przeprowadzenia zamachu stanu sięgało szczytów głupoty.

Od kilku tygodni przekonywał kierownictwo bolszewików, że trzeba brać władzę, że tym razem musi się udać. Liczba członków partii rosła fantastycznie. Od dwudziestu tysięcy na początku roku do trzystu tysięcy w październiku. W wielu miejscach w Rosji bolszewicy nie mając większości w radach, opanowali jednak ich organy wykonawcze i kierownicze. Lenin wierzył teraz, że jeżeli uchwycą władzę, ogłoszą, że są gotowi natychmiast zakończyć wojnę, i dadzą chłopom ziemię, to zdobędą większość potrzebną do utrzymania władzy. Przekonał wszystkich członków KC z wyjątkiem tych dwóch. Aż wreszcie dostał meldunek, że cały Garnizon Piotrogradzki podporządkował się bolszewikom. Był uszczęśliwiony.

– To wspaniale – powiedział do Trockiego. A po chwili zastanowienia dodał:  
– Dopóki to my wydajemy rozkazy.

20 października premier Aleksander Kierenski powiedział do Nabokowa:

– Gotów jestem się modlić, żeby oni wreszcie przystąpili do natarcia. Wtedy miałbym prawne uzasadnienie, żeby ich zniszczyć. Będzie tak samo jak w lipcu. Mam aż za dużo sił, żeby ich pokonać w kilka godzin.

\* \* \*

John Reed przeżywał najszcześniejsze dni swojego życia. Rewolucja rosyjska! Ogląda ją z bliska i opisuje. Notuje przebieg przełomowego zebrania Komitetu Centralnego bolszewików:

*Lenin ustalił plan działania: 24 października będzie za wcześnie. Do powstania Lenin musi mieć oparcie w całej Rosji, a 24 października jeszcze nie wszyscy delegaci przybędą na zjazd. Z drugiej strony 26 października będzie za późno, bo do tego czasu zjazd już się zorganizuje, a wielkiemu, zorganizowanemu zgromadzeniu trudno jest działać zdecydowanie i szybko. Musimy zacząć 25 października, to znaczy w dniu otwarcia zjazdu, abyśmy mogli zwrócić się do delegatów: Oto jest władza! Co zamierzacie z nią uczynić?*

Reed, komunistyczny dziennikarz, korespondent amerykańskich pism „The

Masses”, „Seven Arts” i „New York Gall” przyjaźni się z Feliksem Dzierżyńskim i ma wstęp wszędzie, gdzie tylko mogą mu to załatwić bolszewicy. Jest w Rosji od kilku tygodni, lecz nie zna ani słowa po rosyjsku i czasem gubi się w zawilóściach dwuwładzy, licznych partii oraz ich odłamów i frakcji. Z inteligentami rozmawia po francusku, w innych kontaktach musi korzystać z tłumacza.

Reed zdobył rozgłos i uznanie reportażami z rewolucji meksykańskiej trwającej tam od siedmiu lat. Rewolucja rosyjska podoba mu się jeszcze bardziej. Poznał Trockiego, przeprowadził z nim wywiad i wierzy, że zaczyna się właśnie rewolucja, która ogarnie cały świat. Nie stara się nawet o obiektywizm, lecz jest dobrym obserwatorem, pisze barwnie i ciekawie, chociaż chaotycznie. Ale czyż rewolucja nie jest właśnie chaotyczna?

We wtorek, 24 października Reed spieszył do Smolnego. Szedł jak zawsze szybko, wielkimi krokami, aż jego tłumacz musiał podbiegać truchtem. Kapelusz z wielkim rondem zsunięty na tył głowy, płaszcz rozpięty. Wieje zimny wiatr z zachodu, a błoto już przemoczyło buty. Mijają dwie kompanie junkrów. Maszerują miarowym krokiem, śpiewają żołnierską pieśń z czasów caratu. Na skrzyżowaniu tkwią na koniach milicjanci miejscy. Mają nowiutkie jasne pasy z kaburami do rewolwerów. Reed kupuje na rogu broszurę Lenina *Czy bolszewicy utrzymają się u władzy?* Płaci znaczkami pocztowymi, które teraz służą za bilon. Wsiada do zatłoczonego tramwaju i jedzie, wisząc na stopniu. Na chodnikach dezertarzy w mundurach sprzedają pestki słonecznika. Wszyscy teraz żują pestki słonecznika. Tam, gdzie odbywały się wiece, wyplute łuski zawsze chrzęszczą pod butami.

Szybko zapada zmrok, migocą nieliczne latarnie, na ulicach tłumi.

W Smolnym szum jak w wielkim ulu. Sklepione łukowo, ciemnawe korytarze, surowe wnętrza dawnej szkoły dla dobrze urodzonych panien przypominają koszary. Na drzwiach tabliczki z oznaczeniami klas, pokoju nauczycielskiego, dyrekcji, sali gimnastycznej. Obok nowe: Komitet Centralny SDPRR, wydziały Piotrogrodzkiej Rady Delegatów, napisy „Towarzysze! Dla własnego zdrowia zachowujcie czystość”. Jednak jest brudno, na podłogach niedopałki, butelki i wszechobecne łuski słoneczników.

Reed najpierw idzie na najwyższe piętro do pokoju, gdzie obraduje nieustannie Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Jasnowłosy chłopak, Łazimir, wita go radośnie:

– Twierdza Pietropawłowska przeszła na naszą stronę. Wszystkie telefony rząd nam odciął, ale mamy łączność przez polowe linie wojska. Wszystko gotowe, wystarczy nacisnąć guzik...

Dziennikarz przygląda się członkom komitetu. Notuje:

*Podwojski – chudy brodaty cywil, w którego mózgu zrodziła się strategia powstania. Antonow-Owsiejenko – nieogolony w brudnym kołnierzyku,*

*nieprzytomny z bezsenności. Krylenko – barczysty żołnierz o szerokiej twarzy, zawsze uśmiechnięty, o kategoriycznym stylu przemówień, wściekle gestykulujący. Dybienko – olbrzymi brodaty marynarz ze spokojną twarzą. Tak wyglądali ludzie owej chwili i chwil, które nadchodziły.*

W białej sali balowej Instytutu Smolnego dzień i noc odbywa się nieustające posiedzenie Piotrogradzkiej Rady Delegatów. Niektórzy delegaci nie wytrzymują tego, kładą się na podłodze i zaraz zasypiają. Potem się budzą i znów dyskutują, wchodzą na trybunę, przemawiają. Bolszewicy i mienszewicy nawzajem zarzucają sobie zbrodnię zdrady rewolucji. Trocki, Kamieniew, Wołodarski przemawiają po sześć, osiem, a nawet dwanaście godzin dziennie.

Lew Trocki właśnie kończy przemówienie:

– Pytają nas – mówi – czy mamy zamiar przygotować wystąpienie. Mogę dać odpowiedź. Rada Piotrogradzka wyczuwa, że nareszcie nadeszła chwila, gdy władza musi przejść w ręce rad. To przekazanie władzy zostanie dokonane przez Zjazd Ogólnorosyjski. Czy trzeba zbrojnej demonstracji? To zależy od tych, którzy chcą uniemożliwić odbycie zjazdu...

Reed notuje, nie zastanawiając się nad tym, że przecież nikt nie stara się uniemożliwić zjazdu. Trocki wyraźnie ma na myśli rząd, ale rząd niczego takiego nie zamierza.

Następny mówca informuje przy powszechnym aplauzie, że lewicowi eserzy przystąpili do Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego.

\* \* \*

Reed biega pomiędzy Smolnym, Pałacem Maryjskim, siedzibą Rady Republiki, a Pałacem Zimowym, siedzibą rządu. Kierenski wydał zakaz drukowania gazet: „Nowaja Ruś”, „Żiwowe słowo”, „Raboczij put” i „Sołdat”. Rozkazał aresztować Komitet Wojskowo-Rewolucyjny, Trockiego i innych przywódców Rady Piotrogradzkiej. Wszystko to pozostaje tylko na papierze.

Na murze pałacu wielki napis czerwoną farbą: „*Precz z Żydem Kierenskim!*”<sup>1</sup> *Niech żyje Trocki!*”.

W rzeczywistości obaj byli Żydami.

Następnego dnia rano Reed stara się o wywiad z Kierenskim, ale premiera już nie ma. Wyjechał na front wezwać wojsko na pomoc. Koleją nie mógł jechać, bo ruch wstrzymał Wikzel, rewolucyjny związek zawodowy kolejarzy. Nie było też benzyny do rządowego samochodu i trzeba było pożyczać auto w ambasadzie angielskiej.

W Pałacu Zimowym, w jego wspaniałych salach, obozują żołnierze lojalni wobec rządu. Leżą na materacach, w oknach karabiny maszynowe. Między materacami karabiny ustawione w kozły. Wszędzie brudno, kupki niedopałków,



resztki jedzenia, łuski słoneczników i części garderoby, butelki po drogich winach z carskich piwnic. W razie ataku bolszewików bronić rządu mają kadeci i Kobięcy Batalion Śmierci. Reed rozmawia z oficerem, który zna francuski, kiedy za oknami rozlega się kilka wystrzałów. Ludzie przed pałacem biegają, padają na ziemię. W budynku żołnierze rzucają się do karabinów, ładownic, bieganina, wrzaski, chaos. Krzyki: „Idą już, idą!”.

Po chwili wszystko się uspokaja. Fałszywy alarm.

Reed wychodzi i zmierza na obiad do Hôtel de France. Kilka ulic dalej życie toczy się normalnie. Restauracje, sklepy, teatry działają jak zwykle. Czasem tylko przejedzie, kopiąc benzynowym dymem, samochód pancerny. Mają wymalowane stare nazwy „Oleg”, „Ruryk”, „Światosław”. A nad nimi nowe napisy wielkimi czerwonymi literami „RSDRP” (Rossijskaja Socjal-Diemokraticzeskaja Roboczaja Partija).

\* \* \*

Miczman Wodopjanow miał na swoim okręcie wachtę oficerską do ósmej wieczorem. Nie mógł jednak usiedzieć na miejscu. Wczoraj dowiedział się od Wołodarskiego<sup>2</sup>, jednego z czołowych bolszewików w stolicy, że nazajutrz zostanie zaatakowany Pałac Zimowy i obradujący tam Rząd Tymczasowy. Musiał wziąć w tym udział! Trudno, niech się dzieje co chce, musi zejść z posterunku, chociaż to kryminal i sąd wojenny. O szóstej kazał opuścić na wodę szalupę ratunkową. Ośmiu marynarzy usiadło do wiosła, popłynęli do portu. Kilka tysięcy marynarzy z bazy w Kronsztadzie popłynęło do miasta kilkanaście godzin wcześniej.

W mieście dowiedział się, że marynarze i Czerwona Gwardia opanowali już Pałac Maryjski, mosty, pocztę, telegraf, policję i wszystkie banki. Nie wiadomo jeszcze co z dworcami kolejowymi. Na Newskim udało mu się zatrzymać przejeżdżający samochód pancerny.

– Towarzysze, podwieźcie!

Miejsce było tylko na lewym przednim błotniku. Całe auto było obwieszane ludźmi z karabinami i bagnetami na szyk. Kiedy dojeżdżali do gmachu Admiralicji, Wodopjanow zeskoczył z błotnika i przez bramę triumfalną przeszedł na plac Pałacowy.

Kilka tysięcy ludzi, marynarzy i żołnierzy z 1. pułku karabinów maszynowych i trochę czerwonogwardzistów czekało na sygnał do ataku. Na szczycie wieży Twierdzy Piotropawłowskiej, która już przeszła na stronę bolszewików, miało się pokazać czerwone światło. Przed pałacem obrońcy rządu zbudowali barykady z węgla i drewna opałowego. Obie strony trwały, oczekując na pierwszy ruch. W ogromnym gmachu światło widać było tylko w kilkunastu oknach. Wodopjanow patrzył na pałac i był szczęśliwy, że znalazł się tutaj właśnie

teraz. Wielka chwila! Miał wziąć udział w szturmie na symbol caratu i samodzierżawia. Ścisnął karabin, nie bał się, chciał walczyć i był gotów zginąć. Czas mijał, było przeraźliwie zimno, wilgotno, śnił drobny deszcz.

Lecz sygnał się nie pojawiał.

W twierdzy nie było czerwonej latarni, szukano czegoś odpowiedniego od godziny. Więc zaszczyt przypadł krążownikowi *Aurora* cumującemu obok twierdzy przy nabrzeżu Newy. O dziesiątej wieczorem padł strzał ślepy nabojem, bardzo donośny, głośniejszy od ostrego. Zaraz potem odezwały się salwy ze starych armat twierdzy. Pałac był w odległości kilkuset metrów, lecz z trzydziestu wystrzelonych pocisków zaledwie dwa trafiły w fasadę, nie wyrządzając zresztą specjalnych szkód. Pozostałe musiały spaść do rzeki, lub na jakieś budynki za pałacem, może mieszkalne. Zapewne też nie uczyniły wielkich szkód, bo nic nie wiadomo, żeby ktoś z tego powodu zginął. Trzeba było niebywalej nieudolności, żeby z tak bliska nie trafić w ogromny pałac.

Rewolucjoniści otworzyli ogień. Karabiny maszynowe biły po oknach. Posypały się szyby, spadał tynk z fasady. Od strony barykad nie padł ani jeden strzał. Wodopjanow strzelał, ładował i strzelał, aż usłyszał jak Antonow-Owsiejenko woła:

– Naprzód, bracia, do ataku!

Rzucili się i bieгли kilkaset metrów, strzelając w biegu. Dopadli barykad, nikogo tam nie było. Wdarli się do pałacu, wyłamali drzwi, nikt ich nie zatrzymywał. Wodopjanow tuż za Owsiejenką. Długie korytarze były puste, kroki dudniły na marmurowych posadzkach. Na pierwszym piętrze otworzyli z hukiem drzwi Sali Malachitowej. Wokół wielkiego stołu siedziało kilkunastu członków rządu. Zerwali się z miejsc bladzi i przerażeni.

– Jesteście aresztowani w imieniu Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich – oznajmił Antonow-Owsiejenko, mały człowieczek, niewyspany, zarośnięty, blady i spocony, z bardzo brudnym kołnierzykiem i karabinem skierowanym w ich stronę. Wyjął kartkę z kieszeni. – Będę wywoływał nazwiska, proszę przechodzić na prawo.

– Aleksandr Kierenski.

Nikt się nie odezwał.

– Który to Kierenski? – Rozglądał się po twarzach, znał go ze zdjęć w gazetach, ale nie widział nikogo podobnego.

– Premiera nie ma – odezwał się minister Awksentiew. – Rano wyjechał na front.

Owsiejenko zaklął. Wyczytywał kolejne nazwiska. Wszyscy pozostali ministrowie byli. Kazał ich odstawić do Twierdzy Pietropawłowskiej. Musieli iść piechotą, bo nie było pod ręką żadnego pojazdu.

\* \* \*

Zdobywcy rozbiegli się po salach i komnatach pałacu. Brali wszystko, co wydawało się wartościowe. Srebrne i złote świeczniki, złote i porcelanowe bibeloty, zabytkową broń; zrywali kurdyban ze ścian, zdierali obicia z mebli. Niektórzy wyjmowali z ram obrazy, zwijali w rulon i chowali pod płaszcami.

Paweł Wodopjanow wędrował długimi korytarzami, przyglądał się posągom i obrazom, patrzył na siebie odbijającego się w kryształowych lustrach. Bogactwo i przepych tych pomieszczeń były przytłaczające. Wszystko tonęło w złocie. A przecież dookoła Rosja przeraźliwie nędzna i głodna! Dobrze, że zdobyli ten pałac. Trzeba zniszczyć to rozpasane bogactwo zbudowane na krwi i krzywdzie ludu, grzeszne i wołające o pomstę do nieba.

Korytarze na parterze były dziwnie puste. Gdzie się wszyscy podziali? Po chwili usłyszał głosy dobiegające jakby gdzieś spod ziemi. Znalazł zejście do piwnic. Zobaczył tam orgię pijaństwa i kobiety z batalionu rewolucyjnego gwałcone przez rewolucjonistów. Wszyscy pili na umór. Setki tysięcy butelek najlepszego wina, tysiące beczek. Kobiety Batalion Śmierci<sup>3</sup>, mający być ochroną rządu, dwieście kobiet i dziewczyn, schronił się w piwnicach, kiedy tylko zaczął się ostrzał pałacu. Kadeci, którzy także mieli go bronić, wcześniej poszli do miasta coś zjeść, bo nikt nie pomyślał o zaopatrzeniu. Więc właściwie nikt nie bronił ani budynku, ani Rządu Tymczasowego.

\* \* \*

Ogromna fasada Instytutu Smolnego rozjarzona światłami. Na lewo od głównego budynku ciemnieją ogromne wieże i kopuły cerkwi zakładu, trzy razy od niego wyższe. Park przed budynkiem zastawiony samochodami, motocyklami. Stoją na trawnikach, zajeżdżają kolejne, inne odjeżdżają. Przenikliwy ziąb, przenikliwa mżawka. Żołnierze grzeją się przy ogniskach. Kilka ciężarówek warczy pracującymi silnikami. Mnóstwo ludzi zmierza do wejścia. Warta przy schodach sprawdza przepustki. Sylabizują z trudem. Przed chwilą rozpoczął obrady zjazd ogólnokrajowy.

Amerykański dziennikarz John Reed znalazł miejsce w sali posiedzeń i notuje:

*Na wszystkich ławkach, krzesłach, w przejściach, na parapetach okien, nawet na podwyższeniu prezydium siedzą i stoją przedstawiciele robotników i chłopów z całej Rosji. Oświetleni wielkimi żyrandolami, w trwożnej ciszy, przerywanej wybuchami wściekłego hałasu, czekają na dzwonek przewodniczącego. Sala nie jest opalana, ale gorąco od wyziewów niemytych ludzkich ciał. W powietrzu unosi się przykra mgiełka dymu tytoniowego. Obok mnie delegat Fabryki Obuchowskiej, anarchista Piotrowski, posunął się, żeby było mi wygodniej pisać. Nieogolony i brudny, nieprzytomny z senności, pracował przez*

*trzy doby bez przerwy w Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym.*

*Na trybunie Goc, Dan, Liber, Bogdanow, Brojdo i Filipowski. Wszyscy bladzi, z zapadniętymi oczami. Pod nimi kłębi się i kipi Ogólnorosyjski Zjazd Rad. Nad ich głowami gorączkowo pracuje Komitet Wojskowo-Rewolucyjny trzymający w rękach wszystkie nici powstania i zadający ciosy ręką, która sięga wszędzie.*

Mienszewik Fiodor Dan zaczyna:

– Zjazd zbiera się w wyjątkowej chwili. Mamy władzę w rękach! Ja jestem członkiem CIK<sup>4</sup>, a jednocześnie nasi towarzysze wykonujący z poświęceniem swoją pracę ministrów z upoważnienia CIK, są ostrzeliwani przez bolszewików w Pałacu Zimowym. Bolszewicy chcą władzy tylko dla siebie!

Wybuch wrzawa, wszyscy krzyczą naraz.

Jakby na potwierdzenie słów Dana rozlega się daleki huk wystrzałów artyleryjskich.

– Pierwszą rzeczą, jaką ma się zająć zjazd, jest sprawa władzy – przekrzykuje zgromadzenie Dan. – A to się właśnie rozstrzyga siłą, tam, na ulicach!

Na trybunę wdiera się jakiś człowiek w mundurze oficerskim.

– Polityczni hipokryci kierujący tym zjazdem – woła – mówią, że mamy załatwić kwestię władzy, a załatwiono ją poza naszymi plecami jeszcze przed otwarciem zjazdu. Ostrzeliwiają Pałac Zimowy. Ale te strzały to gwoździe do ich trumny!

Przez dwie godziny przemawiają zwolennicy i przeciwnicy bolszewików. Przekrzykują się, wymyślając sobie od kontrrewolucjonistów i zdrajców. Wreszcie Chińczuk odczytuje deklarację mienszewików:

– Ponieważ bolszewicy zorganizowali spisek wojskowy bez naradzania się z innymi frakcjami i partiami, uważamy dalsze pozostawanie na zjeździe za niemożliwe i opuszczamy go, wzywając inne partie do pójścia za naszym przykładem i zebrania się celem omówienia sytuacji.

– Dezerterzy! Zdrajcy rewolucji!

Po chwili w ogólnym tumulcie Hendelman w imieniu eserów protestuje przeciwko atakowi na Pałac Zimowy.

Petersen popiera bolszewików w imieniu łotewskiego pułku strzelców:

– Dość gadania, dość rezolucji, armia pójdzie z nami, władza musi być w naszych rękach!

Salę opuszczają delegaci eserowscy, a po nich żydowskiego Bundu. Teraz już bolszewicy mają bezwzględność przewagę.

– Niech sobie odejdą ci wszyscy tak zwani socjaliści ugodowcy – przemawia Trocki. – Wystraszeni mienszewicy, socjalrewolucjoniści i bundowcy to odpadki,

które zostaną zamiecione na śmietnik historii.

Riazanow komunikuje w imieniu bolszewików, że Komitet Wojskowo-Rewolucyjny wysłał delegację do pertraktacji z Rządem Tymczasowym w Pałacu Zimowym. Jest to kłamstwo w celu uspokojenia tych, którzy jeszcze nie są przekonani.

Na trybunie pojawia się Lenin. Obojętnie przyjmuje burzliwy aplauz, czeka, aż nastąpi cisza. Zaczyna przemówienie bez emocji, zwyczajnie:

– Więc teraz, towarzysze, zaczniemy budować socjalizm... Raz zdobytej władzy nie oddamy.

Widać już, że bolszewicy wygrali, uchwalają kolejne odezwy i deklaracje, więc o trzeciej nad ranem Reed wychodzi, żeby sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja w Pałacu Zimowym.

*Przed wejściem do Smolnego ogromna ciężarówka dygoce od pracy silnika. Ludzie ciskają na skrzynię jakieś paki druków. Zabieramy się z nimi. Na Prospekcie Suworowskim maszyna mknie z maksymalną szybkością, kołysząc się i podskakując co chwila. Jeden z robotników zrywa opakowanie z paczki i garściami rozrzuca ulotki za burzę. Idę za jego przykładem i tak gnamy ciemną ulicą, wlokąc za sobą ogon białych fruujących papierów.*

Reed opuszcza ciężarówkę na Newskim koło bramy triumfalnej ogromnego kompleksu budynków Sztabu Generalnego i przechodzi przez nią na plac Pałacowy. Pałac jest już zdobyty. Dzięki bolszewickiej przepustce udaje mu się dostać do wnętrza. Walk żadnych nie było, pałac poddał się bez jednego wystrzału, bo akurat przed szturmem kadeci poszli do miasta coś zjeść, a Kobiety Batalion Śmierci po pierwszych strzałach z dział Twierdzy Pietropawłowskiej wpadł w panikę i schował się w piwnicach. Tam dopadli kobiety marynarze z Kronsztadu, zwani przez Lenina „chlubą i dumą rewolucji”, i dwie czy trzy zgwałcili.

– Jest kilku rannych – powiedział Reedowi Raskolnikow.  
– Jak to możliwe, skoro nikt z pałacu nie strzelał?  
– Był bałagan przy szturmie, pewnie zostali postrzeleni przez własnych towarzyszy.

Ministrowie Rządu Tymczasowego zostali aresztowani i odstawieni do twierdzy. Pałac w czasie szturmie ucierpiał niewiele, gdzieś odpadł gzyms od trafienia dwoma pociskami artyleryjskimi, które okazały się celne. Serie karabinów maszynowych powybiły dużo szyb i poniszczyły ściany we wnętrzach. Zdobywcy rzucili się do rabowania wnętrza, ale przywódcom udało się ich powstrzymać. Reed zauważył to i opisał.

Kiedy jednak marynarze i czerwogwardziści dostali się do piwnic, nastąpiła orgia masowego pijaństwa. Beczki i setki tysięcy butelek najlepszego wina. Znow przywódcy starali się to powstrzymać i kazali tysiące wielkich beczek

wytoczyć na ulicę po stronie Newy i porozbijać. Lecz rewolucjoniści nabierali wyborne wino w co się dało, nawet w czapki, lub chłeptali wprost ze strumieni płynących rynsztokami. Ranek pierwszego dnia rewolucji zaczął się największym kacem w dziejach świata.

John Reed nie mógł nie zauważyć kilku tysięcy kompletnie pijanych zdobywców. Ale o tym nie napisał.

\* \* \*

Następnego dnia, w czwartek 26 października, życie w mieście toczyło się zwyczajnie, jakby się nic nie stało. Ludzie czasem podnosili ulotki walające się po chodnikach i czytali:

### **DO OBYWATELI ROSJI!**

**Rząd Tymczasowy został obalony. Władza państwowa przeszła w ręce organu Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stoi na czele pietrogradzkiego proletariatu i garnizonu.**

**Sprawa, o którą walczył lud: niezwłoczne zaproponowanie demokratycznego pokoju, zniesienie obszarniczej własności ziemi, kontrola robotnicza nad przemysłem, utworzenie Rządu Radzieckiego ta sprawa jest zapewniona.**

**Niech żyje rewolucja robotników, żołnierzy i chłopów!**

\* \* \*

Wieczorem 25 października Teatr Maryjski wystawiał *Borysa Godunowa* Musorgskiego. Ponad pół wieku po prapremierze wystawiano tę operę z przeróbkami Rimskiego-Korsakowa; wciąż była zbyt rewolucyjnie nowatorska. Dokładnie w tym samym czasie w Domu Ludowym Fiodor Szalapin śpiewał w *Don Carlosie* Verdiego z librettem Schillera<sup>5</sup>. Dokąd pójdą widzowie? Mimo wojny, głodu i mimo pogłosek o zbliżającym się bolszewickim zamachu stanu oba przedstawienia grane były przy pełnych widowniach!

Katia śpiewała rolę Maryny Mniszchówny, polskiej wojewodzianki, ukochanej Dymitra Samozwańca. Rola niezbyt duża, mezzosopranowa i tylko

w trzecim akcie. W ogóle w *Borysie Godunowie* nie ma dużej roli kobiecej. Bardzo ją ucieszyło, że gra Polkę. Był także chór polskiej szlachty cieszącej się ze zdobycia Moskwy. Zaraz napisze o tym do Jana!

Bardzo chciała posłuchać Szalapina. Od 1905 roku, kiedy sławny śpiewak publicznie opowiadał się za rewolucją, car zabronił mu występować w Rosji i zmieniła to dopiero rewolucja lutowa. Więc Katia nigdy dotąd nie miała okazji go słyszeć. Pojechała na *Don Carlosa* i umówiła się ze stangretem, że pod koniec pierwszego aktu zawiezie ją galopem do Maryjskiego, a potem, gdy już zaśpiewa swoją rolę w *Godunowie*, z powrotem na *Don Carlosa*. Kiedy około dziewiątej jechała Newskim obok długiego budynku Sztabu Generalnego, przez chwilę widziała za bramą na placu Pałacowym tłumy marynarzy i czerwonogwardzistów. Słysząc było gwar kilku setek ludzi, lecz nikt jeszcze nie strzelał. Na ulicach było pusto i cicho. Klaskanie kopyt po bruku odbijało się echem od ścian. Zdążyła z powrotem na *Don Carlosa*. Siedziała w łoży z Bolską i Tamarą Karsawiną. Dopilnowały, żeby została wpuszczona w trakcie czwartego aktu. Bezszelestnie wsunęła się do środka i poddała magii muzyki i aksamitnego basu Szalapina. Była zasłuchana i zachwycona.

Kiedy wychodziły po przedstawieniu, Bolska pytała, czy jadąc przez miasto, nie widziała jakichś zamieszek.

– Były tłumy pod Pałacem Zimowym, ale żadnych rozruchów.

– Coś wisi w powietrzu – powiedziała maestra. – Czuję, że coś się wydarzy.

Wieczorem Katia słyszała dalekie głosy dział i serie karabinów maszynowych. Następnego ranka Nastia przyniosła ulotkę oznajmijącą o przewrocie. Gazety jeszcze nic o nim nie pisały.

Była przerażona. Nie miała złudzeń co do bolszewików. Spodziewała się wszystkiego najgorszego. Nie wiedziała, czy opanowali banki. Od razu się przekonała, że w Państwowym Banku Rosyjskim prywatne konta zostały skonfiskowane na rzecz państwa. Wielkie ogłoszenie przy wejściu informowało, że pieniądze przejęła nowa władza. Część jej oszczędności przepadła. Odebrała biżuterię zdeponowaną w sejfach wielkiej firmy jubilerskiej Fabergégo i ze skrytki w Banku Północnorosyjskim. Jakimś cudem tutaj bolszewicy jeszcze nie dotarli. Wszystko, co jeszcze miała cennego, zakopała nocą w ogrodzie.

\* \* \*

Mikołaj II przeczytał w Tobolsku o bolszewickim zamachu stanu dopiero dwa tygodnie później. Zanotował w swoim pamiętniku:

*Dowiedziałem się o przewrocie bolszewickim i nappełniło mnie to obrzydzeniem.*

\* \* \*

Piłsudski w więzieniu w twierdzy magdeburgskiej dostawał gazety niemieckie i przeczytał o bolszewickim przewrocie dzień po fakcie. Wiedział, że za kilka tygodni odbędą się w Rosji wybory do Zgromadzenia Konstytucyjnego i uważał, że bolszewicy muszą te wybory przegrać, więc ich władza nie potrwa długo. Nie mylił się co do wyborów, lecz nie docenił Lenina.

\* \* \*

Jan czytając gazety, był przerażony. Wyobrażał sobie hordy zbolszewizowanych mas rabujące wszystko, co burżuazyjne. Przez kilka dni chodził jak nieprzytomny, codziennie szukał w prasie informacji z Rosji. Postanowił przerwać leczenie w Zakopanem, spróbować mimo wszystko jakoś przedrzeć się do Hamburga i wysłać listy do Katii.

<sup>1</sup> Jest wiele niejasności co do pochodzenia Kierenskiego ze strony ojca. Jednak jego matka z pewnością była Żydówką. Trocki oczywiście był Żydem.

<sup>2</sup> W. Wołodarski (właściwie Moisiej Markowicz Goldsztejn 1891–1918), bolszewik, wcześniej członek Bundu, w 1911 roku skazany za działalność rewolucyjną na zesłanie do Archangielska, w latach 1913–1916 przebywał w Ameryce. Po dojściu do władzy bolszewików komisarz ludowy prasy, propagandy i agitacji. 20 czerwca 1918 roku zastrzelony przez esera Siergiejewa.

<sup>3</sup> Ten sam Kobieczy Batalion Śmierci był wcześniej na froncie, gdzie dawał przykład poświęcenia i odwagi, zawstydzając mężczyzn.

<sup>4</sup> CIK – Centralny Ispołnitelnyj Komitet, Centralny Komitet Wykonawczy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

<sup>5</sup> Oba te przedstawienia rzeczywiście grano wieczorem 25 października 1917 roku w Piotrogradzie. Cztery lata wcześniej Szalapin śpiewał także *Borysa Godunowa* w Maryjskim, w innej inscenizacji. Musiało to być jakimś wyjątkiem od carskiego zakazu.



## **Gatczyna, czterdzieści pięć kilometrów na południowy zachód od Piotrogradu**

Przyjechali od szosy, od wschodu, minęli stawy, jechali alejami parku. Pięćset koni czwórkami tworzyło kolumnę rozciągającą się na ponad sześćset metrów. Krzewy i drzewa mieniły się kolorami jesieni, wiatr niósł liście po zwirowanych ścieżkach. Było późne popołudnie. Niskie słońce lśniło w złoceniach i odbijało się w rzędach okien dwupiętrowej fasady pałacu z kanciastymi wieżami po bokach. Główna część łączyła się dwustumetrowymi łukami oficyn z dwoma ogromnymi czworobokami skrzydeł. Każde miało wewnątrz kwadratowy dziedziniec. Całość tworzyła podkowę okalającą dziedziniec. Lewe skrzydło nazywano kuchennym, prawe – arsenałem.

Karsow wracał ze swoim dywizjonem na front. Odpoczywali zaledwie tydzień. Idiotyczne rozkazy! Sama droga tam i z powrotem wystarczająco zmęczyła ludzi i konie, żeby zdążyli zapomnieć o odpoczynku. Lepiej by odpoczęli, gdyby przez ten czas siedzieli na miejscu. Przecież na froncie od tygodni nic się nie działo.

Karsow nigdy nie był w Gatczynie, lecz przypuszczał, że ogromny pałac musi mieć stajnie, w których powinna się pomieścić przynajmniej część z jego pięciuset koni. No i wystarczająco wiele pomieszczeń, żeby ludzie przenocowali w ludzkich warunkach. Tak, właśnie w takiej kolejności: najpierw konie, a potem ludzie! Człowiek, który czegoś pragnie, do czegoś dąży, wytrzyma wszystko. Koń niekoniecznie.

Pałac, pierwotnie parterowy, został zbudowany w latach sześćdziesiątych XVIII wieku przez Katarzynę Wielką dla jej pierwszego faworyta Orłowa. Car Mikołaj I podwyższył go do dwóch pięter.

Wjechali na plac.

– Dowolnie... z koni!

Dowódcy szwadronów powtórzyli jak echo.

– Dowolnie z koni! Z koni, z koni...

Karsow ruszył do głównego wejścia. Naprzeciw wyszedł wysoki, tęgi mężczyzna. To było miłe zaskoczenie.

– Hrabia Walentin Zubow, jakże się cieszę, co pan tu robi?

– Witam pana pułkownika! Cóż? Los tak sprawił, że jestem tu gospodarzem. Opiekuję się tym wszystkim z polecenia rządu, kataloguję zbiory, przygotowuję do wywiezienia do Moskwy. Na wypadek gdyby mieli tu wleźć Niemcy.

Karsow i Zubow znali się od lat, łączyła ich miłość do sztuki, malarstwa, architektury, rzeźby. Zubow był historykiem sztuki, uczonym i muzealnikiem, twórcą Instytutu Sztuki. Spotykali się na wykładach w Instytucie, na wystawach, na

przyjęciach. Od wybuchu wojny nie widzieli się ani razu. Uścisnęli sobie dłonie.

– Świetnie! Idę na front, wracam właściwie, potrzebuję odpoczynku i noclegu dla ludzi i koni.

Zubow głęboko westchnął.

– Konie się jakoś pomieszczą w stajniach i stodołach na zapleczu, ale tylu ludzi nie zakwateruję. Niech pan wybaczy, ale nie mogę wpuścić żołnierzy do komnat, poniszczyliby wszystko. Mogę przyjąć oficerów. Reszta niech śpi przy koniach. Przyślę rządę gospodarstwa, pokaże co i jak.

Karsow musiał się zgodzić. Jeśli ludzie będą spać pod dachem, to już nie najgorzej.

– Pana, panie pułkowniku, zapraszam na kolację, pańskich oficerów także.

\* \* \*

Jeszcze przed kolacją Zubow oprowadził Karsowa po pałacu. Pułkownik przez trzy lata wojny nie miał prawie żadnej styczności ze sztuką, wytęsknił się.

– Kolacja może poczekać – powiedział.

Oglądali rzeźby, obrazy, porcelanę, meble. Każdą rzecz, na którą patrzył, chłonał z dziecięcą ciekawością. To był świat sprzed wojny, piękny, miniony świat.

– Cudowne, cudowne!

Nie mógł się napatrzyć. Zatrzymali się przy niewielkim obrazie.

– To mój ulubiony – rzekł Zubow. – Założę się, że nie zgadnie pan, kto to namalował.

Karsow patrzył uważnie. Scena była niewątpliwie biblijna. Światło z nieba poraziło brodatego mężczyznę w białej szacie nałożonej na zbroję, idącego połą drogą. Zasłaniał ręką oczy. Na horyzoncie widać było jakieś miasto.

– To Święty Paweł, prawda?

– Tak...

– Głos z nieba pyta: Dlaczego mnie prześladujesz, Pawle?

– Tak, oczywiście, ale kto to namalował?

– Nie mam pojęcia. Kolorystyka i postacie, nawet kompozycja jak u Watteau, ale przecież on nie zajmował się taką tematyką; same sceny zabaw, pikniki na trawie, tańce, rozrywki arystokracji... Nie wiem.

– No, gratuluję! A jednak to właśnie Watteau. To chyba jedyny obraz w jego twórczości o takiej tematyce. Przegrałem zakład, gratuluję!

Przemierzali dziesiątki sal i komnat. Zubow zatrzymał się w jednej z nich, była to niewielka sypialnia.

– To jest sypialnia cara Pawła Pierwszego. No, nie dosłownie ta sama, w której go zamordowano, bo to przecież w Zamku Michajłowskim, ale kiedy bywał w Gatchynie, właśnie tutaj sypiał. No i przeniesiono tu wszystkie meble, które tam wtedy były. Jego łóżko, komoda, nawet buty z cholewami stoją, jak pan

widzi, no i ten parawan, za którym się chował w koszuli nocnej, kiedy spiskowcy włamali się i weszli... Pan wie, że dwaj Zubowowie brali w tym udział? Nie ma się, oczywiście, czym chwalić. Nikołaj Zubow był moim pradziadkiem. Zawsze, kiedy tu jestem, dreszcze chodzą mi po plecach. Widzę to. Jak trzęsącego się ze strachu cara któryś uderza srebrną tabakierą w głowę. Rzucają się na niego, wywracają na podłogę, wykręcają ręce, a kapitan Skariatin dusi szarfą, pasem od szpady. Straszne...

– To prawda, że Paweł Pierwszy był synem króla Polski Poniatowskiego?

– Nie, skądże. Katarzyna Druga poznała Poniatowskiego dopiero po urodzeniu Pawła.

– Ale lubił Polaków, ułaskawił Kościuszkę i tysiące polskich jeńców.

– Tak, to mógł być dobry car, szkoda, że tak krótko panował.

Przeszli kilka komnat dalej. Zatrzymali się naprzeciw niewielkiego drzeworytu Dürera.

– Pan już wie zapewne, co wczoraj wydarzyło się w Piotrogradzie? – spytał Zubow.

– Bolszewicy... wiem. Pyta pan o to akurat przed tą wizją Apokalipsy...

– Właśnie. Długo się utrzymają, jak pan sądzi?

– Mam nadzieję, że niedługo. – Karsow zacisnął zęby, zmienił się na twarzy.

– W listopadzie mają być wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego. Bolszewicy przegrają, i to sromotnie. Tylko czy oni dopuszczą do tych wyborów? Komuniści to zaraza, śmiertelna zaraza, to by była rzeczywiście apokalipsa.

– Obiecują natychmiastowy pokój i ziemię. To są hasła, które mogą im dać poparcie milionów chłopów służących w armii.

– Pokój z Niemcami teraz... To musiałoby oznaczać ogromne straty terytorialne dla Rosji. To by była zdrada. Do nich podobne. A ziemia? Już teraz chłopci wszędzie napadają na dwory i dzielą ziemię. Reforma rolna jest konieczna, ale od tego jest Konstytuanta, to będzie jedno z jej zadań.

Usiedli w fotelach przy oknie.

– Wie pan – mówił Zubow – przypomina mi się zdarzenie sprzed wojny. W trzynastym roku byłem w Paryżu. Majowy wieczór, Café de Rohan naprzeciwko Comédie-Française. Pijemy kawę z Nikołajem Nikołajewiczem Wranglem<sup>1</sup>, dziś już nieżyjącym. I w pewnej chwili on mówi: „Stoimy w obliczu wydarzeń, jakich świat nie widział od czasu wędrówek ludów. Nasza kultura dobiega kresu. Rychło wszystko, czym żyjemy, wyda się światu niepotrzebne. Nadejdzie barbarzyństwo i zapanuje na dziesięciolecia”. Może się nie mylił? – Zubow przerwał na chwilę. – Proszę sobie wyobrazić, wczoraj był tutaj Kierenski. Kończyłem właśnie śniadanie, słyszę jakiś ruch na dworze, wyglądam przez balkon. Premier! Wysiada z samochodu z angielską flagą na błotniku. Z drugiej strony wysiada mój stary przyjaciel, jego adiutant, sędzia pułkownik Knirpsza. Kierenski poszedł do

Sewostinowa, dowódcy tutejszego garnizonu, którego mam nieszczęście także gościć w pałacu, a Knirpsza przyszedł do mnie. Opowiada. Nad ranem premier się zorientował, że w całej stolicy nie ma ani jednego batalionu, który byłby gotów bronić go przed bolszewikami. Tydzień wcześniej mówił, że z łatwością poradzi sobie z nimi, że sił ma na to aż za dużo! Chce dzwonić do komendy głównej w Mohylewie po pomoc, lecz okazuje się, że odcięto telefony, a wszystkie samochody wojskowe przed Admiralicją mają wyjęte świece. Jego auto jest sprawne, ale nie ma benzyny. Knirpsza w przebraniu pędzi do ambasady angielskiej. Wybłągał samochód i właśnie nim przyjechali. Godzinę później ruszyli w stronę Pskowa, szukać jakichś oddziałów gotowych im pomóc przeciw komunistom. Premier... żałosna postać. A był tak uwielbiany przez wszystkich.

– Ci czterej jeźdźcy Apokalipsy... – Karsow przyglądał się drzeworytowi i zamyślił się na chwilę. – To wojna, głód, zaraza i śmierć, prawda?

– Wojnę i głód już mamy, śmierci też nie ma, a zaraza? Może jeszcze przed nami?

– Tutaj mamy grafikę, ale jeśli się nie mylę, przedstawia się zwykle dwa konie<sup>2</sup> jako siwe, jednego wrzonego, a czwartego jako czerwonego, prawda?

– Czasem jako czerwonego, a czasem nazywany jest koniem ognistym.

– Może ten czerwony to komunizm?

– Może. W takim razie jego jeźdźcem byłby Lenin. – Zubow się zaśmiał. – No, w takim przebraniu nie dałoby go się rozpoznać. To byłby Lenin? Nie, nie, to śmieszne, oni nie utrzymają się nawet dwa miesiące. Chodźmy lepiej na kolację.

<sup>1</sup> Nikołaj Nikołajewicz Wrangel (1880–1915), historyk sztuki. Brat generała Piotra Nikołajewicza Wrangla, jednego z dowódców białych w wojnie domowej.

<sup>2</sup> Koń jest w malarstwie rosyjskim symbolem wojny, zagłady i apokalipsy.

## Gołubyje Prudy

Pola majątku Gołubyje Prudy ciągnęły się kilometrami; na południu i na południowym zachodzie aż po horyzont, na wschód do lasu. Minęła połowa grudnia, mróz już od dawna był tęgi, ale dopiero wczoraj spadł pierwszy nieduży śnieg, błyszczał w słońcu. Igor od lat w Petersburgu, w miastach, potem w górzystej Szwajcarii – dawno nie widział tak bezkresnej przestrzeni. Przestrzeń! Dobrze tak iść i oddychać zimnym, rześkim powietrzem, zapomnieć o bolszewikach, o rewolucji, o Leninie. Żyć! Po prostu zwyczajnie żyć, cieszyć się istnieniem, wtopić się w dobrze znany krajobraz, bliski i znajomy od dzieciństwa, czuć ziemię, lasy, pola, zagubić się, zapomnieć, rozplynać w tym wszystkim.

Wstał wcześniej niż zwykle, za kilka dni święta Bożego Narodzenia, szedł zapolować na zające. Dopiero kiedy już był za mostem na rzeczce, spostrzegł, że w pasie na amunicję tkwią tylko dwa naboje. No trudno, nie warto wracać, trzeba strzelać celnie. Wsunął ładunki w lufy, zamknął, dubeltówka na ramieniu. Rozglądał się dookoła i w zasięgu wzroku naliczył kilkanaście ciemniejszych punktów, z których każdy mógł być zającem przycupniętym do ziemi, ale też kamieniem albo grudą zmarzniętej gleby wystającą spod cienkiej warstwy śniegu. Zbliżał się powoli, ostrożnie, do jednego z takich zajęcy lub kamieni. Miał dobry wzrok, opuścił dubeltówkę, bo to tylko zwykły kamień. Jednak w tej chwili kamień ożył i zostawiając za sobą małe chmurki śniegu wyrzucanego skokami, zmykał w stronę dalekiego lasu.

Rozejrzał się. Ruszył do najbliższego ciemnego punktu. Bardzo pomału, wreszcie krok za krokiem, udało mu się zbliżyć na trzydzieści metrów, złożył się. Zając podniósł uszy, zwrócił głowę w stronę Igora i skoczył... nie zdążył... Huknął strzał, szarak przekoziółkował, osunął się na bok. Kilka najbliższych kamieni ożyło i zmykało wielkimi susami. Igor związał sznurkiem skoki zająca, zarzucił na ramię.

Tam na lewo, bardzo daleko, widział dwa punkty oddalone od siebie o kilka metrów. Nie ruszyły się na odgłos strzału. Albo było zbyt daleko, żeby się przestraszyć, albo to kamienie. Szedł powoli w tamtą stronę, co chwilę przystając. Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów, jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt, czterdzieści... No, ten z lewej to na pewno zając! Pomału, krok za krokiem, jeszcze wolniej, jeszcze... Złożył się, strzelił. Jeden wyskoczył w górę i zamarł, drugi uciekał w prawo, w lewo, kluczył, i skręcał, znikł za kępą krzaków. Igor związał tylne nogi drugiego zająca, połączył z pierwszym, przerzucił przez ramię, jeden na plecach jeden z przodu. Mocno ciążyły, duże!

Trzeba było wracać.

Kiedy wchodził na dziedziniec pałacu, usłyszał za plecami warkot samochodu, odwrócił się. Auto minęło go, podjechało pod główne wejście. Trzej

mężczyźni w skórzanych płaszczach wysiedli z auta, rozejrzeli się i ruszyli w jego stronę. Igor od razu wiedział, kim są. Wyjęli rewolwery z kabur. Towarzysze. Musieli trafić na zeznania o Leninie, ofensywie Brusilowa i niemieckich pieniądzech, które złożył przed pułkownikiem Waruszyńskim z kontrwywiadu. Spodziewał się tego, od kiedy komuniści objęli władzę. Od dawna namawiał matkę i księżnę Leontiewą, żeby zostawiły wszystko i uciekały do Europy, na Zachód. Przez Odessę i Morze Czarne lub jakkolwiek inaczej, byle szybko. Ale księżna była już bardzo ciężko chora, dogorywała. Nie wstawała z łóżka, rak krtani ją zabijał. Doktor Stilmann mówił, że zostało jej już niewiele czasu, najwyżej kilka tygodni. Nie można było jej zostawić, musieli zostać, czekać...

Zewsząd dochodziły wiadomości, że chłopci napadają na dwory, zabijają, rabują, dzielą grunty dworskie i palą pałace. Pojechał do Briańska i przywiózł cały wóz karabinów. Rozmawiał z robotnikami rolnymi, masztalerzami, pracownikami warsztatów. Wybrał kilkunastu, którzy wydawali się gotowi walczyć, gdyby przyszli chłopci z towarzyszami z miejscowego sowietu pod czerwonym sztandarem. Rozdał im broń, amunicję, każdemu przydzielił zadanie. Dwa lata temu oddał rewolucji cały swój majątek, a teraz musiał bronić nie tylko pałacu i ziemi, lecz życia swoich bliskich, matki, siostry i ciotki.

– Jak się udało polowanie? – pytał idący mu naprzeciw, uśmiechnięty mężczyzna z rewolwerem. Jesteśmy z Czeka, Czriezwyczajnej komissiji po bor'bie s kontrewolucyjej i sabotażom.

Igor nie wiedział jeszcze o utworzeniu Czeka. Powstała zaledwie kilka dni wcześniej.

– O, słabo, słabo, tylko dwa zające... No, a nam polowanie się udało, towarzyszu Niesłuchow. Towarzyszu zdrajco! – Delektował się tym „towarzyszem”.

Wyrwali mu dubeltówkę, skuli ręce za plecami i wepchnęli do auta.

– Idziemy – powiedział najstarszy.

Zostawili Igora w samochodzie z kierowcą i we trzech szli szerokimi schodami do wejścia. Larysa, Nadieżda i Tatiana Leontiewa usłyszały ich, dopiero kiedy z trzaskiem otworzyły się na piętrze drzwi sypialni starej księżnej. Lara i Nadieżda czytały, siedząc przy kominku, Tatiana robiła na drutach, stara księżna drzemała.

– Wasz Igor został aresztowany – powiedział starszy czekista. – To zdrajca i wróg ludu. A my w imieniu władzy radzieckiej dokonamy konfiskaty mienia aresztowanego. Gdzie trzymacie kosztowności? Bizuterię, złoto, pieniądze?

Patrzyły na nich zdumione, nie odzywały się.

Wyjęli rewolwery.

– No, gdzie pieniądze?!

Do sypialni weszła pokojówka, zamarła zdumiona, nie rozumiała, co się

dzieje. Jeden chwycił ją z tyłu za włosy i przygiął do ziemi. – Gdzie pieniądze i biżuteria? Gdzie macie sejf? Mów, swołocz, bo zabiję!

– Tam, za ko... mo... dą – wyjęczała pokojówka.

Popchnął ją, aż przewróciła się na dywan. Odsunęli komodę.

– Gdzie klucze?

– Pani zawsze miała pod poduszką.

Podszedł do obudzonej już księżnej, wyszarpnął jej poduszkę spod głowy, wziął klucze, otworzył sejf. W środku były tylko dwie paczki banknotów, może kilkaset rubli.

Zdenerwowali się. Starszy podszedł do łóżka i przyłożył lufę rewolweru do głowy księżnej.

– Mów, gdzie reszta – zwrócił się do Nadzieży. – Jak nie powiesz, zabiję.

– Nie wiem, nie wiem, gdzieś zakopane, ale nie wiem gdzie. – Nadieżda Niesłuchowa trzęsa się ze strachu, była gotowa wydać wszystko, byle ratować ciotkę, byle ujść z życiem.

– To kto wie?

Nie odpowiedziała.

– Dawajcie tutaj Niesłuchowa – rozkazał starszy czekista.

Po chwili przywlekli Igora i popchnęli na ziemię. Klęczał na podłodze z rękami skutymi za plecami.

– Gdzie pieniądze, gdzie kosztowności?

– Nic nie ma, wszystko zdeponowane w banku – powiedział.

– Łzesz, suczysynu, mów, gdzie pieniądze!

– Rozwalimy ci matkę i siostrę, jak nie powiesz. – Jeden przyłożył lufę pistoletu do głowy Nadzieży, drugi celował w Tatianę.

Stara rewolucjonistka była oburzona:

– Ty gówniarzu! Wiesz, kogo napadłeś? W tysiąc dziewięćset szóstym roku zastrzeliłam cara. To ja! Tatiana Leontiewa, z Organizacji Bojowej eserów. Ty, bandyto, śmiesz nam grozić?

Zaśmiał się:

– Wariatka, czy co? – Wycelował pomału.

– Ty złodzieju! Pachołku Lenina...

Strzelił. Tatiana osunęła się na fotel. Z małej rany na czole popłynęła strużka krwi. Siedziała z głową opadłą na bok i otwartymi oczami, nie żyła.

– Wszystko powiem. Wszystko! – Igor krzyczał przerażony. – Złoto i biżuteria zakopane w parku pod altanką koło stawu, pokażę.

Kilkanaście minut później nieśli do auta małą walizkę pełną złotych monet i biżuterii. Byli zadowoleni, było tego bardzo dużo. Igor też był zadowolony, bo znaleźli tylko mniejszą część. Do głowy im nie przyszło, że brylanty i resztę złota zakopał gdzie indziej. Weszli jeszcze do pałacu, wynieśli kilka ikon zdobionych

srebrem i drogimi kamieniami, pościgali kobietom pierścionki, broszki, naszyjniki. Zabrali nawet obrączki pokojówkom i zegarki lokajom.



## Piotrogród

Dwaj strażnicy prowadzili Igora długim korytarzem Sztabu Generalnego na drugim piętrze. Ten sam korytarz, to samo miejsce, gdzie składał zeznania przed pułkownikiem Waruszyńskim. Nic się tutaj nie zmieniło. Czeka była w stanie organizacji, tymczasowo z siedzibą właśnie tutaj. Spostrzegł nadchodzącego z przeciwka Moisieja Urickiego. Stary przyjaciel już z daleka uparcie odwracał głowę w stronę mijanych okien. Udawał, że nie widzi.

Wprowadzili go do pokoju sąsiadującego przez ścianę z gabinetem byłego szefa kontrwywiadu. Takie same meble, dywan, te same krzesła i fotele. Tylko na ścianie za śledczym portrety Marksa i Engelsa. Twarz przesłuchującego wydała mu się znajoma, musiał gdzieś go widzieć, nie mógł sobie przypomnieć.

Spisali personalia, w kącie maszynistka stuknęła w klawisze.

– Kto jeszcze oprócz was brał udział we wrogim spisku przeciw rewolucji i towarzyszowi Leninowi?

Igor się zdziwił. Nie łudził się, musieli mieć protokół zeznań złożonych Waruszyńskiemu, lecz właśnie znając go, powinni wiedzieć, że nie było żadnego spisku, że to jego własna, indywidualna inicjatywa.

– Nie było żadnego spisku, sam poinformowałem kontrwywiad o zdradzie Lenina.

– Kłamaliście podle o rzekomych niemieckich pieniądzach i planach ofensywy. I kłamiecie teraz.

– Nie kłamię, przecież wiecie...

– Kto wam wydawał rozkazy, komu służyliście?

– Nikt, to nonsens, nie było spisku i nikt mi nie wydawał rozkazów.

– Musiał być spisek i albo to ujawnicie, albo zajmą się wami fachowcy od wydobywania zeznań, Igorze Niesłuchow. – Śledczy zapalił papierosa, wypuścił kłęb dymu, podszedł bliżej i mówił, starając się przybrać przyjazny ton. – Po co to wam? Nie zaprzeczajcie rzeczom, które są oczywiste. Jak nie zmadrzejecie, to przyjdą tacy, co lubią zrywać paznokcie. Po co to wam? Jesteście przecież rozsądnym człowiekiem. Musimy dotrzeć do waszych współników. I dotrzemy, zapewniam was.

– Ale ich nie ma, nie istnieją!

– To ich stworzymy! No, dość. – Pozbierał papiery z biurka, skinął na protokolantkę i oboje wyszli.

Igor został sam. Nie czekał długo. Do pokoju weszło czterech. Młodzi, twarze nawet nie proletariackie – raczej prostackie, jeden się uśmiechał. Chwycili go za ramiona, twarz przycisnęli do biurka, wykręcili ręce, zamknęli usta kneblem ze śmierdzącej szmaty. Jeden zaczął obciążkami zrywać Igorowi paznokcie

z środkowego palca prawej dłoni. Ból go poraził, charczał przez knebel, dławił się. Zdzierali jeden paznokieć po drugim.

– No, zobaczmy – rzekł ten z obcęgami.

Wyjęli mu szmatę z ust.

– Będziesz mówił?

– Będę, będę. – Igorowi łzy leciały z oczu, krztusił się i smarkał. Ślina ciekła mu z ust, spazmatycznie, gwałtownie kaszłał. Błat biurka był umazany krwią.

Zostawili go tak i wyszli.

Po chwili wrócił śledczy z protokolantką. Igor mówił, wymieniał nazwiska, pseudonimy, adresy, daty. Wszystko to było całkowicie zmyślane. Tacy ludzie nie istnieli. Chcą stworzyć spis, niech mają! Zyskiwał trochę czasu i odpoczynku.

Wieczorem odesłali go do celi. Było zimno i wilgotno. Skulił się na pryczy, wypił trochę wody i czuł, jak ogarnia go gorączka. Roili mu się rozległe białe przestrzenie, pola i łąki Gołubych Prudów. Jak było pięknie!

Dwa dni nie wzywano go na górę. Trzeciego dnia zaprowadzili do śledczego. Obok niego za biurkiem stał Dzierżyński. Igor kiedyś z nim rozmawiał, poznał przelotnie.

– Więc nic? Same wymysły? – spytał Dzierżyński.

– Nic – odpowiedział śledczy.

– Wytlumacz mi, Niesłuchow! Co się z tobą stało? – Dzierżyński usiadł i zapalił papierosa. Zaciągnął się mocno i głęboko. – Oddałeś partii cały swój majątek, współpracowałeś z towarzyszem Włodzimierzem Iljiczem, a tu nagle idziesz do kontrwywiadu i zmyślasz takie fantastyczne historie. Jak to, o co tu chodzi?

Igor nie wiedział, co powiedzieć. Przecież obaj musieli doskonale rozumieć, że niczego nie wymyślił. Musieli wiedzieć, że mówił prawdę. Milczał.

– No to kulka w łeb, zdrajco! – rzekł Dzierżyński. – Nie powiesimy cię, bo w przeszłości miałeś jednak jakieś zasługi dla rewolucji. Doceniasz to?

– Jak to, tak bez sądu? Bez wyroku?

– Rewolucyjne sądy są przeciążone, nie nadążają. Jako komunista i marksista, nawet jako były komunista i marksista powinniście wiedzieć, że rewolucyjna sprawiedliwość nie potrzebuje form biurokratycznych.

\* \* \*

Poprowadzili go długimi korytarzami i schodami na dół. Nie wiedział, czy to już. Zatrzymali się na chwilę w piwnicy koło jakichś drzwi. Wyjrzał z nich zaspany młody człowiek w podkoszulce w niebieskie paski.

– Towarzysz Dzierżyński zatwierdził – powiedział jeden ze strażników.

– Już idę. – Młody człowiek jeszcze chwilę się zbierał. Chwycili go teraz mocno za ręce i stopień po stopniu sychali w dół, mimo że opierał się z całych sił.

Igor zaczął się modlić. Z trudem przypominał sobie dawno niewymawiane słowa: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo...”

Usłyszał szcęk odciąganego zamka pistoletu.

\* \* \*

Teatrem Maryjskim kierował teraz komitet partii. Jego sekretarzem został starszy maszynista sceny. Dyrektor musiał z nim uzgadniać repertuar. Nadal grano klasykę, lecz także opery tworzone przez twórców ludowych, robotników i chłopów z Sekcji Sztuki Domu Kultury Proletariackiej. Były to koszarne twory propagandowe. Katia musiała zagrać i zaśpiewać rolę robotnicy analfabetki, która dzięki komunistycznej władzy uczy się czytać i zostaje brygadzystką, przodownicą pracy. A następnie sama uczy czytać i pisać oraz uświadamia klasowo młodych wieśniaków, którzy przybyli do miasta do pracy w fabryce.

Pensje artystów zostały zrównane z zarobkami obsługi technicznej.

Bilety bolszewicy rozprowadzali po fabrykach bezpłatnie i na widowni już prawie nie widać było inteligencji. Katia, która kiedyś tak pragnęła śpiewać dla biednych, teraz ciężko to znosiła. Robotnicy przychodzili całymi rodzinami, palili i jedli na widowni, głośno rozmawiali, wymyślali aktorom grającym role tych złych, a nawet próbowali ingerować w akcję na scenie, często nie rozumiejąc, że nie jest to realne życie.

W piętnastu pokojach pałacyku Katii, po pięć na każdej kondygnacji, zamieszkało piętnaście rodzin robotniczych dokwaterowanych zgodnie z dekretem o zagęszczeniu mieszkań. Katia z Nastią i Jankiem zajmowali tylko jeden duży pokój na poddaszu, na szczęście z łazienką obok.

Na korytarzach suszyło się pranie, w piwnicy ludzie hodowali króliki, całe stada dzieci biegały i hałasowały, na fortepianie w salonie kobiety prasowały ubrania. Komitet domowy wyznaczał dyżury sprzątanania, a i tak wszędzie było strasznie brudno. Komitet wezwał Katię, żeby kupiła opał dla całego domu, i uznał, że żaden czynsz jej się nie należy. Kobiety kłóciły się o używanie kuchni, mężczyźni pili, bili żony i dzieci.

Któregoś dnia Katia spotkała na ulicy doktora Stütza – odgarniał śnieg w grupie kilkunastu inteligentów pod nadzorem robotnika z czerwoną opaską na rękawie.

– Popełniłem wielki błąd, zrezygnowałem z pracy w szpitalu, żeby skupić się na własnej praktyce – powiedział. – Teraz nie ma mi kto dać wpisu w książeczce, że pracuję. No i jestem wyzyskiwaczem, bo zatrudniam pielęgniarkę i położną. Wzięli mnie z ulicy, może będę tutaj nawet i do wieczora, a tam pacjentki czekają i nie mam jak ich zawiadomić.

– Oczywiście pójdę do pańskiego domu i zaniosę wiadomość.

KALENDARIUM

## 1917 rok

Styczeń – prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson składa propozycje pokojowe dla Europy.

25 lutego – rozpoczyna się rewolucja w Rosji. Powstaje pierwszy rząd zależny tylko od Dumy Państwowej.

16 marca – abdykuje car Mikołaj II.

2 kwietnia – Stany Zjednoczone przystępują do wojny po stronie ententy.

9 kwietnia – zaczyna się angielsko-niemiecka bitwa pod Arras.

4 czerwca – zaczyna się formowanie wojsk polskich we Francji.

22 czerwca – Piłsudski i Sosnkowski zostają aresztowani i internowani w twierdzy w Magdeburgu.

15 października – umiera Mata Hari, holenderska tancerka fałszywie oskarżona o szpiegostwo na rzecz Niemiec i rozstrzelana.

7 listopada (25 października) – bolszewicy przejmują władzę w Rosji.

20 grudnia – powstaje Czecha.

22 grudnia – rozpoczynają się pokojowe rokowania komunistycznej Rosji z Niemcami w Brześciu.

## Piotrogród

5 stycznia Katia i Larysa szły obejrzyć inaugurację Zgromadzenia Narodowego. Pokładano w nim całą nadzieję. Odbierze władzę komunistom, wyłoni nowy rząd, zaprowadzi porządek. Był słoneczny, niezbyt mroźny dzień, śnieg na ulicach już ubity, zamieciony w przymy. W południe z Pola Marsowego w stronę Pałacu Taurydzkiego wyruszyły tłumy, by manifestować poparcie dla Konstytuanty. Zebrało się co najmniej sto tysięcy ludzi. Szły z tłumem ulicą Czajkowskiego. Kiedy mijaly kolejne przecznice, widziały, że ludzie ciągną też nad Newą, równoległą ulicą Wojnowa. Panował nastrój nadziei, ale i napięcia, bo komuniści ogłosili w stolicy stan wojenny, zakazali wszelkich wieców i manifestacji.

Miasto było pełne pieszych i zmotoryzowanych patroli Czerwonej Gwardii. Zapanowała moda na czarne skórzane płaszcze i kurtki. Taśmy naboju przez ramię, na rękawach czerwone opaski, karabiny z bagnetami. Czarne skórzane czapki z daszkiem.

Larysa przyjechała do Piotrogradu jeszcze przed sylwestrem, zaraz po pogrzebie ciotki Tatiany. Przywiozła straszne wiadomości. Poszły obie do Wodopjanowa, prosiły, żeby próbował pomóc Igorowi, żeby się chociaż dowiedział, dlaczego go aresztowano. Wynajęły adwokata.

– Zdradził towarzysza Lenina i sprawę rewolucji – powiedział Paweł, kiedy wrócił od Dzierżyńskiego. – Został skazany i rozstrzelany, i tak nie mógłbym nic pomóc.

– Boże! Jak to skazany? Odbył się jakiś proces?

– Nie wiem, pewnie w jakimś przyspieszonym trybie. Podobno jeszcze przed październikiem poszedł do kontrwywiadu i naopowiadał jakichś niestworzonych historii, że Lenin brał pieniądze od Niemców, a nawet zdradził im plany ofensywy Brusilowa. Chyba zwariował!

Bolszewicy sromotnie przegrali wybory. Przy wysokiej frekwencji, 41,6 miliona, wybrano 715 deputowanych, wśród których znalazło się tylko 175 bolszewików. Eserzy zdobyli 370 mandatów, lewicowi eserzy – 40, mienszewicy – 15, ludowi socjaliści – 2, kadeci – 17, niezależni – 1, mniejszości narodowe – 86.

Katia głosowała na kadetów, Konstytucyjnych Demokratów. Larysa wahała się, czy ma oddać głos na eserów czy na mienszewików. Zagłosowała w końcu na mienszewików. Pierwszy raz w życiu głosowały; pierwsze prawdziwe, demokratyczne wybory. Rosja była pierwszym krajem w Europie przyznającym prawa wyborcze kobietom. Wielkie, ważne przeżycie! Od kiedy ogłoszono wyniki, przegrani robili wszystko, żeby ten werdykt ludu podważyć lub całkiem unieważnić. Nie było nawet pewne, czy Zgromadzenie Narodowe w ogóle zostanie

zwołane. Bolszewicy teraz głosili, że Rady Delegatów są wyższą formą demokracji niż parlamentaryzm. Czekał Dzierżyńskiego aresztowali posłów, przywódców partyjnych. W więzieniu Twierdzy Pietropawłowskiej znaleźli się kadeci, eserzy, mienszewicy, między innymi Awksentiew, Gotz, Sorokin i Argunow, przywódcy rad chłopskich. Trzeba było wypuścić na wolność kryminalistów, bo w twierdzy, jak za cara, nie mieścili się już polityczni. Nie udało się schwycić mienszewików Ceretelego i Dana, a także przywódcy eserów, Czernowa.

Bolszewicy uzyskali większość w Piotrogradzie i Moskwie, lecz wieś niemal w całości głosowała na eserów. Chłopskie wspólnoty podejmowały decyzję, którą partię poprzeć, i według tego głosowali wszyscy. Wieś mimo obietnicy nadania chłopstwu ziemi nie poparła bolszewików. Nie wierzyła im.

Katia i Larysa szły coraz wolniej w gęstniejącym tłumie. Obok kilku marynarzy. Śpiewali nowy tekst na starą popularną melodię:

*Kocha klasa robotnicza, to nie bajki,  
Lenina, Trockiego i resztę tej szajki.*

A po chwili dalej:

*Powiesi klasa robotnicza, to nie bajki,  
Lenina, Trockiego i resztę tej szajki.*

Jeden z marynarzy mrugnął porozumiewawczo do Katii:

– Jeżeli zdradzą rewolucję...

Pochód ciągnął się na kilkaset metrów. Kiedy jego czoło dotarło do skrzyżowania z Litiejnym Prospektem rozległy się dobiegające stamtąd wystrzały.

– Co to? – zdziwiła się Larysa. – Strzelają na wiwat?

W narastającym zamieszaniu rozlegają się kolejne strzały, potem serie z broni maszynowej. Tłum faluje i zatrzymuje się. Ktoś zaczyna krzyżeć: „Strzelają do nas, strzelają, uciekajcie!”. Larysa nie może uwierzyć. Jednak po chwili wśród tych, którzy ulegli panice i zawrócili, pojawiają się ranni. Jedni biegną, innych niosą towarzysze. Krew plami śnieg na ulicy. Ktoś woła: „Strzelają z dachów!”, ktoś inny: „Zabili robotników! Ludzie! Bolszewicy strzelają do robotników!”.

Rannych jest coraz więcej. Strzelano gdzieś bardzo blisko, z okien sąsiednich domów, z dachów.

Śnieg pokrywają rzucone w popłochu szturmówki i transparenty z napisami: „Niech żyje Zgromadzenie Narodowe!”, „Niech żyje rewolucja i demokracja!”. Na powiązanych w nosze czerwonych sztandarach ludzie niosą ciała zabitych. Katia i Larysa przyglądają się temu przerażone.

– Jak w „krwawą niedzielę” w tysiąc dziewięćset piątym roku – mówi Lara.

– Strzelają do pokojowej demonstracji. Bolszewicy!

– Jak w „krwawą niedzielę”! – powtarza jak echo Katia. – Jak w „krwawą niedzielę”...

Strzały odzywają się gdzieś bliżej, ludzie rzucają się do ucieczki, jakiś bardzo gruby mężczyzna wpada na Katię i przewraca ją.

Kiedy Katia podnosi się i otrzępuje, widzi, że obok pod murem leży Larysa. Chce pomóc jej wstać.

– Wstawaj, Lara, wstawaj. – Ciągnie ją za rękę, ale siostra jest dziwnie bezwładna. Straciła przytomność? Katia odwraca ją na plecy i widzi czerwoną plamę na płaszczu na piersi. Lara nie żyje. Katia klęczy na śniegu, niczego nie widzi, nie słyszy, ledwie do niej dociera, co się stało. Ludzie gdzieś zniknęli, uciekli, dookoła pusto. Ucichło.

\* \* \*

Następnego dnia gazety relacjonowały przebieg obrad Zgromadzenia Narodowego. Tytuły bolszewickie pisały nawet o przemówieniach posłów, którzy w tym czasie z całą pewnością siedzieli w więzieniu. W sali było niemal tyle wojska co deputowanych. Czerwonogwardziści pili wódkę, zakrzykiwali obradujących, niektórzy świetnie się bawili, celując z karabinów do członków prezydium. Padł strzał, na szczęście niecelny.

Tym razem to bolszewicy na znak protestu opuścili obrady. Od tej chwili nikt już nie miał wątpliwości co do dalszych losów Konstytuanty. Zgromadzenie Narodowe próbowało uchwalić dekryty o pokoju i ziemi. Jednak o czwartej nad ranem do prowadzącego sesję Czernowa podszedł marynarz anarchista Żeleznikow. Poklepał go po ramieniu i oświadczył, że ma skończyć obrady, bo straż jest zmęczona.

– Członkowie Zgromadzenia Narodowego też są zmęczeni – odparł Czernow – ale nie powstrzyma nas to od uchwalenia praw, na które czeka cała Rosja.

Żeleznikow skinął na swoich i straż ruszyła z krzykiem i z bagnetami w stronę prezydium, więc Czernow zgodził się odroczyć obrady do południa.

Jednak w południe nikt już nie został wpuszczony do Pałacu Taurydzkiego. Rada Komisarzy Ludowych, Sownarkom, wydała dekret o rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego. Rząd, który w każdym normalnym kraju podlega parlamentowi – rozwiązał parlament!

9 stycznia, dokładnie w trzynastą rocznicę „krwawej niedzieli”, odbywał się pogrzeb dziesięciu ofiar masakry. Tłumy odprowadziły zmarłych na ten sam Cmentarz Piskariewski. Rannych było ponad sto osób.

Maksym Gorki, który widział zarówno „krwawą niedzielę” w 1905 roku, jak i zabitych i rannych 5 stycznia 1918 roku – bardzo już rozczarowany do rewolucji – pisał w „Nowej Żyzni”:

**5 stycznia 1918 roku nieuzbrojona demokracja Petersburga - robotnicy fabryczni i pracownicy umysłowi - demonstrowali pokojowo na rzecz Zgromadzenia Konstytucyjnego. Przez niemal sto lat najznakomitsi Rosjanie**

żyli ideą Zgromadzenia Konstytucyjnego. Rzeki krwi przelano na ołtarzu ofiarnym tej idei, a teraz „komisarze ludowi” wydali rozkaz strzelania do demokracji, która w imieniu tej idei demonstrowała. I tak oto 5 stycznia nieuzbrojonych robotników Piotrogradu położono trupem. Zgładzono ich z zasadzki, przez szczeliny w ogrodzeniach, w sposób tchórzliwy, tak jak czynią to zawodowi mordercy...



## Gołubyje Prudy

Chłopi gromadzili się w Łukiszkach, koło kapliczki na rozstaju. Przed zmrokiem zeszło się już ze czterystu i wciąż przychodzili nowi. Schodzili się milczkiem, ponuro, z siekierami, drągami, widłami. Kilku miejscowych dezertersów z karabinami, baby z workami i postronkami. Nawet one niewiele mówiły. Na dachu kapliczki zatknęli czerwony sztandar. Mróz. Stali w ciszy, przytupując. Tylko przewodniczący wiejskiej rady delegatów chłopskich, od niedawna członek partii bolszewików, co chwilę zachęcał:

– Do nas, towarzysze, do nas, chodźcie. Trza burżujom wymierzyć sprawiedliwość! Trza brać ziemię i dobytek. Grabić zagrabione, to nie grzech, to sprawiedliwość. Znacie dekret o ziemi? Ziemia burżujów teraz jest wasza. Możecie ją dzielić i brać!

Powtarzał co chwilę te same kilka zdań, jakby tylko tyle nauczył się na pamięć.

Misza Konopiakin poszedł z siekierą. Żona nie chciała go puścić.

– Po co ci? Mało mamy? Jesteśmy najbogatsi w całej wsi. Ziemia nasza własna, uczciwie spleacona. Ojciec by nie pozwolił. Po co ci więcej? Nawet nie miałbyś kim jej obrobić. A dziedziczka, panienka Katia, tyle nam pomagała! Sprowadzała doktora, leczyła, uczyła pisać i czytać...

Stary Jurko zlązł z pieca, zagroził Miszy drogę.

– Siedź w domu! Głupi...

Nastia chwyciła męża za rękę, próbowała zatrzymać. Wyszarpnął się i poszedł.

Zmierzchało już, kiedy ruszyli. Tłum kilkuset mężczyzn i kobiet. Przewodniczący rady z czerwonym sztandarem. Z daleka jaśniały rzędy okien pałacu. Było tam oświetlenie olejowe, z jakiegoś powodu akurat teraz we wszystkich oknach błyszczało światło.

Pałac był pusty. Już w południe wszyscy wiedzieli, co się szykuje. Ci, których Igor uzbroił w karabiny, uciekli pierwsi. Większość z nich przyłączyła się do tych pod kapliczką.

W wielkiej sypialni na drugim piętrze przy łóżku starej księżnej siedziała Nadieżda, a po drugiej stronie jej sześćdziesięcioletnia garderobiana Kławdia. Lokaj Maksym dorzucał drwa do kominka. Stara księżna była już nieprzytomna. Oddychała, świszcząc. Słychać było na zmianę raz idący gdzieś głęboko z płuc charkot, raz przerywany, świszczący oddech.

– Pomódlmy się – powiedziała Nadieżda.

Uklękli przed ikoną Chrystusa, ostatnią ocalałą po napaści czekistów.

Nadieżda czytała litanie, a Kławdia i Maks powtarzali:

– Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami...

Pierwszy, który stanął w drzwiach, zatrzymał się na chwilę zaskoczony. Przeżegnał się. Ale inni wpadli, nie patrząc, wepchnęli go do pokoju. Bracia Baraszkinowie, czterej, wszyscy mali i chudzi, z włosami jasnymi jak len, rzucili się na obie kobiety. Broniły się rozpaczliwie. Jeden trzymał, drugi zadzierał suknię i gwałcił. Potem zmiana. Ktoś inny zerwał ze ściany ikonę, schował za pazuchę. Najmłodszy Baraszkin skończył, zapiął spodnie, wziął widły porzucone na ziemi i wbił je Nadzieździe Niesłuchowej w pierś. Zdenerwowało go, że jęczy i że jeszcze żyje. Wbijał i wyciągał, wbijał i wyciągał. Aż ucichła.

Kławdię obdartą z ubrania zaciukali siekierami. Dywan zalany był krwią. Stara księżna uniosła się w pościeli, patrzyła przez chwilę przytomnie i opadła na poduszki. Patrzyła w sufit niewidzącymi otwartymi oczami. Misza Konopiakin zdjął jej z szyi złoty łańcuszek z medalionem. Ostrożnie, żeby nie zerwać.

Ze stajni i obór wyprowadzali konie i bydło. Wiązali postronki do kantarów, wiązali do krowich rogów, okręcali świniom wokół szyi. Ciągnęli na dziedziniec. W kuchniach i kredensach kobiety napełniały worki srebrną zastawą stołową, sztućcami, garnkami. Podłogi zasłane były potłuczoną porcelaną.

Wyciągali wozy i bryczki z wozowni, zaprzęgali konie i ładowali meble, dywany, ubrania, pościel z wyhaftowanymi herbami. Na koniec w kilku miejscach podłożyli ogień. Nagły huk targnął powietrzem, aż podniósł się dach. Wybuchł zbiornik oleju do oświetlenia.

Płomienie szybko ogarnęły parter, a potem piętro, wystrzeliły przez dach. Zapaliły się zabudowania gospodarcze, spichrze, stajnie, stodoły, płonęły stare kasztany rosnące najbliżej pałacu. Zaczerwieniło się niebo. Dym i wielka łuna unosiły się nad Gołubymi Prudami.

## Zakopane

Doktor Brzezińska miała nieduże mieszkanie na poddaszu. Sufit skośny i okna wysunięte na zewnątrz dachu pod wykuszami.

– Miałam do wyboru te dwa pokoiki albo ładne trzypokojowe mieszkanie na piętrze – powiedziała. – Wybrałam to, ale niech pan popatrzy.

Odsunęła firanki. Pod niebem rozświetlonym księżycem zbliżającym się do pełni, widać było Giewont i piękną panoramę gór. A wysoko nad nimi tysiące dalekich gwiazd.

– Okna tego drugiego mieszkania wychodziły na miasto – dokończyła.

Spotkał ją pół godziny temu, znowu w bibliotece.

– Zapraszam na herbatę. – Uśmiechała się promiennie.

Pokazał jej obrączkę na palcu:

– Jestem żonaty, mam nawet synka.

– Nie słyszałam, żeby żonатыm mężczyznom nie wolno było pić herbaty. Muszę z kimś porozmawiać. – Zarumieniła się. – Jestem od dawna bardzo samo... osamotniona. Bardzo proszę. Zrobi pan dobry uczynek.

Siedział w fotelu przy niewielkim stoliku. Ona krzątała się w kuchni, on wstał, rozglądał się po pokoju. Było dużo książek, kilka regałów, portret starszego mężczyzny w austriackim mundurze oficerskim i rękojeścią szabli pod pachą, jednak z laboratoryjnymi akcesoriami w tle i z dedykacją: *Mojemu przyjacielowi, doktorowi Wilhelmowi Schmidtowi – Jerzy Mehofer*. Na komodzie stała duża fotografia roześmianego blondyna na stromym stoku, na nartach, opartego na kijkach. Za nim daleka i zasnutą mgłą – panorama gór.

Weszła do pokoju z tacą.

– To mój mąż, słyszał pan może...

– Słyszałem...

– A to ojciec, także już nieżyjący. Mama w tysiąc dziewięćset dwunastym... na raka. Ojciec strasznie cierpiał, kiedy umierała, nie mógł jej pomóc, wyleczyć. Zmarł dwa lata później, chociaż miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata i był zupełnie zdrowy. Po śmierci mamy starzał się w przerażającym tempie. Jakby miesiące były latami. Któregoś dnia położył się zdrzemnąć po południu i umarł we śnie.

– Nie ma pani rodzeństwa?

– Jestem jedynaczką. Mama była jedynaczką i ojciec też, więc nie mam nikogo. Żadnych krewnych. Pana żona i synek są w Krakowie?

Opowiedział, jak rozdzieliła ich wojna, jak krótko się znali i jak niewiele zdążyli być ze sobą.

– To bardzo smutne – powiedziała. Postawiła na tacy butelkę wina i kieliszki. – Wypijemy bruderszaft?

Podnieśli kieliszki, pocałował ją w policzek. Poczł zapach jej włosów, pachnącego mydła i dobrych perfum. Znów się zarumieniła, czuł na twarzy bijące od niej ciepło.

– Jan.

– Irena, Rena.

Zamyśliła się. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Potem wstała i szukając czegoś na półkach z książkami, mówiła:

– To strasznie smutne, co mi powiedziałeś o żonie i synku. To mi coś przypomina. Ja także byłam z mężem tylko trochę ponad rok. Coś ci przeczytam. – Znalazła tom „Chimery”, kartkowała. – Jesteśmy już na „ty”, prawda? To właśnie Lesman, mój ulubiony poeta. Wiersz o dwojgu młodych. Spotkali się, pokochali i jakoś tak się złożyło, że od razu musieli się rozstać na bardzo długo. A kiedy wreszcie znów się spotkali, ciężko zachorowali i pomarli. A tak się to kończy:

– Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą,

Ale miłość umarła, już miłości nie było.

I pokłękli spóźnieni u niedoli swej proga.

Czytała coraz wolniej, co chwilę spoglądając na Jana.

– By się modlić o wszystko, lecz nie było już Boga.

Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata,

By powrócić na ziemię...

Przerwała na chwilę, milczała, wreszcie dokończyła:

– Lecz nie było już świata<sup>1</sup>.

Zamknęła pismo.

– Nigdy w życiu nie czytałam niczego smutniejszego. Bardziej pesymistycznego. Ale czy to nie jest prawdziwe?

– No tak. – Jan był poruszony i przygnębiony. – Rzeczywiście, nie ma już świata, naszego świata sprzed wojny. Ale Bóg? Wierzę, że Bóg istnieje, że przeżył. Nie! Moje życie nie może się tak potoczyć. Wojna kiedyś wreszcie musi się skończyć, znów będę z Katią i zobaczę synka. Na pewno!

– Tak, tak, na pewno będziecie jeszcze razem i będziecie szczęśliwi – powiedziała. Wzięła jego dłoń i przyłożyła sobie do policzka. – Ale teraz chodźmy.

– Pociągnęła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

– Nie, nie... – mówił. Ale nie potrafił jej się oprzeć.

\* \* \*

Później poczuł się podle jak nigdy w życiu. Pierwszy i ostatni raz! Nigdy więcej, nigdy! Przysięgał sobie, że już nigdy. Ale wieczorem znów był na poddaszu. To było słodkie i odurzające, zapominał o całym świecie, żył w jakimś amoku. Powtarzał jej, że jest żonaty, że nic z tego. Smutniała wtedy.

– Wiem, wrócisz do niej. Ale to kiedyś, jeszcze nieprędko – mówiła. – Teraz

jestemy razem i nie chcę o tym myśleć. To tylko romans, lecz przecież taki cudowny, musisz przyznać! Jak będziesz musiał odejść, to odejdiesz. Nie będę cię zatrzymywała.

Jan widział, że Rena jest zakochana. Nie mógł tego nie widzieć.

Wtedy przyszła od Władka z Borowic paczka listów od Katii. Larysa zginęła zastrzelona w czasie styczniowej demonstracji, Igor aresztowany i zamordowany w piwnicach Czeka. Katia nie wie, co się dzieje w Gołubych Prudach. Po zamachu bolszewików nie zawsze działa poczta. Coraz bardziej się niepokoi o matkę i ciotki, musi tam pojechać.

To go ocuciło, przywróciło rzeczywistości. Brakowało jeszcze dwóch tygodni do końca kuracji w sanatorium, lecz spakował się i wyjechał, najpierw do Borowic, a potem do Berlina. Dalej chciał jechać do Hamburga, wysłać list.

Wyjechał bez pożegnania. To świństwo, ale trudno. Bał się, że jeśli pójdzie się pożegnać, ona go zatrzyma – chociaż na dzień albo dwa... Nie! Może czasem trzeba zrobić coś podłego, żeby nie zrobić czegoś jeszcze gorszego.

Do Poznania dostał się bez przygód. Lecz w Berlinie na dworcu natknął się na patrol wojskowy. Nie miał dokumentów zezwalających na podróż, został zatrzymany i odstawiony do aresztu.

Kilka dni był przesłuchiwany jako podejrzany o szpiegostwo na rzecz Rosji. Potem znaleziono kogoś, kto znał rosyjski i przetłumaczył listy do Katii. Doszukiwano się w nich jakiegoś szyfru. Miał szczęście. Któregoś dnia do pokoju przesłuchań wszedł podpułkownik Joerke. Od razu poznał Jana. Znali się z zawodów w Berlinie. Razem, *ex equo*, wygrali wtedy konkurs sześciu barier.

– Poręczę za pana – powiedział. – Mam nadzieję, że oskarżenie o szpiegostwo zostanie wycofane. Ale przekroczenie granicy bez dokumentów, w czasie wojny... Nic nie poradzę.

Kilka dni później został skazany w trybie przyspieszonym na piętnaście miesięcy więzienia za nielegalne przekroczenie granicy Rzeszy.

<sup>1</sup> Bolesław Leśmian *Dwoje ludzińków*.

## Gołubyje Prudy

Za drewnianą cerkiewką w Łukiszkach zaczynał się dla Katii cudowny świat dzieciństwa. Po obu stronach drogi rozciągały się pastwiska i łąki majątku. Zawsze pasły się tu konie ze stadnin; teraz były puste, bo jeszcze zima. Co dziwne, nie było też koni na wybiegach. Kiedy Katia miała cztery latka, jakoś wymknęła się spod opieki niani i zawędrowała aż tutaj. Zgubiła się, zabłądziła. Rodzina i służba dworska szukały jej do wieczora i przez całą noc. Znalaziono ją dopiero następnego dnia rano – spała przytulona do brzucha żrebnej klaczy. Była głodna i brudna, ale nawet niespecjalnie przestraszona.

Teraz jechała dorożką z dworca w Briańsku i poznawała niektórych mijanych ludzi, trochę już zapomniane twarze mężczyzn i kobiet. Jedni kłaniali się, a inni odwracali, udawali, że nie widzą. Z przeciwka nadjeżdżała furmanka ciągnięta przez szpakowatą klacz. Im była bliżej, tym Katia była bardziej pewna, że to Branka, ulubiona klacz matki, specjalnie ujeżdżona pod damskie siodło. Twarz chłopca na koźle także wydała się jej znajoma.

– Hej, gospodarzu! – Zawołała. – Skąd macie tę kobyłkę?

Chłop tylko świsnął batem, minął dorożkę Katii i pogalopował. Wóz kołysał się w zamarzniętych koleinach. Coś ścisnęło Katię za gardło. Co to znaczy?! Mama na pewno nie sprzedałaby swojej ukochanej Branki.

Kiedy dorożka wjechała na wzgórze, w dole pojawiły się stawy z szuwarami przy brzegach, od których majątek wziął nazwę Gołubyje Prudy – Błękitne Stawy. Ciągnęły się aż pod las. Za lasem będzie już widać pałac.

Groblą między stawami jechała aż do granicy lasu. Kopyta zadudniły na mostku na rzeczce Koźlawej i w prześwicie między drzewami Katia zobaczyła pałac. Ruiny pałacu! Osmalone kikuty kominów, część zewnętrznych murów i szerokie schody urywające się na półpiętrze. Przez chwilę zdawało jej się, że zabłądziła, że to nie jej dom. Nad stodołami, mimo że minęło kilka tygodni od pożaru, snuł się dym tłącego się wciąż, zmoczonego przez deszcze siana. Dorożkarz także zrozumiał, co się tu stało, i zatrzymał konia.

Katia wysiadła z dorożki i szła w stronę pałacu. Kręciło jej się w głowie, było jej słabo, lecz szła. Może mamie i ciotkom udało się jakoś uciec, może przeżyły? Ale w takim razie dlaczego dotychczas nie pojawiły się w Piotrogradzie? Trzeba kogoś spytać, co się tutaj wydarzyło. Ale nikogo nie było.

Nogi uginały się pod nią, usiadła na murku ogrodzenia. Dawniej powyżej podmurówki były drewniane sztachety. Teraz nawet ich nie było. Pałac był wielką kupą gruzów, czarną i nieżywą. Jak to możliwe? Czy to zły sen?

Po chwili wstała z trudem i ruszyła w stronę ruin. Może tam, w zgliszczach, znajdzie coś, co pomoże jej zrozumieć. Coś się poruszyło, pojawiła się głowa,

potem spod schodów wyszła kobieta. Była tak obdarta i brudna, że Katia dopiero po chwili poznała Maszę, starą pokojówkę matki. Stały naprzeciw siebie i płakały.

– Mama, księżna?

– Zabili, wszystkich zabili.

– Widziałaś?

– Nie, uciekłam, zanim przyszli.

– To skąd wiesz?

– Ludzie opowiadali, Baraszki się chwalili, że zabili panienki mamę i ciotkę widłami i siekierą. Księżna... chyba jeszcze żyła, kiedy podpalali.

\* \* \*

To musiało się tak skończyć.

Jeszcze przed wojną Tamara Karsawina powiedziała coś, co Katia zapamiętała na zawsze: „Wciąż o tym myślę, wciąż się zastanawiam, czyżbyśmy byli, cała arystokracja, burżuazja, cała ta śmietanka Rosji, tak na wskroś niewrażliwi, tak obrzydliwie tępi, że w ogóle nie czujemy, iż to bajeczne nasze życie już samo w sobie jest niesprawiedliwością i właśnie dlatego nie może trwać wiecznie?”.

Ale przecież... Ile ze swoich honorariów przeznaczyła na biednych? Może jeszcze za mało? A Igor i Larysa? Cały swój majątek oddali rewolucji! Co jeszcze mogli zrobić?

Katia i pokojówka siedziały na podmurówce ogrodzenia i milczały.

– A ty, Maszeńko, mieszkasz pod schodami? – spytała Katia.

– Nie miałam dokąd iść, nie mam nikogo.

– I co zrobisz?

– Poleszuki mają mnie wziąć do bydła i trzody za mieszkanie i wyżywienie.

Mają teraz osiem krów i sześć świń, wszystkie ze dworu.

Katia dała jej pięćdziesiąt rubli. Nie było to wiele, inflacja od początku wojny zmniejszyła wartość rubla sześciokrotnie.

Poczuła, że coś ociera się jej o nogi. Czarny kundelek podbiegł i bardzo się cieszył ze spotkania. Katia pamiętała go. Nazywał się Żuczek, był jednym z kilku psów kręcących się zawsze przy dworskiej kuchni. Miały budy przy stajni i czekały, kiedy któryś koń otworzył sobie boks i wyszedł na zewnątrz. Zaganiały je do stajni.

– Żuczku, więc przeżyłeś? – Głaskała psa, drapała za uszami. – Tobie też domek spalili?

Piesek miał przy obroży resztki przegryzionego postronka. Łasił się i skomlał. Widocznie i on dostał się któremuś z grabieżców pałacu, ale udało mu się przegryźć sznurek i uciec.

– Lepiej niech pani stąd jedzie. Niektórzy mogą się dowiedzieć, mogą tu

przyjść... I lepiej niech pani nie jedzie przez Łukiszki tylko koło młyna i przez Dolne Lasy.



## Piotrogród

Główną salę Banku Północnorosyjskiego wypełniał tłum ludzi. Wszyscy dobrze lub przynajmniej porządnie ubrani, kilka znajomych pań ze spotkań u Bolskiej, kilka postaci znanych z gazet sprzed rewolucji. Katia przysłała tu, tak jak i inni, z kluczami do skrytki bankowej. Wczorajsze gazety wezwały wszystkich posiadaczy depozytów bankowych do stawienia się z kluczami dla dokonania inspekcji. W jakim celu? To nie było jasne. Coś pisano o względach statystycznych; można się było obawiać czegoś znacznie gorszego, ale ludzie przyszli, bo bolszewicy grozili aresztowaniem każdemu, kto nie podporządkuje się nakazowi.

Ludzi ubywało powoli, lecz nikt nie wiedział, czego się spodziewać, bo tych, którzy już poszli do depozytów, wypuszczano tylnym wyjściem, a drzwi wejściowe zamknięto. Katia usiadła i czekała na swoją kolej. Nie martwiła się, bo już dawno, zaraz po przejściu władzy przez bolszewików, kiedy okazało się, że Państwowy Bank Rosji nie zwraca wkładów, opróżniła skrytkę z kosztowności.

Kiedy wywołano numer jej depozytu, zeszła z pracownikiem banku do podziemi. Przy wejściu stał żołnierz z karabinem. Wewnątrz przy stole siedział urzędnik i dwaj oficerowie Czeka. Dwie skrytki miały wyłamane drzwiczki, większość pozostałych była otwarta. Pod ścianą stało kilka drewnianych skrzynek na amunicję. Jedna, stojąca na wierzchu, była otwarta, wypełniona biżuterią i złotymi monetami.

– Nazwisko? – spytał czekista.

– Jekatierina Niesłuchowa-Szawernowska.

Czekista i bankowiec zanotowali w wielkich zeszytach.

– Otwierajcie!

Katia przekręciła klucz w zamku, pracownik banku otworzył drugi zamek, jeden z czekistów wyjął kasetę, położył na stole i otworzył. W środku były tylko dokumenty.

– Ty burżujko! – zdenerwował się. Wyjmował papiery, rzucał tylko na nie okiem i darł na kawałki.

– Co robicie! – krzyknęła. – To akty własności, testamenty... Jakim prawem!?

– To już wam będzie niepotrzebne – odpowiedział spokojnie. – Nie ma już własności prywatnej.

Wywrócił kasetę, wysypał wszystko na stół. Wypadła mała dwudziestopięciorublowa złota moneta z wizerunkiem Mikołaja II. Katia musiała przeoczyć...

– No proszę! Złoto nieoddane państwu! Nie zastosowaliście się do dekretu.

Powinniśmy was aresztować. Macie książeczkę pracy? Pracujecie?

– Pracuję od siedemnastego roku życia.

Katia podała mu dokument, który musieli teraz posiadać wszyscy dawni arystokraci, szlachta, burżuazja. Obejrzał.

– Śpiewaczka – prychnął. – Coś takiego! No, teraz będziecie wszyscy cienko śpiewać.

Wziął monetę i celnym rzutem posłał do skrzynki amunicyjnej w kącie pomieszczenia. Resztę dokumentów podarł i wcisnął, upychając nogą, do przepelnionego kosza na śmieci.

– Jesteście wolna – powiedział.

\* \* \*

Wieczorem niespodziewanie przyszła do Katii maestra Bolska. Miała więcej szczęścia od niej, w jej domu zamieszkali tylko dwaj komunistyczni dygnitarze, którzy zostawili jej całe piętro. Była blada i zdenerwowana.

– Aresztowali Wandę – mówiła gorączkowo już od drzwi. – Przyszli po południu i wywlekli ją do auta. Katiu! Powiedzieli, że jest zakładniczką. Pytam, w jakiej sprawie. W takiej, mówią, że jak kontrrewolucja podniesie głowę, to będziemy ich rozstrzeliwać. Wyszli, a potem jeden wrócił i mówi, że jak chcę odzyskać córkę, to muszę dać dwadzieścia tysięcy rubli. Tylko szybko, do piątku, bo potem może być za późno. Boże, nie mam w tej chwili dwudziestu tysięcy. Nie wiem, czy jak zapłacę, to rzeczywiście ją zwolnią. Ale muszę zebrać ten haracz. Prawie cała moja biżuteria już przepadła, zrabowali ją ze skrytki bankowej. Muszę coś sprzedać, obrazy, porcelanę. Ale tego nie załatwia się tak szybko, nie zdążę.

– Pożyczę pani, oczywiście. Na szczęście udało mi się uratować trochę pieniędzy.

\* \* \*

Trzy dni później Bolska znów była u Katii w jej pokoju na poddaszu. Tym razem przyszła z córką.

– Katiu, Boże, trzeba stąd uciekać – mówiły jedna przez drugą.

– Siedziałam na Fontance w celi z kilkoma innymi – opowiadała Wanda. – Wszystkie byłyśmy zakładniczkami nie wiadomo czego. Wszystkie czekały na zapłacenie okupu. Nie wiem, czy pieniądze poszły do jakiejś bolszewickiej kasy czy do kieszeni tych bandytów. Wieczorami słychać było stłumione strzały z piwnicy. Spytałam strażnika. Mówi, że w podziemiu jest strzelnica i dziwnie się uśmiecha. Więc nikt w to nie wierzył. Zabijają ludzi! Na spacerze kobiety z innych cel też potwierdziły. Tam zabijają ludzi bez sądu, nawet bez śledztwa.

Weszła do salonu Nastia z Jankiem. Katia wzięła synka na kolana i przytuliła. Chłopczyk słuchał, co mówią dorośli. Miał już trzy lata. Nie była

pewna, czy rozumie, czy powinien słuchać takich rzeczy. W końcu wysłała go z Nastią na spacer.

– Katiu, ja nie jestem Rosjanką – mówiła Bolska. – To nie jest moja ojczyzna, jestem Polką. Nie muszę tu mieszkać. Ty także jesteś już trochę Polką. Przeczytałaś połowę mojej polskiej biblioteki, twój mąż jest Polakiem. Uciekajcie stąd. Bierz Janka i uciekajcie, ratujcie się. Oni nas wszystkich wymordują, jeśli nie uciekniemy. Ograbili petersburską ławrę Aleksandra Newskiego, aresztowali wszystkich zakonników z monasteru Aleksandra Swirskiego w Ołoniecku, a potem ich wymordowali. Nawet tego nie ukrywają. Zauważyłaś, Katiu, jak teraz pisze się o nas w gazetach? Jesteśmy byłymi ludźmi. Mikołaj II to były car, byli książęta, byli hrabiowie, byli właściciele fabryk, byli kupcy. Byli ludzie! My nie jesteśmy już w Rosji ludźmi!

– Ale jak miałabym uciekać? – pytała Katia. – Dokąd? Nie mam żadnej pewności, że Jan żyje, nie mam wiadomości od niego od kilku miesięcy. Przecież trwają rokowania w Brześciu. Jeśli zostanie zawarty pokój między Rosją a Niemcami i Austriakami, to chyba będę mogła pojechać do Krakowa legalnie, mam nadzieję...

– Ale do tego czasu mogą nas wymordować! – Wanda była wciąż pod wrażeniem więzienia i egzekucji w podziemiach.

– Wielu wyjechało jeszcze w zeszłym roku do Kisłowodzka, Jessentuki i Piatigorska – opowiadała Bolska. – Tołstojowie, Lwowie, Uwarowie, Bobrinscy, Trubieccy, Szeriemietiewowie, Panina, nawet Sergiusz Rachmaninow. Jedni chcieli przeczekać. Wierzyli, że władza bolszewików nie potrwa dłużej niż kilka tygodni. A inni chcieli uciekać przez Odessę do Francji. I jakiś czas rzeczywiście było tam dość spokojnie. Ale to się skończyło. Dostałam kilka listów. Pisze mi księżna Golicyna, że teraz te spokojne kurorty znalazły się w strefie wojny domowej. Raz wchodzą kozacy atamana Szkury, raz bolszewicy. Przyszli czerwoni do Kisłowodzka, wywiesili na ulicach plakaty z listą arystokracji i burżuazji znajdującej się w mieście. Mają zapłacić pięć milionów rubli kontrybucji! Jeśli nie zapłacą w ciągu dwóch tygodni, zostaną wywiezieni do obozu koncentracyjnego. Nie zdążyli zebrać całej sumy, więc wszystkich mężczyzn aresztowano. A potem pojawiły się plakaty, że zostali rozstrzelani. Na szczęście okazało się to nieprawdą, wypuścili ich. Ale strach pozostał. Tylko Krzesińskiej udało się uciec do Odessy, może jest już w Paryżu.

– To straszne, straszne. – Katia kręciła głową z niedowierzaniem. – Ale tym bardziej, same widzicie, że jechać tam to szaleństwo. To zbyt niebezpieczne. Jeszcze gdybym była sama... Ale z Jankiem? Nie, nie, to niemożliwe. Jesteśmy w pułapce, w sytuacji bez wyjścia. Miejmy nadzieję, że doczekamy zawarcia pokoju. Ja w każdym razie sprzedaję wszystko co się da, sprzedalam już powóz, konie, część obrazów. Co tylko możliwe zamieniam na złoto i brylanty.

Oczywiście wszystko idzie za niewielką część rzeczywistej wartości, ale lepiej stracić część niż wszystko. Pochowam jak się da, żeby nie zabrali i żeby być w każdej chwili gotową do porzucenia wszystkiego i do wyjazdu. Ale swoją drogą – zmieniła temat – wiecie, jedno mnie dziwi. Bolszewicy ograbili banki, arystokrację, burżuazję, Cerkiew, wszystkich. Lecz to w niczym nie poprawiło położenia biednych. Przeciwnie, inflacja kilkakrotnie zmniejszyła zarobki robotników, głód jest jeszcze większy niż w zeszłym roku. Więc co się dzieje z tymi pieniędzmi?

– Idą do kieszeni nowych czerwonych burżujów, przecież to jasne. – Bolska nie miała wątpliwości. – Tamara Karsawina opowiadała mi, jak była niedawno u jubilera sprzedać coś ze swojej biżuterii. Widziała jak jakiś bolszewicki bonza wybierał coś dla swojej pani, wyglądającej jak podkuchenna, tyle że w futrze z norek i w brylantach. Naszyjnik z pereł był dla niego za tani, prosił o coś droższego.

Usłyszały dzwonek u drzwi wejściowych na dole i zadrżały. Kto to może być? Przez chwilę bały się, że to może czekał ktoś. Okazało się, że przyszła kobieta ze wsi, która jak co tydzień przyniosła mięso, masło i jajka. Tym razem akurat o nietypowej porze.

## **Berlin, więzienie Moabit**

*Janku, Synku kochany!*

*Jestem w więzieniu Moabit w Berlinie, ale nie powinieneś się wstydzić, Twój ojciec nie jest przestępcą. Znalazłem się tutaj z powodu rozłąki z Mamą i z Tobą. Wszystko Ci opowiem.*

*Mam tu bardzo dużo czasu i posiedzę jeszcze długo, więc chcę wypełnić ten czas czymś pożytecznym. Napiszę wspomnienia dla Ciebie, a może także dla twoich braci i siostrzyczek, jeżeli Pan Bóg da nam je w przyszłości. Napiszę o naszej rodzinie, o Szawernowskich, o Twoich dziadkach, pradziadkach i wielu innych krewnych wszystko, co wiem, aż od XVI wieku, od kiedy zachowały się rodzinne dokumenty w naszych Borowicach.*

*Przyjdzie czas, jak dorośniesz, że zaczniesz się zastanawiać, kim jesteś. To skomplikowane. Jesteśmy nie tylko tym, co przeżyliśmy dotychczas, co myśleliśmy, czego dokonaliśmy, co stworzyliśmy. Każdego dnia stajemy się od nowa, jakby nas przybywało, bo wciąż dodaje się to, co właśnie czynimy i przeżywamy. Znasz taką rosyjską zabawkę: baba w babie, a w tej mniejszej, jeszcze mniejsza i jeszcze mniejsza... Ta najmniejsza to nasze dzieciństwo, a potem kolejne lata, dni, godziny.*

*Ale to nie wszystko. Jesteśmy także tym, co nam przekazali rodzice, dziadkowie, pradziadkowie i tak dalej. To wszystko w nas jest i tym także jesteśmy. Więc chcę ci wszystko opowiedzieć. A Ty przekażesz to kiedyś swoim dzieciom i dodasz może siebie, swoją historię. Jak dorośniesz, to zrozumiesz, że to ważne, żeby wiedzieć, kim się jest.*

*W Twoim przypadku to się jeszcze bardziej komplikuje. Ja jestem Polakiem, a mama Rosjanką. Więc Ty będziesz albo zarazem Polakiem i Rosjaninem, albo wybierzesz – jedno czy drugie. Niestety, Polacy i Rosjanie od wieków są wrogami. Teraz akurat znów walczą ze sobą. Może to się kiedyś skończy. Ale może się nie skończyć. Co wtedy? Może kiedyś będziesz musiał stanąć do walki po którejś stronie.*

*Oby nigdy do tego nie doszło...*

## Moskwa, Kreml

Lenin położył się na kanapie i zamknął oczy. Bolały już tak, że nie mógł dłużej pisać. A przecież artykuł do „Prawdy” musi być na jutro, jak co dzień.

Weszła Nadieżda.

- Wołodia, Spiridonowa przyszła, koniecznie chce rozmawiać.
- Teraz, o tej porze? Do domu?!
- Mówiłam jej, ale się uparła. Czeka w gabinecie.
- Co za natrętna baba, psiakrew, chłopska święta!

Zmęczenie rosło od wielu tygodni. Setki i tysiące dokumentów, nieustanne rozmowy z komisarzami ludowymi. Wszystkim trzeba wszystko tłumaczyć, przekonywać; codzienny artykuł do gazety, przemówienia na wiecach w fabrykach co najmniej raz w tygodniu, no i przede wszystkim posiedzenia rządu, dwa, trzy razy tygodniowo, po sześć, siedem godzin. Gadają bez umiaru. Trzeba wciąż przypominać, żeby się streszczali, ograniczać gadulstwo.

Ci komisarze! A jeszcze ciągle się spóźniają. Dziś musiał podnieść kary za spóźnienia. Jeśli kary nie działają, to trzeba je zwiększyć! Wydał dekret „O karach za nieobecności i spóźnienia”. Dotyczy wszystkich instytucji rządowych. Dotychczas było pięć rubli za pół godziny spóźnienia – teraz dziesięć. Drugie spóźnienie – utrata dziennego wynagrodzenia. Za trzecie – nagana w prasie lub praca przymusowa w dni świąteczne. Musiał zrugać Fotijewą. Tak głośno tłumaczyła coś stenografkom, że prawie zagłuszała towarzysza Łunaczarskiego referującego sytuację w teatrach.

Nigdy wcześniej tak ciężko nie pracował. Kiedy już nie wytrzymał, robił sobie urlop na kilka dni, lecz kiedy wracał do pracy, okazywało się, że wszystko się wali. Nie wystarcza żywności na kartki, ludzie głodują, strajkują, wieś nie dostarcza potrzebnych ilości zboża, ziemniaków, żywca.

Wzywał komisarzy, wściekał się na nich, wymyślał, miotał się nieprzytomnie. Nie pomagało!

Powiedział Dzierżyńskiemu: „Weźcie stu zakładników, najbogatszych kułaków, albo lepiej tysiąc, i jak nie dadzą tyle zboża, ile potrzebujemy, powieście ich, ale tak, żeby wieść się rozeszła szeroko, żeby wszyscy wiedzieli, żeby w promieniu kilkuset kilometrów wszyscy się bali, żeby padł strach na tych, co ukrywają zboże. I niech ciała wiszą przez dwa tygodnie!”

Feliks Edmundowicz! Chociaż on jeden wie, co robić, nie ma skrupułów. Człowiek od czarnej roboty, zawsze można na niego liczyć. Czeka jest jedyną instytucją w Rosji działającą jak należy. Feliks zaprowadza porządek w transporcie kolejowym, patronuje sierocińcom. Towarzysz Feliks Edmundowicz zasiada w Radzie Gospodarki Narodowej, tytan pracy! Gdyby tak pracowali wszyscy...

Kontrewolucja podnosi głowę, biali coraz bliżej. Denikin, Miller...

No trudno, trzeba porozmawiać z tą babą; lewicowi eserzy mają poparcie na wsi, nie ma rady. Podniósł się z kanapy, wsunął stopy w łapcie, poszedł do gabinetu.

Oczywiście, jak zawsze, paliła papierosa, cały gabinet był zasnuty dymem. Tym razem nie wytrzymał:

– Mario Aleksandrowna, mogłabyś chociaż nie palić w moim domu. Nie wiecie, że nie znoszę dymu papierosowego? Wszystko potem przenika ten zapach. To moje mieszkanie, dopiero co się tutaj wprowadziłem; pomalowali, odnowili, a wy...

– Przepraszam, towarzyszu Lenin. – Rozglądała się za popielniczką, nie znalazła, zgasiła niedopałek w doniczce z rododendronem.

– Towarzyszu Lenin! Czeka rozstrzeliwuje ludzi bez sądu, wyroku, a nawet bez śledztwa. Komisarz sprawiedliwości mówi mi, że zwalnia podejrzanych, kiedy nie ma dowodów winy, a następnego dnia dowiaduję się, że Dzierżyński znów ich aresztował i rozstrzelał. Co to ma być?! Weszliśmy do rządu nie po to, żeby nasza partia firmowała wasze bezprawie. Żądam podporządkowania Czeka Ministerstwu Sprawiedliwości, Steinbergowi.

Wyjęła papierosa z paczki, zapalniczkę, już chciała zapalić, lecz przypomniała sobie, kiedy spojrzał na nią z wyrzutem. Dziwne, że nie mówi nic o dwustu robotnikach rozstrzelanych w Piotrogradzie za udział w strajku... No, to było wczoraj, widocznie jeszcze nie się nie dowiedziała...

– A cóż wy, towarzyszko Spiridonowa, chcecie od Czeka? Przecież macie tam swoich ludzi, blisko połowę? Nawet w kolegium macie siedmiu.

– Przeczytałam właśnie wasz dekret „Socjalistyczna ojczyzna w niebezpieczeństwie”. To zdumiewające!

Wyciągnęła kilka kartek z torebki, rzuciła na biurko.

– Czeka ma prawo decydować, kto jest spekulantem, chuliganem lub kontrrewolucjonistą i rozstrzelać! Według własnego uznania! Może rozstrzelać, kogo chce! Więc po co nam w ogóle sądy rewolucyjne, po co nam Komisariat Sprawiedliwości? Lepiej nazwijmy go Komisariatem Społecznej Eksterminacji, będzie uczciwiej!

– No, macie rację. – Lenin się uśmiechnął. – Macie rację, ale na razie nie możemy tego tak zwyczajnie ogłosić! Za wcześnie, naród nie zrozumie.

– Towarzyszu Lenin! Jeśli to się nie zmieni, wycofamy się z rządu.

– O, nie mówcie takich rzeczy! Przecież zmieni się, zmieni, kiedy tylko nasza władza okrzepnie. Nie podejmujcie pochopnych decyzji. Proszę was bardzo!

– Przemyślimy to, ale na pewno nie poprzemy na zjeździe pokoju brzeskiego.

– Mario Aleksandrowna! Czy nie rozumiecie, że to jedyny sposób na

ocalenie rewolucji? Nie możemy walczyć ze wszystkimi naraz. Z robotnikami, którzy strajkują, z armiami białych, z mienszewikami, eserami, kadetami i z Niemcami.

– Oddaliście Niemcom ponad milion kilometrów kwadratowych Rosji! Ogromną część przemysłu, kopalin, najżyźniejsze ziemie, Ukrainę, zagłębie zbożowe. Oczekujecie, że moglibyśmy to poprzeć? Nie łudźcie się.

– Jednak zjazd zrozumie i zatwierdzi, będziecie w mniejszości, zobaczycie.

– Więc nie podporządkujecie Czeka Komisariatowi Sprawiedliwości?

– A wy nie poprzeć traktatu brzeskiego?

– Nie.

– Nie dogadaliśmy się, szkoda.



## Rozdorożje

Przy bramie rodowego majątku Karsowa nadjeżdżający oddział witał pop Karitonow, staruszek, który przed półwieczem chrzczył małego hrabiego Siergieja. Od patrolu zwiadu dowiedział się, że nadjeżdżają. Karsow też już wiedział, że dwór został splądrowany, lecz nie spalony. Akurat gdy go chłopci pod przewodnictwem komunistów podpalali, rozpętała się burza, spadł ulewny deszcz i budynki ocalały.

Pułkownik zatrzymał konia przed gankiem, patrzył długo, nie wszedł do wnętrza. Przez porozbijane okna widać było gołe ściany obdarte z tapet. Rodzinne Rozdorożje w guberni kazańskiej to była ostatnia z jego majątkości; resztę posprzedawał, a pieniądze roztrwonił w luksusowych hotelach i kasynach, podróżując po Europie z Nadieżdą Niesłuchową. Dobrze, że matka i ojciec tego nie dożyli, pomarli jeszcze przed wojną. Rodzeństwa pułkownik nie miał. Bolszewicy zamordowali jednak zarządcę, uczciwego człowieka, który dbał o wszystko, gotów dołożyć nawet ze swego, a i z chłopami zawsze pozostawał w dobrych stosunkach. Od rana żołnierze Karsowa poszukiwali we wsi komunistycznych prowodyrów.

Oddział, trochę ponad dwieście koni i ludzi, rozkwaterował się w majątku i dworze. Tylko tyłu ich zostało. Kiedy przyszła wiadomość o zawarciu pokoju z Niemcami, hrabia zerwał wszelką łączność ze swoim dowództwem, bo podporządkowało się czerwonym, a swoim ludziom dał wybór: albo wracają do domów, albo idą z nim, bić się z bolszewikami. Większość odeszła, ale wolał mieć mniejszy oddział, za to złożony z ludzi pewnych i gotowych na wszystko.

Oficerów ojciec Karitonow zaprosił na kolację na plebanię. Dowódcy szwadronów i plutonów, dziewięciu ludzi, jedli zmęczeni po czterdziestu wiorstach w siodle.

– Cerkiew z początku zostawili w spokoju – opowiadał pop. – Ale kiedy głód dziesiątkował ludzi, patriarcha Tichon polecił przesać wszelkie kosztowności, łącznie z naczyniami liturgicznymi, do Moskwy. Chciał je sprzedać i zamienić na zboże dla głodujących. Wtedy bolszewicy się wściekli. Lenin nie mógł dopuścić, żeby ktoś zawdzięczał życie Cerkwi prawosławnej. Kilka tygodni temu przyjechała z Moskwy ekipa czekistów. Zabrali wszystko, co miało jakąś wartość, nawet srebrne koszulki z ikon zerwali. Barbarzyńcy! Nie rozumieli, że to dzieła sztuki. Widzieli tylko srebro! Wino mszalne wypili od razu, na miejscu. Teraz za kielich z krwią Zbawiciela służy mi cynowy kubek. Panowie! Toż to dzicz jakaś! Postrzelali ikonostas z rewolwerów, a przed odejściem jeszcze tu wpadli do mnie, wyrócili wszystko do góry nogami, szukali kosztowności. Patrzenie na portrety!

Na ścianach wisiały podobizny ostatnich trzech carów Rosji: Aleksandra II, Aleksandra III i Mikołaja II. Nosily ślady licznych postrzałów.

– Odpłacimy im – rzekł major Kornhauser. – Przez ostatnie kilka tygodni

powiesiliśmy z siedemdziesięciu. Kiedy my trafiamy w ich ręce, torturują. A my tylko wieszamy, czego ja osobiście nie rozumiem. No, ale pan pułkownik nie pozwala.

Pop się przeżegnał:

– To straszne, straszne... wojna domowa. To największe nieszczęście.

– Ojcie święty, walczymy z bolszewikami i, da Bóg, zwyciężymy – rzekł Karsow. – Musimy ich likwidować, ale nigdy nie pozwolę na znęcanie się nad nimi. To tacy sami ludzie jak my. A że myślą inaczej, że nie rozumieją, że się myślą, to nie może usprawiedliwiać okrucieństwa.

– Tak, tak...

– Ojcie, macie może jakieś mapy Rosji?

– No owszem, ale bardzo ogólne. Mam atlas Cesarstwa Rosyjskiego.

– Pokażcie!

Pop przyniósł wielki album wydany w 1901 roku.

To nie było to, czego by Karsow pragnął, ale i tak więcej, niż mógł się spodziewać. Od kiedy odszedł z frontu, nie miał dobrych map. Był na Kubaniu, gdzie kozacy nie uznawali władzy czerwonych. Ale i caratu przywracać nie chcieli. Pisał do Denikina, ale on też nie był monarchistą, tylko zwolennikiem przemian lutowych. Nie mógł popierać Komucza, namiastki rządu złożonego z posłów do zgromadzenia rozpedzonego przez Lenina, bo Komucz także był antycarski. Wkrótce przekonał się, że żaden z najwyższych dowódców białych nie jest monarchistą. W szeregach ich armii było wielu zwolenników caratu, lecz na najwyższych szczeblach – nikt.

Z zielonymi także nie było mu po drodze. Chłopskie partyzanckie oddziały zielonych, najczęściej kierowane przez eserów, walczyły zarówno z białymi, jak i czerwonymi. Niestety, często ich dowódcy decydowali się na chwilowe sojusze z bolszewikami przeciw białym.

– Jesteśmy gwardią – powtarzał swoim oficerom. – Gwardia jest wierna, gwardia nie zdradza!

Teraz Karsow szukał w atlasie linii Kolei Transsyberyjskiej. Ale kiedy wydano atlas, jej budowa dopiero się rozpoczęła.

– Ojcie święty – powiedział. – Idziemy do Tobolska, jak Bóg da, wyzwolimy cara z łap czerwonych. Pobłogosław nas i naszą wyprawę.

– W imię Ojca i Syna! – Pop uniósł dłonie nad ich głowami. – Błogosławię was. Przyjdźcie jeszcze rano do cerkwi. Odprawię Liturgię za was i za powodzenie waszej misji.

– Panie pułkowniku! Za panem do samego piekła – zadeklarował żarliwie porucznik Puszkin, najmłodszy z oficerów Karsowa. – Za Uralem powinniśmy się spotkać z życzliwszym przyjęciem tamtejszych chłopów. To wszystko wolni osadnicy, nie ma tam wcale majątków szlacheckich. Od kiedy bolszewicy ogłosili,

że wszelkie nadwyżki zboża są własnością państwa, nikt tam nie może kochać czerwonych.

– Ale zanim tam dojdziemy... Stąd na północ wszędzie siedzą czerwoni – rzekł major Kornhauser.

– Panie majorze, pójdziemy lasami, a gdzie nie będzie lasów, będziemy się przebijać – odparł Karsow.

Skończyli kolację i ojciec Karitonow poprosił pułkownika o rozmowę na osobności.

– Tak się składa – mówił – że wiem trochę o tym, co się dzieje w Tobolsku. Kapelan rodziny cesarskiej to mój dawny wychowanek i krewny, ojciec Wasiliew. Stale korespondujemy. Część listów gdzieś ginie, ale część dochodzi. Proszę posłuchać, co mi pisał ostatnio:

*Jego Cesarska Wysokość jest teraz dobrej myśli. Tutaj nadzór nad rodziną carską sprawuje nadal pułkownik Kobylański, który ich eskortował na polecenie rządu Kierenskiego. Jest życzliwie nastawiony. Doktor Botkin powiedział mi niedawno, że chociaż Jerzy V wycofał się z obietnicy przyjęcia cara w Anglii, to nieoficjalnie trwa akcja ratowania Romanowów. Jest to uzgadnianie z Amerykanami, a nawet z cesarzem Japonii. W Murmańsku zajęтым przez aliantów kończy się budowę domu dla rodziny cesarskiej. Planuje się umieszczenie jej tam na czas do zakończenia wojny, do chwili, kiedy biali pokonają bolszewików i car będzie mógł wrócić na tron. Król nie może jawnie przyjąć cara u siebie, bo musi się liczyć z opozycją parlamentarną, z laburzystami i związkami zawodowymi, które są bardzo przeciwne Romanowom i uważają, że car i caryca po cichu sprzyjają Niemcom. Ale król potajemnie pomaga, jak może. Nie jest też bez znaczenia, że bolszewicy już ogłosili, że nie będą spłacać długów państwowych sprzed rewolucji. Więc Zachód we własnym interesie będzie się starał przywrócić na tron Romanowów.*

– Ciekawe. – Karsow był poruszony. – Więc jeszcze nie wszystko stracone. Bardzo dobrze! Na pewno przyda im się pomoc dwustu żołnierzy gwardii. Tak, trzeba tam iść niezwłocznie, zanim czerwoni położą łapy na Tobolsku. Wiesz, ojcze! Od początku abdykacja Mikołaja wydawała mi się pozorowana. Przecież car nie miał prawa abdykować na rzecz swojego brata. Taka abdykacja jest niezgodna z prawem, więc nieważna. No, moi ludzie pójdą za mną. Musimy się tylko przedrzeć do Kolei Transsyberyjskiej. – Karsow patrzył na mapę. – Może gdzieś w okolicach Iżewska lub Permu. Jeśli uda się zdobyć lokomotywę i parę wagonów, to dojedziemy do Tiumeni za kilka dni. Stamtąd do Tobolska już niedaleko. A potem poszlibyśmy z carem do Murmańska.

\* \* \*

Świt wstał mglisty i wilgotny. Kawalerzyści osiodłali konie, wyprowadzili na dziedziniec. Stali gromadą, trzymając konie w ręce. Karsow przyjechał z oficerami. Byli po mszy w cerkwi. Pięć sznurów z pętlami zwisało z nagiego konaru starego dębu koło klombu. Żołnierze przyprowadzili bolszewików. Mieli dłonie związane sznurem. Najmłodszy trząśł się jak w ataku apopleksji.

– Panie pułkowniku! Błagam, nikogo nie zabiłem, błagam! – Ślinił się i potykał skulony.

– Zabił rządcę – powiedział porucznik Puszkin. – Znaleźliśmy w jego chałupie futro i zegarek. Chłopi potwierdzili, należały do zarządcy.

– Dawajcie go – rzucił Grisza Kropotkin, trzydziestolatek o chłopięcej twarzy, potomek starej szlacheckiej rodziny, poeta i pisarz. Grisza już nieraz kierował egzekucjami i miał w tym wprawę.

Podsunał skrzynkę pod sznur. Podnieśli skazańca i postawili na tej skrzynce, bo miotał się i sam nie chciał wejść. Grisza stanął na drugiej i założył mu pętlę na szyję.

– A tamci? – spytał Karsow.

– Gminny komitet partii bolszewickiej.

Najstarszy z więźniów, po pięćdziesiątce, miał ręce skrępowane z przodu i przeżegnał się kilkakrotnie. Mamrotał modlitwę.

– Ten też? – zdziwił się Karsow.

– Nawet miał przy sobie legitymację partyjną.

Ułani stali i patrzyli ponuro, w milczeniu. Grisza spojrział na Karsowa, a ten skinął głową. Wyciągnęli skrzynkę spod nóg, skazaniec szarpał się i kołysał, charczał, oczy mu nabrzmiały, dusił się.

– Pomóż – rozkazał Karsow.

– A niech się pomęczy, panie pułkowniku!

– Pomóż mu – powtórzył głośniejsze.

Grisza objął wisielca w biodrach, uwiesił się na nim i jeździł do przodu i do tyłu jak na huśtawce. Mężczyzna szarpnął się jeszcze raz, lecz po chwili jego ciało uspokoiło się i zwiotczało.

Podprowadzili następnych. Brodaty inteligent w okularach, nauczyciel z wiejskiej szkółki, sam wszedł na skrzynkę, splunął w stronę pułkownika. Zawisł i Grisza, już nie czekając na rozkaz, pohnął się na nim.

Po kilku minutach pięć ciał z popielatymi twarzami kołysało się na wietrze. Konar dębu ugiął się pod ciężarem, aż stopy wiszących prawie dotykały ziemi.

– Dowolnie na koń! – zakomenderował Karsow.

– Doo-wolnie na koń! – powtórzyli dowódcy szwadronów. – Czwórka-ami marsz!

## Piotrogród

Katia potrzebowała papieru nutowego, atramentu i ołówków, lecz sklepy papiernicze zniknęły, jak wiele innych. Musiała iść do komitetu miejskiego partii po przydział. Należało napisać podanie z uzasadnieniem i uzyskać pisemne poparcie organizacji partyjnej w miejscu pracy. Dostała je i wtedy dowiedziała się, że papieru, ołówków i atramentu chwilowo nie ma, przydział na ten kwartał został wyczerpany. Ponieważ ten sam problem mieli wszyscy muzycy i śpiewacy w teatrze, pojechała delegacja do Moskwy, do Ludowego Komisariatu Kultury i Sztuki. Ludowy komisarz, Anatolij Łunaczarski, szybko sprawę załatwił. Starał się popierać kulturę wysoką, często wbrew swoim towarzyszom. Był filozofem, melomanem, kochał teatr. Oddał trochę papieru i ołówków z zasobów ministerstwa. Nie był to, co prawda, papier nutowy, ale to już głupstwo. No i było go jednak o wiele za mało. Więc powołano w teatrze nadzwyczajną komisję do spraw przydziału materiałów piśmiennych.

Było teraz wiele różnych nadzwyczajnych komisji, W zimie bardzo prężnie działała przy miejskim komitecie partii nadzwyczajna komisja do spraw przydziału walonek, futer i półkożuszków<sup>1</sup>.

Jednak bez papieru można żyć. Nie było żywności, chleba, ziemniaków, warzyw. Nie było niczego.

Od wiosny 1918 roku bolszewicy wprowadzali gospodarkę centralnie planowaną i centralnie sterowaną dystrybucję wszystkiego. W przyszłości planowali zupełnie zlikwidować pieniądź. Wszelkie dobra miało rozdzielać państwo.

– Im mniej rynku, tym więcej socjalizmu – nauczał Lenin.

Pierwsze deklaracje bolszewików po przejęciu władzy obiecywały pokój i ziemię chłopom. Pokój z Niemcami zawarli, lecz rozpętali wojnę domową, najstraszliwszą i najbardziej okrutną z wszystkich wojen.

– Chcemy wojny domowej! – wołał Trocki na posiedzeniu rządu 4 czerwca 1918 roku. – Nasza partia opowiada się za wojną domową. Trzeba też stoczyć wojnę domową o zboże.

– Wojna domowa jest częścią walki klasowej – wtórował mu Lenin.

Chłopom bolszewicy dali ziemię, właściwie pozwolili brać ziemię szlachty, lecz ogłosili państwowy monopol zbożowy. Wszystkie nadwyżki zboża uznano za własność państwa. Nie było wolno sprzedawać niczego z wytworzonej na wsi żywności. Wszelki prywatny handel stał się przestępstwem. Bolszewicy nienawidzili chłopów. Uważali, że są anarchiści, zacofani i kontrrewolucyjni.

– Kułacy są zaciekłymi wrogami rządu radzieckiego! – wołał Lenin. – Te pijawki wzbogacają się na głodzie ludu. Te pająki obrosły sadłem kosztem

zrujnowanych przez wojnę chłopów, kosztem robotników. Ci krwio pijcy wysysali krew ludu pracującego i nabijali kabzy, gdy robotnicy w miastach i fabrykach głodowali. Bezwzględna wojna kułakom! Śmierć im wszystkim!

Lenin nie znał wsi i nie miał o niej pojęcia. Wierzył, że na wsi istnieją dwie klasy. Kułacy, jak fabrykanci w miastach, wyzyskują klasę wiejskiej biedoty. Jednak ci, których bolszewicy uważali za klasę kułaków, byli tylko najlepszymi, najlepiej gospodarującymi przedstawicielami chłopstwa. Sami ciężko pracowali, sami chodzili za pługiem. Zatrudniali po kilku parobków spośród bezrolnych lub małorolnych, co pomagało im przeżyć. Dla Lenina byli wyzyskiwaczami. Wniszczenie kułactwa stało się katastrofą dla produkcji żywności. A w przyszłości, za kilka lat, kiedy zapędzono wszystkich do kołchozów, miało się to skończyć milionami zmarłych z głodu.

Powołano oddziały do rekwizycji zboża, prodatriady. Aktywiści komunistyczni wyruszali na wieś jak na wojnę, uważali się za bohaterów rewolucji, fotografowali się na pamiątkę. Szukali żywności, zboża, mąki – chowanych przez chłopów, gdzie się dało, nawet w lasach. Mordowali, gwałcili kobiety, zabierali wszystko. Torturami wymuszali ujawnienie miejsc ukrycia zapasów. Wieś została bez zboża na zasiew, a nawet bez wystarczających zapasów żywności, żeby przetrwać do przednówka.

Kiedy w miastach nie można było dostać niczego do jedzenia, tysiące ludzi wyruszały z torbami i workami na wieś. Koczowali na dworcach, bo transport kolejowy ledwie działał. Bywali napadani i ograbiani z wszystkiego przez bandy uzbrojonych dezertersów. Chłopi w ogóle już nie przyjmowali papierowych pieniędzy. Więc płacili im carskimi złotymi rublami. Kwitł handel wymienny. Łatwiej było dostać żywność za buty, ubrania, tkaniny, sprzęt domowy, naftę, najprostsze narzędzia; za to wszystko, czego w mieście chłopi nie mogli kupić.

Część z tych podróżników była handlarzami, którzy na tym zarabiali, lecz ogromna większość usiłowała tylko zaspokoić własne potrzeby. Prasa piętnowała wszystkich, nazywając ich spekulantami, kombinatorami i pasożytami. Tak też traktowała „ludzi z workami” Czeka i odpowiednio represjonowała. Jednak mimo najstraszniejszych kar niemożliwe było zatrzymanie tego procederu. Ludzie musieli coś jeść! W czasie strajków w fabrykach najważniejszym postulatem robotników było teraz żądanie zniesienia zakazu podróżowania na wieś po żywność.

Ale Lenin nie ustępował. Nic w państwie proletariatu nie funkcjonowało jak należy z wyjątkiem Czeka. Lenin na wszystkie problemy polityczne i społeczne miał jedno lekarstwo: „Surowiej karać. Zwiększyć terror!”.

Wiosną Katia postanowiła zamienić ogród dookoła domu w pole uprawne. Zasadziły z Nastią ziemniaki, pomidory, marchew i cebulę. Powierzchni było prawie pół hektara więc nie były w stanie same tego obrobić. Katia namówiła swoich przymusowych lokatorów, żeby i oni wzięli się do pracy. Nawet oddała im

część swoich sadzonek i nasion.

Tymczasem jednak, kiedy jeszcze nie było plonów, obie jeździły na wieś. Na zmianę, bo nie można było Janka zostawić samego. Płaciły złotymi rublami lub odzieżą. Ale masła, mleka, mięsa, jajek i warzyw wystarczało tylko dla dziecka. Same żywiły się kartoflami, kaszą i chlebem. Robiły zapasy mąki i ziemniaków.

Miasto opustoszało.

Przemysł zamierał, zwłaszcza zbrojeniowy, którego w Piotrogradzie było najwięcej. Przemysł produkował zaledwie dziesiątą część tego co przed wojną. W 1918 roku rzeczywista wartość średniej płacy robotnika wynosiła 24 procent jej wartości sprzed wojny. A przecież i wtedy płace były bardzo niskie. W 1919 roku – 2 procent!

Rozszerzał się w całym kraju oddolny ruch Nadzwyczajnych Zgromadzeń Pełnomocników Fabrycznych i Zakładowych. W czerwcu należało do niego kilkaset tysięcy ludzi. Strajkujący robotnicy fabryk w Sormowie napisali w swojej odezwie: „Sowiecki reżym ustanowiony w naszym imieniu stał się nam całkowicie obcy. Obiecywał przynieść robotnikom socjalizm, a przyniósł puste fabryki i skrajną nędzę”.

9 maja na piotrogrodzkim przedmieściu Kołpino Czeka otworzyła ogień do tłumu strajkujących. W całym kraju mnożyły się strajki z żądaniem nie tylko ekonomicznymi, ale też przywrócenia Zgromadzenia Ustawodawczego. W marcu 1918 roku bolszewicy przenieśli stolicę do Moskwy i wtedy odeszła z Piotrogradu pierwsza fala ludności. Potem następne. Ale również w Moskwie i wielu innych miastach, szczególnie na północy Rosji, ubywało ludności. Wszyscy uciekali na wieś. Dla Katii miało to tę dobrą stronę, że zaczęły znikać także rodziny robotnicze przymusowo u niej zakwaterowane.

Z dwumilionowego miasta, jakim Petersburg był przed wojną, zostało po roku około pięciuset tysięcy. Prąd włączano na dwie godziny na dobę. Brakowało opału. W mieście, kiedyś tętniącym życiem, panowała cisza. Ruch uliczny tak zmalał, że na jezdniach wyrastały chwasty. Nie wywożono śmieci, więc wszędzie było ich pełno.

Maksym Gorki pisał: „Piotrogród jako miasto umiera. Wszyscy je opuszczają – pieszo, konno, koleją. Na ulicach leżą martwe konie. Zjadają je psy. Miasto jest niewiarygodnie brudne. W Mojce i Fontance pływa mnóstwo śmieci. To jest śmierć Rosji”.

Któraś dnia w lipcu Katia odwiedziła Bolską.

– W tym roku mija dwadzieścia lat od kiedy pracuję w Maryjskim – mówiła maestra. – Spodziewałam się, że urzędują mi jubileusz. Zamiast tego dzisiaj się dowiedziałam, że nie przedłużą mi kontraktu. Powód? Moje arystokratyczne pochodzenie!

Adelajda Bolska to był pseudonim sceniczny. Była z domu Skąpska,

posiadała tytuł hrabiowski po nieżyjącym już mężu Dienheim-Szczawińskim-Brochockim.

– Nie wiem, co teraz zrobić. Nie dostanę wpisu w książeczce pracy. Może zapędzą mnie do sprzątanania ulic.

– Mój Boże! Może dadzą pani pracę w Konserwatorium.

– Spróbuję.

– Może Gorki mógłby pomóc. Poznałam go niedawno, był w teatrze. Pomaga teraz wielu ludziom, pisarzom, intelektualistom, wielu wyciągnął z więzienia. Jest w bliskich stosunkach z Leninem. Lenin ma jakąś szczególną słabość do niego. Może dlatego, że Gorki jest znany i popularny na Zachodzie. Ma ogromne mieszkanie. Mieszka tam ze trzydziestu takich, co nie mają książeczek pracy. Daje im dach nad głową, żywi, opiekuje się nimi.

– Kiedyś poznałam Gorkiego, jeszcze przed wojną. To komunista, lecz porządny człowiek. Chyba zraził się do bolszewików kiedy zobaczył ich rządy. Może masz rację, Katiu, spróbuję z nim porozmawiać.

– Mój kontrakt kończy się w lutym przyszłego roku, więc może i mnie nie przedłużą – zmartwiła się Katia.

– To robota tego Szagałowa, pierwszego sekretarza, decyduje teraz w teatrze o każdej sprawie – powiedziała Bolska. – Dyrektor we wszystkim mu ustępuje. Ten człowiek mści się na nas za to, że przez całe życie był nikim. Mam takie wrażenie, że ci ludzie wcale nie widzą w rewolucji ustanowienia sprawiedliwości, równych praw dla wszystkich. Dawniej byli poniżani i uciskani, więc teraz nareszcie przyszedł ich czas! Teraz oni chcą poniżyć i uciskać. To jest ich cel i satysfakcja.

\* \* \*

Po zawarciu przez bolszewików pokoju z Niemcami, Katia mogła wreszcie normalną pocztą wysłać kolejną porcję listów do Borowic. Połączenia zagraniczne funkcjonowały kulawo, linie kolejowe były zniszczone, brakowało lokomotyw, kontakty pocztowe dopiero ponownie nawiązywano. Uprzedzono ją, że paczka może iść kilka tygodni, ale dojść powinna. Od Jana żadnych wieści. Co to znaczy? Przecież teraz już mógł przysłać list zwyczajnie. Była przerażona. Codziennie czekała na listonosza. Nic nie przychodziło.

Pieniądze znikwały w zastraszającym tempie. Były jeszcze zakopane w Gołubych Prudach brylanty i złoto, lecz pojechać tam byłoby wyprawą niezwykle niebezpieczną. Prędzej czy później trzeba będzie jechać. Katia zaczęła się już przygotowywać do ucieczki z Rosji. Nawet gdyby miało się okazać, że Jan nie żyje, była zdecydowana wyjechać do Polski, do Krakowa. Trzeba będzie przedostać się do granicy z Łotwą i dalej przez Litwę w kierunku Warszawy. Władzę sprawowali tam Niemcy. Wydawało się, że najtrudniej będzie na terenie Rosji.



Bolszewicy unieważnili wszystkie paszporty wydane wcześniej, carskie i kolejnych rządów tymczasowych powołanych po rewolucji lutowej. Katia i Nastia poszły do urzędu, odstały po kilka godzin w kolejkach i dowiedziały się, że na razie nie wydaje się paszportów zagranicznych, bo trwa akcja wydawania paszportów wewnętrznych.

– Więc kiedy?

– Może za kilka miesięcy... Dowiadywać się!

Kiedy zrezygnowana szła korytarzem do wyjścia minęła się z mężczyzną w mundurze czekisty o wyraźne semickich rysach.

– Halo, towarzyszek! – zawołał ją.

Kiedy popatrzyła uważniej, jego twarz wydała jej się znajoma. Musiała go kiedyś widzieć.

– Jekatierina Niesłuchowa, prawda?

– Tak. – Nagłe zainteresowanie czekisty budziło przerażenie.

– Nie pamięta mnie pani? Dobrze znałem pani brata. Kiedyś mi pani bardzo pomogła. Pani nie pamięta? Niedługo przed wojną, kiedy uciekłem żandarmom. Dała mi pani parę rubli i adres Igora. No, mam wobec was obojga dług wdzięczności. Moisiej Uricki, jestem szefem Czeka w Piotrogradzie. Jeśli mógłbym w czymś pomóc, to chętnie...

Uricki miał rzeczywiście wielki dług wdzięczności wobec Niesłuchowa. Igor torturowany w śledztwie nie wyjawiał, od kogo wie o przekazaniu przez Lenina planów ofensywy Brusilowa Niemcom. Gdyby powiedział, Uricki mógł skończyć z kulą w potylicy.

Katia powiedziała, że potrzebuje paszportów dla siebie i Nastii.

– Załatwię, to drobnostka. Proszę do mnie przyjść w przyszłym tygodniu, w piątek.

Katia dostała wizytówkę, która miała służyć za przepustkę w biurach Czeka, i uszczęśliwiona pobiegła do domu, podzielić się z Nastią dobrą wiadomością. Przez kolejne dni siedziała nad mapami, dowiadywała się o połączenia kolejowe, o bilety, przeglądała stare i nowe gazety w poszukiwaniu wiadomości o sytuacji na trasie przejazdu. Na dworcu dowiedziała się, że na Litwie i Łotwie pod nadzorem niemieckim kolej funkcjonuje znacznie lepiej niż w Rosji. Jak dostanie paszporty, jeszcze tylko pojedzie do Gołubych Prudów po brylanty – a potem w drogę! Była dobrej myśli i nie mogła się doczekać piątku.

W czwartek przeczytała w gazecie, że poprzedniego dnia Uricki został zastrzelony przez poetę Leonida Kannegisera. Był 31 sierpnia 1918 roku. Tego samego dnia w Moskwie Lenin został ciężko zraniony w zamachu po wiecu w fabryce Michelsona. Teraz bolszewicy proklamowali już jawnie bezwzględny czerwony terror.

Próbowała jeszcze rozmawiać z zastępcą Urickiego. Ale ten o niczym nie

wiedział i kazał jej się wynosić.

<sup>1</sup>Nadzwyczajna Komisja do Spraw Przydziału Walonek i Kozuchów.  
Autentyczne.

## Moskwa, Kreml

– Towarzyszu Lenin, Jakowlew wyjechał wczoraj. – Swierdłow, przewodniczący Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, wszedł do gabinetu Lenina. Wódz podpisywał dokumenty podsuwane mu przez sekretarza, Boncz-Brujewicza. Podniósł dłoń, przerwał. Swierdłow zamilkł. Lenin skinął na sekretarza, żeby wyszedł.

– Jakowie Michajłowiczu. – Spojrzał, krzywiąc się, jakby połknął coś gorzkiego. – Nie przy ludziach! Więc co z tym Jakowlewem?

– Dostał pismo od WCIK-u, że jest pełnomocnikiem i wszyscy mają wykonywać jego polecenia. Ma przewieźć cara i jego rodzinę do Moskwy na proces.

– Wierzy w to?

– Oczywiście. – Swierdłow gwałtownie zakaszłał. Przyłożył chusteczkę do ust, pluł krwią, miał zaawansowaną gruźlicę.

Lenin odwrócił się z obrzydzeniem. Jak najdalej, byle się nie zarazić. Swierdłow krztusił się i charczał.

– No dobrze. – Włodzimierz Iljicz wstał i założywszy dłonie za plecami, przechadzał się po ogromnym gabinecie. Myślał, milczał. Swierdłow nie śmiał się odezwać. Lenin wreszcie wskazał mu krzesło obok wielkiego stołu konferencyjnego. Sam usiadł na drugim końcu. – Teraz trzeba to bardzo starannie rozegrać – powiedział. – Jakowlew jest przekonany, że ma przewieźć Romanowów do Moskwy? Tak? Trocki już się cieszy. Pragnie być sławny na cały świat jako oskarżyciel, który byłego cara Rosji zaprowadzi na szubienicę. Niech tak sobie myśli. Chyba nie rozumie, że takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia. Można by oskarżyć cara, a nawet carycę, ale co z córkami i synem? Co z resztą Romanowów? Przecież nie możemy skazać dzieci. A trzeba zlikwidować wszystkich. Wiecie, Jakowie Michajłowiczu, jak się o tym niegdyś wyraził Nieczajew<sup>1</sup>?

– Nie, nie słyszałem.

– Kiedy go ktoś zapytał, kogo z Romanowów należy skazać i zlikwidować, powiedział, że całą Ektenię<sup>2</sup>! Całą Ektenię! – Lenin się roześmiał. – To genialne w swojej prostocie. Wszystkich! Trocki tego nie rozumie. A Zinowjew jak najbardziej, też popiera...

– Ale co powiemy Anglikom? Przecież wzięliśmy już pół miliona funtów za życie Mikołaja. I chcą dać jeszcze więcej.

– No właśnie! Pieniądze trzeba brać, skoro dają. To nie my go zlikwidujemy. Trzeba tak pokierować Jakowlewem, żeby cała rodzinica wpadła w ręce uralskiego komitetu w Jekaterynburgu.

– No tak, ale czy myślicie, że odważą się ich zlikwidować bez naszej zgody?

– Damy im znać przez specjalnego kuriera, że mają wolną rękę. Nie marzą o niczym innym.

– Radek opowiada, że nawet Niemcy chcą zapłacić za życie Mikołaja. A Amerykanie planują przewieźć go do Władywostoku i tam wsadzić na statek do Europy.

– Nie zaszkodzi wykryć jakiś spisek białych zmierzający do ocalenia cara. Legion Czechosłowacki też niedaleko i mógłby chcieć ratować... Trzeba to nagłośnić. Trzeba pisać, że Romanowowie spiskują z białymi, że chcą nam uciec. Mikołajek i rodzina są dla nas świetną kartą przetargową. Trzeba grać nimi tak długo, jak to będzie możliwe. Potem Biełoborodow i komitet uralski ich zlikwiduje, a my będziemy mogli powiedzieć: „No trudno, gniew ludu! Chcieliśmy ratować, ale się nie udało, przykro nam bardzo”. – Lenin się zamyślił i chwilę stał nieruchomo. – Jest jeszcze jeden powód – powiedział. – Zlikwidowanie cara z rodziną scementuje partię. Po tym nie będzie już odwrotu i wszyscy to zrozumieją. Będą musieli zwyciężyć albo zginąć, trzeciej drogi już nie będzie. Jakowie Michajłowiczu, to jest delikatna i trudna gra. Musimy panować nad biegiem wydarzeń. Trocki nie może się dowiedzieć.

– Oczywiście.

– Został komisarzem armii i floty, to go zajmie, nie będzie miał czasu.

<sup>1</sup> Siergiej Nieczajew (1847–1882), rewolucjonista i morderca skazany za zabicie innego rewolucjonisty na dożywocie w Twierdzy Piotropawłowskiej. Zmarł tam w 1881 roku.

<sup>2</sup> Ektenia – rodzaj litanii obecnej w rozmaitych rytach Liturgii w kościołach wschodnich.

## Tobolsk

Karsow dotarł do Tobolska w połowie maja. Za późno! Cara już tam nie było. Trzy tygodnie wcześniej Romanowowie zostali wywiezieni przez bolszewików gdzieś na zachód. Karsow nie miał jasnych informacji. Może do Moskwy, może do Jekaterynburga. W jednym i drugim przypadku nie mógł już mieć nadziei na oswobodzenie cesarza. W Jekaterynburgu stała 3. Armia czerwonych. Ze swoimi dwustu kawalerzystami nie mógł nawet marzyć o przedsięwzięciu jakichś działań.

Ludzie opowiadali, że kiedy carska rodzina była w mieście, w pałacu dawnego gubernatora, bardzo jej pomagał miejscowy klasztor i jego przełożony. Carowi i jego świcie, składającej się jeszcze wówczas z kilkudziesięciu osób, dostarczano żywność, opał, przeor odprawiał dla nich mszę.

Kiedy przyszli bolszewicy, przeora zaraz aresztowali. Miasto leży u ujścia Tobołu do Irtysza. Rzeką kursowały statki parowe, bocznokołowce. Bolszewicy przywiązali przeora do koła napędowego statku i kazali kapitanowi płynąć w górę rzeki. Przeor na zmianę znikał wraz z obracającym się kołem pod wodą i wynurzał. Pogrążał się i wynurzał. Woda była lodowata, był kwiecień, po kilku minutach udusił się lub zmarzył.

Karsow próbował znaleźć winnych, lecz jego żołnierze schwytali tylko jednego z członków komitetu partii. Powiesili go bez zbędnych dochodzeń. Pułkownik postanowił iść ze swoim oddziałem na Daleki Wschód. Dochodziły wieści, że na pograniczu chińsko-mongolskim działają duże oddziały białych monarchistów Siemionowa i barona Ungerna von Sternberga. Może to ostatni prawdziwi monarchiści w Rosji?

## Berlin, więzienie Moabit

Jan budził się przed szóstą, wstawał, kiedy jego dwaj koledzy z celi jeszcze spali, gimnastykował się. Podciągał się na górnych pryczach, ciężkie stołki służyły za hantle. Potrzebował ruchu i czuł potrzebę narzucenia sobie dyscypliny. Dni miały podobne do siebie jak krople wody, czas włókł się niemiłosiernie. W sześciuosobowej celi siedział z dwoma Niemcami. Jeden, ślusarz z fabryki Kruppa, zidiociał alkoholik, po pijanemu zabił żonę siekierą, dostał dwadzieścia lat. Nazywał się Hans Knopke.

– Czy to ja zabiłem – mówił – czy nie ja? Nie wiem. Nic nie pamiętam. Jak się obudziłem, leżała w kuchni nieżywa. Może ja, a może nie... Faktycznie, baba była z niej wściekła, czasem musiałem przyłożyć, ale żeby zabić? Sam nie wiem.

– A był tam ktoś jeszcze? – pytał Leopold.

– Chyba nie...

– No to widocznie popełniła samobójstwo, wałać się siekierą w głowę – śmiał się Leo.

Był oskarżony o szpiegostwo na rzecz Francji i czekał na rozprawę. Niewiele mówił, ale lubił pokpiwać z Hansa. Znali tylko jego imię. Obaj ciężko znosili więzienie. Noc i sen były dla nich ucieczką od beznadziejnej rzeczywistości. Rano przed pobudką naciągali mocniej koce na głowy i dopiero kiedy zgrzytał klucz w drzwiach, zrywali się na nogi i stawali na baczność obok swych prycz.

– Melduję stan trzech, obecnych trzech – wołał dziarsko Hans, ledwie otwierając zaspane oczy.

Jan po śniadaniu mył blaszane naczynia, sprzątał celę. Nie znosił brudu i bałaganu, więc sprzątał za siebie i za nich. Na spacerze szedł zawsze szybkim krokiem, utykając, próbował trochę biec, chociaż truchtem. Potem w celi pisał wspomnienia i rodzinną opowieść o Szawernowskich – dla Janka. Uzbierało się już tego kilkadziesiąt stron.

Po obiedzie wędrował od drzwi do okna i z powrotem. Celę dokładnie wymierzył. Hans miał 178 centymetrów wzrostu. Jan poprosił go, by położył się na podłodze, i zaznaczył, dokąd sięga. Mieścił się na przestrzeni od drzwi do okna trzy razy i zostawało jeszcze trochę, jakieś trzydzieści centymetrów. Więc cela miała pięć metrów i sześćdziesiąt centymetrów długości. Pięćset trzydzieści razy tam i z powrotem dawało sześć kilometrów marszu. Trochę bolało, lekko kulało, lecz starał się nie zwracać na to uwagi. Maszerował. Dzień w dzień, niezmiennie.

Do kolacji czytał. Więzienna biblioteka nie była zbyt dobrze zaopatrzona, ale nie brakowało niemieckiej klasyki. Czytał Goethego, Schillera. Natrafił na dziwne i niepokojące opowiadania Franza Kafki.

Starał się być w dobrych stosunkach z oddziałowymi, więc dostawał od nich

stare gazety. Śledził, co się dzieje na frontach wojny. Amerykanie walczyli już w Europie, porażka państw centralnych była przesądzona. Jan uważał, że wojna zbliża się do końca. Ale Niemcy wciąż wierzyli w zwycięstwo.

Wieczorami, przed snem, przychodziły wspomnienia. Przywoływał je także po to, żeby opowiedzieć Jankowi. Pamiętał wszystko zdumiewająco dokładnie. Pamiętał, jak ubrana była Katia w Krakowie na rynku w Poniedziałek Wielkanocny, jak w Wiedniu, jak cudownie jaśnieje, kiedy śpiewa. Słyszał, jak śpiewała w Gołubych Prudach, w pałacu Jusupowych w Petersburgu, a potem w Wiedniu. Pamiętał, jak pachniało morze, kiedy płynęli stateczkiem *Gordyj* do Kronsztadu, jak pierwszy raz kochali się w szpitalu w Berlinie. Jeszcze kilka miesięcy, wojna się skończy i znów będą razem.

W kwietniu dowiedział się, że od czasu podpisania pokoju brzeskiego poczta zaczyna normalnie działać i możliwe byłoby wysłanie listu do Rosji. Lecz oddziałowy poinformował go, że więźniowie nie mają prawa wysyłać listów za granicę. Zwłaszcza ktoś, kto był podejrzewany o szpiegostwo.

Poprosił o rozmowę z naczelnikiem.

Pułkownik von Bredow był starym żołnierzem. Stracił rękę na wojnie, lecz nie chciał przestać pracować, na front już nie powrócił, zrobiono go naczelnikiem więzienia. Nie był z tego powodu szczęśliwy.

– Regulamin, panie majorze, nie pozwala – tłumaczył Janowi. – Wolno korespondować tylko z jedną osobą, a pan wskazał brata. Nie można tego zmieniać, chyba żeby brat zmarł. Nic nie poradzę.

– Panie naczelniku, przecież pan wie, dlaczego tu jestem. Już raz wysłałem listy do żony przez Hamburg. Mogłem się tam dostać, ponieważ miałem specjalnie po to wystawioną delegację przez generała Gerockego. Tym razem nie miałem takiej możliwości. Bardzo pana proszę! Pan także walczył z Rosjanami w tej wojnie. Ja byłem w Legionach Polskich, jesteśmy towarzyszami broni. Proszę...

– No tak, tak. – Pułkownik chodził po gabinecie, palił papierosa, częstował Jana, który nie palił, więc kazał przynieść kawę. Widać było, że jest mu przykro odmówić. – Pamiętam, pamiętam, dobrze walczyliście, Polacy. Nasi nadali zdobytym przez was miejscom nawet takie nazwy: Polnische Berg, Polnische Wald, Polnische Brücke... Na apelach oddziały wiwatowały na waszą cześć.

– Nam też dużo lepiej współdziałało się z wami niż z Austriakami. Na nich nie można było liczyć, a na was zawsze.

– Bardzo mi przykro, bardzo, lecz nie mogę łamać regulaminu, niech pan zrozumie.

Dla pruskiego oficera regulamin był święty.

Jednak następnego dnia Jan został wezwany do pułkownika.

– Niech pan napisze ten list. Panu nie wolno go wysłać, więc da go pan mnie. Ja wyślę, mnie wolno.

Jan uściśnął mu dłoń. Napisał, opowiedział Katii ostatnie wydarzenia. Tęskni, drży o nich, natychmiast pojedzie po nią i po Janka do Rosji, kiedy tylko go wypuszczą i wojna się skończy.

Na początku czerwca przyszedł list od Władka. Dopisał tylko kilka słów na odwrocie listu od Katii. Przyszła od niej do Borowic cała paczka dwudziestu siedmiu listów, lecz według regulaminu więzień Moabitu mógł dostawać tylko jeden miesięcznie, wszystkie były otwierane i kontrolowane, więc Władek przysłał ostatni. Z tego, co Katia pisała, nie wynikało, czy ostatni list Jana do niej już dotarł. Raczej ich listy się minęły.

Pocieszające było tylko to, że są zdrowi, Janek rośnie, Katia wciąż opowiada mu o ojcu. Lecz głód zagładający im w oczy, niepewność jutra, niemożliwość wydostania się z bolszewickiej Rosji – to było przerażające. Cóż mógł zrobić? Tłuc głową w ścianę?! Miotał się tego dnia po celi i nie mógł się uspokoić. W nocy przewracał się bezsenne na pryczy z boku na bok, mokry od potu. Modlił się za nich, błagał Boga, żeby ich ocalił. Zasnął na chwilę nad ranem i obudził się cały obolały. Napisał do brata, prosił go, żeby przeczytał wszystkie listy Katii i relacjonował mu pokrótce, co pisze.

\* \* \*

Któregoś dnia po południu przyprowadzono do celi nowego więźnia. Od razu powiedział, że jest Polakiem i pamięta Jana z II Brygady Legionów. Jan go nie pamiętał. Mateusz Korwin-Piotrowski był w Legionach szeregowcem, przed wojną studentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

– Pan był na ochotnika w szarży pod Rokitną, wiem, słyszałem – powiedział.

Rozmawiali godzinami. Mateusz, zapalczywy choleryk, wdał się w bójkę z niemieckim strażnikiem w obozie internowania, poranił go i miał stanąć przed sądem w Berlinie. Jan dowiedział się od niego o losach II Brygady po tym, kiedy sam trafił do szpitala. Prawie cała I Brygada, zgodnie z wezwaniem Piłsudskiego, odmówiła złożenia przysięgi i została osadzona w obozach internowania. W II poszła w ich ślady tylko niewielka część. Mateusz przysięgę złożył.

– W połowie lutego – opowiadał – dowiedzieliśmy się o traktacie pomiędzy państwami centralnymi a Ukrainą oddającym jej Ziemię Chełmską. Wtedy wypowiedzieliśmy posłuszeństwo Niemcom i przebiliśmy się na wschód przez front pod Rarańczą. Po drodze starliśmy się i z Niemcami, i z Austriakami. Straciliśmy całą artylerię, ale przebiliśmy się. Zostałem lekko ranny, straciłem przytomność i dostałem się do niewoli. Tak trafiłem do niemieckiego obozu jenieckiego. Reszta brygady, jakieś tysiąc sześciuset ludzi, weszła na tereny zajmowane przez Rosjan. Szli połączyć się z II Korpusem Polskim, należącym do składu armii rosyjskich, a teraz walczącym z bolszewikami. Słyszałem, że doszło do spotkania, lecz dalszych losów nie znam.



– Więc Druga Brygada walczyła po kolei z wszystkimi trzema zaborcami – rzekł Jan. – To może być ważne, kiedy zawierany będzie pokój i dojdzie do podziału Europy. Myślę, że decydować będą Anglia i Francja, a to jest dowód, że nigdy nie byliśmy ich wrogami, walczyliśmy z Rosją nie dlatego, że jest sojusznikiem aliantów, lecz o naszą wolność. To bardzo dobrze.

– Piłsudski miał rację. Ja dawniej myślałem jak Dmowski, że trzeba trzymać raczej z Rosją, ale biali nie chcą słyszeć o niepodległej Polsce, a czerwoni to bandyci, dżuma i cholera.

Wieczorem funkcjonjani roznosili po celach wrzątek do parzenia herbaty, do mycia, do prania. Jan pił herbatę, moczył stopy w ciepłej wodzie. To było przyjemne i kojące. Rozgrzewał się w ten sposób. W celi panował ziąb, a stare mury były wilgotne. Stale brzmiały mu w uszach słowa ostatniego listu Katii: „Jan, czemu nie możemy być razem?! Jan, nie mam już siły, ratuj nas! Zginiemy bez Ciebie!”. Nigdy przedtem nie było w jej listach tyle żalu i rozpacz, raczej starała się uspokajać jego obawy.

## Moskwa

Lenin się niecierpliwił. Od kilku dni oczekiwał przybycia przywódcy uralskiego sowietu i członka KC partii. Kiedy Boncz-Brujewicz powiedział, że Gołoszczokin już czeka, kazał go prosić natychmiast. Rzucił wszystko, wstał z biurka i szedł witać z wyciągniętą ręką.

Usiedli przy stole.

– No, mówcie! Jekaterynburg się nie utrzyma?

– Niestety, to niemożliwe. Korpus Czechosłowacki coraz bliżej. Idą z białymi i z kozakami, mają siedemdziesiąt tysięcy ludzi, okrążają nas od wschodu i południa. Wzięli Tiumeń, Kysztym, Miass, Złatous, Szadrińsk. Z Miassa to już tylko dwieście kilometrów. Wiecie, że panują nad całą azjatycką częścią Kolei Transsyberyjskiej. Utrzymamy się najwyżej miesiąc, trzeba będzie kapitulować albo uciekać.

– Kapitulować nie radzę, ale trudno, wiecie, że nie możemy wam teraz pomóc. Co z Mikołajkiem, wykryliście spisek?

– Tak, Włodzimierz Iljiczu. Mamy spisek. Łukojanow, dobry czekista, dobrze się spisał. Najpierw pozwolił mnichom z klasztoru Nowoochtińskiego dostarczać rodzinie żywność. Potem w korku butelki na mleko umieścił list niby od anonimowego oficera wiernego carowi, gotowego na śmierć za cara. Stoi rzekomo na czele oddziału przygotowującego uwolnienie ich wszystkich. Napisał to po francusku Safarow, bardzo wiarygodnie, powołał się na znajomość i współdziałanie z księciem Dołgorukowem.

– Ale Dołgorukowa przecież już zlikwidowaliśmy!

– Car o tym nie wie. Dał się wciągnąć w tę grę. Na znak, że decyduje się uciekać, mieli w nocy otworzyć jedno z okien i przekazać plan domu, informację o tym, w których pokojach są rozmieszczeni i gdzie jest wewnętrzna warta. Awdiejew wtedy pozwolił im otworzyć kilka okien, o co od dawna prosili, bo tam straszne upały i wewnątrz duszno po prostu nie do wytrzymania. Mikołaj odpisał.

– Bardzo dobrze.

– Ale też zapisał w swoim dzienniku.

– Skąd wiecie?

– Łukojanow wszedł do pokoju, kiedy car był na spacerze, przeczytał. To bardzo mocny dowód. Jak ich zlikwidujemy, list i ten dziennik zaświadczą o spisku. Oni tam wszyscy piszą dzienniki, car, caryca, nawet ten gnojek Aleksy. Dziennikarze, cha cha! – Śmiał się z własnego dowcipu.

– Świetnie, towarzyszu Gołoszczokin! – Lenin zadowolony zacierał dłonie. – Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Ale, czy nie ma aby jakiegoś prawdziwego spisku na rzecz uwolnienia cara? Może nic o tym nie wiemy.

– Nie, towarzyszu Lenin. Mikołaj Drugi jest znienawidzony przez wszystkich. Nawet ci Czesi i biali jakby nie bardzo się spieszą do Jekaterynburga.

– Dobrze! Więc czekajcie na sygnał od nas. Ale gdybyśmy wobec sytuacji nie zdążyli, róbcie swoje. Ciała spalić, zniszczyć, unicestwić. Żadnych śladów. I, oczywiście, działacie na własną rękę. Moskwa o niczym nie wie. Zmusiła was sytuacja, połączenia telegraficzne zerwane. Sprawiedliwy gniew ludu.

– Tak jest, towarzyszu Lenin.

## Jekaterynburg

Jeszcze pod koniec maja spadł gęsty, mokry śnieg. Ale w czerwcu i lipcu szybko się ocieplało, aż przyszły upały. Dom inżyniera Ipatiewa stał na najwyższym wzniesieniu w mieście naprzeciw cerkwi. Bolszewicy wezwali inżyniera do sowietu i kazali mu się natychmiast wynosić, meble zostawić. Obiecali, że niedługo dom mu zwrócą.

Okna zostały zabite i zamalowane wapnem. W domu zrobiło się gorąco jak w hucie i duszno nie do wytrzymania. Straż wewnętrzna mieszkała na parterze i nawet Jurko się męczył i pocił, choć u nich okna były otwarte. Car zgłaszał prośby do straży o otwarcie chociaż kilku. Kiedyś walczył z cesarzami – Wilhelmem i Franciszkiem Józefem – a teraz walczył ze strażą o otwarcie okien. Przyszła jedna, a potem druga komisja z uralskiej rady delegatów, chodzili, oglądali, niczego nie postanowili. Cara z dziećmi wypuszczali codziennie na pół godziny na spacer dookoła domu. Caryca nie mogła wstać z łóżka z powodu rwy kulszowej, czasem poruszała się na trzykołowym wózku inwalidzkim. Cierpiała na straszne bóle głowy, a carewicz po kolejnym urazie kolana też nie mógł chodzić.

Iwan Jurko był w oddziale pilnującym cara w Tobolsku i pojechał z nim, kiedy Jakowlew zabierał cesarską rodzinę do Moskwy. Zatrzymana przez uralskich bolszewików utknęła w Jekaterynburgu. Mógł już odejść ze służby, ciągnęło go do domu, do rodziny.

No i ziemia!

Warto by zobaczyć własny kawał ziemi pod lasem, spłacany ciężką pracą przez dwanaście lat, choć teraz już tam gospodarują zięć z córką. Przez te pięć lat pisał do nich z zesłania, a potem z frontu kilka razy, ale odpowiedź dostał tylko raz, jeszcze w okopach. Nic dziwnego, pisać nie umieją, muszą z tym chodzić do cerkwi, do popa. A teraz może już nie ma ani cerkwi, ani popa.

Codziennie widywał cara, bardzo rzadko carycę, często ich córki, cztery piękne księżniczki, i chorowitego Aleksego. Czytały Biblię, bawiły się, piorąc i prasując, piekąc jakieś ciasteczka. Rozmawiały z żołnierzami, chciały się z nimi zaprzyjaźnić. Jurko nie przemówił do nich ani słowa.

Nienawidził ich wszystkich. Swój nienawiści do cara był niewzruszenie wierny. Wierzył mocno, że prędzej czy później Mikołaj Krwawy, jak go nazywali komuniści, zostanie osądzony i powieszony albo rozstrzelany. Chciał przy tym być, zobaczyć to; chętnie sam by mu założył pętlę na szyję. Nienawidził także popów, a nawet samego Pana Boga. Sam się zastanawiał, czemu nienawidzi Boga. Lecz właściwie... To jasne, skoro Pan Bóg uczynił swoim namiestnikiem na ziemi rosyjskiej cara Mikołaja II. Zrozumiał: Pan Bóg jest też panem jak inni panowie, więc trzyma z panami! Rodzinę cara nienawidził, choć nic mu nie zawiniła, jak

nienawidził wszystkiego, co związane z carem, samodzierżawiem i tamtym czasem, kiedy sędzia carski, a potem sam car tak go strasznie skrzywdzili i poniżyli.

W Tobolsku rodzina żyła w otoczeniu trzydziestu dziewięciu sług i osób towarzyszących. W Jekaterynburgu byli tylko doktor Botkin, lokaj, pokojowa, kucharz, kuchcik Siedniew i opiekun carewicza, marynarz, który nosił go na rękach, gdy chłopiec chorował. Marynarz gdzieś zniknął. Potem nawet kuchcik gdzieś zniknął. Rozstrzelali ich, dopiero później się o tym dowiedział. Wyżywienie było coraz gorsze. I bardzo dobrze, uważał Iwan, choć to samo dostawał on i wszyscy wartownicy.

Dom Ipatiewa otoczono czterometrowym płotem byle jak skleconym z desek. Kto tam mieszka, miało pozostać tajemnicą. Ale i tak wszyscy w mieście wiedzieli, kim są mieszkańcy „domu specjalnego przeznaczenia”.

Każdego ranka dowódca straży, Awdiejew, przed wojną ślusarz, obchodził wszystkie pokoje zajmowane przez rodzinę, sprawdzał stan osobowy. Nie wolno im było się zamykać nawet na noc, więc specjalnie wchodził nieraz bardzo wcześnie, zanim jeszcze wstali.

Cara straż nie odstępowała nawet w ubikacji. Stanowiło to stały powód do chamskich żartów. Iwan też czasem asystował Mikołajowi, carowi Wszechrusi, kiedy zasiadał na sedesie i się wypróżniał.

Na początku lipca komendantem domu Ipatiewa został stary znajomy Iwana Jakow Jurowski. Od jakiegoś czasu mieszkał w Jekaterynburgu z matką, żoną i dziećmi. Przyszedł ze swoimi ludźmi. Tylko zewnętrzną straż złożoną z czerwonoarmistów pozostawił bez zmian. Mieszkała po drugiej stronie stromo opadającej w dół ulicy, w domu Popowa. Wszystkich wewnętrznych wartowników Jurowski zwolnił. Z Iwanem przywitał się serdecznie. Nie widzieli się od lat. Byli razem na zesłaniu, a potem krótko na froncie, bo Jakow szybko został przeniesiony do korpusu sanitarnego.

– Jak chcesz, Iwan, to zostań – powiedział Jurowski. – Mógł-byś mi się przydać, pomóc, potrzebuję zaufanych ludzi. Mam tutaj ważną rzecz do zrobienia.

– A co takiego?

– Powiem ci, jeśli zdecydujesz się zostać.

– Zostaję – zdecydował Jurko. Czuł, że to będzie coś naprawdę ważnego.

– Zlikwidujemy cara i rodzinę.

– Wszystkich? Dzieci też?

– Oczywiście, służących również.

– Kiedy?

– To jeszcze nieustalone.

\* \* \*

Przez dwa dni Iwan jeździł z Jurowskim i Jermakowem po okolicy w poszukiwaniu dobrego miejsca ukrycia zwłok. O kilkanaście wiorst od miasta, koło wsi Koptiaki, znaleźli dawno porzuconą kopalnię złota. Dwa szyby, głębokie na kilka metrów, znajdowały się na dużej polanie zwanej Czterema Braćmi od czterech wysokich starych sosen rosnących na jej czterech rogach. Na dnie mimo upału wciąż utrzymywało się trochę wody. Miejsce było dobre, z daleka od siedzib ludzkich.

\* \* \*

Trzynastego lipca przyszła gwałtowna burza, deszcz lał dwa dni, a potem znów się wypogodziło. Upał już tak nie doskwierał, przez nieliczne okna, które pozwolono otworzyć, płynęły wonie pobliskich ogrodów. Caryca odnotowała to z ulgą w swoim dzienniku.

*Baby czuje się trochę lepiej, lecz nadal stać może tylko na jednej nodze. Czytaliśmy Biblię, Księgę Powtórnego Prawa. Wieczorem grałam z Mikołajem w bezika. Poszliśmy spać o 10.30.*

Car przeglądał na wrywki swoje zeszyty, w których z niezwykłą sumiennością przez wiele lat codziennie zapisywał, co się wydarzyło. Trafił na dzień w 1911 roku, kiedy w kijowskim teatrze Bogrow zastrzelił premiera Stołypina. Dobrze pamiętał: „Boże, błogosław cara!”, powiedział ranny, umierając. Ale w krótkim zapisie z tego dnia nie było ani słowa o zamachu, ani o Stołypinie. Mikołaj pisał o przedstawieniu i o uroczystej kolacji. Teraz nawet trochę się zdziwił: dlaczego tylko tyle?

Odnalazł zeszyt z 1894 roku, koronacja w Moskwie, powitania zagranicznych delegacji, bal... Ani słowa o masakrze ubogich na Chodynce, kiedy zginęło kilkuset ludzi spośród półmilionowego tłumu pragnących raz wreszcie najeść się do syta przy zastawionych dla nich stołach. Tratowali się, wpadając do źle zabezpieczonych wykopów w pobliżu. Niektórzy mieli mu to za złe, ale nie mógł przerwać uroczystości, balu, tańców. Przybyły przecież koronowane głowy z całej Europy.

W zeszycie z początku 1905 roku znalazł zapis o „krwawej niedzieli”. Przyjął potem delegację robotniczą. Wyraził niezadowolenie, że demonstranci, do których policja otworzyła ogień, śmieli chcieć przedstawiać mu swoje prośby. Sam dobrze wie, czego im brakuje, sam zadba o wszystko, czego im trzeba.

\* \* \*

W południe, kiedy odbywał swój codzienny spacer wokół domu, nagle przypomniał sobie, gdzie widział tego mrukliwego strażnika, który pilnował go w Carskim Siole, potem w Tobolsku i wreszcie tutaj, w Jekaterynburgu. Tak,

patrzył właśnie na niego, siedział na podmurówce ogrodzenia z karabinem na kolanach, palił papierosa, jak zwykle z ponurym wyrazem twarzy. Car miał świetną pamięć do twarzy. To było w okopach, kiedy wizytował front i był filmowany przez dziennikarzy.

– No, przyjacielu – powiedział. – Przypomniałem sobie. To ty twierdziłeś, że co czwarty żołnierz na froncie nie ma karabinu ani butów, prawda?

– Tak było.

– Nie wierzę. – Car pokręcił głową. – Oficer dał słowo honoru.

Iwan zacisnął zęby. Podniósł karabin. Przez chwilę gotów był zastrzelić Mikołaja II na miejscu. Ujął gałkę zamka, miał zarepetować. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Zobaczył zdziwienie w oczach cara i chyba przerażenie.

Już niedługo!

\* \* \*

Rano szesnastego lipca Jurowski kazał Igorowi przyjść do domu Popowa naprzeciwko „domu specjalnego przeznaczenia”. Było tam już kilkunastu czekistów i Łotyszy. Kazał zamknąć drzwi. Na stole leżały nagany, colty i browningi. Usiedli na krzesłach, słuchali.

– Dziś, towarzysze, dokona się wyrok dziejowej sprawiedliwości – mówił Jakow Jurowski. – Rozstrzelamy tę swolocz. Czas najwyższy. Musimy podzielić się zadaniami. Każdy z was będzie miał za zadanie zabić jedną z osób. Będzie nas tylu, ilu ludzi do rozstrzelania. Ustalmy, kto kogo.

– Ja chcę cara – powiedział Paweł Miedwiediew.

Jego brat potakiwał:

– Pasza najwięcej wycierpiał!

Odezwały się głosy protestu, każdy chciał zabić cara.

– Ja mam prawo – przekonywał Miedwiediew. – Dwanaście lat byłem na katordze. Ktoś z was więcej przecierpiał?

Zamilkli.

– Dobrze – zgodził się Jurowski.

– Więc ja carycę, Niemkę wredną – odezwał się Nikulin.

– Dobrze. A wy zabijecie księżniczki – rzekł Jurowski, patrząc na Łotyszy.

– Ja nie będę strzelał do dziewcząt – powiedział jeden z nich.

– Ja także.

– No to wynoście się stąd i ani pary z gęby, bo pożałujecie.

Dwaj Łotysze wyszli.

– Imre<sup>1</sup>, to może ty? – spytał Jurowski.

– Chętnie. Którą?

– Olgę, najstarszą, wiesz, która to?

– Wiem.

– Ja Tamarę – zgłosił się Aleksy Kabanow, kiedyś lejbgwardzista Mikołaja. Teraz chciał się zasłużyć nowej władzy.

– Ja mogę Aleksego.

Rozdzielili pozostałych. Każdą z sióstr, lokaja, doktora Botkina, pokojową i kucharza. Wzięli pistolety i rewolwery. Jurko wybrał browninga.

– Celować w serce – rzekł Jurowski. – Wszystko musi się odbyć szybko i sprawnie.

\* \* \*

Szesnastego lipca w mieście słyhać już było artylerię białych. Jurowski powiedział Iwanowi, żeby tej nocy nie kładł się spać i czekał. Było po północy, kiedy przyszedł jeden z czerwonoarmistów i powiedział, że Jurowski kazał przyjść do sutereny. Iwan wyjął z szafy butelkę spirytusu, nalał pół szklanki, wypił.

Na parterze zobaczył, jak car i wszyscy pozostali więźniowie wychodzą na zewnątrz i kierują się do bocznego wejścia prowadzącego do zamkniętego składu i pokoju w suterenie. Car niósł na rękach Aleksego, obaj byli w kurtkach mundurowych i wojskowych czapkach. Kobiety w sukniach bez wierzchnich okryć. Kilka z nich niosło poduszki.

Prawie godzinę wcześniej Jurowski obudził ich i powiedział, że wobec zbliżającego się Korpusu Czechosłowackiego w mieście jest niebezpiecznie i mają zejść do piwnicy. Bardzo długo się ubierali. Narożny pokój był zupełnie pusty, okna zakratowane. Usłyszeli warkot ciężarówki, silnik pracował na wysokich obrotach. Weszli do sutereny. Dwunastu oprawców zatrzymało się przed otwartymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Jermakow chwiał się na nogach i coś bełkotał niezrozumiale, był kompletnie pijany. Iwan przyglądał się pozostałym. Wszyscy byli pijani z wyjątkiem zupełnie trzeźwego Jurowskiego.

– Nie ma nawet na czym usiąść – oburzyła się caryca. – Jak długo będziecie nas tu trzymać?

– Niedługo – rzekł z uśmiechem Jurowski i kazał przynieść krzesła.

Przynieśli tylko dwa, caryca usiadła na jednym, na drugim car posadził Aleksego.

– Proszę stanąć tutaj, wy tu, a wy tam – dyrygował Jurowski. – Zrobimy wam zdjęcie, bo pojawiają się plotki, że uciekliście.

Księżniczki stanęły po obu stronach rodziców, a doktor Botkin, Demidowa, lokaj Trupp i kucharz Charitonow na prawo pod oknem. Jurowski wyjął kartkę z kieszeni i czytał:

– Wobec wykrycia białogwardyjskiego spisku mającego na celu uwolnienie byłego cara Mikołaja Drugiego, Uralski Komitet Rewolucyjny nakazuje was wszystkich rozstrzelać.

– Co? Co? – krzyknął car. – Nie wiecie, co czynicie...



Jurowski wyjął z kieszeni rewolwer, reszta zabójców już się tłoczyła w drzwiach. Jurko był szybszy, strzelił do cara, w serce. Jurowski trafił upadającego w głowę. Car osuwał się powoli na ziemię, lecz wszyscy naraz do niego strzelali, jeden przez drugiego zza pleców, aż ogień z luf parzył stojących w pierwszym rzędzie, któregoś z nich kula musnęła w dłoń.

Krzyk przerażonych.

Druga upadła caryca, chciała się przeżegnać, nie zdążyła. Dziewczęta obejmowały się, Botkin stał nieruchomo jak sparaliżowany. Strzelali do nich, do carewicza, dym prochowy zasnuł pomieszczenie aż pociemniało. W zdenerwowaniu, pijani, częściej trafiali w ścianę niż w swoje ofiary. Jedna tylko goła żarówka zwisająca z sufitu nie rozpraszała prochowej mgły, strzelali na oślep. Gwizdały rykoszety.

Iwan strzelał do Olgi zasłaniającej głowę rękami, widział, jak kule wstrząsają jej ciałem, widział, że wciąż żyje i krzyczy. Nie rozumiał! Aleksy leżał na ziemi i jęczał. Jurowski strzelał do niego z nagana raz za razem, a on jęczał, płakał i nie umierał. Podszedł Jermakow i z bliska dwa razy strzelił mu w głowę. Krew rozbryzgiwała się na ścianach, spływała z ciał ruszających się na podłodze. Trwało to i trwało. Iwanowi się zdawało, że w nieskończoność. Dym dławił w płucach, aż zaczęli kaszleć. Demidowa zasłaniała się poduszką, strzelali do niej kilkakrotnie, zanim upadła. Charitonow i Botkin ostatni osunęli się oparci plecami o ścianę.

Wreszcie ucichło. Tylko za oknem był silnik ciężarówki.

– Sprawdzić czy wszyscy nie żyją – rozkazał Jurowski.

Pochylali się nad ciałami, brali za przeguby.

– Wszyscy martwi – oznajmił Jermakow. Wtedy jedna z księżniczek zaczęła unosić się na łokciu, a druga jęknęła. Jurko zdrętwiał z przerażenia.

– Przynieść karabiny – krzyknął Jurowski.

Dwoma bagnetami na amerykańskich winchesterach dźgali w piersi umierające dziewczyny. Nie mogli przebić! Co to jest?! Wreszcie kolbami rozbili im głowy. Jurowski wysłał jednego z oprawców na piętro po prześcieradła, drugiego do kierowcy, żeby już przestał męczyć motor.

Wynosili ciała na prześcieradłach i wrzucali na skrzynię auta. Ślizgali się na krwi i wszędzie roznosili ją na butach. Ściągali z trupów zegarki, bransoletki, kolczyki, naszyjniki; carowi z kieszeni wyjęli złotą papierośnicę wysadzaną brylantami. Kiedy zobaczył to Jurowski, kazał wszystko oddać. Oddawali. Niektórzy wszystko, inni tylko część. Jurko zatrzymał sobie kolczyk z perłą. Na pamiątkę.

Jednej z księżniczek wypadło z rąk martwe ciało maleńkiego pieska, yorka miniaturki. Rzucili je na skrzynię ciężarówki.

– Niech pilnuje rodziny – powiedział któryś.

Spieszyli się, żeby przed świtem wywieźć ciała z miasta i ukryć. Jurowski z Jermakowem wsiedli do szoferki, Iwan z trzema innymi jechał na skrzyni. Ruszyli w dół ulicą Wozniesienską, po chwili byli za miastem. W lesie po ulewnych deszczach sprzed trzech dni droga rozmiękła, jechali coraz wolniej, wreszcie koło przejazdu kolejowego utknęli na dobre, po osie w błocie. Kierowca próbował jechać do przodu, do tyłu, silnik się przegrzał, korek chłodnicy wystrzelił w niebo, woda wykypiała, syczał słupek pary. Kierowca poszedł do budki dróżnika, obudził kobietę obsługującą przejazd, przyniósł wodę w wiadrze, a reszta znosiła podkłady kolejowe leżące obok domu. Odrzucili szpadlami ziemię spod kół, podłożyli podkłady. Kiedy uznali, że powinno już dać się ruszyć, las pojaśniał.

Świtało.

Iwan i jego towarzysze wsiedli na skrzynię spoceni. Przejeżdżali przez tory, kiedy jeden z nich krzyknął coś niezrozumiałego. Spojrzeli. Na drodze, o kilka kroków w bok od miejsca, skąd ruszyli, leżała któraś z dziewcząt. Walili w dach szoferki, żeby się zatrzymali. Jermakow z Jurowskim wysiedli, pytali, o co chodzi. Iwan nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Co za partactwo – warknął Jurowski. – Jeszcze jedna przeżyła.

Wyjął broń z kabury, podszedł do dziewczyny, odwrócił ją twarzą do góry, przyłożył lufę do czoła i strzelił.

Załadowali zwłoki na skrzynię, ruszyli i przez godzinę nie mogli w lesie odnaleźć polany. Dopiero kiedy było już zupełnie jasno, dotarli do uroczyska Czterech Braci.

Jurowski kazał rozebrać zwłoki i poćwiartować siekierami. Wtedy się okazało, dlaczego księżniczki tak długo nie umierały. Wszystkie miały na sobie gorsety z gęsto wszytymi tysiącami brylantów. Działy jak kamizelki kuloodporne. Razem było tego kilkadziesiąt kilogramów.

Porabiali zwłoki. Twarze masakrowali kolbami karabinów. Polali kwasem siarkowym. Mieli kilka dziesięciolitrowych butli. Wrzucili szczątki do szybu, a ubrania polali benzyną i podpalili. Na koniec wrzucili do środka kilka granatów, licząc na to, że ściany się zawalą. Ale osypało się tylko trochę ziemi. Spuścili na sznurku latarkę. Wydawało się, że ciała znikły w wodzie na dnie i pod osypującą się ziemią.

Jurowski przyniósł z szoferki litr spirytusu.

– Dziękuję wam, towarzysze. Dobrze wykonaliście zadanie. – Każdemu uścisnął dłoń.

Pociągali z butelki spirytus, ocierali pot z czoła. Ruszyli w powrotną drogę i na przecince leśnej zaraz za polaną zobaczyli kilku chłopów przemykających między drzewami. Musieli słyszeć i widzieć!

Jurowski kłął szpetnie. Trzeba będzie zwłoki wydobyć, przenieść gdzie indziej.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – miotał się i walił pięścią w drzwi auta.

Cała robota na nic! Zwłoki – poćwiartowane, poszarpane granatami, zmieszane z błotem w płytkim szybie – trzeba będzie ukryć gdzie indziej. No trudno, trzeba, to trzeba!

\* \* \*

Dwa dni później Moskwa wydała komunikat stwierdzający, że wobec białogwardyjskiego spisku zawiązanego w celu uwolnienia cara Uralski Komitet Rewolucyjny skazał go na śmierć i wyrok wykonano niezwłocznie. Resztę cesarskiej rodziny umieszczono w bezpiecznym miejscu.

\* \* \*

Kilka dni później do Jekaterynburga weszli biali i wojska Korpusu Czechosłowackiego. Mordercy oczywiście wcześniej uciekli. Przesłuchano żołnierzy ochrony zewnętrznej domu Ipatiewa i chłopów z okolicy wsi Koptiaki. Przeszukano dokładnie „dom specjalnego przeznaczenia”, szyb na polanie Czterech Braci i całe jego otoczenie. Znalezione tylko kilka rzeczy świadczących o tym, co się tam stało: sztuczną szczękę, palec urwany pewnie przez wybuch granatu, wstążkę od orderu Świętego Jerzego, który car nosił do końca.

Szczątki zamordowanych znikły<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Imre Nagy (1896–1958), komunista węgierski, bohater węgierskiego zrywu przeciwko Związkowi Radzieckiemu w 1956 roku; rzekomo był jednym z morderców cara i jego rodziny.

<sup>2</sup> Zostały odnalezione i zidentyfikowane badaniami DNA dopiero wiele lat później, w czasach Gorbaczowa. Ipatiewowi jego dom bolszewicy zwrócili (co dziwne) kilka dni po morderstwie.

## Magdeburg

Więzienie w Magdeburgu było częścią ogromnej pruskiej twierdzy zbudowanej na początku XVIII wieku na wyspie w zakolu Mozy. W 1912 roku częściowo ją rozebrano. Na zachód, za rzeką, leżało miasto. Od 1883 do 1885 roku w Magdeburgu odbywał karę więzienia Józef Ignacy Kraszewski. Wielki pisarz (autor 232 powieści historycznych) i wielki wróg Bismarcka był oskarżony o szpiegostwo na rzecz Francji. Piłsudski wiele jego powieści czytał i pamiętał uroczystości pięćdziesiątej rocznicy pisarstwa Kraszewskiego w Krakowie w 1881 roku. Miał wtedy czternaście lat.

Piłsudskiego umieszczono w drewnianym piętrowym domu na terenie pozostałości twierdzy. Przed domem był niewielki ogródek. Mógł wychodzić na spacer, kiedy chciał, drzwi nie zamykano. Obiady przynoszono mu z restauracji. Zajmował dwa z trzech pokoi na piętrze. W jednym spał, w drugim pracował. Pisał. Na parterze nocowali strażnicy.

Uważał, że dobrze znosi więzienie i samotność. Nareszcie nie czuł się za nic odpowiedzialny, bo niczego nie mógł zrobić. Napisał do władz niemieckich, prosząc o wyjaśnienie swojego położenia. Nie przedstawiono mu żadnych zarzutów, a oskarżenie o sfalszowanie paszportu zostało odwołane. Odpowiedzieli, że „proces karny przeciwko niemu nigdy nie był brany pod uwagę”. Internowanie zostało zarządzone wyłącznie jako forma policyjnego zabezpieczenia na podstawie zarządzenia z 1899 roku o nadzwyczajnym postępowaniu prawa wojennego wobec cudzoziemców.

Pułkownik Nothe, szef sztabu generał-gubernatorstwa warszawskiego, pisał do komendanta twierdzy:

*...aresztowanie i internowanie nastąpiło z tego powodu, że kierowany przez Piłsudskiego z pomocą Sosnkowskiego tajny związek wojskowy (POW), którego tendencje są ultranacjonalistyczne i stosownie do okoliczności skierowane również przeciwko władzom okupacyjnym, co znacznie zagrażało spokojowi i wojskowemu bezpieczeństwu w generał-gubernatorstwie, i dlatego Piłsudski musiał być unieszkodliwiony. Ponadto Piłsudski jest jedną z najwybitniejszych osobistości w Polsce i przez ludność z powodu jego czynów, jako twórca i wódz Legionów, uznany za bohatera narodowego. Zarzutów osobistych mu się nie stawia...*

Codziennie rano czytał „Magdeburgische Zeitung”, poszukując wiadomości z frontów wojny. Potem szedł na spacer. Po powrocie siadał do pisania wspomnień z bojów Pierwszej Brygady. Nie miał żadnych notatek ani map. Musiał pisać wyłącznie w oparciu o własną pamięć:

*Nie ma wątpliwości, że każdego więźnia przytłaczać musi tęsknota do*

*wolności, do swobody ruchów, do takiego stanu, gdzie nie ma zakazów, ograniczeń skazujących człowieka na monotonność długiego szeregu dni spędzanych zawsze jednakowo. Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych jak ja byłem odcięty od świata, życie staje się ciężarem prawie nie do zniesienia.*

*Zdecydowałem, że wybiorę dla opisu trzy najciężej przeze mnie przeżyte prace w I Brygadzie. Momenty, w których ja, szafujący niezwykle ostrożnie krwią podwładnych, unikający nieraz rozmyślnie pracy dla sławy, by nie płacić za nią za drogo, umiałem czy musiałem zaryzykować całym nieledwie dowodzonym przeze mnie oddziałem, stawiając na kartę i siebie jako dowódcę. Najcięższe moje prace dowodzenia: Ulina Mała, Marcinkowice i Kostiuchnowka.*

Aleksandra była w tym czasie w ciąży, pisał do niej często, lecz większość listów do niej i od niej do niego ginęła gdzieś po drodze.

Pewnej nocy, śpiąc, usłyszał głos dziecka.

*Śniłem cię, mówiłaś do mnie, że musisz się położyć, a w sąsiednim pokoju słyszeć było kwilenie dziecka... Żałuję niezmiernie, że właśnie teraz nie mogę być z Tobą, musi być ogromnie zabawne, śledzić, jak się wykluwa człowiek.*

Zapisał datę. Przyszedł list od niej i okazało się, że właśnie tego dnia urodziła córeczkę.

24 kwietnia 1918 roku pisał:

*W ostatnich czasach z powodu bólów serca mam na myśli możliwość nagłej śmierci przed wyjściem z więzienia. Chcę zostawić ostatnie życzenia dotyczące się córki.*

17 maja zmarł w Paryżu starszy brat Piłsudskiego, Bronisław. Dowiedział się o tym z listu Oli. W dniu swej śmierci Broniek był u profesora Zalewskiego, który mu grał na fortepianie. Wyszedł od niego bardzo pogodny. Tego dnia wyłowiono jego ciało z Sekwany. Podejrzewano samobójstwo, lecz nie było na to żadnych dowodów. Prawdopodobnie idąc nad brzegiem rzeki, doznał zawrotów głowy albo stracił przytomność i wpadł do wody.

\* \* \*

Piłsudski pisał:

*Jak się spodziewałem, znalazłem już w listach Twoich wzmiankę o tym, że masz córkę nie tylko bardzo miłą, ale i bardzo mądrą. Mnie, kochana Olu, nie przekonasz, pozostanę sceptykiem w tej sprawie, osobliwie, że ta rozumna osoba na dowód swego rozwoju mózgowego wkłada nóżkę do buzi. Gdym tę sztukę łamaną spostrzegł u dzieci, byłem zawsze pełen podziwu dla tak niezwykłego gustu.*

*Najbardziej zaś ucieszyłaś mnie tym, że już nabiła sobie guza. Większość ludzi w świecie jest tak bezbrzeżnie głupich, że prawdopodobnie 999/1000 dzieci rodzi się z zadatkami na głupotę, więc wszelkie wstrząśnienia mózgowe w postaci guzów zwiększają zdaniem moim szanse na rozum. Taka jest moja teoria, z którą matki rzadko się zgadzają.*

W sierpniu, niespodziewanie, pojawił się w domku magdeburskim stary przyjaciel Kazimierz Sosnkowski. Niemcy trzymali go dotąd w innym magdeburskim więzieniu. Musiało dziać się w Niemczech coś niezwykłego, skoro tak bardzo łagodzone rygor więzienny. Piłsudski szukał wytłumaczenia w gazetach, lecz w rządowym „Magdeburgische Zeitung” nie znajdował odpowiedzi.

Chodzili teraz razem na spacer, dyskutowali, grali w szachy, Piłsudski mniej pracował nad swoimi wspomnieniami legionowymi. Gazety przynosiły wiadomości świadczące o coraz większym wyczerpaniu walczących stron. Zbliżał się koniec wojny.

## Kolej Transsyberyjska

Karsow jechał na wschód. Za oknami przez wiele dni nie widzieli nic poza płaską równiną, wysuszoną, rzadko porośniętą pożółkłą trawą i niskimi krzewami. Pociąg pancerny dudnił, kołysał się, na wzniesieniach zwalniał i ledwo czasem przekraczał czterdzieści wiorst na godzinę. Pułkownik zmierzał na wschód, żeby przyłączyć się za Bajkałem do armii Siemionowa lub barona Ungerna, ostatnich prawdziwych monarchistów.

Pociąg kupił w Tatarsku od majora Pospiszila, dowódcy jednego z batalionów Legionu Czechosłowackiego. Zapłacił niewiele: dwa pudy mandżurskiego tytoniu i beczkę spirytusu. Nie była to jednak transakcja zupełnie dobrowolna. Podeszli nocą, unieruchomili parowóz, podkładając kliny pod koła. Zaskoczyli kolejarzy i dowództwo. Rewolwerów do głów im nie przystawiali, lecz Czesi zrozumieli, że nie mają lepszego wyjścia niż sprzedać pociąg. Cała ich załoga liczyła czterdziestu ludzi, a kawalerzystów Karsowa było stu dwudziestu. Pociąg miał porządnie opancerzoną tylko lokomotywę. Należał przedtem do bolszewików i na burtach miał wielkie napisy „Śmierć burżujom!”, czerwone gwiazdy oraz sierpy z młotami. Czesi zamalowali „burżujom” i wpisali na to miejsce „komunistom”. Siedmiu czerwonoarmistów, których schwytali gdzieś po drodze, powiesili i martwe ciała umocowali na lokomotywie. Wszyscy mieli na głowach spiczaste czapki z gwiazdą. Trupy śmierdziały strasznie, lecz Karsow kazał je zostawić. Zapach do wnętrza nie dochodził, a efekt na mijanych stacjach był znakomity.

Wagony były obłożone od wewnątrz cegłami, a z zewnątrz miały przyspawane dwunastomilimetrowej grubości arkusze stalowej blachy. Ciężkie działa pochodziły z pancernych barek floty Wołgi. Amunicji nie brakowało. Karsow na najbliższej stacji zarekwirował dziewięć wagonów towarowych. Wrócił po konie. Zmieściły się wszystkie, stłoczone po szesnaście w każdym.

Kiedy kończył się węgiel dla parowozu, pasza dla koni i żywność dla ludzi, stanął na pierwszej stacji, wezwał przedstawicieli rady miejskiej i zażądał wszystkiego, co było mu niezbędne. Oczywiście tłumaczyli, że nie mają.

– W takim razie ostrzelam miasto z dział – zagroził. – Zamienię je w kupę gruzów w kilka godzin.

Zaopatrzenie zaraz się znalazło. Potem powtarzał to na kolejnych postojach. Tylko w jednym przypadku był zmuszony na kilka minut otworzyć ogień.

Przedziały żołnierskie i oficerskie były wygodnie urządzone. Hrabia kazał zamontować w swoim wagonie wannę. Słuchał muzyki z patefonu, wygrzewając się w ciepłej kąpieli i nie żałował sobie kokainy, której za Uralem było ile dusza zapagnie. Żołnierze pili, a oficerowie się narkotyzowali. Jechało się przyjemnie.

Na Syberii bolszewików zostało niewielu, wszędzie rządili biali. Karsow słuchał muzyki i czytał, gawędził ze swymi oficerami; kochał swoich towarzyszy i oni jego. Szeregowcy grali w karty, śpiewali, grali na harmoszkach. Jakiś zuch zaiwaniał na bałałajce. Śpiewał:

– *Ach, komuno, ty, komuno, mordę masz, że tylko splunąć.*

Między Tajszetem a Angarskiem teren stawał się coraz bardziej górzysty i zalesiony. Pociąg raz piął się mozolnie w górę, raz pędził w dół. Za Irkuckiem zobaczyli wielkie wody Bajkału. Wszyscy teraz wyglądali przez okna. Syberyjskie morze, najgłębsze i najstarsze jezioro świata.

– A w komunie w latach dziury – śpiewał kawalerzysta z bałałajką. – Złodziej kaźden poniektóry<sup>1</sup>.

\* \* \*

W Ułan Ude ładowali drewno dla lokomotywy. Karsow spacerował po peronie, kiedy spostrzegł nadjeżdżającą kłusem bryczkę zaprzęzoną w cztery małe, kudłate koniki. Zatrzymała się na peronie, wysiadł z niej mężczyzna w wielkim kapeluszu. Ruszył im naprzeciw.

– No, zdążyłem, jak widzę. – Woźnica wynosił z bryczki i stawiał na ziemi liczne sakwojaże i ciężkie skrzynki. – Pan pułkownik dowodzi tym pociągiem? – spytał.

– Tak.

– Jedzie pan zapewne do Czyty. Czy zechciałby pan mnie zabrać ze sobą? Byłbym ogromnie wdzięczny. Nazywam się Ferdynand Ossendowski<sup>2</sup>, jestem przyrodnikiem, trochę pisarzem, badam tutejszą florę i budowę geologiczną. Wracam do mojego przyjaciela, barona Ungerna, do Daurii.

\* \* \*

– Poznałem go pół roku temu – opowiadał Ossendowski. – Roman Ungern von Sternberg... niezwykle człowiek, wielka indywidualność, polubiłem go, zaprzyjaźniliśmy się, choć ma niestety poważne wady. To niemiecki arystokrata urodzony w Estonii. Jego przodkowie brali udział w wyprawach krzyżowych, byli piratami, raubritterami, któryś walczył pod Grunwaldem. Jest spokrewniony z panującymi rodami w całej Europie, lecz czuje się Rosjaninem i najbardziej ceni sobie pokrewieństwo z Romanowymi. Dziwne połączenie: intelektualista i bandyta. Awanturnik. Wyrzucano go z kilku szkół. Jego matka rozwiodła się z ojcem, który popadł w chorobę umysłową. Walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej jako kapral załedwie, lecz został kilkakrotnie odznaczony. Pojedykował się z oficerami. Teraz jest okultystą i buddystą. Kocha filozofię. Ciekawie się z nim rozmawia, ma zaskakujące pomysły i poglądy. Monarchista.

– Ciekawe. A co to za wady ma pan baron?



– No, to trudno opowiedzieć, sam pan zobaczy.  
– A generała Siemionowa pan poznał?  
– Owszem, lecz byłem w jego obozie tylko raz. Ma armię jeszcze większą niż Ungern. Ze czterdzieści tysięcy. To zupełnie inna postać. Jest pół kozakiem, pół Rosjaninem, był atamanem wszystkich kozaków syberyjskich. Biję czerwonych, lecz przede wszystkim ograbia każdego, kto się nawinie, zwłaszcza kupców chińskich i żydowskich. Podobno zgromadził wielkie bogactwa. Żyje w luksusie po prostu zdumiewającym. Ma harem, trzydzieści pięknych kobiet. Zawsze trzyma pod ręką samolot, na wypadek gdyby trzeba było uciekać przed czerwonymi. Ungern żyje jak mnich, bez kobiet, bez alkoholu, a Siemionow jak pasza turecki.

\* \* \*

W Czycie zostawili pociąg i wsiedli na konie. Wystałe przez kilka tygodni, bez ruchu w wagonach, brykały, aż trudno było na nich usiedzieć. Na ulicach miasta położonego w widłach rzek Czyty i Ingoldy wszędzie widać było Chińczyków i Mongołów. Zatłoczonymi ulicami wędrowali kupcy, wszyscy uzbrojeni, z ciężko objuczonymi osłami.auta mijają się z arbami, wozami na dwóch drewnianych pełnych kołach, ciągniętymi przez wielbłądy. Miasto miało oświetlenie elektryczne i to dobrze działające. Zostali tu na nocleg, bo kawalerzyści koniecznie musieli odwiedzić miejscowe burdele. Do Daurii, trzysta sześćdziesiąt wiorst, jechali dwa tygodnie.

– Jesteśmy na tej samej szerokości geograficznej co nasz polski Kraków – mówił Ossendowski. – A klimat zupełnie inny. W zimie średnio dwadzieścia sześć stopni poniżej zera, w lecie plus dziesięć. Dużo bogactw naturalnych. Kopałem w kilku miejscach. Musi tu być węgiel brunatny, ruda cyny, wolfram, molibden. W Nerczyńsku i okolicy od lat wydobywa się srebro i złoto. Może pan nie wie, ale wielu Polaków badało te strony. Przyrodnicy, geografowie, mineralodzy: Dybowski, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski, Godlewski...

Minęli pobojuwisko, sądząc po stanie zwłok, sprzed kilku tygodni. Na sosnach przy drodze wisały ciała trzech mężczyzn i kobiety. Wszystkie z odgryzionymi przez wilki stopami. Godzinę drogi przed Daurią napotkali patrol Ungerna, kilkuset kawalerzystów. Była to zbieranina jeźdźców rosyjskich, chińskich, tatarskich, tybetańskich, mongolskich, kozackich i buriackich. Siedzieli na małych, krępych konikach, a każdy był inaczej odziany i uzbrojony. Dowódca znał Ossendowskiego i wiedział już skądś o oddziale Karsowa.

Kiedy dojeżdżali do osady, Karsow poczuł dziwny słodkawy zapach, metaliczny i mdlący.

– Co to jest? – spytał Ossendowskiego.  
– Już pan czuje? Zaraz pan zobaczy, co miałem na myśli, mówiąc, że Ungern ma pewne wady.

Wszystkie płoty wokół nielicznych domów i wielu namiotów były udekorowane szczątkami ludzkimi. Głowy, ręce, nogi, tułowia z wypadającymi jelitami. Wokół roje brzęczących much. Ziemia w wielu miejscach miała brunatnoczerwony kolor zaschniętej krwi.

– Ungern wymordował tu kilka tysięcy czerwonych – powiedział Ossendowski. – Każdego przed śmiercią torturowano. Lubi przechadzać się po okolicznych wzgórzach, gdzie leżą czaszki, szkielety ogryzione przez psy i ptaki i gniją tysiące trupów. Nie pozwala ich pochować. Mówi, że kocha ten widok i ten zapach, upaja się nim.

– Boże! Przecież to sadysta, szaleniec!

– Oczywiście. Ale także esteta, mistyk i filozof.

Karsow i jego ludzie rozglądali się dookoła zdumieni. Przez cztery lata na wojnie wiele widzieli, ale nigdy czegoś podobnego. Wokół namiotów i mongolskich jurt paliły się ogniska, żołnierze siedzieli dookoła, piekli baraninę na roznach, jedli, pili. Nikt nie był pijany. Od jakiegoś czasu Ungern karał śmiercią za pijaństwo. Dymy snujące się nisko nad ziemią trochę tłumili zapach krwi i zgnilizny. Konie pasły się na łąkach razem z wielbłędami. Wszędzie widać było powbijane w ziemię sztandary ze swastykami i napisem „Michał II Car Wszechrosji”.

– Swastyka to znak z sanskrytu symbolizujący szczęście i pomyślność – tłumaczył Ossendowski – ale teraz często jest rozumiany jako symbol antysemityzmu.

– Ungern jest antysemitą?

– Nienawidzi Żydów i morduje ich tak samo zaciekle jak komunistów. Daurię nazywają szubienicą Syberii.

Karsow zaczął się zastanawiać, czy nie zawrócić od razu do Czyty. Na pewno nie przyłączy się do Ungerna. Jednak trzeba było dać koniom i ludziom odpocząć, a poza tym przeważała ciekawość. Mijał ze swoim oddziałem kramy i wozy, z których Chińczycy sprzedawali kolorowe tkaniny, biżuterię, owoce, kumys, baraninę, przyprawy, broń, tytoń, opium, kokainę.

Na środku osady na wielkim placu kilkudziesięciu jeźdźców walczyło o małe jagnię pozbawione głowy. Wyrwali je sobie, spadali na ziemię ściągani z kulbak, wywracali się razem z końmi, galopowali w tumanach kurzu jak szaleni, wrzeszczeli, bili się nahajkami, gdzie popadło: po twarzach, po głowach, po plecach. Zgromadzona publiczność dopingowała ich, krzycząc i wyrzucając czapki w górę.

– To buskaszi – tłumaczył Ossendowski. – Narodowy sport Uzbeków, Tatarów, Turkmenów, Mongołów. Panowie, to jest najprawdziwsza Azja! Buskaszi wywodzi się z walk o łup. Kiedy wojownik ginął, jego towarzysze zaczynali bój o siodło poległego, bo tam każdy miał zaszyte zrabowane kosztowności. Nie ma

reguł, wszystko wolno. Wygrywa ten, kto dowiezie jagnię do tej bramki z dwóch tyczek na końcu placu. O! A tam, przy trybunie, czeka nagroda dla zwycięzcy.

Na drewnianym stojaku leżała kulbaka ze srebrnymi strzemionami i ogłowie gęsto zdobione drogimi kamieniami i płytkami złota.

Jurta barona stała na najwyższym wzniesieniu w Daurii. Wielki namiot rozpięty na solidnej drewnianej konstrukcji miał ściany ze skór, był okrągły i wielki prawie jak cyrk. Obok stało kilka ciężarówek i czarny osobowy ford, maszt radiostacji oraz przestarzałe górskie działo na czarny proch. Na maszcie wisiała flaga z dwugłowym orłem Romanowów. Z otworu na szczycie jurty w nieruchomym powietrzu rozlewała się ku ziemi smuga dymu. Dookoła stali wartownicy gwardii przybocznej Ungerna, Mongołowie z karabinami na plecach i rewolwerami za pasem.

Wewnątrz jurta dzieliła się na cztery osobne pomieszczenia. Baron przyjął Karsowa, paląc opium na otomanie obitej czerwoną skórą. Półleżał wsparty na jedwabnych poduszkach. Na niskich stolikach stały trzy posążki Buddy z brązu i krucyfiks. Tliły się laski kadzidła o przyjemnym, korzennym zapachu. Na stole pod otworem okiennym leżało kilkanaście książek. W kącie siedział po turecku krępy Mongoł z gładko wygoloną głową. Za pasem miał zakrzywiony kindżał, a na poduszce przed nim, w zasięgu ręki, leżał rewolwer. Przez cały czas wizyty ani na chwilę nie spuszczał Karsowa z oczu. Baron miał narzucony na kurtkę mundurową mongolski złotoczerwony pikowany chałat. Na piersi krzyż Świętego Jerzego. Był bardzo wysoki i szczupły, ledwie po trzydziestce, rudawy, łysiejący. Mała głowa na szerokich chudych barkach. Twarz przypominała świętych na starych obrazach. Wielkie czoło z blizną po szabli<sup>3</sup>. Uśmiechał się na powitanie, sprawiając wrażenie, że się do tego zmusza. Wyciągnął dłoń, nie wstając, jakby spodziewając się, że gość uklęknie i pocałuje go w rękę.

Wskazał Karsowowi sofę naprzeciwko, wyjął z kieszeni ozdobne pudełko w formie jajka, wysypał z niego opium do fajki, ubił, podał pułkownikowi.

– Wciąż pojawiają się tu różni zdrajcy – mówił szybko, nerwowo, urywając co chwilę – prowokatorzy, szpiedzy czerwonych, nikomu nie można ufać, dokumenty fałszywe. Wszystko splugawione przez bolszewizm. Wczoraj kazałem zarąbać jakiegoś Filipowa. Rzekomo pułkownik... Twierdził, że jest przedstawicielem organizacji białych oficerów, ale jak go zrewidowano... miał zaszyty w czapkę sowiecki tajny szyfr. Nikomu nie wolno ufać. No, ale o panu wiem, pan jest monarchistą...

– Obawiam się, że jesteśmy już ginącym gatunkiem. – Karsow pociągnął opium, nie smakowało mu. – Jeśli wyginiemy – dodał – to i Rosja zginie, nie uważa pan?

– Cóż? Rosja ginie, ale może jeszcze uda się ją uratować. Potrzebny jest symbol jednoczący ludzi, car. Prawowitym następcą jest Michał Aleksandrowicz.

Mówią, że już nie żyje, że go zabili czerwoni, ale ja wiem... To propaganda bolszewicka. Car Michał żyje. Cała nadzieja we Wschodzie.

– We Wschodzie? Nie rozumiem...

– Zachód jest zdeprawowany i gnije. Wschód zdrowy i ma jeszcze przed sobą przyszłość. Rosyjski naród zhańbił się bolszewicką rewolucją, musi ponieść karę, odbyć pokutę. Wschód to prawda, Zachód to bolszewizm i kłamstwo.

– Rzeczywiście, komunizm to zaraza, ale jaki to ma związek z Zachodem czy Wschodem?

– Ogromny! Komunizm wystąpił przeciwko prawdzie przechowywanej na Wschodzie. Kultura Wschodu formowała się przed trzema tysiącami lat. W tym samym czasie w starożytnym Babilonie narodziły się judaizm i Międzynarodówka. Partia bolszewicka jest tajnym żydowskim ugrupowaniem, które powstało trzy tysiące lat temu z zadaniem objęcia władzy we wszystkich krajach na całym świecie.

– Co pan mówi! Partia bolszewicka powstała trzy tysiące lat temu?

– Oczywiście.

Karsow słuchał zdumiony.

– Ma pan nadzieję, że Rosja jeszcze wróci do monarchii? – spytał.

– Nadzieję? Jestem pewny. Ale przedtem trzeba zlikwidować Żydów. Wszystkich, łącznie ze starcami, kobietami i dziećmi. Żeby już nigdy się nie odrodzili. To wielkie zadanie. Święte... Tymczasem przywrócę monarchiczny ustrój w Mongolii. Zjednoczę wszystkich Mongołów, uwolnię ich kraj od Chińczyków i osadzę na tronie w Urdze mojego przyjaciela, Bogda Chana.

– Co takiego?

– Bogd Chan jest moim człowiekiem. Pokażę Rosji właściwą drogę<sup>4</sup> i z mongolską armią pójdę przez Syberię.

– Jedno mnie dziwi, niech mi pan wytłumaczy – powiedział Karsow. – Mówiono mi, że jest pan buddystą, a oni przecież mają nabożny szacunek do życia. Starają się nie zdeptać nawet mrówki...

Ungern się uśmiechnął.

– Czy zauważył pan, jak cudownie, jak bujnie wyrasta życie na tych polach gnijących trupów wokół Daurii?

– Owszem.

– Jak tam wszystko rośnie! Świat, przyroda, radośnie przemieniają śmierć z jej gniciem i rozkładem w nowe życie. Życie i śmierć to jedno. Życie od początku, od narodzin jest umieraniem, a śmierć od początku nowym życiem.

– Lecz na ciałach ludzi rosną chwasty i robactwo. Niższe formy jednak...

– Hrabio! Czyżby robak był czymś gorszym niż bolszewik? Pan chyba tak nie myśli, też niemało ich pan wymordował.

– Tak, niestety. Jednak bolszewik to jest tylko zewnętrzna powłoka tego, co

w środku, człowieka. Jeśli nie można tej powłoki z niego zdjąć jak ubrania, to trzeba zabić. Ale tylko dlatego, że nie ma innego wyjścia. Bo niszczą wszystko, co dobre i ważne.

– A ja uważam, że bolszewizm to nie żadna zewnętrzna powłoka. To przenika do ich dusz i tych rzeczy nie da się oddzielić. Trzeba to zniszczyć i wypalić do szpiku.

<sup>1</sup> Zuch z bałałajką to cytat z *Konia wronego* Borysa Sawinkowa.

<sup>2</sup> Ferdynand Ossendowski (1878–1945), podróżnik i pisarz, poliglota. Wielką sławę przyniosła mu książka *Zwierzęta, ludzie i bogowie*. Przetłumaczono ją na 19 języków. Łącznie wydał 77 książek w 150 przekładach na 20 języków. Ustępował pod tym względem tylko Henrykowi Sienkiewiczowi.

<sup>3</sup> Opis wyglądu Ungerna według *Zwierzęta, ludzie, bogowie* Ferdynanda Ossendowskiego.

<sup>4</sup> Ungern rzeczywiście w następnych latach wyzwolił Mongolię spod panowania chińskiego i na tronie osadził swojego człowieka. 15 września 1921 roku, pokonany przez bolszewików, został powieszony.

## Magdeburg–Warszawa

31 października 1918 roku odwiedził Piłsudskiego w domku na terenie twierdzy hrabia Harry Kessler, oficer gwardii pruskiej. Panowie znali się z 1915 roku, kiedy Kessler był w czasie walk na Wołyniu oficerem łącznikowym między dowództwem niemieckim a Legionami. Przywiózł mnóstwo owoców, pasztetu, cukru i kilka butelek dobrego wina.

– Przysyła mnie szef sztabu frontu wschodniego, generał Hoffmann – powiedział. – Chcemy pana i pana Sosnkowskiego zwolnić z więzienia, ale pod pewnymi warunkami. Wyjdzie pan na wolność, jeśli pisemnie i pod słowem honoru zaręczy, że nie będzie działał przeciwko Niemcom. Zwłaszcza, że nie będzie pan próbował oderwać od Rzeszy Śląska i Gdańska.

– Wykluczone! Niczego nie podpiszę.

– Przykro mi bardzo. – Kessler był wyraźnie zmieszany. – Sam rozumiem, że takie przyrzeczenie skompromitowałoby pana w oczach rodaków. Jednak zobowiązano mnie, żeby przekazać panu te warunki.

– W Berlinie rewolucja, prawda? Rząd sobie z tym nie radzi?

– Rzeczywiście, nie bardzo.

– Powinniście ją zgnieść z użyciem siły. – Piłsudski podniósł zaciśniętą pięść. – Póki nie jest za późno. Gdyby w Niemczech doszli do władzy komuniści, byłoby tylko kwestią czasu połączenie rewolucyjnych Niemiec z bolszewicką Rosją. Dla nas to śmiertelne niebezpieczeństwo. No i dla was także.

– Rząd próbuje negocjować.

– Oby nie było za późno.

\* \* \*

Kilka dni później spacerował z Sosnkowskim po placu twierdzy, kiedy podbiegł do nich rozemocjonowany strażnik feldfelbel. Już z daleka coś wykrzykiwał. Podał im najnowsze wydanie „Die Woche”. Wielki portret Piłsudskiego na pierwszej stronie. Tytuł: *General Pilsudski, der neue Oberfelshaber der polnischen Armee*, „Generał Piłsudski, nowy naczelny wódz polskiej armii”.

– Coś podobnego – zdziwił się. – Zostałem naczelnym wodzem, siedząc w niemieckim więzieniu!

– Więc chyba jednak wypuszczą nas bez żadnych warunków. – Sosnkowski uściskał dłoń Komendanta. – Gratuluję, zwyciężyliśmy!

7 listopada Kessler znów był w Magdeburgu. Towarzyszył mu rotmistrz Paul von Gülpen. Witał się z więźniami serdecznie.

– Jeszcze wczoraj – mówił – dostałem deklarację dla pana Piłsudskiego do

podpisania, ale już w nocy powiadomiono mnie, że nie będziemy stawiać warunków. Zabieram panów do Berlina na rozmowy z hrabią Lerchenfeldem, przedstawicielem gubernatora Beselera przy Radzie Regencyjnej.

Mieli ledwie kilka minut na spakowanie się. Piłsudski szedł w wytartym płaszczu żołnierskim i ze zrolowanym kocem na ramieniu. Pojechali samochodem i kilka godzin później byli już w berlińskim hotelu Continental. Piłsudski prosił Kesslera, żeby zdobył dla niego jakąś szablę:

– Chcę wrócić do Polski z bronią u boku.

Kesslerowi się nie udało, lecz von Gülpen przyniósł oficerski bagnet, jakiego używano także w Legionach.

Następnego dnia rano przy śniadaniu rozmawiali z wysłannikiem Beselera i przedstawicielem Ministerstwa Spraw Zagranicznych Hatzfeldtem. Piłsudski był milczący, Sosnkowski zamyślony, atmosfera niemiła, bo Niemcy chcieli jeszcze coś wytargować. Piłsudski nie zgadzał się na żadne ustępstwa. Hatzfeldta dwa razy proszono do telefonu. Po drugim wyjaśnił, że w Berlinie nasiliły się walki ze zrewolucjonizowanym tłumem i muszą natychmiast wyjeżdżać. W drodze na dworzec na Friedrichstrasse mijali manifestacje marynarzy, robotników i żołnierzy pod czerwonymi sztandarami zmierzające do śródmieścia<sup>1</sup>.

Czekał już na nich pociąg składający się z lokomotywy i tylko jednego wagonu pierwszej klasy.

– Mam nadzieję, że to nie ten, którym zawieźliście do Rosji Lenina – żartował Sosnkowski.

9 listopada wieczorem byli już na terytorium Polski i zatrzymali się na małej stacyjce, by nabrać wodę do parowozu. Sosnkowski otworzył okno i usłyszeli, jak ktoś śpiewa: „My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada, na stos rzuciliśmy nasz życia los, na stos, na stos...”

Na peronie mężczyzna w wytartym mundurze i w ciemnych okularach, zapewne niewidomy, grał na skrzypcach i śpiewał. Piłsudski szedł do wyjścia, żeby uścisnąć żołnierzowi dłoń, lecz pociąg właśnie ruszył.

– To dobry znak – powiedział.

W swoich wspomnieniach pisał później, że to zdarzenie nastawiło go bardzo optymistycznie.

\* \* \*

10 listopada dzień w Warszawie wstał mokry i mglisty. Pociąg wjechał na Dworzec Wiedeński o siódmej. Piłsudskiego witała niewielka grupa ludzi. Regent książę Zdzisław Lubomirski dopiero w nocy dowiedział się o jego przyjeździe. Niewielu udało się na czas zawiadomić. Był Adam Koc, komendant naczelny POW, Aleksander Prystor z małżonką, podporucznik Konstanty Abłamowicz, legionista zwany Tatarem, Kazimierz Stamierowski z żoną, dziennikarz Wacław

Czarski. Do powitań przyłączyło się kilkunastu podróżnych akurat znajdujących się na dworcu.

Piłsudski był chory, zaziębiony, bardzo źle wyglądał. Księżę Lubomirski zawiózł jego i Adama Koca do swojego mieszkania na Frascati na śniadanie, a Prystor z innymi zabrali Sosnkowskiego do pensjonatu przy Moniuszki, gdzie czekały przygotowane pokoje. Zaraz się okazało, że Piłsudski i Sosnkowski nie mają żadnej bielizny na zmianę, więc zakupiono potrzebne rzeczy w sklepie hotelowym Ignatowskiego na Nowym Świecie.

Tymczasem wieść o powrocie Komendanta rozeszła się po Warszawie. Zanim zdążył się wykapać, czekało już na niego kilka delegacji powitalnych. Razem przyjął ich tego dnia dwadzieścia trzy. Przed domem zebrały się tłumy. Powiedział do nich tylko kilka zdań, tłumacząc, że jest chory, boli go gardło i kłuje w piersiach.

Przybyli przedstawiciele socjalistycznego rządu Daszyńskiego, utworzonego kilka dni wcześniej w Lublinie. W jego imieniu Wacław Sieroszewski oddawał rząd do dyspozycji Komendanta.

Zygmunt Zaręba przyszedł na czele pochodu członków PPS i chciał wręczyć sztandar partii, lecz Piłsudski go nie przyjął.

– Nie mogę wziąć znaku jednej partii – powiedział. – Mam obowiązek działać w imieniu całego narodu.

Pod wieczór udało mu się wreszcie pojechać na Pragę do Oli Szczerbińskiej. Pierwszy raz zobaczył swoją córeczkę Wandę. Musiał przyznać, że Ola miała rację: wkładanie nóżki do buzi jest zachwycające!

Następnego dnia po południu pojechał do mieszkania chorego regenta Ostrowskiego. Stosownym dekretem Rada Regencyjna przekazała w ręce Piłsudskiego pełnię władzy w kraju.

Jeden z pierwszych dekretów Naczelnika Państwa ograniczał dzień pracy do ośmiu godzin, ustanawiając czterdziestosześciodzinny tydzień pracy. Zakazywał zatrudniania dzieci, obejmował szczególną opieką pracę kobiet, regulował sprawy urlopów. Przyznawał prawo do tworzenia związków zawodowych i do strajku. Polska uzyskała najnowocześniejsze w Europie ustawodawstwo pracy.

## KALENDARIUM

### 1918

8 stycznia – prezydent USA Wilson ogłasza orędzie zawierające obietnicę utworzenia niepodległej Polski.

15 lutego II Brygada wypowiada posłuszeństwo Austrii i przebijając się na wschód, walczy z Niemcami i Austriakami. Pod Rarańczą przechodzi przez front, dążąc do połączenia z II Korpusem Polskim.



3 marca w Brześciu Litewskim bolszewicka Rosja zawiera pokój z państwami centralnymi.

21 marca – rozpoczyna się nowa ofensywa niemiecka na froncie zachodnim.

18 czerwca – następuje kontrofensywa francuska nad Marną.

17 lipca – komuniści mordują rodzinę carską w Jekaterynburgu.

30 października – Włosi pokonują Austriaków pod Vittorio Veneto.

9 listopada – abdykuje cesarz niemiecki Wilhelm II.

10 listopada – Piłsudski wraca do Warszawy. Następnego dnia Rada Regencyjna przekazuje mu pełnię władzy w Polsce.

11 listopada – abdykuje cesarz Austro-Węgier Karol I.

11 listopada – zawieszenie broni między ententą a państwami centralnymi w Compiègne.

27 grudnia – wybucha powstanie przeciw Niemcom w Wielkopolsce.

<sup>1</sup> W którymś z podobnych pochodów, pod czerwonym sztandarem komunizmu, siedł nikomu jeszcze wówczas nieznany Adolf Hitler.

## Warszawa

Pod koniec stycznia 1919 roku Niemcy wypuścili Jana z więzienia i odstawili do granicy dawnego zaboru austriackiego. Kilka dni był w Borowicach, nacieszył się spotkaniem z rodziną, kilkakrotnie przeczytał listy od Katii, które znał przedtem tylko w streszczeniu przysłanym przez Władka. Z wielu, jak nigdy przedtem, przebijał strach przed jutrem. Mógłby może pojechać do niej przez Szwecję i Finlandię, lecz Katia przestrzegła, że w Rosji na pewno zostałby natychmiast aresztowany. A ona wciąż czeka na paszport.

Pojechał do Warszawy przypomnieć się majorowi Mazurowi w sprawie zatrudnienia w wywiadzie. Na Placu Saskim w Sztapie Głównym Wojska Polskiego dowiedział się, że majora znajdzie w Zamku Królewskim, gdzie mieści się teraz wywiad radiowy. Zbliżał się wieczór, więc postanowił pójść tam nazajutrz. Pospacerował po mieście, którego prawie nie znał, szedł w stronę taniego pensjonatu, gdzie miał zamówiony pokój. W okolicy Belwederu natrafił na małą restaurację i wszedł coś zjeść. Kiedy wchodził do wnętrza, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Wysoki mężczyzna mignął mu przed oczami legitymacją.

– Ochrona... – Jan nie usłyszał czego. – Poproszę o dokumenty.

Jan, zdziwiony, pokazał książeczkę wojskową.

– Dziękuję, panie majorze. Jeszcze tylko poproszę o broń. Zwrócimy, gdy będzie pan wychodził.

Jan oddał pistolet.

Wewnątrz było niewiele osób, przeszedł do bocznej salki, gdzie było prawie zupełnie pusto. W kącie pod oknem siedział Piłsudski. Jan nie wierzył własnym oczom. Zdumiewające: Naczelnik Państwa samotnie je kolację w restauracji. Odruchowo stanął na baczność, był w mundurze, laskę przełożył do lewej ręki i zasalutował.

Piłsudski także był zdziwiony.

– Szawernowski! Coś takiego! Wy zmartwychwstaliście?! Widziałem was na noszach, umierającego na peronie, a łapiduch mówił, że to agonia.

– Melduję, panie Komendancie, Pan Bóg pozwolił przeżyć.

– No, siadajcie, siadajcie, porozmawiamy. Wojna, wojna... ja jestem żołnierzem, kocham wojnę za to, że sprawdza ludzi i charaktery. Słabe kruszy jak szkło, silne hartuje jak stal. A wy przeżyliście... Co u was?

Jan opowiedział o szpitalu i o obu wyprawach do Hamburga, tej udanej i ostatniej. Piłsudski pytał o Katię i synka. Jan powiedział, że chce się starać o pracę w wywiadzie.

– To ciekawa praca i ważna, ale... – Piłsudski przez chwilę milczał, zapalił papierosa. – Będziecie moim adiutantem – oznajmił. – Pracy w adiutanturze jest

mnóstwo. Przyjdźcie jutro rano do biura, zameldujecie się u generała Jacyny. Macie jakieś mieszkanie w Warszawie? Nie? Załatwimy wam coś na miejscu. No! Myślę, że to będzie dla was odpowiednie zajęcie. Będziecie podlegali tylko mnie osobiście i nikomu innemu. A o tym, że mnie tutaj spotkaliście, ani słowa! Muszę czasem oderwać się od spraw urzędowych, urywam się ochronie, nie cierpię tego, lubię przejść się po ulicach nierozpoznany i zjeść barszcz ukraiński. Mają tutaj świetny, polecam.

Jan już miał powiedzieć o swoim spotkaniu z ochroną, lecz w ostatniej chwili pomyślał, że lepiej, żeby Naczelnik nie wiedział.

\* \* \*

Kilka dni później Jan wprowadził się do niewielkiego służbowego mieszkania w Belwederze. Piłsudskiego widywał codziennie. Rzeczpospolita toczyła walki na wszystkich granicach. Z Czechami, z Ukrainą, z bolszewikami na Litwie i Białorusi. Zawsze około trzeciej Naczelnik jadł obiad w Belwederze ze wszystkimi swoimi adiutantami. Byli to ludzie, z którymi znał się od dawna, z czasów walki w PPS lub w Legionach. Przy stole atmosfera była swobodna, rzadko mówiono o polityce. Jan dobrze się czuł wśród tych ludzi. Wszyscy się tam lubili, łączyło ich uwielbienie dla Naczelnika.

Jakiś czas później dostał list od Władka z kopertą wewnątrz wysłaną przez sekretarza ambasady brytyjskiej w Warszawie. W środku list od Katii.

*Jan, Kochany!*

*Nasze listy są otwierane i czytane przez policję. Moja przyjaciółka Tamara Karsawina wyszła za mąż za ambasadora Wielkiej Brytanii. Wyjechali już oboje do Anglii, ale przed odjazdem, kiedy jej opowiedziałam, co mnie spotkało, zaproponowała nam przesyłanie wiadomości tą drogą, czyli pocztą dyplomatyczną. Jej mąż to załatwił. Możemy z niej korzystać w obie strony także w przyszłości.*

*Wiesz, że od dawna czekamy na paszport. Teraz właśnie Nastia go dostała, a mnie, kiedy poszłam do urzędu zapytać, co z moim, odesłano do Czeka. Tam, wyobraź sobie, przyjął mnie ten sam pułkownik Miezienczew, który przed wojną próbował mnie zwerbować do wywiadu. Teraz chce, żebym pracowała dla bolszewików! „Nie chcieliście, towarzyszek, pracować w wywiadzie cesarstwa, powiedział, to bardzo chwalebne, więc teraz możecie coś zrobić dla ojczyzny proletariatu”. Cały czas do mnie „towaryszko”! Na biurku leżały dwa listy od Ciebie, otwarte. Chyba chciał, żebym je zobaczyła. „Wasz mąż jest teraz bliskim współpracownikiem dyktatora burżujskiej Polski, Piłsudskiego. Musi wiele wiedzieć. Damy wam paszport, ale tylko wam, synek zostanie tu. Pojedziecie, dowiecie się różnych rzeczy. Damy wam spis spraw, które nas interesują, a po*

*powrócie przekażecie nam, czego się dowiedzieliście. Jak będziecie się dobrze spisywać, to, powiedzmy, po roku pozwolimy wam zabrać dziecko do Polski.*

*Byłam przerażona i odmówiłam, ale teraz myślę, że może to jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Moglibyście przecież dawać mi jakieś nieważne lub nieprawdziwe informacje. Jak myślisz?*

*Tutaj jest strasznie i coraz gorzej. Nie poznałbyś dawnego Petersburga. Miasto jak wymarłe, ciche i strasznie brudne. Ludzie głodują. Mam jeszcze pieniądze, lecz prawie wszystko muszę kupować na czarnym rynku za horrendalne ceny. To zakazane i gdybym wpadła, pójdziemy, ja lub Nastia, do więzienia, może do łagru. Pieniądze się niedługo skończą i co wtedy? Nam głód też zajrzy w oczy. Boję się o Janka. Bolskiej nie przedłużyli kontraktu w teatrze i mnie może spotkać to samo. Jan, boję się! Co będzie potem?*

*Janek już wie, że jego Tatuś jest polskim oficerem i wielkim sportowcem. Pochwalił się kolegom i zaraz wdał się w bójkę, bo zaczęli go nazywać białym Polaczkiem. Jednemu rozbił kubek na głowie. Ale wcale się nie przejmuje. Mówi, że dwóch zbił na kwaśne jabłko. Czy Ty też bilesz się z kolegami w wieku czterech lat?*

*Jan, Boże, jak ja za Tobą tęsknię! Oboje tęsknimy. Napisz jak najprędzej. Co robić?*

*Całujemy Cię oboje.*

*Katia i Janek*

*\* \* \**

*Katiu, Kochanie moje, Janku, mój kochany synku!*

*Katiu, w żadnym razie nie możesz się wdawać w układy szpiegowskie z Czeka. Jak raz się z nimi zwiążesz, nie dadzą Ci spokoju nigdy. Z tego, co mówił Miezienczew, widać, że mają swoich ludzi nawet w otoczeniu Piłsudskiego, bo moja nominacja na adiutanta to rzecz sprzed kilku tygodni. Mogliby Cię osiągnąć nawet w Warszawie. Powiedziałem o wszystkim Naczelnikowi. Też uważa, że nie powinnaś się z nimi wdawać w żadne układy. Wciąż myślę, jak Was wywieźć z Rosji. Póki trwa wojna na Wschodzie, to jest niemożliwe. Ja może mógłbym się jakoś potajemnie dostać do Piotrogradu, ale uciekać z wami, z dzieckiem – to*

*szaleństwo, to po prostu śmiertelnie niebezpieczne. Każdego dnia o tym myślę, naprawdę, wciąż myślami jestem z Wami. Nie widzę wyjścia, jestem bezsilny i, wierz mi, że pisanie Ci o tym sprawia mi wielki ból. Kiedyś wojna skończy się także na Wschodzie. Wtedy coś wymyślimy.*

*Boże, Katiu, moim jedynym marzeniem jest znów Cię zobaczyć i uścisnąć Janka. Świetnie, że załatwiłaś nam tę możliwość przesyłania listów pocztą dyplomatyczną. Jesteś bardzo dzielna i jestem z Ciebie dumny. Będę teraz pisał jak najczęściej. Całuję Was, przytulam Was, tęsknię. Tęsknię strasznie.*

*Jan*

## Łukiszki

Życie Iwana Jurki zupełnie się odmieniło po Jekaterynburgu. Iwan poczuł, że jest teraz kimś naprawdę ważnym. Zabił cara! Uświadomił sobie, że jego nazwisko przejdzie do historii. Jurowski, Jermakow i Miedwiediew chwalili się, że to oni. Jurowski przydzielił Mikołaja Miedwiediewowi, to prawda, ale sam też strzelił do cara. Iwan miał zabić wielką księżnę Anastazję, jednak do niej strzelał później. Najpierw do cara. Wiedział swoje. Z browninga strzela się szybciej niż z rewolwerów. Strzelił Mikołajowi w serce, zanim oni zdążyli odciągnąć kurki i nacisnąć spusty. Strzelał też do Anastazji, do carycy i do Aleksego. Nie był pewien czy akurat on ich zabił, inni też do nich strzelali.

Ale car był jego!

Przepełniała go duma z dobrze wykonanego zadania. Stał się narzędziem sprawiedliwości dziejowej. Czasem, co prawda, śniło mu się, jak wyławiali z zalanego wodą szybu rozszarpane granatami zwłoki, bo miejscowi chłopci widzieli i trzeba było je ukryć gdzie indziej. Koszmar. Ręce, nogi, nagie tułowia, głowy pokrwawione, straszne. Nie mogli się ich doliczyć. Brakowało jednej stopy. Powinno być dwadzieścia dwie, a było dwadzieścia jeden. Koszmar. Ale trudno, taka praca, trzeba było ją wykonać do końca.

Teraz mógł już odejść z wojska. Za Jekaterynburg dostał solidną odprawę i pismo pochwalne od uralskiego komitetu partii, z pieczętkami, z podpisami Biełoborodowa i Gołoszczokina. Teraz mógł już spokojnie wyruszyć w drogę do domu. Pokaże to pismo ojcu, córce, zięciowi. Niech wiedzą, kim jest teraz Iwan Jurko. Przejechał koleją tysiące kilometrów, czasem czekając po kilka dni na połączenie do następnej stacji. Nocował w zajazdach, jadł w karczmach, rozmawiał z ludźmi. Zawsze starał się tak pokierować rozmową, żeby była mowa o Mikołaju II. Wtedy wtrącał, niby to mimochodem, że sam go zabił. Pokazywał pismo uralskie, wyjmował browninga, kładł przed zdumionymi słuchaczami na stole.

– Z tego pistoletu zastrzeliłem cara – mówił. Tłumaczył wyższość browninga nad naganem.

Jedni podziwiali i stawiali mu wódkę, inni milkli przerażeni. Jakaś kobieta przeżegnała się tylko i zbladła, a inna, stara wieśniaczka, powiedziała:

– Straszny grzech popełniłeś, Iwanie. Zabić Pomazańca Bożego... I jeszcze się tym chwalisz! Kara boska cię nie minie.

Głupia baba! Śmiał się z niej. Kara boska! Nie ma przecież żadnego Boga, naukowo udowodniono, że nigdy nie istniał żaden Chrystus.

Wiosną 1919 roku dotarł do Briańska. Dalej pojechał wynajętą podwodą. Kazał jechać od strony pola pod lasem. Tam wysiadł i poszedł pieszo. Wiosna tego roku przyszła wcześniej, od kilku tygodni było ciepło, musiało się już tam

zazielenić. Wypatrywał z daleka. Nic! Leżał martwy ugór, nie mógł uwierzyć: Nie zasiali? Co to jest, na Boga?! Podszedł bliżej, ukląkł, drapał palcami ziemię. Jeszcze głębiej... Nie znalazł żadnych ziaren. Ziemia nie była obsiana. Jego ziemia... nieobsiana!

Serce mu się ścisnęło, przeczuwał coś niedobrego. Szedł coraz szybciej, prawie biegł w stronę domu. Widział go z daleka. Komin nie dymił. Pusto. Pies nie zaszczekał, psia buda pusta, żadnych kur ani kaczek na podwórku. Zaskrzypiała furtka, drzwi do chałupy otwarte. Wszedł do środka. Pusto, zapach stęchlizny, gołe ściany. Tylko w izbie stołowej książki na półkach, tak jak je zostawił przed laty, reszta zniknęła. Nawet po ikonach w kącie tylko bledsze ślady na ścianach. Przewrócona malowana kołyska, w środku zdechły szczur.

Usiadł na pieńku koło kuchni, nie rozumiał.

Kiedy zaczęło zmierzchać, powłókł się w stronę wsi. Tam też było pustawo. Tylko w kilku chatach światło w oknach. Wszedł do pierwszej. Kaczałow i jego kobieta patrzyli na niego, nie poznawali.

– To ja, Iwan Jurko – powiedział.

Wtedy dopiero zrozumieli.

– Co tu się stało? Co z moimi, z ojcem, córką?

– Siadaj, Iwan, siadaj, to nic nie wiesz? Takie nieszczęście, takie nieszczęście!

– No co? Mówcie wreszcie!

Kaczałow nalał wódki do szklanek, przysiadł obok Iwana.

– Twojego ojca i zięcia czerwoni powiesili – opowiadał. – Bo kułacy. Przyjechał z Brińska oddział komsomolców brać żywność dla miasta. Trzy ciężarówki, kilku na koniach. Zabrali wszystko, co znaleźli. Za dwa tygodnie przyjechali znowu. Ludzie już wtedy wszystko, co jeszcze zostało, mieli pochowane. No, tyle, żeby przeżyć i ziarno na zasiew.

– Co z moją rodziną? – przerwał Iwan.

– Pomarli z głodu, Iwanie, Boże świeć nad ich duszami. Twojego ojca bili tak długo, aż powiedział, gdzie schował ziarno. W ziemiance pod lasem. Zabrali, a ojca i twojego zięcia powiesili jako kułaków razem z trzema innymi. Byli najbogatsi we wsi; wcześniej wasz zięć i inni pobrali co się dało ze dworu. Konie, bydło, świnie. Nie pozwolili przez dwa tygodnie powieszonych pochować. Mieli wisieć na postrach, jaka władza radziecka sroga i sprawiedliwa. No, wielu potem pomarło z głodu, nie tylko twoi. Myśmy ledwie przeżyli. Szczury się tylko bardzo rozpleniły. Zjadały trupy. A my łapaliśmy szczury i jedliśmy... Szczura nie tak łatwo złapać. Z całej wsi przeżyli tylko niektórzy z czterech rodzin. A wiesz, ile było... dwadzieścia osiem.

Iwan wypił szklanekę wódki, sam sobie nalał kolejną, wypił. Kaczałow mówił i mówił, opowiadał o egzekucji i o szczurach, ale Iwan niczego już nie słyszał, nie

chciał słuchać.

– Pójdę do komitetu partii ze skargą, do Brińska – powiedział. – Nie wiedzą, kim ja jestem.

– I co? Ożywią ci twoich? A jak myślisz, kto wysłała te oddziały rekwizycyjne na wieś?

Iwan zamilkł. Spytał:

– Partia, bolszewicy?

– A ktośby inny? Lenin i bolszewicy z Brińska.

Znow pomilczeli chwilę. Kobieta przysiadła się do stołu. Postawiła miskę kaszy.

– Niczego lepszego nie mamy, Iwanie.

Nie mógł jeść.

– Przenocujecie mnie? – spytał. Mógł przecież pójść do domu, ale nie chciał, przestraszył się tej pustki.

– A jakże, przenocujemy.

Rano wstał i ruszył na piechotę do miasta. Na moście wyrzucił do rzeki legitymację partyjną i pismo pochwalne od komitetu uralskiego. Nie wiedział, co robić. Niczego nie rozumiał, miał zamęt w głowie. Nie wiedział już, kim jest. Komunistą i bolszewikiem czy kułakiem? Przez ostatnie kilka lat wszystko było jasne. Marks wszystko mu wytłumaczył. Walka klas, burżuja i proletariusze, szlachta i chłopci. My albo oni, rewolucja i sprawiedliwość. I co? Powiesili ojca i zięcia; żona, córki i wnuczek pomarli z głodu. Sprawiedliwość...

W Brińsku znow się upił do nieprzytomności. Nigdy dawniej tak się nie upijał. Gospodarz zajazdu z kelnerem zaciągnęli go do pokoju. Słyszeli, jak w kółko mamrotał: „Lenin gorszy. Lenin jeszcze gorszy...”.

Po kilku dniach przetrzeźwiał, przemyślał. Ruszył w stronę Tambowa. Wiele było po lasach chłopskich oddziałów zielonych. Walczyły i z białymi, i z czerwonymi. Na Ukrainie wielka armia Nestora Machno. A w guberni tambowskiej Piotr Tokmanow.

## KALENDARIUM

### **Rok 1919**

Od listopada 1918 w Niemczech trwa rewolucja komunistyczna. 14 grudnia 1918 roku Związek Spartakusa przedstawia program uzbrojenia robotników, rad robotniczych, jednolitego państwa niemieckiego i utworzenia Czerwonej Gwardii.

1 stycznia – Związek Spartakusa przekształca się w Komunistyczną Partię Niemiec. Po zakończeniu walk Róża Luksemburg i Karl Liebknecht zostają zabici przez policję. Wraz z utratą przywódców ruch rewolucyjny zaczyna wygasać.

Marzec – komuniści z Bělą Kunem na czele przechwytyją władzę także na



Węgrzech. Ich rządy trwają tylko 133 dni.

28 czerwca – w Wersalu zostaje podpisany pokój kończący wojnę z Niemcami. Powołana zostaje międzynarodowa organizacja

w celu utrzymania pokoju na świecie, Liga Narodów. Przystępuje do niej 55 państw. USA i Rosja nie wchodzi w jej skład.

W Rosji trwa wojna domowa z udziałem białych, czerwonych i eserowskich chłopskich oddziałów zielonych.

Od lutego trwa wojna polsko-bolszewicka. W kwietniu Polacy zdobywają Wilno.

W latach 1918–1920 z powodu epidemii grypy „hiszpanki” umiera 60 milionów ludzi. Trzy razy więcej niż wojna światowa.

## Warszawa

Po kilku dniach pracy w Adiutanturze Generalnej Jan zrozumiał, jak wielkie wyróżnienie go spotkało. Wszyscy adiutanci Naczelnika byli jego starymi towarzyszami z czasów organizacji bojowej PPS, z I Brygady, z POW lub z Pierwszej Kompanii Kadrowej. Tylko Jan i rotmistrz Stanisław Radziwiłł nie należeli do wieloletnich współpracowników Komendanta. Jana Piłsudski pokochał za Rokitnę. Za jego ochotniczy udział w szarży. Z Radziwiłłem była zupełnie inna historia. Na początku wojny wstąpił do wojska rosyjskiego na ochotnika. Był zwolennikiem Dmowskiego, który wszystkich korzyści, jakie Polska może uzyskać w wyniku wojny, upatrywał w sojuszu z Rosją. Na jednym z zebrań we Lwowie książę wygłosił gwałtowną mowę przeciwko Piłsudskiemu. „Dla wszystkich, którzy go popierają – oświadczył – będzie wiekopomną hańbą, że tego drania nie powiesili na gałęzi”. Potem stopniowo zmieniał poglądy, aż stał się gorącym zwolennikiem Komendanta, który kilka lat później zrobił go swoim adiutantem, ceniał jako żołnierza i bardzo polubił.

\* \* \*

10 lutego 1919 roku zebrał się Sejm Rzeczypospolitej, pierwszy po odzyskaniu niepodległości. Jan nie zdążył z niemieckiego więzienia na wybory, ale z bliska widział inaugurację Sejmu. Władek z Marysią i Stefkiem, już prawie szesnastolatkiem, przyjechali aż z Borowic. Na galerię bardzo trudno się było dostać, były tam setki dziennikarzy polskich i zagranicznych. Janowi udało się jednak załatwić im wejściówki. Warszawa świętowała, ubrana w narodowe sztandary i sztuczne kwiaty. Wszyscy się radowali. Ludzie płakali ze szczęścia. A przecież dookoła wciąż jeszcze toczyła się wojna. Żadna granica Polski nie była pewna. Z Niemcami w Wielkopolsce, z Litwinami, z Ukraińcami, z Czechami o Śląsk Cieszyński, z bolszewikami. Jan znalazł się wśród czterech adiutantów Piłsudskiego, którzy towarzyszyli mu w czasie inauguracji Sejmu.

– Sąsiedzi nasi – mówił Piłsudski – nie chcą zapomnieć o wielowiekowej słabości Polski. Nie chcemy mieszać się do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, by pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa naruszono nasze prawa do samodzielnego bytu. Polska otoczona wrogami musi posiadać armię. Należy poprzeć i rozwinąć budowę wojska. W dziedzinie zrujnowanego przez wojnę życia gospodarczego należy uregulować sprawy przemysłu i niezbędnych reform agrarnych w duchu postępu i wielkich demokracji zachodnich.

Następnie złożył swą władzę w ręce Sejmu, który jednak jego rezygnacji nie przyjął.

Kilka dni później przyszły wiadomości o poważnych starciach z bolszewikami na Wołyniu. Jan był świadkiem odwiedzin w Belwederze ukraińskiego atamana Semena Petlury, potem wysłannika białego generała Wrangla, wreszcie generała dywizji złożonej z Rosjan i Białorusinów Bułak-Bałachowicza, także walczącego z czerwonymi. 12 kwietnia wyruszył z Naczelnikiem na front. Specjalny pociąg jechał do Strzybowic, które miały być siedzibą kwatery głównej. Jan był akurat w gabinecie wodza, kiedy ten pakował się do podróży. Zauważył, że wkłada do torby *Potop* Sienkiewicza, *Kronikę* Strzykowskiego i zdjęcie córki Wandzi. Piłsudski uśmiechnął się i spytał:

– A co wy, majorze, zabieracie ze sobą na wojnę?

– Biblię i zdjęcia najbliższych.

\* \* \*

Dzień później jechał z Naczelnikiem i podpułkownikiem Julianem Stachewiczem do Lidy na Białorusi, gdzie od dwóch dni toczyły się walki. Piłsudski kazał zboczyć z drogi w stronę miasteczka Lipniszki.

– Chcę wam coś pokazać – powiedział. – Byłem tu dwadzieścia pięć lat temu, ale myślę, że trafię.

Zatrzymali się na głównej ulicy koło apteki, wysiedli. Drzwi wejściowe były zamknięte. Wisiała na nich tabliczka z napisem „Remont”. Piłsudski poprowadził ich do wejścia od podwórza, stukali w drzwi, ale nikt nie odpowiadał.

– No, szkoda, szkoda – mówił Naczelnik. – Chciałem wam pokazać, gdzie drukowaliśmy pierwsze numery „Robotnika”. Na zapleczu tej apteki. Apteka dobrze się do tego nadawała, bo nikogo nie dziwiło, że się wciąż wnosi i wynosi różne paczki. Drukarnię kupił Wojciechowski<sup>1</sup> w Londynie – opowiadał. – Kosztowała sto dwadzieścia pięć rubli i była wtedy bardzo nowoczesna. Ale hałasowała jak siewkarnia. Pracowaliśmy po kilkanaście godzin na dobę. Pierwszy nakład tysiąc dwieście egzemplarzy. Wyobrażacie sobie?! To było trzy razy tyle co nakład wszystkich pism „Proletariatu” razem wziętych. Potem tysiąc trzysta, tysiąc sześćset. Mnie w tym czasie udało się zniknąć z oczu Ochronie. Drukarni też nie mogli namierzyć. Po kilku miesiącach, kiedy się dowiedzieliśmy, że są na tropie, musieliśmy przenieść drukarnię do Łodzi. Sześć lat zabrało policji, zanim nas znaleźli. Była wtedy popularna taka anegdotka o szefie żandarmerii, Orłowie, który ze szczególną zjadłością tropił nielegalne druki. Wyprawia swojego agenta służbowo do Niemiec. „Gdy będziesz pan w Norymberdze, powiada, znajdź pan pomnik Gutenberga i napluj mu pan ode mnie w oczy!”

\* \* \*

16 kwietnia ruszyła polska ofensywa na Wilno. W Wielką Sobotę 19 kwietnia ułani Beliny-Prażmowskiego zdobyli miasto, a Naczelnik przybył

w Poniedziałek Wielkanocny, 21 kwietnia. Wjechał na Kasztance, którą przywieziono pociągiem. Wilno było jego rodzinnym miastem. Często sam siebie nazywał upartym Litwinem. W katedrze odbyło się nabożeństwo dziękczynne. Jan stał o kilka kroków od Naczelnika i widział, jak łza spływa po jego wielkich wąsach. Wieniawa-Długoszowski co chwila ocierał oczy chusteczką, a Belina-Prażmowski ryczał po prostu jak dziecko.

Polacy stanowili w Wilnie ogromną większość, Litwinów było zaledwie około 10 procent, więc witano polskie wojska entuzjastycznie. Zupełnie inaczej było na terenach wokół miasta. Tam Polaków było niewiele, prawie wszyscy to Litwini. Więc wielu Litwinów chciało samodzielności. Piłsudski proponował im związek federacyjny. Gdyby się na to zgodzili, Wilno pozostałoby stolicą Litwy. Jeśli nie – pozostałoby przy Polsce, a stolicą Litwy mogłoby być Kowno. Niestety, wielu Litwinów nie zrozumiało, że wobec zagrożenia ze strony Rosji, bolszewickiej czy białej, jest to i dla nich, i dla Polski najlepsze rozwiązanie. W Rzeczpospolitej Obojga Narodów Litwini nigdy nie byli prześladowani. Przeciwnie. Zyskali prawa, których przedtem nie mieli.

\* \* \*

Tego samego dnia przyjechali na pozycje polskich wojsk nad Słuczą nieopodal wsi Rochaczew. Naczelnik dokonał przeglądu pułków kawalerii, piechoty i artylerii, przed wejściem do akcji. Wszędzie witany był z miłością i uwielbieniem.

26 kwietnia zostały zajęte Żytomierz i Korosteń. Następnego dnia Koziatyń. Polacy zdobyli też Nowogródek, nieopodal którego urodził się Adam Mickiewicz. 28 kwietnia Jan miał służbę przy aparacie juzowym i wśród wielu innych doniesień z frontu odebrał wiadomość o śmierci Stanisława księcia Radziwiłła. Musiał z tym pójść do Naczelnika. Wiedział, że to będzie dla niego trudne, ale nie przypuszczał jak bardzo. Zameldował się z paskami z telegrafu.

– Co jest ważnego? – spytał Piłsudski.

Jan nie wiedział, co powiedzieć.

– Panie Naczelniku, zła wiadomość... Zginął książę Radziwiłł.

Piłsudski, który akurat wyjmował papierosa z paczki, wstał nagle, upuścił papierosa na stół, wziął głęboki oddech i poszedł w stronę okna. Jan ujrzał, jak krótki spazm wstrząsnął jego plecami. Odwrócił się, pewnie żeby nie okazać słabości. Jan wyszedł, czując, że Piłsudski chce zostać sam.

Radziwiłła znaleziono pod Malinem po kontrataku na czerwonych, pokłutego bagnietami i z głową rozbitą kolbami karabinów. Był tak zmasakrowany, że musiano wezwać jego ojca, żeby zidentyfikował zwłoki.

\* \* \*

W kwietniu 1920 roku Jan był z Marszałkiem, kiedy ruszyła ofensywa na Kijów. Piłsudski nie chciał Ukrainy włączać do państwa polskiego. Kiedy miasto zostało zdobyte, wydano odezwy wyraźnie określające polskie cele: Chcemy wolnej Ukrainy z własnym, niezależnym rządem. Ataman Petlura wydał podobny manifest. Wojska polskie weszły do Kijowa razem z ukraińskimi. Polacy proponowali Ukrainie federacyjny związek z Rzeczpospolitą. Kiedy Petlura wprowadzi swoje rządy, wycofają się. Zrobią to, nawet jeśli Ukraińcy nie zechcą federacji.

<sup>1</sup> Stanisław Wojciechowski (1869–1953), w latach 1922–1926 prezydent Rzeczpospolitej Polskiej. Przyjaciół marszałka przez trzydzieści lat, aż do słynnego spotkania na moście Poniatowskiego w dzień przewrotu majowego.

## Moskwa, Kreml

O jedenastej, jak w każdy czwartek, Lenin otworzył posiedzenie Biura Politycznego. W wielkiej sali konferencyjnej w budynku dawnego senatu stał tylko owalny stół pod kilkumetrowym łukowym sklepieniem, poza tym zupełnie pusto. Na krótszej ścianie za Leninem ogromne portrety Marksa i Engelsa. Wokół stołu Trocki, Zinowjew, Kamieniew, Kriestinski, Stalin, Bucharin, Kalinin i sekretarz Lenina Boncz-Brujewicz. Spoza członków Politbiura i ich zastępców jeszcze – szef Czeka Dzierżyński i narkom oświaty Łunaczarski.

– Towarzysze, proszę o zwięzłe i rzeczowe referowanie. Punkt pierwszy: sytuacja na odcinku zaopatrzenia w żywność. Towarzyszu Kriestinski!

– Więc, towarzysze, sprawy, prawdę mówiąc, wyglądają nie najlepiej. – Kriestinski wstał, binokle chwiał mu się na nosie, mówił nerwowo, przerzucał kartki notatek. – Rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty jest jeszcze nie do końca podsumowany, ale wygląda, że chyba nie był lepszy niż osiemnasty.

– Osiemnasty był katastrofą – wtrącił Lenin. – Jak to dziewiętnasty niepodsumowany? Przecież mamy kwiecień.

– Cóż... Jak wiecie, towarzysze, zmieniliśmy system ściągania żywności. Wprowadziliśmy kontyngenty nie tylko na zboże, ale też na wszystkie inne najważniejsze produkty<sup>1</sup>, a więc żywiec, nabiał, warzywa, owoce. Ponadto nie ustalaliśmy, jak poprzednio, szacunkowych zbiorów na poszczególnych terenach, lecz zgodnie z wytycznymi Komitetu Centralnego wyszliśmy z założenia, że po prostu wieś musi wyżywić miasto. Musi! I z góry ustaliliśmy ilości potrzebnych produktów. To jest, centrala ustaliła... Po czym rozpisaliśmy to na gubernie, powiaty, władze lokalne. Oddziały aprowizacyjne otrzymały zadanie uzyskania żądanych ilości. I tu trzeba szczerze przyznać, że nie stanęły one na wysokości zadania. O przyczynach zapewne więcej będzie miał do powiedzenia towarzysz Feliks Edmundowicz...

Dzierżyński zerwał się, lecz Lenin dał mu znak, żeby usiadł.

– Później.

– Są też trudności z magazynowaniem i transportem – kontynuował Kriestinski. – Magazynów jest za mało, często wilgotne, żywność się psuje, czasem się nie mieści, bo transport nie nadąża z odbiorem i przewozem do miejsc przeznaczenia. Muszę powiedzieć, że na kolei jest wielki bałagan. Tabor popsuty, zwłaszcza lokomotywy, a przede wszystkim brak maszynistów, mechaników, kolejarzy.

– Jak to brak? – denerwował się Lenin. – Znikli nagle?!

– Jeśli można? Pozwolicie, Włodzimierz Iljiczu? – Podniósł rękę Kalinin<sup>2</sup>, przewodniczący WCIK, jedyny chłop z pochodzenia w Biurze Politycznym.

Patrzył na Lenina. – Mogę?

– No mówcie, mówcie – niecierpliwił się Lenin.

– Więc, tak mi się zdaje, że wielu z nich to, że tak powiem, chłoporobotnicy i wolą zajmować się ziemią, bo tam jest żywność, a kartki żywnościowe na kolei... Sami wiecie, towarzysze.

– Więc musimy natychmiast zwiększyć przydziały kartkowe dla pracowników kolei. Towarzyszu sekretarzu – Lenin zwrócił się do Boncz-Brujewicza – zredagujcie odpowiednią dyrektywę. Zabrać innym, a dać kolejarzom. Trudno! Niech nawet umrze jeszcze kilka tysięcy, ale uratujemy cały kraj.

– Towarzysze. – Bucharin wstał. – Może jednak powinniśmy się zastanowić nad systemem pozyskiwania żywności na wsi. Jeśli chłopu zabierze się całą jego nadwyżkę produkcyjną, to w następnym roku nie będzie się starał zasiać i zebrać więcej niż tylko dla siebie. Bo i po co? I tak mu władza zabierze. A napracować by się musiał więcej.

– To brednie, Nikołaju Iwanowiczu. – Lenin był wściekły. – Chłopi ukrywają zboże i sprzedają na czarnym rynku, nielegalnie. Jeśli oddział aprowizacyjny znajduje pustą stodołę, to powinien z tego wyciągnąć wniosek, że kułak ukrył zboże. I szukać aż do skutku. O nie! Kułactwo to krwiopijcy i kanalie! Tuczą się na nędzy proletariatu, gnidy, pasożyty! Najwięksi wrogowie władzy radzieckiej. – Lenin krzyczał i wymachiwał pięścią. Ten temat zawsze doprowadzał go do furii. – Chłopów trzeba przegłodzić. Tak! Przegłodzić! Toczmy wojnę domową nie tylko z białymi i z zielonymi, nie tylko z Ukraińcami i Polakami, ale także z kułactwem. To jest walka klasowa, walka na śmierć i życie, i albo ją wygramy, albo dyktatura proletariatu upadnie. Nie wystarczy rozstrzeliwać winnych. Trzeba także rozstrzeliwać niewinnych. Tak, niewinnych! Bo dopiero to wywoła prawdziwy strach. Niewinni też muszą się bać. Towarzyszu Dzierżyński...

Opadł zmęczony na krzesło.

– Słusznie, Włodzimierzu Iljiczu. Musimy ich przycisnąć i nie będziemy mieli litości. Bierzemy zakładników i wieszamy. Jednak coraz więcej ucieka do lasu, do zielonych band eserowskich. Wiecie przecież. Machno na Ukrainie to już armia dwudziestotysięczna, dobrze zorganizowana, kierowana przez zawodowych wojskowych. Mają wydział propagandy, wydają gazetę, mają kontakty z zagranicą. W guberni tambowskiej trzydzieści tysięcy. No i wszędzie po lasach wiele pomniejszych band. Ale robimy co się da. Wojska Czeka ściśle współdziałają z Armią Czerwoną, z towarzyszami Trockim i Kamieniewem. Lecz napotykamy ograniczenia, które chcę tutaj przedstawić towarzyszom. Mamy za mało ludzi, za mało samochodów, za mało karabinów maszynowych. Musimy zwiększyć nabór. Do tego potrzeba pieniędzy. Trzeba ich także lepiej opłacać.

– Towarzysz Lenin – przerwał mu Bucharin – pisał, że kiedy policjant zarabia lepiej niż robotnik, to mamy do czynienia z państwem policyjnym.

– Towarzyszu Bucharin! – skarcił go Lenin. – Uważa się was za wielkiego teoretyka marksizmu, a widzę, że nie zrozumieliście podstawowych zasad dialektyki. Wszystko zależy od etapu, na którym się znajdujemy. Kontynuujcie, Feliksie Edmundowiczu.

– Proszę o zwiększenie o dwadzieścia pięć procent budżetu Czecha.

– Dobrze. Towarzyszu Brujewicz, napiszecie dyrektywę dla Sownarkomu.

– Jest jeszcze jeden problem. Oddziały terenowe mają prawo likwidować wrogów ludu, którzy ukrywają żywność, lecz wykrywają też w miastach wielu kontrrewolucjonistów i wtedy żeby się z nimi rozprawić, muszą pisać o zgodę do centrali. To bardzo utrudnia pracę. Wnoszę o przyznanie kierownikom Czecha aż do szczebla powiatowego prawa stosowania najwyższego wymiaru kary we własnym zakresie. Jeśli wprowadzone zostaną te zmiany, to wierzcie mi, towarzysze, że tę wojnę z kontrrewolucją wygramy. Daję wam na to słowo honoru komunisty.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie wstał Lenin:

– Wy, towarzyszu Dzierżyński, jak wiem, wszystkie te prośby o zgodę i tak załatwiacie pozytywnie, prawda? Więc to tylko zbędna biurokracja. Załatwimy to. Ale trzymam was za słowo, Feliksie Edmundowiczu, że opanujecie sytuację. Przechodzimy do następnego punktu. Lwie Dawidowiczu, Kołczak pokonany, Judenicz pokonany. A armia Denikina? Została zniszczona doszczętnie?

Trocki tarł czoło zakłopotany.

– Zniszczona, tak... – Zdjął okulary i czyścił szkła chusteczką. – Jednak trochę ich się przedostało do Polski, generał Bredow. Kawaleria, piechota. No, z białych pozostał już właściwie tylko Wrangel, a za Bajkałem Ungern i Siemionow.

– Ilu od Denikina uciekło do Polski?

– Do dwudziestu tysięcy.

Lenin syknął przez zęby, jakby go coś nagle zabolalo.

– Teraz będą walczyć po stronie Polaków – powiedział.

– Nie sądzę. Piłsudski nie wierzy białym. Uważa ich za takich samych wrogów jak nas, bo biali nie godzą się na niepodległą Polskę. Zostali rozbrojeni i internowani w obozach. No cóż... Burżuazyjną Polskę też trzeba będzie poszturchać bagnetem. Towarzyszu Stalin, jak sprzedaje się za granicą złoto konfiskowane Cerkwi?

– Nieźle, lecz spadły ceny, no i przeszacowaliśmy jego wartość. Przetopione jest znacznie tańsze niż w wyrobach artystycznych.

– Słuszna uwaga, to był błąd. Więc odbierajcie je nadal popom, ale już nie przetapiajcie. Przechodzimy do następnego zagadnienia: Rozwój rewolucji w Europie i na świecie i nasza pomoc dla ruchów komunistycznych.



Referował Zinowjew, przewodniczący Kominternu<sup>3</sup>. Lenin słuchał jednym uchem i swoim zwyczajem wypisywał na karteczkach wyrwanych z notesu polecenia dla towarzyszy.

*Maksym Gorki skarży się, że nadal nie dostarczono mu opału do jego mieszkania. Zajmijcie się tym, natychmiast. WIL*

Zgiął kartkę na pół, napisał na wierzchu:

*Do tow. Stalina*

Podał Brujewiczowi, który puścił ją dalej dookoła stołu.

*Ilu obecnie macie pod kluczem, w śledztwie, wrogów ludu? W Moskwie i w całym kraju? W przybliżeniu. WIL*

Wysłał do Dzierżyńskiego.

Zinowjew kończył odczytywać listy setek tysięcy rubli dotacji dla partii komunistycznych w Niemczech, Francji, Polsce, Ameryce, na Węgrzech, w Rumunii, na Litwie, Łotwie, w Estonii, Czechosłowacji, Chinach, Indiach i wielu innych krajach, gdzie partie komunistyczne były w powijakach. Zakończył łączną kwotą na bieżący rok, która była ogromna i zrobiła na zebranych wielkie wrażenie.

– Tak, towarzysze, to znaczny wysiłek finansowy – podsumował – ale musimy go ponieść. To nasz internacjonalistyczny obowiązek. Bez tego nie będzie światowej rewolucji.

Kiwali głowami, rozległy się nieśmiałe brawa.

– Towarzysze! – Lenin wstał. – Światowa rewolucja rozwija się i jest niezaprzeczalnym faktem, że zwycięży na całym świecie. Kto tego nie rozumie, nie zrozumiał niczego z marksizmu. Już teraz, w samej tylko Rosji Radzieckiej, to jest jedna szósta ludzkości. Nie da się zbudować socjalizmu w jednym kraju. Musimy ponieść ideę na cały świat.

Tym razem brawa były głośniejsze.

– Słusznie – mamrotał sam do siebie Bucharin. – Z jednego kraju można zawsze uciec, a jak rewolucja ogarnie cały świat, to już nigdzie nie uciekną.

– A teraz punkt kolejny, stan armii i nasze przygotowania do kontrataku na burżuazyjną Polskę. Towarzysz Trocki, proszę.

– Stan osobowy Armii Czerwonej dochodzi obecnie do pięciu milionów ludzi. Stan uzbrojenia i wyposażenia nie jest, niestety, zadowalający.

Lenin słuchał, odbierając jednocześnie odpowiedzi na kartkach od Dzierżyńskiego i Stalina. Pisał następne:

*Do Tow. Łunaczarskiego. Kiedy wreszcie skończycie druk moich dzieł zebranych? Dlaczego to tak długo trwa? Wszyscy mnie o to pytają. Ludzie potrzebują moich dzieł, myśli, idei! Zrozumcie, że to jest sprawa wagi państwowej. WIL.*

*PS Trzeba też małą część nakładu, może pięć do dziesięciu tysięcy egzemplarzy, wydrukować na dobrym papierze i w skórzanej oprawie, z przeznaczeniem dla kadry, na upominki z różnych okazji, świąt państwowych, rocznic, urodzin niektórych towarzyszy, otwarcia nowych zakładów i instytucji. Z moim odręcznym podpisem.*

Bucharin przerwał wywody Trockiego:

– Dwaj nasi czołowi dowódcy, fachowcy, generałowie z dawnej armii carskiej przekonywali mnie niedawno, że lepiej by było mieć znacznie mniejszą armię, lecz lepiej wyszkoloną i uzbrojoną.

– Dziwię się wam, towarzyszu Bucharin, że słuchacie jakichś burżuazyjnych doradców. Nie rozumiecie, że tylko marzą o tym, żeby nam zaszkodzić? Trzymamy ich w Armii Czerwonej, bo nie ma innego wyjścia, bo na razie brak nam własnej wyszkolonej kadry dowódczej. A służą tylko dlatego, że boją się o własne tyłki i o rodziny, które możemy w każdej chwili zlikwidować lub wysłać do obozów. Polaków małą armią nie pokonamy. Zresztą z tych pięciu milionów tylko niewielką część będziemy mogli użyć przeciwko burżuazyjnej Polsce. Mamy nadal dość problemów u siebie.

Lenin włączył się do dyskusji.

– Może Bucharin ma trochę racji. Pamiętam ostatnią defiladę armii z okazji rocznicy wielkiej rewolucji październikowej. Byłem, muszę przyznać, wstrząśnięty. Różne mundury, włącznie z angielskimi<sup>4</sup>, niekompletne, karabiny na sznurkach, wielu bez butów. Brudni, zaniedbani. Jeśli tak wyglądają pułki wybrane do defilady, to jak wygląda reszta? Tylko kozacy prezentowali się lepiej. Jak jest teraz, towarzyszu Trocki? I w najogólniejszych zarysach przedstawcie plan uderzenia na burżuazyjną Polskę.

– Braki w wyposażeniu wynikają ze słabości naszego przemysłu. Produkujemy dwa razy za mało karabinów, odzieży, butów, amunicji, dział. Lepiej jest w pociągach pancernych i najcięższej artylerii. A jeszcze te kolejne fale strajków robotniczych. Nasz proletariatusz wciąż jest słabo uświadomiony. O ile w zeszłym roku występowały na ogół żądania ekonomiczne i zalegalizowania handlu żywnością, o tyle teraz domagają się Rad Delegatów bez bolszewików. Towarzysze! Rozumiecie? Domagają się rad bez bolszewików! Wśród przewodników jest wielu eserów i mienszewików. Powstają jakieś struktury powiązań między strajkującymi zakładami, nawet z różnych guberni. To niepokojące. To jest zadanie dla towarzysza Dzierżyńskiego, zniszczyć tę kontrrewolucyjną bandę. Teraz, kiedy idziemy na Zachód, kiedy przez trupa białej Polski połączymy się z proletariatem niemieckim, musimy mieć na zapleczu zapewniony spokój i poparcie obywateli radzieckich. Więc wierzymy, że Czeka

z towarzyszem Dzierżyńskim na czele upora się z tym zadaniem. Co do planu natarcia: Na południu 12. Armia i 1. Konarmia Budionnego pod dowództwem Jegorowa, pójdzie na polską Galicję Wschodnią, na Lwów. 14. Armia Uborewicza na Kijów. Golikow z 7. Brygadą Kawalerii i 25. Dywizją Piechoty im. Czapajewa na Żytomierz. Konarmia idzie już na front i będzie na podstawach wyjściowych do ataku za kilka dni. Z północy uderzy Tuchaczewski z armiami 4., 15. i 16. oraz II Korpusem Kawalerii Gai Dmitriewicza Gaja. Kierunek na Warszawę. Szczegóły strategiczne zachowajmy w tajemnicy. Towarzysze, zwyciężymy!

Wszyscy wstali. Oklaski na stojąco.

Trocki jeszcze referował stan kadr i na żądanie Stalina omówił dotychczasową karierę wojskową i kwalifikacje Tuchaczewskiego.

Lenin, coraz bardziej zmęczony, uznał, że jednak musi pilnie załatwić jeszcze jedną sprawę. Napisał kartkę do Kalinina:

*Proszę, przekazcie, Michaił Iwanowiczu, komendantowi Kremla, co następuje: Wciąż nowi zasłużeni towarzysze otrzymują mieszkania w obrębie Kremla. Niektórzy przyjeżdżają z dalekich republik i, wstyd powiedzieć, ale wyglądają niezbyt schludnie. Należy wprowadzić dla nich i dla ich rodzin bezwzględny obowiązek gorącej kąpieli przed wprowadzeniem się i ścisłej dezynfekcji wszystkich rzeczy, które przywożą ze sobą. WIL*

\* \* \*

Kilka dni później Trocki przyniósł Leninowi wiadomość, że wojska polskie zajęły Kijów. Piłsudski wkroczył do miasta z Ukraińcami i atamanem Petlurą, uprzedzając spodziewany atak Armii Czerwonej.

<sup>1</sup> Przez jakieś przeoczenie pominięto w tych spisach cebulę i zaraz chłopci zaczęli ją masowo uprawiać, bo mogli ją bez ograniczeń sprzedawać na rynku.

<sup>2</sup> Michaił Iwanowicz Kalinin (1875–1946) jako przewodniczący WCIK był kimś w rodzaju prezydenta państwa, jednak była to funkcja czysto dekoracyjna, bez żadnego istotnego znaczenia.

<sup>3</sup> Komintern (Międzynarodówka Komunistyczna, Kommunistisches Internacyonal) był w tym czasie zbieraniną komunistów, ludzi, którzy we własnych krajach nie mieli żadnego znaczenia, z kanapowych partii marksistowskich z całej Europy i świata.

<sup>4</sup> Angielskie mundury pochodziły z dostaw dla białej armii Wrangla, a ponieważ chłopów wcielano do niej siłą, dezercerowali do czerwonych w mundurach i z bronią.



## Warszawa

Drugiego czerwca na północy zaatakował Tuchaczewski, a piątego na południu Budionny. Konarmia przerwała front i szła na tyły wojsk polskich, na Żytomierz i Berdyczów. Dwudziestego drugiego lipca w Galicji bolszewicy przekroczyli granicę Polski. Pojawiły się masy uchodźców z terenów zagrożonych. Dochodziły wieści o morderstwach i gwałtach dokonywanych na ludności cywilnej. Kraj ogarniało przerażenie.

Rozpoczął się kryzys gabinetowy, premier Skulski podał rząd do dymisji. Rząd Grabskiego przetrwał zaledwie miesiąc. Dopiero Wincenty Witos na polecenie Piłsudskiego powołał rząd złożony ze wszystkich partii reprezentowanych w sejmie.

Wywiad radiowy przechwycił i przekazał Piłsudskiemu rozkaz Tuchaczewskiego:

**Na zachód!**

**Rozkaz dla oddziałów Frontu Zachodniego**

**Nr 1423, Smoleńsk, 2 lipca 1920**

**Żołnierze Armii Czerwonej!**

**Nadszedł czas rozrachunku. Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Białego Orła stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie. Przez trupa białej Polski prowadzi droga ku ogólnoświatowej pożodze. Na naszych bagnietach przyniesiemy szczęście i pokój masom pracującym.**

**Na zachód!**

**Wybiła godzina natarcia. Na Wilno, Mińsk i Warszawę! Naprzód marsz!**

**Dowódca naczelny Frontu Zachodniego, Tuchaczewski; członkowie Rewolucyjnej Rady Wojennej, Smiłga, Unslicht, szef sztabu Szwarc.**

Dziewiątego lipca dowództwo polskie podjęło decyzję głębokiego odwrotu i zorganizowania obrony pod Warszawą.

Przez kilkanaście ostatnich miesięcy Jan z innymi adiutantami i dowódcami towarzyszył Marszałkowi<sup>1</sup> w wyjazdach na front. Nocowali na bocznicach, w wagonach specjalnego pociągu Naczelnego Wodza. Piłsudski chciał naocznie przekonać się o sytuacji, wizytował armie i dywizje, wszędzie spotykał się z entuzjastycznym przyjęciem. Przekonywał, że nic nie jest jeszcze stracone, możemy się obronić. Jednak szybki odwrót podobny do ucieczki źle wpływał na morale żołnierza i wywoływał strach w społeczeństwie.

Czwartego sierpnia Jan wrócił do stolicy z Włodawy. Wieczorem niespodziewanie pojawili się u niego Władysław z Marysią. Zdenerwowani i zmartwieni:

– Stefek uciekł z domu, żeby zaciągnąć się do wojska – opowiadała Marysia ze łzami w oczach. – Pytaliśmy we wszystkich punktach werbunkowych w Krakowie i po drodze, w Częstochowie. Nigdzie go nie ma. Może pojechał do Lwowa, ale sądzimy, że raczej do Warszawy. Janku, ratuj! Ty masz na pewno większe możliwości. Poszukasz go?

Jan wziął Marysię za rękę.

– Oczywiście, postaram się, myślę, że mogę go znaleźć, ale powiedzcie, ile lat ma teraz Stefek, dokładnie.

– Za dwa tygodnie, osiemnastego sierpnia, skończy siedemnaście lat.

– Żeby został przyjęty, powinien mieć ukończone siedemnaście, ale nie wiem, czy komisje werbunkowe tak dokładnie tego przestrzegają. Do służb pomocniczych przyjmuje się także młodszych, choć tylko z pisemną zgodą rodziców.

Jan odwiózł ich do hotelu i do późna w nocy rozmawiał z bratem. Władek był przygnębiony.

– Czy bolszewicy nie mają u siebie dość kłopotów? – pytał. – Dopiero co Wrangel pobił ich na Krymie. Gazety donosiły, dokładnie pamiętam, że zniszczył osiemnaście pułków kawalerii Armii Czerwonej, wziął dwadzieścia tysięcy jeńców, dziewięć pociągów pancernych, sześćdziesiąt dział, dwadzieścia samolotów.

– To fanatycy. Uważają, że muszą nieść rewolucję do Europy, że komunizm zwycięży, kiedy ogarnie wiele krajów, a potem cały świat, więc nie przejmują się Krymem.

– No a rokowania pokojowe? Wciąż się przecież toczą. I Anglicy pośredniczą... Nie ma szans na zawarcie pokoju?

– Bolszewicy grają na czas. Chcieliśmy, żeby rokowania toczyły się w Bobrujsku. Bolszewicy sami go wcześniej wskazywali, a tu nagle Bobrujsk jest już niedobry. Millerand i Lloyd George<sup>2</sup> proponują takie warunki, że gorszych by sami czerwoni nie wymyślili. Uważają, że w tej wojnie to my jesteśmy agresorem. Na Zachodzie mamy trochę przyjaciół i wielu wrogów. Związki zawodowe we Francji i Anglii są pod wpływem propagandy komunistycznej. Głoszą hasło: „Ręce precz od Kraju Rad!”. Dokerzy odmawiają załadunku pomocy wojskowej dla Polski. W Wiedniu niedawno kolejarze zatrzymali cały pociąg amunicji. Czesi przeszkadzają, jak mogą. W Gdańsku to samo. Dokerzy nie chcą przepuścić pomocy materiałowej. Na szczęście tamtejszy przedstawiciel ententy potrafi jakoś temu zaradzić i transporty dochodzą. Karabiny, amunicja... Dostaliśmy po sto naboju na każdego czerwonoarmistę na naszym froncie, wyobraź sobie...

– A pomoc wojsk angielskich i francuskich? Przed tygodniem przeczytałem w „Rzeczpospolitej”, że wojska angielskie będą przewiezione przez Gdańsk i Rygę, francuskie przez Niemcy, a włoskie przez Austrię i Czechosłowację.

– Władku! To jakieś fantazje dziennikarskie. Lloyd George wyraźnie powiedział, że pomocy nie będzie, bo Polska ma dość własnego materiału ludzkiego. To oczywiście demagogia, bo co innego materiał ludzki, a co innego wyszkolone jednostki wojskowe. Nawet armię Hallera<sup>3</sup> trudno było wydestać z Francji. A kiedy została użyta w Galicji, podniósł się krzyk, że to wbrew porozumieniom.

– Alianci nie rozumieją, że pochód bolszewików im także zagraża?

– Słabo to rozumieją. Gdyby nas Czerwona Armia pokonała, to w Niemczech na pewno wybuchnie rewolucja komunistyczna. Wtedy cała Europa byłaby zagrożona.

– Jak bolszewicy podejną pod Warszawę, rząd przeniesie się gdzieś na zachód?

– Rozważano takie plany. Do Poznania, do Częstochowy albo do Krakowa. Poznań byłby dobry ze względu na łatwe połączenie z Gdańskiem, skąd idzie pomoc. Ale tam Dmowski i narodowcy, jak się okazało, już planują w razie upadku stolicy oderwanie Wielkopolski i ogłoszenie autonomii.

– Mój Boże! Naprawdę?

– Niestety. Ostatecznie jednak zdecydowano pozostawić rząd w Warszawie. Wiele ambasad już zwija manatki i ucieka. Zostali Włosi i nuncjusz papieski Achille Ratti<sup>4</sup>. Marszałek już dwa razy na Radzie Obrony Państwa oddawał się do dyspozycji, gdyby przeważyli stronnicy zawarcia pokoju za każdą cenę. Na szczęście, jak na razie, tego nie przyjmuje nawet Dmowski. Marszałkowi nie brakuje wrogów. Była niedawno w Belwederze delegacja z Poznańskiego z posłem księdzem Stanisławem Adamskim. Byłem przy tym i nie zapomnę do końca życia. Marszałek przyjął ich w towarzystwie Sosnkowskiego. Wyszedł specjalnie z sali obrad, żeby ich przyjąć. Ksiądz Adamski wygłosił przemówienie. Zakończył słowami: „Społeczeństwo poznańskie obserwuje z głęboką troską niepojęte wydarzenia na froncie, a nie rozumiejąc, co się dzieje, dopatruje się zdrady i zdradę tę widzi tutaj!”. Wskazał palcem na Piłsudskiego. Marszałek nie rzekł ani słowa, odwrócił się i wyszedł. Straszna scena, trudno mi sobie wyobrazić, co Marszałek czuł w tej chwili. To zupełnie niezwykły człowiek. Tego się nie pisze w prasie, ale on często choruje. W zeszłym roku było już tak źle, że spisał testament, utajniony, tak że nawet notariusz nie znał jego treści. Także na wojnie, kiedy prowadził Legiony, bardzo chorował. Serce! Zdumiewające, że potrafi nie tylko pokonywać chorobę, ale i osiągać tak wiele.

– A Weygand<sup>5</sup>?

– Marszałek przywitał go pytaniem, ile dywizji przywiózł. Oficjalnie jest doradcą szefa sztabu, ale na naradach często nikt mu nie tłumaczy, o czym się mówi. Czuje się lekceważony i obrażony.

Potem rozmawiali o Katii i jej sytuacji w Piotrogradzie.

- Janku! Wszystko dobrze się skończy. Po wojnie zabierzesz ich do Polski.
  - Jeśli wygramy i nie wleżą tu czerwoni. Wtedy wszystko by przypadło.
- \* \* \*

Władek i Marysia umówili się z Janem po południu w cukierni Ziemiańskiej przy ulicy Kredytowej. Był ranek, mieli jeszcze dużo czasu, zwiedzali Warszawę. Byli tu dopiero drugi raz w życiu. Przed wojną stolica była za granicą, w zaborze rosyjskim. Spacerowali ulicami śródmieścia, Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem; plac Zamkowy, kolumna Zygmunta, Stare Miasto. Dziwne było, że nie dało się na warszawskiej ulicy wyczuć żadnej nerwowości czy strachu. A przecież bolszewicy byli o kilkadziesiąt kilometrów od stolicy i zbliżali się. Dzień był ciepły i słoneczny, życie toczyło się zwyczajnie. Tylko na murach wszędzie plakaty. Żołnierz polski przebija bagnetem trójgłowego czerwonego smoka. Hasło: „Do broni!”. Ułan tnący szablą na odlew czerwonoarmistę o paskudnej wykrzywionej nienawiścią twarzy. Napis: „Bij bolszewika!”. Żołnierze przemieszani z cywilami, strzelający w czerwoną dal i kobieta w łowickim pasiaku przynosząca im chleb. Hasło: „Twierdzą będzie nam każdy próg”. Hasło: „Na pomoc! Wszyscy na front” i ludzie z wysiłkiem podpierający wywracający się płot, na który napierają tłumy bojców w czapkach z czerwoną gwiazdą.

Napisy farbą na murach: „Czemuś nie w szeregu? Tak pragniesz nahajki moskiewskiej?”, „Zwlekasz, a tysiące braci swoich na śmierć wydajesz!”.

Podobnie było w Krakowie, lecz tu napisów i plakatów było jeszcze więcej. Jezdnią szła gromada, może setka ochotników z sierżantem na czele. Szli czwórkami, ale niezbyt równo. Jeszcze w cywilnych ubraniach, ale już z ogolonymi głowami. Wielu w studenckich czapkach. Wielu odprowadzały zapłakane lub roześmiane dziewczyny. Nieśli walizki i kuferki, śpiewali, pokrzykiwali, któryś grał na harmonijce ustnej: „Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!”.

To także widzieli któregoś dnia w Krakowie na Rynku, pod Sukiennicami, gdzie odbywało się uroczyste zaprzysiężenie ochotników. Stefek oglądał to z rodzicami, nic więc dziwnego, że w końcu uciekł do wojska. W Krakowie spotykali nawet kobiety ochotniczki w mundurach. Koszary Legii Kobiet mieściły się na Grodzkiej naprzeciw Wawelu. Ich patrole legitymowały na ulicach młodych mężczyzn, sprawdzając, czy nie uchylają się od obowiązkowego poboru lub czy nie są dezerterami.

– Może powinniśmy się pogodzić z tym, że Stefek pójdzie na front. – Powiedział Władysław. – I powinniśmy być z niego dumni.

– Władku, na Boga, przecież to nasz jedyny syn. Jest za młody, to jeszcze dziecko.

– Od lat ze wszystkich Szawernowskich tylko ja nigdy nie walczyłem.



Ojciec w powstaniu styczniowym, dziadek w listopadowym, Jan w Legionach. W twojej rodzinie to samo.

– Pracujesz na roli, ktoś przecież musi uprawiać tę ziemię. Ktoś musi żywić, nie tylko bronić.

– No tak, ale czasem myślę, że i ja powinienem...

Zawędrowali do Łazienek. W pobliżu Belwederu Marysia przystanęła, rozglądała się uważnie.

– Wiesz, Władku, chyba poznaję to miejsce. Widziałam na zdjęciu w gazecie. Tutaj właśnie miał stanąć pomnik Chopina. Najpierw planowano na placu Wareckim, a ostatnio tutaj.

– No i może jeszcze stanie. Czytałem, że sejm przeznaczył pieniądze w budżecie na wykonanie odlewu i ustawienie pomnika. Mimo że trwa wojna i wydawałoby się, że to teraz mniej ważne.

\* \* \*

W Ziemiańskiej byli dwadzieścia minut przed czasem. Władek przeglądał gazety. Krakowska „Rzeczpospolita”, która miała też wydanie warszawskie i lwowskie, na pierwszej stronie drukowała jak zwykle komunikat Sztabu Generalnego o sytuacji na froncie. Ale tuż obok zamieszczała wielką reklamę nowego filmu: „Dziś premiera! Arcydzieło wytwórni Nordisk w Kopenhadze *Taniec w płomieniach*. Sensacyjny dramat w pięciu aktach. W roli głównej ulubieniec publiczności W. Harrison”. Na drugiej stronie codzienny reportaż Szukiewicza z frontu lub o uchodźcach. Długi szereg nazwisk z sumami ofiarowanymi na wojsko. 200 marek polskich na broń, 700 marek na flotę, 80 marek na pomoc dla rodzin poległych...

Jan przyszedł po chwili.

– Znalazłem Stefka. Jest w ochotniczym 201. Pułku Szwoleżerów. Odbywa szkolenie w Modlinie. Dowódcą Armii Ochotniczej jest generał Haller. Ze Sztabu Generalnego pokierowano mnie do sztabu Armii Ochotniczej. Mieści się w głównym budynku politechniki.

– Długo potrwa to szkolenie?

– Dwa miesiące, przyjmowano tylko tych, którzy umieją jeździć konno. Sprawdzali. Potem na front. Dowiedziałem się, że moglibyście dzieciaka wyreklamować jako nieletniego, ale skoro za dwa tygodnie będzie miał siedemnaście lat... czy to ma sens? Na pewno zaraz by wrócił do pułku.

– A może zanim skończy to szkolenie, wojna się skończy? – zastanawiała się Marysia.

– Może. – Jan nie miał wątpliwości, że to niemożliwe, lecz nie chciał jej odbierać nadziei. – Ale wyobraźcie sobie, udało mi się odnaleźć szefa komisji werbunkowej, która przyjęła Stefka. Zapamiętał go, bo Stefek stawił się ze

sztucerem myśliwskim i wszystkimi kieszeniami urywającymi się od nabojów. I chciał zademonstrować swoje umiejętności strzeleckie. Więc kiedy się okazało, że dobrze jeździ konno, przyjęli go, mimo że brakowało mu tych kilku dni.

– Coś takiego! – dziwił się Władek. – Nawet nie zauważyłem, że zabrał sztucer.

– Sam mu go podarowałeś, Władku, na szesnaste urodziny – zauważyła Marysia. – Trzymał go w swoim pokoju.

– A dużo jest ochotników, Janku? – pytał Władek.

– Około stu pięćdziesięciu tysięcy. Do kawalerii przyjęto dwanaście tysięcy. Nie będą zbyt dokładnie wyszkoleni, ale ochotnicy zawsze dobrze się biją. To znaczna siła. Ale... nie jestem pewien, czy w trzydziestomilionowej Polsce sto pięćdziesiąt tysięcy to dużo.

– Pojedziemy do Modlina – zdecydował Władek. – Rzeczywiście, nie warto go stamtąd zabierać, zaraz by znowu uciekł, ale chociaż się pożegnamy.

– Władku. – Marysia ocierała łzy. – Poszedł wbrew twojemu zakazowi, ale teraz... W tej sytuacji musisz go pobłogosławić, musisz.

Po powrocie z Modlina do Warszawy, na dzień przed odjazdem do domu, Marysia i Władek widzieli na Krakowskim Przedmieściu procesję błagalną o ocalenie przed bolszewikami. W dzień odjazdu, kiedy pakowali walizki, słychać już było głuchy pomruk dział bitwy o Radzymin. Cicho brzęczały od drgań kryształowe żyrandole w pokoju hotelowym.

\* \* \*

Szóstego sierpnia rano zameldował się u Piłsudskiego generał Rozwadowski, szef sztabu. Gabinet był zadymiony, Marszałek siedział nad mapami rozłożonymi na wielkim stole. Pił kolejną filiżankę herbaty, miał zaczerwienione oczy i dwudniowy zarost, był zmęczony, ale pogodny. Najwyraźniej przesiedział nad mapami całą noc.

Nanieśli wspólnie zmiany, które powstały od poprzedniego dnia w położeniu wojsk własnych i bolszewickich. Jak każdy dzień ostatnio, tak i ten przyniósł pogorszenie sytuacji. Jediną dobrą wiadomością było doniesienie wywiadu, że sowiecka Grupa Mozyrska jest o wiele słabsza, niż sądzono.

Rozwadowski przyniósł swój projekt odwrotu 4. Armii i skoncentrowania jej do kontrataku w rejonie Garwolina. Przez kilka chwil dyskutowali, po czym Marszałek ten plan odrzucił.

– Informacje o słabości Grupy Mozyrskiej – powiedział – utwierdzają mnie w decyzjach, które podjąłem tej nocy. To świetna wiadomość! Nasze kontrnatarcie z południa spotka się najpierw właśnie z Grupą Mozyrską i przejedziemy im po brzuchach. Patrzcie, szefie. – Piłsudski wziął mapę z biurka i położył na stole. – Z dwóch frontów zrobimy trzy. Na północy 5. Armia wokół Modlina pod

dowództwem Sikorskiego. Obrona stolicy łukiem wokół miasta od Zegrza do Karczewa przez Radzymin i Okuniew. Dwa rzędy okopów, trzy rzędy drutów kolczastych. Front środkowy nad Wieprzem przykryje na zachodzie Dęblin. 4. armia w składzie 12., 14. i 21. Dywizji Piechoty plus grupa Hozera. Na południu Bałachowicz, 7. Dywizja Piechoty i 6. Dywizja Ukraińska. Wystarczająco, żeby powstrzymać 12. Armię sowiecką i Konarmię Budionnego.

– Panie Marszałku, ale ile mamy czasu? To wielkie przegrupowania.

– No właśnie! Musimy je wykonać do trzynastego sierpnia, więc siedem dni.

– Przecież to niewykonalne, to ponad ludzkie siły. Jednostki, które powinny się znaleźć nad Wieprzem, cofają się, walcząc. Musiałyby oderwać się od wroga i przejść odległości nie do pokonania w tak krótkim czasie.

– Ma pan rację generale. W całym założeniu jest ten nonsens. Sam go dobrze widzę, ale to jedyna szansa na skuteczny atak na tyły Tuchaczewskiego. To jedyna szansa na ich okrążenie. Musimy zdążyć! Atak na północ trzynastego sierpnia też musi posuwać się w tempie ekspresowym. Jeśli to się uda, zniszczymy bolszewików doszczętnie i uratują się tylko ci, którzy będą najszybciej uciekać.

Rozwadowski nie był przekonany. Milczał. Wreszcie powiedział:

– To niezwykle ryzykowne.

– Tak, lecz pomysł Weyganda, żeby się bronić na linii Wisły, ma też małe szanse, a w najlepszym razie doprowadziłby do przedłużania wojny nie wiadomo jak długo jeszcze. Niech pan patrzy. Jednocześnie z atakiem środkowego frontu znad Wieprza Sikorski zaatakuje w kierunku Ciechanowa, a potem na Chorzele i Myszyniec. To uniemożliwi bolszewikom obejście Warszawy od zachodu i zagrozi im okrążeniem od północy. Będą musieli się cofnąć.

– A jeśli Warszawa nie wytrzyma? Tuchaczewski może skierować wszystkie swoje siły na ten kierunek. Co wtedy?

– Warszawa musi się utrzymać. Od tego zależy wszystko. Więc jak pan widzi, nie zabieram spod Warszawy ani jednego pułku. Łuk frontu wokół stolicy to jedyne miejsce, gdzie obrona jest tak gęsta jak w pozycyjnych walkach na Zachodzie. Siedmiuset, ośmiuset ludzi na kilometr okopów. Dużo artylerii. Jeśli nie wytrzymają... ma pan rację, wszystko się zawali.

– Kto obejmie dowództwo frontu środkowego, kontrnatarcia?

– Sam je poprowadzę. Widzę nonsens założenia tego planu, więc nie mogę tego nonsensu składać na czyjeś barki. Ludzie są strasznie zmęczeni. Są załamani wieloma tygodniami w odwrocie. A tu wszystko zależy od szybkości po prostu niemożliwej dla zwykłej ludzkiej wytrzymałości. A jednak wierzę, że się uda. Nonsens tego planu to też jego zaleta. Da nam efekt zupełnego zaskoczenia. Zanim się zorientują, będzie po nich. Wie pan, jak Napoleon opisywał te zmagania z samym sobą, kiedy decydował o planie przeprowadzenia batalii? Mówił, że czuje się jak kobieta rodząca w bólach. Gardząc słabością płci pięknej, siebie, olbrzyma

woli i geniuszu porównywał do słabej dziewczyny męczącej się w połogu! Mówił o sobie, że jest wtedy *pussilanime*, trwożliwy. No, więc ja jestem właśnie już po porodzie. – Zaśmiał się. – Ten plan obmyślałem przez dwa dni w Aninie, a rozwiązanie nastąpiło dziś w nocy. Niech pan teraz przetworzy tę myśl w rozkazy dla jednostek. Jak najszybciej, w ciągu kilku godzin. I kiedy tylko będzie pan gotowy, proszę do mnie. Potem natychmiast rozsyłać.

– Panie Marszałku, plan dla jednostek cofających się jest zdumiewający. Ucieczkę zmienia w przegrupowanie. Udziela mi się pański optymizm, ale ryzyko jest ogromne.

– Niech się pan nie martwi. Intuicja mi podpowiada, że będzie dobrze. Dziś mamy rocznicę, pan nie pamięta, pan nie był w Legionach. Sześć lat temu szóstego sierpnia Pierwsza Kompania Kadrowa wyruszyła z Oleandrów. To dobry znak.

\* \* \*

Trzy dni później Jan towarzyszył Marszałkowi sprawdzającemu stan umocnień wokół Warszawy. Uznał je za niewystarczające. Przekonywał generała Latinika, że bez względu na wszystko utrzymanie stolicy jest możliwe i absolutnie konieczne. 12 sierpnia Jan wyruszył z Naczelnikiem na front. Nocą jechali do Puław ze starym przyjacielem Piłsudskiego z PPS, Aleksandrem Prystorem. Nadłożyli samochodem sporo drogi, żeby Marszałek mógł pożegnać się z żoną i córkami, które były wtedy pod Krakowem. Wcześniej Jan zauważył jednak wyraźną zmianę w zachowaniu wodza. Piłsudski wydawał się przybity, prawie załamany. Napięcie, niepewność, wciąż pogarszająca się sytuacja i ogromna, przytłaczająca odpowiedzialność. Dopiero kilka lat po wojnie stało się publicznie znane, co się wtedy wydarzyło. Przed odjazdem na front Marszałek udał się do Prezydium Rady Ministrów, do Witosa. Był bliski załamania. Powiedział, że stawia wszystko na ostatnią kartę i nie ma żadnej pewności, że wygra. Odczytał z kartki oświadczenie, w którym podawał się do dymisji ze stanowiska Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Gdyby przegrał, premier miał tylko wpisać datę i przyjąć dymisję. Wtedy Polska powinna się odwołać do ententy i negocjować z bolszewikami.

W Puławach Piłsudski był przez trzy dni wśród żołnierzy 4. Armii. Od rana do wieczora rozmawiał w batalionach i kompaniach z setkami i tysiącami. Przekonywał, że mogą wygrać. Nie tylko bolszewicy, ale i niektórzy Polacy szli na wojnę boso. W Firleju prawie połowa 21. Dywizji defilowała przed Marszałkiem bez butów. Po latach generał Weygand wspominał: „Piłsudski zelektryzował ich. Przełał z własnej duszy do duszy walczących ufność i wolę pokonania wszelkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógłby tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą wojska polskie nie dokonałyby z tym uniesieniem zażartym tej ofensywy, która miała je doprowadzić w ciągu kilku dni aż do niemieckiej granicy<sup>6</sup>, przedzierając

z boku i rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców”.

\* \* \*

Ruszyła kontrofensywa znad Wieprza. Dowódcy i adiutanci błagali Marszałka, żeby się nie narażał, lecz on szedł pieszko w ataku. Jan obok niego. Niósł walizeczkę z orderami, którymi zaraz po boju wódz odznaczał najdzielniejszych oficerów i szeregowych.

W ręce Tuchaczewskiego trafił rozkaz kontrataku, który czerwoni znaleźli przy polskim oficerze. Sztab 3. Armii stacjonujący w Chełmie rozesłał do dywizji szczegółowe dyrektywy oparte na ogólnym rozkazie. Wysłane zostały dla bezpieczeństwa ciężarówkami z drużyną piechoty w każdej. Jedna z nich nocą wjechała do Włodawy, gdzie miała stać grupa podpułkownika Hozera. Zamiast Polaków byli tam jednak Rosjanie. Ciężarówka została niespodziewanie otoczona, a jej obsada rozbrojona<sup>7</sup>.

– To najpewniej fałszywka mająca nas wprowadzić w błąd – powiedział Tuchaczewski. – A jeśli nie, to majaczenia pana Piłsudskiego. Ten plan jest absolutnie niewykonalny.

17 sierpnia Jan cały dzień spędził z Marszałkiem w samochodzie. Ofensywa rozwijała się znakomicie. Bolszewicy uciekali. Następnego dnia byli w Kołbieli, gdzie zastali tyły 14. Dywizji, która szła do Mińska Mazowieckiego. Wtedy mogli już spokojnie wrócić do Warszawy.

18 sierpnia Naczelnik Państwa wydał odezwę do ludu polskiego, wzywając do walki z pierzchającym wrogiem:

**Niech żywa noga najeźdźnika nie wyjdzie z polskiej ziemi. Za poległych w obronie ojczyzny ojców i braci, za zniszczone zbiory, za zrabowane zagrody, niech karzące twe pięści, uzbrojone w widły, kosy i cepy, spadną na karki bolszewików.**

<sup>1</sup> Marszałek Piłsudski. Tytuł marszałka nadał Piłsudskiemu Sejm w lipcu 1919 roku.

<sup>2</sup> David Lloyd George (1863–1945), w latach 1916–1922 premier Wielkiej Brytanii.

<sup>3</sup> Armia Hallera – polska ochotnicza formacja wojskowa powołana we Francji dekretem prezydenta Raymonda Poincarégo 4 czerwca 1917 roku. Składała się głównie z polskich emigrantów z USA, którzy odpowiedzieli na apel Ignacego Paderewskiego i wezwanie Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu kierowanego przez Romana Dmowskiego.

<sup>4</sup> Achille Ratti, arcybiskup, w latach 1919–1921 nuncjusz apostolski w Polsce. W latach 1922–1939 papież Pius XI.

<sup>5</sup> Maxime Weygand – pod koniec pierwszej wojny światowej szef sztabu sprzymierzonych. Niektórzy przypisywali mu zasługę zwycięstwa w bitwie warszawskiej.

<sup>6</sup> Chodzi o granicę z Prusami Wschodnimi, którą uciekając, przekroczyło ponad 30 tysięcy bolszewików.

<sup>7</sup> Historykom nie udało się ustalić nazwiska oficera, który został storturowany przez bolszewików na śmierć. Zeznawał tak, żeby nie mogli się zorientować, czy mają do czynienia z prawdą czy blefem.

## Moskwa

Kiedy wojska Tuchaczewskiego zbliżały się do Warszawy, w Moskwie, w Teatrze Wielkim odbywał się II Zjazd Międzynarodówki Komunistycznej z udziałem partii z trzydziestu siedmiu krajów. Lenin kilkakrotnie przemawiał, mając za plecami ścianę, na której mapa wielkości dziesięciu ekranów kinowych codziennie pokazywała postępy Czerwonej Armii w Polsce. 14 sierpnia czerwone chorągiewki były już w Radzyminie, piętnaście kilometrów od Warszawy.

– Towarzysze! – wołał Lenin – następny nasz zjazd odbędzie się w Berlinie, a potem w Paryżu, Londynie!

Towarzysze cieszyli się i bili brawo.

16 sierpnia wśród delegatów rozeszła się wiadomość, że Warszawa została zdobyta. Sowietci wydrukowali w Siedlcach odezwę do obywateli stolicy datowaną 15 sierpnia, zaczynającą się od słów: „Czerwona Armia zdobyła Warszawę w pogoni za białą armią Piłsudskiego...”. Podpisali ją „Dowodzący Armią Generalnego Sztabu: Sołłogub, Członek Rewolucyjnej Rady Wojennej: Piatakow i Naczelnik Sztabu: Batorski”. W Moskwie na murach domów pojawiły się odezwy oznajmiające, że Warszawa została zdobyta. Potem jednak okazało się, że to nieprawda, i przychodziły już tylko coraz gorsze wiadomości. Aż wreszcie wszyscy zrozumieli, że światowa rewolucja to nie jest jeszcze najbliższa przyszłość.

## Sierpc

Jan z redaktorem Szukiewiczem z „Rzeczpospolitej” i Thomasem Moringiem, warszawskim korespondentem „London News”, rozmawiał w szpitalu z kapralem Górskim.

Dwa dni wcześniej wezwał Jana Marszałek:

– Dochodzą wieści o zbrodniach Kawkoru<sup>1</sup>, 3. Korpusu Kawalerii Gai-Chana. Pojedźcie tam sprawdzić. Potem to, co ustalicie, trzeba przekazać dziennikarzom polskim i zagranicznym. W zeszłym miesiącu przedstawiliśmy na konferencji w Spa pełną dokumentację zbrodni Konarmii Budionnego. Mordowanie jeńców, nawet z wieloma fotografiami. Nie było żadnej reakcji. Międzynarodowa konferencja. Parszywieńki Zachód! No, ale trzeba pokazywać. Może artykuły prasowe kogoś poruszą...

– Panie Marszałku! To może niech dziennikarze od razu pojedą ze mną, bezpośrednie relacje zrobią na pewno większe wrażenie.

– Dobrze, tak, macie rację. Bierzcie auto, kogo tam znajdziecie z pismaków i jedźcie.

Kapral był bardzo blady, miał zabandażowane lewe ramię i głowę. Opowiadał:

– Służę w Kowieńskim Pułku Strzelców 15. Wielkopolskiej Dywizji Piechoty. W Szydłowie trzy tygodnie temu kompania dostała się w okrążenie. Nie mieliśmy szans, poddaliśmy się. Czterdziestu trzech oficerów i żołnierzy. Wtedy nie wiedzieliśmy, jak Gaja-Chan rozprawia się z jeńcami. Dopiero później, już tutaj, w szpitalu, dowiedziałem się, że wymordował około tysiąca jeńców. W Chorzelach, Cichoszkach, pod Mławą. Dostałem odłamkiem szrapnela w głowę, niezbyt groźnie, ale rana mocno krwawiła i straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, byliśmy wszyscy stłoczeni w pustej stodole. Koledzy mnie opatrzyli, miałem głowę obandażowaną. Słyszeli, że któryś z kozaków mówił, że nas tu żywcem spalą. Ale rano zdjęli nam więzy z nóg i wygnali na dwór. Ręce mieliśmy związane, niektórzy za plecami, niektórzy z przodu. Stał szwadron kozaków z pikami, szablami i kawaleryjskimi karabinkami. Przed nami był pas nieużytków, a na horyzoncie las. „Szkoda na was, polskich panów, nabo!” przemówił do nas ataman. „Poćwiczmy na was pościg za tchórzliwymi Polaczkami. No, kto będzie dobrze uciekał i dotrze do lasu, ten może się i uratuje. Uciekajcie! No już, uciekajcie!” Rzuciliśmy się do ucieczki, jedni w prawo, inni w lewo, większość na wprost. Może pół minuty później rozległy się krzyki: „Urra! urra!”. Ruszyli galopem za nami. Nie jest łatwo uciekać, kiedy ma się skrępowane ręce i jeszcze przed kozakiem na koniu. Najszybciej dopadli tych, co mieli ręce związane za plecami. Cięli szablami, leżących na ziemi kłuli lancami. Biegłem, potykając się,



byłem osłabiony z upływu krwi. Zerwałem sobie bandaż z głowy, żeby widzieli krew i padłem na ziemię. Kilku przejechało obok, myśleli, że nie żyję, ale jeden się zatrzymał. Podjechał i wbił mi lancę w ramię, na wylot.

Kiedy się ocknąłem z omdlenia, zmierzchało. Ocuciła mnie wieczorna rosa. Jacyś ludzie, ledwie widoczni we mgle, snuli się po polu wśród poległych. Po chwili zorientowałem się, że to nasi, że ciągną pomordowanych do wielkiego dołu. Mnie też powlekli za nogi, a ja nie byłem w stanie wydobyć głosu. Ale uderzyłem ramieniem o kamień i zajęczałem. To mnie uratowało przed pogrzebaniem żywcem, zauważyli, że żyję. Ja jeden ocalałem...

Potem Jan i dziennikarze rozmawiali jeszcze z kilkunastoma żołnierzami z różnych jednostek 5. Armii. Wszyscy potwierdzali, że Gaja Dmitrijewicz Gaj kazał zabijać polskich jeńców. Wielu torturowano przed śmiercią. Stan zwłok, które znajdowali, nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Generał Sikorski, dowódca 5. Armii, wydał rozkaz rozstrzeliwania wszystkich jeńców z korpusu Gaja wziętych do niewoli.

## KALENDARIUM WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ

### **Rok 1919**

5 stycznia – Armia Czerwona zajmuje Wilno.

14 lutego – pierwsze starcia oddziałów Wojska Polskiego i Armii Czerwonej na Białorusi i Polesiu.

21 kwietnia – po trzydniowych walkach wojska polskie zajmują Wilno.

18 maja – rozpoczyna się polska ofensywa w Galicji Wschodniej.

24 maja – podpisana zostaje umowa o współpracy wojskowej między rządem RP a Dyrektoriatem Ukraińskiej Republiki Ludowej.

22–29 lipca – tajne rokowania polsko-bolszewickie w Białowieży.

8 sierpnia – wojska polskie zajmują Mińsk.

1 września – podpisany zostaje układ o rozejmie i linii demarkacyjnej pomiędzy Polską a Ukrainą.

### **Rok 1920**

Styczeń – wojska polskie zdobywają Dyneburg.

10 marca – głównodowodzący sił zbrojnych Rosji Radzieckiej zatwierdza plan uderzenia na Zachód przez Polskę.

24 kwietnia – podpisana zostaje konwencja wojskowa między Polską a Ukrainą o ścisłej współpracy militarnej w wojnie z bolszewikami.

7 maja – 3. Armia generała Rydza-Śmigłego zajmuje Kijów.

14 maja – Front Zachodni Michaiła Tuchaczewskiego rozpoczyna ofensywę na Białorusi.

27 maja – rusza kontrofensywa Armii Czerwonej na Ukrainie.

4 lipca – rozpoczyna się odwrót sił polskich na całym froncie.

12 lipca – Litwa podpisuje układ z bolszewikami, na mocy którego nastąpi przekazanie Litwie Wilna, w zamian za co Armia Czerwona może przejść przez terytorium litewskie.

14–15 lipca – bolszewicy zajmują Wilno i Grodno.

20 lipca – Głównodowodzący Sił Zbrojnych Republiki Siergiej Kamieniew wydaje rozkaz dowództwom Frontu Zachodniego i Południowo-Zachodniego wykonania decydującego uderzenia na Warszawę.

23 lipca – zmieniony rozkaz Kamieniewa. Front Zachodni ma uderzyć na Warszawę, a Południowo-Zachodni na Lwów.

25 lipca – Konarmia Budionnego wchodzi na przedpola Lwowa. Do Warszawy przybywa francusko-brytyjska misja wojskowa z generałem Maxime'em Weygandem i lordem Edgarem d'Abernonem.

30 lipca – w Białymstoku utworzony zostaje Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski w składzie Julian Marchlewski (przewodniczący), Edward Próchnik, Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, Józef Unszlicht.

1 sierpnia – bolszewicy zdobywają Brześć nad Bugiem.

7–12 sierpnia – następuje wielkie przegrupowanie wojsk polskich.

11 sierpnia – wojska bolszewickie docierają do Wisły.

12–13 sierpnia – Armia Czerwona rusza na przedmościa Warszawy. Od północy naciera na Płock, Toruń, Włocławek. Zdobywa Radzymin, atakuje Ossów, Nieporęt, Okuniew.

14 sierpnia – 5. Armia Sikorskiego atakuje znad Wkry.

15 sierpnia – generał Lucjan Żeligowski odbija Radzymin.

16 sierpnia – rusza polska ofensywa znad Wieprza pod osobistym dowództwem Marszałka Józefa Piłsudskiego.

19–20 sierpnia – bitwa pod Lwowem i początek odwrotu bolszewików na Froncie Południowo-Zachodnim.

20–24 sierpnia – Polacy odzyskują Łomżę i Białystok.

25 sierpnia – Polacy zajmują Wilno.

31 sierpnia – w bitwie pod Komarowem polska kawaleria rozbija Konarmię Budionnego.

20–28 września – zwycięska dla Wojska Polskiego bitwa nad Niemnem.

9 października – rzekomo zbuntowana dywizja generała Żeligowskiego na rozkaz Piłsudskiego zdobywa Wilno.

15 października – wojska polskie zdobywają Mińsk.

18 października – zawieszenie broni na całym froncie.

### **Rok 1921**

18 marca – w Rydze podpisany zostaje traktat pokojowy między Polską a radzieckimi republikami Rosji i Ukrainy.

<sup>1</sup> Kawkor – ros. skrót od „kawaleryjski korpus”. Korpus Gaji Dmitrijewicza Gaja (1887–1937), składał się z kozaków kubańskich, a więc Rosjan, i był zwany także Złotą Ordą Gaja-Chana. Gaja Gaj, w ruchu rewolucyjnym od 1903 roku, od 1918 roku – członek partii Lenina. Jak prawie wszyscy starzy bolszewicy zginął zamordowany przez swoich towarzyszy w czasie stalinowskiej wielkiej czystki.

## Bajkał

Wieczorem konie i ludzie Karsowa byli już tak zmęczeni, że trzeba było rozbić obóz i odpocząć. Od kilkunastu godzin jechali na południe wzdłuż zachodniego brzegu Bajkału. Bez odpoczynku. Od kilku godzin po ciemku. Konie wciąż się potykały. Coraz częściej. Od czasu zawieszenia broni w wojnie z Polakami bolszewickich wojsk na Syberii wciąż przybywało. Na północy za Karsowem szli czerwoni. Na zachodzie po prawej mieli Góry Stanowe, na wschód, po lewej – strome brzegi Bajkału, zamarzniętego tylko na kilkadziesiąt metrów od brzegu. W górach, w oddali, od trzech godzin widać było zapalające się wszędzie ogniska. Bolszewicy pokazywali, że osaczają ich niewielki oddział. Najpewniej nie wiedzieli jak mały.

Z dywizjonu kawalerii pozostało tylko pięćdziesięciu czterech ludzi, o kilka więcej koni i dziewięć jucznych mułów.

Karsow wiedział, że zbliża się koniec. Był na wojnie sześć i pół roku. Nie przypuszczał, że przeżyje tak długo. Może sam by już ze sobą skończył, może otworzyłby sobie żyły w wannie i umierał powoli, słuchając muzyki. Ale ludzie! W ciągu kilku ostatnich miesięcy tyle razy wyprowadzał ich z beznadziejnych sytuacji. Wobec nich to by było jak dezercja. Wierzyli, że znów ich wyprowadzi. Byli wierni, bezwarunkowo posłuszni, twardzi i niezłomni; kochał ich. W tej ostatniej godzinie – jakże mógłby ich opuścić? Skoro przyjdzie umrzeć, niech przynajmniej giną w walce. Razem.

Ciepły wiatr przegnał chmury, stawiali namioty w świetle księżyca. Jasno prawie jak w dzień. Podszedł kapitan Puszkina:

– Ludzie marzną, pytają, czy mogą zapalić ogniska.

– Niech palą, i tak wiedzą, gdzie jesteśmy. Rozkaż, żeby każdy zapalił co najmniej dwa. Niech myślą, że jest nas więcej, wtedy rano nie od razu zaatakują. A my przed świtem w drogę. Posterunki jak zwykle i patrole po dwóch ludzi, pieszo w każdą stronę. Niech zaraz przyjdą do mnie po rozkazy.

Siedział przy ognisku z oficerami. Grzali się, jedli resztki wędzonej koniny, pili, palili.

– Macie dwa zadania – mówił do dziesięciu zwiadowców. Wszyscy byli wychudzeni, wynędzniali, zarośnięci. – Sprawdzić, czy nie podchodzą po kryjomu, i spróbować rozeznaczyć najślabszy punkt. Może gdzieś nie mają dział lub taczanek z cekaemami. Albo gdzie jest ich najmniej. Przed świtem będziemy się przebijać. Muszę wiedzieć, w którym kierunku są największe szanse. Podejść jak się da najbliżej. Z powrotem musicie być najdalej o szóstej rano. Pytania?

– To już koniec, panie pułkowniku?

– Co ty, Pawle Stiepanowiczu? – Zaśmiał się. – Przebijemy się! Zawsze się

przebijaliśmy, prawda? No, ruszajcie.

Karsow owinął się kocami i starał się zasnąć. Kończyła mu się kokaina. Przez ostatnie tygodnie omijali siedziby ludzkie, kryjąc się przed czerwonymi, i nie miał okazji uzupełnić zapasu. Ostatnie dwie dawki trzymał na czarnej godzinę, od dwóch dni nie brał. Za to więcej pił. Czuł się źle, coraz gorzej. Nawet kiedy brał kokainę, zawsze trudno zasypiał i musiał się trochę upijać, żeby zasnąć. Złe myśli, pesymistyczne, splątane...

Może te ognie w górach na zachodzie to tylko pozory. Może tam są tylko pojedynczy ludzie? Może należy pójść właśnie na zachód? Tam też poszły patrole, może przyniosą dobre wieści. Trzeba by iść w góry. Ale konie strasznie zdrożone. Jednak to może by była jakaś szansa. Ale, prawdę mówiąc, wolałyby już kończyć. No i pod górę trudno szarżować. Niech się dzieje co chce. Karsow chciał zginąć jak kawalerzysta, w szarży.

\* \* \*

Obudzili go z płytkiego snu przed świtem. Wróciły patrole. Główne siły bolszewików za nimi. Z artylerią i taczankami, co najmniej pułk czerwonoarmistów. Na południu cekaemów nie zauważyli. W górach nigdzie nie zdołali dojść w pobliże ognia. Niewiadoma.

Konie były już nakarmione przez dyżurnych, którzy wstali pół godziny wcześniej. Cicho zagrała trąbka. Na pobudkę, a za chwilę na wsiadanego. Karsow zdecydował: Na południe! Wziął dwie ostatnie dawki kokainy. Przywróciła mu siły, poczuł się o wiele lepiej. Nawet całkiem dobrze. Wrócił optymizm; przebija się.

Ruszyli. Wstawał świt i opadła poranna mgła. Wtedy zobaczyli bolszewików nagle i z bardzo bliska. To była szansa! Karsow zakomenderował szarżę. Jednak karabiny maszynowe tam były. Padł koń pod Karsowem, zwałił się przez łeb.

\* \* \*

Kiedy się ocknął z omdlenia, miał związane nogi i ręce. Ręce z przodu, co go zdziwiło. Zaraz się okazało dlaczego. Leżał na gołej ziemi, a tuż obok nad ogniskiem gotowała się i parowała woda w wielkim kotle. Dookoła bojcy w spiczastych czapkach z czerwoną gwiazdą. Wszyscy jakby czekali, kiedy się ocknie. Dwaj dziwnie podobni do siebie wstali, podeszli i stanęli nad Karsowem. Musieli być bliźniakami. Nigdy nie widział tak jasnych, tak pustych, przezroczystych oczu.

– Jak się spało? – spytał jeden z nich.

Milczał. A po chwili:

– Co z moimi ludźmi? – rozglądał się, nie widział ich, może się przebili?

– Pan pułkownik nie raczy odpowiedzieć, więc my też... Ale zaraz

pogadamy inaczej. Jakie piękne białe dłonie ma wielmożny pan! Zawsze w rękawiczkach? Zdejmujemy waszej wielmożności rękawiczki.

Wstało jeszcze kilku innych. Podnieśli Karsowa, chwycili mocno z tyłu, popchnęli w stronę kotła. Inni podchodzili, żeby popatrzeć. Jeden z bliźniaków zaczepił ostrzem siekiery sznur na rękach hrabiego. Karsow szarpnął się odruchowo, lecz byli od niego silniejsi. Obie jego ręce wepchnęli po łokcie do wrzątku. Ból uderzył tak strasznie, że Karsow zemdłał. Polali mu głowę wodą z wiadra. Kiedy oprzytomniał, znów włożyli mu ręce do wrzątku. I przytrzymały dłużej. Miał rękawy zawinięte powyżej łokci, musieli je podwinąć, kiedy nic nie czuł. Zaciskał zęby i jęczał. Wył. Ból targał ręce i rozsadzał głowę.

Podszedł drugi z bliźniaków. Cienkim nożem rozciął więzy na przegubach i przecinał skórę poniżej łokci, dookoła. Potem założył rękawice, chwycił skórę na lewej ręce i zaczął ściągać. Schodziła jak rękawiczka. Potem to samo z prawą. Karsow nie wiedział, że ból może być jeszcze straszniejszy. Nie miał zupełnie władzy w rękach aż do ramion. Były jak porażone. Znów zemdłał. Znów ocucili go wiadrem zimnej wody.

Widział nad sobą wesołe, rozradowane twarze. Śmiali się, bawili się świetnie:

– Jak wasza wielmożność się czuje? Może wódeczki? Koniaku i kawioru niestety nie mamy. Prosimy o wybaczenie.

Któryś wlał mu kubek spirytusu do ust. Czyżby z litości?

Karsow zaczął odpływać. Jeden podniósł z ziemi skórę zdjętą z jego rąk. Podawali sobie, oglądali, udawali, że chcą założyć, lecz „rękawiczki” były dla nich za ciasne. Widział krwawiące nagie kikuty tego, co zostało. Poczul, że ból słabnie. No, tak! Przez całe życie prawie wcale nie cierpiał. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Nie chorował, nie przeżywał zawodów miłosnych. Cierpienie poznał dopiero teraz. Za to jakie!

Ból malał i zanikał, krew spływała z rąk, mięśnie i żyły na wierzchu. Po chwili nic już nie czuł. Był przytomny, widział wokół siebie oprawców; śmiali się, ale ich nie słyszał. Więc to już śmierć? Nareszcie! Ostatnia przygoda życia, może najciekawsza. Co będzie? O tak, to bardzo piękne. Cudowne! Lepsze niż kokaina, lepsze niż miłość, niż wszystko, czego zaznał w życiu. Czy potem zobaczy Nadzieję? Oddychał głęboko i radośnie. Unosił się lekki jak piórko, szybował. Czy to już? Za chwilę zobaczy... wszystko będzie wiedział, wszystko będzie jasne?

– Boże, Boże, wybacz mi moje grzechy...

## Piotrogród

W lutym kończył się Katii kontrakt w Teatrze Maryjskim i stało się to, czego się najbardziej obawiała. Dyrektor w towarzystwie sekretarza organizacji partyjnej oświadczył, że kontrakt nie będzie przedłużony. Powód? Taki sam jak w przypadku Bolskiej: arystokratyczne pochodzenie. Zażądała uzasadnienia na piśmie. Miała jeszcze nadzieję, że z takim uzasadnieniem mogłaby coś zdziałać w Moskwie u komisarza Łunaczarskiego, znanego z dbałości o artystów, o kulturę wysoką, zwłaszcza o teatr i muzykę.

– Nie było umowy tylko kontrakt, nie zrywamy żadnej umowy, więc nie musimy niczego uzasadniać – usłyszała. – Kontrakt wygaś i nie musimy go odnawiać.

Jeszcze w lecie ubiegłego roku Katia wykopała brylanty schowane w parku w Gołubych Prudach i udało się jej szczęśliwie dowieźć je do domu. Jednak uzyskane z ich sprzedaży pieniądze też już się kończyły. Wobec cen żywności na czarnym rynku, w tempie zastraszającym. Nie mając pracy, nie mogła dostać kartek żywnościowych. Dla władzy radzieckiej była teraz pasożytem. Na ulicy pierwszy napotkany czekista mógł ją skierować do przymusowej pracy przy sprzątaniu miasta.

Od kiedy rząd przeprowadził się do Moskwy, przeniosły się tam także ambasady. Żeby przez brytyjską ambasadę wysłać listy do Jana musiała nie tylko kupić bilet, ale też dostać pozwolenie na wyjazd. W styczniu po raz pierwszy takiego pozwolenia jej odmówiono. Oznaczało to także utratę nadziei na występowanie z recitalami w ambasadach, które czasami zapraszały ją przy różnych okazjach świąt narodowych lub przyjęć dyplomatycznych. Z listami pojechała więc Nastia.

Kończyły się zapasy ziemniaków, marchwi i cebuli, które w ubiegłym roku Katia z Nastią zebrały w ogrodzie wokół pałacyku. Nastia już nie obierała ziemniaków tylko je dokładnie myła. Szkoda było tracić skórki. Katia już prawie nic nie jadła, wszystko pozostawiając Jankowi. Chłopiec rósł i chudł. Patrzyła na to z przerażeniem.

Po wyprowadzeniu się rodzin robotniczych w pałacyku Katii zamieszkały dwie rodziny czekistów średniego szczebla. Niczego im nie brakowało, kobiety gotowały obiady w kuchni piętro niżej. Najpierw Katia zaczęła wygrzebywać ze śmietnika obierki i gotować je. Któregoś dnia jednak obierek nie znalazła. Wtedy zaczęła się na piętrze i kiedy kobiet nie było, weszła do kuchni i zapakowała do torby ziemniaki, kawałek mięsa i kilka jajek. Uciekła na górę przerażona tym, co zrobiła, modląc się, żeby nikt nie zauważył.

Potem robiła to codziennie. Brała chleb, ziemniaki, trochę mięsa, czasem

jabłko. Starła się ograniczać, w nadziei, że kobiety nie zauważą. Ale wreszcie zauważyły i zrobiły awanturę. Więc Katia zaczęła chodzić na targ. Handel prywatny był zakazany i prawie codziennie wpadała tam milicja, lecz to pomagało najwyżej na kilka godzin. Katia przynosiła resztki tego, co mogła dać na wymianę. Jakieś ubrania, buty. Za dobrą jeszcze parę butów dostała kiedyś funt masła. Kiedy nie udało jej się niczego zamienić na targu, poszła do sklepu. Porwała kawał sera z lady i uciekła. Słyszała, jak wołali za nią: „Łapać złodziejkę!”. Udało jej się uciec, ale było to upokarzające i strasznie się wstydziła.

Któraś wieczoru Janek narzekał:

– Mamusiu, jestem głodny.

– Wiem, synku. – Miała łzy w oczach. – Jutro może uda mi się przynieść coś więcej do jedzenia.

Otuliła go kocem, bo kończył się opał i w pokoju było zimno. Nie wydawała pieniędzy nawet na gazety. Chodziła do kawiarni koło teatru, gdzie była znana i mogła je czytać, niczego nie zamawiając. Latem ubiegłego roku odetchnęła z ulgą, kiedy zaczęły dochodzić wiadomości, że bolszewicy cofają się na wszystkich frontach. Propaganda przedstawiała to jako planowy odwrót, ale tempo tego odwrotu wskazywało raczej na paniczną ucieczkę. Gdyby czerwoni zajęli Polskę, nie byłoby już żadnej nadziei. Teraz czekała na wieści o rozejmie i pokoju. Jan obiecywał, że przyjedzie i zabierze ich oboje do Polski, gdy tylko pokój zostanie zawarty i granica otwarta.

– Już niedługo, synku – mówiła. – Tatuś przyjedzie, zabierze nas do Polski i już nigdy nie będziesz głodny.

– W Polsce nie ma bolszewików? – pytał Janek.

– Nie ma ich, nie ma wcale.

– I nikt tam nie głoduje?

– Nikt, synku.

– Nie strzelają do ludzi na ulicy?

– A kto ci mówił?

– Nastia opowiadała, jak ciocię Larysę zabili na ulicy.

\* \* \*

Kawiarnia koło teatru była już upaństwowiona i wiele się zmieniło, ale powszechnie lubiana pani Roma nadal pracowała tam jako kelnerka. Któregoś dnia podeszła do Katii czytającej gazety.

– Ktoś przyniósł to dla pani – powiedziała i położyła na stoliku zawinięte w papier pudełko po butach.

W środku był kilogramowy bochenek chleba. To było tak zaskakujące, chleb pachniał tak oszałamiająco pięknie, a ona była tak wygłodzona, że nie mogła się powstrzymać i od razu zaczęła jeść. Gryzła wielkimi kęsami i połykała



nieprzytomnie, aż się krztusiła. Usiłowała przestać. Przecież Janek! Nie udało się, nie była w stanie przestać, zjadła wszystko do ostatniego okruszka. Idąc do domu, płakała. Jak mogła? Jak mogła zjeść wszystko! Nie mogła sobie tego darować, czuła się tak, jakby okradła własne dziecko, jakby je sama zabiła. To było trudne doświadczenie: co może głód zrobić z człowiekiem. W nocy straszny sen. Jan pyta: „Gdzie jest Janek?”. A ona odpowiada: „Wyszedł się pobawić”. Ale kłamie, bo przecież Janek umarł z głodu. Budzi się przerażona i uświadamia sobie, że synek żyje. Jeszcze żyje!

Potem co dwa dni odbierała chleb w kawiarni i wtedy już cały zanosila do domu. Janek dostawał połowę, drugą połowę dzieliła się z Nastią. Nie mogła się niczego dowiedzieć od pani Romy. Ani czy ich dobroczyńca jest młody czy stary, czy to kobieta czy mężczyzna. Ten ktoś podobno zapowiedział, że przestanie przychodzić, jeśli kelnerka zdradzi, kim jest.

– Też nie jest bogaty – powiedziała tylko. – Nie wygląda ani na bogatego, ani na dobrze odżywionego. Jakby mu się dobrze powodziło, to nie tylko chleb by przynosił.

Chciała jakoś podziękować, odwdzińczyć się. Lecz jak? Co mogła dać? Skoro ten ktoś wie, że ona bywa w kawiarni obok teatru, to może to meloman, może miłośnik opery? Może nawet widzi, że czyta tylko gazety i niczego nie zamawia, nawet herbaty. Dała pani Romie swoją płytę z romansami i ariami operowymi. Napisała na okładce: „Z ogromną wdzięcznością i podziękowaniem za ratunek Jekiaterina Niesłuchowa-Szawernowska”.

Katii przyszło do głowy, że to może Sawwa Riezin, który przecież właśnie w tej kawiarni namówił ją, żeby zatrudniła go jako impresaria. Szukała kontaktu z nim, lecz dowiedziała się, że pół roku temu Sawwa uciekł z Rosji i jest gdzieś na Zachodzie.

Po kilku tygodniach urwało się, paczek nie było...

– Przestał przychodzić – powiedziała pani Roma. – Może zachorował... Może jeszcze przyjdzie.

Ale nikt już później nie przyniósł chleba.

## Kronsztad 1921

Od kilku miesięcy Paweł Wodopjanow pracował w „Izwiestiach”, codziennej gazecie marynarzy Kronsztadu, a od kilku tygodni był jej naczelnym. 28 lutego od rana do redakcji w dawnym dowództwie garnizonu przybywali ludzie wysłani do miasta przez Pawła lub przez kronsztadzki sowiet. Przynosili wieści.

Misza Walik, tapicer, bystry chłopak, obleciał kilka strajkujących zakładów.

– Racje chleba zmniejszyli do dwustu pięćdziesięciu gramów dziennie – opowiadał. – W dzielnicy Wyborskiej wszędzie pod bramami fabryk oddziały Czeka i Armii Czerwonej. Wczoraj ogłosili stan wojenny. Na murach obwieszczenia. Grożą karą śmierci wszystkim, którzy nie podejmą pracy. Na ścianie komitetu miejskiego partii widziałem, jak zamalowywali wielki napis: „Nie chcemy Lenina i koniny! Dajcie nam cara i wołowinę!”.

– I słusznie, że zamalowali – śmiał się Paweł. – Bo to mocno spóźnione. Teraz już i konina jest luksusem.

Jeszcze w lipcu 1918 roku stłumiono w Moskwie i Piotrogradzie powstanie lewicowych eserów, którzy w tym czasie nie tylko uczestniczyli w rządzie Lenina, ale też mieli wielu swoich w Czeka. Bolszewicy rozstrzelali bez sądu i śledztwa dwustu uczestników puczu. Pod koniec 1920 roku trzeba było użyć dwudziestu jeden dywizji, żeby stłumić powstanie głodujących chłopów w guberni saratowskiej. Sąsiednia gubernia tambowska była całkowicie opanowana przez chłopską armię Antonowa.

W bazie Floty Bałtyckiej wrzało. W Piotrogradzie strajkowało coraz więcej fabryk. Zaczęła Trubietska, za nią poszły inne, aż dołączyła Putiłowka, wielkie zakłady zbrojeniowe, od dawna zrewolucjonizowane i odtąd pozostające pod wpływem bolszewików. Od kilku dni w winiecie gazety, pod tytułem, Paweł kazał codziennie drukować wielkimi literami jak motto: „Robotnicy! Nie macie do stracenia nic oprócz kajdan. Karol Marks”.

Zaczął się od żądań lepszego zaopatrzenia w żywność i odzież, ale szybko pojawiły się postulaty polityczne. Żądano przywrócenia wolnego handlu i swobody podróżowania, zniesienia pozwoleń na wyjazd za miasto. Na wiecach robotnicy wykrzykiwali, że sowiety nie mają nic do powiedzenia. Partia komunistyczna rządzi, nie oglądając się na rady. I rządzi terrorem.

Paweł palił papierosa za papierosem i notował. Wszedł Wołodia Oriesin, nauczyciel Szkoły Technicznej. Zdjął kozuch, chuchał w dłoń:

– Mróz, mróz! Dajcie herbaty.

Masza Samgina, sekretarz redakcji i korektorka gazety zakrzętnęła się koło samowara. Z innych pokoi przyszło jeszcze kilku pracowników redakcji.

– Dziś o piątej na placu Kotwicznym wiec marynarzy – powiedział jeden

z nich.

Oriesin przywiózł gazety, rzucił na stół:

– Czytajcie. Jesteśmy białymi buntownikami i kontrrewolucjonistami.

Wszedł kierowca Bajkow, także wracający z Piotrogradu.

– Strzelali do ludzi w dzielnicy Wyborskiej – zdjął czapkę. – Widziałem...

Są dziesiątki zabitych i rannych. Wielu aresztowali.

– Włączcie radio, włączcie, posłuchajcie! – wołał od drzwi następny przybysz. – Mają mówić o nas.

Zatrzeszczał odbiornik.

– Tu radio Moskwa! Do wszystkich, do wszystkich, do wszystkich! Buntownicy z Kronsztadu na czele z marynarzami pancernika *Pietropawłowski* są wysłannikami białych i szpiegami ententy. Jest jasne, że powstanie w Kronsztadzie i Piotrogradzie jest sterowane z Paryża. Historia się powtarza. Socjaliści-rewolucjoniści, których czołówka partyjna siedzi w Paryżu, przygotowują podłoże dla nowego powstania wymierzonego we władzę radziecką. Mącą tam również mienszewicy i anarchosyndykaliści. Za ich plecami w Kronsztadzie działa carski generał Kozłowski. Powtarza się historia Kołczaka, który wykorzystał eserów, aby zdobyć władzę... Kontrrewolucja zostanie stłumiona...

– No, nie tak łatwo! – wykrzyknął Pawłow, robotnik fabryki min morskich. – Niech tylko lody na zatoce stopnieją, Kronsztad będzie nie do zdobycia. Zobaczymy!

– Spokojnie, spokojnie – rzekł Wodopjanow. – Najpierw spróbujemy negocjować. Podobno Trocki się tu do nas wybiera.

– To zbrodniarz – gorączkował się Pawłow. – Ma ręce unurzane we krwi robotników i chłopów. Po łokcie! Rozmawiałem kilka dni temu z komisarzem Sarinem. Powiedział, że tylko w styczniu wystąpiło z partii pięć tysięcy marynarzy. Kto w ogóle jeszcze popiera Lenina? Chyba tylko Dzierżyński i Czeka.

Radio przez chwilę tak szumiało, że niczego nie mogli zrozumieć. Po chwili trzaski ucichły. Usłyszeli:

– W tym momencie, gdy w Stanach Zjednoczonych władzę przejmuje nowy rząd republikański, który jest gotowy wznowić stosunki handlowe z Rosją Radziecką, nie mają kłamcy i buntownicy z Kronsztadu nic innego na celu, jak wpłynąć na prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby zmienił on swą politykę w stosunku do naszego kraju. Bunt na *Pietropawłowsku* jest bez wątpienia częścią wielkiej zmywy, która ma w kraju szerzyć niepokój i nam szkodzić. Kontrrewolucja zostanie stłumiona! Karząca ręka proletariatu utopi ją we krwi.

– Popatrzcie – mówił Oriesin. – Nie ma już ani jednej gazety niezależnej od bolszewików. W całej Rosji chyba tylko nasze „Izwestia” i nasze radio. Pamiętajcie, co obiecywał Lenin w październiku siedemnastego roku? Że każde

dziesięć tysięcy obywateli będzie miało prawo mieć własną gazetę i własne stowarzyszenie. Nas nazywać kontrrewolucjonistami? Nas?! Bez nas nie byłoby rewolucji lutowej ani październikowej. Jeszcze niedawno Trocki z Leninem nazywali marynarzy „dumą i chlubą rewolucji”. A teraz kontrrewolucja!

– Wielu może wierzyć w te kłamstwa – zastanawiał się Paweł – że nami tu kierują biali i eserzy. W Piotrogradzie ludzie wiedzą, ale w głębi kraju?

– Więc opublikujmy nazwiska naszych przywódców, naszego komitetu – rzekł Oriesin.

– Słusznie! Tak zrobimy – zdecydował Wodopjanow. – Przygotuj na jutro komunikat. I przypomnij, że Kozłowskiego sam Trocki przysłał nam tutaj jako specjalistę od artylerii. No i że ma już prawie osiemdziesiąt lat.

– Może by warto też przypomnieć strajk powszechny w Piotrogradzie w maju osiemnastego roku i masakrę robotników w Kołpinie. No i dawniejsze tradycje rewolucyjne Kronsztadu.

– Dobrze, warto przypomnieć, jak Czeka strzelała do robotników. A może jeszcze inaczej. Zbierz, Oriesin, wszystkie przypadki od siedemnastego roku, kiedy bolszewicy kazali strzelać do robotników. I opisz. O tradycjach Kronsztadu już pomyślałem. Sam to napiszę, a wy przygotujcie komunikat i potem lećcie na wiec. Sprawozdanie i ewentualne rezolucje, jakie tam uchwalą. Pawłow, ty krótki felieton, jak co tydzień. No, do roboty!

Ludzie rozeszli się do swoich zajęć, a Paweł Wodopjanow zaczął pisać:

#### **Październik 1905**

**Bunt marynarzy Floty Bałtyckiej przeciwko carowi. Powstanie zostało krwawo zduszone, nastąpiły aresztowania, rozstrzeliwania, a część uczestników skierowano do przymusowej pracy.**

#### **Lipiec 1906**

**Kronsztad buntuje się ponownie - rewolta Floty Bałtyckiej przeciwko carowi.**

#### **Lipiec 1915**

**W protokole jednego z tajniaków Ochrony możemy przeczytać o ówczesnych stosunkach w Kronsztadzie: „Duża część Floty Bałtyckiej, ludzie, którzy z powodów politycznych znajdują się pod nadzorem policyjnym, zostali wysłani na front na lądzie, aby zagwarantować wewnętrzny spokój na okrętach”.**

#### **Luty 1917**

**Bunt w Kronsztadzie. Dwóch carskich admirałów i czterdziestu oficerów zostało rozstrzelanych. Załogi wybierają oficerów z własnych szeregów, wszelkie odznaki stopni wojskowych zostają zniesione, mieszkańcy Kronsztadu rządzą się sami. Proklamowana jest niezależna Republika Kronsztadzka. Wszystkie polityczne decyzje są podejmowane kolektywnie**

przez zgromadzenie na głównym placu twierdzy.

**Lipiec 1917**

Demonstracja w Piotrogradzie przeciwko tymczasowemu rządowi Kierenskiego, jak i przeciw dalszemu prowadzeniu wojny przez rząd mieszczański. Dwanaście tysięcy uzbrojonych marynarzy i robotników dociera do stolicy. Demonstrują pod hasłami: „Wojna wojnie!”, „Fabryki dla robotników, rolnikom ziemi”, „Precz z władzą polityczną i kapitałem”, „Niech żyje rewolucja”. Rozpoczyna się fala aresztowań anarchistów i bolszewików. Rząd wzywa marynarzy z Kronsztadu, aby rozwiązali sowiety, wydali w ciągu dwudziestu czterech godzin swych przywódców i poddali się rozkazom rządu, w przeciwnym bowiem razie rząd grozi militarnym podbojem miasta. Odrzucamy te żądania.

**Sierpień 1917**

General Kornilow, przy wsparciu prawicowych, mieszczańskich partii, dokonuje puczu skierowanego przeciwko rządowi Kierenskiego i maszeruje ze swoimi oddziałami na Piotrogród. Marynarze z Kronsztadu lądują w stolicy, aby przeciwstawić się generałowi. Nie czynią tego, aby bronić mieszczańskiego rządu, lecz by uratować rewolucję przed prawicowym puczem.

**Październik 1917**

Kronsztadzki krążownik Aurora daje sygnał do rozpoczęcia rewolucji październikowej. Marynarze z Kronsztadu zdobywają Pałac Zimowy, zajmują urząd telegraficzny, bank państwowy i inne punkty strategiczne stolicy. Bez ich udziału rewolucja październikowa nigdy by nie zwyciężyła.

**Styczeń 1918**

Anatol Żelazniakow, marynarz Floty Bałtyckiej z Kronsztadu, zostaje wydelegowany, aby obserwować Zgromadzenie Konstytucyjne. W nocy rozwiązuje zgromadzenie, w którym partie mieszczańskie upatrywały okazję do ujarznienia rewolucji.

**Październik 1918**

Do Czerwonego Piotrogradu zbliża się armia generała Judenicza. Kronsztadzcy marynarze spieszą miastu z odsieczą.

Paweł musiał sprawdzać daty i fakty, przeglądał stare gazety z archiwum. Jeszcze nie skończył pracy, kiedy wrócili koledzy z wiecu.

Oriesin, Masza i Walik opowiadali jeden przez drugiego:

– Kalinin wymyślał od kontrewolucjonistów i groził. Ludzie nie dali mu mówić. Wołali: „Czemu strzelacie do robotników?! Chcemy wolności! Władza w ręce rad!”.

– Trockiego nie było? – pytał Wodopjanow.

– Podobno nie zdążył z Moskwy. Z Kalininem przybył wojskowy komisarz Floty Bałtyckiej. Ludzie o mało ich nie pobili, w końcu musieli uciekać.

– Dużo przyszło marynarzy?  
– Nie mieścili się na placu. Szesnaście tysięcy ludzi. Nie tylko marynarze. Mnóstwo robotników i dokerów.

– Przemawiali Pietriczenko, Ossosow i Archipow.  
– Pietriczenko był tak wściekły, że aż się krztusił i łzy mu leciały z oczu. „Ja sam byłem komunistą, wołał, ale teraz wzywam was towarzysze, abyście przepędzili tych łajdaków napuszczających robotników na chłopów i chłopów na robotników”.

– Najlepiej mówił Ossosow: „Wy, bolszewicy czerwoni panowie, jecie jak burżuje, a my głodujemy. Wy, bolszewicy czerwoni panowie, mieszkacie w pałacach i jest wam ciepło. My i robotnicy w Piotrogradzie marzniemy. Partyjni dostają przydziałowe buty i ubrania, a my, marynarze i robotnicy, chodzimy w łachmanach. Chłopom odbieracie żywność, umierają z głodu, a w miastach i tak panuje głód. Coś tu jest nie tak. Na wszelką krytykę macie tylko jedną odpowiedź. Terror, aresztowania i strzelanie do ludzi na ulicach”.

– Rezolucję jakąś uchwalono?  
– Jednogłośnie! Przygotowali ją towarzysze z twojego pancernika, Paweł, z *Pietropawłowska*.

– Pokażcie.  
Wodopjanow tylko spojrział.  
– Oriesin – mówił. – Pisziesz informację o wiecu. Bez ograniczeń, dokładnie. Jak zabraknie miejsca, będziemy przycinać. Tobie, Maszeńko, podyktuję rezolucję.

Wodopjanow dyktował, Masza stukiała na maszynie.

**Żądamy:**

**Wolności słowa i prasy dla robotników, chłopów, anarchistów i partii lewicowo-socjalistycznych.**

**Wolności gromadzenia się i łączenia dla związków zawodowych i organizacji rolniczych.**

**Zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, którzy należą do partii socjalistycznych oraz robotników, chłopów i marynarzy, którzy zostali zamknięci w związku z rozruchami robotniczymi i chłopskimi.**

**Natychmiastowego rozwiązania wszystkich zbrojnych bolszewickich oddziałów politycznych.**

**Takich samych racji żywnościowych dla wszystkich pracujących z wyjątkiem tych, którzy przez swą pracę są zagrożeni zdrowotnie.**

**Oddania chłopom całkowitej władzy nad ich ziemią i prawa trzymania własnego bydła, pod warunkiem że utrzymują się bez zatrudniania opłacanej siły roboczej.**

**Dopuszczenia do wykonywania indywidualnego rzemiosła, jeżeli nie polega ono na wyzysku siły roboczej...**

**Żądamy władzy rad, a nie partii bolszewickiej. Żądamy, aby masy pracujące mogły same wybierać swoich przedstawicieli...<sup>1</sup>**

\* \* \*

Przez kilka dni coraz liczniej latały nad Kronsztadem samoloty zwiadowcze. Baza przygotowywała się do obrony. Ósmego marca wieczorem Wodopjanow wracał z redakcji do koszar, kiedy od strony portu usłyszał wybuchy ciężkich pocisków. Ostrzał dalekosiężnej artylerii trwał przez kilka godzin, jak się rano okazało, nie czyniąc wielkich strat. Paweł poszedł do portu, obejrzał leje po pociskach na nabrzeżu, rozmawiał z towarzyszami z kapitanatu i z Komitetu. Zaszedł na chwilę do drukarni. W redakcji przejrzał najnowsze wydanie gazety. Na pierwszej stronie obok rezolucji uchwalonej na wiecu czytał spis przywódców powstania w Kronsztadzie:

**Powiadamy komunistów, że nasz komitet składa się z piętnastu członków i są to:**

**Pietriczenko - starszy mat na pancerniku Pietropawłowski;**

**Jakowienko - telefonista z okręgu kronsztadzkiego;**

**Ossosow - maszynista z pancernika Sewastopol;**

**Archipow - inżynier maszyn;**

**Pieriepielkin - mechanik na Sewastopolu;**

**Patruszew - pierwszy mechanik na Pietropawłowsku;**

**Kupolow - asystent lekarski;**

**Wierszynin - marynarz na Sewastopolu;**

**Tukin - elektromechanik;**

**Romanienko - doker;**

**Oriesin - pracownik 3. Szkoły Technicznej;**

**Walik - tapicer;**

**Pawłow - robotnik fabryki min morskich;**

**Bajkow - kierowca;**

**Kilgast - starszy marynarz.**

**Panowie Trocki i Zinowjew! To są nasi biali generałowie.**

W południe Wodopjanow pisał:

**Padł pierwszy strzał, ale cały świat wie, że krwawy komisarz Trocki, który stoi po kolana we krwi robotników, jako pierwszy otworzył ogień do rewolucjonistów z Kronsztadu, oburzonych na partię komunistyczną. To jest nasza trzecia rewolucja. Ma ona przekonać masy robotników na Wschodzie i Zachodzie, że to, co się u nas dotychczas wydarzyło, nie ma z socjalizmem nic wspólnego. Zostaniemy lub padniemy w ruinach Kronsztadu, w walce za splamioną krwią sprawę ludu pracującego. Niech żyje władza sowietów, niech żyje socjalna rewolucja!**

W bazie wszyscy czekali teraz na szturm piechoty czerwonych po lodzie. Kronsztad zbudowano, aby bronił miasta przed atakiem z morza, i wszystkie ciężkie działa zamontowane były w fortach zachodnich. Przeniesienie ich na kierunek przeciwny było dla powstańców niewykonalne. Zasięg niewielu ruchomych dział nie przekraczał piętnastu kilometrów, nie mogły osiągnąć Piotrogradu.

W porcie stały dwa pancerniki, cztery ciężkie krążowniki i pięć lekkich, do obrony były jednak nieużyteczne, ponieważ były skute przez lód, a lodołamaczy nie było. Brakowało opału, żywności i amunicji. Jedyna szansa powstańców leżała w tym, aby bronić miasta dopóty, dopóki nie roztopi się lód. Wtedy Kronsztad byłby nie do zdobycia. Wtedy można by było wykorzystać okręty do ataku na miasto. Wówczas Kronsztad stałby się niebezpieczny dla Piotrogradu.

Pierwszy szturm przyszedł nocą 7 marca. Na czele atakujących szły oddziały kadetów w białych maskujących kurtkach. Za nimi czerwonoarmiści, a na końcu oddziały Czeka z karabinami maszynowymi. Ich zadaniem było zagrzewać do walki salwami z broni automatycznej kierowanymi w swych zawracających towarzyszy broni. Padał gęsty, mokry śnieg, a nad zatoką wiał silny wiatr. Atakującym udało się podejść na kilkadziesiąt metrów, zanim zostali zauważeni. Mimo to atak został odparty. Czerwonoarmiści po powrocie do miasta masowo dezertowali. W pobliskim Oranienbaumie zbuntowało się kilka pułków Armii Czerwonej; nie chciały się bić z braćmi z Kronsztadu. Co piąty czerwonoarmista został postawiony pod ścianą. Do bazy dotarła wiadomość, że dowodzi Tuchaczewski. Miał oświadczyć, że wystrzela marynarzy jak kuropatwy.

16 marca artyleria dalekosiężna biła dużo celniej i gęściej – od rana do wieczora. Kiedy tylko niebo się przetało, rozpoczęły się naloty bombowe. Nocą oddziały w białych płaszczach znów niepostrzeżenie zbliżyły się do twierdzy i okrętów wojennych. Tuchaczewski za radą Stalina sprowadził wojska z republik azjatyckich. Ich żołnierze nie mieli pojęcia o sytuacji i wierzyli propagandzie bolszewików. O świcie napastnicy wdarli się do miasta i rozpoczęła się rzeź, trwająca cały dzień. Tuchaczewski wspominał po latach: „Byłem pięć lat na wojnie, ale takiej rzezi jeszcze nie przeżyłem. Grzmoty ciężkiej artylerii trwały cały dzień, były tak potężne, że w Oranienbaumie powypadały wszystkie szyby z okien. Marynarze walczyli jak dzikie zwierzęta. Każdy dom przez nich broniony musiał być zdobyty szturmem. Cała kompania walczyła około godziny o jeden dom, a gdy go w końcu zdobyła, znaleziono zaledwie trzech marynarzy z karabinem maszynowym. Wyglądali na wpół nieżywych, jednak jeszcze strzelali z rewolwerów i wołali: «Wystrzelaliśmy was dranie, jeszcze o wielu za mało!»».

Paweł Wodopjanow był jednym z tych, którzy walczyli do końca. Poddał się z kilkoma towarzyszami dopiero w południe następnego dnia, kiedy nie mieli już ani jednego naboju. Na ulicach leżały setki trupów robotników i marynarzy<sup>2</sup>. Na



rozkaz Zinowjewa odliczono pięciuset jeńców do rozstrzelania. Oddział czerwonoarmistów wyznaczony do przeprowadzenia egzekucji odmówił wykonania rozkazu, więc sprowadzono pluton kilkunastoletnich komsomolców, aby dali starszym dobry przykład. Młodzi komuniści nie zawiedli. Rozstrzelali partiami po dwudziestu. Potem ładowali ciała na ciężarówki i wywozili. Po każdej grupie pluton egzekucyjny miał przerwę na papierosa i łyk wódki. O czwartej podjechała kuchnia polowa i pluton jadł obiad, po czym pół godziny odpoczywał, więc rozstrzeliwania trwały do wieczora<sup>3</sup>.

Wodopjanow znalazł się w jednej z ostatnich grup, musiał patrzeć i czekać na swoją kolej przez kilka godzin.

Powstanie walczyło jedenaście dni, w czasie których prawie nie ustawał huk dział, bomb i strzałów karabinowych.

19 marca Kronsztad opustoszał i zapanowała cisza.

\* \* \*

Obradujący od 8 marca w Moskwie X Zjazd WKP(b) uchwalił uczczenie pięćdziesiątej rocznicy rewolucyjnego zrywu zwanego Komuną Paryską. Kilka dni później rosyjski anarchista Alexander Berkman przebywający w Piotrogradzie po wielu latach spędzonych w USA napisał w swoim dzienniku, że „pękła w nim ostatnia nić wiary w bolszewików”. „Trocki i Zinowjew potępiają Thiersa i Galiffeta za rzeź paryskich komunardów!”

<sup>1</sup> Są to wybrane fragmenty bardzo długiej rezolucji przyjętej na wiecu.

<sup>2</sup> W czasie walk i egzekucji zabito dziewięć z czternastu tysięcy wszystkich marynarzy. Części udało się zbiec po lodzie do Finlandii.

<sup>3</sup> W ciągu kilku miesięcy po buncie komuniści rozstrzelali jeszcze dwa tysiące ludzi. Część buntowników trafiła do łagru na Wyspach Sołowieckich.

## Warszawa

17 marca 1921 roku sejm uchwalił konstytucję. Następnego dnia odbywały się z tego powodu uroczystości w katedrze, a wieczorem w Teatrze Wielkim uroczyste przedstawienie. Jan był tam i z wszystkimi adiutantami towarzyszył Marszałkowi. Grano pierwszy akt *Hrabiny* i trzeci *Halki* Moniuszki. Katia mogłaby tu śpiewać! Przypomniał sobie, jak śpiewała arię z *Halki* w Gołubych Prudach. „Specjalnie dla pana rotmistrza!” Ciepły wieczór, otwarte okna, Igor przy fortepianie i ten jej niezwykle głos. Siedem lat temu! Ich rozłąka trwa już prawie siedem lat. Jak długo jeszcze?

W antrakcie wyszedł przed kurtynę premier Witos i oznajmił, że właśnie dostał wiadomość o podpisaniu w Rydze traktatu pokojowego z bolszewikami.

Warunki pokoju były nie najlepsze. W delegacji wysłanej na rozmowy przeważali narodowcy, przeciwni planom federacyjnym Piłsudskiego. Bolszewicy gotowi byli oddać Polsce całą Białoruś, lecz została podzielona; część stała się republiką sowiecką, część przypadła Polsce. Jednak wszyscy byli już tak umęczeni wojną, że przyjmowali pokój z radością. Sala biła brawo, wszyscy wstali, orkiestra zagrała *Jeszcze Polska nie zginęła*. Potem jeszcze raz *Jeszcze Polska nie zginęła* i *Marsylianke*.

– Wygraliśmy wojnę, a przegraliśmy pokój – powiedział Piłsudski.

Następnego dnia rano Jan zameldował się u Marszałka z prośbą o urlop.

– A co ty, dziecko, wymyśliłeś? Pewnie chcesz jechać do Petersburga. Po żonę?

– Tak jest, panie Marszałku.

– No to jeszcze nie tak zaraz. Jeszcze komisja wytycza granicę, jeszcze nie działają przejścia graniczne, to jeszcze trochę potrwa. A przede wszystkim chcecie jechać legalnie, pod swoim nazwiskiem?

– Tak, panie Marszałku.

– No, to ja was nie puszczę. Zaraz by was aresztowali i oskarżyli o szpiegostwo. Kulka w łeb murowana. Słuchajcie mnie, starego kryminalisty. Trzeba inaczej... Czekać, skieruję was do dwójki, żeby pomogli. Zrobią wam dokumenty, przerzucą do Sowietów i pomogą wrócić.

\* \* \*

– Wrócić będziecie musieli nielegalnie, przez zieloną granicę – tłumaczył kapitan Popławski z referatu wschodniego wywiadu. – Mamy w Mińsku swoich ludzi. Pomogą. Współpracujemy z tamtejszymi przemytnikami. W razie wpadki dużo lepiej zostać uznanym przez Sowietów za przemytnika niż za szpiega. To pewni ludzie, doświadczeni, chodzą przez granicę kilka razy w miesiącu. Ale do

Rosji lepiej żeby pan pojechał legalnie, tyle że z fałszywymi dokumentami. Zrobimy panu paszport i inne potrzebne papiery. I całą tak zwaną legendę, to znaczy po co pan jedzie, kim jest i tak dalej.

- Ile to może potrwać?
- Kilka tygodni. Do tego czasu, myślę, otwarte zostaną pierwsze przejścia graniczne. Mówi pan po rosyjsku?
- Owszem, całkiem nieźle.
- Na tyle, że mógłby pan podawać się za Rosjanina?
- Myślę, że tak.
- Dobrze, to nam ułatwi sprawę.

\* \* \*

Jan czekał i liczył dni. W kalendarzu zaznaczył dni za trzy tygodnie, za cztery i pięć. Od dwudziestu jeden do trzydziestu pięciu dni. Tyle, jak przewidywał, może upłynąć do wyjazdu. Każdego ranka mówił sobie, że już niedługo. Że wkrótce będzie z żoną i synem. Czas płynął boleśnie wolno. Może już tylko dwadzieścia dni, może piętnaście. Najdalej trzydzieści... Studiował mapy zwykłe i sztabowe obszaru, gdzie będą wracać do Polski przez zieloną granicę. Drogi dojazdowe, linie kolejowe, ukształtowanie terenu, rzeki i rzeczki, wioski po obu stronach w pobliżu granicy. Wkrótce znał to wszystko na pamięć.

Porobił konieczne zakupy: plecaki, buty do długotrwałego marszu dla siebie i Katii nieprzemakalne, nasączone jakimś specjalnym środkiem, turystyczną maszynkę spirytusową, manierki, busole i w prezencie dla Janka piękny nóż fiński z rękojeścią z rogu i skórzaną pochwą. Do tego kompas i wspaniały szwajcarski scyzoryk.

W MSW codziennie dowiadywał się, czy wreszcie otwarto granicę. Do kapitana Popławskiego chodził lub dzwonił wciąż z tym samym pytaniem. Ale mijały dni i tygodnie i wciąż słyszał, że musi czekać. Cierpliwie czekać. Dokumenty, a zwłaszcza legenda, musi być doskonała, wiarygodna, nie wzbudzić podejrzeń. Jan czekał i cierpiał. Katia i Janek tam głodują, a on może tylko czekać.

Pod koniec kwietnia dowiedział się, że Rosjanie już przyjeżdżają z Mińska na Białorusi do polskiego teraz Nieświeża i Baranowicz. A za kilka dni również w drugą stronę przejście graniczne zacznie przepuszczać Polaków. Kilka dni później zadzwonił kapitan Popławski i zaprosił do siebie.

– Mamy coś odpowiedniego dla pana. Aresztowaliśmy Rosjanina w pana wieku. Przyjechał do Warszawy rzekomo w celu dokonania zakupów aparatury medycznej dla szpitali w Piotrogradzie. To agent. Ustaliliśmy to z całą pewnością. Oto pana paszport. Zmieniliśmy tylko zdjęcie.

Jan otworzył książeczkę z czerwoną gwiazdą na okładce i stronami wewnętrznymi z sierpami i młotami w tle. Pod zdjęciem widniało nazwisko

Władimir Iwanowicz Zatonski. Urodzony 13 września 1889 roku w Piotrogradzie. Stan wolny, wykształcenie średnie, wzrost 172 cm (prawie tak samo jak Jan) oczy brązowe (tak samo) znaków szczególnych brak. Starszy referent Wydziału Zdrowia w Komitecie Miejskim RKP(b) w Piotrogradzie.

Kapitan dał mu portfel z delegacją, upoważnieniem handlowym, umowami na dostawę ciśnieniomierzy i aparatów rentgenowskich, rachunkami z hotelu w Mińsku i Warszawie, biletem kolejowym; ze zdjęciami rodzinnymi, zapewne rodziców i siostry, z różnymi starymi kwitami i kartkami żywnościowymi. Do tego papierosy i zapalki radzieckie, stara „Piotrogradzka prawda”, jakieś lekarstwo.

Jan rozmawiał z kapitanem Popławskim jeszcze kilka godzin. Musiał zapamiętać nazwiska, kontakty, hasła, adresy.

Następnego dnia rano zameldował się w Belwederze, podziękował Marszałkowi i pożegnał się. W południe wsiadł do pociągu Warszawa–Białystok–Baranowicze.

## Tambów

Lasy tambowskie ciągnęły się pasmem szerokości od trzydziestu do pięćdziesięciu kilometrów od Kotowska na południu do Guberni Penzeńskiej na północnym wschodzie i dalej, rozszerzając się na północ i zachód, aż do Riazania. Zachodnim skrajem lasów płynęła na północ, wijąc się, rzeka Ina. Wzdłuż jej wschodnich brzegów leżały bagna aż do odległego o sto dwadzieścia kilometrów Morszańska.

Oddziały Antonowa, czterdzieści tysięcy ludzi, stały w środku lasu w kilku obozach wokół wsi Pichmilaj. Na początku kwietnia doszły wieści, że sto tysięcy czerwonoarmistów Tuchaczewskiego wyładowuje się na stacji kolejowej w Tambowie, a część pojechała dalej na wschód i wysiada w Razkazowie. Piechota i dwanaście baterii ciężkiej artylerii.

Ci z Tambowa ruszyli szosą na północ wzdłuż Iny i jej bagien. Musieli przejść na drugą stronę rzeki pod Łuczka, gdzie na krótkim odcinku było sucho. Trzy dni później chłopci donieśli, że płoną tam lasy. Wiatr był z zachodu, na szczęście niezbyt mocny, jednak pożar się zbliżał, a niebo zasnuły nadpływające dymy. Potem patrol wysłany na północ przyniósł wiadomość, że czerwoni spalili wsie Gorodiszcze, Komarowkę i Pachotnyj Ugoł. Tuchaczewski okrążał Antonowa z zachodu, południa i od północy. Szybkość jego działań była zdumiewająca.

Dokąd kierują się wojska wyładowane w Razkazowie – nie było wiadomo. Iwan Jurko zgłosił się na ochotnika do patrolu mającego rozpoznać sytuację na południowym wschodzie. Ruszyli w dziesięciu, sami doświadczeni żołnierze, dowodził Kałmykow, przed wojną nauczyciel w Marszańsku, od kilku miesięcy przyjaciel Iwana. Wyszli rankiem i trzy godziny później byli w Smołowym, wiosce na skraju pól leżących jak wielka wyspa w oceanie lasu. Tu nikt o Tuchaczewskim nie słyszał. Jednak Kałmykow zdecydował, że na otwarte pola wyjdą dopiero po zmierzchu.

– Czytałem, co Lenin pisał o wsi – mówił Kałmykow. Siedzieli przy ognisku, jedli słoninę i kaszę dobrze okraszoną skwarkami, przyniesioną przez chłopów ze wsi. – Co to za brednie, aż trudno uwierzyć. Leninowi się wydaje, że wieś to wyzyskiwacze, jak w mieście fabrykanci, i biedacy, jak proletariusze w mieście, pracujący na krwiopijców. Ty, Iwan, sam wiesz, jak jest. Bogaci chłopci to ci, którzy najciężej pracują, sami chodzą za pługiem, najlepiej gospodarują i jeśli zatrudniają biednych, to uczciwie im płacą. Biedni bez tej pracy mieliby dużo gorzej i cieszą się, kiedy ją mają. Lenin wysłał na wieś agitatorów namawiających do tworzenia kombiedów, komitetów biedaków, które mają walczyć z radami obszczyny. Wyobraża sobie, że po rewolucji proletariackiej wywoła teraz rewolucję chłopską. Ale do tych kombiedów biedni nie chcą wcale wstępować, bo mają już

swoich przedstawicieli w obszczinie.

– No, ja sam byłem takim kułakiem według Lenina – rzekł Jurko. – Bo przez dwanaście lat ciężko harowałem, żeby spłacić swoje hektary. Za to powiesili mi ojca i zięcia, a żona, córki i wnuczek zmarli z głodu, bo zabrali wszystko.

– Iwan, ale byłeś bolszewikiem, powiedz prawdę! Jak rozmawiamy, to wciąż mówisz takie rzeczy, że to widać.

– No, byłem...

– Ja od zawsze jestem eserem, ale w siedemnastym roku komuniści mi się nawet podobali i o mało się do nich nie przyłączyłem.

Antonowcy leżeli na trawie wokół ogniska i przysłuchiwali się rozmowie.

– O mojej wsi pisali w moskiewskiej „Prawdzie” – rzekł jeden z nich. – Przyszedł oddział rekwizycyjny, niczego nie znalazł, więc zaczęli rabować. Wszystko to uczciwie opisała „Prawda”. Kobiety zgwałcili, zabrali nawet ikony, komuniści!

– I to było w gazecie? – dziwił się Kałmykow. – Kiedy?

– Niedawno, w zeszłym miesiącu.

– Ciekawe. Jeśli wydrukowali coś takiego, to może coś się zmieni w polityce komunistów wobec wsi<sup>1</sup>. Ciekawe...

– Ale że Lenin jest takim głupkiem – dziwił się Jurko. – Kiedyś Marks, Engels i Lenin wydawali mi się gigantami, geniuszami, a teraz widzę, że Lenin jest głupkiem.

– Może nie jest głupkiem, ale w sprawach wsi jest zupełnym ignorantem. A mówi, jakby wiedział wszystko. To jest typowe dla ignorantów, że wydaje im się, że wiedzą najlepiej. Jak ktoś bada jakąś dziedzinę dogłębnie, to zawsze widzi, czego jeszcze nie wie i ma jakieś wątpliwości. Ignorant wie wszystko najlepiej i żadnych wątpliwości nie ma. Lenin jest ignorantem. W każdym razie w sprawach wsi.

\* \* \*

Pod wieczór ruszyli polami na wschód. Znaleźli polną drogę, doszli do wsi Tamarszokino. Była opuszczona. Liście na drzewach były dziwnie żółte, trawa żółtopomarańczowa, jakiś pies na łańcuchu przy budzie leżał martwy, z wybałuszonymi, przekrwionymi oczami. Na drodze leżało kilka ciał starych kobiet i jednego mężczyzny. Rozglądali się i ogarniało ich przerażenie.

– To gaz! – powiedział Kałmykow.

Gazu bali się bardziej niż artylerii, granatów i wszystkiego innego. Nie było jak z nim walczyć, wobec gazu byli bezsilni.

– Widocznie pozostałym udało się uciec do lasu. – Jurko zdjął czapkę. – A ci nie zdążyli.

Więc byli już tu czerwonoarmiści Tuchaczewskiego. Ale czemu ich nie ma,

czemu nie poszli na zachód, czemu się cofnęli? Kałmykow zdecydował, że przenocują, a raniem powrót. Wyszli poza wieś, szukając miejsca, gdzie drzewa i krzewy wyglądały normalnie.

Przy ognisku wieczorem nie rozmawiali o niczym innym tylko o gazie.

– Słyszeliście, co było w Osowcu w piętnastym roku? – pytał Kałmykow.

– Krążą o tym legendy, atak umarłych...

– Osowiec bronił się już prawie sześć miesięcy, Niemcy nie mogli go zdobyć – opowiadał Kałmykow. – Wtedy, w sierpniu piętnastego roku, ostrzelali twierdzę pociskami gazowymi; wybuchając uwalniały mieszanę chloru i bromu. Kiedy cała twierdza była zasnuta dymem, skończyli ostrzał i na chwilę zapadła cisza. Nikt z tamtej strony nie strzelał. Niemcy myśleli, że wszyscy już nie żyją. I wtedy z dymu zaczęli się wyłaniać idący do ataku nasi. Byli poparzeni chlorem i podtruci, lecz atakowali. Dwie kompanie prowadził porucznik Strzemiński, Polak<sup>2</sup>. Gaz nie od razu zabija i nie wszystkich. Ci, którzy dostali mniejszą dawkę, mogą przeżyć. Ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział. Te dwie kompanie ze Strzemińskim na czele wywołały popłoch wśród Niemców. Potem nazywali to atakiem trupów...

\* \* \*

Szli teraz w biały dzień na otwartej przestrzeni, Kałmykow popędzał, chwilami biegli. Coś niedobrego wisiało w powietrzu, bali się, sami nie wiedząc czego. Zanim dotarli do linii lasu, usłyszeli artylerię bijącą ze wschodu. Pociski rozrywały się przed nimi, dziwnie niezbyt głośno. Pac, pac... Co to jest? Pojawił się żółty dym. Ścielił się przed nimi nisko nad ziemią. Iwan zrozumiał, że to gaz. Wszyscy zrozumieli. Zawrócili i biegli, uciekając przed chmurą niesioną przez wiatr. Ogarnęła ich panika. Gaz snuł się nisko, ale niesiony wiatrem szybko ich doganiał. Jeszcze kilka pocisków rozerwało się przed nimi. Igor poczuł straszny ból w płucach. Zakrztusił się. Biegł w stronę kępy wysokich drzew i krzaków. Może tam mógłby wspiąć się powyżej chmury gazu. Widział, jak Kałmykow pada. Innym też nie udało się uciec, padali. Zachłusnął się dymem, upadł i już nie mógł się podnieść. Ból był potworny, Iwan męczył się jeszcze kilkanaście minut i konał.

\* \* \*

W marcu na X Zjeździe WKP(b) w Moskwie Lenin powiedział, że zieloni: Machno na Ukrainie, Antonow i wielu innych stanowią większe zagrożenie dla władzy bolszewików niż wszyscy biali razem wzięci. 11 czerwca 1921 roku, a więc już po stłumieniu powstania Antonowa i zakończeniu walk, WCIK wydał rozporządzenie<sup>3</sup>:

**Banda Antonowa dzięki zdecydowanym działaniom naszych wojsk została rozbita, rozproszona i jest stopniowo likwidowana. Aby ostatecznie wykorzeńić wszystkie eserowsko-bandyckie elementy, w uzupełnieniu do**

wydanych wcześniej rozporządzeń pełnomocna komisja WCIK nakazuje:

1. Obywateli odmawiających podania swojego nazwiska rozstrzeliwać na miejscu bez sądu.

2. Ogłaszać dekret o zakładnikach i rozstrzeliwać takowych w przypadku odmowy wydania broni.

3. W przypadku znalezienia ukrytej broni rozstrzeliwać na miejscu bez sądu najstarszego członka rodziny.

4. Rodzinę ukrywającą bandytę aresztować i wysiedlić z guberni, mienie skonfiskować, a najstarszego pracującego w rodzinie rozstrzeliwać bez sądu.

5. W rodzinach ukrywających bandytów lub ich mienie najstarszego pracującego rozstrzeliwać bez sądu.

6. W razie ucieczki rodziny bandyty jej mienie rozdać między chłopów wiernych władzy radzieckiej, a porzucone domy spalić lub zburzyć.

7. Niniejsze zarządzenie wcielać w życie dokładnie i bezlitośnie.

**Przewodniczący pełnomocnej komisji WCIK**

**Antonow-Owsiejenko**

**Głównodowodzący wojskami Tuchaczewski**

**Przewodniczący Gubispołkomu Ławrow**

W czasie przed ofensywą Tuchaczewskiego zieloni zabili około dwóch tysięcy komunistów. W trakcie pacyfikacji powstania przez Tuchaczewskiego jego armia straciła sześć tysięcy żołnierzy. W czasie walk wiosną 1921 roku efektem działań Tuchaczewskiego, zwłaszcza kampanii terroru (między innymi na skutek użycia gazów bojowych) była śmierć około siedemdziesięciu tysięcy (!) chłopów, w olbrzymiej mierze ludności cywilnej. Oprócz tego w latach 1920–1922 zmarło w guberni tambowskiej około stu siedemdziesięciu tysięcy ludzi z głodu wywołanego konfiskatami żywności.

<sup>1</sup> Lenin w marcu 1921 r., po buncie w Kronsztadzie, zaczął wprowadzać NEP, Nową Politykę Ekonomiczną, dającą chłopom możliwość sprzedawania produktów rolnych na wolnym rynku po opłaceniu podatku w naturze. Pozwolono także na tworzenie niewielkich przedsiębiorstw prywatnych. Dlatego w prasie mogły się ukazać artykuły krytyczne wobec dotychczasowej praktyki rekwizycji.

<sup>2</sup> Władysław Strzemiński (1893–1952), wielki malarz awangardowy i teoretyk sztuki, porucznik saperów w wojsku rosyjskim, kilkakrotnie odznaczany najwyższymi orderami rosyjskimi. Do niedawna uważano, że Strzemiński stracił dłoń i nogę w wyniku wypadku, kiedy w czasie ćwiczeń nieostrożny żołnierz



spowodował wybuch granatu ręcznego. Tak relacjonowała to Nika, córka Strzemińskiego. Niedawno Iwona Luba i Ewa Wawer (*Władysław Strzemiński: Zawsze w awangardzie*, Łódź 2017) ustaliły, że było inaczej. Dopiero po kilku latach poparzenie gazem spowodowało konieczność amputacji dłoni i nogi Strzemińskiego. Zapewne także jego śmierć w 1952 roku nie była wynikiem gruźlicy, lecz zmian w płucach po zachłyśnięciu się chlorem.

<sup>3</sup> Tekst rozporządzenia za Richard Pipes, *Rewolucja rosyjska*, Magnum, Warszawa 2006.

## Granica

Jan czekał w południe na Newskim Prospekcie koło starej apteki. Aptekę zlikwidowano, jej okna były zabite deskami i dyktą. Znał numer, ale też poznał dom po zabytkowej fasadzie. Piotrogród zupełnie nie przypominał Petersburga sprzed wojny. Sprawiał przygnębiające wrażenie. Był opustoszały, wyludniony i brudny. Na głównej ulicy było tyle ludzi co dawniej na odległych przedmieściach, a na bocznych ruch zamarł kompletnie, tak że trawa wyrastała między kamieniami bruku. Kanałem Jekatierińskim płynęły śmieci. Dziwiła cisza w miejscach dawniej tętniących życiem. Jan z daleka poznał, że człowiek z teczką jest tym, na którego czeka. Rozglądał się czujnie i szedł coraz wolniej. Podszedł do Jana.

– Przepraszam pana – powiedział. – Czy tutaj była kiedyś apteka?

To było hasło.

– Chyba tak. Teraz wszystko się pozmieniało – odparł.

– Proszę iść za mną, możliwie w dużej odległości.

Po kilkunastu minutach mężczyzna wszedł do bramy domu przy ulicy Tołstoja. Kiedy Jan tam dotarł, zobaczył go czekającego przed wejściem do oficyny. Poszli ciemnymi schodami na drugie piętro. Mężczyzna otworzył liczne zamki w drzwiach z szyldem: „Biuro pisania podań”. Weszli. W przedpokoju stała Katia. To było zupełne zaskoczenie. Myślał, że dopiero tutaj się dowie, gdzie i kiedy ma się z nią spotkać. Stała z dłońmi przyciśniętymi do ust. W wychudzonej twarzy ciemne oczy wydały się jeszcze większe. Była inna od tej, jaką ją pamiętał. Objęli się mocno, ona drżała, a on doznał nieprzyjemnego wrażenia, że wydaje mu się obca. Wiele razy wyobrażał sobie to spotkanie. Rozumiał, że musiała się zmienić przez te siedem lat i przez to, co przeżyła. Utraciła wszystkich najbliższych. Pochowała siostrę, brat znikł gdzieś w lochach Czeka. Nie mogła pochować matki i starej księżnej Leontiewej, bo ciała spłonęły w pożarze pałacu w Gołubych Prudach. Zdawał sobie sprawę, że musiało ją to zmienić. A jednak był zdumiony, jak bardzo wydała mu się inna niż dawniej.

Katia patrzyła na człowieka podobnego do rotmistrza Szawernowskiego, zwycięzcy międzynarodowych konkursów, który był szczupły, silny i szybki, a teraz trochę utył i nieco wolniej się poruszał. Wydało jej się, że postarzał się o dużo więcej niż o te siedem lat, kiedy się nie widzieli. Wojna i na nim odcisnęła swoje piętno. Katia też od dawna usiłowała wyobrazić sobie ich spotkanie i bała się. Co on powie? Czy jeszcze ją kocha? Przecież z tego głodu bardzo zbrzydła. Tak jej się przynajmniej wydawało. Te dwie pionowe zmarszczki między brwiami! Zaklejała je na noc plastrem, ale to niewiele pomagało. Może będzie rozczarowany?

– Jan, Jan, nareszcie... Mieliliśmy się spotkać jutro. Przyszli ci ludzie, mówili,

że jesteś w mieście. Więc nie chciałam czekać, nie mogłam.

– Katiu, kochanie moje, kochanie...

Długo stali mocno przytuleni i ta wzajemna obcość powoli tajała, ustępowała. Patrzyli na siebie. Łzy płynęły jej po policzkach, choć się uśmiechała. On od razu poczuł wyrzuty sumienia, że już się nią nie zachwyca jak dawniej. Ale fizyczna bliskość, ciepło, to jej drżenie, które czuł, jakby miał w ramionach ptaka trzepoczącego skrzydłami, szybkie bicie jej serca – po trochu, po chwili, sprawiły, że stąpiali się ze sobą, przenikali się wzajemnie i ogarniała ich fala uspokojenia.

– Gdzie Janek?

– Jutro... Muszę go przygotować, to nie takie łatwe.

– Mam dla was trochę żywności, ale zostawiłem w mieszkaniu, nie myślałem, że to już dzisiaj.

– To musisz jakoś nam dostarczyć. Janek jest głodny od dawna, bardzo. Ja także. Boję się, żeby się nie pochorował. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy iść przez zieloną granicę, musimy nabrać sił.

– Więc wiesz? Jutro wyjeżdżamy do Mińska. Wyjdźcie z domu bez żadnych bagaży, jak zwyczajnie do miasta. Przy ulicy Kubinskiej dwanaście o siódmej wieczorem będzie czekał samochód.

– Jan, ale musimy zabrać Nastię.

– Nastię? Ach, tę twoją służącą? Mój Boże, nie wiem, czy będzie dla niej miejsce w aucie.

– To moja niania, jest bardzo bliska i mnie, i Jankowi. Nie mogę jej zostawić. Tutaj by nie przeżyła.

– Dobrze. Trudno, jakoś będziemy musieli się zmieścić. Mam dla was buty, lekkie ubranie.

– Tak, tak...

\* \* \*

Jechali małą półciężarówką. Katia z Nastią w szoferce, Jan z synkiem w skrzyni pod plandeką. Ruszyli po zmierzchu, drogi były puste, kontrola za miastem nie znalazła niczego podejrzanego. Dokumenty spreparowane przez polski wywiad były bez zarzutu. Po kilku chwilach napięcia mogli jechać dalej.

Janek bawił się kompasem i finką, które dostał od ojca. Na śniadanie i na obiad Janek i Katia zjedli wszystko, co przywiózł. Suchary, masło, mleko w proszku, wędzone mięso, jabłka, pomarańcze. Przed wyjazdem Jan musiał zrobić nowe zakupy na rynku. Za dolary. Siedzieli oparci o ścianę szoferki i owinięci kocami, bo wiało pomiędzy plandeką a skrzynią. Chłopiec jadł jabłko. Jan obawiał się, czy po tak długim wygłodzeniu powinien od razu tyle jeść. Ale patrzył z radością, jak mu to jabłko smakuje. Obejmował synka, który był podekscytowany wyprawą, jednak wciąż trochę nieufny.

Opowiadał mu, jak Katię jadącą do Polski zatrzymały władze pod Częstochową tuż przed wybuchem wojny. Rozmawiali po rosyjsku, chłopiec często wtrącał polskie słowa, lecz kiedy Jan mówił po polsku, rozumiał niewiele.

– Mama mi o tym mówiła. To przeze mnie mama nie zdążyła, prawda? – spytał chłopiec.

– Co ty mówisz?! Wybuchła wojna...

– Ale mogła pojechać wcześniej. To przeze mnie.

– Janku. – Jan pojął, że chłopiec wie wszystko. – Mama i ja bardzo cię kochamy i nie mogliśmy cię narażać. Ale i tak za kilka dni będziemy w Polsce. Jesteś dla nas najważniejszy, musisz to wiedzieć.

– Daleko jest do Mińska?

– Osiemset kilometrów. Będziemy jechać całą noc i cały dzień.

– Nie złapią nas?

– Nie damy się złapać.

– Mama powiedziała tej Drewnorukiej, co u nas mieszka, że wybieramy się do ciotki do Briańska. Żeby się nie zdziwili, że nas nie ma, żeby nie zrobili alarmu. Oni nas szpiegowali, ci Drewnorucy i Miasniccy. To wszystko szpicle.

– Mają dzieci, miałeś tam kolegów?

– Eee... Nie bardzo. Same dziewczyny, tylko Jurij. Ale to głupek, nazywał mnie burżujem i Polaczkiem. Dostał za to po pysku.

– Wiesz, Janku, może i w Polsce ktoś nazwie cię Ruskiem albo bolszewikiem. Głupich nigdzie nie brakuje.

– Każdemu mogą obić mordę...

– Słusznie, słusznie. – Jan śmiał się rozbawiony. – Ale bardzo cię proszę, najpierw wyjaśnij takiemu, że nie jest ważne, czy jest się Polakiem, Rosjaninem czy Eskimosem lecz czy się jest uczciwym człowiekiem.

– Dobrze, wyjaśnię. Pójdę w Polsce do szkoły?

– Oczywiście, za rok.

– Będę musiał się nauczyć polskiego. Czytam już i piszę po rosyjsku, ale z polskim nie najlepiej, znam alfabet, ale czytam słabo i mało rozumiem.

\* \* \*

Ługa, Psków, Wielkie Łuki, Witebsk, Orsza. Ciężarówka z trudem rozpędzała się do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Co cztery godziny Jan zmieniał kierowcę, który od wyjazdu nie powiedział nawet dziesięciu słów. Przed i za każdym większym miastem zatrzymywały ich i sprawdzały posterunki milicji. Za Witebskiem patrolem milicyjnym dowodził oficer czekista. Okazał się bardzo podejrzliwy i w pewnej chwili wydawało się im, że dotarła już tutaj wiadomość o ich ucieczce z Piotrogradu. Zaglądał do schowka w szoferce, świecił latarką, przeszukał skrzynię, kazał podnieść maskę silnika i badał numery fabryczne wozu.

Długo przyglądał się zdjęciom w dokumentach. Spytał Janka:

– A ty jak się nazywasz?

– Iwan Kalajew – powiedział chłopiec zgodnie z tym, co było w dokumentach.

– A dokąd się wybieracie?

Jan przez chwilę zamarł, obawiając się, że Janek powie, że do Polski.

– Do Mińska.

– A po co?

– Tata będzie głównym inżynierem w fabryce traktorów.

\* \* \*

Jechali prawie się nie zatrzymując, spali i jedli w samochodzie. Kiedy zrobiło się zimno, Janek poszedł spać do kabiny, a obok Jana na skrzyni jechała Katia. Tulili się do siebie, trochę rozmawiali, lecz Jan chciał, żeby Katia spała, żeby nabrała sił przed drogą przez granicę. Była wymizerowana i wycieńczona, musiała być osłabiona. Martwił się, jak wytrzyma marsz. Wieczorem następnego dnia zatrzymali się w jakiejś miejscinie za Mińskiem. Janek się obudził.

– To już Polska?

– Jeszcze nie, Janku, ale już niedaleko – tłumaczyła Nastia.

Kierowca zaprowadził ich do domu na uboczu i pożegnał się:

– Powodzenia. Wejdźcie, tam już na was czekają.

Z sieni weszli do dużej, mrocznej izby. Było to coś pomiędzy nielegalną, bo w sowieckiej Rosji zakazaną, prywatną gospodą a zwykłą meliną. Przy dwóch dużych stołach pili i jedli mężczyźni w różnym wieku i bardzo różnie wyglądający. Chłopi w kozuchach i kilku elegantów w garniturach. Pachniało kartoflami i kapustą, dym papierosowy wisiał gęstą chmurą w powietrzu. Podszedł mężczyzna może dwudziestoletni, szczupły i ogorzały, wyprostowany, o inteligentnej twarzy, z plecakiem w ręce. Poruszał się szybko i zwinnie jak kot. Zaprowadził ich do mniejszego pokoju obok.

– Sergiusz Piasecki<sup>1</sup> – przedstawił się. Przyglądał im się uważnie i kręcił głową. – No, pięknie! Kaleka o lasce, dwie kobiety i dzieciak. Trzeba będzie przejść prawie trzydzieści kilometrów. O ludzie! No trudno... Poczekać tutaj, pójdę po furmankę, przewieziemy was w pobliże granicy. – Mówił poprawnie po polsku, lecz z silnym rosyjskim akcentem.

Późną nocą dojechali pełną drogą do chutoru na skraju lasu. Było jasno prawie jak w dzień, pełnia księżyca. Jan zaniósł śpiącego Janka do domu. Było ciepło, pachniało lasem i ziemią. Gdzieś daleko rechotały żaby. Niebo skrzyło się gwiazdami. Jan poczuł, jak opada z niego napięcie, jakie czuł przez całą drogę i podczas kontroli milicyjnych. Widział, że Katia też zaczęła oddychać spokojniej. Po głodującym i ponurym Piotrogradzie ten las i pachnąca noc była dla niej czymś

nieoczekiwanie radosnym. Poczwała się jak na wycieczce, jak kilkunastolatka przed laty, przed wojną. Ścisnęła jego dłoń i patrzyła z uśmiechem. Dopiero teraz wydała mu się taka jak dawniej i ogarnęła go ta sama fala miłości co przez lata rozłąki.

W dużej izbie przemytnicy przygotowywali się do drogi. Przyglądali się przybyszom uważnie. Pakowali do nosek (tak nazywali wielkie plecaki) skórki wiewiórek altajskich i srebrnych lisów. Piasecki przyniósł gotowe noski dla Jana i mniejsze dla Katii i Nastii. Otworzył walizkę. Było w niej kilkanaście rewolwerów, pistoletów i drugie tyle granatów.

– Bierzcie kominy, chłopaki – powiedział.

Podchodzili i brali broń, zapasowe magazynki, granaty. Sprawdzali, przypinali kabury do pasków lub chowali do kieszeni kurtek.

– Umie pan strzelać? – spytał Piasecki.

– Umiem.

– To niech pan bierze.

Katia patrzyła na to przerażona.

– Niech się pani nie boi – uspokajał Piasecki. – To tylko na wszelki wypadek, w ostateczności. Prawie nigdy nie strzelamy.

Jan wziął siedmiostrzałowego browninga i dwa zapasowe magazynki.

Przemytnicy pili spirytus, zagryzali boczkiem i słoniną, opowiadali, kto i kiedy wpadł, w którym więzieniu siedzi, ile zarobili, sprzedając towar po polskiej lub po rosyjskiej stronie. Walutą w użyciu były dolary i „świnki”, złote carskie ruble. Opowiadali, ile przepili dolarów i rubli, jak przepuścili je na dziewczyny. Zwykle nosili kontrabandę na zlecenie kupców żydowskich po obu stronach granicy i dostawali tylko ustalony procent, czasem brali towar na własną rękę i ryzyko. Czasem robili „agrandę”. Sprzedawali nie swój towar, a kupcowi mówili, że wpadli i mogli albo strzelać, albo oddać towar pogranicznikom. Nie uważali tego za złodziejstwo. Żydzi płacili skąpo, więc przemytnicy w ten sposób wyrównywali swoją krzywdę. Do Rosji szło wszystko, bo wszystkiego tam brakowało. Nylonowe pończochy, tkaniny, spirytus, zegarki, wieczne pióra, koszule, tanie garnitury. Do Polski – głównie skóry. Surowe lub wyprawione. Co ciekawe, surowe były droższe, bo rosyjskie metody wyprawiania były bardzo prymitywne.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy Piasecki zarządził spanie. Był młodszy od reszty przemytników, lecz słuchali go bez zastrzeżeń. Jana z Katią, Nastią i Jankiem umieścił w izbie na rozłożonych na podłodze siennikach, sam z towarzyszami poszedł na siano do stodoły.

Janek spał twardo już od dawna, wkrótce zasnęła też Nastia. Jan i Katia wyszli przed dom zaczerpnąć świeżego powietrza. Bardzo pragnęli siebie, aż drżeli z tego pragnienia, ale w izbie mogliby zbudzić Nastię lub Janka, a w stodole na sianie spali przemytnicy. Nie mogli się od siebie oderwać, kochali się na trawie za

domem jak kiedyś, dawno, jak pierwszy raz, zachłannie i łapczywie jak wtedy w Berlinie. Mówili coś bezładnie, krzyczeli i byli szczęśliwi.

– Już niedługo, jeszcze dzień, dwa – mówił Jan – będziemy bezpieczni, w Polsce. Na pewno się uda, już niedługo.

– Tak, kochany, teraz wierzę, że na pewno się uda.

\* \* \*

Jana obudziła czyjaś obecność i przyciszona rozmowa. Przy stole siedział Piasecki z jakimś brodatym i bardzo brudnym człowiekiem, którego wczoraj tu nie było.

– Siergiej, przy Kapitańskiej Mogile Ruscy postawili zasieki, jakieś siedem kilometrów w obie strony.

– Jak, do cholery, tak szybko zdążyli? Dwa tygodnie temu szliśmy tamtędy.

– No, postawili, mówię ci. Może mieli do pomocy wojsko.

– Weźmiemy nożyce i przejdziemy.

– Kuźma mówi, żebyście przeszli po matach, nie chce spalić tej drogi. Prosił, żebym ci to powiedział. Zależy mu na utrzymaniu tej trasy.

– Cholera, mam tu starą babę, kalekę i dziecko. Będą szli powoli, w ogóle nie wiem, jak wytrzymają i jeszcze po matach... O ludzie!

\* \* \*

Po śniadaniu wszyscy poszli ciąć wiklinę i znosili jej całe stosy. Jan pomagał, a Janek mógł zrobić użytek ze swojej nowej finki. Pletli z wikliny mocną matę szerokości półtora metra. Wieczorem była gotowa i miała siedem metrów długości. Zwinięta stanowiła duży i nieporęczny bagaż więc jedną noskę musieli zostawić. Piasecki wyznaczył „Lokomotywę”, prowadzącego partię. Sam szedł ostatni, mając przed sobą Jana z kobietami i Jankiem.

– Latarkami nie świecić – powiedział. – Nie palić bez pozwolenia. Panu strzelać nie wolno, póki my nie zaczniemy.

Usiedli jeszcze na chwilę na ławkach przed domem, przemytnicy palili ostatnie papierosy i popijali spirytus. Czekali, aż zupełnie się ściemni. Niebo było zachmurzone, noc zapowiadała się ciemna, siąpił drobny deszcz, zrobiło się zimno.

– Dobra pogoda – cieszył się Piasecki. – Najlepiej jak leje, ale dobre i to. No, w drogę!

Przeżegnał się i ruszyli. Kiedy oddalili się od domu, zrobiło się tak ciemno, że Jan widział tylko majaczący nieco jaśniej prostokąt noski idącej przed nim Katii. Szli w ciszy, wilgoć przenikała ubrania, lecz ruch i wysiłek sprawiały, że nie marzli. Po godzinie weszli na leśną drogę. Janek szedł dzielnie i na swoim kompasie sprawdzał kierunek.

– Idziemy na południowy zachód – mówił. A po kilku minutach: – A teraz na

zachód.

– Kiedy jest bezchmurne niebo – powiedział Piasecki – idziemy, kierując się według Wielkiej Niedźwiedzicy. Wiesz, co to Wielka Niedźwiedzica, chłopcze?

– Gwiazdozbiór. Ursa Major po łacinie.

– O ludzie! Ale uczony dzieciak.

– Dzieciak?! Mam już sześć lat!

– No, młody człowiek, powiedzmy – śmiał się mężczyzna.

Po dwóch godzinach Nastia już ledwo szła i musieli zatrzymać się na odpoczynek.

– Daleko jeszcze? – pytała.

– Do granicy blisko, dwadzieścia minut drogi. Ale potem jeszcze dobre dwie godziny.

Usiedli nad brzegiem płytkiego strumyka. Przemytnicy palili papierosy i znów pili spirytus. Jan nie mógł się nadziwić, ile mogli go wypić bez żadnego widocznego skutku. Pół godziny później szli wciąż brzegiem strumienia.

– Teraz na północ – oznajmił Janek. Podobnie jak Katia, on też był już bardzo zmęczony. Jan mimo chorej nogi trzymał się dobrze. Zastanawiał się, czy uda się nieść synka na barana razem z noską.

– Stój, stój – rozległo się cicho przekazywane polecenie od przodu, od „Lokomotywy”. Przypadli do ziemi, leżeli i odpoczywali. Piasecki poszedł do przodu, a po chwili zamiast niego pojawił się „Lokomotywa”.

– Na co czekamy? – spytał Jan.

– Granica. Jesteśmy niedaleko ścieżki, którą zawsze wędrują progranotriady<sup>2</sup>. Trzeba poczekać, aż przejdą. Potem przez pół godziny będzie spokój i będziemy mogli iść dalej.

Gdzieś z lewej dobiegł głos wystrzału. Potem drugi i trzeci, wszystkie z bardzo daleka.

– Dobrze – rzekł „Lokomotywa”. – Teraz wszystkie Ruski się tam zlecą.

Jan popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie tylko my chodzimy przez granicę – wyjaśnił przemytник.

Kiedy usłyszeli komendę przekazywaną od czoła, podnieśli się i ruszyli. Szli teraz bardzo wolno. Starali się stąpać jak najciszej. Przecięli ścieżkę nadgraniczną i po kilku minutach zatrzymali się przed pasem zasieków z drutu kolczastego mocowanego do palików wbitych w ziemię. Były wysokie na ponad metr i szerokie na pięć metrów. Rzucili zwiniętą matę na wierzch. Pierwszy szedł Piasecki. Szedł na czworakach, rozwijając przed sobą matę. Chodnik bujał się na obie strony, musiał iść bardzo ostrożnie, żeby nie zsunąć się na druty. Poszli następni. Janek przeszedł najszybciej, jak kot, zręcznie i pewnie. Katia też dobrze sobie radziła. Najgorzej szło Nastii. Kilka razy o mało nie stoczyła się na bok, na druty. Ciężko oddychała i była cała złana potem.



– Teraz to już Polska? – spytał Janek.

– Tak, ale jeszcze nie jest bezpiecznie. Ruscy i Polacy chodzą blisko granicy po obu stronach. Dopiero za jakieś pięć kilometrów będzie po wszystkim, a tak naprawdę to aż w Rakowie.

Szli teraz szybciej i po kilku minutach znaleźli się na niewielkiej polanie.

Znów huknął strzał.

– Stać, ręce do góry! Ręce do góry! – Głosy odzywały się z kilku stron. Po polsku! Zamarli i przypadli do ziemi.

– Poddajemy się, poddajemy! – wołał Piasecki. – Nie strzelać, chłopaki.

Podniósł się i szedł w stronę krzaków, gdzie zaświeciła latarka. Jan widział, jak rozmawia z żołnierzami. Zabłyśły ogniki zapalanych papierosów. Po dłuższej chwili Piasecki wrócił.

– No! To po wszystkim. Nasz wywiad załatwił nam okno na granicy przez ten tydzień. Możemy iść dalej spokojnie. Teraz już jesteśmy w Polsce, młody człowieku – zwrócił się do Janka.

– Polska, na pewno? – malec chciał się upewnić.

– Polska, synku, Polska! – Jan chwycił syna i podrzucił go wysoko do góry.

<sup>1</sup> Sergiusz Piasecki (1901–1964) był oficerem polskiego wywiadu, potem przemytnikiem złodziejem i bandytą. Za rozbój skazany przez sąd doraźny na karę śmierci zamienioną na piętnaście lat więzienia. W więzieniu napisał kilka świetnych powieści, które przyniosły mu wielką sławę. Najważniejsze to *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, *Piąty etap* i *Bogom nocy równi*. Ułaskawiony przez prezydenta Mościckiego wyszedł na wolność w 1937 roku. W czasie okupacji działał w AK na Wileńszczyźnie. Odznaczony za brawurowe akcje Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W PRL-u jego książki były zakazane. Realia dotyczące pogranicza i przemytu zostały zaczerpnięte właśnie z nich.

<sup>2</sup> *Pogranotriad* – rosyjski oddział ochrony pogranicza.

## EPILOG

**Pięć lat później,  
Warszawa 14 listopada 1926 roku**

Katia śpiewała Tatianę w *Eugeniuszu Onieginie* Czajkowskiego w Hamburgu, a potem *Carmen* w Berlinie. Wróciła do Warszawy o północy i była w domu o wpół do pierwszej. Cichutko otworzyła drzwi wejściowe, zdjęła buty w przedpokoju i na palcach poszła do sypialni dzieci. Zapaliła lampkę na stoliku nocnym. Janek spał głęboko z otwartą buzią, kołdrę skopał na bok. Przykryła go i pocałowała w policzek. Oleńka coś mamrotała na wpół obudzona. Położyła się przy niej na chwilę i przytuliła, dopóki nie usłyszała, że równo oddycha i śpi spokojnie. Za tydzień miała skończyć cztery latka. Była wcześniakiem, urodziła się na początku dziewiątego miesiąca ciąży.

Poszła do sypialni, rozebrała się szybko i położyła obok Jana.

– Jesteś, kochanie. – Obudził się na chwilę. – Jak było?

– Świetnie! Śpij, jutro ci opowiem.

Nastawiła budzik na ósmą i zgasiła światło. Była niedziela, ale Katia musiała wstać wcześniej. W Łazienkach miał być w południe odsłonięty pomnik Chopina. Potem, po południu, miała śpiewać podczas uroczystości w Filharmonii z Wilgocką, Wiłkomirską przy fortepianie, Dworakowskim na skrzypcach i Wiłkomirskim na wiolonczeli.

Od kilku tygodni trwały dni chopinowskie, Warszawa i cała Polska żyły zbliżającą się uroczystością. Przybyło wiele delegacji z całego świata. Gazety rozpisywały się o Chopinie, o George Sand, o twórcy rzeźby, Wacławie Szymanowskim, i o losach pomnika. O tym, jak połowa modelu do odlewu pojechała do Francji, a drugą połowę wybuch wojny zatrzymał w Krakowie. Przypominano historię maistry Adelajdy Bolskiej, inicjatorki budowy pomnika, która już od roku mieszkała w Warszawie i pracowała w Konserwatorium na stanowisku profesora śpiewu. Katia słyszała, że maestra ma być w czasie uroczystości pomnikowych odznaczona przez ministra kultury lub może przez samego prezydenta Rzeczypospolitej.

Rano obudziła się z trudem, zmęczona i niewyspana. Było słonecznie i jak na jesień bardzo ciepło. Jan już jadł śniadanie z dziećmi. Nastia zrobiła jej mocną kawę.

Przy śniadaniu Jan opowiadał, jak przed kilkoma dniami był u Piłsudskiego w Sulejówku, w jego dworku Milusin.

– Dom bardzo ładny, ale urządzony skromnie – mówił. – Wiecie, że to dar dla Naczelnika, wybudował go ze składek komitetu żołnierskiego. Sam niczego się nie dorobił przez lata pracy dla Polski. I to na najwyższych stanowiskach. Mieszka

tam od dwudziestego trzeciego roku. Mógłby ten dom mieć już dawniej, lecz te żołnierskie składki kilkakrotnie przeznaczał na zapomogi dla sierot po poległych legionistach. – Spojrzał na zegarek i przerwał. – Będą tłumy. Trzeba jechać. Mamy zaproszenia, ale nie chciałbym się spóźnić.

Poszli do tramwaju na Mokotów i zaczęli się obawiać, że nie zdążą na najważniejszą część uroczystości – odsłonięcie pomnika. Trafiła się taksówka, wsiedli. Katia opowiadała Jankowi, jak w 1914 roku z Janem i Bolską oglądali model pomnika w pracowni Szymanowskiego w Krakowie. Janek tłumaczył małej Oleńce, kim był Chopin. Od kilku lat uczył się gry na fortepianie i jego nauczyciele twierdzili, że ma niezwykle talent.

W Alejach Ujazdowskich był wielki zator. Ledwie zdążyli.

Reporter „Kuriera Warszawskiego” relacjonował:

**Sznur wszelkiego rodzaju pojazdów ciągnących ku pomnikowi był tak olbrzymi, iż już od placu Trzech Krzyży trzeba było się posuwać bardzo powoli. Chodnikami dążyła publiczność piesza. Tramwaje w kierunku Mokotowa były fantastycznie wypełnione. Bez obawy o przesadę można twierdzić, że w Alejach Ujazdowskich w pobliżu pomnika zebrało się około 50 tysięcy osób. Blisko 10 tysięcy wpuszczono na obszerny teren dookoła pomnika za zaproszeniami [...]**

**Kilka minut po godzinie 12-stej sygnał trąbki dał znak, że zbliża się samochód p. Prezydenta Ignacego Mościckiego. Orkiestra wojskowa powitała p. Prezydenta hymnem narodowym. Pan Prezydent przyjął raport wojskowy i skierował się pod pomnik osłonięty jeszcze białym pokrowcem. Rozsunęto zasłonę i wynurzył się pomnik ostro odcinający się na tle błękitu niebios. Stworzył się obraz taki: za majestatyczną, natchnioną postacią Chopina, nad taflą wodną, tło stanowił wspaniały sznur szwoleżerski na koniach. U stóp pomnika grupa włościan i włościanek z ziemi rodzinnej Chopina - w przepysznych barwnych strojach łowickich i sochaczewskich. Po bokach pomnika chóry i orkiestry...**

listopad 2015 – kwiecień 2017 roku

## Bibliografia

*Album Legionów Polskich: 126 obrazów*, nakładem Centralnego Biura Wydawnictw Naczelnego Komitetu Narodowego, 1916.

Andrusiewicz Andrzej, *Kiereński czerwony liberał*, Bellona, Warszawa 2016.

Andrusiewicz Andrzej, *Złoty sen Rosja XIX–XX wieku, Sprawy i ludzie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016.

Bazyłow Ludwik, *Historia Rosji*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985.

Bernaś Franciszek, *Cień „Czarnej Ręki”*: z kart politycznych dziejów państw bałkańskich w latach 1878–1918, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1990.

Cook Andrew, *Zabić Rasputina*, Amber, Warszawa 2005.

Czerep Stanisław, *II Brygada Legionów Polskich*, Bellona, Warszawa 2007.

D’Abernon Edgar, *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata: pod Warszawą 1920 r.*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990.

Dąbrowski Mieczysław, *W dwudziestolecie wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej w Krakowie dnia 6 sierpnia 1914 r.*, „Pamięć”, 2000.

Doliwo-Dobrowolskij Anatolij Vadimowicz, *Sankt Petersburg: hronika trzech stuletych*, Neva 2003.

Dowbór-Muśnicki Józef, *Wspomnienia*, Bellona, Warszawa 2003.

Dulęba Adam, *Legionowo: Album fotograficzny Adama Dulęby*, nakładem Adama Dulęby 1916.

Fierla Damian, *Rosja 1917–1920*, Bellona, Warszawa 2003.

Figes Orlando, *Tragedia narodu: Rewolucja rosyjska 1891–1924*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009.

Frołow Sylwia, *Bolszewicy i apostołowie: osiem portretów*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014.

Frołow Sylwia, *Dzierżyński: miłość i rewolucja: [biografia intymna]*, Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2014.

Garlicki Andrzej, *Józef Piłsudski 1867–1935*, Czytelnik, Warszawa 1990.

*General broni Tadeusz Jordan Rozwadowski: Wspomnienia wielkiej wojny*, redakcja i opracowanie naukowe Mariusz Patelski, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2015.

Gluck Władysław, *Historia zamachu sarajewskiego*, Wydawnictwo Napoleon V, Oświęcim 2014.

Heresch Elizabeth, *Mikołaj II: Tchórzostwo, kłamstwo i zdrada: życie i upadek ostatniego cara Rosji*, Uraeus, Gdynia 1995.

Heresch Elizabeth, *Sprzedana rewolucja: jak Niemcy finansowały Lenina*, Bellona, Warszawa 2010.

Ivanova Mara, *Petersburg. Adela Bolska (1863–1930)*, kwartalnik „Muzyka”, nr 3, 2008.

Jaxa-Ronikier Bogdan, *Dzierżyński „czerwony kat”*, Oficyna Wydawnicza „GRAF”, Gdańsk 1990.

Jędrzejewicz Waław, Cisek Janusz, *Kalendarium życia Marszałka Józefa Piłsudskiego*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998.

Klimecki Michał, *Legiony Polskie: dzieje bojowe i organizacyjne*, Bellona, Warszawa 2014.

Kossak Zofia, *Pożoga*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1996.

Kotkowska-Bareja Hanna, *Pomnik Chopina*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1970.

Królikiewicz mjr Adam, *Olimpijska szarża*, Oficyna Wydawnicza „Ostoja” Marek Krzemień & Syn, Kraków, bez daty wydania.

Krzezińska Matylda, *Wspomnienia. Romans z carem Mikołajem i lata następne*, Wydawnictwo Philip Wilson, Warszawa 1996.

Kucharzewski Jan, *Od białego do czerwonego caratu*, Oficyna Wydawnicza „GRAF”, Gdańsk 1990.

„Kurier Warszawski”, dziennik, rocznik 1926.

Kwaśniewski Stanisław, *Wspomnienia legionowe byłego oficera austriackiego*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1925.

Lenczowski Kosma, *Pamiętnik kapelana legionów*, Prowincja Krakowska OO. Kapucynów, Kraków 1989.

Lepecki Mieczysław, *W blaskach wojny: wspomnienia z wojny polsko-bolszewickiej*, Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2017.

Luba Iwona, Wawer Ewa Paulina, *Władysław Strzemiński. Zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznannej biografii 1893–1917*, Muzeum Sztuki w Łodzi, Łódź 2017.

Łątka Jerzy Siemisław, *Krwawy apostoł: Feliks Dzierżyński 1877–1926*, nakładem autora 1993.

Łubieński Stanisław, *Pirat stepowy*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.

Mac Neal Shaw, *Ocalić cara Mikołaja II: Tajna misja uratowania rodziny cesarskiej*, Świat Książki, Warszawa 2004.

Markiewicz Leon, *Grzegorz Fitelberg: Życie i dzieło*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1995.

Marx Karol, *Manifest komunistyczny*, Wydawnictwo Jirafa Roja, Warszawa 2006.

Massie Robert K., *Romanowowie: Ostatni rozdział*, Amber, Warszawa 2007.

Miedziński Bogusław, *Polityka wschodnia Piłsudskiego*, WiS, Poznań 1986.

- Mikołaj II, *Dziennik cara Mikołaja II*, Iskry, Warszawa 1998.
- Nałęcz Daria, *Józef Piłsudski. Legendy i fakty*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1986.
- Nietzsche Friedrich, *Tako rzecze Zaratustra*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 1995.
- Osińska Katarzyna, *Leksykon teatru rosyjskiego XX wieku*, Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 1997.
- Ossendowski Ferdynand Antoni, *Lenin: postscriptum*, Wydawnictwo Polskie, Poznań 1930.
- Ossendowski Ferdynand Antoni, *Zwierzęta, ludzie, bogowie*, „Łuk”, Białystok 1931.
- Pajewski Janusz, *Pierwsza wojna światowa 1914–1918*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1998.
- Paley Olga, *Wspomnienia z Rosji 1916–1919*, Księgarnia B. Połonieckiego, Lwów 1925.
- Palmer James, *Krwawy biały baron*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2010.
- Parczewski Tomasz, *Pamiętniki gubernatora Kronsztadu*, Oficyna Wydawnicza „Mówią Wieki”, Warszawa 2006.
- Piasecki Sergiusz, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, Świat Książki, Warszawa 1994.
- Piłsudski Józef, *Bibuła*, Wydawnictwo Jirafa Roja, Warszawa 2009.
- Piłsudski Józef, *Korespondencja: 1914–17*, Instytut Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1984.
- Piłsudski Józef, *Moje pierwsze boje*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988.
- Piłsudski Józef, *Rok 1920: z powodu książki M. Tuchaczewskiego „Pochód za Wisłę”*, Instytut Badania Najnowszej Historii Polski, Warszawa 1931.
- Pipes Richard, *Rewolucja rosyjska*, Magnum, Warszawa 2006.
- Radziński Edward, *Jak naprawdę zginął car Mikołaj II*, Warszawski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994.
- Radziński Edward, *Rasputin*, Magnum Warszawa 2000.
- „Rzeczpospolita”, *dziennik, rocznik 1920*.
- Sayn-Wittgenstein Katarzyna, *Koniec mojej Rosji: dziennik z lat 1914–1919*, Noir Sur Blanc, Warszawa 1998.
- Składkowski Felicjan Sławoj, *Gdzie widziałem Komendanta nim Polskę wywalczył*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1936.
- Smith Douglas, *Skazani: Ostatnie dni rosyjskiej arystokracji*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.
- Sobczak Jan, *Mikołaj II – ostatni car Rosji*, Bellona, Warszawa 2009.
- Swain Geoffrey, *Wojna domowa w Rosji*, NetMarket Sp. z o.o., Warszawa

2007.

Szarota Piotr, *Wiedeń 1913*, Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2013.

Tankowski Artur, *Żyd, Polak, Legionista*, Muzeum Historii Żydów Polskich, Warszawa 2014.

Tarczyński Jan, *Adiutanci marszałka Józefa Piłsudskiego*, Centralna Biblioteka Wojskowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Warszawa 2015.

Urbankowski Bohdan, *Józef Piłsudski. Marzyciel i strateg*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2014.

Van der Kiste John, *Franciszek Józef: prywatne życie ostatniego wielkiego cesarza Europy*, Amber, Warszawa 2006.

Weygand Maxime, *Bitwa o Warszawę: odczyt wygłoszony w Brukseli*, Mazowiecka Spółka Wydawnicza, 1930.

Wędziagolski Karol, *Pamiętniki: wojna i rewolucja, bolszewicki przewrót, kontrrewolucja, warszawski epizod*, Warszawska Oficyna Wydawnicza Gryf, Warszawa 1989.

Wieliczka-Szarkowa Joanna, *Żołnierze niepodległości 1914–1918*, Wydawnictwo AA s.c., Kraków 2013.

Wilczkowski Andrzej, *Złota i czarna legenda Józefa Piłsudskiego*, Sesja popularnonaukowa w Bibliotece im Józefa Piłsudskiego w 75. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, Łódź 1993.

Wilton Robert A., *Ostatnie dni Romanowów*, Wektory, Bielany Wrocławskie 2016.

Wołkogonow Dmitrij, *Lenin: Prorok raju, apostoł piekła*, Amber, Warszawa 2006.

Wrangel Piotr N., *Wspomnienia t. I-II*, Bellona, Warszawa 1999.

Zubow Walentin, *Lata przez mękę Rosja 1917–1925*, SEDNO Wydawnictwo Akademickie, Warszawa 2015.

Autor cytuje fragmenty swojej powieści *Ikony. Opowieść o terrorystach*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2016.

## **Podziękowania**

Serdecznie dziękuję Pani Dyrektor Barbarze Czajce i wszystkim pracownikom Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, szczególnie Pani Bogusławie Karbowskiej, za świetną, fachową, cierpliwą i niezawodną pomoc w wyszukiwaniu potrzebnych mi tekstów i informacji.



